Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Colour Chart #13

DANES PICTA .COM

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

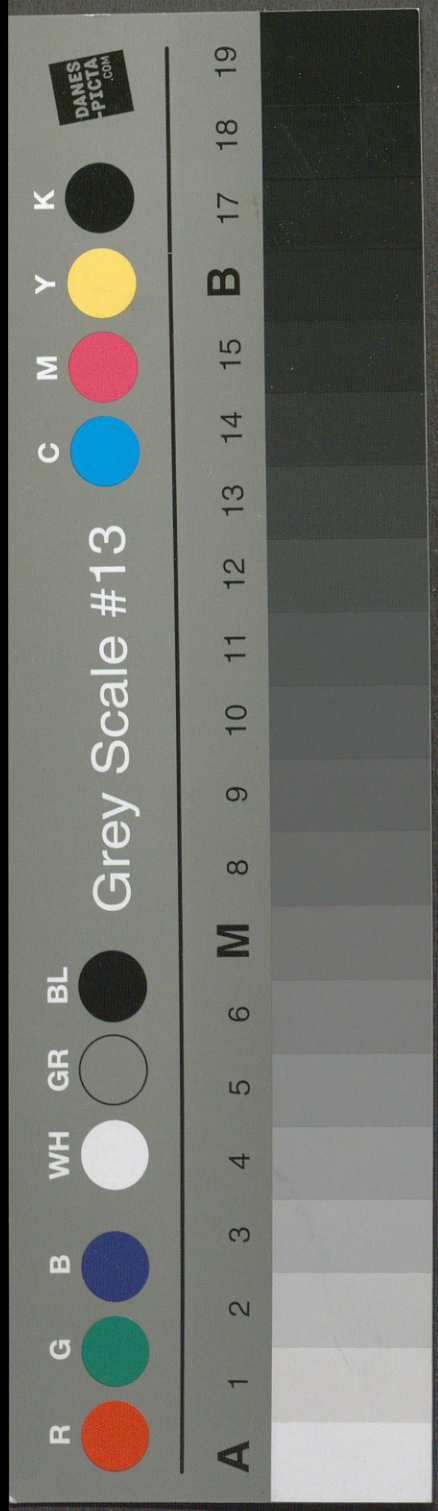

088

Eigentum
Heeresarchiv-Zweigstelle
Wien
E4 I. -2EX

PAMIĘTNIKI O POWSTANIU STYCZNIOWEM

J. K. JANOWSKIEGO
B. CZŁONKA I SEKRETARZA RZĄDU NARODOWEGO
W POWSTANIU 1863—1864 r.

PAMIĘTNIKI
O POWSTANIU STYCZNIOWEM

TOM I.

(STYCZEŃ — MAJ 1863 r.)

WYDANY Z ZASIŁKU WYDZIAŁU
NAUKI MINISTERSTWA W. R. i O. P.

BIBLJOTEKA
990
PRAC. W. W. R.

LWÓW 1923
STARANIEM KOMITETU JUBILEUSZOWEGO
OBCHODU 50 i 60 ROCZNICY POWSTANIA 1863 r.

93(438)9 : 92.

20171/3

L. inw. 51

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Polit. - Wyck.

Eigentum
Heeresarchiv - Zweigstelle
Danzig

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLINSKICH (E. WINIARZA).

Od wydawnictwa.

Lwowski Komitet obchodu 50-tej rocznicy powstania styczniowego postanowił dla uczczenia owej chwili urządzić w r. 1913 w pałacu Sztuki na placu Powystawowym, wystawę pamiątek powstania styczniowego i wydać Pamiętniki Józefa Kajetana Janowskiego, członka Rządu Narodowego r. 1863/4 i przez dłuższy okres czasu sekretarza tego Rządu. Postanowienie urządzenia wystawy zostało w całej pełni urzeczywistnione, natomiast wydawnictwo Pamiętników rozpoczęte wówczas, doznało przerwy, którą okres wojny światowej przedłużył do teraz, i dopiero w 60-lecie powstania styczniowego zostało ono ponownie podjęte i to w zamiarze, chwilowo, tylko częściowej realizacji.

Postanowienie Komitetu 50-lecia powstania styczniowego, powzięte jeszcze za życia autora, objęło planem wydawniczym całość Pamiętników, które w rękopisie autor podzielił na cztery tomy: pierwszy (wstępny) zawierający opis stosunków rodzinnych wczesnej młodości autora (od r. 1830), drugi wypadki bezpośrednio poprzedzające powstanie styczniowe, a więc okres manifestacji, wreszcie trzeci i czwarty wypadki powstania styczniowego do chwili, kiedy autor opuścił kraj i udał się na emigrację do Paryża.

Z owych czterech tomów przechowanych w brulionie w dziale rękopisów Zakładu nar. im. Ossolińskich we Lwowie, są czystopisy trzech pierwszych tomów, a czystopis tomu czwartego autor w ostatecznej redakcji przygotowywał i do-

prowadził go do połowy, gdy przedwczesna śmierć przerwała tę pracę i nie pozwoliła mu jej wykończyć, tak, że druga połowa IV tomu rękopisu (a zamierzonego wydawnictwa tomu II-go) znajduje się jedynie w bruljonie t. j. w pierwotnej redakcji.

Szczupły stan funduszów Komitetu, oraz względy rzeczowej natury, a więc przedewszystkiem wysoka wartość i aktualność wspomnień autora o r. 1863 ze względu na jego ważne stanowisko w tych wypadkach, zadecydowały, że plan wydawniczy postanowiono wykonać postępowo, zaczynając od tomu najważniejszego t. j. od III-go tomu rękopisu zajmującego się wypadkami związanymi bezpośrednio z wybuchem powstania, względnie od chwili, kiedy autor wstąpił do Komitetu Centralnego (koniec grudnia 1863 r.). Następnie miano wydać drukiem tom IV-ty rękopisu a dopiero w końcu tom I i II.

W porozumieniu więc z żyjącym jeszcze wówczas autorem rozpoczęto w r. 1913 druk III-go tomu rękopisu jako I-szy tom Pamiętnika. Redakcję tego tomu objęli prof. lwowskiego uniwersytetu dr. Stanisław Zakrzewski i dr. Kazimierz Sochaniewicz, którego przez pewien czas zastępował w pracy Aleksander Ładoś i dr. Bronisław Pawłowski. Redaktorowie w porozumieniu z Komitetem wydawniczym wprowadzili, niezmieniając w niczem tekstu Pamiętników, którym autor dał w przeważnej części formę pragmatyzującej opowieści objektywnej o dziejach powstania 1863/4 r., pewien aparat krytyczny w formie przypisków pod tekstem. Przypiski te w przeciwieństwie do przypisków autora oznaczonych gwiazdką *), zaznaczono odsyłaczami z numeracją cyframi arabskiemi i znakiem (P. R.). Przypiski od redakcji miały na celu uwypuklić zgodność lub niezgodność pewnych relacji autora z przyjętymi poglądami, względnie ustalonymi faktami, oraz dać najkonieczniejsze wyjaśnienia tyczace się osób i miejsc. W ten sposób prowadzony druk tego tomu, rozpoczęty w r. 1913, ciągnął się i przez

r. 1914. Wypadki wojny światowej, czasowa okupacja Lwowa i t. d. przerwały wydawnictwo na lat szereg.

Życie społeczne i polityczne w nowo niepodległej od końca 1918 r. Polsce, liczne publiczne manifestacje uznania ze strony państwa i społeczeństwa dla uczestników powstania styczniowego, a utrzymujące się dalej niektóre mylne o przebiegu powstania styczniowego poglądy uprzytomniły nam, zwłaszcza teraz, gdy się utworzył Komitet dla obchodu 60-tej rocznicy powstania, potrzebę wykończenia rozpoczętego przed dziesięciu laty wydawnictwa t. j. wydanie przynajmniej III i IV tomu rękopisu.

O dopomożenie nam w tym zamiarze zwróciliśmy się do Rządu i zgodnie z wyrażonem tam życzeniem przedłożyliśmy pracę ś. p. Józefa Kajetana Janowskiego do zaopiniowania Towarzystwu Naukowemu we Lwowie, które uznało wydanie tych pamiętników jako wskazane. Na tej podstawie uzyskawszy przyrzeczenie otrzymania zasiłku z funduszów Wydziału nauki Ministerstwa wyznań religijnych i oświaty publicznej, postanowiliśmy wydać przed dniem obchodu 60-tej rocznicy powstania, tom III a w ciągu r. 1923 tom IV-ty rękopisów jako dwa pierwsze tomy Pamiętnika J. K. Janowskiego o powstaniu styczniowem.

Redakcji rękopisu tomu IV. (jako druk tomu II.) i uzupełnień tomu III-go (jako druk tomu I.), jakie się dodatkowo okazały konieczne podjął się dr. Kazimierz Sochaniewicz.

Puszczając obecnie w świat tom I. Pamiętnika J. K. Janowskiego świadomi jesteśmy, że skutkiem przerwy w wydawnictwie zaistniała tu i ówdzie pewna niejednolitość i są odwoływania się do tomów Pamiętnika, które na razie pozostają jeszcze w rękopisie. Niezbędne uwagi, uzupełnienia i poprawki do niniejszego tomu są pomieszczone na końcu; indeks zaś osobowy, miejscowy i rzeczowy obu tomów, pomieszczony zostanie w następnym, analogicznie opracowanym drugim tomie.

J. K. JANOWSKI

Wspomnienie o Józefie Kajetanie Janowskim

Sekretarzu Stanu w Rządzie Narodowym 1863—64 r.

Stopniowo rozwijało się powstanie styczniowe, obejmując coraz szerszą przestrzeń ziem polskich, stopniowo też rozwijały się, tworzyły i ustalały wielorakie instytucje organizacji narodowej kierującej powstaniem. Szybkość fali działań zbrojnych szybszą znacznie była, niż tworzenie się i rozwój administracji władz insurekcyjnych. One stosunkowo powoli — w ciągu pierwszych dwóch miesięcy walki — tworzyły się w warunkach niezwykłych, wśród okoliczności tak twardych, jakie gdzieindziej w przeszłości dziejowej nie były znane... W stolicy kraju zajętej przez wroga, pod naciskiem organizacji rosyjskiej policyjno-szpiegowskiej, wytwarza się organizacja powstańcza, rozwija się, ustala, funkcjonuje, trwa, zdobywa posłuch i powagę. Słucha jej Polska, liczy się z nią nieprzyjaciel, podziwiają obcy. Potrzeba było jednak czasu do urządzenia, do rozwoju, udoskonalenia władz tego rządu tajemnego, prowadzącego swoje sprawy systematycznie z niemałą wielokroć energią, z niemniejszą umiejętnością. Chociaż powstanie kierowane z początku przez Komitet Centralny, który przybrał tytuł „Rządu Tymczasowego Narodowego", rozpoczęło się ku końcowi stycznia, ustala się wszakże funkcjonowanie władz tajemnych, insurekcyjnych, znacznie później, zaledwie około 1 maja 1863 r., a 13 maja „Rząd Tymczasowy" zmienia swą nazwę na „Rząd Narodowy"; na tarczy herbowej jego pieczęci, będącej symbolem władzy najwyższej, obok „Orła i Pogoni" okazuje się „Michał Archanioł", znak herbowy Kijowszczyzny, świadczący, że wszystkie ziemskie zabużańskie aż po Dniepr, które wielokroć w ciągu wieków przeorał pług polskiej kultury starej, łączą się nietylko duchowo, ale przelewem krwi, z walką o wolność, o niepodległość, podjętą przez Polskę.

Cała ta administracja nader rozgałęziona, aczkolwiek tajemna, musiała odpowiadać wszelkim potrzebom kraju, i powstania, jakby rząd jawnie regularnie działający. Odpowiadała jednak o ile zdołała, chociaż stojąca na gruncie podminowanym przez nieprzyjaciela, chociaż przed tym nieprzyjacielem nieustannie chronić się musiała, chociaż ludzie ją tworzący i w niej pracujący za swą pracę i poświęcenie co chwila mogli się spodziewać uwięzienia, katowania i śmierci na szubienicy... Nic jednak tych wytrwałych pracowników nie wstrzymywało od stania na swych stanowiskach i działania. Gdy jedni ustępywali, natychmiast inni szli na stos ofiarny. Były może wyjątki — bo gdzież ich nie ma — ale większość składała się z ludzi prawdziwego poświęcenia.

Że istniało podobne zjawisko rządu tajemnego, normalnie funkcjonującego wśród warunków najtwardszych, że istniało w ciągu więcej niż roku bez przerwy, ku zdumieniu całego niemal Zachodu europejskiego, świadczy to, że powstanie styczniowe nie było narzucone, lecz wypłynęło z potrzeby chwili, że było owocem wielkiego podniesienia ducha, który pospolicie stwarza wielkie, niemal szalone czyny i wywołuje niezmierne zaparcie się siebie, ofiary ze wszystkich ziemskich ukochań dla tryumfu idei. Ludzkość na przestrzeni wieków niejednokrotnie patrzała na takie wysiłki większych lub mniejszych grup społecznych, podejmowanych dla urzeczywistnienia pewnej wielkiej myśli, i żaden ze światłych dziejopisów ani wypraw krzyżowych, ani walki o niepodległość Niderlandów, ani trzynastoletnich mocowań się miast pruskich z potęgą Zakonu Krzyżackiego, nie ośmielił się nazwać czynem narzuconym przez pewną małą garstkę ludzi, czynem jakiegoś „komitetu".

Jeżeli więc walki epoki styczniowej wypłynęły z „duchowej potrzeby" ówczesnego pokolenia naszego narodu, jeżeli nie przyszły jako „klątwa nieba" a wywołały olbrzymią falę poświęceń i czynów godnych upamiętnienia, to przedniejszym jest obowiązkiem zachować od zatracenia, w powodzi wypadków przeszłości i teraźniejszości, bodaj ogólne zarysy tych ludzi, co byli budowcami owych instytucyj, co je udoskonalali i potęgą swej ofiarności utrzymywali.

* * *

Ilość znaczna była tych ofiarnych budowców wielkiej maszyny administracyjnej rządu powstańczego; my tu w ogólnych zarysach wskażemy na jedną tylko postać, ale postać bardzo wybitnego znaczenia i zasługi niemniej niepospolitej, na Józefa Ka-

jetana Janowskiego, przez znaczny przeciąg czasu Sekretarza Stanu w Rządzie Narodowym. Tem śpieszniej sięgamy po pióro, by bodaj w ogólnych konturach przechować pamięć tej postaci, iż o wielu z ciżby ówczesnych pracowników, których fale wypadków wyrzuciły na powierzchnię dziejowego dramatu mało wiemy, często nic, po za kilku datami, lub co gorsza posiadamy mylne wiadomości, nieświadomie lub nawet świadomie kreślone. Wspomnijmy ku przestrodze późniejszych badaczy, że wiele szczegółów nieprawdziwych podał świadomie Artur Wołyński, wprowadzając w błąd badaczy wypadków 1863 r.

Józef Kajetan Janowski urodził się w Warszawie dnia 17-go marca 1832 r. Ojciec jego znany i ceniony urzędnik, pisarz aktowy przy hipotece, pochodził z rodziny ziemiańskiej z Krakowskiego, piszącej się „z Opatowic“ i używającej godła rodowego „Strzemię“. Pochodzenie stare, szlacheckie nie wstrzymało w młodym Józefie rozwoju pojęć demokratycznych, które w dojrzalszym wieku na miejskim bruku, gdzie one zwykle bujnie się rozrastają, przechylały się ku krańcowości. Był on we wczesnej młodości płomiennym zwolennikiem Mierosławskiego, podobnie jak brat jego Władysław, który zginął pod Krzywosądzą 19-go lutego 1863 r., Czasy dziecięcych lat Janowskiego nie sprzyjały rozwojowi światła w Kongresówce. Rosja zamiłowaniem nauki nigdy się nie odznaczała, wśród narodów podbitych zawzięcie je tępiła. To było i u nas. Mikołaj I. zamykał w Warszawie szkoły, a wznosił Cytadelę. Młodzież ówczesna warszawska miała wielkie trudności w kształceniu się. Nawet do uniwersytetu kijowskiego aż do roku 1856, młodzież z królestwa Kongresowego miała wstęp wzbroniony. Mała tylko liczba stypendystów rządowych wysyłaną była do Moskwy lub Petersburga w celu wykształcenia na nauczycieli do gimnazjów lub urzędników sądownictwa; gdyż po zburzeniu uniwersytetu warszawskiego w r. 1832, dawał się dotkliwie odczuwać ich brak. Zaledwie po zgonie cesarza Mikołaja, warunki na tem polu nieco się poprawiają. Szkoła Sztuk Pięknych, która od roku 1853 została wytworzona z dawnych „kursów budownictwa“, zaczyna się rozwijać: gromadzi około swych katedr znaczną liczbę uczniów i staje się pepinierką nie tyle może artystów, ile patrjotycznej młodzieży dążącej do szybkiego urzeczywistnienia swych ideałów narodowych.

Do tej Szkoły Sztuk Pięknych wstępuje i Józef Janowski na wydział architektury, którą kończy w r. 1856, zamieniając wnet po ukończeniu ławę szkolną na praktykę budowniczą w pracowni

dość głośnego wtedy w Warszawie budowniczego Juljana Ankiewicza.

Pobyt w Szkole Sztuk Pięknych zbliżył Janowskiego do licznego grona pełnej zapału i myśli narodowej młodzieży zapełniającej i, rzec można, przepełniającej wówczas tę szkołę, jedyny nieco wyższy zakład naukowy w tamtoczesnej Warszawie. Z ław tej szkoły wyszli znani działacze w epoce manifestacji przedpowstańczych: Nowakowski, Szachowski, późniejszy profesor uniwersytetu lwowskiego; z czasów zaś powstania Rafał Krajewski, Józef Janowski, Stanisław Wroński (malarz, twórca pejzażów syberyjskich) i inni, których pochłonęła mgła dziejowa, powstała z wyziewów krwi, z bezbrzeżnej niedoli powstańczej... Wymieniamy tu kilka zaledwie nazwisk zachowanych z przeszłości, gdyż szeregi owej artystycznej młodzieży, biorącej i inicjatywę ruchu w r. 1861 i udział w walce orężnej, liczne były, stosunkowo oczywiście do ilości uczniów tej szkoły.

* * *

Janowski wcześnie bierze udział w tworzącej się organizacji narodowej przedpowstańczej w Warszawie; w lipcu 1862 r. widzimy go na stanowisku „okręgowego“ organizacji miejskiej, w listopadzie i grudniu tegoż roku podczas działalności Komitetu centralnego, z ramienia rzeczonej władzy był wysyłany na prowincję w charakterze komisarza nadzwyczajnego. W ostatnich dniach grudnia t. r. wszedł do składu Komitetu Centralnego, wnosząc do niego nadzwyczajną pracowitość, przejęcie się najzupełniejsze sprawami sobie powierzonemi, co było główną jego właściwością i było przez wszystkich w nim cenione, podczas całego długiego okresu jego działalności. Wszedłszy do tej najwyższej magistratury powstańczej, gdzie on dla niższych organów administracji znanym był pod mianem „Jerzego“, nie opuszcza jej przez szereg miesięcy. Komitet Centralny staje się „Rządem Tymczasowym“, przechodzi różne koleje, Janowski wciąż w nim trwa, ceniony nie tylko dla swej mrówczej pracowitości, ale i dla dokładnej znajomości różnych spraw, których wątek umiał w pamięci swej zachować. Istniała tradycja, że go nazywano „chodzącem archiwum“; o wszystkiem wiedział, wszystko pamiętał, stawał się przeto osobistością nieuniknioną. Tak go charakteryzuje poniekąd słusznie, Walery Przyborowski w swych „Dziejach 1863 r.“

Przewrót w łonie rządu powstańczego, dnia 25. maja dokonany, głównie za sprawą niejakiego Włodzimierza Lempkiego, pochodzącego z Kijowa, nazywanego „Rusinem“, młodzieńca o dość

warcholskiem usposobieniu, powołał do steru nowy skład rządu, noszący miano „rządu adwokatów“, prawnicy go bowiem składali. To kolegjum prawników o bardzo mocno czerwonej, przynajmniej stosunkowo do swych rozważnych poprzedników, jak Karol Ruprecht (postać dziwnie piękna), Agaton Giller, nie posiadało oczywiście w swem gronie Janowskiego; on był wówczas po za wszelką działalnością urzędową. Krótko to trwało. Już po trzech tygodniach ustępuje „rząd adwokatów“ a tworzy się nowy pod przewodnictwem K. Majewskiego, przez niektórych badaczy dziejów powstania nazywany niesłusznie „lipcowym“, gdyż powstał w czerwcu; służyć mu może raczej miano „czerwcowego“.

Dnia 13 czerwca objął rządy nowy ten zastęp ludzi przeważnie umiarkowanych, wśród których Karol Majewski jeżeli nie z urzędu, to w rzeczywistości był przewodniczącym. Umiał on trafnie ludzi właściwych dobierać na różne stanowiska. Powołał więc na sekretarza stanu Janowskiego. Wybór okazał się nader szczęśliwym.

Wszedł on na to stanowisko jako dyletant, ale z wielką, większą znacznie, niż ktokolwiekbądź inny, znajomością spraw dotychczasowych rządów, wniósł zaś z sobą skarb nieoceniony: pracowitość, obowiązkowość, ścisłość, znane osobiste swe przymioty. Budowniczy z zawodu, budował nie z cegieł i kamieni, ale ze swego niezłomnego trudu instytucję w rządzie powstańczym, noszącą nazwę „sekretarjatu stanu“.

Instytucja była nader ważną i obejmowała zakres prac nader szeroki. Nie tworzyła ona tylko przybocznej kancelarji Rządu Narodowego, jakby można mniemać z nazwy, lecz posiadała duży zakres zwierzchnictwa nad niektóremi gałęziami administracji. Przedewszystkiem prowadził sekretarjat dokładny dziennik korespondencji Rządu Narodowego. Księga ta niestety zginęła. Pośredniczył między Rządem Narodowym a podległemi mu organizacjami. Otrzymywał raporta z prowincyj do rządu i takowe mu wręczał. Było jego obowiązkiem wysyłać kurjerów, wydawać paszporty, przygotowywać i wysyłać na prowincje pieczęcie jako symbol władzy urzędowej. Wreszcie pod zarządem „Sekretarjatu Stanu“ były drogi żelazne i poczty, tak zwykłe, jak i „obywatelskie“ jako środki komunikacyjne. Wszystkie te różnorodne gałęzie administracji, jak i wogóle całe nader skomplikowane rusztowanie organizacji narodowej ostatecznie do szczytu swej budowy doszło podczas kierownictwa rządu „czerwcowego“, więc przy końcu

czerwca i pierwszych dni lipca. Był to okres i pomyślny z wielu względów i pracą owocną kwitnący.

Ten czas jest chwilą najbardziej wytężonej pracy Janowskiego. W pracy swej ciągłej lubował się, jak marynarz lubuje się w szumie fal morskich, chociaż ten szum wielekroć zwiastuje mu burzę i zagładę jego statku. Ze spokojem, a nawet z myślą zawsze pogodną, od wczesnej godziny porannej do wieczora, zapełniał on swój czas to u siebie w sekretarjacie pracą biurową, to posiedzeniami Rządu Narodowego odbywającemi się codziennie, codziennie gdzieindziej, z punktualnością chronometru.

Do obowiązków Janowskiego zaliczało się również wskazanie, gdzie odbywać się będzie posiedzenie rządu. On wykaz tych miejsc posiadał, on kolej ich wskazywał, pilnie bacząc aby nie powtarzały się zbyt często w jednem i tem samem miejscu. W mieszkaniach członków Rządu Narodowego nigdy się takie posiedzenia nie odbywały. Raz tylko u sekretarza Rusi miało ono miejsce. Do lokalów, gdzie częściej można było urządzać, zaliczały się mieszkania jenerałowej Berskiej na Nowym Świecie, pani Ilnickiej na rogu Żabiej i placu Grzybowskiego, Dra Januszkiewicza przy Żórawiej, na probostwie kościoła św. Aleksandra, w lokalu gdzie w styczniu r. 1863 Komitet Centralny uchwalił wybuch powstania, gdzie wreszcie mieszkał już po wskrzeszeniu Polski, pierwszy urzędnik apostolski w Polsce odrodzonej, późniejszy papież Pius XI. Zwykle gdy na zegarach warszawskich biła godzina 10, z teką napełnioną papierami wchodził Janowski na posiedzenie Rządu Narodowego i referował z wielką jasnością i znajomością rzeczy szereg spraw, które w ciągu doby do jego biura lub do jego wiadomości doszły. Załatwiano je z wszelką możliwą szybkością. Istniał nawet przepis, że kurjer przybyły z prowincji w tymże dniu lub najpóźniej w ciągu doby powinien odpowiedź otrzymać. Poważniejsi tylko delegaci z prowincji udawali się do sekretarjatu, a zwykle gońcy składali swe pakiety w miejscach umówionych. Każde województwo posiadało w mieście pewien punkt do składania swej korespondencji. Był to zwykle jakiś sklep lub magazyn otrzymujący wszelkie jego papiery. Tak zwani galopeni sekretarjatu dwakroć obiegali te magazyny, odbierali lub oddawali dla kurjerów wszystkie posyłki. Księgarnia Gebethnera na Krabowskiem przedmieściu, była stacją dla Podlasia i Żytomierza, sklep Biczana dla Lwowa i wiele innych.

* * *

Wracając z posiedzeń rządu, które zwykle trwały parę godzin, Janowski w swem biurze przyjmował interesantów i załatwiał sprawy tyczące się już wyłącznie tylko jego kompetencji, przedstawiane mu przez jego stałego referenta Jana Ławcewicza.

Biuro sekretarjatu, mieszczące się stale przez cały szereg miesięcy obok mieszkania Janowskiego przy ulicy Nowogrodzkiej, co było wówczas dość oddaloną dzielnicą miasta, roiło się nieraz od ludzi z różnych okolic objętych powstaniem... Pamiętam, że w pewne popołudnie zastałem tam kilku poważniejszych interesantów z dalszych terenów walki czy też organizacji. Był Mieczysław hr. Rey ze Lwowa, Bronisław Strzemiński z Bielskiego, Domański z Brześcia i inni. Wszystkim niezmordowany Janowski dawał odpowiedzi wyczerpujące, ścisłe, acz nie zawsze wesoło usposabiające przybyszów ze stron dalszych, spodziewających się, iż usłyszą w Warszawie z ust przedstawiciela rządu zapowiedź tryumfu w walce toczącej się od półrocza. Często zdarzało się odwrotnie; odpowiedzi cechował optymizm; co było zresztą usprawiedliwione, gdyż okres prawie trzymiesięczny, od czerwca do końca sierpnia, to chwila najbardziej jasna w stosunkach powstańczych, również w kraju, jak i zagranicą.

Do tego pomyślnego rozwoju administracji, do zdobycia większej powagi i posłuchu w kraju dla władz rządzących, nie mało przyczyniła się za dni „Rządu Czerwcowego“ jakość ludzi stojących na czele tak zwanych „wydziałów“, które niejako odpowiadały ministerjom ustroju rządów jawnych. Dla przykładu wskażemy tu tylko, iż na czele „wydziału“ spraw zagranicznych, stał uczony legista, były sybirak, człowiek gorącego patrjotyzmu a cnoty katońskiej i szerokiego wykształcenia, *Henryk Krajewski* (umarł r. 1897), „wydziałem“ skarbu kierował Djonizy Skarzyński, człowiek niemałego światła, działacz z epoki 1846 r., również były Sybirak. „Wydział“ spraw wewnętrznych był w ręku uprzedniego profesora prawa polskiego uniwersytetu petersburskiego Stosława Łaguny, prawnika i historyka, wysokiej miary człowieka, acz zaledwie wówczas trzydziestoletniego, już głębokiej erudycji (umarł r. 1900).

Ten pomyślny skład rządu, ten rozwój znakomity administracji, ci ludzie światli, których nazwisk nie znano, ale istnienie ich przeczuwano, drażniły niepospolicie naszych wrogów.

Rosja ku końcowi lata wytężała wszystkie siły, by kres położyć powstaniu w Kongresówce, bo na Rusi i Litwie zostało ono już stłumione i bezwzględny terroryzm tam zapanował; Prusy

wzięły udział w usiłowaniach Rosji. Postanowiły zniszczyć organizację powstańczą. Od zamiaru szybko przyszło do czynu... Dnia 17 września został obalony dotychczasowy „czerwcowy“ Rząd Narodowy. Geneza tego przewrotu dokładnie zostanie zbadana dopiero wtedy, gdy archiwa tajne pruskie staną się dostępne dla historyków.

My tu nie uważamy za rzecz właściwą, ani też potrzebną, rozszerzać się nad tą genezą. W tej chwili nie należy to do naszego przedmiotu.

* * *

Po upadku rządu „czerwcowego“, kiedy nastąpił chaos w stosunkach, kiedy wielu ludzi usunęło się od pracy, a Sekretarjat Stanu w inne przeszedł ręce, Janowski i w tem stadjum prac zachwianych nie usuwa się. Bardzo być może, że go jako człowieka „niezbędnego“, proszono aby pozostał u warsztatu pracy, z którą nowi, nieobeznani ludzie nie mogli sobie dać rady; być może, iż bez mozolnego trudu obejść się nie zdołał. Dano mu tam stanowisko dyrektora wydziału spraw wewnętrznych; przyjął i pracował nad związywaniem tego, co przewrót wrześniowy rozszarpał.

Po miesiącu znów widzimy zmianę stosunków. Traugutt obejmuje rządy; rozpoczynają się dni tajemnej dyktatury. Wyborny znawca ludzi, szybko się orjentujący w sytuacji, tajemny dyktator, powołał Janowskiego zaraz w pierwszym dniu swoich rządów, tj. 17 października na dawne stanowisko sekretarza stanu i z tego stanowiska już nie schodzi aż do zupełnego upadku powstania, chociaż ostatnie tygodnie i powstania i jego pobytu w Warszawie, stały się raczej tułactwem, połączonem z ciągłemi niebezpieczeństwami, niż urzędowaniem... Sekretarjat za rządów Traugutta nosi inny charakter.

Terroryzm rosyjski wzmaga się, czyni wielkie szczerby w ludziach. Przerwane nici w organizacji nie dają się łatwo nawiązać. Sekretarjat ma mniej pracy, ale trud większy. Dawna na wpół jawność sekretarjatu znika. Przestaje być ogniskiem, do którego dążą interesanci z prowincji. Biura jego zmieniają swe urządzenia dotychczasowe, stają się po części koczowniczemi. To jest okres prac Janowskiego coraz cięższy. Nie ma wprawdzie kolegjalnego rządu ani jego posiedzeń, dużo jednak pozostaje pracy biurowej niejako, bo redakcję wielu korespondencji bierze Traugutt na siebie, na swe barki, pisze liczne nieraz „minuty“, ale to wszystko trzeba przepisać, a współpracowników brak; dawny referent Ław-

cewicz pozostaje jedynie na swem stanowisku Wreszcie i ten przypadkowo został ujęty..

Ujęcie Ławcewicza dnia 3 lutego 1864 r. dopełniło czary klęsk również dla sekretarjatu, jak dla samego Janowskiego, który był zniewolony opuścić swe mieszkanie i jego urzędowanie; również sam pobyt w Warszawie, zmieniając omal nie codziennie mieszkanie, stał się prawdziwą katuszą.

Gdy Janowski opuszcza stolicę, już wszystko dokoła było w upadku.

Powstanie istnieć przestało... Pełen mozolnego trudu jego uczestnik ofiarny żyje jeszcze lat pięćdziesiąt i gaśnie we Lwowie na niewiele dni przed rozpaleniem się wojny światowej, która miała być świtem zmartwychwstania Polski...

Tego świtu nie danem mu było doczekać się.

Janowski umiera dnia 24 czerwca 1914 r., zostawiając późniejszym pokoleniom przykład pracy cichej, gorliwej i nie schodzenia ze swego stanowiska aż do wyczerpania sił i środków.

Marjan Dubiecki.

Pisałem w październiku 1922 r.

SŁOWO WSTĘPNE.

Przystępuję teraz do najważniejszej części mej pracy, jaką sobie zamierzyłem, rozpoczynając spisanie mego pamiętnika — do Powstania 1863—64 roku.

Do pracy tej biorę się z całem najgłębszem poczuciem odpowiedzialności wobec Narodu za wszystkie działania, w jakich, jako Członek i zarazem Sekretarz Stanu Rządu Narodowego, przez cały czas powstania, czynny brałem udział.

Wszyscy współpracownicy moi, położyli już głowy swoje ku wiecznemu spoczynkowi. Wielu z nich męczeńską zginęło śmiercią. Na mnie, ostatnim, cięży obowiązek zdania sprawy i porachunku.

Stanowisko naczelne kierujące, któreśmy zajęli, jakkolwiek przez ogólny posłuch i zaufanie w narodzie mogło być uważane za zgodne z wolą tegoż narodu, w rzeczywistości jednak, było samozwańczem, co zwiększa odpowiedzialność.

Ci, którzy przed powstaniem stanowisko to zajmowali jako Komitet Centralny, czuli się uprawnionymi nam je przekazać: przyjęliśmy, w poczuciu obowiązku służenia Ojczyźnie. Nie pragnęliśmy władzy, urok jej nas nie pociągał. Władza, którą obejmowaliśmy, pozbawiona była wszystkiego, co może pociągnąć, co stanowi jej urok. Nie przynosiła zaszczytów, godności, błyszczenia, hołdów, kadzideł, pochlebstwa i próżności. Ale zato była trudna, ciężka, połączona z ciągłem niebezpieczeństwem utraty wolności i życia. Wolność i życie bowiem zależało od hartowności charakteru tych, co nas otaczali -- a po największej części od przypadku. Dnie, tygodnie i miesiące płynęły pod groźbą odkrycia, uwięzienia, śledztwa, szubienicy.

Na szubienicy też skończył Rząd Narodowy swoje urzędowanie.

Eigentum
Heeresarchiv-Zweigstelle
Danzig

Na mnie — jak powiedziałem — ciąży obowiązek sprawozdania. Do obowiązku tego poczuwałem się zaraz w pierwszej chwili, gdym się znalazł na wolności, na emigracyi.

Sprawozdanie to wyobrażałem sobie wówczas, jakby formalne, urzędowe, oparte na dokumentach. Jakąś część tych dokumentów pozostawiłem w kraju. Zdawało mi się, że potrafię je odzyskać i jeszcze uzupełnić. Tymczasem robiłem notatki za świeżej pamięci i doszedłem w nich do kwietnia 1863 r. W pracy tej dopomagała mi i dodawała otuchy moja żona.

Na emigracyi, nie mając żadnych środków ani zasobów, musiałem pracować na chleb powszedni. Praca ta była ciężka i absorbująca dzień. Musiałem przerwać robienie notatek, bo nie było na to czasu. Po powrocie do kraju trzeba było w dalszym ciągu pracować na utrzymanie. Odzyskałem tu nie wielką cząstkę pozostawionych w kraju dokumentów, lecz zbutwiałych i nie do użycia. O pisaniu sprawozdania tak, jak go sobie przedstawiałem z początku, nie można było myśleć — bo nie było materyałów — a praca na codzienne potrzeby pochłaniała czas cały.

Spełnienie jednak obowiązku miałem ciągle na pamięci. Jak tylko okoliczności tak się ułożyły, że mogłem prawie cały czas wolny od zajęć zawodowych oddać temu spełnieniu obowiązku — podjąłem go.

Zmieniłem jednak tak program pracy, jak i jej charakter. O pisaniu sprawozdania tak, jak go sobie przed laty czterdziestu przeszło przedstawiałem, myśleć nie mogłem, dla braku wyczerpującego dowodowego materyału. Postanowiłem więc pracy mej nadać charakter pamiętnika.

Jeśli niejeden wypadek, lub niejedno jakieś wydane postanowienie zatarło się w pamięci, to w każdym razie zasady, pobudki, motywa, któremi się Rząd Narodowy kierował — pozostały mi żywo w pamięci i nic z nich nie uroniłem. Na zmianie formy, rzecz sama nic stracić nie mogła, a mogła zyskać na swobodzie opowiadania.

Myśl nadania pracy o powstaniu, formy pamiętnika, nasunęła inną — szerszą — sięgnięcia pamięcią, w czasy poprzedzające powstanie i jakby wstępem do niego będące; a wreszcie i jeszcze szerszą, bo do dziecięcej kolebki sięgającą.

Poleciwszy się opiece, pomocy i łasce Boskiej, wziąłem się do pracy w r. 1906 — mając już 74 lat skończonych, lecz w pełnej jeszcze sile fizycznej i umysłowej.

Pierwsze dwa tomy objęły okres czasu do końca roku 1862. Powstanie samo obejmie także tomów dwa. Tom pierwszy powstania — a właściwie trzeci pamiętnika, obejmuje okres do końca maja 1863 roku, dla którego miałem już wiele przygotowanego materyału w notatkach, o których wyżej mówiłem. Tom ostatni, obejmie czas do końca t. j. do kwietnia 1864 r. (chwili wyjazdu mego z Warszawy na emigracyę).

W ciągu opowiadania podaję w całości lub w streszczeniu rozmaite odezwy, dekreta, postanowienia i t. p. dokumenta, o ile je posiadam; treść ich sama przez się, świadczy o kierunku, zamiarach lub stanowisku, zajętem przez Rząd Narodowy, w danej sprawie.

Dla zdobycia tego materyału odbyłem w r. 1910 podróż do Rapperswylu, gdzie go w sporej znalazłem ilości, jeżeli nie zawsze pierwszorzędnego znaczenia, to przynajmniej takiego, który mi pomógł do pogłębienia własnej pamięci.

W opowiadaniu starałem się o ile możności, zachować porządek chronologiczny i podawać daty.

Nie mogę twierdzić, bym pracą moją wyczerpał zupełnie przedmiot: mogą tam być luki, opuszczenia lub przeoczenia; jest to nieuniknionem w pracy dopełnianej z pamięci i po latach blizko pięćdziesięciu. Starałem się podawać tylko to, co mi się zupełnie jasnem przedstawiało w pamięci, lub jasno z posiadanego dokumentu wynikało. Pomijałem z umysłu wypadki, zdarzenia lub okoliczności, których dokładnego obrazu w pamięci wytworzyć sobie nie mogłem; uważałem za lepsze pominięcie zupełne, jak podawanie rzeczy wątpliwej, niejasnej, dla mnie samego nie dosyć pewnej.

Dopomagałem także własnej pamięci, przez studyowanie prac cudzych, acz nielicznych pamiętników, opowiadań, przepuszczając je przez alembik własnej krytyki i oczyszczając od często niewłaściwych stronniczych poglądów. Niejednokrotnie nawet, musiałem dla wyjaśnienia, wydobycia prawdy, należytego oświetlenia ważnego wypadku, przytaczać całe ustępy z pracy wiarygodnego zupełnie świadka.

Nieprawdziwe, a często nawet tendencyjnie w fałszywem świetle przedstawiane wypadki lub poglądy niektórych autorów, musiałem prostować lub piętnować.

Przez takie traktowanie sprawy, chciałem nadać pracy mojej charakter autentycznego, historycznego dokumentu, nie dopuszcza-

jącego żadnych wątpliwości, dać historykowi przyszłemu niewzruszoną podstawę do krytyki i sądu.

Najważniejszą chwilę, bo genezę uchwały Komitetu Centralnego z dnia 3 stycznia — o powstaniu, opartą na poprzednich działaniach Komitetu Centralnego, jeszcze przed powstaniem, i wytworzonej przez nie sytuacyi, podałem ściśle, autentycznie, odnośnie co do treści i ducha przeprowadzonej dyskusyi. Bezstronna krytyka historyczna orzeknie: czy motywa były błędne, czy słuszne, czy uchwała była lekkomyślną, za jaką ją Giller Agaton we wszystkich swoich pismach i gdzie tylko może przedstawia (a za nim poszli inni autorowie), czy też była poważną i konieczną.

Historyę zamachu na obalenie władzy Komitetu Centralnego, to jest historyę dyktatury Langiewicza, starałem się wyświetlić i wyprowadzić na jaw wszystkie czynniki, które się dyskretnie poza plecami Adama Grabowskiego ukrywały, a który był tylko narzędziem ich intrygi.

Czułem się w obowiązku wyświetlić stanowisko Rządu Narodowego i odeprzeć wszystkie czynione mu zarzuty, sprzeniewierzenia się zasadzie demokratycznej, mianowicie w jego czynnościach dyplomatycznych.

Pierwszy okres powstania, czteromiesięczny, któremu poświęciłem cały jeden tom pamiętnika t. j. tom III., uważam za najważniejszy. W tym bowiem okresie Rząd Narodowy właściwie się formował, a formy te sam ze siebie musiał tworzyć; stawiał zasady i postulata swej polityki, tak wewnętrznej, jak i zewnętrznej, którymi się później z mało znaczącemi zmianami i ulepszeniami przez cały czas kierował, bez względu na zmiany — w osobistym swoim składzie.

Całą tę pracę moją, z zupełnym spokojem i czystem sumieniem, poddaję pod sąd Narodu i Historyi.

Mogliśmy, jako ludzie błądzić — ale, jeżeli błądziliśmy, to zawsze z jak najlepszą wiarą, że to, co przedsiębraliśmy, jest potrzebne dla dobra Ojczyzny, której miłość i szczęście, były zawsze jedyną pobudką i kierowniczką czynności naszych.

Lwów, Luty 1911 r.

Józef Kajetan Janowski.

ROZDZIAŁ I.

Dnia 27. grudnia 1862 roku, w sobotę, przyszedł do mnie Oskar Awejde. Znałem go osobiście od niedawna i dość pobieżnie, robił wrażenie sympatyczne. Domyślałem się, że jest członkiem organizacyi, ale właściwej jego roli nie znałem.

Po zamienieniu kilku obojętnych zdań, gość mój oświadczył mi, że przychodzi do mnie, jako delegat Komitetu Centralnego, z zawiadomieniem, że Komitet postanowił powołać mnie na swego członka; że sprawa jest nagłą i, że muszę zaraz dać odpowiedź i, że jego zdaniem, odpowiedź ta powinna być affirmatywną.

Tak apodyktycznie, a zupełnie niespodzianie postawiona kwestya, jakkolwiek odpowiadała wyobrażeniu memu o sile, energii, i powadze Komitetu Centralnego, jako władzy narodowej, spotęgowanej jeszcze tajemniczością, jaka go otaczała, na chwilę jednak obudziła w myśli chęć oporu, protestu przeciwko takiemu naciskowi.

Lecz trwało to tylko chwilę, jedno mgnienie oka, bo uczucie, że żądanie jest uczynione w imieniu tego Komitetu, tej władzy narodowej, która ma prawo nie tylko żądać, ale i rozkazywać, wstrzymało myśl protestu, i nakazywało dać odpowiedź poważną, zgodną z przekonaniem i sumieniem. W mojem przekonaniu Komitet stał tak wysoko, że nigdy nawet na chwilę, nie powstała we mnie myśl, bym ja mógł być jego członkiem. Stykałem się już z nim, wypełniałem według najlepszej mej woli i zrozumienia jego polecenia, i to właśnie stawiało tak wysoko ów Komitet w moim umyśle. Pod naporem, myśli przechodziły szybko. Odmówić zupełnie nie mogłem. Przyszedł mi na myśl brat mój Władysław.

W mojem własnem przekonaniu brata mego stawiałem wyżej od siebie. tak pod względem zdolności, energii, jak i wyższego ogólnego wykształcenia. Był on właśnie w tej chwili w Warszawie.

Przyjechał był na święta Bożego Narodzenia z Kielc, gdzie był podsędkiem Sądu poprawczego, tak dla odwiedzenia rodziny, jak i w sprawie osobistej: starania się w Komisyi Sprawiedliwości o przeniesienie go do Warszawy. Z rozmów, jakie z nim teraz o sprawach organizacyi prowadziłem, dowiedziałem się, że jest w teiże organizacyi naczelnikiem cywilnym województwa krakowskiego, zatem osobistością znaną Komitetowi Centralnemu, i według mego przekonania posiadającą kwalifikacye, jeżeli niezupełnie odpowiednie do zajęcia stanowiska członka tegoż Komitetu, to w każdym razie większe od moich. Po chwili milczenia, skupiwszy tak myśli, miałem odpowiedź zupełnie szczerą i poważną. Oświadczyłem więc Awejdemu, że nie czując się zupełnie zdolnym zająć ofiarowane mi stanowisko, proponuję w moje miejsce brata mego Władysława, znanego Komitetowi członka organizacyi i naczelnika cywilnego województwa krakowskiego, który jest obecnie w Warszawie i spodziewa się, że od Nowego Roku będzie przeniesiony z Kielc do Warszawy. Dodałem, że jeżeli Komitet propozycyę przyjmie, to porozumienie się z bratem moim biorę na siebie. Awejde zgodził się i ostateczne załatwienie sprawy odłożyliśmy do dnia następnego.

Tego samego jeszcze dnia przedstawiłem całą sprawę bratu, który propozycyę chętnie przyjął; ostateczną jednak decyzyę uczynił zależną od spodziewanego przeniesienia się na urzędowanie do Warszawy. Ułożyliśmy się, że aż do tej chwili brat mój pozostanie zupełnie na stronie, a ja wejdę do Komitetu jako jego zastępca.

Nazajutrz w niedzielę Awejde zawiadomił mnie osobiście, że Komitet zupełnie się zgodził na moją propozycyę i, że gdy tym sposobem skład Komitetu został skompletowany, przeto nazajutrz t. j. w poniedziałek d. 29. grudnia, o godzinie 6-tej wieczorem, Komitet się zbierze w mojem mieszkaniu, przy ulicy Leszno nr. 713 w oficynie po lewej stronie w parterze.

Tak się uskuteczniło moje wejście do Komitetu Centralnego. Przez myśl mi wówczas nie przeszło, że ten przypuszczalnie chwilowy udział, zamieni się w stały, rok i $3^1/_2$ miesiąca trwający — z najwyższą względem Ojczyzny odpowiedzialnością połączony.

W poniedziałek, dnia 29. grudnia 1862 roku, o godzinie 6-tej wieczorem, zgromadził się w mojem mieszkaniu Komitet Centralny w nowym składzie, który stanowili: Agaton Giller i Zygmunt Padlewski, pozostali ze składu poprzedniego Komitetu, oraz nowo powołani: ks. Karol Mikoszewski, wikaryusz parafii św. Aleksandra, Jan Majkowski, urzędnik Komisyi Skarbu, i ja. Przybył także i Oskar

Awejde dla zainstalowania nas i zdania sprawy z czynności przeszłych, jak i ze stanu obecnej chwili.

Z tych teraz moich kolegów dobrze znałem tylko Gillera. Awejdego znałem bardzo mało, innych zaś nie znałem zupełnie.

O Zygmuncie Padlewskim już pisałem, dając jego sylwetkę. Pierwsze wrażenie było bardzo dodatnie, i bardzo sympatyczne. Obejście się jego, bardzo wytworne, pełne przytem prostoty, pociągało serdecznością i szczerością. Odrazu poznać było, że w tym pięknym i wytwornym młodzieńcu bije serce szlachetne, pełne zapału, zdolne do ofiary i poświęcenia; mówił płynnie, potoczyście, myśli swoje wypowiadał jasno; czuć jednak było w tem, co mówił, jakiś brak energii i stanowczości, tak niezbędnej dla wojskowego.

Jan Majkowski był po Gillerze najstarszym z nas; liczył już lat 35. Był on rodzonym bratem znanej już wówczas literatki Maryi z Majkowskich Ilnickiej, a synem oficera byłych wojsk polskich; szwagier jego, Tomasz Ilnicki, był wyższym urzędnikiem w Banku polskim, należał do organizacyi, a w samem powstaniu był członkiem Wydziału skarbu Rządu Narodowego. Jan Majkowski był człowiekiem wykształconym przeważnie w kierunku belletrystycznym, mówił dobrze językami francuskim i niemieckim, a znał angielski; umysłu nie pozbawionego bystrości, usposobienia marzycielskiego, poetycznego: mówił płynnie, lecz dawał się unosić zapałowi i w myślach wkraczał w sfery niewykonalności. Z domu wyniósł gorące uczucie patryotyczne, gotowość do ofiary i poświęcenia.

O ks. Karolu Mikoszewskim, pisałem już, opierając się na jego późniejszej działalności. Teraz, przy osobistem zetknięciu, wywarł bardzo niesympatyczne wrażenie: pycha, zarozumiałość, żądza władzy, wpływu, biła mu z oczu, z każdego słowa, z każdego ruchu. Mówił płynnie, szybko, unosił się, zapalał, ale na zimno; czuć było, że ten zapał nie płynie mu z serca, z uczucia, z przekonania, lecz jest sztuczny, obliczony na efekt. Należał do owych pustych i bez charakteru krzykaczy, którzy skrajną bezczelnością umieją sobie zjednywać zwolenników i wynosić się na czoło. Dlatego właśnie, pozując na patryotę, głośno krzycząc, zyskał mir i uznanie między duchowieństwem warszawskiem, i na polecenie tegoż wszedł do Komitetu Centralnego.

Takimi mnie się przedstawili moi nowi koledzy i towarzysze pracy.

Po wzajemnem poznaniu się i uściśnieniu rąk Awejde wezwał nas do wykonania przysięgi, którą też z całą uroczystością, klęcząc,

wykonaliśmy wobec Ukrzyżowanego Chrystusa, który zdjąwszy ze ściany nad łóżkiem, do rąk ks. Mikoszewskiego oddałem. Krzyż ten, który dostałem był od mego szwagra Adama Grossa, jest dziś dla mnie jedną z najdroższych pamiątek i jest niemym świadkiem, że zobowiązania przysięgą zaciągniętego, przez cały ciąg pracy, starałem się sumiennie i uczciwie dotrzymać.

Zaraz po wykonaniu przysięgi oświadczyłem towarzyszom, w jakim zostaję między nimi charakterze i że, jeżeli tylko sprawa brata mego pomyślnie się ułoży i da mu możność przeniesienia się do Warszawy, zajmie moje miejsce, jako sobie właściwie przynależne. Oznajmienie takie uważałem za konieczne, żeby później nie było żadnej pod tym względem wątpliwości.

Po tej instalacyi Komitetu w nowym składzie, Oskar Awejde, wypełniając daną mu misyę, przystąpił do zdania sprawy z dotychczasowych prac Komitetu i stanu organizacyi narodowej.

Stan ten był punktem wyjścia dla prac dalszych, które nas czekały — był jakoby inwentarzem, któryśmy przyjąć musieli, a który znów koniecznie musiał wpłynąć na dalszy rozwój i kierunek prac Komitetu.

Komitet Centralny poprzedni, podobnie jak obecny, składał się z pięciu członków. Prace swoje dzielił na 5 Wydziałów — a mianowicie: Spraw Wewnętrznych, Wojny, Skarbu, Prasy i Spraw Zewnętrznych. Każdy członek Komitetu zawiadywał sprawami jednego z Wydziałów.

Rzeczywista władza Komitetu Centralnego rozciągała się tylko na Królestwo Kongresowe. Prowincye Litwy i Rusi rządziły się automatycznie przez swoje własne Wydziały. W tej chwili toczyły się z tymi Wydziałami układy o poddanie się ogólnej władzy Komitetu Centralnego. Organizacye obu innych zaborów miały też swoje oddzielne Zarządy: Galicya tak zwaną „Radę Naczelną Galicyjską“, W. Ks. Poznańskie i Prusy Zachodnie — „Komitet Wielkopolski“.

Królestwo Kongresowe podzielone było na 8 województw, Warszawa zaś, jako źródło organizacyi i stolica kraju stanowiła odrębną całość.

Podstawową jednostką, ogniwem organizacyi wogóle i w każdem województwie była „Dziesiątka“ z „Dziesiętnikiem“ na czele. Dziesięć „Dziesiątek“ stanowiło „Setkę“ z naczelnikiem „Setnikiem“, a dziesięć „Setek“ stanowiło okręg. Okręg nie miał właściwie stałej

terytoryalnej granicy i nie zawsze dosięgał liczby tysiąca spiskowych.

Na czele organizacyi każdego województwa stał naczelnik nazwany wojewódzkim i w jego ręku skupiała się cała działalność organizacyjna. Między wojewódzkim i okręgowymi nie było żadnej pośredniej władzy. Okręgowi znosili się wprost z wojewódzkimi i byli ostatniem ogniwem, przez który Komitet Centralny rządził całą organizacyą. Wszystkie dochody z okręgu przechodziły przez ręce okręgowego, jak również wszystkie rozporządzenia, dotyczące organizacyi, wszelkie pisma, druki przez niego dochodziły do podstawowych ogniw „Dziesiątek".

Okręgowy czuwał nad stanem moralnym i materyalnym swego okręgu; musiał znać osobiście wszystkich setników, tak jak każdy setnik musiał znać osobiście każdego dziesiętnika. Na okręgowych wybierano zwykle ludzi zażyłych w okolicy, mających stosunki.

Główną siłę organizacyi stanowiły miasta i miasteczka, a w nich ludność rzemieślnicza. Po wsiach należeli do organizacyi przeważnie oficyaliści i służba dworska; włościanie pojedynczo, rzadko w większej liczbie.

Wyjątek stanowiło tu województwo Płockie, szczególniej powiaty pułtuski i ostrołęcki, zamieszkałe przez drobną szlachtę i Kurpiów, i Podlasie, również zasiane zaściankami drobno - szlacheckimi, gdzie organizacya składała się prawie wyłącznie z ludności rolniczej. Z młodzieży obywatelskiej wiejskiej należało także bardzo wielu do organizacyi.

Jako organ bezpośredni Komitetu Centralnego, z jego ramienia nieustannie czuwający nad stanem organizacyi w całem województwie, głównie troszczący się o jej utrzymanie i wzrost, jako instancya rozstrzygająca na miejscu możliwe spory i wątpliwości, byli komisarze Komitetu na każde województwo. O ile naczelnikami województw bywali ludzie na miejscu osiedleni, o tyle na komisarzy Komitet Centralny powoływał ludzi młodych, energicznych, przejętych zasadami, na których Komitet działania swoje opierał.

W tej chwili komisarzami i wojewódzkimi byli następujący obywatele. Województwo Mazowieckie: wojewódzki Świątkowski Ludwik, obywatel ziemski; komisarz Frankowski Stanisław. Województwo Kaliskie: wojewódzki ksiądz Ceutt Wawrzyniec, kanonik i proboszcz parafii Sulejów pod Piotrkowem; komisarz Wasilewski Gustaw. Województwo Krakowskie: wojewódzki Janowski Władysław, asesor Sądu

poprawczego w Kielcach; komisarz Biechoński Wojciech. Województwo Sandomierskie: wojewódzki ksiądz Kotkowski, kanonik, przełożony instytutu księży Demerytów w klasztorze św. Krzyża na Łysej Górze; komisarz Maciejowski Ignacy. Województwo Lubelskie: wojewódzki Gregorowicz Kazimierz, patron przy Trybunale w Lublinie; komisarz Frankowski Leon. Województwo Podlaskie: wojewódzki Deskur Bronisław, obywatel ziemski; komisarz Rogiński Roman. Województwo Płockie: wojewódzki Tłuchowski Tadeusz, obywatel ziemski; komisarz Rolski Edward. Województwo Augustowskie: wojewódzki Akord Cyprjan; komisarz Piotrowski Józef.

Warszawa, jak wyżej powiedziałem, była oddzielną całością organizacyjną, jakby dziewiątem województwem. Naczelnikiem miasta był jeden z członków Komitetu, a w chwili obecnej był nim Zygmunt Padlewski. Jednostką organizacyjną była i tu jak wszędzie Dziesiątka. Miasto samo było podzielone na cztery Wydziały; Praga stanowiła wydział piąty. Każdy Wydział był podzielony terytoryalnie, na pewną ilość okręgów, więc tu okręg nie był zależny od tysiąca spiskowych, jak to było na prowincyi. Naczelnikiem każdego Wydziału, był wydziałowy, mianowany przez Komitet. Naczelnikiem okręgu był okręgowy, mianowany przez Radę wydziałowych. Naczelnik miasta miewał codzienne posiedzenia z wydziałowymi: odbierał od nich raporta, omawiał sprawy miejskie, przekazywał rozkazy Komitetu do wykonania. Podobne posiedzenia miał każdy wydziałowy ze swymi okręgowymi. Okręgowy odbierał sprawozdania od setników i komunikował im rozporządzenia otrzymane od wydziałowego. Rozporządzenia te przez setników, dochodziły do najniższych ogniw organizacyi. Organizacya ta była nadzwyczaj sprężysta; zrozumieć łatwo, że tu nie było żadnej pisaniny: wszystkie rozporządzenia były wydawane ustnie i ustnie też dochodziły do ostatnich szczebli.

Oprócz tej organizacyi, że ją tak nazwę, polityczno-administracyjnej, była organizacya policyjna, zostająca pod zwierzchnictwem naczelnika policyi miasta Warszawy, mianowanego przez Komitet. Ten naczelnik policyi brał zawsze udział w posiedzeniach wydziałowych z naczelnikiem miasta. W każdym Wydziale był jeden ajent policyjny wydziałowy, jako ostatni szczebel policyi jawnej.

Każdy ajent wydziałowy policyjny miał swoich podwładnych, jako tajnych agentów, w całej organizacyi tak w dziesiątkach jak

i w setkach. Ci byli obowiązani zdawać sprawozdania o wszystkiem, co się nietylko w organizacyi, ale i poza nią w mieście dzieje.

Do policyi wogóle należało staranie o bezpieczeństwo organizacyi przez zawiązywanie stosunków z policyą moskiewską. Wielu bardzo członków tej policyi było zarazem agentami policyi narodowej. Każdy przystępujący do organizacyi, a szczególnie policyjnej, obowiązany był złożyć przysięgę bezwzględnej tajemnicy i posłuszeństwa wykonywania wszelkich rozkazów i poleceń przełożonych. Przysięgę taką odbierali zwykle księża tak świeccy, jak i zakonni, do organizacyi należący.

Organizacya miasta Warszawy składała się w przeważnej liczbie z rzemieślników wszelkich zawodów, z robotników, z uczniów szkoły głównej, z młodzieży urzędniczej. Należała także do organizacyi znaczna liczba starszych urzędników rozmaitych dykasteryi; należeli także, lecz w niewielkiej liczbie uczniowie klas wyższych 7-ej i 8-ej gimnazyów.

Siła organizacyi w Królestwie kongresowem, według obliczeń Awejdego, wynosiła około dwadzieścia tysięcy spiskowych: z tego na samą Warszawę przypadało około 8.000, na województwo Płockie około 4.000, na Podlaskie około 3.000, reszta rozdzielała się na pozostałe 6 województw, z których znowu najsilniejszem było województwo Lubelskie, a najsłabszem Augustowskie.

Słabość województwa Augustowskiego polegała głównie na silnej i dobrze urządzonej organizacyi przeciwnego stronnictwa białego. Wojewódzkim tego stronnictwa był obywatel ziemski, Awejde, ojciec Oskara, człowiek wielce szanowany, powszechnie znany, i posiadający ogólne zaufanie. Był on jedynym wojewódzkim białym, który z prawdziwą dążnością powstańczą w województwie pracował; umiał też gromadzić koło siebie wszelki żywioł gorętszy, lepiej i poważniej myślący. Człowiek starszy, wytrawny, doświadczony rozumiał dobrze, że praca przygotowawcza powinna gruntować się na zorganizowaniu inteligencyi i ludzi wpływowych. Rozumiał dobrze, że masy pociągnięte zawcześnie stają się w końcu balastem, w którym trudno jest utrzymywać karność, a który powoduje najczęściej przyśpieszenie wybuchu.

Tak rozumiejąc sprawę, przeszkadzał i tamował rozwój organizacyi Komitetu Centralnego, która właśnie w tych masach rekrutowała przeważnie swoich członków. Jakkolwiek więc Awejde ojciec zaliczał się do organizacyi białej, to jednak faktycznie pracował i przysposabiał grunt dla organizacyi ruchu. W tej chwili, jak

powiedziałem, Komitet Centralny nie miał prawie żadnej w województwie Augustowskiem organizacyi. Gdy jednak potem powstanie zostało postanowione, cała organizacya biała tego województwa przyłączyła się do powstania, biorąc w niem szczery i gorący udział, pociągając za sobą i owe masy zawsze patryotyczne, które jedynie tylko hasła potrzebują.

Niestety nie wszędzie tak było, jak w województwie Augustowskiem. W innych województwach organizacya biała, kierowana przez ludzi niechętnych, pokrywających bezczynność swoją formułką pracy organicznej, faktycznie sama nic nie robiąc, pozbawiając stronnictwo ruchu wszelkiej inteligencyi, zmusiła je niejako do zorganizowania mas.

W województwie Płockiem obydwie strony miały silną i liczną organizacyę, w ciągłej też ze sobą pozostawały walce. Nigdzie tak, jak w tem województwie, nie da się lepiej widzieć i w skutkach ocenić, do czego prowadzą prace przygotowawcze do powstania, oparte tylko na masach ludowych, bez udziału w nich inteligencyi, a szczególniej, gdy ta właśnie inteligencya była wprost powstaniu przeciwna. Województwo Płockie, posiadające najsilniejszą organizacyę przedpowstańczą, największe zasoby broni, nie tylko, że w pierwszej chwili powstania, jak to później zobaczymy, zawiodło wszelkie oczekiwania i pokładane w niej nadzieje Komitetu, ale przez cały ciąg walki, nie miało ani jednej chwili powodzenia, szczególniej w powiatach: Płockim, Mławskim, Lipnowskim i Przasnyskim.

Zasoby materyalne organizacyi przedstawił Awejde w nieświetnych kolorach. Broni innej, prócz myśliwskiej i to tej, która się znajdowała w rękach gajowych, lub rzadko u mieszkańców miast, nie było. Komitet wydał wprawdzie rozkaz przygotowania kos, ale w jaki sposób owe rozkazy wykonywano, i na jaką ilość tej broni w tej chwili liczyć było można, Awejde nie umiał powiedzieć.

Fundusze, którymi dotąd Komitet rozporządzał, pochodziły ze składek spiskowych i z podatku narodowego, pobieranego na mocy dekretu z d. 18. października 1862 r.[1]). Z tego ostatniego źródła pochodzące pieniądze Komitet przeznaczył na zakupno broni.

Przechodząc do moralnych zasobów i sił organizacyi Awejde

---

[1]) Ogłoszony 18. października w „Ruchu“ (Nr. 7.), następnie w odbitkach rozrzucony po kraju, przedrukowany u Przyborowskiego H. D. L. V. str. 489 (dod. nr. 8.). P. R.

zaznaczył, że zabrała ona pod swoje chorągwie wszystko, co tchnęło zapałem, co gotowe było do poświęcenia, do zaparcia się siebie i uderzenia na wroga, choć z pustemi rękami a odkrytą piersią. W jej szeregach był niemal wszystek ten szlachetniejszy lud miejski, który już wiele razy złożył dowody swego gorącego patryotyzmu i bohaterstwa, nawet bez poprzednich długich przygotowań i propagandy.

Prawda, że zapał i serce są wielkiemi dźwigniami w usiłowaniach narodu, wybijającego się na niepodległość, lecz przymioty te, o ile stają się potężniejsze, jeżeli są kierowane i miarkowane rozumem, gdy z masami patryotycznemi ręka w rękę idą, równe im w patryotyźmie, sfery inteligentne narodu. Niestety jakże mało tych ostatnich, szczególnie z inteligencyi wiejskiej naliczyć można było w organizacyi przedpowstańczej. W Warszawie i w większych miastach a nawet miasteczkach inteligencya miejska licznie zapełniała szeregi spiskowych. Ale na prowincyi, gdzie główną siłą są właściciele ziemscy, bardzo słaby brali oni udział w organizacyi, a w wielu razach stanowczo wrogo przeciwko niej występowali. Całą organizacyę Komitetu Centralnego traktowali pogardliwie, nazywając ją robotą smarkaczów i głupców.

Prawie wszyscy wojewódzcy dyrekcyi białej, byli wrogo usposobieni dla organizacyi. O Szydłowskim z Wilczysk w Podlaskiem pisałem był już w II. tomie. Takim samym był Ujazdowski (zdaje mi się Karol [2]) w województwie Płockiem, o którego nieprzyjaznem działaniu przekonaliśmy się później już w czasie powstania. Sama dyrekcya biała lekceważyła sobie organizacyę Komitetu Centralnego, czem ciężko nie tylko błądziła, ale wprost grzeszyła przeciwko sprawie narodowej.

Jeżeli miała przekonanie, że działanie Komitetu Centralnego było złe, szkodliwe, nierozumne, to jej patryotycznym obowiązkiem było użyć wszelkich sił i sposobów, żeby to złe powstrzymać, ukrócić, lub wreszcie inaczej pokierować. Zamiast tego traktowano organizacyę lekceważąco, pogardliwie, nazywano ją, jak powiedziałem, robotą smarkaczy. Prawda, Komitet Centralny był reprezentowany nazewnątrz, na prowincyi, przez owych komisarzy województw; byli to młodzieńcy 20-letni, jak Roman Rogiński, Leon i Stanisław Frankowscy, Józef Piotrowski, ale byli to młodzieńcy jak najszlachetniejszego typu, nieposzlakowanej czystości charakteru, pełni najgorętszej miłości Ojczyzny, gotowi do naj-

[2]) Chołodecki (Ks. pam. s. 78) wymienia Ujazdowskiego Karola. (P. R.).

szczytniejszego poświęcenia i ofiary. Do pełnienia jednak takich obowiązków tylko tego charakteru ludzi można było powołać. Nie przeczę, że w całej masie inteligentnej części narodu, w owem obywatelstwie wiejskiem, znajdowali się bezwątpienia ludzie takich charakterów, a przytem starsi i więcej doświadczeni; ale cóż z tego, kiedy ci trzymali się zdala od tej niebezpiecznej pracy. Stanowisko i zadanie komisarzy było rzeczywiście i trudne i niebezpieczne; byli oni bowiem bezpośredniem ramieniem i okiem Komitetu. Jak już powiedziałem, obowiązkiem ich było czuwać nad stanem organizacyi, troszczyć się nad jej utrzymaniem i wzrostem, rozstrzygać na miejscu możliwe sprawy i wątpliwości. Jeżeli naczelnicy województw, jak widzieliśmy z przytoczonych wyżej nazwisk i zajęcia, byli stałymi mieszkańcami województwa, to owi komisarze byli obcy, nie mający stałego tam zamieszkania; jeżdżąc po całem województwie, stykając się z najrozmaitszymi ludźmi, byli wystawieni na baczne oko policyi i żandarmeryi i narażeni w każdej chwili na możliwe aresztowanie i najgorsze, wyniknąć stąd mogące następstwa. Wielu też z nich położyło swoje głowy.

Następnie Awejde w sprawozdaniu swojem przeszedł do określenia stanowiska, jakie zajęło duchowieństwo w organizacyi. Zaznaczył przedewszystkiem, że prace przygotowawcze powstańcze byłyby w tej chwili daleko silniejsze, że udział w organizacyi ludu wiejskiego mógł być nawet bardzo liczny, gdyby połączenie się duchowieństwa z organizacyą nastąpiło o rok wcześniej, albo przynajmniej w chwili ściślejszego określenia się i ześrodkowania organizacyi w miesiącu czerwcu lub lipcu 1862 r. Propagowano i przygotowywano lud miejski, z natury swojej i tradycyi patryotyczny, wyczerpywano w tym kierunku swoje siły, a przez niewywarcie należytego wpływu na duchowieństwo i zjednanie jego sił dla prac organizacyjnych, zaniedbano przygotowanie ludu wiejskiego. Boć proboszcze tylko i właściciele ziemscy mogli mieć prawdziwy i skuteczny wpływ na lud wiejski, w którego masowym udziale leży jedyna tajemnica zwycięstwa.

Inicyatywa do własnej organizacyi i złączenia się z organizacyą Komitetu Centralnego wyszła z łona samego duchowieństwa w końcu miesiąca września 1862 r., a skonsolidowanie się tej organizacyi nastąpiło dopiero w listopadzie tegoż roku. Pisałem już o tem w końcu II. tomu, powtarzać zatem tego nie potrzebuję. Przypomnę tylko, że duchowieństwo, uznawszy zwierzchność Komitetu Centralnego, zobowiązało się do wykonywania wszelkich

poleceń, zastrzegając jedynie, by polecenia te w niczem nie dotyczyły rzeczy wiary i kościoła. Komitet Centralny przyjął to zastrzeżenie, uznając za zupełnie słuszne i sprawiedliwe. Duchowieństwo na zjazdach dyecezyalnych wybrało mężów zaufania, jako pośredników między dyecezyą a Komitetem. Zadaniem duchowieństwa była propaganda i współdziałanie w sprawach przygotowawczych między ludem wiejskim. Środkiem do tego miały być kazania odpowiednie, a głównie wpływ moralny, jaki proboszcze w ciągłem, codziennem zetknięciu zostający z ludem, mogli na niego wywierać. W chwili obecnej organizacya obejmowała dyecezye: krakowską, lubelską, sandomierską, podlaską i płocką. Dyecezye: kalisko-kujawska i augustowska nie były jeszcze ostatecznie zorganizowane. Organizacya ta w tej chwili zbyt jeszcze młoda, nie mogła rozwinąć swego działania i przynieść pracom przygotowawczym pożądanych wydatnych korzyści.

Taki był stan organizacyi w dniu 29. grudnia 1862 roku w Królestwie.

Co do innych prowincyi zaboru moskiewskiego, mianowicie co do Litwy i Rusi, to Komitet Centralny pozostawał w dalekiem zaledwie porozumieniu z temi ziemiami. Komitety tam utworzone, mianowicie w Wilnie[3]) i w Kijowie[4]), działały dotąd samoistnie. Komitet warszawski, jakkolwiek nazywał się Centralnym, był jednak takim tylko dla Królestwa, nie zdołał on dotychczas skojarzyć w swych rękach władzy i kierunku w całym zaborze moskiewskim. Szczególnie Komitet wileński upierał się przy samorządzie i odrębności; gniewał się nawet o to, że Komitet Centralny rozciągnął organizacyę swoją do powiatów pogranicznych gubernii grodzieńskiej. Zorganizowanie tych powiatów, mianowicie białostockiego, było wyłączną zasługą Bronisława Szwarcego, który przed wyjazdem do Warszawy dłuższy czas tam przebywał. Dla przeprowadzenia rokowań Komitet wileński przysłał do Warszawy Nestora Dulauran'a. Lecz gdy ten przedstawiał zawsze te same warunki: niezależności i tylko równoległej roboty, Komitet Centralny głęboko przekonany o potrzebie jedności kierunku, nie mógł się zgodzić na jego żądania, pozostawił Komitetowi wileńskiemu na razie zupełną swobodę działania, a dalsze porozumienie się odłożył do

---

[3]) Skład komitetu litewskiego. Zob. Chołodecki. Ks. pam. s. 79. Przyborowski. H. D. L. V. str. 313.

[4]) Skład Komitetu ruskiego nieznany dokładnie Przyborowskiemu (H. D. L. V. str. 313). Szereg szczegółów co do składu na podstawie własnych rękopiśm. zbiorów dał Gawroński (R. 1863 na Rusi. T. II. str. 169 i nn.). (P. R.).

czasu, gdy tenże Komitet sam się przekona, że jednolity kierunek jest konieczny. Oświadczył jednak stanowczo, że nad zorganizowanym przez siebie powiatem białostockim, władzę swoją rozciągać będzie i nadal.

Komitet ziem ruskich okazał się w tym względzie więcej powolnym i lepiej przekonanym o potrzebie jednolitej centralnej władzy. Przyjął więc zwierzchnictwo Komitetu Centralnego, zastrzegł się tylko co do terminu powstania, w czem Komitet Centralny nie chciał się upierać, bo rozumiał dobrze, że termin powstania w ziemiach ruskich zależał od stanu przygotowań miejscowych. W układach tych pośredniczył Stefan Bobrowski, którego przyjazdu Komitet oczekuje lada chwila [5]).

Co do stosunku z zaborami austryackim i pruskim, przedstawił Awejde, że istniejące tam Komitety uznały w zasadzie zwierzchnictwo Komitetu Centralnego, lecz miały działać autonomicznie; że organizacye tamtejsze miały za zadanie dostarczyć wszelkiej pomocy przyszłemu zbrojnemu powstaniu w Królestwie, które ograniczy się tylko do zaboru moskiewskiego.

Wyczerpawszy tak rzecz o samej organizacyi, Awejde przeszedł do jądra sprawy, do głównego celu organizacyi, do sprawy zbrojnego powstania.

Komitet Centralny w programie swoim jawnie i otwarcie wypowiedział, że ostatecznym celem organizacyi jest przygotowanie do powszechnego[6]), na dobry skutek obliczonego, zbrojnego powstania, opartego na własnych siłach, spotęgowanego przez zrównanie wobec prawa wszystkich warstw ludności, przez powołanie ich do pracy narodowej i wreszcie przez uwłaszczenie i uobywatelnienie ludu wiejskiego. Zadania te i cele Komitet przy każdej sposobności i w każdej niemal proklamacyi powtarzał i przypominał. Gdy w październiku roku zeszłego rząd moskiewski ogłosił ukaz o poborze z charakterem proskrypcyjnym, wymierzonym głównie przeciwko warstwom, organizacyę narodową składającym, rozrzucono w całej organizacyi tak zwaną „kartkę o poborze“, w której zapewniano, że Komitet do poboru nie dopuści, że wprzód, nim wróg zdoła ten czyn spełnić, nastąpi chwila wybawienia. Kartka ta zrobiła ogromne

[5]) Udział Bobrowskiego odnosi się zapewne do chwili przeobrażenia się Związku Trojnickiego w Komitet Centralny Rusi. Dokonał go Bobrowski w Kijowie, 22. sierpnia 1862 r. (Gawroński R. 1863 na Rusi. II. str. 169 i Przyborowski H. D. L. V. str. 316 na podstawie Gillera i Miłkowskiego). (P. R.).

[6]) Zob. dodatki nr. 3, 4 u Przyborowskiego H. D. L. t. V. str. 482—484. (P. R.).

wrażenie w organizacyi i wywołała ogólne przekonanie, że Komitet chwilę poboru uważać będzie za hasło do powstania. Awejde nie wchodząc zupełnie w to, czy owa kartka pochodziła faktycznie od Komitetu Centralnego [7]), czy była falsyfikatem, stwierdził tylko fakt i wrażenie przez niego wywołane. Komitet nie zaprzeczył pochodzeniu tej kartki i jej autentyczności, więc musi się z tą kartką liczyć. Termin poboru w ukazie nie jest oznaczonym, może więc nastąpić w każdej chwili niespodzianie. Pobór wraz z ową kartką zawisł jak miecz Damoklesa nad organizacyą i nad Komitetem.

Komitet doskonale rozumiał, że przeprowadzenie poboru będzie klęską nie tylko dla organizacyi i jej celów, ale będzie także klęską dla całego kraju. Rozumiał jednak także, że nie ma sił i środków do przeszkodzenia poborowi i, że przygotowania do powstania są zupełnie niedostateczne, by mógł wyrzec to wielkie hasło. Musiał jednak przedsięwziąć wszystko, co było w jego mocy, ażeby obu ewentualnościom stawić czoło.

Przez organa swoje, jak „Ruch", „Strażnica" [8]) starał się wpłynąć uspokajająco na organizacyę, przedstawiając, że pobór nie jest tak wielką klęską, że Polak nawet w wojsku moskiewskiem może być dla Ojczyzny pożytecznym, niosąc hasła wolności w szeregi wojska moskiewskiego i zarzewie buntu. Trzeba jednak przyznać, że środek ten nie przyczyniał się bynajmniej do uspokojenia; przeciwnie robił złe wrażenie i zrodził przypuszczenie, że Komitet usiłuje się wycofać ze swego przyrzeczenia niedopuszczenia do poboru. Komitet starał się, jeżeli nie zupełnie udaremnić, to przynajmniej utrudnić rządowi sporządzanie spisów poborowych. Ponieważ rady powiatowe i gminne w myśl ukazu miały obowiązek tworzenia komisyi konskrypcyjnych, przeto Komitet wydał rozkaz do tych organów, by czynności tych nie wykonywały, a ewentualnie rozwiązały się [9]). Rady te jednak pomimo, że rozkaz Komitetu poparło osobną odezwą duchowieństwo, rozwiązywać się nie chciały, gdyż uważały, że instytucye te bądźcobądź miały wpływ dodatni na dobrobyt i porządek; lecz za to prawie wszystkie wymówiły rządowi posłuszeństwo w tworzeniu konskrypcyjnych komisyi i rząd był zmuszony

[7]) Według zeznań Janczewskiego „kartkę" wydał w sierpniu 1862 r. Józef Rolski, po uwięzieniu Dąbrowskiego pełniący obowiązki naczelnika Warszawy. (Berg. Zapysky. cd. ros. II. str. 361. nota). Przyborowski (H. D. L. V. str. 381) przypisuje wydanie jej „frondującym Mierosławczykom". (P. R.).

[8]) „Strażnica" Nr. 22. z 24. listopada 1862. (P. R.).

[9]) Odezwa duchowieństwa do rad powiatowych i miejskich z datą 29. października 1862. druk. u Przyborowskiego (H. D. L. t. V. str. 493.) (P. R.).

sam te komisye tworzyć. Komitet władzom swoim rozkazał starać się usilnie i wszelkimi środkami niszczyć utworzone spisy poborowych, co też w wielu miejscach dokonano. Tymi środkami chciano utrudnić przygotowania rządu do poboru, na sam jednak pobór środki te wpłynąć nie mogły.

Komitet przemyśliwał nad środkami utrudnienia samego poboru, którego termin, jak powiedziałem, nie był ustalony, a przynajmniej Komitet nie wiedział o nim dokładnie. I nad tem jednak Komitet czuwał i przez stosunki swoje z wojskowemi władzami usiłował dowiadywać się o owym terminie.

Agaton Giller przedstawił myśl tak zwanej dyslokacyi. Polegała ona na tem, że członkowie organizacyi podlegli rekrutacyi, mieli przed samym poborem przenosić się z jednej gminy do drugiej, niekoniecznie sąsiedniej, a nawet do bardziej oddalonych. Po pewnym czasie, po poborze wędrówka miała ustać i popisowi mogliby wracać do swoich miejsc zamieszkania. Komitet myśl Gillera przyjął. W dyskusyi nad tą sprawą wyłonił się dalszy wniosek Zygmunta Padlewskiego. Chciał on z owej dyslokacyi skorzystać dla zamierzonego powstania i tak tem przesiedleniem kierować, by można było z chwilą możliwego wybuchu mieć zgromadzone w danych, z góry oznaczonych, miejscowościach pewne na początek siły. I tę myśl Padlewskiego członkowie Komitetu przyjęli w zasadzie.

Padlewski potem w myśl swego wniosku wygotował kompletny projekt, w którym wyznaczył punkty zboru, do których popisowi kierować się mieli. Królestwo dzielił na trzy pasy:

Południowy, z miejscowością zboru w okolicach Wąchocka i Suchedniowa, jako znajdujących się w pośrodku wielkich fabryk żelaznych, ze znacznem nagromadzeniem ludności robotniczej, okolicy bardzo lesistej i górzystej, dającej możność przygotowania i przechowania zapasów broni i amunicyi i wreszcie najdogodniejszej do rozpoczęcia i prowadzenia partyzantki.

Dla środkowej Kongresówki wyznaczył okolice, przylegające do puszczy Kampinoskiej, po lewej stronie Wisły, pomiędzy rzeką Bzurą i częścią Wisły, od Warszawy do Płocka, z prawej zaś strony Wisły, okolice przyległe do wielkich lasów około Serocka. Za miejscami temi przemawiało naprzód samo położenie, pokryte w wielu miejscach wielkimi, często niedostępnymi lasami; miejscowości te zamieszkałe przez ludność bardzo patryotyczną, myśliwską, a w okolicy Serocka przez bardzo liczną drobną szlachtę.

W północnej nakoniec części Królestwa wyznaczał okolice

puszczy Myszynieckiej, zamieszkałej przez dzielny i patryotyczny lud Kurpiów.

Cały ten projekt dyslokacyi Komitet przyjął. Ponieważ według informacyi, zasięgniętych przez Padlewskiego w kołach wojskowych, pobór miał się odbyć około 14. stycznia, przeto Komitet postanowił, że cała dyslokacya, to jest opuszczenie przez popisowych miejsc swego zamieszkania, powinno być dokonanem przed tymże dniem 14. stycznia. Komitet cały ten plan zakomunikował komisarzom mniej więcej w połowie grudnia. Komitet zalecał komisarzom, żeby władze wojewódzkie organizacyi starały się umieszczać popisowych po wsiach wśród chłopów i żeby ci przebierali ubiory miejscowe włościańskie, żeby się starały rozciągnąć nadzór nad postępowaniem popisowych i żeby utrzymywały ścisłą ich kontrolę. Wezwał przytem komisarzy do jak najgorliwszego współdziałania, do rozumnego raczej wstrzymywania zapału w organizacyi, aniżeli do jego podsycania; że w danych okolicznościach należy wstrzymać się od rozszerzania organizacyi.

Nadto Komitet wydał rozkaz do władz rządowych moskiewskich na prowincyi, do gubernatorów i naczelników powiatów, zabraniający nawet pod karą śmierci, śledzenia i prześladowania popisowych, zmieniających miejsce swego zamieszkania. Trzeba przyznać, że do tego rozporządzenia naczelnicy powiatów, burmistrze i władze gminne, o ile możności się stosowali.

Już przedtem Komitet, mając na uwadze ostateczny cel prac: przygotowanie do powstania, ustanowił był w Paryżu komisyę do zakupna broni, do której powołał: Ćwierciakiewicza, Milowicza i Langiewicza. Teraz przewidując, że z przyczyn wyżej podanych, nie mogąc przeszkodzić poborowi, nie będzie mógł także przeszkodzić przedwczesnemu ruchowi, postanowił przyśpieszyć i poforsować zakupno broni. W tym celu zebrane wszystkie fundusze, jakimi w tej chwili mógł rozporządzać, wynoszące około 400 tysięcy zł. pol. przeznaczył na to i wysłał z nimi w połowie grudnia do Paryża członka swego, Franciszka Godlewskiego. Nieszczęście chciało, że dnia 21. grudnia policya francuska aresztowała Godlewskiego wraz z dwoma członkami komisyi: Ćwierciakiewiczem i Milowiczem, zabrała znajdujące się przy nich papiery, przez co ich akcya została skompromitowaną. (Obszerniej o tej sprawie pisałem w II. tomie). Smutny ten wypadek musiał spowodować zwłokę w dostawieniu zakupionej broni do kraju.

Miesiąc grudzień był bardzo ciężkim dla Komitetu: pracował

on z wielkiem natężeniem, to też i okoliczności były bardzo naprężone i wymagały usilnej pracy, żeby im podołać. Jak już powiedziałem, pobór i ewentualność wybuchu powstania wbrew zamierzonym planom, jak miecz Damoklesa, ciężyły na umysłach. Jakkolwiek Komitet miał w składzie swoim bardzo zdolnego wojskowego Zygmunta Padlewskiego, chciał jednak zasięgnąć zdania i innych wojskowych, z którymi był już przedtem w stosunkach i uważał ich za przyszłych naczelników wojska. Zawezwał więc ich do Warszawy, a mianowicie: Maryana Langiewicza, b. oficera artyleryi pruskiej, profesora b. szkoły w Cuneo i członka Komisyi broni w Paryżu; Zygmunta Miłkowskiego, oficera z wojny węgierskiej; Edmunda Różyckiego, syna pułkownika z r. 1831 Karola Różyckiego, a pułkownika sztabu generalnego moskiewskiego; Zygmunta Sierakowskiego, kapitana tegoż sztabu; Lewandowskiego, oficera z wojny węgierskiej i Czapskiego oficera z powstania poznańskiego r. 1848.

Oficerowie ci stawili się na wezwanie Komitetu, lecz nie razem i nie jednocześnie, i dlatego gremialnych narad nie było.

Termin powstania był głównym przedmiotem narad. Komitet każdemu z nich przedstawił rzeczywisty stan organizacyi, prawie zupełny brak przygotowań, a szczególniej brak broni. Przedstawił, że pracami przygotowawczemi tak kierował, żeby były skończone z wiosną roku przyszłego 1863; że zaszły jednak wypadki i okoliczności, które mogą stanąć w poprzek tym zamiarom i powstanie może wybuchnąć wbrew woli Komitetu. Że tak silny jest nacisk ze strony organizacyi, iż Komitetowi może braknąć mocy do powstrzymania go, i że dlatego musi być przygotowanym na wszelką ewentualność.

Wszyscy oficerowie oświadczali zgodnie, że Komitet powinien dołożyć wszelkich starań, ażeby powstania nie rozpoczynać prędzej, jak na wiosnę w miesiącu maju. Zygmunt Padlewski, który jeździł w tym czasie do Petersburga dla porozumienia się z tamtejszą organizacyą wojskową, objaśniał, że i tam powiedziano mu, iż skonsolidowanie się organizacyi i potrzebne przygotowania mogą być dopiero na wiosnę skończone i radzili, żeby w Królestwie prędzej nie zaczynać. Co do siebie Padlewski zaznaczył, że on zgadza się ze zdaniami wszystkich oficerów, ma jednak przekonanie, że jest wszelkie prawdopodobieństwo, iż z chwilą poboru nie będzie można powstania powstrzymać i że na tę ewentualność trzeba być przygotowanym; że jego projekt, który Komitet w zasadzie przyjął,

skierowania dyslokacyi do pewnych punktów zbornych, pozwoli opanować ruch i opór zbrojny, jaki z powodu poboru mógłby wyniknąć.

Zygmunt Miłkowski, jakkolwiek silnie obstawał za terminem wiosennym, jednakże podzielał zapatrywanie Padlewskiego o możliwości zbrojnego oporu popisowych, który należałoby starać się opanować. W takim razie Miłkowski radził, żeby wywołać powstanie uliczne w Warszawie; naturalnie upaść ono musi, ale tym sposobem, dyslokowani popisowi będą mieli czas do zgromadzenia się na punktach zbornych i rozpoczęcia powstania na prowincyi.

Sierakowski w przekonaniu, że Komitet zdoła powstrzymać ruch aż do wiosny radził, żeby organizacyi nadać już teraz charakter wojskowy, gromadzić wszelkiego rodzaju zapasy wojenne, oddać zupełną władzę naczelnikom wojskowym, cały zabór moskiewski podzielić na 5 okręgów wojennych, t. j. w Królestwie; lewy brzeg Wisły: województwa Sandomierskie, Kaliskie; prawy brzeg Wisły: województwa Lubelskie i Podlaskie; trzeci okręg stanowiłyby województwa: Płockie i Augustowskie; wreszcie osobne komendy stanowiłyby: Litwa i Ruś. Zarazem zaproponował, żeby komendę lewego brzegu Wisły oddać Langiewiczowi, prawego brzegu Lewandowskiemu, Płockie i Augustowskie Czapskiemu, Litwę jemu, Sierakowskiemu, a Ruś Miłkowskiemu i Różyckiemu.

Komitet, który wyrażone przez wojskowych zapatrywania przyjął do wiadomości, po przeprowadzonych w łonie swojem dyskusyach, zgodził się jednogłośnie, że staraniem Komitetu będzie termin powstania ustalić na wiosnę. Co do ewentualnego wybuchu powstania w czasie poboru, zdania były podzielone: Giller i Marczewski tej ewentualności zupełnie nie przypuszczali; sądzili, że dyslokacya zmniejszy klęskę poboru, a organizacya będzie posłuszną Komitetowi. Padlewski, Godlewski, Szwarce i Awejde, który jako zastępca zasiadał w Komitecie, a po wyjeździe Godlewskiego do Paryża zajął po nim miejsce, uważali powstanie równoczesne z poborem jako możliwe złe, ale konieczne i że bezwarunkowo z tą ewentualnością trzeba się liczyć i do niej przygotować. Komitet przyjął projekt Sierakowskiego: podziału zaboru moskiewskiego na 5 okręgów wojennych i zaproponowanych dla niej naczelników. Litwie i Rusi pozostawiono zupełną swobodę w ustanowieniu terminu powstania. Wreszcie Awejde opowiedział szczegóły aresztowania Szwarcego (podałem je w II. tomie). Aresztowanie to i wypadki w Paryżu spowodowały zmianę w składzie Komitetu.

Skończywszy tak swoje „resumé“ ostatnich prac Komitetu i stanu spraw organizacyjnych, najpierwsze zadanie nowo zorganizowanego Komitetu, które mu do rozważania przyjdzie, streścił w dwóch pytaniach: 1. Czy powstanie ma być ostatecznym celem? 2. Jaki ma być jego termin?

W tem miejscu Giller oświadczył, że jakkolwiek już w czasie dyskusyi w Komitecie o projekcie Padlewskiego, zgadzał się z nim w zasadzie, lecz ponieważ w tym projekcie jest wyraźne dążenie do powstania, którego możliwości zupełnie nie widzi i nie uznaje, więc w pracach dalszych, już tak wprost do powstania zmierzających udziału brać nie może, że wówczas jeszcze zgłosił zamiar wystąpienia z Komitetu; tę rezygnacyę i teraz podtrzymuje, a to tem więcej, że osoba jego jest już zanadto ujawniona w organizacyi i że jest już zmęczony.

Oświadczenie to Gillera zrobiło na wszystkich nadzwyczaj nieprzyjemne wrażenie, a szczególnie na nas trzech, cośmy świeżo do owych prac przystąpili. Tego stanowiska Gillera zrozumieć nie mogliśmy, gdyż on od samego prawie początku utworzenia się Komitetu w nim pracując, jest solidarnie odpowiedzialnym za wszystkie jego czynności. On pisał program, on nawet był pierwszą osobą i kierującym pracami Komitetu, mającemi za cel ostateczne zbrojne powstanie. Dziś, gdy Komitet, wprawdzie w odmiennym składzie, w myśl tych wszystkich poprzednich prac do stanowczego działania musiał przystąpić, Giller od solidarności się usuwał. Wszyscyśmy jednozgodnie podobne uwagi wypowiedzieli. Giller jednak od rezygnacyi swojej odstąpić nie chciał, na razie jednak zebrania nie opuścił.

Po tym nieprzyjemnym epizodzie Awejde zawiadomił, że przed samemi świętami przybyli do Warszawy wszyscy komisarze województw, dla uzyskania od Komitetu stanowczego i kategorycznego oświadczenia się w kwestyi powstania; ponieważ trafili na chwilę pewnego rozprzężenia w Komitecie, wywołanego ostatnimi tak ważnymi wypadkami, jak aresztowania w Paryżu i w Warszawie (Szwarcego) i spowodowanej przez nie reorganizacyi Komitetu, musimy teraz zastanowić się, co mamy komisarzom odpowiedzieć.

Pytanie to zaskoczyło nas zupełnie niespodziewanie, szczególniej nas trzech nowicyuszów. Byliśmy wprost skonsternowani, ale i na samym wnioskodawcy i na Padlewskim i Gillerze widać było pewne zakłopotanie.

Ja pierwszy zabrałem głos, oświadczając, że my w tej chwili,

gdy nie mogliśmy sami sobie wyrobić jasnego poglądu o sytuacyi, tak kategorycznej odpowiedzi dać nie możemy. Że ostatecznym celem jest powstanie zbrojne, to nie może ulegać żadnej wątpliwości, gdyż było i jest jasno wypowiedziane w programie i Komitet wszystkiemi swemi czynnościami, szczególniej końcowemi i uchwałą grudniową, o której Awejde mówił, stwierdził, że powstanie jest tym ostatecznym celem. To nie może ulegać żadnej wątpliwości i o tem można zapewnić komisarzy, że Komitet od tego ani na chwilę nie odstąpił, że do tego dąży. My należąc do organizacyi, z tym programem Komitetu byliśmy solidarni, a wstępując teraz do Komitetu, zupełnie jesteśmy z tem zgodni. Zupełnie inna sprawa jest z terminem powstania, tem więcej, że termin ten według tego, co nam Awejde przedstawił, związany jest także z poborem. Powstanie ma być obliczone i przygotowane na dobry skutek, a ze sprawozdania Awejdego wyraźnie widać, że w chwili obecnej przygotowania są więcej niż niezupełne, bo zaledwie się zaczynają, więc termin powstania jest zależnym od chwili dokończenia tych przygotowań, a to przy bardzo usilnej pracy i pomyślnych okolicznościach może być dopiero z wiosną uskutecznione. Co do kwestyi łączenia terminu powstania z poborem, to sprawa jest bardzo doniosłą, tak ważną i tak zawiłą, tak głęboko sięgającą w duszę, jest od tak wielu okoliczności zależną, że ja w tej chwili nie mogę absolutnie żadnego powziąć postanowienia. Zdaniem mojem, Komitet co do samego powstania może komisarzy upewnić, że od programu ani na chwilę nie odstąpił, że do niego się przygotowuje i spodziewa się, że przygotowania te o tyle z przyszłą wiosną będą uskutecznione, że w owej porze będzie mógł termin powstania oznaczyć. Co do poboru i powstania z nim złączonego, to sądzę, że odpowiedź Komitetu powinna być w tej chwili raczej dyplomatyczną, niż kategoryczną. Należy komisarzy zapewnić, że Komitet nad sprawą czuwa, przypomnieć im wszystko, co dotychczas przedsięwzięto, powołać się na rozporządzenia wydane w sprawie dyslokacyi, wezwać ich do jak najpilniejszego tych rozporządzeń wykonania, do rozumnego raczej wstrzymania zapału, aniżeli jego podsycania, wskazując im całe niebezpieczeństwo z niewczesnego porywu i ujawnienia się organizacyi wypłynąć mogące.

Majkowski zupełnie się zgadzał z moim poglądem i wnioskiem. Ks. Mikoszewski mówił o konieczności powstania, zapewniał, że powstanie z chwilą poboru może wybuchnąć i że trzeba być na to przygotowanym, w rezultacie jednak zgodził się z moim wnioskiem.

Padlewski i Awejde oświadczyli, że już w Komitecie w grudniu wypowiedzieli zdanie, że staraniem Komitetu powinno być przygotowanie powstania na wiosnę, że jednak przypuszczali możliwość powstania przy poborze, że uważali tę możliwość za złą, ale konieczną. Zgadzali się jednak z tem, że w tej chwili komisarzom można dać tylko taką odpowiedź, jaką ja proponowałem.

Giller milczał.

Na tem obrady dnia tego skończyły się. Na następne posiedzenie mieliśmy się zebrać dnia 2. stycznia w mieszkaniu ks. Mikoszewskiego.

Odpowiedź komisarzom mieli udzielić w imieniu Komitetu Padlewski i Awejde.

Późna już była godzina, gdyśmy się rozeszli. Żona moja wyszła była z domu, nie chcąc nam przeszkadzać, mieszkanie mieliśmy szczupłe i tak rozłożone, że nie było osobnego pokoju. Poszedłem więc zaraz po żonę do jej rodziców. Celu zebrania żona nie znała. Ponieważ jednak, jak to już zaznaczyłem, postanowień moich nie ukrywałem, bo znałem doskonale jej pojęcia, zgodne zresztą z moiemi, wróciwszy więc do domu, zawiadomiłem żonę, że wstąpiłem do Komitetu Centralnego w zastępstwie brata. Wiadomość tę przyjęła z zupełnym spokojem i ze zupełnem uznaniem, żem dał pierwszeństwo przed sobą bratu, i to z tych samych powodów, które i mną kierowały. O szczegóły się nie dopytywała, bo rozumiała doskonale, że te nie są moją wyłączną własnością.

Odpowiedź na pytania, postawione przez Awejdę, na które mieliśmy odpowiedzieć, zajęła zupełnie mój umysł. Brat mój tego samego dnia, 29. stycznia, wyjechał z powrotem do Kielc. Musiałem sam przetrawić wszystkie kwestye i wątpliwości, z pozostawionemi pytaniami złączone. O ogólnej sytuacyi coś nie coś rozmawialiśmy z bratem, ale gruntownie, szczególniej co do sprawy poboru i możliwego powstania, nie rozbieraliśmy. Brat mój był zdania, że sprawa ta jest bardzo ważna, że wymaga głębokiego zastanowienia, bo istotnie, o ile on jako naczelnik województwa wie, to opór popisowych jest bardzo możliwy i że starcie zbrojne może wybuchnąć. Ja, jako skromny pionek w organizacyi, panującego w niej usposobienia znać nie mogłem. Wiedziałem jednak, stykając się z należącymi do mojej dziesiątki, że była silna wiara w to, że Komitet do poboru nie dopuści.

Odpowiedź na pierwsze pytanie nie była trudna. Cel organizacyi, to jest zbrojne powstanie, musiał być dopełniany.

Co do poboru rozumiałem, że Komitet doskonale wiedział, iż niema zupełnie możności przeszkodzić mu, a może go tylko utrudnić, ograniczyć i że środki do tego wyczerpał. Ostatnim środkiem i pozornie najskuteczniejszym miała być Gillerowska dyslokacya; pozornie — bo w ten sposób tylko część popisowych mogła uniknąć poboru, a reszta musiała pójść w sołdaty i tak nawet obliczono. Ale ci pozostali, czy dadzą się wziąć dobrowolnie? czy nie stawią rozpaczliwego oporu i nie chwycą za broń, jaka jest pod ręką? czy ci dyslokowani potrafią zupełnie go uniknąć? czy ścigani zdołają się wymknąć? Tak, czasowo; prędzej czy później Moskale potrafią wyłapać wszystkich: a prócz nich będą prześladować i więzić tych, co im dawali przytułek i schronienie. I tak nie tylko, że prawie wszyscy poborowi mogą być wzięci, a w dodatku karani za uchylanie się od poboru, ale bardzo znaczna przytem liczba osób podlegnie ciężkiej odpowiedzialności więzienia, zesłania na Sybir. Tak mi się przedstawiała dyslokacya Gillera. Takie następstwa zdawał się przewidywać Padlewski i dlatego proponował formowanie obozów. Teoretycznie projekt zdawał się dobry, ale tylko ze względu na przyszłe powstanie, bo faktycznie nie zapobiegał tym wszystkim niebezpieczeństwom, wynikającym z dyslokacyi. Budził przytem poważne wątpliwości: Czy to stopniowe posuwanie się dyslokowanych ku miejscom zborów będzie się mogło dokonywać bez przeszkód? czy Moskale nie spostrzegą tego ruchu i nie będą się starać wstrzymać go? czy dyslokowani, napadani przez Moskali nie będą się bronić? czy niezorganizowani wojskowo potrafią się obronić? czy opór ten zbrojny, samą siłą faktu nie przemieni się w powstanie? A to powstanie, niezorganizowane, ba, nawet zupełnie luźne, nie przewidziane naprzód, osłabione odrazu przez ubytek tych, którzy w poprzednich starciach bezładnych ulegną, i albo w tych starciach zginą lub dostaną się w ręce Moskali; więc, czy to powstanie już w samym początku zdemoralizowane, nie sprowadzi ciężkiego pogromu i nie zdemoralizuje całego narodu? A dalej nasuwało mi się pytanie: Jeżeli Komitet przekonał się, że niema dość siły, ani środków, aby nie dopuścić do poboru i przedsiębrał tylko środki paljatywne, żeby go utrudnić, zmniejszyć jego grozę; czy znajdzie siłę, żeby wstrzymać ów możliwy, samorzutny ruch zbrojny po poborze?

Takie myśli, pytania, wątpliwości opanowały mój umysł. Łamałem się z niemi i nie mogłem znaleźć zadowalającej odpowiedzi. Przyszedłem jednak do przekonania, że tych wszystkich okolicz-

ności nie można ani lekceważyć, ani pomijać, że to są ewentualności poważne, na które trzeba być przygotowanym. I w tem byłem zgodny z zapatrywaniami Padlewskiego, Awejdego i innych byłych członków Komitetu. Takiego zdania byli i wojskowi, bo jakkolwiek radzili, że należy dołożyć wszelkich starań, żeby wybuch powstania odłożyć do wiosny, to jednak radzili także, żeby już teraz przeprowadzić organizacyę wojskową. W tej myśli i Padlewski projektował formowanie obozów.

Dnia 2. stycznia, jak było postanowione, Komitet zebrał się w mieszkaniu ks. Mikoszewskiego. Obecni byli wszyscy z wyjątkiem Gillera, który wyraźnie nieobecnością swoją potwierdzał swoje wystąpienie.

Padlewski przedstawił Komitetowi Stefana Bobrowskiego, który wczoraj przyjechał z Paryża.

Muszę tu nadmienić, że Komitet nie miał stałego przewodniczącego. Wszyscy byli równi, a na każdem posiedzeniu Komitet powoływał jednego z członków do przewodnictwa. Padlewski przedewszystkiem zdał sprawę z powierzonej mu misyi: dania odpowiedzi komisarzom. Odpowiedź Komitetu przyjęta była ze spokojem. Na natarczywe domagania się Leona Frankowskiego, komisarza lubelskiego: co Komitet zamierza zrobić z poborem i czy zamierza dać hasło do powstania, Padlewski odpowiedział, że nad sprawą tą Komitet się zastanawia, że sprawa jest więcej, niż pierwszorzędnej wagi i że trzeba wiele rozwagi, żeby powziąć uchwałę. To uspokoiło Frankowskiego, który odgrażał się, że sam na własną rękę rozpocznie powstanie.

Następnie Bobrowski zdał sprawę ze swej podróży i wrażeń zebranych. Potwierdził wiadomość o aresztowaniu członków Komisyi broni i Godlewskiego; mówił, że zdaje się, iż policya francuska działała w porozumieniu z Budbergiem, moskiewskim ambasadorem; że zabrano znajdujące się przy nich papiery, ale ich samych wkrótce wypuszczono. Zapewnił, że broń zakupiona nie jest zupełnie zagrożona, że skompromitowane zostały drogi, któremi broń miała być do kraju dostawiona, że czujność została obudzoną i że Komisya musi opracować inny plan dostawy.

Z Langiewiczem widział się przed odjazdem i ten jest gotów przybyć do Warszawy na każde wezwanie; że generał Wysocki i inni emigranci są nieprzychylni myśli powstania w tej chwili, gdyż uważają ją za nieodpowiednią. Z jednej strony uważają, że stan polityczny Europy jest zupełnie pokojowy, a zatem nie daje rękojmi

pomocy ze strony mocarstw, a szczególniej Francyi, która w tej chwili stara się zbliżyć do Rosyi, czego dowodem jest aresztowanie agentów Komitetu. Z drugiej strony sądzą, że czujność Rosyi przez dwuletnie wyraźne dążenie do powstania, jest zaostrzona, a organizacya nie posiada dostatecznych sił i środków, by stawić czoło przygotowanemu do walki nieprzyjacielowi i że powstanie może być odrazu zgniecione. Radzą nie przeszkadzać poborowi, a powstanie na późniejszy czas odłożyć. Tyle co do zagranicy.

Dalej Bobrowski zawiadomił, że Komitet ziem ruskich oddaje się w zupełności naczelnej władzy Komitetu Centralnego, zastrzegając dla siebie jedynie oznaczenie terminu powstania, gdyż organizacya jest jeszcze na Rusi bardzo słaba.

Wreszcie oświadczył, że swoją osobę oddaje zupełnie Komitetowi do rozporządzenia, że gotów jest, gdyby tego Komitet zażądał, pozostać w Warszawie.

Komitet całe sprawozdanie Bobrowskiego przyjął do wiadomości, a co do jego osoby, wyraził życzenie, by pozostał w Warszawie, bo być może nawet, że go powoła do swego składu w miejsce Gillera, który z Komitetu wystąpił. Bobrowski zgodził się na to życzenie z całą gotowością i chciałby przedtem obeznać się z sytuacyą na miejscu.

Komitet zaraz do tego życzenia się zastosował i zawezwał Awejdego, żeby cały stan sprawy Bobrowskiemu przedstawił.

Temu też przedmiotowi poświęcono dalsze obrady. Było to streszczeniem sprawozdania, które Awejde dał na pierwszem pełnem posiedzeniu Komitetu.

Dyskusyę nad sprawą powstania i poboru, którą zamierzaliśmy na tem posiedzeniu przeprowadzić, odłożyliśmy do dnia następnego.

Nazajutrz więc, dnia 3. stycznia, zebraliśmy się znowu, zdaje mi się, w mieszkaniu ks. Mikoszewskiego. Byli obecni: Padlewski, Awejde, Majkowski, ks. Mikoszewski, ja; przybył Bobrowski, a przybył też i Giller.

Przystąpiliśmy bezzwłocznie do roztrząsania pytań, postawionych nam przez Awejdego na pierwszem informacyjnem zebraniu.

Na pytanie 1.: czy powstanie jest celem ostatecznym? odpowiedzieliśmy twierdząco, bez żadnej prawie dyskusyi, gdyż powstanie zbrojne było celem organizacyi od samego początku jej zawiązania. Giller nie głosował.

Następnie przystępując do terminu powstania, nie pamiętam, na czyj wniosek, uznaliśmy, że: jakkolwiek pragnieniem naszem

jest, żebyśmy mogli termin powstania oznaczyć w warunkach i okolicznościach prawdopodobnej możliwości jego powodzenia i, że taki termin mógłby najwcześniej być oznaczonym na wiosnę, to jednak ze względu na ewentualność mającego nastąpić poboru i na jego możliwe następstwa, musimy przedewszystkiem rozpatrzyć te okoliczności i dyskusyę w tym kierunku przeprowadzić.

Pierwszy zabrał głos Bobrowski *).

Nie mogę naturalnie przytoczyć dosłownie jego przemówienia, mówił jednak w duchu i toku myśli, jakie podaję. Przemówienie to spisałem sobie jeszcze w roku 1864 w Paryżu, a więc za świeżej bardzo pamięci.

Zastanowiwszy się nad tem wszystkiem, co mu wczoraj przedstawiono, przyszedł do przekonania, że sytuacya, spowodowana zapowiedzianym poborem, jest bardzo poważną. Uważa on pobór jako siłę wyższą, mogącą stanowczo wpłynąć na dalszy ciąg prac, na przyszłość organizacyi, może przyśpieszyć chwilę powstania, a nawet wywołać go wbrew woli kierowników. Uważa, że dyslokacya w pierwszym swoim etapie sprawi, że Moskale w pierwszej chwili poboru wezmą część tylko popisowych. Ma jednak przekonanie, że rząd na tem się nie zatrzyma, że będzie dalej dyslokowanych ścigał. Jeżeli w pierwszej chwili bronić się nie będą mogli, bo będą odosobnieni, to za to w następującym etapie dyslokacyi, gdy posuwając się ku miejscom zborów, będą gromadzić się w większe liczby, mogą stawiać opór zbrojny, który wobec wysokiego naprężenia i rozgorączkowania ludności może doprowadzić do wybuchu powstania. Powstanie takie, nie mając charakteru rzeczywistego narodowego zbrojnego ruchu dla odzyskania niepodległości, pozbawione tego hasła, będzie zawsze tylko demonstracyą zbrojną przeciw poborowi i, zanim wiosna przyjdzie, będzie zupełnie zgnębione, a kraj bez żadnej nawet moralnej korzyści będzie wystawiony na największe klęski. Moskale zabiorą nie tylko rekruta,

*) Stefan Bobrowski, młody człowiek, lat 25 do 26, postaci zewnętrznej niepozornej: wzrostu małego, szatyn, o twarzy pociągłej, rysów wyrazistych; usta wąskie, jakby zaciśnięte, ocienione niewielkim wąsem, czoło wysokie, oczy piwne, zakryte okularami, gdyż wzrok miał tak krótki, że o parę kroków nie poznawał najlepiej mu nawet znanych osób. Umysł miał niepospolity, wielkich zdolności, bystry, szybko się oryentujący; pełen inicyatywy, gdy raz co postanowił, to z niezłomną wolą spełniał. Konspirator zawołany, nie znający niebezpieczeństwa, a gdy je widział, z tem większą energią i wytrwałością szedł przeciw niemu, a w pracy nieznużony. W opowiadaniu dalszem znajdziemy go i poznamy bliżej przy tej pracy. Zginął z morderczej ręki.

ale i bardzo wiele innej młodzieży ponadto, oprócz tych, którzy w tych dorywczych bojach zginąć mogą.

Wobec takiego położenia, i tych nie tylko możliwych, ale prawie pewnych ewentualności, Komitet powinien sobie kwestyę jasno postawić, wszystko przewidzieć i tak się przygotować, żeby mógł być panem sytuacyi, nie zaś, by wypadki uprzedziły jego postanowienie i nim kierowały. Dalej Bobrowski uważał, że pobór zawsze był uważany przez ludność za klęskę i zawsze, choćby najsłabsze, wywoływał w umysłach wstrząśnienia. Pobór dzisiejszy, noszący wyraźnie charakter proskrypcyi, wymierzonej przeciwko organizacyi, wobec nadzwyczajnego rozgorączkowania, w jakiem się kraj cały znajduje, musi w ludności popisowej, należącej do organizacyi lub nienależącej, wywołać opór silny, musi wywołać wstrząśnienie, które łatwo zamienić się może, jeżeli nie w samo powstanie, to co najmniej w opór zbrojny, graniczący z powstaniem. Sytuacyę pogarsza i zaostrza owo zapewnienie rzucone na kraj przez Komitet, że rekruta wziąść nie pozwoli. Krok ten był nieopatrzny, ale zawsze to się stało i z tem Komitet koniecznie liczyć się musi. Wbrew temu zapewnieniu pobór się odbędzie; Moskale rekruta wezmą — więc całe zaufanie i cały wpływ, jaki Komitet nie tylko w organizacyi, ale w całym kraju posiadał, jeżeli nie zaginie zupełnie, to będzie przynajmniej mocno podkopanym.

Jakiż więc pożytek — mówił Bobrowski — będzie z owej dwuletniej pracy i przygotowań? jeżeli w chwili tak ważnej dla narodu, w chwili, w której tenże ma być pozbawionym najżywotniejszej części swojej, będzie pozbawionym środków, obrony, kierownictwa, będzie zdanym na łaskę i niełaskę nieprzyjaciela?

Dalej wyraził przekonanie Bobrowski, że Komitet cząstkowemi, zbrojnemi wystąpieniami będzie zmuszony do nakazania ogólnego ruchu, pomimo, że nie będzie do niego przygotowany. Jeżeliby Komitet tego nie zrobił, to materyalnie i moralnie naraziłby kraj na największe klęski. Materyalnie, bo nieprzyjaciel nietylko, że wybierze żądaną ilość rekruta, ale zdwoi lub potroi ją wzięciem tych wszystkich, którzy pomogą do stawienia oporu i tych jeszcze, których drogą śledztwa wykryje, jako do konspiracyi należących. Zada narodowi klęskę moralną, bo zabije w nim ducha, zabije wiarę w możliwość wszelkiej wyzwoleńczej pracy na przyszłość, zabije ideę takiej organizacyi, do jakiej dziś naród doszedł. Komitet, który się nazwał Rządem Narodowym i jako taki rząd działał, uwydatnił charakter organizacyi, jako będącej zespoleniem sił żywot-

nych narodu w celu obrony swych praw, pomimo i poza rządem najezdniczym. W tym charakterze organizacya rozwinęła się, dosięgła rozmiarów bezprzykładnych, zyskała uznanie i współdziałanie wszystkich ludzi gorąco czujących, zdobyła posłuszeństwo i władzę i wpływ w całym narodzie. Dozwolić więc, żeby nieprzyjaciel całą organizacyę i to wszystko rozbił, i to takim podstępem, jak pobór, bez stawienia mu oporu poważnego, byłoby jeżeli nie lekkomyślną zdradą sprawy narodowej, to w każdym razie zadaniem jej ciosu, który w samym początku jej rozwoju, zabiłby ją na duchu, myśli i tchnieniu.

Przeciwnie, jeżeli Komitet uczyniwszy wszystko, co tylko było w jego mocy dla uchronienia go od klęski poboru, chroniąc go od zabicia w nim ducha i wiary we własną siłę, stanie dziś mężnie na wysokości swego zadania, jeżeli chwilę poboru uzna za chwilę powstania, jeżeli ogłaszając się Rządem Narodowym powstańczym podniesie wysoko sztandar narodowy, ogłaszając uwłaszczenie włościan, ogłosi zarazem zasadę wolności i równości dla wszystkich bez względu na wyznanie i narodowość, to, chociażbyśmy ponieśli klęskę, chociażby powstanie upadło, to jednak nie zerwie się nić walki, nie zginie idea organizacyi narodowej dla samoobrony, dla odzyskania niepodległości. Prawa ogłoszone staną się podstawą przyszłych prac narodowych, czy w tej samej, czy w innej formie.

W konkluzyi Bobrowski wniósł, by Komitet chwilę poboru uznał za hasło do powstania i by natychmiast przystąpił do wszelkich możliwych przygotowań.

Przemówienie to Bobrowskiego, które trwało przeszło godzinę, a które podaję w obszernem streszczeniu na podstawie notatek spisanych jeszcze w roku 1864 w Paryżu, a więc za bardzo jeszcze świeżej pamięci, wypowiedziane z mocą i z niezbitem przekonaniem, zrobiło na nas głębokie wrażenie; znalazło oddźwięk w naszych umysłach i sercach, bo każdy z nas w głębi duszy miał zgodne z nim pojęcie położenia, nie każdy jednak miał może wolę i odwagę wypowiedzieć je tak otwarcie i z taką siłą.

Gdy Bobrowski skończył, zapadła cisza. Chwila była ważna i uroczysta. Każdy w głębi duszy ważył i badał własne poglądy, własne wątpliwości i przekonania. I jeżeli który z nas miał jeszcze wątpliwości, to przemówienie Stefana rozjaśniło je i usunęło.

Po pewnym czasie, gdy nikt głosu nie zabierał, przewodniczący poddał wniosek Bobrowskiego pod głosowanie:

Wszyscy podnieśliśmy ręce, mówiąc: zgadzamy się.

Giller wstał; stanowczo i uroczyście oświadczył, że głębokie przekonanie i sumienie nie pozwoliło mu zgodzić się z powziętą uchwałą: że uważa ją za wielką klęskę, że w dalszych pracach Komitetu udziału brać nie może i, że z Komitetu stanowczo występuje.

Deklaracyę Gillera przyjęliśmy milcząco. Bobrowskiego zaś przyjęliśmy jednocześnie na członka Komitetu. Oskara Awejde, który dotychczas w posiedzeniach brał udział tylko, jako informator przeszłości, uznaliśmy jako szóstego, stałego członka Komitetu.

Dalszy ciąg posiedzenia odroczyliśmy na popołudnie.

Na popołudniowem posiedzeniu, w myśl powziętej uchwały, zajęliśmy się co najpilniejszemi sprawami, odnośnie do możliwego powstania. Powiadam możliwego, gdyż gdyby rząd moskiewski odstąpił od zamiaru poboru, to i powstania by nie było. Terminu ścisłego oznaczyć też nie mogliśmy, bo ten od poboru był zależnym.

Dla powzięcia dokładnych wiadomości o zasobach broni w kraju postanowiliśmy okólnikiem zażądać od komisarzy wojewódzkich dokładnych raportów o ilości broni palnej, kos, prochu, ołowiu. Postanowiliśmy wezwać komisyę broni w Paryżu, by o ile możności przyśpieszyła przywóz zakupionej broni. Ustanowiliśmy naczelników wojskowych dla województwa Sandomierskiego: Maryana Langiewicza, dla Podlaskiego: Lewandowskiego i wezwaliśmy ich, by bezzwłocznie do Warszawy przybyli. Dla województwa Lubelskiego przeznaczyliśmy Czapskiego, lecz nie znaliśmy na razie miejsca jego pobytu. Padlewskiemu poleciliśmy wyszukanie oficerów dla innych województw z pomiędzy należących do związku wojskowego.

Na posiedzeniu dnia następnego, 4. stycznia, Padlewski zakomunikował Komitetowi pismo nadesłane z cytadeli przez Jarosława Dąbrowskiego, obejmujące myśl i wskazówki, odnoszące się do możliwego w razie powstania opanowania twierdzy Modlina *).

*) Na początku r. 1909 wyszedł w dodatku do „Słowa polskiego“, podany przez Stanisława Krzemińskiego „Pamiętnik Jana Majkowskiego, członka Komitetu Centralnego, a następnie komisarza nadzwyczajnego Rządu Narodowego w zaborze austryackim“. Autor pisał swój pamiętnik u schyłku życia, gdy mu już pamięć nie dopisywała, daty i wypadki przestawiał i mieszał, lub mylnie je podawał. Pisząc o swojem wejściu do Komitetu Centralnego, podaje czas, w październiku lub listopadzie r. 1862, powołując się przytem na mnie i Gillera. Rzeczywiście wszedł razem ze mną do Komitetu, ale dopiero w ostatnich dniach grudnia, jak to wyżej opisałem; powiada, że projekt zajęcia Modlina otrzymał Komitet

Wiemy już z poprzedniego opowiadania (tom II.), że Jarosław Dąbrowski, jako członek Komitetu Centralnego, został dnia 13. sierpnia r. z. aresztowany i osadzony w cytadeli. Dąbrowski potrafił zawiązać stosunki z miastem; w jaki sposób, niewiadomo.

Myśl swoją, zajęcia Modlina, opierał Dąbrowski głównie na współudziale oficerów załogi, należących do związku wojskowego, z którymi organizacya pozostawała w stosunkach. Dąbrowski zalecał tedy, żeby w tej sprawie z tymi oficerami wejść w bliższe porozumienie. Do opanowania fortecy Dąbrowski radził użyć głównie młodzieży warszawskiej, do organizacyi należącej. Miałaby ona wyjść z Warszawy na parę dni przed terminem oznaczonym na zajęcie, a postępując dwiema kolumnami, zbliżałaby się pod fortecę. Załoga fortecy powinna być jednocześnie przez odpowiednie środki, których obmyślenie i przeprowadzenie byłoby zadaniem należących do spisku oficerów, pozostawiona w stanie niemożliwości bronienia się, tak, żeby forteca mogła być zajęta bez wystrzału i bez przelewu krwi.

Zajęcie Modlina byłoby dla powstania ważnym nabytkiem i podporą tak materyalną, jak i moralną. Materyalną, bo oddawało powstaniu ogromne zapasy materyału wojennego, składającego się z 70.000 sztuk karabinów, stu kilkudziesięciu armat polowych, do 40 tysięcy pudów prochu, bardzo znaczną ilość ładunków karabinowych i armatnich, płaszczów, tornister, butów i t. p. rekwizytów. Zajęcie twierdzy byłoby moralną podporą, bo nic tak nie przyczynia się do podniesienia ducha u walczących, a szczególniej u powstańców, jak powodzenie i zwycięstwo w pierwszej chwili, tem więcej, że odejmuje odwagę nieprzyjacielowi i demoralizuje go.

Podaję tu tylko szkic myśli Dąbrowskiego, bo cały projekt zawierał więcej szczegółów, a dołączone do niego argumentacye były tak silne i przekonywujące, że Komitet zgodził się na podany projekt w zasadzie, polecił Padlewskiemu, jako jedynemu w Komitecie wojskowemu, fachowo wykształconemu, rozpatrzeć się bliżej w całej sprawie i, zupełnie gotową, jak najprędzej przedłożyć do

---

w końcu grudnia, kiedy to stało się faktycznie 4-go stycznia; że dyskutując ten projekt, oznaczyliśmy dzień 23-go marca jako termin powstania, co jest zupełnie mylnem, bośmy stałego terminu nie oznaczali zupełnie. Najgorętszem naszem życzeniem było, by powstanie nastąpiło dopiero na wiosnę; ale uchwałą 3-go stycznia, jednogłośnie powziętą, uczyniliśmy ten termin zależnym od mającego nastąpić poboru, co spowodowało Gillera do stanowczego wystąpienia z Komitetu, a na jego miejsce wszedł Bobrowski, a nie ks. Mikoszewski, jak to podaje Majkowski, gdyż ten był już członkiem Komitetu i wszedł razem z nami dwoma. Giller w dyskusyi nad projektem modlińskim nie brał zupełnie udziału.

ostatecznej uchwały. Jednocześnie na wniosek Padlewskiego posłano rozkaz panu X. (nazwiska nie pamiętam), okręgowemu zakroczymskiemu w organizacyi, mieszkającemu w Nowem Mieście pod Modlinem, człowiekowi bardzo energicznemu i znającemu dokładnie stosunki miejscowe, by bezzwłocznie przybył do Warszawy. Temu panu X. miano poruczyć porozumienie się bliższe z oficerami załogi.

Posiedzenie to obfitowało w sensacyjne myśli i projekty. Zaledwie skończyliśmy omawiać sprawę Modlina, Stefan Bobrowski wystąpił z inną myślą, nadzwyczaj śmiałą i charakteryzującą jego entuzyastyczny i pełen zapału charakter. Uważał on, że opanowanie osoby W. Ks. Konstantego byłoby pierwszej wagi i doniosłości dla powstania. Opanowanie to mogłoby nastąpić przez śmiały, a gwałtowny napad na przejeżdżającego przez miasto z Belwederu, bo książę nie zawsze jeździł z eskortą. Był to tylko embryon myśli, bez żadnych szczegółów, powstały zdaje się pod wrażeniem projektu Dąbrowskiego. Rozumieliśmy wielką doniosłość tej myśli, ale rozumieliśmy zarazem i całą trudność wykonania zamiaru, jego ostatecznego celu i następstw. Napad mógłby być wykonany przez ludzi tak śmiałych i zdeterminowanych, jakimi byli niegdyś podchorążowie i akademicy w dniu 29. listopada 1831 r. Czy znaleźliby się tacy ochotnicy? A jaki cel porwania? co z porwanym zrobić? gdzie go umieścić, ukryć? Te pytania nasuwały się same przez się. Zostawiliśmy więc Bobrowskiemu całą swobodę obmyślenia planu. Bobrowskiego byliśmy pewni, bo znaliśmy jego niezłomną wolę, śmiałość i odwagę bezgraniczną. Ale czy znajdzie odpowiednich i równych sobie współdziałaczy? Godząc się w zasadzie, zastrzegliśmy jednak, że Bobrowski cały plan gruntownie obmyślany nam zakomunikuje, a w razie powodzenia działać będzie w duchu instrukcyi, które wspólnie ułożymy.

W dalszym ciągu opowiadania trudno mi będzie iść w porządku chronologicznym, dzień za dniem, bo już i w notatkach, przed czterdziestu latami sporządzonych, nie znajduję tego; ważniejsze tylko dni mam zaznaczone, a nawet w pamięci utrwalone.

Posiedzenia odbywaliśmy codziennie, zwykle rano, a często nawet i popołudniu. Miejsc zebrań nie pamiętam, zresztą jest to obojętne.

Wkrótce nadeszły od komisarzy województw żądane raporty. Co do liczby spiskowych zgadzały się one mniej więcej z obrazem podanym nam przez Awejdego na pierwszem posiedzeniu. Co do przygotowań: broni, amunicyi, to raporty komisarskie przedsta-

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Polit.-Wych.

wiały się w dosyć mizernym stanie, chociaż i ten stan, jak się później pokazało, był jeszcze gorszym, niż go raporty podawały. Kasy nie były też zbyt pełne. W odpowiedzi Komitet ponowił natychmiast rozkazy jak najenergiczniejszego zajęcia się zbieraniem broni palnej, kucia kos i przysposabiania amunicyi. Zalecił przytem ściąganie szybkie zaległego, całego lub częściowo tylko zapłaconego podatku narodowego, jeszcze w październiku roku zeszłego rozpisanego. Zapowiedział nadto przybycie do województw naczelników wojskowych, którzy obejmą kierunek dalszych przygotowań.

Niebawem też przybyli do Warszawy Langiewicz i Lewandowski. Obydwaj oświadczyli zupełną gotowość przyjęcia ofiarowanych im naczelnictw i złożyli przysięgę na wierność Ojczyźnie i posłuszeństwo Komitetowi Centralnemu.

Naturalnie Komitet objaśnił ich dokładnie o sytuacyi i o postanowieniu, że, jeżeli Moskale wykonają pobór, to Komitet da hasło do powstania, co obydwa uznali za jedynie godne narodu, bo danie rekruta bez oporu, musiałoby oddziałać demoralizująco, jeżeli nie zabijając, to podkopując w narodzie wiarę we własne siły.

Dalej Komitet polecił Padlewskiemu, żeby wspólnie z obydwoma naczelnikami odbył naradę, mającą na celu obranie pewnego kierunku działania, oraz wyznaczenie we wszystkich województwach miejsc strategicznych, które za ogniska ruchu powstańczego służyć miały.

Skutkiem tej narady postanowiono, że Warszawa miała się zachować zupełnie spokojnie, że wystąpi tylko w takim razie, gdyby się udał ów plan Bobrowskiego: pochwycenia W. Księcia. Odstąpiono od pierwotnego projektu Padlewskiego, formowania obozów z powodu niemożliwości oznaczenia terminu powstania i z obawy, żeby zbytnie nagromadzenie spiskowych w paru miejscach, nie obudziło czujności Moskali i nie doprowadziło do starć cząstkowych, w których atakowani musieliby uledz, coby w wysokim stopniu musiało oddziałać demoralizująco na sam fakt przyszłego powstania. Pozostawienie zgromadzonych w bezczynności tak samo byłoby demoralizujące. Zgodzono się więc ograniczyć dyslokacyę tylko do usunięcia spisowych z miejsc ich zamieszkania.

Młodzież warszawska miała być użyta przeważnie do wyprawy na Modlin i tę, przy wychodzeniu z miasta, należy w tę stronę kierować. Bezpośrednie dowództwo tej wyprawy Padlewski zachował dla siebie.

W województwie Sandomierskiem na główne ognisko wybrany

został Suchedniów i sąsiednie miasta Wąchock, Szydłowiec, Końskie i góry Świętokrzyskie; w Krakowskiem: Ojców, Olkusz, Miechów; w Podlaskiem: Łuków, Biała i Radzyń; w Lubelskiem: Lubartów, Końskawola, Puławy i Chełm; w Płockiem: Płock, Płońsk, Radzanów i puszcza Myszyniecka; w Mazowieckiem: Rawa, Kutno, Łęczyca i Piotrków; Augustowskie na razie zostawiono bez oznaczonych miejscowości.

Langiewiczowi oddano Sandomierskie, a Lewandowskiemu Podlaskie i polecono udać się tam natychmiast, starać się w jak najkrótszym czasie powierzone im województwa zlustrować pod względem wojskowym i z tego, co znajdą, zdać raport.

Naczelnikom wojskowym postanowił Komitet udzielić stopnia pułkowników i dać im prawo wyboru i mianowania wszystkich podkomendnych. Władza naczelnika wojskowego ograniczała się do ich specyalności. Władze cywilne województwa miały nieść wszelką pomoc wojskowości. Komisarze województw mieli zachować dotychczasowy charakter kontroli.

Dla województwa Płockiego Padlewski przedstawił na naczelnika wojskowego Błaszczyńskiego [10]), kapitana artyleryi moskiewskiej, któremu Komitet pozwolił przyjąć pseudonim „Bończa". Odebrano od niego przysięgę, udzielono mu instrukcyi w myśl narady i kazano wyjechać na miejsce.

Brakiem naczelników wojskowych dla innych województw bardzo się Komitet niepokoił. Major Czapski, którego miejsce pobytu odnaleziono a wezwanie do przyjazdu doń posłano, nie dawał żadnej odpowiedzi.

Z dawnych wojskowych, na emigracyi przebywających, nie przedstawiał się żaden kandydat w tej chwili. Emigracya wogóle, jakto już Bobrowski był zaznaczył, nie była przechylna zamiarowi powstania. Jak generał Wysocki, tak i wielu innych oświadczało gotowość swoją przybycia na pole walki, gdy ta wybuchnie, ale w przygotowaniach do niej nie chcieli brać udziału.

Dziwne zaiste, że emigracya, a mianowicie w jej łonie Towarzystwo demokratyczne, które od chwili swego założenia przez lat 30 peryodycznie usiłowało przez wysyłanie emisaryuszów pobudzać naród do ruchów, gdy ten był najmniej do nich usposobionym,

---

[10]) Błaszczyński Konrad (jak go określił Czubek w wyd. pam. Daniłowskiego, w wykazie osób). Według Kolumny (Pamiątka, cz. II. s. 14.) — Kazimierz, a pseudonim Bogdan Bończa. Stupnicki (Imionospis s. 9.) nazywa go Błeszyńskim. (P. R.).

w przygotowującem się dwuletnią już agitacyą powstaniu trzymało się odpornie. Wytłumaczyćby to można było jedynie tem, że obecnego ruchu emigracya zupełnie nie rozumiała: jako powstałego w kraju i zupełnie bez jej wpływu i udziału.

Rzeczywiście jak odmienną była natura obecnego poruszenia się narodu w całych jego masach, od wszystkich poprzednich cząstkowych ruchów po powstaniu 1831 r. za wpływem emigracyi wywoływanych! Zaczynały się one zwykle od spisków z inicyatywy emisaryuszów tworzących się, kończyły się też zwykle na wystąpieniu czynnem samych spiskowych, z wyjątkiem powstania poznańskiego w roku 1848. Obecny ruch, poczęty odrazu w masach narodu i prawie na całej ziemi polskiej, poczęty samodzielnie, jakby z potrzeby ducha narodu wynikający, skrystalizował się, że tak powiem, w organizacyi, która rozmiarami, jak widzieliśmy, przeszła wszystkie inne. Organizacya dzisiejsza nie potrzebowała tworzyć sobie programów politycznych i społecznych, bo program sam naród wypowiadał w każdej niemal chwili, w każdej manifestacyi. Teorye wygłaszane dotychczas przez Towarzystwo demokratyczne, które służyły za hasło ruchów poprzednich, przeniesione na grunt ojczysty, przystosowane do demokratycznych tradycyi polskich, weszły już w krew narodu i stały się czynem. W tem też zdaje się leży główna przyczyna, dlaczego emigracya nie mogła zrozumieć narodu w ostatnim jego ruchu, bo ten wzniósł się już wyżej ponad jej teorye.

Stronnictwo Mierosławskiego, które natchnienie, rozkazy i kierunek czerpało z Paryża, nie mogło znaleźć trwałego gruntu dla swoich robót, a zabiegi jego były tylko przyczyną nieporozumień i zawichrzeń, które i w przebiegu powstania samego, często nieraz uczuć się dały i często powstaniu więcej przynosiły szkody, niż najchytrzejsze usiłowania wrogów.

Starzy wojskowi z r. 1831, mając zbyt jeszcze żywo w pamięci upadek powstania listopadowego, pomimo regularnej armii, nie mogli uwierzyć w możliwość nowego powstania, przy zupełnym braku regularnego wojska.

Jedynem źródłem, z którego powstanie mogło czerpać w pierwszej chwili swoich naczelników wojskowych, była organizacya oficerów moskiewskich. Lecz i tu szło niesporo. Dotychczas, jak widzieliśmy, udało się Padlewskiemu jedynie wspomnianego Błaszczyńskiego zjednać dla powstania. I dla nich trzeba było zapasów broni, żołnierzy, a tego w pierwszej chwili mieć nie mogli.

Nie rozumieli oni tego, że naród, wybijający się z niewoli, u wroga broni szukać powinien!

Do chwili też wybuchu powstania Komitet nie był w możności wynalezienia więcej, niż trzech wyżej wspomnianych naczelników; czwartym miał być sam Zygmunt Padlewski, a ten miał specyalnie kierować wyprawą na Modlin.

Tymczasem od dłuższego już czasu zapowiadany dzień 14. stycznia, dzień fatalny poboru zbliżał się. Niepokój w Warszawie i w kraju wzrastał. Przez dyslokacyę, rzadko gdzie wykonaną w części, a nigdzie w zupełności, nie mógł naturalnie Komitet osiągnąć zamierzonego celu. W Warszawie niepokój był największy, szczególniej między młodzieżą do organizacyi należącą, bo tę proskrypcya Wielopolskiego dotknąć głównie zamierzała.

Projekt wyprawy na Modlin był na porządku dziennym. Wspomnianemu wyżej naczelnikowi okręgu Zakroczymskiego, dano polecenie porozumienia się z oficerami załogi Modlina, pozostawiając tymże zupełną swobodę wyboru środków, rozbrojenia załogi, a w każdym razie postawienie jej w niemożności bronienia się. Ze swej strony do zajęcia fortecy przeznaczał Komitet oddziały, złożone z młodzieży warszawskiej, poborowi podlegającej, która uprzedzając dzień poboru, miała wyjść z miasta. Nadto przeznaczał do tego spiskowych województwa Płockiego, z miejsc bliżej położonych, wzmocnionych spiskowymi z dalszych okolic, przez dyslokacyę poborowych zbliżonych.

Siła ogólna tych oddziałów miała wynosić do 4.000 ludzi, uzbrojonych przeważnie w kosy, z rzadką bronią palną, bo ta była zbyteczna, gdyż bramy fortecy miały być otwarte i załoga pochwycona w nieprzygotowaniu, a tylko w razie stawianego oporu, powinna była być wyciętą.

Według wiadomości odebranych od pełnomocnika Komitetu, oficerowie załogi okazali zupełną gotowość do wypełnienia całego planu; Komitet też musiał wykonać część planu na niego przypadającą.

Wyjeżdżający w Płockie Bończa, otrzymał odpowiednie instrukcye co do kierowania dyslokacyą, choć o samem przeznaczeniu jej miał być dopiero później powiadomionym.

Nadszedł teraz właśnie czas zarządzenia dyslokacyi spisowych warszawskich. Dla powzięcia postanowień w tym względzie, zebrał się Komitet dnia 12. stycznia.

O postanowieniu Komitetu, że pobór dokonany będzie hasłem

do powstania, organizacya warszawska dotąd nie wiedziała; wiedziała tylko, że poborowi usunięci być mają z Warszawy.

Teraz więc Komitet postanowił zwołać wydziałowych i okręgowych organizacyi miasta Warszawy w celu powiadomienia ich o tej uchwale i zarazem dla udzielenia im rozkazów i instrukcyi, co do sposobu wykonania dyslokacyi. Na zebranie to Komitet delegował Padlewskiego i mnie.

Poborowi mieli wyjść z Warszawy w dwóch kierunkach: z jednej strony za Wisłę, w okolice lasów Nieporęckich, skąd następnie posuwać się mieli lasami ku Modlinowi, z drugiej strony w okolice puszczy Kampinoskiej, skąd także mieli wziąć kierunek ku Wiśle i ku Modlinowi. Nad pierwszym oddziałem powierzono kierownictwo Robertowi Skowrońskiemu, byłemu porucznikowi ochotników Garibaldiego w wojnie włoskiej i dano mu do pomocy N. N., ucznia szkoły w Cuneo (nazwiska nie pamiętam). Nad drugim oddziałem miał objąć dowództwo Padlewski.

Z kolei należało Komitetowi zastanowić się nad urządzeniem władzy powstańczej na przypadek wzięcia Modlina, co miało być hasłem ogólnego powstania. Zgodzono się jednomyślnie, że Rząd ogłosi się w Modlinie i że składać się będzie z czterech osób: Zygmunta Padlewskiego, jako naczelnego wodza, Stefana Bobrowskiego, Oskara Awejdego i ks. Mikoszewskiego. Zaś dwaj członkowie Komitetu: Janowski i Majkowski mieli pójść pod rozkazami Zygmunta Padlewskiego, jako ludzie zaufania.

Na wieczór tego samego dnia Padlewski zwołał wydziałowych i okręgowych miasta do mieszkania jednego z okręgowych przy ulicy „Dziekanka“ na godzinę 6. wieczór, gdzie też udaliśmy się z Padlewskim, jako delegaci Komitetu Centralnego *).

Padlewski we właściwy sobie sposób krótko i jasno z wielkim zapałem przemówił do zebranych. Skreślił w krótkości przebieg okresu manifestacyi, zawiązanie się wyszłej z nich organizacyi ruchu z celem narodowego powstania, opartego na własnych siłach z wyznaniem zasad wolności i równości dla wszystkich bez wyjątku obywateli i bez względu na różnice wyznań i narodowości, oraz z nadaniem wolności ludowi wiejskiemu.

*) Autor „Dziejów r. 1863“ (Tom I. str. 23.) podaje, że zgromadzenie odbyło się dnia 11. stycznia, i że na niem znajdowali się komisarze i wojewódzcy, wezwani przez Komitet Centralny, że nawet przyjechał z Kijowa Jurjewicz. Twierdzenie to jest zupełnie błędne, bo na zebranie, które, jak powiedziałem, odbyło się d. 12. stycznia, wezwano tylko Organizacyę miejską. Zebrania się komisarzy i wojewódzkich oprócz tego, o którem mówiłem wyżej, w końcu grudnia 1862 r. nie było wcale w tym czasie.

Powołując się na cały przebieg prac Komitetu, znanych dobrze organizacyi wskazał, że Komitet w niczem nie odstąpił od programu i wytrwale do powstania zmierzał; że duchowieństwo zorganizowane oddało się pod rozkazy Komitetu, lecz że pomimo usilnych starań nie zdołał Komitet zjednać dla sprawy ogółu właścicieli ziemskich; że z tej przyczyny zasoby materyalne organizacyi, z niej samej jedynie czerpane, pomimo rozpisania podatku narodowego, były zawsze bardzo szczupłe.

Że zamierzając w zasadzie, na wiosnę dać hasło do powstania i przygotowując się do niego, wszystkie fundusze, jakie pozostały po pokryciu niezbędnych wydatków bieżących organizacyi, przeznaczył na zakupno broni i do tego zakupna ustanowił w Paryżu osobną Komisyę.

Opisał wypadek zaszły w Paryżu, który musi wpłynąć na opóźnienie tej dostawy. Przeszedł następnie do sprawy poboru. Stwierdził, że ten podstępny krok rządu moskiewskiego, nadający poborowi charakter proskrypcyi, musiał wpłynąć na kierunek prac Komitetu, że głęboko i gruntownie się nad tem zastanawiał, że przedsiębrał wszelkie możliwe i w jego mocy będące środki, żeby temu gwałtowi stawić czoło. Pomimo to jednak, że Komitet mógł utrudnić przeprowadzenie poboru, lecz wstrzymać go nie jest w możności, zarazem nie może dopuścić, by wróg najdzielniejszą część młodzieży do swego wojska zabrał.

Przez dopuszczenie bowiem do poboru, Komitet sprzeniewierzyłby się samej sprawie i własną ręką obaliłby ten sztandar, około którego dziś naród się skupił, że zabiłby w narodzie na zawsze ufność do pracy wewnętrznej tajemnej, która jest jedyną dla wybijającego się z niewoli narodu.

Jakkolwiek do tej chwili rząd moskiewski, party przez Wielopolskiego, na termin poboru się nie zdecydował, być może, że go odroczy, a może nawet, nie będąc pewny, czy mu się go uda łatwo przeprowadzić, od niego odstąpi, to jednakowoż Komitet, przewidując wszystko, postanowił ostatecznie usunąć spisowych z miejsc ich zamieszkania, by ich od poboru uchronić i zabezpieczyć.

Gdyby zaś rząd moskiewski postanowienie swoje wykonał, to Komitet po gruntownej rozwadze postanowił dać hasło do powstania.

Zawiadomienie to Padlewskiego zgromadzeni przyjęli z największem uniesieniem i zapałem.

Ja opuściłem zgromadzenie, a Padlewski pozostał jako na-

czelnik miasta z wydziałowymi dla dania im bliższych objaśnień i instrukcyi.

Następnego dnia, we wtorek 13. stycznia, otrzymał Komitet od organizacyi miejskiej zawiadomienie, że zaczynają ściągać z okolic Warszawy znaczne siły wojskowe moskiewskie. Gromadzenie to wojska zdawało się zapowiadać zbliżanie się poboru, który, według dawniejszych relacyi, miał się odbyć około 14. stycznia. Padlewski, który trochę później przybył na posiedzenie, zapewnił stanowczo i usilnie, że według informacyi jego z kół wojskowych, pobór przed dniem 27. stycznia się nie odbędzie i, że bardzo być może, że na znacznie późniejszy czas będzie odłożony. Następnie zdał sprawę z wczorajszego zgromadzenia organizacyi miejskiej i o rozkazach, jakie wydał wydziałowym dla wyprowadzienia z miasta młodzieży, poborem zagrożonej, a w szczególności tych, którzy na listach poborowych byli zamieszczeni. Ponieważ zaś nie wszystkie listy były wiadome, przeto wydał ogólne polecenie, by wszyscy młodzi ludzie, wieku popisowego, nie nocowali w miejscu zamieszkania. Wychodzenie młodzieży zacząć się ma dnia dzisiejszego wieczorem.

Pojedyncze partye wychodzić miały pod przewodnictwem dziesiętników i setników i dążyć w kierunku miejsc w danych im marszrutach wskazanych. Nadto dał rozkaz wywiezienia na punkta zborne kos i wszelkiej broni na składach się znajdującej i złożenia jej na lewym brzegu Wisły w lasach Kampinoskich w miejscowości X. (nazwy nie pamiętam) i na prawym brzegu Wisły w lasach Nieporęckich, w kolonii Karolina, za Serockiem.

Tego samego dnia nadeszły raporty od naczelników wojskowych województw, któreśmy na popołudniowem posiedzeniu rozpatrywali.

Raporta te wykazały wogóle mniejszą ilość zasobów, jak to podawali komisarze. Najbardziej rażącą różnicę znalazł pułkownik Langiewicz w województwie Sandomierskiem, gdyż wszelkie zasoby wynosiły zaledwie $^1/_{10}$ część tego, co komisarz Ignacy Maciejowski wykazał *).

I tak zamiast 2.000 kos, które miały być w Suchedniowie, znalazło się zaledwie 200 gotowych, osadzonych, w miejsce 4.000 rubli w kasie komisarskiej, Langiewicz znalazł tylko 400.

Pułkownik Bończa znalazł województwo Płockie w stanie wcale niezłym. Broń w całem województwie znajdująca się, oprócz

*) Ignacy Maciejowski, znany później powieściopisarz pod pseudonimem „Sewer“.

posiadanej przez właścicieli ziemskich, była policzoną i dla powstania zapewnioną. Użalał się tylko na ogromne zamieszanie w organizacyi, co przypisywał ciągłemu ścieraniu się z bardzo silną tamże organizacyą białą.

Bończa przewidywał, że z tego powodu może być wiele trudności, zapewniał jednak, że potrafi je prędko usunąć.

Pułkownik Lewandowski donosił, że w województwie Podlaskiem znalazł wszystko dobrze i w porządku prowadzone. Broń podobnie jak w Płockiem była do powstania zapewniona.

Dyslokacya we wszystkich tych województwach była dostatecznie przygotowaną, a szczególniej w województwie Podlaskiem, gdzie wojewódzkim był Bronisław Deskur, wielkiej gorliwości i poświęcenia, bogaty obywatel ziemski, a komisarzem Roman Rogiński, młodzieniec pełen energii [11]).

Wszyscy trzej naczelnicy zwracali uwagę, że organizacya bardzo mało przesiąkła do wiejskiego ludu, że w pierwszej chwili powstania na lud nie wiele liczyć będzie można; sądzili jednak, że ogłoszenie uwłaszczenia może korzystny wywrzeć wpływ.

Tego samego zaraz dnia Komitet wezwał Ignacego Maciejowskiego, komisarza sandomierskiego, by się wytłumaczył z fałszywego przedstawienia stanu województwa. Po paru dniach nadeszła odpowiedź, że on podał cyfry, które się spodziewał osiągnąć, i że dołoży wszelkich starań, by dojść do tego.

Rozchodząc się późno wieczór z posiedzenia, Komitet zalecił Padlewskiemu jak najpilniejszą czujność i dowiadywanie się co do postanowień o dniu poboru.

Dnia 14. stycznia, we środę, zebraliśmy się około 10. na posiedzenie jak zawsze u ks. Mikoszewskiego. Zajmowaliśmy się różnemi bieżącemi sprawami. Dopiero około południa przyszedł Padlewski z wiadomością, że do tej chwili żadnych jeszcze rozkazów co do poboru niema. Moskale jednak zgromadzili w mieście około 20.000 wojska. Na zebranie wieczorne o godzinie 7. Padlewski przyszedł znowu z tem samem zapewnieniem, że w sztabie generalnym, gdzie czerpał wiadomości, nie mają dotąd żadnych co do poboru rozkazów, a policya organizacyi, która, jak wiemy, miała we wszystkich komisaryatach moskiewskich moc swych agentów, zawiadomiła go, że i komisarze nie mają także żadnych poleceń. Zawiadomił także, że dnia poprzedniego wieczorem, oraz w ciągu dnia dzisiejszego

[11]) por. B. Deskur pamiętnik. (Wyd. mat. T. II. s. 119 i nn.). Działalność Lewandowskiego opisana w rozdziale IV. (l. c. s. 148. i nn.). (P. R.).

przeszło 1.000 spisowych opuściło Warszawę; że kilkuset wyjdzie jeszcze dziś wieczór, że nadto organizacya ma polecenie, żeby popisowych, do niej nie należących, zachęcała, by w nocy dzisiejszej, z 14. na 15., nie nocowali w domu.

Wygląd miasta w dniach 13. i 14. stycznia był bardzo poważny. Kościoły były zapełnione, szczególnie młodzieżą, która otaczała konfesyonały i przystępowała do „Stołu Pańskiego". Z całą gotowością i świadomością blizkiego boju z wrogiem, z całym spokojem i przekonaniem o obowiązku względem Ojczyzny opuszczali oni progi rodzinne... Gotowali się na śmierć, bo wszyscy wychodzili z tem świętem przekonaniem i postanowieniem, że muszą zwyciężyć lub zginąć. Czemuż w całej masie narodu nie było tej wiary, tego namaszczenia, miłości Ojczyzny i bohaterstwa? Cześć tobie polska młodzieży!

Rozeszliśmy się już po dziewiątej. Z placu Trzech Krzyży, gdzie mieszkał ks. Mikoszewski, miałem daleko do domu, więc wziąłem dorożkę. Cisza na mieście była zupełna, patrole zwykłe krążyły, nawet nie zauważyłem, by były liczniejsze. Wszystko zdawało się stwierdzać, że Padlewski miał słuszność, że poboru nie będzie, bo Moskale mieli ten zwyczaj, że nawet zwykłego poboru w dawnych czasach dokonywali w nocy — istnie po złodziejsku. Przybywszy do domu uspokoiłem żonę. Sam jednak czułem jakiś wewnętrzny niepokój i spać nie mogłem. Rozchodząc się, ułożyliśmy się, że zejdziemy się nazajutrz, dnia 15. stycznia o 8 rano u ks. Mikoszewskiego. Wstałem wcześnie i już o wpół do ósmej byłem na mieście. Niedaleko spotkałem dorożkę, więc pojechałem. Uderzył mnie odrazu jakiś ruch niezwykły o tej porze na ulicach i to już nie tylko samych mieszkańców, ale i wojskowych. Spotykałem bowiem liczne oddziały piechoty i silne patrole kozackie. Gromadki ludzi stawały na ulicach, żywo rozmawiając; często dochodził z tych gromadek płacz i narzekania.

Więc to pobór być musiał, przeszło mi przez myśl.

Punkt o 8. przyjechałem na miejsce. Zastałem już wszystkich kolegów z wyjątkiem Padlewskiego. Przyjęli mnie koledzy słowami: „Wiesz, pobór się odbył". Cała groza położenia stanęła nam przed oczami. Czuliśmy wszyscy, że chwila ta ma znaczenie dziejowe, że bierzemy na swe sumienie całą odpowiedzialność za przyszłość Ojczyzny. Popadliśmy w ciężką zadumę... Majkowski chodził nerwowo po pokoju... Żaden z nas nie mógł się odezwać... Myśli cisnęły się i kotłowały... Wszystkie wątpliwości, wszystkie motywa

za i przeciw, któreśmy rozważyli przy powzięciu uchwały dnia 3. stycznia stawały znowu w umysłach naszych. „Pobór dokonany ma być hasłem do powstania“. Stawało znowu jako pytanie jakby nierozstrzygnięte.

Niebawem nadszedł Padlewski. Wszyscy jednogłośnie zażądaliśmy kategorycznego wytłumaczenia się z danych nam jeszcze wczoraj wieczór zapewnień, że poboru nie będzie. Padlewski sam również przygnębiony, jak i my, z całą szczerością udzielił żądanych wyjaśnień. Wiadomości, których nam udzielał, czerpał z urzędowych moskiewskich źródeł, ze sztabu głównego, z przybocznego biura wojskowego namiestnika. Z tych samych źródeł dowiedział się dzisiaj, że ostateczne postanowienie zarządzenia poboru zapadło wskutek parcia i stanowczego żądania Wielopolskiego.

Po godzinie 10. w nocy margrabia przyjechał do zamku. Dopiero o godzinie w pół do pierwszej w nocy skończyła się konferencya w zamku. Rozesłano rozkazy do cyrkułów i dopiero między pierwszą i drugą w nocy pierwsze ofiary porwane zostały. Wziętych partyami pod silnym konwojem wojska, odprowadzono do cytadeli. Według wiadomości, jakie Padlewski zebrał rano, pokazało się, że organizacya prawie wcale nie była dotknięta dzięki zarządzonemu i wykonanemu wyprowadzeniu jej członków popisowych z miasta. Ogólna liczba pobranych nie dochodzi nawet tysiąca osób.

Znana nam gorliwość, uczciwość i patryotyzm Padlewskiego, nie dozwoliły nam wątpić o prawdziwości danych przez niego objaśnień *).

Nie pamiętam, kto pierwszy z nas zwrócił uwagę, że gdy pobór stał się faktem dokonanym, więc powinniśmy się zastanowić nad wykonaniem uchwały z dnia 3. stycznia: „że pobór dokonany ma być hasłem do powstania“. Na to Majkowski Jan, ogromnie zdenerwowany, oświadczył, że o powstaniu nie może być mowy, bo przez dokonany pobór wszystko jest stracone; że Komitet powinien teraz ratować honor swój i organizacyi, że jedyny ratunek w wystawieniu własnych piersi, że należy wydać proklamacyę, wzywającą lud warszawski do zgromadzenia się w kościele św. Krzyża i stamtąd, pokrzepieni nabożeństwem, ruszyć na czele tłumów do zamku i tam żądać od W. Księcia, by zwrócił pobranego rekruta; my sami

*) Autor „Dziejów roku 1863“, T I. str. 28., mylnie podaje dzień poboru na 15. stycznia, gdyż pobór odbył się w nocy z 14. na 15. Giller i Limanowski i inne źródła podają tę samą datę i ta jest autentyczna.

zapewne zginiemy, ale dla utrzymania nici do dalszej pracy powinniśmy wybrać pięciu ludzi zaufanych, jako następców i im przekazać wszystko, i niech pracują dalej nad przygotowaniem kraju do powstania *).

Projekt ten, który rzeczywiście mógł być tylko wynikiem najwyższego zdenerwowania, graniczącego z rozpaczą, wywołał zdumienie. Wielkiego trudu i długiego trzeba było czasu, żeby Majkowskiego uspokoić i przekonać go o szaleństwie i bezowocności jego myśli. Trudno mi dziś przytoczyć wszystkie argumenta, któremi staraliśmy się przekonać Majkowskiego; ale, o ile sobie przypominam, był ten, że wolno nam samym, jak jest nas pięciu, ofiarować się przez odsłonięcie naszych nazwisk; ale nie wolno nam prowadzić całej masy ludu na śmierć niechybną; stracilibyśmy nie tylko wziętego rekruta, ale i masy ludu, nie tylko zabitych, lecz i zabranych niedobitków; stracilibyśmy i tych wszystkich, którzy już wyszli z Warszawy i błąkają się po lasach. Nie tylko nie obronilibyśmy własnego honoru, ale przeciwnie, ściągnęlibyśmy na siebie przekleństwo całego narodu. Nie uratowalibyśmy nietylko honoru organizacyi, ale własną ręką zabilibyśmy wszelką myśl jakiejkolwiekbądź organizacyi w przyszłości. Podnieśliśmy te wszystkie argumenta, które nas skłoniły do powzięcia uchwały dnia 3. stycznia. Po długich usiłowaniach i wyczerpującej dyskusyi przekonaliśmy wreszcie Majkowskiego i cofnął swój wniosek.

Następnie jednogłośnie postanowiliśmy, że uchwałę z dnia 3. stycznia należy wykonać i dać hasło do powstania.

W uchwale tej brał udział ściśle sam Komitet bez jakiegokolwiekbądź udziału innych osób. Więc uchwałę powzięli: Zygmunt

*) Majkowski w swoim pamiętniku powiada, że proponował zabicie Wielopolskiego. Jak powiedziałem we wstępie, piszę dziś na podstawie notatek z r. 1864, i taką, jak ją podaję, była faktyczna treść myśli Majkowskiego. Tem, co pisze w pamiętniku, obniża tylko myśl własną, w której pomimo istotnego szaleństwa i bezowocności, było bardzo wiele bohaterstwa. Następnie Majkowski twierdzi, że po uchwale o powstaniu „z rozpaczą w sercu poddałem się większości, ale stanowczo oświadczyłem, że lubo nie usuwam się, jednak przestaję być członkiem Komitetu i jestem tylko jego sekretarzem“ i dalej powiada: „zresztą ja jeden tylko jestem bardzo interesowany, aby okoliczność powyższa nie została pominiętą“. Będąc z całym szacunkiem dla pamięci ś. p. Majkowskiego, muszę jednak stwierdzić, że i tu pamięć go zawiodła. W tym czasie w Komitecie nie było sekretarza i wszyscy członkowie byli sobie równi. Jak mówię w tekście, z wielkim trudem przyszło nam skłonić ś. p. Majkowskiego do cofnięcia swego wniosku, i że potem głosował razem z nami. Sekretarzem na własne żądanie został ś. p. Majkowski dopiero w kilkanaście dni potem, gdy Komitet, zmieniając się w Rząd Narodowy, miał wyjechać z Warszawy, co dalej opisywać mi przyjdzie.

Padlewski, Oskar Awejde, Stefan Bobrowski, ks. Mikoszewski, Jan Majkowski i Józef Janowski.

Postanowienie to powzięliśmy z zupełnem przekonaniem i najgłębszą wiarą, że spełniliśmy obowiązek nie tylko względem organizacyi, ale i względem całego narodu. Wiedzieliśmy doskonale, że powstanie w pierwszej chwili nie może być i nie będzie ogólnem, ale tylko częściowem; że, jeżeli nie wszędzie, to przynajmniej w wielu miejscach zwyciężymy; że z bronią w ręku prowadząc partyzantkę dociągniemy do wiosny, doczekamy się potrzebnej broni i zdołamy poruszyć masy do ogólnego powstania.

Jakkolwiek lud wiejski nie był dostatecznie przygotowany, ale mieliśmy silną wiarę, że idąc między lud wiejski z bronią w ręku i ogłoszonem prawem uwłaszczenia, zjednamy ten lud dla sprawy narodowej.

Mieliśmy również to głębokie przekonanie, że gdyby nawet powstanie zostało natychmiast stłumionem i pokonanem, to taki nieudały poryw mniejszą sprawi szkodę, przedewszystkiem moralną, niż, gdyby tak sromotny gwałt poboru dokonała Moskwa bez oporu i protestu.

Na potwierdzenie, że w odpowiedzi na gwałt poboru ogłaszając powstanie, spełniliśmy obowiązek względem narodu i odpowiedzieliśmy jego uczuciu, nie długo musieliśmy czekać. Już w samym dniu poboru i w następnych wynikło nadzwyczajne oburzenie ludności na Komitet, że dopuścił do poboru; poczytywano mu to za zdradę. Ale, gdy w parę dni potem, d. 19. stycznia, margrabia Wielopolski, chcąc pokryć porażkę rządu przy poborze, bo w całym kraju zaledwie około 4.000 osób zdołano pobrać, ogłosił w „Dzienniku powszechnym“ artykuł, pełen fałszu, złości, jadu i bezczelnego naigrawania się, w którym starał się wykazać: „że wszystko odbyło się w spokoju i porządku, że pobrani okazywali wiele dobrej woli i ochoty, a nawet radość, że będą służyć w wojsku, że nauczą się tam karności i porządku; że w cytadeli okazują jak najlepsze usposobienie“ — to wybuchło w Warszawie i w całym kraju jak największe oburzenie, a nawet najbardziej umiarkowani, najwięksi przeciwnicy powstania głośno wypowiadali przekonanie, że wraz z branką powinna się była krew przelać, gdyż utrata czci i honoru narodowego jest stokroć boleśniejszą, niż walka przegrana. Naród więc rozumiał doskonale, że powstanie musiało być pod grozą utraty czci i honoru następstwem koniecznem dokonanego poboru. Nawet Agaton Giller, tak zaciekły nieprzyjaciel powstania, potę-

Eigentum
Heeresarchiv - Zweigstelle
Danzig

piający go we wszystkich swoich pismach, tego objawu uczucia narodowego nie mógł przemilczeć.

Ja dziś, pisząc te słowa po kilkudziesięciu latach rozwagi i przetrawieniu wypadków, oddając tę uchwałę Komitetu Centralnego pod sąd historyi, czynię to z zupełnie czystem sumieniem, bo nie mogło być inaczej.

Następne prace Komitetu były wynikiem powziętej uchwały.

Pierwszą kwestyę stanowił termin powstania. Musiał on być jak najbliższym. Potrzeba było jednak kilka dni czasu, by odpowiednie rozkazy, wysłane do naczelnych władz organizacyi, tak cywilnych, jak i wojskowych, mogły ich dojść i by te mogły odpowiednie kroki przedsięwziąć do ich wykonania.

Z drugiej strony należało się spieszyć ze względu na pozycyę wszystkich dyzlokowanych, którzy, mając otworzyć pierwsze powstania zawiązki, pozostawieni w bezczynności, mogli łatwo paść ofiarą i dostać się bez oporu w ręce wrogów. Tydzień czasu okazał się jednak koniecznym. Po rozważeniu tych okoliczności Komitet postanowił noc z 22. na 23. stycznia oznaczyć jako termin powstania*).

---

*) Wszystko, co o tej uchwale podaje autor „Dziejów 1863 r.“, oraz Limanowski w „Historyi Powstania“, jest zupełnie błędne i nie wiem, na jakich źródłach opowiadania swoje opierali. Prawdopodobnie na relacyi Tomasza Burzyńskiego „Wspomnienia z czasów młodości“ Materyały do historyi powstania (IV. str. 93—224. P. R.). Źródło bardzo niedokładne, bo Burzyński nie lubi wogóle dat i tu więc mówiąc o zebraniu Rady miejskiej, nie podaje daty, ale to, co pisze, odnosić się może tylko do owego zebrania z d. 12. stycznia przed poborem, na którym był Padlewski ze mną; ja podałem treść przemówienia Padlewskiego.

Na zebraniu tem nie powzięto absolutnie żadnej uchwały o powstaniu a Padlewski podał tylko do wiadomości zgromadzonych, że Komitet uchwalił w zasadzie, że dokonanie poboru będzie hasłem do powstania, co zgromadzenie z zapałem do wiadomości przyjęło. Limanowski podaje mowę Padlewskiego, zaczerpniętą z „Głosu wolnego“, pisma wychodzącego w Londynie, mianowicie Nr. 101., 30. kwietnia 1866 r. Mowa ta jest kompozycyą tej gazety. W moich notatkach z r. 1866 mam zanotowane na marginesie po wyjściu tego dziennika, jako *memorandum*: „W odsyłaczu sprostować podaną przez „Głos wolny“ jakoby mowę Zygmunta Padlewskiego“. Więc już wtenczas w r. 1866., mając wszystko doskonale w pamięci, stwierdziłem sam dla siebie, że owa treść mowy była luźną i dowolną kompozycyą. Rzetelną treść mowy podałem wyżej w pamiętniku.

Uchwałę ostateczną o powstaniu, jak w tekscie powiedziałem, Komitet powziął d. 15. stycznia, t. j. zaraz rano po nocy poborowej, a nie 16-go ani 17-go, jak twierdzi autor „Dziejów r. 1863“ i to w zupełnie ścisłym swoim komplecie. Twierdzenie tego autora, jakoby Giller i Marczewski gwałtownie protestowali, jest nieprawdziwem, bo oni obaj nie byli już członkami Komitetu. Organizacya miasta Warszawy o postanowionem powstaniu nie była zupełnie uwiadomiona, a dowiedziała się o tem dopiero z manifestu.

Obaj historycy powstania, t. j. autor „Dziejów 1863 r.“ i Limanowski, mówią o wydanej rzekomo przez Komitet Centralny odezwie z d. 16-go stycznia, a Limanowski podaje ją nawet w całości, jako dokument, a obaj zaczerpnęli ją z dzieła: „La Pologne et la Diplomatie“. O odezwie tej ja zupełnie nie wiem, i twierdzę z całą stanowczością, że jest apokryfem, bo Komitet oprócz manifestu z d. 22-go stycznia żadnej innej odezwy przed wybuchem powstania nie wydawał.

Pracowaliśmy teraz intensywnie i gorączkowo po całych dniach, folgując zaledwie po parę godzin w południe dla posiłku. Ponieważ bezwzględna tajemnica musiała być utrzymaną, przeto sami własnoręcznie przygotowywaliśmy wszystko. Rozpisaliśmy więc w formie, wprzód już z naczelnikami wojennymi umówionej, zawiadomienia i rozkazy, i te tego samego dnia popołudniu Padlewski wysłał przez umyślnych kuryerów do wszystkich władz naczelnych organizacyi. Kuryerzy mieli polecenie jechać extrapocztą przez noc całą i doręczyć je osobiście wskazanym osobom.

Zajęliśmy się następnie omówieniem manifestu. Wytyczne myśli wskazywał nam program i cel samej organizacyi. Zasady tam wymienione były wyrazem żywej woli i przekonań całego narodu, uznawały one wszystkich obywateli bez różnicy stanów, wyznań i narodowości za wolnych i równych synów Polski, żądały wymierzenia sprawiedliwości ludowi wiejskiemu. W imię więc tych zasad, tylko podnosząc zarazem sztandar „za naszą i waszą wolność“, mogliśmy wezwać naród do broni. Zredagowanie manifestu w tym duchu Komitet powierzył Janowi Majkowskiemu z poleceniem wygotowania projektu na dzień następny.

W przewidywaniu, że Moskwa będzie usiłować chwytać pojedyńczo tych spisowych, których w chwili poboru w domach nie znalazła, Komitet polecił Padlewskiemu, jako naczelnikowi miasta, wyprowadzić ich wszystkich z miasta. W wykonaniu przedtem juz zapadłego postanowienia, którem przeznaczono Padlewskiego na naczelnika wojennego województwa Mazowieckiego, a bezpośrednio nad oddziałami, formującemi się ze spisowych dyzlokowanych i wyszłych z Warszawy w lasach kampinoskich, Komitet polecił mu, aby się przygotował do jak najspieszniejszego tamże wyjazdu.

Ponieważ przez wyjazd Padlewskiego opróżniło się jedno miejsce w Komitecie, gdyż Oskar Awejde zasiadał dotąd tylko w charakterze doradcy dla utrzymania związku z pracami przeszłemi, które on znał doskonale, Komitet, nie chcąc w tak ważnej chwili wprowadzać nikogo nowego i nieobznajomionego zupełnie ze sprawami, uznał Oskara Awejdego za stałego członka Komitetu, a nadto uchwalił, że naczelnikowstwo miasta Warszawy obejmie Stefan Bobrowski, na co się tenże zgodził.

Tego samego dnia, a może następnego, nie pamiętam dobrze, odebraliśmy raport od okręgowego, który miał powierzoną sobie sprawę twierdzy Modlina, donoszący, że, gdy układy i porozumiewania się z oficerami załogi były już prawie skończone i plan cały

prawie ułożony, zupełnie niespodzianie wszystko zostało przerwane. Nie wiadomo z jakich powodów, czy może Moskale wpadli na jakiś trop, czy wprost, mając w pamięci odkrytą w roku zeszłym zmowę oficerów, nie dowierzali im teraz, dość że nagle zmieniono znaczną część załogi i bardzo wielu oficerów tak Polaków, jak i Rosyan, z którymi teraz prowadzono układy, zabrano z Modlina i przeniesiono w inne miejsca.

Upadek tego projektu, który miał szanse powodzenia, spowodował zupełną zmianę w całem działaniu w tej stronie.

Dla zapewnienia powstaniu w pierwszej chwili powodzenia, należało koniecznie starać się o opanowanie jednego przynajmniej ważniejszego punktu w kraju. Jak już opisałem, organizacya była najsilniejszą w województwie Płockiem; zdawało się nam, że tam właśnie cel ten może być osiągniętym przez opanowanie Płocka, głównego miasta w województwie. Posłaliśmy też zaraz odpowiednie rozkazy pułkownikowi Bończy, by wszystkie siły powstańcze kierował na Płock i starał się odrazu opanować miasto. Oddziały zbierające się około Serocka, jak i te w lasach kampinoskich, przeznaczaliśmy na razie na powiększenie sił województwa Płockiego. Padlewski z oddziałami kampinoskimi miał więc teraz wspomagać Bończę.

Przedłożony przez Majkowskiego projekt manifestu, z drobiazgową prawie troskliwością przestudyowany i w ostatniej redakcyi jednomyślnie został przyjęty [12]).

Jakkolwiek manifest ten, tylokrotnie drukowany, jest doskonale znanym, to jednakże, jako najpierwszy i najważniejszy dokument, przez Komitet Centralny jako tymczasowy Rząd Narodowy wydany i ogłoszony, podaję tu w całości *).

---

[12]) Autorstwo projektu przyznał Janowi Majkowskiemu Agaton Giller. Hist. Powst. I². str. 312., a egzemplarz, pochodzący ze zbiorów T. Romanowicza, ma dopisek: „a naprawdę jego siostry Maryi Ilnickiej". (P. R.).

*) KOMITET CENTRALNY JAKO TYMCZASOWY RZĄD NARODOWY.

Nikczemny rząd najezdniczy rozwścieklony oporem męczonej przezeń ofiary, postanowił jej zadać cios stanowczy — porwać kilkadziesiąt tysięcy najdzielniejszych, najgorliwszych jej obrońców, oblec w nienawistny mundur moskiewski i pognać tysiące mil na wieczną nędzę i zatracenie. Polska nie chce, nie może poddać się bezopornie temu sromotnemu gwałtowi, pod karą hańby przed potomnością powinna stawić energiczny opór. Zastępy młodzieży walecznej, młodzieży poświęconej, ożywione gorącą miłością Ojczyzny, niezachwianą wiarą w sprawiedliwość i pomoc Boga, poprzysięgły zrzucić przeklęte jarzmo lub zgi-

W rozwinięciu dalszem manifestu powyższego, przedyskutowaliśmy sprawę uwłaszczenia ludu wiejskiego, a opracowanie odpowiednich dekretów, które miały być jednocześnie z manifestem, jako jego integralna część ogłoszone, powierzyliśmy Oskarowi Awejdemu.

Załatwianie powyższych spraw, a przytem i rozmaitych drobnych, zabrało nam całe dwa dni, 15. i 16. stycznia.

Dnia 17. stycznia Padlewski zakomunikował nam wiadomości, które odebrał od oddziałów, jakie wyszły z Warszawy w lasy kampinoskie i serockie. Znajdowały się one w przykrem położeniu; czuć się tam dawał dotkliwie brak ciepłego ubrania, żywności a przede-

---

nąć. Za nią więc Narodzie Polski, za nią! Po straszliwej hańbie niewoli, po niepojętych męczarniach ucisku, Centralny Narodowy Komitet obecnie jedyny legalny Rząd Twój Narodowy, wzywa Cię na pole walki już ostatniej, na pole chwały i zwycięztwa, które Ci da i przez imię Boga na Niebie dać przysięga, bo wie, że Ty, który wczoraj byłeś pokutnikiem i mścicielem, jutro musisz być i będziesz bohaterem i olbrzymem. Tak, Ty wolność Twoją, niepodległość Twoją, zdobędziesz wielkością takiego męztwa, świętością takich ofiar, jakich Lud żaden nie zapisał jeszcze na dziejowych kartach swoich. Powstającej Ojczyźnie Twojej dasz bez żalu, słabości i wahania wszystką krew, życie i mienie, jakich od Ciebie zapotrzebuje. W zamian K. C. N. przyrzeka Ci, że siły dzielności Twej nie zmarnieją, poświęcenia nie będą stracone, bo ster, który ujmuje, silną dzierżyć będzie ręką. Złamie wszystkie przeszkody, roztrąci wszelkie zapory, a każdą nieprzychylność dla świętej sprawy, nawet brak gorliwości, ścigać i karać będzie przed surowym, choć sprawiedliwym trybunałem obrażonej Ojczyzny. W pierwszym zaraz dniu jawnego wystąpienia, w pierwszej chwili rozpoczęcia świętej walki, K. C. N. ogłasza wszystkich synów Polski, bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnemi i równemi Obywatelami kraju. Ziemia, którą Lud rolniczy posiadał dotąd na prawach czynszu lub pańszczyzny, staje się od tej chwili bezwarunkową jego własnością, dziedzictwem wieczystem. Właściciele poszkodowani, wynagrodzeni będą z ogólnych funduszów Państwa. Wszyscy zaś komornicy i wyrobnicy, wstępujący w szeregi obrońców kraju, lub w razie zaszczytnej śmierci na polu chwały, rodziny ich otrzymają z dóbr Narodowych dział obronionej od wrogów ziemi. Do broni więc, Narodzie Polski, Litwy i Rusi, do broni! bo godzina wspólnego wyzwolenia już wybiła, stary miecz nasz wydobyty, święty sztandar Orła, Pogoni i Archanioła rozwinięty. — A teraz odzywamy się do Ciebie Narodzie Moskiewski: tradycyjnem hasłem naszem jest wolność i braterstwo Ludów, dla tego też przebaczamy Ci nawet mord naszej Ojczyzny, nawet krew Pragi i Oszmiany, gwałty ulic Warszawy i tortury lochów Cytadeli. Przebaczamy Ci, bo i Ty jesteś nędzny i mordowany, smutny i umęczony, trupy dzieci Twoich kołyszą się na szubienicach carskich, prorocy Twoi marzną na śniegach Sybiru. Ale jeżeli w tej stanowczej godzinie nie uczujesz w sobie zgryzoty za przeszłość, świętszych pragnień dla przyszłości, jeżeli w zapasach z nami dasz poparcie tyranowi, który zabija nas, a depcze po Tobie — biada Ci! bo w obliczu Boga i świata całego przeklniemy Cię na hańbę wiecznego poddaństwa i mękę wiecznej niewoli, i wyzwiemy na straszny bój zagłady, bój ostatni Europejskiej Cywilizacyi z dzikiem barbarzyństwem Azyi.

Warszawa, dnia 22 stycznia 1863 r. (L. S.)

[Oryg. na wyst. 1863 r. (Sala V. gabl. XXII.). Pieczęć tuszowa przedstawia Orła i Pogoń, na przepołowionej tarczy z koroną; napis otokowy: KOMITET CENTR: NARODOWY*]. (P. R.).

wszystkiem broni. Padlewski odebrawszy te wiadomości wczoraj wieczorem, zarządził zaraz jak najśpieszniejsze wysłanie wszelkich, jakie się znajdowały w miejscu zapasów i zobowiązał się dopilnować jak najtroskliwszego wypełnienia danych rozkazów. Nadto, ponieważ miejscowości te znajdowały się blizko Warszawy, nagromadzenie tak znacznej ilości ludzi mogło łatwo i prędko zwrócić uwagę Moskali. Szczęściem, że Moskwa miała widać wygórowane pojęcie o ich sile i nie znała ich rzeczywistej słabości, bo nie przedsiębrała przeciwko nim żadnego śmielszego działania, lecz ograniczyła się tylko na śledzeniu i, ściąganem z okolic wojskiem, starała się oddziały te otoczyć.

Gdy nadto według wiadomości, nadeszłych do Padlewskiego, spostrzegać się tam dawał upadek ducha, okazało się koniecznem jak najszybsze działanie.

Komitet, rozważywszy to wszystko, polecił Padlewskiemu, żeby dziś jeszcze, załatwiwszy wszystko, co potrzeba w Warszawie, wyjechał do Kampinosa. Żeby zwołał radę miasta, zawiadomił ją o swoim wyjeździe i przedstawił jej Stefana Bobrowskiego, jako naczelnika miasta.

Nadto Komitet polecił Józefowi Janowskiemu, żeby bezzwłocznie wyjechał do lasów serockich, a mianowicie do kolonii zwanej „Karolina“ [13]), gdzie znajduje się Robert Skowroński, oficer niegdyś partyzantów Garibaldiego, przeznaczony na dowódcę oddziałów serockich. Misya Janowskiego ograniczała się tylko do wręczenia Skowrońskiemu pieniędzy, map, wskazania dróg, któremi kierować się winien i wreszcie do starania się o podniesienie ducha przez powiadomienie, że w krótkim czasie cały kraj powstanie do walki z Moskwą.

Około godziny 3. popołudniu przyjechał do mnie jakiś młody człowiek z organizacyi wózkiem pocztowym, wręczył mi paszport na moje nazwisko wydany i pojechaliśmy razem. Na rogatce petersburskiej, na Pradze, młodzieniec ów wysiadł, parę słów zamienił z urzędnikiem rogatkowym i pojechaliśmy dalej. Konie były dobre, jechaliśmy szybko. W Jabłonnej na stacyi musieliśmy zmienić konie. Wysiedliśmy, udaliśmy się do pocztmistrza. Ten również, jak i urzędnik na rogatce należał do organizacyi. Towarzysz mój zamienił z nim hasło i zażądał jak najlepszych koni do osady „Karolina“. Zaledwieśmy skończyli, i tak bardzo krótką rozmowę, gdy

[13]) Karolina, os. pow. warszawski, gmina Nieporęt, par. Zegrze. (P. R.).

odezwała się trąbka pocztowa i przed stacyę zajechał również ekstrapocztą pułkownik dragonów z adjutantem i zażądał koni do Serocka. Zamieniliśmy tylko wejrzenia z pocztmistrzem. W parę minut zajechał dla nas wózek. Pułkownik chciał wsiadać, ale pocztmistrz objaśnił go, że ta poczta jest tych panów, którzy przed chwilą pierwej przyjechali. Pułkownik ustąpił, pojechaliśmy pierwsi. Gdyśmy ruszyli odezwałem się do pocztyliona: „Co koń wyskoczy, nie daj się dogonić i wyprzedzić Moskalom". — „Nie doczekanie ich! nie dam się, panie". Zatrąbił i pognaliśmy odrazu, jak wiatr. Nie ujechaliśmy jeszcze wiorsty, gdyśmy dostrzegli pułkownika, wyjeżdżającego ze stacyi. Mieliśmy konie rzeczywiście doskonałe; pocztylion trąbił i gnał. Gdyśmy wpadli na most na Narwi pod Zegrzem już ani śladu było pułkownika. Zaraz za mostem wjechaliśmy na lewo w lasy. Musieliśmy zwolnić jazdę, bo już i noc zapadała; droga w lesie była wązka, trzeba było jechać ostrożnie.

Osada „Karolina" leżała w głębi puszczy, blizko o milę odległa od mostu na Narwi. Około 7. stanęliśmy na miejscu. Było tam kilka zagród; wysiedliśmy przed chatą starszego gajowego, który, jak i wszyscy tam zamieszkali osadnicy, należał do organizacyi; bezpieczeństwo było zupełne. Tu mieszkał Robert Skowroński [14]); przedstawiłem mu się jako delegat Komitetu Centralnego dla zbadania jego położenia i udzielenia wskazówek dalszego działania. Skowroński miał zebranych około 200 ludzi, wyszłych z Warszawy, którzy byli rozlokowani po chatach. Położenie ich było przykre, gdyż posiadali zaledwie kilkanaście sztuk broni palnej, pojedynek i dubeltówek myśliwskich, pozbieranych od gajowych, kos miał dosyć, ale zaledwie 30 przekutych i osadzonych; kowala nie było w miejscu, więc nie można było ich przekuwać. Wysłuchawszy tego sprawozdania, które, przyznać muszę, zrobiło wrażenie przygnębiające, wręczyłem Skowrońskiemu 1000 rubli i dokładną dosyć mapę topograficzną. Opowiedziałem mu spotkanie się z owym pułkownikiem dragonów, który prawdopodobnie nie bez powodu ekstrapocztą dążył do Serocka. Skowroński odpowiedział, że ma wiadomość, że rzeczywiście w Serocku stoją dragoni. Słusznem więc mogło być przypuszczenie, że Moskale wiedzą o zgromadzeniu się ludzi w lesie i że będą chcieli ich atakować. Dlatego poleciłem Skowrońskiemu, żeby natychmiast wyruszył

[14]) Wychowanek (słuchacz) polskiej szkoły w Genui i Cuneo. Chołodecki. Ks. pam. str. 22. (według listy Zdanowicza); miał stopień kapitana. (l. c. str. 47.). (P. R.)

z „Karoliny“, kierując się ku Płońskowi, gdzie, według raportów władz organizacyi, powinien był znaleźć większą ilość broni, i gdzie dalsze rozkazy odbierze od pułkownika Bończy, naczelnika wojskowego województwa Płockiego. Zaleciłem mu, żeby maszerował dalej ostrożnie, trzymając się lasów, nie ujawniał swego pobytu. Nadto, stosownie do polecenia Komitetu, zawiadomiłem go, że za dni kilka w całym kraju ma wybuchnąć powstanie i, że tem więcej powinni się starać unikać wszelkiego spotkania z nieprzyjacielem. Kazałem mu następnie zgromadzić wszystkich ludzi na podwórzu.

Gdy to się stało i to dosyć prędko, wyszliśmy ze Skowrońskim. Noc była dosyć ciepła, ciszę przerywał tylko głuchy szmer puszczy. Na podwórku oświetlonem kilku smolnemi drzazgami stał oddział w szeregach, na cztery podzielony części, co świadczyło, że Skowroński zajmował się już uporządkowaniem. Jakkolwiek światło było słabe, mogłem dostrzedz pewne niezadowolenie w twarzach; powitanie moje przyjęto dosyć ponuro. Przemówiłem następnie, że Komitet, dowiedziawszy się o ich przykrem położeniu, przysłał mnie, by temu ile możności zaradzić. Że potrzebne fundusze wręczyłem naczelnikowi, że ten poprowadzi ich dalej do miejsca, gdzie znajdą odpowiednią broń. Starałem się ich przekonać, że powinni położenie, w jakiem się teraz znajdują, znieść cierpliwie, gdyż za dni kilka cały kraj podzieli ich trudy, biorąc za broń dla wywalczenia niepodległości Polski; zakończyłem okrzykiem: „Niech żyje Polska!“ Tym samym okrzykiem odpowiedziano mi. Skowroński natychmiast zakomenderował pochód. Każdy oddział dostał osobnego przewodnika, obznajomionego z miejscowością. Odprowadziłem cały oddział głęboko w las i tam pożegnałem. Już dobrze po północy wróciłem do domu.

Że przypuszczenia moje o grożącem oddziałowi niebezpieczeństwie od strony Serocka nie były płonne, pokazało się to zaraz dnia następnego. Rano dnia 18. stycznia oddział dragonów napadł na Karolinę, zrewidował całą osadę, nie szczędząc bicia i gwałtów, lecz nie mogli oni nic z mieszkańców wydobyć. Splądrowali tylko najbliższe części lasu, ale naturalnie bez skutku. Oddział, kierując się lasami, dotarł do Płońska już bardzo uszczuplony przez dezercyę mniej wytrzymałych; nie znalazł tam jednak dostatecznej ilości broni. Podzieleni na małe oddziały połączyli się z powstańcami, zbierającymi się w okolicach Płocka i wzięli udział w napadzie na to miasto w dniu powstania.

Dnia 18. stycznia zebraliśmy się rano u ks. Mikoszewskiego.

Przedewszystkiem zdałem sprawozdanie z mojej misyi, przedstawiając faktyczny stan oddziału i bardzo niekorzystne wrażenie, jakie odniosłem, zaznaczając, że, jeżeli Padlewski taki sam stan znalazł w Kampinosie, to okoliczność ta nie zbyt dobrze świadczy o działaniu organizacyi warszawskiej i nie może budzić wiary w powodzenie. Uwagi moje podzielił Komitet i polecił Bobrowskiemu, jako ówczesnemu naczelnikowi miasta, żeby sprawę zbadał i dołożył wszelkich starań, a co tylko jest jeszcze zapasów w mieście, do Kampinosa wyprawił. Od Padlewskiego nie otrzymaliśmy żadnych wiadomości.

Komitet odebrał raporta od naczelników wojskowych i od komisarzy województw, że rozkazy o powstaniu odebrali i że je wykonają. Pułkownik Langiewicz nadmienił przytem, że bez broni trudno jest robić powstanie. Komitet uchwalił odpowiedzieć pułkownikowi, że nikt lepiej od niego nie mógł wiedzieć o braku broni, że wiedząc o tem, nie powinien był przyjmować dowództwa, gdy zaś go przyjął, rozkaz wypełnić musi; a jako dowódca powstańczy powinien wiedzieć i rozumieć, że broń dla powstającego narodu jest w ręku nieprzyjaciela i że od niego zdobyć ją sobie powinien.

Oskar Awejde przedłożył projekt dekretów uwłaszczenia, które po przedyskutowaniu przyjęliśmy *).

---

*) Dekreta te brzmiały:
(Dekret I.)

CENTRALNY NARODOWY KOMITET

jako tymczasowy

RZĄD NARODOWY

zważywszy: że uwłaszczenie włościan, pomimo ogólnej chęci kraju, z powodu stawianych przez rząd najezdniczy przeszkód dotąd do skutku nie doszło; — obok tego,

zważywszy: że oddanie gospodarzom rolnym na własność gruntów, dotąd przez nich tytułem czynszów, pańszczyzny lub innych obowiązków posiadanych, zmniejsza mienie dotychczasowych właścicieli;

postanowił i stanowi:

Art. 1. Wszelka posiadłość ziemska jaką każdy gospodarz dotąd tytułem pańszczyzny, czynszu lub innym tytułem posiadał, wraz z należnemi do niej ogrodami, zabudowaniami mieszkalnemi i gospodarskiemi, tudzież prawami i przywilejami do niej przywiązanemi, — od daty niniejszego Dekretu staje się wyłączną i dziedziczną dotychczasowego posiadacza własnością, bez żadnych jakichkolwiekbądź obowiązków, danin, pańszczyzny lub czynszu, z warunkiem jedynie opłacania przypadających z niej podatków i odbywania należnej służby krajowej.

Art. 2. Dotychczasowi właściciele nadanych gospodarzom rolnych gruntów, otrzymają odpowiednią wartości tychże indemnizacyę z funduszów narodowych za pośrednictwem długu Państwa.

Art. 3. Zasady do oznaczenia wysokości szacunku ziemi, oraz rodzaj instytucyi kredytowej w osobnych dekretach wskazane będą.

Komitet uchwaliwszy już manifest i dekreta, które jednocześnie z chwilą wybuchu powstania mają być ogłoszone, musiał się zastanowić, w jakiej formie i pod jaką nazwą dokumenta te poda do publicznej wiadomości; jaki charakter i naturę mieć powinna władza powstańcza.

Dotychczas Komitet Centralny był władzą tajemną i jako taki występował i wszystkie swoje akta ogłaszał, a autentyczność tychże stwierdzał pieczęcią. Więc nastręczało się dalsze pytanie: „czy i jaki powinien być teraz ów widomy znak władzy?

Po przeprowadzonej dyskusyi, Komitet zgodził się jednogłośnie, że władza powstańcza musi pozostać tajemnicą aż do czasu, gdy powstanie nie opanuje jakiejś poważnej miejscowości, w której będzie się mógł osiedlić i ujawnić. Już w odezwie swojej z dnia 1.

Art. 4. Wszelkie ukazy, reskrypta, przez rząd najezdniczy w przedmiocie tak zwanych stosunków włościańskich wydane, znoszą się, a tem samem nikogo nie obowiązują.

Art. 5. Dekret niniejszy stosowany być winien tak do własności prywatnych, jako też i do własności rządowych, donacyjnych, kościelnych i wszelkich innych.

Art. 6. Ogłoszenie i wprowadzenie w wykonanie niniejszego Dekretu, Centralny Narodowy Komitet jako tymczasowy Rząd Narodowy, Naczelnikom wojskowym i wojewódzkim poleca.

Dan w Warszawie 22 Stycznia 1863 r.

(Dekret II.)

CENTRALNY NARODOWY KOMITET

jako tymczasowy

RZĄD NARODOWY

zważywszy: że zrzucenie obcego jarzma wymaga jak największej liczby walczących i nikt od pełnienia służby wojskowej wymówić się nie może;

zważywszy nadto: że każdy Obywatel z pracy rąk się utrzymujący, skoro pójdzie na wojnę, mieć winien zapewniony byt tak dla siebie jak i dla swej rodziny,

postanowił i stanowi:

Art. 1. Chałupnicy, Zagrodnicy, Komornicy, Parobcy i wogóle wszyscy Obywatele z zarobku jedynie utrzymanie mający, którzy powołani do broni, w szeregach wojska narodowego za Ojczyznę walczyć będą, otrzymają, a w razie ich śmierci, żony i dzieci, na własność po ukończeniu wojny z dóbr narodowych dział gruntu, najmniej mórg trzy przestrzeni zawierający.

Art. 2. Ogłoszenie i wprowadzenie w wykonanie niniejszego Dekretu Centralny Narodowy Komitet jako tymczasowy Rząd Narodowy, Naczelnikom wojskowym i wojewódzkim poleca.

Dan w Warszawie 22 Stycznia 1863 r. (L. S.)

[Według oryginału na wystawie r. 1863. (Sala IV. gablota 14). Oba dekrety na jednej karcie. Pieczęć tuszowa przedstawia na przepołowionej tarczy Orła i Pogoń z koroną. W otoku napis: KOMITET CENTR : NARODOWY*]. (P. R.)

września 1862 r.[15]) podał wyraźnie Komitet Centralny, że występuje i działa jako Rząd Narodowy, stojąc na czele organizacyi tajemnej, którą cały naród uznaje i popiera: więc i w chwili, gdy wzywa naród do powstania, musi ten sam charakter zachować i to nie tylko pod względem tajemnicy, ale i pod względem nazwy. Dlatego Komitet postanowił, że z chwilą wybuchu powstania zgodnie z uchwałą poprzednią przyjmie nazwę: „Centralny Narodowy Komitet jako tymczasowy Rząd Narodowy".

Sprawa pieczęci zajęła więcej czasu i wywołała dłuższą dyskusyę. Motywa, które w dyskusyi podnoszono dadzą się streścić następująco:

Dotychczasowa pieczęć Komitetu Centralnego, mająca tylko dwa herby Korony i Litwy, nie odpowiada i nie zgadza się z treścią manifestu, w którym jako główną i naczelną zasadę polityczną przyjęto równouprawnienie trzech narodowości Polskę składających t. j. Korony, Litwy i Rusi. W pieczęci zatem powinny być przedstawione godła tych trzech prowincyi.

Już w dyskusyi nad manifestem podniesiono odrębną narodowość Rusi politycznie jedną całość z Polską stanowiącą, że to należy jasno i stanowczo zaznaczyć. Że w ostatnich czasach ta odrębność narodowości Rusi ujawniła się w dwóch kierunkach: jako wroga jedności politycznej z Polską, i jako tej jedności zupełnie przychylną. Kierunek pierwszy objawił się w roku 1848 w Galicyi w obozie tak zwanym św. Jurskim. Powstał on tam pod wpływem działań i intryg moskiewskich z jednej strony i pod wpływem rządu austryackiego z drugiej, który ten ruch wyzyskał dla swoich celów wprowadzenia waśni narodowej i osłabienia ówczesnych politycznych działań i usiłowań polskich. Ś-to Jurcy nie uważali się za Rusinów, lecz za Moskali i jedność narodową i polityczną z Moskwą proklamowali.

W drugim kierunku odrębna narodowość Rusi ujawniła się przed kilku laty w Rusi do zaboru moskiewskiego należącej, a głównem ogniskiem tego ruchu był uniwersytet kijowski. Charakter tego ruchu był zupełnie przychylny jedności politycznej z Polską. Nie dążył on bynajmniej do zerwania unii, lecz chciał, by kilkunastomilionowy naród ruski, mówiący innym, choć bardzo zbliżonym do polskiego językiem, wyznającym inną religię a za Rzeczypospolitej rządzący się innemi prawami, miał i dziś uznany swój

[15]) Drukowana u Gillera. Hist. powst. nar. polsk. wyd. 2-gie. T. I. str. 309—312. (P. R.).

język i swój kościół. Żądania te uznać należy absolutnie za słuszne i niczem niezaprzeczone. Sprawa ta długo przedtem bywała przedmiotem gorących dyskusyi w kółkach młodzieży myślącej i pracującej dla Polski i jej przyszłości. W chwili więc podjęcia pracy dla przywrócenia Polsce niepodległości obowiązkiem jest, gdyby nawet Rusini żadnych żądań od siebie nie stawiali, z góry ich zapewnić, że język ich i religia będą uszanowane, zupełnie uznane i równouprawnione.

W ciągu dwóch lat ostatnich w wielu bardzo razach naród myśl tę i zasadę objawiał w manifestacyach, dopominających się jednych praw dla Korony, Litwy i Rusi. Komitet Centralny, pisząc swój program, żywą myśl narodu tylko w formy pisane ujął. Stawiając w manifeście równouprawnienie wyznań i narodowości i odzywając się do Polaków, Litwinów i Rusinów, wypowiedzieliśmy głośno myśl narodu. Myśl tę zatem należy uwydatnić i w godle powstańczem.

Myśli te głównie przedstawiał i popierał Stefan Bobrowski. Sam mieszkaniec Rusi i były student uniwersytetu kijowskiego znał dobrze tamtejsze stosunki, przekonania i żądania wykształconych i patryotycznych Rusinów.

Temi motywami powodowany Komitet uchwalił jednogłośnie, że na pieczęci mają być herby wszystkich trzech prowincyi Polskę składających, a mianowicie herb Korony w środku, Litwy z lewej a Archanioł Rusi z prawej strony. Nastręczyła się następnie kwestya na pozór może błaha, lecz w gruncie rzeczy poważna. Chodziło o to, pod jakiem godłem połączyć te herby.

Komitet, biorąc za cel wywalczenie niepodległości, nie chciał w niczem przesądzać formy rządu w przyszłości. Zasady stawiał republikańskie jako zgodne nie tylko ze swojem przekonaniem, ale bez zaprzeczenia i z przekonaniem większości narodu. Dla tej choćby tylko przyczyny korony, jako godła monarchizmu, przyjąć nie mógł. Korona dogadzając monarchistom, źle byłaby widzianą przez republikanów.

Ja podałem myśl połączenia wszystkich trzech herbów pod godłem krzyża. Myśl tę motywowałem mniej więcej tak: Polska w całym biegu swego historycznego rozwoju zawsze była państwem wybitnie chrześcijańskiem, rządziła się zawsze miłością i przez ten szczególny charakter swej polityki przyciągała do siebie inne narody. Równouprawnienie wszystkich wyznań, które powstanie ogłasza za akt swej wiary politycznej jest naturalnym wy-

pływem miłości chrześcijańskiej. Krzyż zatem, nie przesądzając w niczem formy rządu w przyszłości, nie obraża, ani też nie schlebia niczyim przekonaniom politycznym; stawia naród wybijający się na niepodległość na szerokiem polu moralnem, którego podstawami są: miłość, prawda i sprawiedliwość, a cechy te jak w przeszłości historycznej, tak i teraz i zawsze powinny odznaczać politykę polską. Godło krzyża nie może i nie powinno obrażać wcale uczuć religijnych Polaków niechrześcian, boć tylko jeden chrystyanizm, prawdziwie pojęty, każe w każdym człowieku uznać brata i każdemu przyznać wolność sumienia i wierzeń.

Po długiej dyskusyi myśl tę przyjął Komitet jednogłośnie.

Uchwalono dalej, że na pieczęci ma być napis:

„Wolność, Równość, Niepodległość“ i „Rok 1863“.

Przyjąłem na siebie wykonanie rysunku pieczęci i powierzyłem tę pracę koledze i przyjacielowi mojemu, architekcie Dobromirowi Krysińskiemu.

Sprawy powyższe zajęły nam bez mała dzień cały. Pozostała jeszcze do rozstrzygnięcia najważniejsza kwestya głównego naczelnictwa powstania.

Dla spóźnionej pory dyskusyę nad tym przedmiotem odroczyliśmy do dnia następnego.

Dnia tego, w poniedziałek 19. stycznia, przyjechał rano do Warszawy brat mój Władysław, naczelnik cywilny województwa Krakowskiego. Zagrożony aresztowaniem, musiał pod obcem nazwiskiem opuścić Kielce.

Ja wybierałem się już na posiedzenie Komitetu, a ponieważ brat mój Władysław, jak na początku niniejszego opowiadania nadmieniłem, był właściwie powołany na członka Komitetu, a ja tylko zastępczo pełniłem te obowiązki za niego, przeto wprowadziłem go na posiedzenie.

Na posiedzeniu tem dnia 19. stycznia byli więc obecni wszyscy członkowie Komitetu: Awejde, Bobrowski, Janowski Józef, Majkowski, ks. Mikoszewski i Janowski Władysław*). Tego ostatniego

*) Autor „Dziejów r. 1863“ Tom I. str. 35. twierdzi, że na tem posiedzeniu był obecnym także i Zygmunt Padlewski, co jest błędem i czemu jak najstanowczej zaprzeczam. Zygmunt Padlewski jeszcze d. 17. stycznia wyjechał do Kampinosa i tam pozostał. Autor „Dziejów“ twierdzenie swoje opiera na liście Stefana Bobrowskiego do Padlewskiego, pisanym w nocy z 13. na 14. marca 1863 r., znalezionym przy Padlewskim w chwili jego aresztowania, a ogłoszonym w „Zapiskach o polskich powstaniach“ Mikołaja Berga, Tom III. str. 93. tłumaczenie polskie — i cytuje z niego ustęp taki: „Myśmy z tobą, stłumiwszy nasze osobiste przekonania, a ty nawet i przeszłe zniewagi, przyjęliśmy wtedy, chcąc tryumfu prawdy rewolucyjnej, dyktaturę p. Ludwika“. Cytat ten nawet nie jest

Komitet, znając jego pełną energii i taktu działalność, bardzo serdecznie przyjął i do udziału w ważnej dyskusyi, którą miano przeprowadzić, zaprosił.

Władysław Janowski zdał przedewszystkiem sprawę ze stanu województwa. Od dłuższego już czasu Moskiewskie władze policyjno-wojskowe zwracały na jego działalność uwagę, teraz przez stosunki, jakie organizacya miała ze sztabem wojskowym w Kielcach został ostrzeżony, że będzie aresztowany i okoliczność ta zmusiła go do opuszczenia stanowiska w tak ważnej chwili. Jako zastępcę swego pozostawił na miejscu Apolinarego Kurowskiego, bardzo energicznego obywatela, który we wszystkie działania organizacyi jest wtajemniczony. Zrobił to zresztą w porozumieniu z komisarzem Wojciechem Biechońskim i prosił, by Komitet Kurowskiego na naczelnika województwa zamianował. Objaśnił, że dyzlokacyę wspólnie z komisarzem przeprowadzono, że do powstania w dniu oznaczonym się przygotowują, lecz czuć się daje wielki brak naczelnika wojskowego, co chwilę powstania może opóźnić; że broni jest mało i że zostawił Kurowskiemu parę tysięcy rubli. Chwilowo w samym początku Kurowski, nie będąc specyalistą wojskowym (powąchał jednak prochu w r. 1848 w Poznańskiem) może da sobie radę, ale Komitet powinien się starać o doświadczo-

ściśle prawdziwy, bo u Berga ustęp ten listu tak brzmi w polskiem tłumaczeniu: „My z Tobą, stłumiwszy wewnętrzne przekonania, a Ty nawet osobistą urazę, przyjęliśmy kiedyś, dla zapewnienia zwycięztwa zasadniczym prawdom rewolucyjnym dyktaturę p. Ludwika". Trzeba istotnie wielkiej lekkomyślności historycznej, żeby z tego ustępu wysnuć twierdzenie, że Padlewski był obecnym na posiedzeniu Komitetu, na którem dyskutowano i uchwalono dyktaturę Mierosławskiego. Bobrowski był bardzo blizkim i ścisłym przyjacielem Padlewskiego i zostawał z nim w ciągłej korespondencyi. Wymianą zdań o dyktaturze Mierosławskiego mogła być i była bezwątpienia listowną. Świadczą o tem zaraz pierwsze słowa listu, pisanego przez Stefana do Zygmunta w nocy z d. 6/7. marca (l. c. T. III. s. 38.): „Kochany mój i drogi Zygmuncie! Piszę do Ciebie spokojniej, niż kiedykolwiek od dnia nieszczęsnej branki i naszego przymusowego rozłączenia". Dla rozważnego i sumiennego historyka, ten ustęp byłby dostatecznym do sądzenia, że „po tym nieszczęsnym dniu branki" — obaj przyjaciele, już byli „przymusowo rozłączeni", a więc się ze sobą nie widywali. I rzeczywiście, branka była 15-go, a Padlewski 17-go Stycznia z Warszawy wyjechał, Ustęp ten nadto dowodzi, że Stefan nawet przed 6-ym Marca, pisywał do Zygmunta, bo w tym samym liście z d. 6-go Marca jest ustęp: „W poprzednim liście proponowałem Ci", więc były i poprzednie listy. U tego autora tak „Historyi dwóch lat", jak „Dziejów r. 1863", wiele jest twierdzeń, lekkomyślnie, a nawet rozmyślnie nie prawdziwych, jako fakta niezbite podawanych. Jeszcze tu dodam że: datę wyjazdu Padlewskiego do Kampinosa d. 17 Stycznia podają Giller i Limanowski i sam nawet autor „Dziejów", bo dalej na str. 37/8 powiada, że Padlewski d. 17-go stycznia wraz z Seyfridem wyjechał z Warszawy. (Przyborowski cytuje w tem miejscu Gillera, tymczasem Giller (T. I. str. 136) nic o towarzystwie Seyfrida nie opowiada P. R.) Towarzystwo jest nieprawdopodobnem, bo ten w lutym szedł do kraju wraz z Mierosławskim, a nazwiska tego oficera nigdy od Padlewskiego nie słyszałem.

nego naczelnika wojskowego z tego szczególnie względu, że województwo Krakowskie, jako graniczące z Galicyą i ze Szląskiem pruskim, może bardzo ważną rolę odegrać w powstaniu.

Komitet przyjął to sprawozdanie do wiadomości, zgodził się na mianowanie Kurowskiego naczelnikiem cywilnym województwa, upoważniając go tymczasowo i do zarządzeń wojskowych.

Przystąpiliśmy teraz do sprawy głównego naczelnictwa powstania.

Po krótkiej ogólnej dyskusyi zgodzono się jednomyślnie: że dla uniknięcia błędu, tak słusznie zarzucanego twórcom listopadowego powstania, rząd powstańczy z góry przed wybuchem powinien być oznaczony i uregulowany, że członkowie, Komitet obecnie składający, jako ludzie młodzi i zupełnie krajowi nieznani, rządem takim być nie mogą; że kierunek powstania należy powierzyć ludziom innym, w kraju znanym, takim mianowicie, którzyby rozumiejąc ważność powstania i oceniając należycie jego charakter, umieli go rozwinąć i pokierować, by pamiętając o tem, że naród powstający na własne jedynie siły liczyć może i powinien, potrafili skorzystać i używać wszystkich sił narodowych, by politycznie byli głębokimi i stanowczymi wyznawcami tych zasad, które organizacya ruchu od pierwszej chwili swego istnienia proklamowała a Komitet Centralny jako prawa zasadnicze przyszłego społecznego i politycznego życia w manifeście powstańczym streści i narodowi ogłosi.

W dalszej dyskusyi zabrał przedewszystkiem głos Władysław Janowski i przedstawił: że — zdaniem jego — najwłaściwszą formą rządu powstającego zbrojnie narodu, jest dyktatura jednej osoby, gdyż w takiej formie rząd odpowiedzieć może niezbędnym warunkom jedności siły i energii we wszystkich swoich czynnościach i postanowieniach; że, ponieważ powstanie zbrojne narodu jest dziełem wojennem, że wszystkie inne czynności muszą być tylko dla prowadzenia wojny pomocniczemi i muszą być wojskowej władzy podporządkowane, że zatem rząd dyktatoryalny złożony być powinien w ręce jednej osoby wojskowej.

Postawiwszy taką ogólną tezę, Władysław Janowski przedstawił dalej, że jedynym człowiekiem wojskowym, któryby zadaniu temu mógł odpowiedzieć i który posiada te wszystkie przymioty, których Komitet Centralny od kierującego powstaniem wymaga, jest znany w całej Polsce generał Ludwik Mierosławski. Przedstawił zatem do dyskusyi dwa wnioski zasadnicze: 1. Dyktaturę wojskową

w jednej osobie. 2. Oddanie tej dyktatury generałowi Ludwikowi Mierosławskiemu.

Wniosek pierwszy po krótkiej dyskusyi przyjęto większością głosów przeciwko Stefanowi Bobrowskiemu, który chciał rządu dyktatoryalnego, złożonego z kilku osób i naczelnego dowództwa wojskowego od tegoż rządu zależnego.

Drugi wniosek co do powierzenia dyktatury Mierosławskiemu wywołał gorącą, nawet gwałtowną i namiętną dyskusyę.

Bobrowski z całą gwałtownością, właściwą jego gorącemu temperamentowi i z wielką siłą głębokiego przekonania wystąpił pierwszy przeciwko wnioskowi. Przedstawiał Mierosławskiego jako człowieka nieudolnego, czego złożył dowody wszędzie, gdzie tylko działał, jako człowieka pysznego, zarozumiałego, krzykacza na wzór krzykaczy pseudo-rewolucyonistów francuskich, zaślepionego w doktrynerstwie francuskiej i staro-emigracyjnej demokracyi; jako człowieka, który zupełnie nie zna kraju i dzisiejszych jego dążeń i aspiracyi; wreszcie, jako człowieka najniepopularniejszego w całej Polsce, a mającego obyczaj otaczania się zwykle ludźmi podejrzanej opinii a nawet uczciwości, żądając tylko od nich niewolniczego schlebiania owej nieograniczonej jego pysze i wielkości.

Oskar Awejde przypominał całe zachowanie się Mierosławskiego i jego adherentów wobec Komitetu Centralnego i organizacyi narodowej, jego intrygi, kłótnie, szkalowania, usiłowania wprowadzenia rozdwojenia w organizacyi, podkopywanie zaufania i powagi Komitetu. W całem postępowaniu Mierosławskiego widział chęć zadowolenia swojej pychy i żądzy sławy.

Majkowski Jan występował jako gorący zwolennik; wierzył w zupełną szczerość jego przekonań demokratycznych, w jego zdolności wojskowe, siłę i energię i z całą siłą popierał wniosek.

Ks. Mikoszewski podobne Majkowskiemu zajął stanowisko i w oddaniu dyktatury Mierosławskiemu widział jedyny sposób rozwiązania postawionej kwestyi dyktatury wojskowej.

Ja przyznałem słuszność przytoczonym przez Awejdę faktom odnośnie do zachowania się Mierosławskiego, a raczej jego adherentów wobec Komitetu i organizacyi, ale przypisywałem to nie tyle samemu generałowi, ile ludziom, którymi się otaczał bez żadnego wyboru, a których przytem niewłaściwie używał i w tem zapatrywaniu zgadzałem się z Bobrowskim. Co do wojskowych przymiotów Mierosławskiego sądziłem na podstawie tak niedawnych jeszcze jego działań, że nie można mu odmówić ani zdolności, ani pa-

tryotyzmu. Sądziłem, że jeżeli rząd powstańczy ma być skupionym w ręku wojskowej osobistości, to jedynym człowiekiem, któremu taką władzę z całem zaufaniem można powierzyć, jest generał Mierosławski.

Każdy z nas tak jasno i stanowczo zapatrywania swoje przedstawił, że już z samej dyskusyi widać było, że wniosek drugi Władysława Janowskiego, pozyskał większość i to nawet stanowczą, bo Oskar Awejde przychylił się także do zapatrywań większości *). Po zapadłej uchwale, Bobrowski raz jeszcze z całą siłą powtórzył swoje zarzuty i oświadczył, że ma tak głębokie przekonanie o szkodliwości wyboru dla całej sprawy, że nie może brać odpowiedzialności za następstwa i występuje z Komitetu.

Niestety, niedługo czekać miałem na sposobność osobistego zetknięcia się z Mierosławskim i zgodzenia się z zapatrywaniami Bobrowskiego, i dziś przyznać muszę że Bobrowski miał zupełną słuszność. Wybór Mierosławskiego był nietylko błędem, ale był wprost fatalnym i rzeczywiście dla powstania nadzwyczaj szkodliwym.

I to nie dlatego, by mu brakowało zdolności wojskowych, ale dla jego warcholskiego charakteru, dla jego nieokiełzanej pychy i manii wielkości, które tłumiły w nim nietylko jego zdolności, ale wszystkie szlachetne uczucia, miłość Ojczyzny, ofiary, poświęcenia, bo on nad to wszystko stawiał własną osobę.

Uchwaliwszy zasadę wojskowej dyktatury (co było także błędem), należało wybrać osobę. A czyż był kto inny w tej chwili? Ze wszystkich starych generałów 1831 r. żadnego nie można było na to stanowisko powołać, bo żaden z nich by go nie przyjął, gdyż oni wszyscy nie pojmowali, żeby bez armii regularnej można było rozpoczynać wojnę z nieprzyjacielem, który taką armię posiadał; nie rozumieli zupełnie tego ruchu narodowego, którego wyrazem było powstanie; nie wierzyli w siły narodu bez pomocy obcej, bez interwencyi zbrojnej i dyplomatycznej, że opierając się tylko na własnych siłach, na ogólnem poświęceniu i ofierze, można było

*) Daniłowski Wł. Pamiętnik. Wszystko, co w R. XIX. wypisuje o swoim udziale w tej dyskusyi, jest absolutną bajką, bo nie był jeszcze w Komitecie, a zatem nie mógł być obecnym. Jest to prosta chwalba, którą Daniłowski chce nadać sobie wielkie znaczenie. Powiada, że po uchwale powołania na dyktatora Mierosławskiego, wystąpił z Komitetu, a na jego miejsce wszedł Bobrowski, co jest nieprawdą, bo Bobrowski od 3. stycznia był członkiem Komitetu, a Daniłowski dopiero 21. stycznia wszedł z wyraźnem przeznaczeniem na członka Komisyi wykonawczej, która dopiero po wyjeździe z Warszawy właściwych członków Komitetu zaczęła urzędować.

myśleć o odzyskaniu niepodległości. Zdawało się, że jeden tylko Mierosławski zrozumieć to jest zdolny i niewątpliwie to rozumiał, lecz fatalne cechy jego charakteru, których nie znaliśmy, a które niestety zapóźno poznaliśmy w całej ich jaskrawości, powiem więcej, w całej ich ohydzie, zaciemniały i zabijały w nim to rozumienie.

Powiedziałem, że uchwała o dyktaturze wojskowej była w tej chwili także błędem. Pierwsze chwile powstania musiały z samej natury rzeczy, z powodu braku zorganizowanej siły wojskowej, być wojną partyzancką, a wojna taka jednolitego kierunku działania nie potrzebuje, a nawet taki jednolity kierunek byłby wprost niewykonalny. Dyktatura wojskowa, jako źródło pewnego planowego, jednolitego kierunku działania, mogła być potrzebną i pożyteczną wówczas, gdyby powstanie mogło opanować jakąś przestrzeń krajów i uformować przynajmniej zawiązek wojskowej regularnej organizacyi, jako zaczątek armii powstańczej. Błąd ten jednak usprawiedliwia pogląd i przekonanie, że wobec jawnego powstania i rząd musi być jawnym, a ujawnić się mógł tylko dyktator. Ten pogląd i to przekonanie dyktowały nam i dalsze nasze postanowienia, o których niebawem mówić mi przyjdzie.

Ponieważ Stefan Bobrowski nie chciał stanowczo być dalej członkiem Komitetu i dzielić odpowiedzialności za wszystkie jego postanowienia, więc musieliśmy zgodzić się na jego rezygnacyę. Wymogliśmy jednak na nim, że pozostał nadal członkiem organizacyi miasta Warszawy.

Tym sposobem zatrzymany został dla sprawy powstania ten wielkiej energii i poświęcenia i wielkiego umysłu młodzieniec, który na tem stanowisku naczelnika miasta umiał rozwinąć tak wielką i tak pożyteczną działalność, jakiej żaden z jego późniejszych następców nie dosięgnął. Przez całe dwa miesiące prawie był on prawdziwą dźwignią powstania, a wskutek zbiegu okoliczności sam właściwie wypełniał funkcye Rządu Narodowego.

Uchwałę Komitetu co do dyktatury należało jak najprędzej wprowadzić w wykonanie, gdyż termin powstania się zbliżał. Jednogłośnie zgodziliśmy się, żeby do Paryża do Mierosławskiego pojechał Władysław Janowski i to w charakterze pełnomocnego komisarza Komitetu Centralnego, jako tymczasowego Rządu Narodowego. Janowski miał obowiązek doręczyć Mierosławskiemu wezwanie na dyktatora i w charakterze komisarza pozostać przy nim aż do chwili, w której dyktator stanie na ziemi polskiej, odbierze władzę od Komitetu, złoży w ręce tegoż przysięgę i dyktaturę

swą ogłosi. Wygotowanie odpowiednich dekretów wziął na siebie Bobrowski, gdyż on jako naczelnik miasta miał swoją zaufaną kancelaryę.

Na tem samem posiedzeniu przedłożyłem rysunek pieczęci, który przyjęto. Pieczęć była okrągła, około dwa cale średnicy, środek zajmowały trzy herby w porządku, jak wyżej podałem, na tle udrapowanego płaszcza, na którym w węźle w pośrodku ponad tarczą z orłem był umieszczony krzyż. W otoku u góry napis: „Wolność. Równość. Niepodległość“, u dołu pod tarczą z orłem: „R. 1863“. Bobrowski wziął ten rysunek dla oddania go rytownikowi, należącemu do organizacyi, który dotąd wszystkie pieczęcie wykonywał. Nazwiska jego nie pamiętam.

Drukowaniem manifestu i dekretów uwłaszczenia zajmował się ks. Mikoszewski pod zaleceniem jak największej ostrożności i bezwzględnej tajemnicy. Druku dokonano nie w drukarni „Ruchu“, ale w innej dla tem pewniejszej tajemnicy i bezpieczeństwa. Ks. Mikoszewski jednak, pod wielkim sekretem, zwierzył się ze swej misyi jednej ze swoich zaufanych dewotek, których żadnemu księdzu nie brakuje. Szczęściem, że owa dewotka była względnie umiarkowaną w gadatliwości, bo wiadomość obeszła tylko małe kółko i doszła do jednego z nas z powrotem. Nierozwaga była nie do darowania: ostre wymówki spadły na głowę księdza, nawet z groźbą wyrzucenia z Komitetu. Że nie pociągnęło to za sobą odkrycia, zawdzięczać należało tylko krótkiemu czasowi, w którym druk musiał być skończonym.

Jakkolwiek uchwała Komitetu o dyktaturze generała Mierosławskiego określała i oznaczała już rząd powstańczy, to jednakże z powodu tak blizkiego terminu powstania i niepodobieństwa przybycia na ten czas generała i objęcia przez niego władzy, Komitet musiał jeszcze władzę swoją wykonywać jako rząd tymczasowy i pod tym mianem ogłosić manifest i oba dekreta. Nastręczała się przy tem sama przez się uwaga, że wobec jawnie wypowiedzianej rządowi najezdniczemu zbrojnej walki, że powstańcy piersi swoje jawnie w tej walce nadstawiać będą, niemożliwem jest i niegodnem, żeby Komitet, który do tej walki dał hasło, sam tylko tajemnicą się okrywał. Uwaga ta, której słuszność wszyscyśmy podzielali, pociągała za sobą konieczność ujawnienia i naszych nazwisk. Ujawnienie nazwisk naszych w dotychczasowem siedlisku, w Warszawie, nastąpić nie mogło, bo jasnem było, że rząd taki tego samego dnia po wydanej proklamacyi znalazłby się w kozie. Nie cho-

dziło nam bynajmniej o własne niebezpieczeństwo, bo na to byliśmy przygotowani zupełnie, ale sam fakt aresztowania rządu zaraz w pierwszej chwili powstania, oddziałałby fatalnie demoralizująco na samo powstanie. Uznaliśmy, zatem, że ujawnienie się rządu dokonanem być może dopiero tam, gdzieby powstanie w pierwszej chwili było zwycięzkiem.

Po szczegółowej i wyczerpującej debacie, postanowiliśmy w zasadzie, że Komitet w ostatnim dniu, poprzedzającym powstanie, opuści Warszawę, a ujawni się we właściwej porze ogłoszeniem proklamacyi, w której wyraźnie będzie zapowiedziane przybycie Mierosławskiego, jako dyktatora; aż do jego przybycia podpisani sprawować będą władzę jako rząd tymczasowy.

Wyjazd z Warszawy przed ogłoszeniem powstania, był jeszcze motywowany tem przypuszczeniem, że Moskale tak mogą zamknąć Warszawę, że wyjazd będzie niemożliwym, że wszelkie stosunki stolicy z krajem będą udaremnione.

Następnie uchwalono, że jednocześnie z wyjazdem owego przyszłego rządu tymczasowego, należy w Warszawie ustanowić Komisyę wykonawczą, która, zostając pod bezpośredniemi rozkazami rządu, nie będzie związaną żadnemi instrukcyami szczegółowemi i będzie miała zupełną swobodę działania; nie będzie jednak miała prawa wydawania dekretów natury politycznej i organizacyjnej, lecz tylko postanowienia czysto administracyjnej natury; że będzie tajemną, używać będzie dla stwierdzenia swych postanowień dotychczasowej pieczęci Komitetu Centralnego, gdyż pieczęć nowa służyć będzie wyłącznie rządowi [16]).

Do tej Komisyi należy powołać Bobrowskiego, jako naczelnika miasta na przewodniczącego, oraz zaprosić do jej składu dwóch byłych członków Komitetu: Witołda Marczewskiego i Agatona Gillera, a nadto dla utrzymania związku i solidarności powinien w niej pozostać jeden z członków czynnych Komitetu. Gdy jednak Komitet, po wystąpieniu z niego Stefana Bobrowskiego, faktycznie składał się tylko z czterech członków t. j. Awejdego, Majkowskiego, ks. Mikoszewskiego i Józefa Janowskiego, przeto postanowiono uzupełnić go do liczby pięciu. Zgodzono się powołać na piątego członka Władysława Daniłowskiego, który także był przedtem członkiem Komitetu, a nadto był uważany za zwolennika generała

[16]) Por. opis nowej pieczęci u Mierosławskiego. Dok. urzęd. do dz. organizacyi. str. 1. Na wystawie 1863 r. niema jej odcisku. (P. R.)

Mierosławskiego; Daniłowski właśnie miał pozostać w Warszawie, jako czwarty członek komisyi wykonawczej.

Pozostali czterej członkowie Komitetu mieli wyjechać z Warszawy, by w danej chwili ogłosić się jako Rząd tymczasowy. W tym wypadku Awejde, ks. Mikoszewski i Józef Janowski mieli wystąpić jako członkowie rządu, zaś Majkowski jako jego sekretarz.

Bobrowski obecny na posiedzeniu i biorący udział w tych debatach zgodził się wziąść udział w pracach tej komisyi wykonawczej w charakterze jej przewodniczącego. Zgodził się także na osoby, które miały ją składać. Ponieważ Daniłowski został powołany na członka Komitetu i komisyi na wniosek Awejdego, przeto jemu polecono porozumieć się z Daniłowskim. Temuż Awejdemu i Józefowi Janowskiemu polecono porozumieć się z Marczewskim i Gillerem.

Pozostawało jeszcze nam zastanowić się nad tem, gdzie prawdopodobnie powstanie mogło być zwycięzkiem, a stąd w którą okolicę mieliśmy wyjechać dla obrania siedliska rządu. Ze względu na okoliczności, o których już wyżej mówiłem, można było przypuszczać, że powstanie w województwie Płockiem ma najwięcej szans powodzenia. Z planu działania, przepisanego pułkownikowi Bończy, naczelnikowi wojennemu województwa Płockiego, wszystkie siły powstańcze skierowane być miały na Płock, a nadto miał tam jeszcze przybyć w pomoc z jednej strony Padlewski z oddziałami z puszczy Kampinoskiej, z drugiej strony Skowroński, który miał z lasów Serockich dążyć do Płońska. Siły zatem, jakie Bończa mógł rzucić na Płock, obliczaliśmy na 4 do 5 tysięcy ludzi; z temi siłami Płock mógł być od razu zajętym i tam rząd mógłby się ogłosić. Postanowiliśmy więc wyjechać z Warszawy d. 22. stycznia, dojechać do Kutna, miasteczka położonego przy drodze żelaznej bydgoskiej i stacyi tejże kolei, jako najbliższej Płocka i tam oczekiwać na wynik zamachu na Płock.

Tegoż dnia, 20. stycznia, przyjechał do Warszawy obywatel Kurowski, któremu Władysław Janowski polecił sprawować tymczasowo urząd naczelnika cywilnego województwa Krakowskiego. Kurowski, wprowadzony na posiedzenie Komitetu, przedstawił konieczność jakiegoś kierunku wojskowego, bo bez tego o powstaniu w tem województwie nie może być mowy. Oświadczyliśmy mu, że już ze sprawozdania Władysława Janowskiego wiemy o tej konieczności, że ponieważ Janowski już nie wróci do Kielc, więc już wczoraj wysłaliśmy do niego nominacyę na naczelnika cywilnego

województwa i zarazem upoważnienie do tymczasowego pełnienia obowiązków naczelnika wojskowego.

Była myśl, żeby województwo Krakowskie poddać pod naczelnictwo Langiewicza, ale nie chcieliśmy go i to już na parę dni przed powstaniem dodatkowemi obarczać obowiązkami.

Wszystkie te sprawy, wyżej wymienione, zajęły nam całe dwa dni t. j. 19. i 20. stycznia.

Dzień 21. stycznia, środa, przeszedł na wprowadzeniu w wykonanie powziętych uchwał, na rozsyłaniu kuryerów z manifestem i dekretami i ostatecznemi instrukcyami do władz cywilnych i wojskowych.

Rytownik wykonał pieczęć niewłaściwie, bo zamiast płaskiej do tuszu, zrobił ją wklęsłą, zdolną tylko do laku. Na manifestach i dekretach, które miały być tą nową pieczęcią, obok dawnej Komitetu Centralnego, opatrzone, trzeba było wycisnąć tylko tę ostatnią.

Wygotowanie pisma do generała Ludwika Mierosławskiego, oraz nominacya dla Władysława Janowskiego na komisarza pełnomocnego przy dyktaturze opatrzone zostały tą nową wielką pieczęcią lakową [17]).

Dokumenta te, z datą 21. stycznia 1863 r., wręczono Władysławowi Janowskiemu z poleceniem, by natychmiast wyjechał. Ponieważ Janowski nie był nigdy po za granicami kraju, nie władał także dobrze ani francuskim, ani niemieckim językiem, przeto za pośrednictwem Oskara Awejde uproszono niejakiego Stanisława Krzemińskiego, młodego literata, byłego ucznia uniwersytetu w Heidelbergu, znającego przytem dobrze Paryż i samego generała, którego nawet uważano za zwolennika generała, żeby towarzyszył Janowskiemu w podróży, a na miejscu w Paryżu był rzecznikiem powierzonej mu sprawy. Wyjechali oni we dwóch dnia 21. stycznia.

Na to posiedzenie przybył także Daniłowski Władysław, wprowadzony przez Awejdego, w myśl uchwały poprzedniego dnia zapadłej. Daniłowski, objaśniony przedtem przez Awejdego o wszystkich uchwałach, przez Komitet dotąd powziętych, wszystkie bez wyjątku zaakceptował i złożył w nasze ręce przysięgę. Zgodził się także i na pozostanie w Warszawie w charakterze członka Komisyi wykonawczej, jako delegat Komitetu*).

---

[17]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 50. i Wyjaśnienia Janowskiego w r. II. (P. R.)

*) „Władysława Daniłowskiego, Notatki do pamiętników, wydał Jan Czubek". Nakładem Akademii Umiejętności, Kraków, 1908. W pamiętniku tym w R. XVIII. (str. 181 i nn.). Daniłowski bardzo szeroko, ale i bardzo bałamutnie zarazem,

Popołudniu około 5. godziny udaliśmy się z Awejdem do Witolda Marczewskiego do jego mieszkania przy Alejach Jerozolimskich, w domu architekty Marconiego, gdzie miał przyjść także i Giller, uprzedzony przedtem przez Awejdego, celem porozumienia się z nimi co do ich udziału w pracach Komisyi wykonawczej.

Powiadomiliśmy ich szczegółowo o wszystkich dotychczasowych postanowieniach Komitetu, a także o dyktaturze Mierosławskiego, o zamierzonym wyjeździe i o planie działania. Wywiązała się dyskusya, krótka jednakże, bośmy oświadczyli stanowczo, że nic zmienić nie możemy i że żądamy od nich tylko oświadczenia, czy przyjmują propozycyę wstąpienia do Komisyi wykonawczej. Marczewski zgodził się, nie stawiając żadnych warunków. Giller jednak ku wielkiemu naszemu zdziwieniu propozycyi nie przyjął. Odmowę swą motywował tem: 1. że powstania nie podziela, i że dlatego wystąpił był z Komitetu, gdy powstanie z chwilą branki zostało uchwalonem; 2. że dyktaturę Mierosławskiego uważa za szkodliwą nietylko dla powstania, ale dla całej sprawy; i 3. że Komitet popełnił czyn niemoralny, przyjmując do swego grona Daniłowskiego, człowieka złej wiary, który już raz kiedyś, gdy był członkiem Komitetu Centralnego, miał należeć zarazem do Komitetu Mierosławskiego, a za intrygi i działania, podkopujące powagę Ko-

---

opisuje swoje wejście do Komitetu. Mówi o rozdwojeniu w łonie Komitetu, które spowodowało jego zmianę i wprowadzenie nowych członków: Janowskiego Józefa, Mikoszewskiego, Majkowskiego, a nawet Stefana Bobrowskiego; co jest oczywistą nieprawdą, bo zmiana Komitetu nastąpiła nie z powodu rozdwojenia, lecz z powodu aresztowania Szwarcego i członków Komisyi broni w Paryżu, a Bobrowski wszedł do Komitetu później, 3. stycznia, po stanowczem usunięciu się Gillera. Wyraźnie pamięć nie dopisała Daniłowskiemu i brak ścisłych wiadomości. Powiada, że zaraz po brance, Padlewski w imieniu Komitetu wezwał go: „abym przyjął miejsce w gronie 5-ciu członków Komitetu“ (str. 188), co również nie jest zgodne z prawdą. W chwili branki Komitet był w komplecie, dopiero, gdy Padlewski 17. stycznia wyjechał do Kampinosa, to w jego miejsce wszedł Awejde, który do tej chwili był właściwie nadliczbowym członkiem Komitetu. Wreszcie dopiero, gdy Bobrowski po uchwale dyktatury wystąpił z Komitetu, pozostało nas tylko czterech, i to spowodowało potrzebę uzupełnienia, a na propozycyę Awejdego powołaliśmy Daniłowskiego. Nie było żadnych sporów ani dysput z Daniłowskim o odłożenie powstania do wiosny, bo ten, bez żadnej opozycyi, zaakceptował wszystkie bez wyjątku postanowienia Komitetu. Być może, że Daniłowski dysputował z Awejdem, gdy ten mu zrobił propozycyę wejścia do Komitetu, ale Awejde wcale o tem nie wspominał. O misyi, danej Daniłowskiemu, zawezwania młodzieży akademickiej do udziału w walce narodowej, nic nie wiem; być może, że misyę tę otrzymał od Komisyi wykonawczej, jako jej członek. Że młodzież akademicka była w pierwszej chwili niechętna powstaniu, o tem słyszałem.

Zresztą trudno mi wszystko, co Daniłowski opowiada, prostować, gdyż wszystko, co o tych chwilach pisze, jest bałamutne, najczęściej mijające się z prawdą, a przedewszystkiem jest wynoszeniem swej osoby do pierwszorzędnego znaczenia.

mitetu Centralnego i jego działania, został z Komitetu Centralnego wyrzuconym. Motywa te odparliśmy, jako nie mające żadnej podstawy. Gdyż ad 1) Giller był jednym z głównych czynników i propagatorów całego ruchu od samego założenia Komitetu Centralnego, którego był głównym i najwięcej wpływowym członkiem; że za jego właśnie rządów zaszedł fakt owej „kartki poborowej", której nieuniknionem właśnie następstwem musiało być uchwalenie powstania, jako konieczny wynik dokonanego poboru, że tłumaczenia się Gillera, że owa kartka nie pochodziła od Komitetu, że on wcale o niej nie wiedział, przyjąć absolutnie nie możemy, bo Komitet niczem przeciwko tej kartce nie reagował i niczem jej autentyczności nie osłabił, więc tak za nią, jak i za wszystkie jej następstwa jest odpowiedzialnym. Usuwanie się jego i umywanie rąk w chwili tak stanowczej, nie mówiąc już o obowiązku obywatelskim, który nakazywał każdemu, kto przekonał się, że powstania powstrzymać nie można, wziąć w niem udział, jest ze strony Gillera czynem nieobywatelskim i niemoralnym. Ad 2) Uważamy, że rząd powstańczy nie może być nadal tajemnym, że rząd ten musi być jawnym i mieć władzę dyktatoryalną; ponieważ powstanie jest czynem wojskowym, więc i dyktatura musi być wojskową; że z pomiędzy wszystkich wojskowych, znanych teraz w Polsce, jedyny Mierosławski jest osobistością wskazaną tak pod względem wojskowym, jak i politycznym; a czy osoba jego będzie dla sprawy szkodliwą, może być tylko osobistem przekonaniem, którego aktualność dopiero przyszłość pokazać może. (Niestety pokazała). Ad 3) Co do Daniłowskiego zarzut jest niewczesny i tylko własnemi słowami Gillera uczyniony, a więcej przez nikogo nie poparty (istotnie Marczewski, który doskonale mógł o tem wiedzieć, zupełnie milczał), ani od Padlewskiego, ani od obecnego tu Awejdy takiego zarzutu, czynionego Daniłowskiemu, nie słyszeliśmy.

Giller z całą stanowczością przy swojej odmowie pozostał. Zajście to było nadzwyczaj przykre dla nas wszystkich, a szczególniej dla mnie, gdyż ja przeważnie te zarzuty Gillera odbijałem i to z pewną szorstkością, rozdrażnieniem, wyrazem żalu i wyrzutu. Byłem z nim dotąd w bardzo dobrych, a nawet prawie przyjacielskich stosunkach.

Zajście to rzuciło pewien poważny cień na nasze przyszłe stosunki. Nawet już po powstaniu, tak na emigracyi, jak i potem w kraju, o tym przedmiocie już nigdyśmy nie mówili.

Ponieważ nie było czasu szukać kogo innego w miejsce Gillera,

zostawiliśmy Bobrowskiemu dwóch tylko członków do Komisyi wykonawczej: Marczewskiego i Daniłowskiego.

Nazajutrz, dnia 22. stycznia, raniutko zebraliśmy się t. j. Awejde, Majkowski, Mikoszewski i ja, jako członkowie przyszłego rządu, oraz Bobrowski, Daniłowski i Marczewski, jako członkowie Komisyi wykonawczej, dla ostatecznego omówienia różnych spraw i dla zainstalowania tejże Komisyi wykonawczej.

Zgodziliśmy się i zastrzegli, że Warszawa ma pozostać spokojną, gdyż wszelki ruch w niej szczególniej, gdy zamiar pochwycenia W. Ks. Konstantego, o czem wyżej już mówiłem, okazał się niewykonalnym, lub powstanie, bez żadnych widoków powodzenia, pociągnąć za sobą mogło tylko wielkie a bezpożyteczne zupełnie ofiary. Warszawa zatem pozostać miała, o ile można tylko, środowiskiem administracyjnem powstania, spiżarnią jego, że tak powiem. Zadanie więc Komisyi wykonawczej miało być czysto gospodarczo-administracyjnem *).

Całe nasze zaufanie polegało na Stefanie Bobrowskim, jego energii, pomysłowości i bezgranicznem poświęceniu. Witołd Marczewski, jako doświadczony, energiczny konspirator nieposzlakowanej uczciwości i patryotyzmu, był mu dzielnie w pracy pomocnym. Daniłowski związany przysięgą, mający liczne stosunki i pewną wziętość między młodzieżą, mógł być także w tej pracy Komisyi pożytecznym. Komisyi a właściwie Bobrowskiemu przyznaliśmy prawo kooptacyi w razie potrzeby.

Posiedzenie było krótkie, bo musieliśmy się gotować do podróży.

Pożegnaliśmy się serdecznie, jak ludzie zdeterminowani, któ-

BIBLJOTEKA AKAD. U. W. R.

*) Wł. Daniłowskiego „Notatki do pamiętników“ R. XIX. Wszystko, co opowiada na str. 198 i nn., jest znowu czystą chwalbą i bajką. Komisya wykonawcza, jak zaznaczyłem, miała charakter czysto administracyjny; nie miała prawa stanowić dekretów natury politycznej i organizacyjnej, nie miała więc prawa nazywać się Rządem tymczasowym i nie miała nigdy się ujawnić, a używać mogła pieczęci Komitetu Centralnego. Nie miała wcale pełnomocnictw nieograniczonych. Występowała jako Rząd tymczasowy, ale dopiero później, gdy już Daniłowskiego w niej nie było. Daniłowski rozpisuje się szeroko o wielkiej swej pracy, o ważności swego urzędu po wyjeździe rządu; lecz czas tej pracy był bardzo krótki, bo trwał zaledwie dwa dni. Komisya zaczęła bowiem swoje czynności po naszym wyjeździe, a więc d. 23. stycznia, a Daniłowski wyjechał do Kutna 24. stycznia, t, j. nazajutrz w nocy i z Kutna pojechał wprost do Paryża. Potem wprawdzie w początku lutego był w Warszawie, ale bardzo krótko i w pracach Komisyi nie brał żadnego udziału. Wszystko, co mówi o przyjmowaniu i wysyłaniu kuryerów, o wiadomościach otrzymywanych z placu boju, wszystko to są bajdy, bo jak przyjechał do nas do Kutna 25. stycznia rano, pytany o te wiadomości, nic nam nie umiał powiedzieć.

rych obawa o utratę wolności lub życia nie mogła powstrzymać i uchylić od wykonania przyjętych, a zaprzysiężonych obowiązków.

Komisya, a szczególniej Bobrowski najzupełniej odpowiedział położonemu w nim zaufaniu. Przez długi czas skutkiem zbiegu okoliczności był on prawdziwym dyktatorem administracyjnym powstania. W krótkim bardzo czasie Daniłowski wyjechał z Warszawy; Witołd Marczewski został aresztowanym. Bobrowski pozostał sam na wyłomie. Warszawa okazała się ofiarną dla powstania spiżarnią, a Bobrowski dzielnym jej szafarzem.

Dnia 20. stycznia wieczorem, poszliśmy z żoną do matki mojej, gdzie zastaliśmy już i brata Władysława. Umówiliśmy się w ciągu dnia z bratem, że musimy matkę przygotować i uprzedzić o zamierzonym naszym wyjeździe z Warszawy. Ja żonie jeszcze nic o tem nie wspominałem. Nawiązaliśmy więc rozmowę o możliwych wypadkach. Brat uwiadomił teraz matkę, że musiał opuścić Kielce, gdyż był zagrożony aresztowaniem, i że nawet jest zmuszony wyjechać na jakiś czas za granicę. Ja zaś ze swej strony też nadmieniłem, że prawdopodobnie dla ważnych spraw, będę musiał na jakiś czas wyjechać z Warszawy. Wiadomość tę matka przyjęła poważnie, ze spokojem, ale widać było głębokie wzruszenie, siłą woli tamowane. Korzystając z chwilowego milczenia matka wstała, podeszła do kantorka, wydobyła z niego małe pudełeczko i podeszła ku nam, ostatnim wysiłkiem tamując łzy i wzruszenie; starała się być spokojna. „Dzieci moje, rzekła, przeczuwałam od dawna, że będziemy musieli się rozstać, że wy będziecie musieli pójść za głosem obowiązku i sumienia, tam, gdzie was Ojczyzna powoła. Z rodzinnych pamiątek, ślubnych pierścionków dziadków waszych, kazałam zrobić krzyżyki, które niech was strzegą i wspomagają w pracach waszych, wraz z mojem, może ostatniem błogosławieństwem". Tu głos kochanej matki załamał się; wzruszenia dotąd tamowanego powstrzymać nie mogła, wybuchnęła głośnym płaczem. Uklękliśmy wszyscy, a matka obejmując głowy nasze, ściskała, błogosławiła i zawiesiła na szyi ofiarowane krzyżyki. Jakby przeczuciem wiedziona nie mogła się oderwać od brata mego i całą siłą i potęgą macierzyńskiego serca czuła, że błogosławieństwo, które mu udziela, jest ostatniem; że rozłącza się z nim na zawsze, że go już więcej nie zobaczy. Istotnie w miesiąc potem, dnia 19. lutego, zginął pod Krzywosądzem [18]). Jak mi siostra potem opowiadała,

[18]) Krzywosądza lub Krzywosądz, wś. pow. nieszawski, gm. Sędzin. Por. Kolumna: Pamiątka. cz. II. str. 93. (P. R.)

w dniu tym matka od samego rana była bardzo smutna i ciągle płakała. Pytana o przyczynę, odpowiedziała: „że śnił mi się Władzio, jakby duch jego odchodzący jakby w jakąś nieokreśloną podróż, że pewnie już nie żyje". Od dnia tego nigdy już o niego nie pytała i o nim nie mówiła, boleść swoją zamknęła w sercu. Myśmy też nic jej o śmierci brata nie mówili. Dopiero znacznie później, już po powstaniu, gdy i mnie już w kraju nie było, raz jeden tylko prosiła siostrę, by jej opowiedziała, gdzie i jak Władzio umarł.

Żona moja dotąd nie wiedziała zupełnie o uchwalonem powstaniu i o jego tak blizkim terminie i o moim wyjeździe. Gdyśmy dnia tego, 20. stycznia, wrócili od matki, musiałem ją o tem zawiadomić, tem więcej, że sama zaraz mnie zapytała: „gdzie to tu [illegible] jechać". Musiałem [illegible] jej całą prawdę i cel naszego [illegible]. Że termin powstania jest naznaczony na noc z 22. na 23. stycznia. Że w Warszawie powstania nie będzie. Że ja z kilkoma jeszcze towarzyszami, między którymi będą i bardzo dobrzy jej znajomi, wyjedziemy w charakterze członków Rządu Narodowego. Że prawdopodobnie Płock będzie przez powstanie zajęty i że tam będziemy musieli wydać proklamacyę z naszymi podpisami. Że na razie jedziemy do Kutna i tam mamy oczekiwać wyniku powstania w Płocku. Przedstawiłem możliwe niebezpieczeństwo z ujawnienia rządu, na jakie możemy być wystawieni. Przedstawiałem umyślnie to niebezpieczeństwo w barwach jaskrawszych, niż sam je sobie wyobrażałem, bo znając doskonale żonę moją, przeczuwałem, że będzie chciała jechać ze mną, chciałem tym sposobem osłabić to pragnienie. Żona wysłuchała wszystkiego ze spokojem, tak jakby to tyczyło się jakiejś przyjemnej podróży, lecz gdym skończył, z całą determinacyą i stanowczością, której nie przypuszczałem, odpowiedziała: „Ja ciebie samego nie puszczę! przysięgliśmy sobie wzajemnie, że się nie opuścimy aż do śmierci, moim obowiązkiem jest być przy tobie, jeżeli grozi ci niebezpieczeństwo, i to tem bardziej, im to niebezpieczeństwo jest większe". Cała moja wymowna argumentacya nie mogła osłabić jej postanowienia. W końcu z płaczem rzuciła mi się na szyję: „Mój drogi Józefie, ja tu bez ciebie nie wytrzymam, nie będę miała chwili spokojnej, jeżeli nie weźmiesz mnie ze sobą, ja i tak za tobą pojadę, bo tak mi każe sumienie, tak mi każe przysięga. Ja jestem Polką i żadne, choćby największe niebezpieczeństwo, mnie zatrwożyć nie może; los jaki ciebie czeka, ja z tobą podzielić muszę". Do późnej nocy przeciągnęła się ta rozprawa, musiałem uledz.

Nazajutrz dopiero wieczorem poszliśmy do rodziców żony, gdyż cały dzień prawie byłem zajęty. Rodzice ze zdziwieniem przyjęli wiadomość o wyjeździe naszym; nie pamiętam, w jaki sposób usprawiedliwiliśmy potrzebę wyjazdu, dość na tem, żeśmy nie wzbudzili podejrzenia. Jednak i tu bez łez się nie obeszło, choć żona trzymała się dzielnie. Wpadliśmy jeszcze po wyjściu od rodziców do mojej matki. Zastałem ją już uspokojoną. Zapewniłem matkę, że wyjeżdżamy oboje z żoną tylko na kilka lub kilkanaście dni i że niebawem powrócimy. Ta okoliczność, iż żona jedzie ze mną wpłynęła, że matka spokojnie się z nami żegnała, choć zawsze ze łzami i wzruszeniem obustronnem.

Brat mój Władysław wyjechał tegoż samego dnia rano około 10. ze Stanisławem Krzemińskim.

Paszport, który mi doręczono na moje nazwisko, musiałem kazać zmienić na wspólny z żoną.

We czwartek, 22. stycznia, przed południem jeszcze raz byliśmy u rodziców żony z ostatniem pożegnaniem i prośbą, by na dworzec nie przychodzili.

ROZDZIAŁ II.

Rząd tymczasowy, od chwili opuszczenia Warszawy przez następne blizko cztery tygodnie, z powodu okoliczności, które niżej opisywać będę, nie miał żadnego wpływu na rozwój powstania w jego pierwszych chwilach. Wszystko, co tylko w tym przeciągu czasu się stało, wychodziło z Komisyi wykonawczej. O tych działaniach nie mieliśmy nawet żadnej wiadomości. Nie wiedzieliśmy także, jakie były wyniki pierwszego ruchu powstańczego. W następującem teraz opowiadaniu będę mógł mówić tylko o wypadkach, o których sam bezpośrednio się dowiedziałem, lub w których sam brałem udział.

We czwartek, 22. stycznia, wyjechaliśmy z Warszawy o godzinie 5. popołudniu pociągiem drogi żelaznej warszawsko-bydgoskiej przez Skierniewice, Łowicz do Kutna.

Zebraliśmy się wszyscy na dworcu t. j. Awejde, Majkowski, Mikoszewski, ja z żoną, oraz dwaj bracia Juliusz i Eugeniusz Kesslerowie, którzy mieli jechać z nami jako ludzie zaufania do szczególnych poruczeń. Nie zbliżaliśmy się do siebie, żeby nie zwrócić uwagi. Dopiero w wagonie znaleźliśmy się razem. Bracia Kesslerowie byli doskonale znani i mnie i mej żonie, gdyż spotykaliśmy się z nimi na przyjęciach u p. Tolkemitów. Eugeniusz nadto był kolegą szkolnym i przyjacielem brata mego Władysława.

Dopiero około 12. w nocy stanęliśmy na miejscu w Kutnie. W miasteczku była cisza zupełna; ledwieśmy się dostukali do jakiejś oberży, nibyto hotelu i jako tako się pomieścili.

Była to właśnie niemal godzina wybuchu powstania. W powstaniu narodowem powodzenie pierwszej chwili, udanie się lub nieudanie pierwszego zamachu jest niemal decydującem o losach dalszej walki. Wiedzieliśmy doskonale, że powstanie przez zbyt gwałtowne, a nieroztropne agitowanie poprzednich przed nami kierowników z jednej, a przez proskrypcyę Wielopolskiego z drugiej strony, musiało być przyśpieszonem i dlatego niezupełnie dostatecznie przygotowanem. W takich więc warunkach i okolicznościach korzyści, jakie mogliśmy otrzymać nad nieprzyjacielem w pierwszej chwili, były bardzo ważne: podnosiły ducha, wzmacniały i krzepiły odwagę, zachęcając do dalszych bojów. Dla lepszego i pewniejszego powodzenia naczelnicy województw mieli polecone, by sił swoich nie rozdrabniali na bezużyteczne ataki na wiele punktów, ale je raczej koncentrowali na punkta ważniejsze, dające większą pewność zwycięstwa. Pomimo to jednak ze względu na słabe zapasy broni i amunicyi, nie można było być pewnym powodzenia. Doskonale, powiadam, wiedzieliśmy i znaliśmy stan i dlatego w głębi dusz naszych nie było tej pewności i wiary w siebie, jaka w takich razach jest konieczną. Wyjaśniłem wyżej dokładnie wszystkie motywa, które nas skłoniły do zadecydowania powstania; przekonania tego nie zmieniliśmy ani na chwilę i dziś jeszcze jestem przekonany, że inaczej Komitet Centralny, bez ściągnięcia na siebie zarzutu zdrady sprawy przez zabicie na długi czas wszelkich robót i prac w tym duchu i kierunku, w jakim je prowadził, inaczej zrobić nie mógł. Mając zatem to silne przekonanie, żeśmy dopełnili obowiązku obywatelskiego i narodowego, jakkolwiek niespokojni o los i powodzenie powstania, w sumieniu byliśmy spokojni i na wszystkie wypadki przygotowani. O tem, co nas osobiście spotkać może, nie myśleliśmy zupełnie, bo i pod tym względem byliśmy przygotowani na najgorsze. Wiedzieliśmy, że, jeżeli Moskale zwyciężą, położymy głowy nasze bądź to z ich rąk, bądź też z rąk samej organizacyi, która bardzo naturalnie, choć niesłusznie, musiałaby Komitetowi Centralnemu, a szczególniej nam, jako uchwalającym powstanie, przypisać niepowodzenie i zażądać rachunku. Z całą świadomością tych wszystkich ewentualności oczekiwaliśmy wiadomości o wynikach pierwszego ruchu.

Nazajutrz raniutko zameldowaliśmy się naczelnikowi miasta Kutna, Józefowi Żeglińskiemu *). Nie zdradzając zupełnie naszego

*) Józef Żegliński, budowniczy miasta Kutna i zarazem powiatowy. W organizacyi był naczelnikiem miasta i powiatu Kutnowskiego. Człowiek młody, lat

charakteru politycznego, oświadczyliśmy tylko, że Komitet Centralny wysłał nas do Kutna i rozkazał nam tu oczekiwać dalszych rozkazów. Gdy na poparcie twierdzenia naszego, nie mogliśmy okazać żadnych innych dowodów, jak tylko krótkie polecenia, któreśmy naturalnie sami sobie na blankietach z pieczęcią Komitetu Centralnego napisali, Żegliński ostrożny, co tylko na jego pochwałę zaliczyć mogliśmy, zażądał od nas wykonania zwykłej przysięgi, którą wszyscy należący do organizacyi wykonywać musieli. Przez wykonanie tego żądania zyskaliśmy najzupełniejsze zaufanie Żeglińskiego. Przedewszystkiem Żegliński oświadczył nam, że w oberży razem mieszkać nie możemy i musimy się rozdzielić i rozporządził, żebym ja z żoną pozostał u niego; Awejdego i Majkowskiego kazał odwieźć do dzierżawcy, mieszkającego za miastem, zaś tylko obaj Kesslerowie pozostali w oberży, bo ks. Mikoszewski ulokował się u proboszcza. Na zarządzenie to zgodziliśmy się zupełnie. Nazwisk naszych nie ukrywaliśmy, gdyż paszporta i owe polecenia były na rzeczywiste nazwiska wydane. Przyjęcie i postępowanie Żeglińskiego było nadzwyczaj gościnne i serdeczne. Podano nam śniadanie, do którego wyszły także pani Żeglińska i jej matka.

Po śniadaniu, gdy się panie oddaliły, Żegliński powiadomił nas o sytuacyi w mieście. Jakkolwiek odebrał od komisarza województwa Mazowieckiego, Stanisława Frankowskiego, uwiadomienie o mającem nastąpić powstaniu, jednakże nie zdołał poczynić dostatecznych przygotowań i że na to potrzebuje jeszcze parę dni czasu; że Frankowski obiecał przysłać oficerów, których tu na miejscu niema, lecz dotąd nikt nie przybył. Załoga moskiewska składała się z kilku żandarmów, jednej sotni kozaków i komendy inwalidów około 50 ludzi. Kozacy stali za miastem w barakach umyślnie dla nich zbudowanych, strzeżonych zwykle w dzień i w nocy przez dwóch szyldwachów; komenda inwalidów zajmowała koszary w mieście, które służyły zarazem za więzienie. Żegliński liczył, że z samego miasta Kutna, jak ze wsi okolicznych z pomiędzy oficyalistów dworskich, do organizacyi należących, może stanąć do boju

około trzydziestu, miał młodą i bardzo miłą żonę, bardzo miłą osobę i jedno, czy dwoje dzieci. Wielkiej zacności, gorący i energiczny patryota, całą duszą oddany sprawie narodowej. Nie liczący się z niebezpieczeństwem, ściągnął wreszcie na siebie uwagę policyi moskiewskiej. W końcu lipca aresztowany, skazany przez sąd wojenny na 6 lat katorgi, lecz W. Ks. Konstanty, u którego w końcu panowania rozprzęgły się krwiożercze instynkta, kazał go rozstrzelać. Wyrok został wykonany d. 17-go sierpnia w Kutnie. Cześć jego pamięci! P. A. (Por. Kolumna Z. Pamiątka. Cz. I. str. 182 P. R.).

około 100 ludzi; że na uzbrojenie posiada około 20 sztuk broni palnej myśliwskiej, a dla reszty ma przygotowaną dostateczną liczbę kos. Moskale do tej chwili nic jeszcze nie wiedzieli o ruchu powstańczym, byli zupełnie spokojni i żadnych nadzwyczajnych środków ostrożności nie przedsiębrali.

Gdy dopiero jednak od nas dowiedział się Żegliński, że właśnie noc miniona, z 22. na 23. stycznia, była przeznaczona na ogólne powstanie w całym kraju, wziął się raźnie do roboty, w czem staraliśmy się być mu pomocni. Ułożyliśmy wspólnie plan działania. Polegał on na napadzie nocnym na baraki kozackie. Celem napadu miało być przedewszystkiem rozbrojenie kozaków, o ile można bez strzału i bez rozlewu krwi; dopiero w razie oporu, miała nastąpić bitwa. Po ubezwładnieniu kozaków, z bronią tu zdobytą, powstańcy mieli zaatakować koszary inwalidów. O ile wykonanie tego planu mogło nie być trudnem w pierwszych dniach aż do niedzieli (dopóki Moskale byli zupełnie spokojni i nic nie przewidujący), o tyle potem okazało się zupełnie niepodobnem. Przygotowania tymczasem zajęły właśnie te dni najlepsze.

Punkt zborny dla powstańców naznaczony był za miastem w zabudowaniach jednego z mieszkańców. Żegliński bardzo gorliwie zajmował się temi przygotowaniami. Panie, jego i moja żona, przygotowywały ładunki. W niedzielę wieczorem wszystko już było gotowem, ludzie skonsygnowani i broń na miejscu złożona, cośmy wspólnie z Żeglińskim sprawdzili. Przybył także jakiś były oficer moskiewski, przysłany przez Frankowskiego, znalazł się też jakiś były wojskowy w mieście. Naznaczyliśmy zatem noc z poniedziałku na wtorek t. j. z 26. na 27. stycznia na wykonanie planu.

W niedzielę, 25. stycznia rano, przyjechał niespodzianie z Warszawy Władysław Daniłowski. Oprócz ustnego sprawozdania przywiózł list od Bobrowskiego. Ustnie udzielił nam wiadomości niezupełnie jasnych o akcyach w Sandomierskiem i w Podlaskiem. O Płocku nic jeszcze nie wiedzieli w Warszawie. Wogóle o pierwszych chwilach powstania w kraju nic jeszcze Daniłowski nie wiedział. Bobrowski donosił, że od Władysława Janowskiego nie było dotąd żadnych wiadomości; a ponieważ miał o przybyciu do Paryża zawiadomić telegraficznie, więc przypuszcza, że mógł być albo na granicy, albo gdzieś dalej aresztowany; dlatego żądał, żebyśmy sporządzili duplikat wezwania do Mierosławskiego, z którym Daniłowski powinien bezzwłocznie pojechać do Paryża. Uczy-

niliśmy to zaraz i tego samego dnia wieczorem Daniłowski odjechał koleją do granicy, przez Aleksandrów i Berlin[1]).

Duplikat, wręczony Daniłowskiemu, był opatrzony tą samą nową pieczęcią lakową, co i oryginał powieziony przez Janowskiego, bo pieczęć tę mieliśmy ze sobą[2]). Oprócz tego duplikatu Daniłowski nie otrzymał nic więcej, pojechał zatem w charakterze zwykłego kuryera z poleceniem wręczenia generałowi danego mu duplikatu. Były to te dwa dokumenta, na które później Mierosławski zawsze się powoływał i na których opierał nieskończone swe pretensye do dyktatury. Daniłowski, występując później w charakterze komisarza pełnomocniczego Rządu uzurpował sobie to stanowisko *).

---

[1]) Opis podróży Daniłowskiego. Zob. jego pamiętnik. R. XX. str. 209 i nn. (P. R.)

[2]) Opis podany przez Mierosławskiego (Dok. urzędowe. Paryż. 1864. str. 1) zgodny naogół z opisem, podanym przez Janowskiego w R. I. str. 63. (P. R.)

*) Gdy Mierosławski ogłosił swoje „Dokumenta urzędowe do dziejów organizacyi jeneralnej powstania narodowego w latach 1863 i 1864". (Paryż 1864), w których zamieścił także protest swój przeciw dyktaturze Langiewicza z d. 11 marca 1863 r. (str. 4—6), który jako świadkowie i komisarze pełnomocni Komitetu Centralnego jako tymczasowego Rządu Narodowego przy dyktatorze podpisali Władysław Daniłowski i Władysław Jeske (d. 15 marca 1863 r. P. R.), ja mieszkałem już wówczas w Paryżu; zaprotestowałem przeciwko tej uzurpacyi obu tych panów w czasopiśmie, wychodzącem w Szwajcaryi „Ojczyzna" z d. 26-go lutego 1865 r. Jedynym Komisarzem pełnomocnym K. C. jako tymczas. R. N. był mianowany Władysław Janowski aktem z d. 21-go stycznia 1863 r., Daniłowski zaś był posłany do Mierosławskiego, jako zwykły kuryer d. 25 stycznia. Ów Władysław Jeske, licha zresztą bardzo figura, przyczepił się tylko na drodze do Daniłowskiego i żadnej absolutnie misyi nie miał. Nazwisko to już raz wymieniłem mówiąc o delegacyi warszawskiej z r. 1861. (Tom II-gi pam.). Był to jeden z najgłośniejszych warchołów i krzykaczy w okresie manifestacyjnym. Był potem zagorzałym poplecznikiem burzących działań Ignacego Chmielińskiego, przerzucił się do obozu Mierosławskiego. Uciekł później w 1862 r. z Warszawy, gdzie mu było niebezpiecznie pozostawać, do Paryża i jako ajent generała Mierosławskiego przemykał się czasami do Warszawy, gdzie spełniał misyę wichrzyciela. W trzeciej części II-go tomu pamiętnika podałem jeszcze dosadniejszy rys charakteru Jeskego. Taki człowiek nie mógł być ajentem Komitetu Centralnego w Paryżu, za jakiego go Daniłowski w dalszym ciągu swego fantazyjnego opowiadania przedstawia. Na str. 208 swego pamiętnika Daniłowski opowiada: „Urządziwszy się przeto ze swemi czynnościami i dawszy zastępcę do Komisyi, wyjechałem coś 30. stycznia 1863 r. do Kutna". I jedno i drugie nie jest prawdą. Żaden z członków, czy to Komitetu, czy Komisyi nie miał prawa dawać zastępcy, tem więcej Daniłowski, który był w Komisyi delegatem tymczas. R. N., więc jego zastępcę mógł tylko tenże rząd mianować, a najwyżej sama Komisya. Daniłowski wyjechał z Warszawy w nocy z 24-go na 25-go stycznia, bo przybył do Kutna 25-go rano i tego samego dnia wyjechał do Paryża, a my wyjechaliśmy z Kutna 27-go w nocy. Opowiadanie o pobycie w Kutnie (Roz. XX.) jest również zupełnie nieprawdziwem w całej osnowie. Żegliński był naczelnikiem miasta Kutna, a nie komisarzem województwa Mazowieckiego. Moje opowiadanie wykazuje dobitnie nieprawdziwość twierdzeń Daniłowskiego. Są to rzeczy drobne, ale dowodzą, że z wielką ostrożnością trzeba przyjmować opowiadania tego pamiętnikarza. Ponieważ w mojem opowiadaniu nie będę mógł opisywać całego przebiegu sprawy przyjęcia w Paryżu dyktatury przez Mierosławskiego, bo tego zupełnie nie znałem, i dopiero teraz, po przeczytaniu pamiętnika Daniłowskiego i „Dziejów

Do samego wieczora w niedzielę był zupełny między Moskalami spokój. Tymczasem w poniedziałek, dnia 26. stycznia, spostrzegliśmy jakiś między nimi niepokój. Ktoś zawiadomił Żeglińskiego, żeby się miał na baczności, bo Moskale zwrócili już uwagę na zbieranie się i ruch w owych zabudowaniach za miastem, na punkt zborny przeznaczonych. Żegliński przez ostrożność kazał uprzątnąć i przenieść gdzieindziej broń tam przechowaną i uwiadomił ludzi o zmianie punktu zboru. Zaledwie jednak dokonano przenoszenia broni, gdy około godziny 5 popołudniu Moskale nagle otoczyli owe domostwa i odbyli ścisłą rewizyę. Wprawdzie nic już tam nie znaleźli, ale zaczęli rozwijać swą działalność. Patrole kozackie zaczęły przebiegać miasto, zwiększono posterunki przy barakach i koszarach. Późnym wieczorem przyszła do miasta rota piechoty i rozłożyła się barakiem na rynku. Zamierzony napad musiał być zaniechany.

1863 r.“ autora Historyi dwóch lat, dotknięty tem, co ci dwaj pisarze o tej sprawie mówią, a zachowanie się brata mego Władysława przedstawiają w sposób wysoce ubliżający jego pamięci i charakterowi, starałem się dojść prawdy.

Daniłowski (R. XX str. 214) pisze: „Do Paryża przyjechaliśmy o 10-ej z rana, (daty nie podaje). Rozpytałem się o Janowskiego i ku mojemu radosnemu zdziwieniu okazało się, iż on od kilku dni bawi w Paryżu. Przyjazd mój jednak był bardzo na czasie, gdyż Janowski obawiając się rewizyi w drodze, zjadł swoje papiery i nominacyę Mierosławskiego i przyjechał do Paryża z niczem (?), bez żadnych upoważnień, a ponieważ osobiście nie był znanym na emigracyi, żadnej przeto nie miał wiary, a nawet, jak to często bywa w takich czasach, zaczęto podejrzywać go o stosunki z ambasadą rosyjską. W jego urzędowe posłannictwo, nikt nie wierzył; wielce się przeto ucieszył Janowski, ujrzawszy mnie w Paryżu“. Opowiada dalej, że razem poszli do Mierosławskiego, który wiadomość o dyktaturze swojej przyjął z zadowoleniem i nieukrytą dumą, prosząc, żeby na dzień następny odłożyć „urzędowe przyjęcie i podpisanie układu“. Nazajutrz poszli w towarzystwie Jeski, ajenta komitetu Centralnego w Paryżu, spisali warunki i akt przyjęcia dyktatury. „Oba te dokumenta, na dwie przepisane ręce“, podpisał Mierosławski, Janowski, Jeske i on. Jeden egzemplarz wziął Daniłowski do Warszawy. O tych dokumentach nigdy nie słyszałem i nie widziałem ich, ale i Mierosławski w swoich „Dokumentach urzędowych do dziejów Organizacyi“ dokumentu tego nie podaje. Dalej znowu Daniłowski str. 216 powiada: „Janowski miał jako komisarz Rządu zostać przy dyktatorze“. Tym go mianował Komitet Centralny, więc zostając nim przy dyktatorze, musiał mu wręczyć nominacyę, bo inaczej Mierosławski byłby go nie uznał. Więc tę nominacyę miał, nie zjadł jej, więc i wezwania Mierosławskiego na dyktatora także nie zjadł. Tu Daniłowski jest w sprzeczności ze sobą. Autor „Dziejów r. 1863“ (Tom I str. 36) w tym samym przedmiocie pisze: „Postanowiono z odpowiednio zredagowanem zaproszeniem wysłać do Mierosławskiego do Paryża Władysława Janowskiego, któremu do pomocy dodano Jeskego i Daniłowskiego i t. d. „To jest nieprawdą, bo Janowski sam był wysłany. Dalej (l. c. str. 370) pisze: „Tenże sam Władysław Janowski, który chwilowo w Komitecie zastępował nieobecnego swego brata Józefa (poprostu autor ten poprzemieniał imiona i funkcye), odnośną uchwałę czemprędzej powiózł do Paryża w d. 21 stycznia. Gdy jednak przez kilka dni z rzędu żadnej nie było wiadomości od Janowskiego, gdy z Paryża nie nadchodził umówiony telegram, gdy przytem rozeszła się pogłoska (jak niektórzy utrzymują prawdziwa), że Janowski w przejeździe przez granicę, lękając się rewizyi, dekret Komitetu zniszczył, wygotowano więc d. 25-go

Położenie nasze w Kutnie zaczynało być nieprzyjemnem. Odcięci zupełnie od Warszawy, pozbawieni wszelkich wiadomości, byliśmy w wysokim stopniu niespokojni o los powstania. Wysłany jeszcze w sobotę kuryer do Płocka nie wracał. Wiadomości, zakomunikowane nam w liście Bobrowskiego o Podlaskiem i Sandomierskiem były bardzo niejasne. Postawa Moskali w Kutnie zaczynała być groźną. We wtorek, d. 27. stycznia, od rana rozpoczęto rozmaite rewizye w mieście. Jeszcze w poniedziałek wieczorem Żegliński, spodziewając się u siebie rewizyi radził mi, żebym wyjechał z miasta i ulokował się na folwarku u dzierżawcy, gdzie, jak mówiłem, byli Awejde i Majkowski, co też uczyniłem. We wtorek rano przyjechali tam także obaj Kesslerowie.

Niebawem przyjechał z Warszawy, przysłany przez Bobrowskiego ksiądz Pijar (nazwiska nie pamiętam). Przywiózł wiadomość o zupełnie nieudanym napadzie na Płock, gdzie powstanie poniosło

---

stycznia nowy tego rodzaju dokument i z nim wysłano Władysława Daniłowskiego" i dalej „do tych dwóch posłów: Janowskiego i Daniłowskiego przyłączył się za granicą Władysław Jeske, i t. d.". Twierdzenie obu tych autorów, że ś. p. brat mój ze strachu przed rewizyą zniszczył oba dokumenty, przez Rząd mu doręczone, nadzwyczaj boleśnie mnie dotknęło, bo ubliżyło w wysokim stopniu jego charakterowi. Szanując pamięć mego brata, znając jego nieugięty charakter, silną wolę i odwagę, byłem przekonany, że twierdzenie obu tych autorów jest wręcz nieprawdziwe; poczułem się więc do obowiązku wyświetlenia prawdy i oczyszczenia jego pamięci z tak ciężkiego uczynionego mu zarzutu. Sama logika wskazywała, że brat mój mógł to doskonale rozumieć, że bez tych dokumentów nie miałby po co jechać do Paryża i że nie mógłby spełnić powierzonej mu misyi. Przypomniałem sobie, że razem z bratem moim jako towarzysz pojechał Stanisław Krzemiński. Znałem go dobrze, bo był potem członkiem Rządu Narodowego, wiedziałem, że żyje, że jest współredaktorem wydawnictwa „Sto lat myśli polskiej". Odniosłem się więc d. 2-go czerwca 1909 r. listownie do niego. Odebrałem odpowiedź d. 22 czerwca t. r. Podaję tu w całości część listu tego, do tej sprawy się odnoszącą.

„Na zapytania, na poruszone wątpliwości odpowiadam: 1°) d. 20. stycznia 1863 r., późnym już wieczorem między 8-mą a 9-tą zaskoczony żądaniem, które szczególniej Majkowski gorąco popierał, przystałem na podróż do Paryża — jednakże nie jako towarzysz ś. p. brata pańskiego, znający wielkie miasto i mogący ułatwić oryentowanie się w nim — ale jako rzecznik propozycyi, któremu przypisywano wpływ na Mierosławskiego, choć ja wówczas nietylko wpływu (nigdy go nie miałem), ale ciążenia nie miałem. Gdym przed samem Bożem Narodzeniem wrócił do kraju, uproszony rzeczywiście przez Kurzynę do zlustrowania tak zwanej Organizacyi Mierosławskiego i w rozmowach z Bauerfeindem, Smaczmuskim(?), Ceisingerem (zdaje mi się, że i z Kaczkowskim) poznałem marność stosunków tego Komitetu, a potem zestawiłem ją z natarczywością i szumnem hasłem, od razu prysnął mój młodzieńczy zachwyt. Jeżeli przed członkami K. (omitetu) C. (entralnego), nie taiłem, w charakterze gorżkiej wymówki, przedwczesności powstania, tem więcej goryczy doznać musiałem wobec władzy, świadomie podtrzymywanej, a tego właśnie dopuszczali się Mierosławczycy. Zaskoczony jednak żądaniem, niepewny przyszłości, widząc sam Komitet Centralny, przeskakujący przepaść, która go od Mierosławskiego dzieliła, wierząc jeszcze w możność poparcia dyalektyką swoją żądania Komitetu, aby nic nie mieć do wyrzucenia sobie, gdy nic już ruchu wstrzymać nie mogło, przystałem na propozycyę. — Owego wieczora wtorkowego w mieszkaniu wspólnem Awejdy, Majkowskiego i mojem

nawet klęskę. Wszystkie też nasze projekta upadły, czem byliśmy mocno skonsternowani.

Zaczęliśmy narady, co nam dalej czynić wypada, gdy wtem przyjechał Żegliński razem z żoną moją i ostrzeżeniem, że Moskale zwrócili uwagę na tak licznych gości u dzierżawcy, że i tu pobyt nasz jest bardzo zagrożony i że powinniśmy wyjechać. Nie chcąc się dostać w łapy moskiewskie, musieliśmy wyjeżdżać.

Przez tego samego księdza donosił nam Bobrowski, że Langiewiczowi wcale się nieźle dotychczas powodzi, że organizuje się i zbiera w Wąchocku i ma najlepsze widoki dalszego powodzenia. Trwaliśmy ciągle w tem przekonaniu, że rząd powstańczy nie może być tajemnym i że koniecznie musi się ogłosić, a ogłosić się może w miejscowości, gdzie powstanie się powiedzie i która przynajmniej na czas dłuższy będzie wolna od Moskali. Opierając się na wiadomościach o Langiewiczu, postanowiliśmy udać się do niego i choćby

---

był ś. p. brat pański, był Witold Marczewski, był Jarosław Awejde, byli i obaj współmieszkańcy moi. Namowy trwały długo; w końcu uległem. Ś. p. Władysław miał razem ze mną jednym pociągiem nazajutrz o godz. 10-tej wyjechać; przed tą godziną miał być na peronie Marczewski, wręczyć mi paszport i bilet. Paszportu nie otrzymałem wcale, a bilet tylko do Skierniewic. Już wtedy panował stan wojenny".

„2º) Wyjechaliśmy obaj, brat pański i ja, d. 21-go stycznia we środę. P. Władysławowi zawdzięczałem to, żem już w Skierniewicach nie uwiązł, spotkał jakiegoś znajomego i za jego paszportem kupił mi bilet. Dojechaliśmy do Myszkowa już coś o 11-tej w nocy. Szczęśliwy traf sprawił, że na tej właśnie stacyi, która dla nas była najważniejszą, nie zastaliśmy ani jednego żandarma; uniknąłem przez to kontroli paszportowej i wydostawszy się na zewnątrz wynajętą bryczką, pojechaliśmy do Pilicy, stamtąd do Słomnik, a wreszcie do celu podróży do Kacic, dzierżawionych wówczas przez Majzla, żyda-polaka, znajomego dobrze ś. p. bratu pańskiemu. W Kacicach rozstaliśmy się. On pojechał do siebie, ja do Krakowa końmi Majzla na Szyce, gdzie już stanąłem tak późno, że mnie austryacki urzędnik wpuścić nie chciał; miałem półpasek. Odtąd aż do Paryża nie widziałem się z bratem pańskim. Na Wrocław (dla zdobycia paszportu wymaganego na granicy francuskiej) przyjechałem w niedzielę d. 25 stycznia do Paryża. Zaraz zobaczyłem się z Kurzyną, opowiedziałem o misyi brata i swojej, a nazajutrz z rana (przed południem) według umowy, przyszedłszy na rue Monffetard do Mierosławskiego, zastałem tam już brata Pańskiego i Kurzynę; nikogo więcej. Mierosławski się opierał, nakładał na siebie wysoką cenę, żądał zupełnej podległości, domagał się przyjazdu Rządu Narodowego do obozu. Sam wyjazd swój a raczej objęcie dowództwa, już na miejscu w kraju czynił zależnym od czysto materyalnych warunków. 1-sze) Wkroczy w towarzystwie Poznańczyków i rodaków z Prus zachodnich pod Brodnicą, gdzie miał od dawna stosunki z Sypniewskim i Sierakowskim. 2-gie) Na granicy czekać go będzie oddział wyborowy z kraju samego powstania z młodzieży najdzielniejszej. 3-cie) Ku punktowi przejścia granicy, ku linii pochodu od niej, ciążyć będą wszystkie oddziały powstania Płockiego. 4-te) Jak najenergiczniej zabiorą się w tej chwili władze powstańcze krajowe, do robienia wozów obmyślanych na powstanie 1846 r. 5-te) Czas na to wszystko do chwili wkroczenia będzie trzydniowy. To zapamiętałem, to pamięć jeszcze świeża zatrzymała przez całe powstanie i z chwilą ocknienia po pogromie (jakoś rok 1865) oddała mi we wspomnieniach.

„Kiedy trzeba było łamać opór zasadniczy z wymówkami złączony, brat pański gorąco do Mierosławskiego przemawiał. Kurzyna kamiennym chłodem, ale

w jego obozie, ogłosić rząd i oczekiwać tam przybycia Mierosławskiego. Dla poinformowania się lepszego o sile i pozycyi Langiewicza, wysłaliśmy tymczasem na zwiady tego samego księdza Pijara, na co ten się chętnie zgodził. Umówiliśmy się z nim, że na wiadomość od niego będziemy oczekiwać w Łodzi. Łódź zaś wybraliśmy dlatego, że, zbliżając się do Langiewicza, nie oddalaliśmy się zbytecznie od Warszawy, z którą chcieliśmy w ciągłej zostawać komunikacyi. Obaj Kesslerowie mieli wracać do Warszawy i przez nich zawiadomiliśmy Bobrowskiego o naszem postanowieniu. Wieczorem, już około g. 8-mej, Żegliński powtórnie nas ostrzegł, że bardzo być może, że tej nocy odbędą rewizyę na folwarku. Jak się później dowiedzieliśmy, obawy i ostrzeżenia Żeglińskiego nie były płonne; bo wprawdzie nie tej nocy, ale następnej Moskale napadli na folwark i rewizyę przeprowadzili.

---

i mocą go tłoczył; ja powiedziałem mu: Generale! „Dyktaturę zwykle się bierze. Ty ją dostajesz i jeszcze się wahasz. W końcu uległ. Sprawa cała była ubita przyjazdem Daniłowskiego. Podczas namów i następnych porozumień ani razu nie wystąpiła kwestya pełnomocnictwa, czy je przywiózł ze sobą brat pański, czy nie. Przed wyjazdem, który nastąpił w parę dni po owym poniedziałku na Monffetard, widziałem się z Kurzyną parę razy, ale on ani razu nie wspominał o pełnomocnictwie, o takim lub innym sposobie zniszczenia go, a byłby to niezawodnie uczynił, gdyby sam fakt istotnie się wydarzył. Mniemam dalej, że przecież i rozmowa nie mogłaby przybrać tonu rokowań o szczegóły, gdyby pełnomocnictwo stawało na przeszkodzie do zasadniczego rozstrzygnięcia. Nigdy przez całe powstanie nie słyszałem z żywych ust podania o zjedzeniu. Daniłowski mógł go zaczerpnąć z jakiegoś mylnego źródła, mógł w nie wierzyć, sam będąc bardzo niekrytycznym umysłem (poznałem go przedtem w Warszawie), a człowiekiem niezmiernie próżnym. Przyjęcie motywu wysłania go: że Komitet, nie mogąc się doczekać sprawozdania od ś. p. brata pańskiego, niespokojny o misyę, wysłał Daniłowskiego; przyjęcie tego motywu przez historyka powstania nie jest godnem historyografii. Komitet Centralny mógł się spodziewać sprawozdania nie wcześniej, jak w tydzień, a Daniłowski misyę swoją miał otrzymać już 25-go stycznia". (Faktem jest jednak, że w liście Bobrowskiego, który nam do Kutna przywiózł Daniłowski, ten motyw był wyraźnie podany i dlatego uczyniliśmy zadość życzeniu Bobrowskiego i wydaliśmy duplikat d. 25-go stycznia w Kutnie).

Krzemiński w liście tak dalej pisze: „Zupełnym fałszem jest twierdzenie, że Władysław Janowski nie widział się z Mierosławskim; powyższe opowiadanie zbija je doszczętnie. Daniłowski chciał sobie całą zasługę przypisać i oto jest historyczna prawda. Zresztą zaliż Szanowny Pan nie zauważył, że jego pamiętnik (t. j. Daniłowskiego) ma daleko więcej miąższu lekkiego, nawet miejscami nieprzyzwoitego wobec dziejopisarstwa, niż rzeczywiście poważnych, jeżeli już nie świadectw, to przynajmniej podniet do snucia wspomnień poważnych".

Oto osnowa listu Stanisława Krzemińskiego, który w wiernej kopii podaję. Opowiadanie Krzemińskiego przekonywa o zupełnej nieprawdziwości opowiadania tak Daniłowskiego, jak i autora „Dziejów 1863 r.", o zniszczeniu dokumentów przez brata mego Władysława. Stwierdza natomiast, że brat mój już 26-go stycznia był razem z Krzemińskim u Mierosławskiego i sprawę załatwił, gdy w tym dniu Daniłowski, wyjechawszy z Kutna 25-go stycznia, był dopiero w podróży i mógł stanąć w Paryżu dopiero 28 stycznia. Całe zatem opowiadanie Daniłowskiego o uciesze mego brata, jak go zobaczył i dalsze tego następstwa jest zupełnie zmyślone. W całym pamiętniku Daniłowskiego przebija wielka próżność i chęć wykazania szczególnej ważności nietylko jego osoby, ale i jego działania.

We wtorek więc, 27. stycznia, o g. 10. w nocy wyjechaliśmy z Kutna wszyscy razem, kierując się ku Łęczycy. Nie chcąc odbywać podróży w nocy, zatrzymaliśmy się o pół mili drogi u proboszcza w N. (nazwiska miejscowości nie pamiętam), gdzie ks. Mikoszewski pojechał naprzód. Nazajutrz rano ks. proboszcz dał nam konie do Łęczycy.

Po drodze spotykaliśmy oddziały wojska, gdyż Moskale rozpoczęli ruch koncentracyjny, którego środkiem w tej okolicy była właśnie Łęczyca, jako stolica powiatu i punkt strategiczny. Około 2. popołudniu stanęliśmy w Łęczycy. Prawie jednocześnie z drugiej strony od Zgierza wchodził do miasta batalion piechoty moskiewskiej. Żal nam było, że w całej tej okolicy nie było ani jednego powstańca. Żołnierz moskiewski był tak zmęczony, zbiedzony i wystraszony, a przytem pijany, że, w niczem nie przesadzając, same łęczyckie kobiety w puch ów batalion rozbićby mogły. Batalion stanął na rynku, a wpół godziny trzy czwarte i więcej może żołnierzy leżało bez duszy na swoich tornistrach, pomimo ulewnego deszczu i zimna. Zajechaliśmy na probostwo i zaraz posłaliśmy na pocztę zamówić karetkę pocztową. Chcieliśmy się widzieć z drem Dworzaczkiem, który był naczelnikiem organizacyi powiatu Łęczyckiego, ale nie zastaliśmy go w domu. Posiliwszy się obiadem u proboszcza, pojechaliśmy dalej do Zgierza. Tu postanowiliśmy zanocować. Ks. Mikoszewski pojechał dalej końmi proboszcza do Łodzi, gdzie miał także u proboszcza zamieszkać. W Zgierzu mieszkała moja blizka krewna p. Stanisława Czerniawska, wdowa po moim bracie ciotecznym, więc zajechaliśmy wprost do niej wszyscy czworo, t. j. ja z żoną, Majkowski i Awejde. P. Czerniawska była bardzo zacną niewiastą, a gorliwą, nawet bardzo gorliwą patryotką (była córką majora, czy podpułkownika byłych wojsk polskich Jarnowskiego). Przyjęła nas bardzo gościnnie i serdecznie. Zaprezentowałem moich towarzyszów z ich nazwisk przybranych. Majkowskiego znała dobrze jako kolegę niegdyś jej męża, lecz z wielkim taktem, ponieważ zastaliśmy u niej parę osób obcych, niczem tej znajomości nie zdradziła. Sprytna kobieta odrazu zrozumiała, co się święci. Majkowski i Awejde chcieli iść nocować do oberży, ale na to nie pozwoliła; dla wszystkich znalazła pomieszczenie.

W Zgierzu prawie żadnej nie było organizacyi, gdyż kilkunastotysięczna ludność tego miasta fabrycznego prawie z samych Niemców była złożoną, podobnie jak sąsiednich miast fabrycznych, Łodzi

i Pabjanic. Uprzedziłem p. Czerniawską, że tu tylko przenocujemy, a raniutko pojedziemy do Łodzi, gdzie mamy jakieś interesa do załatwienia, a ja z żoną przy tej sposobności chcemy odwiedzić jej szwagra, dobrze mi znanego Jana Cichockiego; prosiłem, żeby rano posłała kogo na pocztę zamówić dla nas konie. Objaśniła mnie, że właśnie rano odchodzi do Łodzi karetka pocztowa, że potrzebujemy tylko zamówić tam miejsca, co jeszcze dzisiaj można zrobić. I tak się stało. Parę godzin wieczornych zeszło nam bardzo przyjemnie na swobodnej pogawędce, naturalnie o powstaniu. P. Czerniawska bardzo ubolewała nad tem, że dotąd w tej okolicy jest zupełnie cicho.

Nazajutrz coś o 8., czy o 9. rano, żegnani bardzo serdecznie życzeniami powodzenia i szczęścia, pojechaliśmy do Łodzi. Podróż karetą pocztową strzegła jeszcze teraz i zabezpieczała od napaści wojska. Na odgłos trąbki wojsko ustępowało i dozwalało swobodnego przejazdu. Zaledwieśmy milkę ujechali, gdyśmy natknęli na bateryę artyleryi moskiewskiej, konwojowaną przez sotnię kozaków i dwie roty piechoty, rozłożoną w lesie na odpoczynek, a zdążającą także do Łęczycy. Oddział ten zajmował prawie dwie wiorsty, tak gościńca samego, jak i obie jego strony. Trąbka pocztowa ułatwiła nam przejazd, choć musieliśmy jechać prawie stępo. Jak ów batalion w Łęczycy, tak i w tym oddziale ludzie byli bardzo pomęczeni i prawie wszyscy pijani, choć to była dopiero godzina 10. rano. Odpoczywali zupełnie bezpieczni, bo w tej okolicy, w całem Łęczyckiem i Piotrkowskiem, jak i w całem województwie Mazowieckiem i Kaliskiem była zupełna cisza. Zrozumie każdy, jak przykrego wrażenia, pełnego głębokiego smutku, doznawaliśmy na widok tak swobodnie chodzącego po kraju żołnierstwa, gdy w innych województwach krew się już lała. Brak oficerów był główną przyczyną tego spokoju, Stanisław Frankowski, komisarz województwa Mazowieckiego, najlepszych chęci, ogromnego poświęcenia osobistego, ale marzyciel, głośno przedtem prawiący o siłach i możliwości powstania, nie upatrujący żadnych braków i niedostatków, rachujący na szał i zapał młodzieńczy, które za jedyną uważał dźwignię, nie zdołał do tej chwili ani jednego w całem województwie poruszyć powstańca. Sprzysiężenie oficerskie zupełnie nie dopisało, a należący do niego spiskowi dostawili znaczny poczet najzapaleńszych prześladowców powstania, jak Bentkowski, ks. Szachowski, Dobrowolski, Czengiery i inni. Nie pomnę, o czem jadąc

rozmawialiśmy, lecz pamiętam, że było mi smutno i wściekło zarazem w duszy, bo tego samego uczucia doznaję dzisiaj, pisząc to. Lecz pomnę także, że ani cień zwątpienia przez myśl mi nie przeszedł; wierzyłem w siłę i patryotyzm narodu, wierzyłem w powstanie ludu wiejskiego i na tem głównie budowałem powodzenie. Nikt mi zarzucić nie może, bym szedł bez wiary dla dogodzenia tylko ambicyi, lub dla uparcia się przy swoim. W powodzenie powstania i ostateczne zwycięstwo wierzyłem całą siłą duszy mojej, wierzyłem prawie do końca.

Około południa przybyliśmy do Łodzi i zajechaliśmy prosto do p. rejenta Jana Cichockiego, narodowego naczelnika miasta, mego powinowatego. Żona jego, p. Kamila z Jarnowskich, była rodzoną siostrą p. Czerniawskiej, u której nocowaliśmy w Zgierzu. Oboje pp. Cichoccy byli zacni bardzo ludzie i gorliwi patryoci. Pan Cichocki jeszcze w spisku ks. Ściegiennego brał udział; aresztowany, kilka lat przesiedział w więzieniu twierdzy Zamościa *). Mieliśmy

*) Pp. Cichockich znałem wówczas bardzo mało, mieszkali na prowincyi i rzadko do Warszawy przyjeżdżali. Teraz dopiero, bawiąc u nich dni parę, poznałem ich bliżej i bardzo mi przypadli do serca. Zetknęliśmy się znowu w r. 1864 w Dreźnie. Jednakowe położenie wygnańców zbliżyło nas więcej. Z Drezna, po dwumiesięcznym tam pobycie, wyjechałem do Paryża; oni zostali w Dreźnie, a w jakiś czas wyjechali do Szwajcaryi i stamtąd w r. 1866 przenieśli się do Galicyi, gdzie p. Jan objął stanowisko dyrektora Zakładu naftowego w Chorkówce u P., znanego pioniera przemysłu naftowego. Po śmierci tego pana (nie pamiętam w którym roku), pp. Cichoccy zamieszkali w Podgórzu pod Krakowem. Tu, jakkolwiek p. Cichocki miał jakiś kapitalik, który mógł mu wystarczyć na utrzymanie, lecz, żeby nie próżnować, za jakiemś skromnem wynagrodzeniem pełnił obowiązki buchaltera w miejscowej Kasie zaliczkowej. Gdy przyjechałem w r. 1874 do Lwowa, a miałem powierzoną przez Wydział Krajowy budowę szpitala w Krakowie, musiałem tam często dojeżdżać; zetknąłem się znowu z Cichockim i odtąd zawiązał się między nami bardzo blizki, serdeczny i przyjacielski stosunek. Ile razy byłem w Krakowie, czy sam, czy z żoną, zawsze do nich zajeżdżałem. Gdyśmy obydwaj owdowieli, ja w r. 1890, a Jan w r. 1892, jednakowe to położenie jeszcze nas więcej zbliżyło i zawiązała się bardzo częsta korespondencya. Był to człowiek bardzo wykształcony, oczytany, którego wszystko, co się działo w świecie, a szczególniej w Polsce, bardzo obchodziło, więc listy jego były bardzo zajmujące. W r. 1898 przeniósł się Cichocki do Skawiny. Tu zamieszkała z nim p. Czerniawska, siostra jego żony, równie jak i on już staruszka. Mając już lat blisko 80, żeby nie próżnować, pracował darmo jako buchalter w Kasie zaliczkowej. Był dosyć zamożnym; a w jednym z listów ze Skawiny powiada, że ma 18000 rubli, a przeszło 15000 rubli porozpożyczanych przepadło mu. Rzeczywiście miał bardzo dobre serce, którego też nadużywano. Wielu młodym obojej płci pomagał sowicie. W 1903 r. umarła jego towarzyszka Czerniawska. Staruszek został sam. Ciało odmawiało mu już posłuszeństwa, ale umysł miał czerstwy, pamięć doskonałą do samej śmierci. Mam jego list obszerny, drobnem, ale czytelnem pismem pisany na parę tygodni przed śmiercią. Umarł w r. 1906 mając lat 89. Ciężkie miał życie, o którem w jednym z listów pisanych w r. 1903 wspomina. Powiada tam: „Dwa razy się siedziało w Cytadeli, zostawiając poza nią żonę i dziecko, straciło się posadę, a nie było zapasów; w więzieniu człek się martwił, z czego będzie żyć, ale była młodość, energia i człek wydobył się na wierzch. Była radość, ale niedługa. Umarł mi jeden chłopczyk. Dał Bóg drugiego, lecz i tego

tu zabawić parę dni; pp. Cichoccy dali nam wszystkim czworgu gościnę.

Miasto Łódź liczyło wówczas już około 40.000 mieszkańców, w tem blisko trzy czwarte Niemców i Żydów. Było już ono wówczas fabrycznem i założonem na wielkie miasto. Przez Łódź przechodził główny bity gościniec z Warszawy przez Sieradz do Kalisza. Miasto dosyć już zabudowane przeważnie parterowemi domami, po obu stronach gościńca, ciągnęło się na długość 7. do 8. wiorst. Parę zaledwie ulic na tej długości wychodziło na boki ku zakładom fabrycznym. Gdzieś w środku był jakby plac, rynek; tu były piętrowe domy. Od strony Zgierza, niedaleko od wjazdu do miasta, po lewej stronie, odsunięty dosyć znacznie od gościńca, stąd dosyć pokaźny, kościół katolicki z zabudowaniami probostwa. Pp. Cichoccy mieszkali niedaleko owego rynku w domu piętrowym. Miasto Łódź, jakkolwiek tylko w $^1/_4$ złożone z ludności polskiej, było jednak dosyć patryotycznem. Nie było wówczas rzadkością, że Niemcy w Królestwie zamieszkali, szczególniej dawniej osiadli, dosyć prędko się polszczyli, przyjmując język i kulturę polską szczególnie w pierwszem, w Polsce już urodzonem, pokoleniu. Na asymilacyę tę wpływało polityczne położenie kraju. Moskwa ciężkiem swem prześladowaniem, dotykającem wszystkich i nie robiącem różnicy we wszystkich warstwach bez względu na narodowość, tworzyła sobie nieprzyjaciół. Szkoły były polskie, do których Niemcy posyłali dzieci swoje, a te, stykając się tu z dziećmi patryotycznego mieszczaństwa polskiego, przyjmowały łatwo i polskie uczucia i powoli stawały się patryotami polskimi. Naturalnie, że między Niemcami nie zabrakło i zajadłych, jak i dziś, nieprzyjaciół polskości i byli nawet może liczni, lecz nie ujawniali się tak ze swoją

---

po paru latach Bóg zabrał. Były to ciosy okropne. Śmierci te wstrząsnęły głęboko. Piłem, chodziłem w nocy na cmentarz myśląc, że zmarły dzieciak odezwie się z grobu. Piekło było w duszy. I to przetrwałem, ale w duszy się coś popsuło. Żona podtrzymywała. Nadszedł rok 1863. Choć nie byłem w nim gorącym stronnikiem, ale groziło mi aresztowanie; przez rok tułałem się po kraju, ale było to bolesne tułanie się. Przyszło do tego, że bano się mieć mnie u siebie. Jedni do drugich wypychali. Często w nocy jak złodzieja wywożono ze strachu. Żona przekupstwem uzyskała paszport. Wyjechaliśmy do Krakowa. Stąd pomimo paszportu wygnano nas, pojechaliśmy do Drezna. Zapasy się wyczerpały. Wyjechaliśmy do Szwajcaryi, myśląc że tam się znajdzie jakieś zajęcie. Nie było. W dodatku odebrałem wiadomość, że osoba u której w Królestwie się ukrywałem i u której kilka tysięcy zostawiłem, straciła wszystko. Jedziemy do Galicyi za paszportem szwajcarskim. Ze Lwowa, dokąd przybyłem, wygnano mnie. Nowa rozpacz. Gonionego, jak psa wściekłego, uratowało od wygnanla z kraju przypadkowe zapoznanie się z posłem Wężykiem i t. d.“ Wieluż to z Polaków podobny los spotkał. Wspomnienie to jest hołdem czci, oddanym nietylko przyjacielowi, ale przedewszystkiem wysokiej zacności człowiekowi i gorącemu patryocie.

nienawiścią. Więcej jednak było Żydów, niż Niemców. Ci za czasów Mikołaja byli srodze prześladowani. Zmuszano ich często policyjnie do zmiany ubiorów, obcinano chałaty i pejsy; stąd między Żydami mieli Moskale licznych nieprzyjaciół. Żyjąc ciągle między Polakami, zależni od nich w stosunkach handlowych, ekonomicznych, jakkolwiek nie stawali się Polakami (rzadkie były okazy Żydów-Polaków), to jednak w znacznej większości byli przyjaźnie dla Polski usposobieni. Pod wpływem owych wielkich wypadków roku 1861, w których duch narodu polskiego w całej swej objawił się potędze i majestacie, Żydzi prawie stanowczo przechylili się na polską stronę. W powstaniu zdarzały się częste wypadki, że Żydzi sami zgłaszali się do władz narodowych ze swemi ofiarami, uskarżając się, że o nich zapomniano: a przecież i oni chcieliby się czem Ojczyźnie przysłużyć. Wielu Żydów służyło w organizacyi i poszło potem na Sybir, lub na dobrowolne wygnanie. Znamienną także jest rzeczą, że Żydzi znikomo małą ilość szpiegów dostarczali Moskalom.

Organizacya narodowa w Łodzi liczyła kilkuset członków, między nimi wielu Niemców i Żydów. O powstaniu w mieście nie można było myśleć, bo tu zawsze stało parę tysięcy wojska z dwiema bateryami artyleryi. Po wybuchu powstania Moskale prawie zupełnie opuścili Łódź; koncentrowali oni swoje siły w tej okolicy: w Łęczycy i Piotrkowie, i tam też z Łodzi wojsko przeniesiono. Ta taktyka skupiania sił moskiewskch mogłaby być bardzo korzystną dla powstania, gdyby ono było dostatecznie przygotowanem. Niestety wszędzie brakowało broni. Nawet nie wszystka broń myśliwska była przez władze prowincyonalne zebraną, kosy też nie były w dostatecznej ilości przygotowane.

Tu otrzymaliśmy od Bobrowskiego niektóre szczegóły o pierwszej chwili powstania w nocy z 22. na 23. stycznia. W Płockiem pułkownik Bończa, który mógł mieć do dyspozycyi tak w samym Płocku, jak i w okolicy zgromadzonych około 2.000 powstańców, zamierzał uderzyć na miasto z czterech stron. Wszystkie przygotowania, w ścisłej utrzymywane tajemnicy, miał mieć poczynione. Tymczasem w samą wilię wybuchu tajemnica została złamana i głuche wieści zaczęły krążyć po mieście o mającej wybuchnąć rewolucyi. Wiadomość, podawana z ust do ust, obiegła całe miasto, dostała się też i do Moskali, którzy poczynili przygotowania do odparcia napadu. Przed nadejściem nocy skonsygnowali wojsko w koszarach, obsadzili rogatki i silne patrole wysłali za miasto. Powstańcy przygotowani do nagłego, a niespodziewanego napadu, zna-

lazłszy opór nie dotrzymali placu, a choć nawet w kilku miejscach bili się dobrze, musieli jednak ustąpić pod naciskiem regularnego żołnierza, ośmielonego nadto pierwszem powodzeniem. Ostatecznie wszystkie oddziały, przeznaczone do napadu na miaso, zostały rozbite [3]).

Mówiąc wyżej o przygotowaniach powstańczych i o sile organizacyi w różnych województwach, wymieniłem województwo Płockie, jako najmocniejsze w zasobach materyalnych i liczebności sprzysiężonych, ale zarazem jako najmocniejsze także i najlepiej zorganizowane w stronictwie przeciwnem, tak zwanem białem, i że między obu organizacyami zachodziło ciągłe tarcie i wzajemne sobie przeszkadzanie. Otóż, jak dowiedzieliśmy się później, gdy tu powstaniu w pierwszej chwili powinęła się noga, przewódcy stronnictwa białego nie omieszkali z tego skorzystać. Pułkownik Bończa, niezrażony tem pierwszem niepowodzeniem, chciał dalej rzecz prowadzić, lecz opadnięty przez Karola Ujazdowskiego, naczelnika województwa białej organizacyi, uległ jego przedkładaniom i prośbom, dał się przekonać, że dalsza walka nie doprowadzi do niczego, że wszystko jest już stracone, że przez dalsze upieranie się narazi tylko kraj na większe jeszcze klęski i straty, opuścił stanowisko i wyjechał za granicę. Gdy wiadomość ta doszła do Warszawy, Bobrowski posłał natychmiast rozkaz Padlewskiemu, który z puszczy Kampinoskiej przeszedł był już w Płockie, żeby natychmiast objął naczelnictwo wojskowe województwa Płockiego.

Szlachta płocka wraz ze swym naczelnikiem Karolem Ujazdowskim zawiodła się mocno w myśli, że, wysyłając Bończę za granicę, zabije tu powstanie. Nie dała jednak za wygraną i przez cały czas powstania nigdy szczerze do niego nie przylgnęła. Temu oporowi i niechęci płockiej szlachty należy przypisać, że powstanie w tem województwie, pomimo ogromnych wysiłków, pomimo doskonałej pozycyi, sąsiedztwa granicy pruskiej, przez cały czas trwania nie miało nigdy takiego powodzenia, jak w innych województwach.

Bończa po pewnym przeciągu czasu powrócił do kraju, sformował oddział konny w Opoczyńskiem; bił tam Moskali, ale bił i szlachtę, mszcząc się za krzywdę w Płockiem, przez nią mu wyrządzoną. Zginął w bitwie pod Górą dnia 18. czerwca [4]).

---

[3]) Por. Berg Zapiski. II. str. 419—424. Tł. pol. II. str. 292—296. (P. R.)

[4]) Por. Kolumna Z. Pamiątka. cz. II. str. 14. Zmarł z ran, według urzędowego raportu, 19. lipca 1863. W bitwie pod Górą ciężko ranny. (P. R.)

Wiadomości, udzielone przez Bobrowskiego o powstaniu w Łomżyńskiem, oraz w województwach Podlaskiem, Lubelskiem, Sandomierskiem i Krakowskiem były bardzo luźne i nie mogliśmy dokładnego mieć pojęcia o powodzeniu; widzieliśmy tylko, że zakreśliło ono dosyć obszerne koło. Rozumieliśmy jednak, że im powstanie obejmie więcej przestrzeni, tem będzie trudniej nieprzyjacielowi przerażonemu i nieprzygotowanemu stłumić go w pierwszej chwili. Przetrwanie kilku tygodni dozwoliłoby trwalszej organizacyi drobnych oddziałów, z których następnie dałyby się wytworzyć większe zbrojne zastępy. Koncentrowanie się Moskali w większych miastach i opuszczenie całych wielkich połaci kraju mogło sprzyjać tej właśnie akcyi z naszej strony. Liczyliśmy, że broń zagranicą zakupiona przecież nadejdzie. W województwach Kaliskiem i Mazowieckiem była dotąd cisza. Wiele na tem zależało, żeby i tu przecież powstanie dało znak życia. Wezwaliśmy więc do Łodzi komisarzy tych województw, Stanisława Frankowskiego i Gustawa Wasilewskiego, i napieraliśmy na nich, by, jak można, najprędzej przyspieszali organizacyę i z zasobami, jakie mają, wychodzili na pole jawnego działania. Konieczność powstania w tych województwach była tem naglejszą, że one przytykały do granicy Poznańskiego i Prus wschodnich, skąd prawdopodobnie broń miała nadejść i że z tej strony prawdopodobnie będzie chciał przybyć Mierosławski. Obaj komisarze zapewnili nas, że zupełnie rozumieją potrzebę ujawnienia ruchu w tych okolicach, ale z braku oficerów zrobić tego dotąd nie mogli, dołożą jednak wszelkich starań, żeby i tu powstanie dało znak życia. Wezwaliśmy także do Łodzi naczelnika powiatu Łęczyckiego, dra Dworzaczka, a do porozumienia się z nim delegowaliśmy Oskara Awejdę. Dworzaczek oświadczył, że z pewnością potrafi sformować oddział silny do 1000 ludzi, lecz potrzebuje na to jeszcze paru tygodni czasu.

Tymczasem w trzecim dniu pobytu w Łodzi powrócił, wysłany przez nas do Langiewicza, ksiądz Pijar. Wedle wiadomości przez niego zebranych, Langiewicz po napadach na Suchédniów, Bodzentyn [5]) i inne miejscowości w okolicach gór św. Krzyskich, zbiera swoje siły i organizuje się w Wąchocku [6]); że z dniem każdym za-

[5]) Odmienne relacye podaje Berg. Zapiski II. str. 499 i nn. (tł. pol. II. str. 353) i II. str. 435 (tł. pol. II. str. 304). Na nim oparł Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 116—117. (P. R.)

[6]) Bawił tam od 26. stycznia 1863. Odezwa do mieszkańców wojew. Krakowskiego. Zob. Berg Zapiski. II. str. 499; tł. p. II. str. 353. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 223. (P. R.)

stęp jego się powiększa i że już dziś można go liczyć do 3 tysięcy ludzi [7]). Te wiadomości dodały nam otuchy. Nie chcąc jednak przewlekać dłużej tej, w każdym razie przykrej dla nas, sytuacyi oczekiwaniami, nie mając żadnych wiadomości o misyi Władysława Janowskiego w Paryżu, rozumiejąc wielkie zło, wyniknąć mogące z tego, że rozwijające się powstanie pozostaje bez żadnego wyraźnego kierunku, bo, jak wiemy, Komisya wykonawcza w Warszawie miała tylko administracyjne zadanie, postanowiliśmy wyjechać z Łodzi i dążyć do obozu Langiewicza i tam pod jego osłoną ogłosić tymczasowy Rząd powstańczy.

Zamiaru ogłoszenia rządu, z którym wyjechaliśmy z Warszawy, na chwilę nie opuściliśmy, bo mieliśmy głębokie przekonanie, że z chwilą wybuchu powstania rząd tajemny, mit prosty, pieczątka, rządzić i kierować powstaniem, uzyskać posłuszeństwa nie mógł, że wobec tych, co jawnie i otwarcie piersi swoje nastawiają, ukrywanie się rządu poza jakąś pieczątkę jest wprost niegodnem, że ogłoszenie rządu jest nietylko koniecznem, ale i naglącem.

W niedzielę zatem, dnia 1. lutego, wyjechaliśmy z Łodzi wszyscy do Piotrkowa. My we czworo pocztą, a ks. Mikoszewski końmi proboszcza łódzkiego; nie chcieliśmy dalszej podróży odbywać razem, żeby nie zwracać na siebie uwagi w tej części kraju, gdzie już przez wybuchłe powstanie baczność i czujność Moskali obudzoną została. W rzeczy samej jednak obawa z naszej strony była płonną, bo Moskale tak byli przerażeni, że na takie drobnostki, jak przejeżdżanie podróżnych i to jeszcze pocztą, żadnej nie zwracali uwagi. Głównem bowiem ich staraniem i dążnością było opuszczanie małych miasteczek i gromadzenie sił swoich w miastach większych, jako w pozycyach więcej strategicznych. W całej tej naszej parodniowej podróży raz tylko jeden natknęliśmy się na moskiewskie wojsko.

Postanowiliśmy się zatem rozdzielić i to w Piotrkowie. Awejde z Majkowskim mieli się udać wprost przez Opoczyńskie. Ja z żoną, która za nic w świecie opuścić mnie nie chciała, pragnąc do ostatka dzielić ze mną zły lub dobry los, pojechaliśmy z Piotrkowa koleją żelazną do Skierniewic, gdzie pojechał także i ks. Mikoszewski. Naturalnie jechaliśmy w osobnych przedziałach.

Przy wyjeździe z Łodzi Majkowski, który, jako sekretarz miał przy sobie pieczęć Rządu Narodowego, oddał ją teraz mnie, gdyż ja jadąc z żoną mniej mogłem zwracać podejrzenia. Pieczęć zaszyła

[7]) Por. zestawienia u Przyborowskiego. D. 1863 r. str. 220, którego obliczenie podaje cyfrę o wiele mniejszą. (P. R.)

mi żona we futro pod pachę. Wzięliśmy także pewną ilość manifestów i dekretów.

Tegoż dnia wieczorem przyjechaliśmy do Skierniewic, a nie chcąc w mieście nocować, udaliśmy się na noc do wsi Żelaznej [8]), gdzie właśnie przed samem powstaniem ks. Mikoszewski został mianowany proboszczem; u niego też na probostwie zanocowaliśmy. Nazajutrz 2. lutego, jako w święto uroczyste Matki Boskiej i drugą zarazem rocznicę naszego ślubu, byliśmy na nabożeństwie, po którem ks. Mikoszewski wystąpił z kazaniem.

Muszę tu przypomnieć, że manifest powstańczy i dekreta uwłaszczenia włościan według poleceń Rządu Narodowego winny były być ogłaszane ludowi nietylko przez oddziały powstańcze, ale i przez księży z ambon. Dopełnienia tego polecenia mieliśmy prawo spodziewać się i wymagać nawet od duchowieństwa, które z taką gotowością i powiem nawet z zapałem przyłączyło się było dyecezyami do organizacyi narodowej w r. 1862. W wydaniu tego polecenia brał udział jako członek Komitetu Centralnego, delegowany przez toż duchowieństwo i ks. Mikoszewski. Obowiązkiem też tego ks. Mikoszewskiego było przy pierwszej sposobności, jaka mu się właśnie nadarzyła, jako proboszczowi, polecenie to wypełnić i dać temsamem przykład duchowieństwu. Sposobność ta właśnie teraz się nadarzyła tu w Żelaznej, gdzie ks. Mikoszewski poraz pierwszy w swojej parafii wystąpił na ambonie. Nie znałem jeszcze wtedy dobrze ks. Mikoszewskiego, choć, jak już wyżej zaznaczyłem, od pierwszej chwili poznania go nie wzbudził we mnie sympatyi przez swą wygórowaną zarozumiałość i pyszałkostwo. Zdziwienie też moje było nie do opisania, gdy ks. Mikoszewski po skończonem, a nędznie wypowiedzianem kazaniu, które wcale nie tchnęło miłością chrześciańską, zamiast dążyć w tak ważnej chwili do łagodzenia nieufności chłopów do właścicieli (przeciwnie kazanie jego tchnęło duchem przedstawienia tychże, jako głównych winowajców dotychczasowego położenia ludu wiejskiego), zeszedł z ambony, nie napomknąwszy ani jednem słowem o wybuchłem powstaniu, o jego celu i nie odczytawszy dokumentów Rządu Narodowego. Poznałem teraz ks. Mikoszewskiego w całej moralnej jego nicości i tchórzliwości. Należał on rzeczywiście, jak później w czasie emigracyi złożył tego rozliczne dowody, do rzędu tych krzykaczy ambitnych, próżnych i szkodliwych nawet, którzy jedynie tylko błyszczeć

[8]) Żelazna, wś i folwark, pow. Skierniewicki, gm. Dębowa Góra. (P. R.)

usiłowali bez żadnej dla sprawy samej miłości i korzyści, a często z jej szkodą.

Nie omieszkałem też ostro i bez żadnej ogródki wypowiedzieć ks. Mikoszewskiemu mego zapatrywania: starliśmy się ostro i rozstali cierpko. Ks. Mikoszewski pozostał w Żelaznej, skąd inną drogą miał dążyć do Langiewicza, a ja z żoną nie przyjąwszy śniadania we dworze, zaraz po nabożeństwie pojechaliśmy do Rawy. Dzień był nadzwyczaj piękny, ciepły, pogodny, jakby dzień majowy. W Rawie nie zastaliśmy już Moskali, gdyż dnia poprzedniego opuścili to miasto, dążąc do Skierniewic. Posiliwszy się tu obiadem i wziąwszy konie pocztowe, udaliśmy się w dalszą drogę ku Nowemu Miastu nad Pilicą. Odjechawszy zaledwie milkę od Rawy spostrzegliśmy nagle w oddaleniu, na lekkiem wzgórzu, na lewo od drogi, jakby jeźdzca na koniu. Serca nam mocno zabiły przeczuciem, że to musi być powstańcza pikieta, gdyż wiedzieliśmy dobrze, że Moskali w okolicy niema. Gdyśmy podjechali dalej z jakie pół wiorsty, ów jeździec opuścił swoje stanowisko i dążył ku nam; rozpoznaliśmy istotnie ułana z lancą. Była to rzeczywiście placówka obozu powstańczego, rozłożonego na równinie pod wsią Cielądz [9]), którą z daleka po prawej stronie drogi było widać. Kazałem pocztylionowi stanąć. Ułan szybko podjechał do bryczki i z uprzejmą grzecznością zapytał, gdzie jedziemy i po co. Tłumiąc w sobie wzruszenie odpowiedziałem, że jadę w sprawach narodowych i prosiłem o przeprowadzenie mnie do kwatery naczelnika oddziału, któremu przedstawię moje dowody. W czasie wymiany tych paru słów nadbiegło jeszcze dwóch ułanów, którzy też konwojowali moją bryczkę do wsi. Zameldowałem się naczelnikowi, który mi nazwiska swego nie wyjawił, i pojechałem dalej, konwojowany przez dwóch jeźdźców, z których jeden był Bayer, a drugi Miecznikowski, znany mi z Warszawy. Od nich dowiedziałem się, że ów ułan, który stał na pikiecie był to Ludwik Świątkowski, naczelnik cywilny województwa Mazowieckiego, który z chwilą wybuchu powstania stanął w szeregach jako prosty żołnierz. Powiedzieli mi oni i nazwisko dowódzcy oddziału; w moich pierwszych notatkach zaznaczyłem to przez litery X. X. (czy był nim jenerał Antoni Jeziorański, napewno powiedzieć nie mogę). Spotkałem tu także niejakiego Stefana Zaleskiego, ucznia szkoły farmaceutycznej, który w moim okręgu organizacyjnym był setnikiem. Zginął on potem w jednej

[9]) Cielądz, wieś, pow. rawski, gmina Regnów, par. Cielądz, przy drodze bitej z Rawy do Nowego Miasta. (P. R.)

z bitew Langiewicza, po połączeniu się tegoż z Jeziorańskim. Gdyśmy z powrotem przejeżdżali przez wieś Cielądz, około kościoła spotkaliśmy wychodzący po nabożeństwie lud wiejski i żołnierzy oddziału z rozwiniętą chorągwią z Matką Boską i Orłem Białym. Nigdy tej chwili w mojem życiu nie zapomnę. Płakaliśmy oboje z żoną, jak dzieci, na widok tego sztandaru i tej dzielnej młodzieży, prawie bezbronnej, skupionej pod narodowym znakiem wolności. Obóz ten liczył, wedle udzielonych mi przez konwojujących wiadomości, którzy mnie daleko poza wieś odprowadzili, około 300 piechoty i 50 koni kawaleryi, którą właśnie dowodził Bayer. Chłopi, po wyjściu z kościoła, zatrzymali się na miejscu, spoglądając ciekawie, a niedowierzająco na powstańców; kobiety zaś, widać więcej odważne, towarzyszyły żołnierzom idąc po bokach i razem z nimi śpiewając. Przyznam się otwarcie, że wielka mnie chętka brała zostać z nimi, lecz poczucie obowiązku, trudniejszego do spełnienia, przemogło i uścisnąwszy serdecznie przewodników, pełni wzruszenia pojechaliśmy dalej. Później dowiedziałem się, że ów oddział dnia następnego, powziąwszy wiadomość, że do Rawy przybyła sotnia kozaków dla zabrania stamtąd i konwojowania do Skierniewic pozostałej tu komendy inwalidów i zapasów, zaatakował ich w mieście, rozpędził, zabrawszy wiele koni, broni i amunicyi. W tej bitwie zginął Franciszek Godlewski, członek Komitetu Centralnego i ajent broni w Paryżu, aresztowany tam w grudniu 1862 r. (patrz tom II.). Było to pierwsze starcie w województwie Mazowieckiem w odległości 10-ciu mil od Warszawy. Oddział ten stanowił zawiązek sił, nad któremi sprawował komendę Jeziorański i po wielu bitwach i utarczkach, przeszedł w Krakowskie i połączył się pod Małogoszczą z Langiewiczem *).

*) Opowiadanie Jeziorańskiego [Pamiętniki jen. A. Jeziorańskiego. Lwów. 1880. I. str. 161—165 P. R.] o zdobyciu przez niego Rawy jest nieco zagadkowe. Nie będę twierdził, że Jeziorański nie mógł być dowódzcą oddziału, który spotkałem we wsi Cielądz, bo być może, że mię pamięć zawiodła, gdym pisał moje notatki w r. 1864. Stwierdzam jednak z całą stanowczością, że w dniu 2. lutego, gdym przejeżdżał przez Rawę i tam jadł obiad i czekał na konie pocztowe, nie było wojska moskiewskiego czynnego; mogli być inwalidzi, ale ci siedzieli cicho. Jeziorański powiada, że było tam 700 ludzi, co jest zupełną nieprawdą; prawdziwa cyfra, podana przez „Wiadomości z pola bitwy“, wynosiła 160 ludzi, bo, jak powiadam, na drugi dzień t. j. 3. lutego przyszła do Rawy sotnia kozaków, więc razem z inwalidami mogło być 160 ludzi. Jeziorański wogóle lubi się chwalić; najlepszy dowód, że Moskali w Rawie nie było, stanowi to, że oddział był zupełnie bezpiecznym w dniu, w którym go spotkałem i to w odległości tylko mili od Rawy i to we wsi Cielądz, a nie w Ossowicach (Ossowice wieś i folw., pow. rawski, gmina Regnów, paraf. Cielądz. — P. R.), jak tę miejscowość nazywa Jeziorański, a leży jeszcze bliżej Rawy, bo w odległości jakich 4-ch wiorst. [Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 245. na podstawie notatek Winnickiego mówi, że Rawę atakował połączony oddział Jeziorańskiego i Śmiechowskiego. P. R.]

Około godziny 4. popołudniu stanęliśmy w Nowem Mieście nad Pilicą. Tu nas czekała nowa niespodzianka. Zastaliśmy Rząd Narodowy ogłoszony, wszystkie herby moskiewskie potłuczone, manifest i dekreta ogłoszone ludowi z ambony przez miejscowego proboszcza. Burmistrz miejscowy zainstalował się jako powstańczy naczelnik miasta. Tutaj także dowiedzieliśmy się, że powstańcy pod dowództwem Łaknińskiego zajęli miasto powiatowe Opoczno i tam się organizowali. Istnienie jednak tego oddziału było niedługie, gdyż wskutek nieporozumień między dowódzcami i na wiadomość o przegranej Langiewicza w Wąchocku, Łakniński oddział rozpuścił. Dwaj moi towarzysze, Majkowski i Awejde, dążący właśnie w tym samym czasie, gdym jechał ze Skierniewic do Rawy przez Opoczno do Langiewicza, nie mogąc dokładnie się wykazać przed Łaknińskim ze swych mandatów, zostali przez tegoż aresztowani i przez dwa dni zatrzymani. Uwolnieni wreszcie, po nadeszłej tam wiadomości o przegranej w Wąchocku, wrócili do Warszawy. O tem dowiedziałem się później, gdym już sam był w obozie Langiewicza.

Oczekując na przeprzęg koni pocztowych, przeszliśmy się z żoną po mieście, a wszędzie spotykałem wesołość, swobodę i rozmowy o powstaniu. Żydzi nowomiejscy święcili ten dzień pierwszy oswobodzenia na równi z ludnością chrześciańską.

Wszystkie wypadki w podróży dnia tego i zebrane wiadomości, napełniły mnie otuchą i mocno pokrzepiły. Powstanie nie było mrzonką, ale rzeczywistością. Choć już noc zapadała, ale księżyc świecił i czas był piękny i ciepły, nie chciałem nocować w Nowem Mieście i postanowiłem jechać dalej do Białobrzeg [10]), by jak najprędzej stanąć u celu podróży u Langiewicza.

Tem więcej było mi pilno, że jak najlepsze zebrałem tu wiadomości o siłach i powodzeniu powstania w Sandomierskiem i w Górach Śto-Krzyskich. Wiadomości te jednak pokazały się mocno przesadzone.

Droga, którą sobie obrałem była bardzo długą i musiałem bardzo kołować, ale wybrałem ją raz dlatego, że była bezpieczniejszą, bo prowadziła przez część kraju, zupełnie wolną od Moskali, powtóre dlatego, że mi się udało przekonać moją żonę, że ponieważ jadę wprost do Langiewicza, przeto niemożliwą jest rzeczą, żeby mogła ze mną tam jechać i na obozowe życie się narażać, że jabym zupełnie stracił swobodę ruchów: zgodziła się wreszcie; chciała

[10]) Białobrzegi, os. miejska nad rz. Pilicą, p. radomski. (P. R.)

jednak bądźcobądź być najbliżej mnie, więc postanowiłem ją odwieźć do mego brata ciotecznego, mieszkającego w Brześciach [11]) nad Wisłą na południe od miasteczka Janowca, a stąd już miałem jechać dalej sam do Langiewicza.

Do Białobrzeg przyjechaliśmy około 9. wieczór. Tu znowu inny, mniej przyjemny, spotkał nas widok. Miasto całe zajęte było przez Moskali. Zrana dnia tego była tu potyczka z jakimś małym oddziałem powstańców, który cofając się spalił za sobą most na Pilicy, co naturalnie wstrzymało pościg Moskali. Wszystkie karczmy i oberże były przez wojsko zajęte. Saperzy mieli całą noc pracować nad jakiem takiem naprawieniem i odbudowaniem mostu. Zajechaliśmy do oberży naprzeciwko poczty, tuż prawie nad rzeką, gdzie musieliśmy nocować w sali bilardowej. Oberża ta była główną kwaterą dowódzcy oddziału moskiewskiego i dlatego właśnie tam zajechałem, co musiało odwrócić wszelkie podejrzenie. Posłałem też paszport do zawizowania i prosiłem zarazem o pozwolenie użycia koni pocztowych do Kozienic na drugi dzień rano, co też bez żadnych trudności i wypytywań otrzymałem.

Mogłem był wprawdzie jechać bitym gościńcem przez Radom i Zwoleń, ale ponieważ most na Pilicy był zerwany, a oba te miasta były zajęte przez Moskali, z którymi nie miałem najmniejszej ochoty się spotykać, wybrałem drogę, dłuższą znacznie, na Kozienice, ale bezpieczniejszą. Nazajutrz, d. 3. lutego raniutko, po bezsennej prawie nocy z powodu hałasów i ciągłej krzątaniny Moskali, wyjechaliśmy z Białobrzeg.

Dzień był piękny i ciepły tak, żeśmy musieli pozrzucać z siebie futra. Jechaliśmy przez ogromne, a piękne lasy Kozienickie, przez miasteczko Głowaczewo, przez Brzozę, majętność hr. Ożarowskiego, generała w służbie moskiewskiej. Napawaliśmy się czystem, leśnem powietrzem i absolutną prawie ciszą, usposabiającą do drzemki, której też po bezsennej nocy poddawaliśmy się chętnie. Trakt, choć boczny i nie bity, był bardzo dobry. Konie mieliśmy dobre, jechaliśmy szparko. Pocztylion, zapewniony o dobrym napiwku, jechał żwawo, trąbiąc i wygrywając rozmaite melodye: krakowiaki, mazurki, ale mazurka Dąbrowskiego nie umiał, albo może grać nie chciał. Echa trąbki rozbrzmiewały po lesie. Rozpytywaliśmy też go o owej potyczce pod Białobrzegami; odrzekł, że było trochę strzelaniny, lecz powstańcy cofnęli się prędko i zapalili

[11]) Brzeście nad Wisłą, wieś i folw., pow. Kozienicki, gm. Oblassy, par. Janowiec. (P. R.)

most, który zgorzał prędko i prawie zupełnie, a przytem i słupy były popodcinane i że te „psiekrwie“ Moskale dzień cały pewnie będą musieli pracować, żeby go postawić.

W Brzozie [12]) bardzo wielkiej i pięknej wsi zatrzymaliśmy się dla spoczynku koni. W austeryi, do której weszliśmy, zastaliśmy zebranych do dwudziestu włościan, popijających piwo i głośno rozmawiających o zaszłych wypadkach i o ogłoszonem przez Rząd Narodowy uwłaszczeniu. Usiedliśmy blizko i kazawszy dać sobie jakąś przekąskę, słuchaliśmy tych rozmów. Nie wzbudzaliśmy widać podejrzenia i obawy, bo włościanie rozmowy nie zaprzestali. Nie mięszając się do niej dowiedziałem się, że włościanie ci nie byli stanowczo powstaniu przeciwni, że życzyli mu nawet powodzenia, żeby tych „psiakrew“ Moskali trochę przetrzepać, bo im mocno zaleźli za skórę, nie chcieli się jednak mięszać do niego. O uwłaszczeniu wyrażali się niedowierzająco i powątpiewali mocno, czy będzie dotrzymanem: „jak to już dawniej bywało, a potem nic nie dali“. Niedowierzanie to bolało mnie bardzo, choć poniekąd było słusznem; pomimo, że mię żona zachęcała do wzięcia udziału w rozmowie, milczałem. Odpocząwszy dobre pół godziny pojechaliśmy dalej.

W Kozienicach zmieniliśmy konie. Ponieważ zbliżał się już wieczór, a do Brześci było jeszcze daleko, zaproponowałem żonie, żebyśmy się zatrzymali w Sieciechowie i zajechali na noc do p. Juliana Frankowskiego, krewnego mej żony przez jego żonę, Tęgoborską z domu; u niego bawiła stale p. Tekla Frankowska (ciotka rodzona pani Julianowej, już nie żyjącej), także Tęgoborska z domu, siostra cioteczna i wielka przyjaciółka pani Tolkemitowej, matki mej żony. Żona chętnie się na tę propozycyę zgodziła. Byliśmy tu bardzo serdecznie przyjęci. Sieciechów był rządową ekonomią, a p. Julian Frankowski trzymał ją w wieczystej dzierżawie. Naturalnie po przywitaniach przyszła zaraz rozmowa na powstanie i cel naszej podróży. Musiałem przyznać się, że mam bardzo ważne zlecenie do Langiewicza i że żona chce mi koniecznie towarzyszyć. Pod wpływem perswazyi p. Tekli Frankowskiej, kobiety już wiekowej i bardzo poważnej, żona moja zgodziła się pozostać u nich i nie jechać już do Brześć, co zresztą było dla niej daleko przyjemniejszem, bo tu była, jak u siebie w domu. O Langiewiczu i jego pobycie nie wiele tu wiedziano; słyszeli tylko, że jest podobno w Wąchocku, gdzie już znaczne siły miał zgromadzić. Opowiadano nam, że zaraz z po-

[12]) Brzoza, Brzóza, Brzuza, wieś nad Radomką, pow. Kozienicki, 3 w. na południowy wschód od Głowaczewa. (P. R.)

Eigentum
Heeresarchiv - Zweigstelle
Danzig

czątkiem powstania Moskale napadli na sąsiednie dwa miasteczka, Gniewoszów i Granicę, zrabowali je doszczętnie i bardzo wiele ludzi pozabijali. Przyczyną napadu było, że z chwilą wybuchu cała ludność męska, szczególniej miasteczka Gniewoszowa wraz z burmistrzem na czele poszła do powstania do Langiewicza tak, że zostały tylko kobiety i dzieci. I tej to właśnie pozostałej ludności Moskale bardzo wiele wymordowali. Teraz jednak całą tę część kraju Moskale opuścili i że zupełnie swobodnie mogę dojechać do Brześci i dalej do Wąchocka, trzymając się bliżej Wisły. Nazajutrz przed południem, w środę 4. lutego, pożegnawszy się z żoną, co nie obeszło się bez obopólnego wzruszenia, wyjechałem z Sieciechowa pocztowymi końmi do Brześć. W miasteczkach Gniewoszowie i Granicy, przez które musiałem przejeżdżać, aż nadto były widoczne ślady napadu Moskali. Szczególniej w Gniewoszowie wiele domów było spalonych, a prawie wszystkie puste, a w tych na znak pewnie, że były przez mieszkańców opuszczone, były wywieszone białe płachty na kijach. Żywej duszy prawie na całej drodze nie spotkałem. Nie pozwoliłem też pocztylionowi trąbić, bo mi bardzo ciężko było na duszy. Jechałem bocznemi drogami, które pocztylion znał dobrze. Ominąłem Puławy, Kazimierz, a jadąc wzdłuż rzeki Kamiennej przejechałem ją pod samym Janowcem, gdzie nad rzeką sterczały ruiny zamku. Nad samym wieczorem przyjechałem do Brześć. Niespodziane zupełnie moje przybycie uradowało, ale zarazem i zaniepokoiło wszystkich. Zastałem ich wszystkich w dobrem zdrowiu, t. j. ciotkę Koperską z jej córką Nepomuceną i synem Włodzimierzem. Babka Czemska umarła w roku zeszłym, mając coś lat 86. Włodzimierzowi, gdyśmy się znaleźli sami, powiedziałem, że jadę do Langiewicza, by w sprawach narodowych z nim się porozumieć. Włodzimierz był bardzo dobry człowiek, choć trochę lekkomyślny. Należał do organizacyi. Dowiedziałem się od niego, że w Kazimierzu zbierali się powstańcy pod dowództwem niejakiego Zdanowicza, byłego oficera moskiewskiego; do oddziału tego przyłączyła się prawie wszystka młodzież z Puław i rozmaitych miasteczek poblizkich w Lubelskiem i już podobno przeprawił się na lewy brzeg Wisły w Sandomierskie. Że dnia 23. stycznia powstańcy napadli na Szydłowiec [13]) a rozbroiwszy znajdujących się Moskali, ogłosili Rząd Narodowy. Opuściwszy miasto, udali do Wąchocka, gdzie się znajduje Langiewicz, organizuje się i już ma do 6.000 ludzi pod bronią.

[13]) Por. Berg Zapiski II. str. 412 (wyd. pol. II. str. 309). (P. R.)

Włodzimierz, znający dobrze okolice tutejsze, radził mi, żebym jechał dalej bocznemi drogami przez Lipsko [14]) i Sienno, że do tego miasteczka odeszle mnie swemi końmi. Z Sienna najbliższa droga byłaby przez Grabowiec i Iłżę, jednakże w Grabowcu [15]) trzeba się przekonać, czy w Iłży niema Moskali, bo gdyby tak było, to lepiej jechać do Kunowa [16]) i stamtąd, chociaż to dalsza droga, dostać się do Wąchocka przez góry. Nazajutrz raniutko miałem wyjechać, żeby jeszcze stanąć przed nocą na miejscu. Gdym miał już we czwartek 5. lutego wyjeżdżać, przyszedł miejscowy pachciarz z wiadomością, że Langiewicz, wczoraj zaatakowany przez Moskali, wygrał bitwę, a wojsko jego liczy do 20.000 ludzi. Żydowska poczta była bardzo szybka, bo z Brześć do Wąchocka było około 12 mil drogi i rzeczywiście, jak się później przekonałem, d. 4. lutego była bitwa Wąchocka. Wiadomości te, jakkolwiek przyjmowałem je z niedowierzaniem, szczególniej, co do siły Langiewicza (oceniałem je sam dla siebie, jako najwyżej 5—6 tysięcy ludzi), jednakże i tak zredukowane mogły już być dosyć znaczną potęgą. Z rozpaloną wyobraźnią prawie jeszcze o zmroku wyjechałem z Brześć.

Boczne, polne, piasczyste drożyny przez lasy, któremi jechałem, nie dozwalały pośpieszać, więc coś dopiero około godziny 10. zajechałem do Lipska. Wjechałem do miasteczka niezatrzymywany zupełnie, gdy wjeżdżając spostrzegłem niespodzianie w rynku ogromne zbiegowisko ludzi i mnóstwo zbrojnych między nimi, widocznie powstańców. Dowiedziałem się zaraz od pierwszego lepszego, że to jest oddział z Lubelskiego. Domyśliłem się też zaraz, że jest to ów oddział, o którym mówiono mi w Brześciach. Kazałem się prowadzić do kwatery naczelnika. Wszedłszy, zobaczyłem znanego mi Leona Frankowskiego, komisarza Lubelskiego. Przywitawszy się z nim, wylegitymowałem się, jako komisarz pełnomocny Rządu Narodowego i na miejscu zgromiłem go za nieostrożność, nieosłonięcia oddziału czatami. Tłumaczył się, że uważał to za zupełnie niepotrzebne, gdyż w całych powiatach Sandomierskim i Opatowskim niema Moskali i że jest tu zupełnie bezpiecznie. Przedstawił mi też zaraz p. Zdanowicza, byłego burmistrza z Mackuszewa (?), któremu, jako byłemu porucznikowi moskiewskiemu, zamierza powierzyć wojskowe dowództwo oddziału. Fizyognomia

[14]) Lipsko os. wiejska nad rz. Krępianką, pow. Iłżecki. (P. R.)

[15]) Grabowiec, os., pow. Iłżecki, gm. Rzeczniów. (P. R.)

[16]) Kunów, os. miejska, nad rz. Kamienną, pow. opatowski, przy drodze bitej z Radomia na Iłżę do Opatowa i Zawichostu. (P. R.)

tego człowieka nadzwyczaj przykre zrobiła na mnie wrażenie: podłość i zdrada napiętnowane były na jego twarzy wprost wstrętnej, noszącej wyraźne oznaki nadużywania trunków. Podzieliłem się memi spostrzeżeniami z Frankowskim, lecz ten starał się mnie uspokoić, gdyż zna go z organizacyi i że ma zupełne do niego zaufanie, że z powierzchowności nie można sądzić o człowieku. Leon Frankowski miał lat 21 do 22, sam wielkiej zacności, gorącego patryotyzmu, widzący wszystko więcej, niż w różowych kolorach, nie mógł się znać na ludziach. Nie dorósł do stanowiska, które zajmował; mógł być bardzo dobrym w czasie organizacyi, kiedy agitacya była głównym celem, ale z chwilą wybuchu powstania był już nieodpowiednim. Przeczucie moje było słusznem i w krótkim bardzo czasie miało się sprawdzić.

Pytałem się Frankowskiego, co mogło go skłonić do przejścia w Sandomierskie. Objaśnił mnie, że zaraz po sformowaniu oddziału w Kazimierzu był tak niepokojony przez Moskali, że nie mógł się ostatecznie zorganizować i że tu bezpiecznie będzie mógł to przeprowadzić. Że potem wróci nazad do swego województwa. Radziłem mu, skoro już przeszedł Wisłę, sam nie jest wojskowym, a powierzenie prowadzenia oddziału, liczącego — jak mi sam mówił — do 600 ludzi, jakiemuś porucznikowi (który sam może był dobrym podkomendnym) jest nieodpowiedniem i niebezpiecznem, żeby dążył w góry ŚtoKrzyskie i tam połączył się z Langiewiczem. Przedstawiałem mu, że dziś wprawdzie jest bezpiecznym, ale jutro Moskale mogą się zbliżyć i zaatakować go, a wtenczas się nie obroni i oddział może zgubić. Frankowski tej rady usłuchać nie chciał, mówiąc, że musi wrócić w Lubelskie, żeby tam powstanie wzmocnić. Gdy perswazye moje nie odniosły skutku, wtedy na mocy mego pełnomocnictwa rozkazałem mu to bezzwłocznie uczynić. Frankowski odmówił mi posłuszeństwa, twierdząc, że moje pełnomocnictwo nie może tak daleko sięgać, żebym oddziałom zbrojnym miał rozkazywać, co mają robić. Zarozumiałość swoją i nieposłuszeństwo Frankowski ciężko przepłacił.

Traktowanie to zajęło mi parę godzin czasu więcej, niż na zwykły popas koni było potrzeba. Nie chcąc narażać, z grzeczności danej mi przez Koperskiego, furmanki na dalszą podróż i możliwy potem powrót w nocy, kazałem furmanowi wracać do domu, a sam wynajętymi końmi, bo poczty nie było, pojechałem już dobrze popołudniu do Sienna.

Wszystko to, co w Lipsku widziałem, rozmowa z Frankowskim,

jego upór i zarozumiałość głęboko i przykro wzburzyło mnie i zasmuciło. W Cielądzu pod Rawą błogiego a pełnego nadziei doznałem uczucia; był tam ład, porządek, wojskowa czynność, które obozowi tamtemu nadawały cechę ludzi, którzy rozumieją swoje powołanie i obowiązek. Tu bezład, brak kierownictwa, a raczej kierownictwo nieumiejętne, a zarozumiałe, robiło wrażenie zbrojnej kupy, wyraźnie na zagładę skazanej. A szkoda wielka, bo większość tego oddziału była złożona z ludzi młodych, inteligentnych, zdecydowanych, którzy w innych rękach mogli wielkie powstaniu oddać usługi, a tak zmarnieli.

Przygnieciony ciężkiemi myślami, głęboko zaniepokojony, smutny, opuściłem Lipsko.

Dobrze się ściemniało, kiedym przyjechał do Sienna, miasteczka położonego na wschodnim stoku gór Śto-Krzyskich. Zajechałem do jakiejś austeryi. Zastałem tu pełno ludzi rozmaitego gatunku; jedni grali w bilard, inni siedzieli przy stolikach i popijając piwo lub wino, głośno i swobodnie rozmawiali o wypadkach. Na wchodzącego nikt nie zwrócił uwagi. Zmęczony podróżą na trzęsącym wózku, do której nie byłem przyzwyczajony, a jeszcze po złych i niewygodnych drogach, przygnieciony jeszcze wrażeniem wyniesionem z Lipska, siadłem sobie w kąciku, kazałem podać jakąś przekąskę i przysłuchiwałem się rozmowie.

Dowiedziałem się, że dnia poprzedniego rano, we środę 4. lutego[17]), Moskale podeszli niespodzianie nie dość ostrożnego Langiewicza w Wąchocku, wyparli go stamtąd po krwawej bitwie, a Wąchock spalili. Że tego samego losu doznały dwa inne miasteczka sąsiednie, Bodzentyn i Suchedniów, gdzie również tego samego dnia powstańcy ucierali się z Moskalami. Że Langiewicz z Wąchocka przeszedł do Słupi Nowej, miasteczka u stóp gór Śto-Krzyskich położonego, gdzie znowu dalej organizować się zamyślał; że w Wąchocku zginął porucznik Ziembiński, młody człowiek, który z garstką ludzi walecznie opierał się Moskalom i zasłaniał odwrót Langiewicza. A więc owe wieści, które na odjezdnem z Brześci przyniósł mi ów żydek o zwycięstwie Langiewicza i jego wielkiej sile, były bajką. Wiadomościami tymi byłem wprost przygnębiony, chwilę nawet zastanawiałem się czy jechać dalej, czy wracać. Nie wiedziałem zupełnie o losach Majkowskiego i Awejdego, jak i Mikoszewskiego, a może oni tam już są, może właśnie w tej bitwie

[17]) Berg. Zapiski, II. str. 513. (wyd. pol. II. str. 365) na podstawie dziennika działań wojennych podaje datę 22. stycznia st. st., t. j. 3. lutego.

byli, a mnie tam nie było; to przemogło i postanowiłem jechać dalej. Z rozmów też dowiedziałem się, że między rozmawiającymi było dwóch wysłańców Langiewicza ze Słupi, jeden człowiek młody, wysłany dla akwirowania i paszy, drugi już starszy, burmistrz miasta Gniewoszowa, mający znowu polecenie zbierania żywności i innych potrzebnych zapasów. Odpocząwszy zatem nieco i posiliwszy się i wysłuchawszy tych wszystkich rozmów, zbliżyłem się do owego burmistrza z zapytaniem i prośbą, by mi ułatwił dostanie koni w mieście, gdzie jestem zupełnie obcy, ponieważ potrzebuję jak najprędzej jechać do obozu. Że jechałem właśnie do Wąchocka, ale dowiedziawszy się o tem, co tam zaszło, chcę jechać do Słupi. Burmistrz ofiarował mi miejsce na swojej furmance, gdyż sam tego wieczora musi do Słupi wracać, przyjąłem chętnie propozycyę i za pół godziny byliśmy już w drodze. Deszcz lał jak z cebra, noc była ciemna, co drogę jeszcze nieznośniejszą czyniło. Jechaliśmy przez miasteczka Kunów i Waśniów[18]). Do Kunowa jechaliśmy przeważnie lasem. Droga, choć boczna, leśna, ale była jeszcze dosyć znośna. Z Kunowa do Waśniowa prowadził, choć już przez góry, jeszcze jaki taki gościniec, ale od Waśniowa wjechaliśmy już we właściwe góry, przejeżdżaliśmy głębokie i ciasne wąwozy, gdzie rozmokła od deszczu droga utrudniała ogromnie pociąg koniom. Głębokie wyboje, spowodowane gwałtownym spadem wody, która wąwozami jakby potokami płynęła, co chwila narażały na niebezpieczeństwo wywrotu. Towarzysz mój, człowiek wyraźnie gwałtowny i niecierpliwy, przykrzył sobie tę wolną i niebezpieczną jazdę. Krzyczał więc i szturkał za każdem niebepieczniejszem nachyleniem się wózka biednego żydka woźnicę. Nareszcie, gdy tenże, wyjeżdżając z wąwozu na jakąś obszerniejszą polankę, zmylił drogę wśród ciemności i zlazł z wozu dla jej odszukania, mój towarzysz pełen złości zeskoczył za nim i począł go mocno tuzować. Nie mogłem tego już dłużej wytrzymać i z całej siły zgromiłem napastnika i tonem rozkazującym wezwałem go, by natychmiast na wózek siadał i swoich niesłusznych gniewów i bicia zaniechał, bo temu, że drogę zmylił, nic żyd nie winien, tylko ciemność, a jak mnie nie posłucha, to go prosto z wózka zrzucę i będzie musiał iść piechotą. P. burmistrz obruszył się mocno na mnie i mówił, że on mnie prędzej z wózka zrzuci, bo mi łaskę zrobił, że mnie wziął. Odpowiedziałem mu na to, żeby się pomiarkował w tem, co mówi,

[18]) Waśniów, os. miejska, pow. opatowski, odległ. o 5—6 w. na płd.-zach. od Kunowa. (P. R.)

bo jeżeli ja się tak do niego odzywam, to może zrozumieć, że mam prawo wymagać od niego posłuszeństwa, i jeżeli mnie nie posłucha, to za przyjazdem do Słupi będę go mógł dobitniej o tem przekonać, oddając go pod areszt wojskowy. Ton, z jakim to wypowiedziałem, wyraźnie zrobił wrażenie, bo p. burmistrz umilkł i odtąd spokojnie się zachował. W drodze dalszej, porzuciwszy ton rozkazujący, przemówiłem spokojnie trafiając do jego moralnej strony. Wystawiłem mu całą jego niesprawiedliwość i pastwienie się nad biednym i tak wystraszonym żydkiem, że takie postępowanie jest właściwe Moskalom, ale nie nam powstańcom i t. d. i tak go skruszyłem, że mnie przepraszał i prosił, bym naczelnikowi nic o tem nie wspominał, co zresztą bez trudności obiecałem, jeżeli dalej spokojnie się zachowa.

Zaledwie coś o godzinie 11. w nocy zajechaliśmy nareszcie do Słupi. Wjechaliśmy w sam środek miasteczka nie zatrzymani przez nikogo, bo i tu również żadnych widet nie spotkaliśmy. Bardzo to mnie nieprzyjemnie uderzyło, bo taka nieostrożność wobec nieprzyjaciela jest nietylko błędną, ale wprost karygodną. Spostrzegliśmy wreszcie wśród ciemnej nocy jakiegoś przed domem szyldwacha, który oparty o ścianę drzemał. Rozbudziwszy owego niby to stróża bezpieczeństwa, dowiedziałem się, że to jest właśnie główna kwatera naczelnika, że on ma rozkaz nikogo nie wpuszczać. Całe miasteczko było w głębokiem pogrążone śnie.

Choć zmokły i przeziębły pomimo futra, nie chciałem jednak przerywać spoczynku temu, na którego głowie wszystko spoczywało, prosiłem więc szyldwacha o wskazanie mi odwachu. Ten był po drugiej stronie drogi, o jakie kilkadziesiąt kroków w karczmie.

Tam zajechałem, wysiadłem, a nie widząc żadnej na zewnątrz warty, wszedłem do środka do jakiejś obszernej izby. Rozbudził się komendant odwachu, jakiś ogromny chłop, przy większym jeszcze pałaszu. Izba jakimś kagankiem słabo była oświetlona. Zameldowałem mu się, że przyjeżdżam do pułkownika, lecz nie chcę go budzić, więc tu wysiadłem i prosiłem, by mi wskazał miejsce, gdzie mógłbym się choć trochę przespać i osuszyć, bo jestem przemokły; zwróciłem mu przytem uwagę, że swobodnie zajechałem w sam środek miasta, nie widząc żadnych wart, ani placówek. Nie kontent z rozbudzenia i uwag, p. komendant wskazał mi izbę po drugiej stronie, już zajętą przez żołnierzy.

Nie poczuwając się w żadnem prawie do lepszej wygody od tych, co wystawieni na wszelkie niedostatki obozowe powstańczego bytu, życie swoje przytem narażali, wszedłem, gdzie mi wskazano

wraz z moim towarzyszem. Izba niewielka, jedną dopalającą się świeczką oświetlona, aż huczała od chrapania ze trzydziestu żołnierzy, pokotem wokoło na gołej podłodze leżących. Upatrzywszy sobie jakieś wolniejsze miejsce położyłem kufereczek pod głową, a owinąwszy się futrem, twardo wkrótce zasnąłem. Po raz pierwszy w życiu używałem tak wygodnego łóżka, ale znużony podróżą, byłbym, nie wiem, jak długo spał, gdyby nie hałas rozbudzonych moich towarzyszy. Było jeszcze prawie zupełnie ciemno, gdym się obudził, czując ból we wszystkich kościach, a szczególniej w boku, na którym tych kilka godzin leżałem. Towarzysze moi widać już powstawali, bo obfity ogień palił się na kominie, a ogromny garnek dymiącego obfitą parą napoju stał na stole, z którego każdy czerpał sobie swoją porcyę. Towarzysze ci byli to po największej części młodzi ludzie od lat 18 do 25 najwyżej; kilku zaledwie było starszych. Jeden zaś z nich w podeszłym już dobrze wieku, niewielkiego wzrostu, dobrze siwawy, czerstwo wyglądający, marsowej postawy, zdradzającej starego żołnierza, zwrócił moją uwagę. Był to porucznik X. X. (nazwiska niestety nie pamiętam). Gdy później w czasie pobytu w obozie wdałem się z nim w pogawędkę, dowiedziałem się, że był podoficerem 2. pułku ułanów w r. 1831. Przez lat kilkanaście cierpiał na rodzaj paraliżu czy artretyzmu, który pozbawił go władzy w nogach. Nie mógł ani sam wstawać, ani chodzić. Mieszkał on w Sieciechowie, gdzie przed zapadnięciem na tę chorobę, pełnił obowiązki ekonoma. Na wiadomość o wybuchłem powstaniu odżył starzec i nietylko, że odzyskał władzę w nogach, lecz był nawet tak silny i rzeźki, że, służąc teraz w piechocie, bez żadnego utrudzenia odbywał marsze (sam go widziałem w takim marszu ze Sto-Krzyża do Staszowa). Nigdybym nie wierzył, gdybym opowiadania tego nie był sprawdził później na miejscu w Sieciechowie. Gdyby w całym narodzie była taka miłość kraju i taka silna wola, czyżbyśmy już dawno nie byli wolni?

Gdy tak moi towarzysze zapijali sobie ów napój gorący, a ja rozglądałem się, zaciekawiony tym obrazem obozowego życia, podszedł do mnie jeden z nich i ofiarował mi swój garnuszek, mówiąc: „może kolega napije się herbaty“. Zimno mi było, a przytem czułem pragnienie, więc przyjąłem. Pociągnąłem porządny haust, lecz jednocześnie poczułem jakiś słodko-kwaśny smak, pomieszany ze smakiem przypalonej tłustości i odorem kapusty ze starem sadłem, który mnie jak pałką w nos uderzył. Towarzysz mój stał przy mnie i patrzał; zdobyłem się więc na istne bohaterstwo i poł-

knąłem. Na drugi jednak łyk zdobyć się nie mogłem; udałem wszakże, że piję i po chwili oddałem uprzejmemu koledze garnuszek z podziękowaniem, chwaląc naturalnie doskonałość przyrządzonej herbaty. Smaku i odoru tego przyjemnego napoju nigdy nie zapomnę, towarzyszom moim jednak, jak uważałem, bardzo smakował, bo ów garnek prędko się wypróżnił, a wielu żałowało, że go było tak mało. Powiedziałem sobie w duchu: „nowicyusz jesteś, bracie, smakosz i wygodniś".

Tymczasem dzień się zrobił, zabrałem więc moje manatki, pożegnałem się z towarzyszami, a dziękując jeszcze raz uściśnieniem ręki temu, co mnie tą doskonałą herbatą poczęstował, udałem się do głównej kwatery.

Było to 6. lutego, w piątek. Zastałem już wszystkich na nogach. Langiewicz spodziewał się już mego przybycia, jak i Awejdy i Majkowskiego, bo dowiedział się o tem od ks. Mikoszewskiego, który tego samego dnia, co i ja przyjechał, przybył tylko wcześniej odemnie, a z raportu owego komendanta odwachu wiedział także, że ktoś przyjechał w nocy.

Langiewicza znałem już z konferencyi w Warszawie, więc bardzo serdecznie przywitaliśmy się. Zaprezentował mi zaraz zebranych u niego oficerów. Byli tam majorowie: Czachowski Dyonizy i Korycki, obaj starzy żołnierze z r. 1831. Jan Prędkowski, porucznik i dowódca kawaleryi, młody, dzielny żołnierz, bardzo miłej pociągającej powierzchowności. Brokhusen, syn obywatela ziemskiego, i Zglinnicki, podporucznik kawaleryi, obaj młodzi ludzie lat około trzydziestu, kapitan piechoty Pióro, Gustaw Reutt i Abramowicz[19]), adjutanci, obaj ze szkoły w Cuneo*), Waleryan Lewko-

[19]) Niewymieniony w liście słuchaczów szkoły w Cuneo. (Chołodecki. Ks. pam. str. 20—23). (P. R.)

*) Abramowicza znałem jeszcze ze szkoły sztuk pięknych, gdzie studyował malarstwo. Gustaw Reutt, syn obywatela ziemskiego z Białorusi, później w bitwie pod Pieskową Skałą otrzymał achillesowy postrzał w piętę i leczył się długo w Krakowie; potem wyjechał na emigracyę do Paryża, gdzie się z nim poznałem bliżej. Ukończył szkołę wojskową w Metz. W r. 1868 wyjechał z Paryża do Galicyi, gdzie wszedł do służby technicznej Wydziału krajowego. Ożenił się z młodą panienką, hr. Węgierską, także Litwinką, zamieszkał we Lwowie, miał dwie córki i dwóch synów. Po kilkunastu latach, przechodząc coraz wyższe stopnie inżynierskie w służbie, został dyrektorem oddziału drogowego Wydziału krajowego i na tem stanowisku umarł w r. 1905. Był to bardzo zacny człowiek, wielki służbista. Siostra jego Marya, bardzo ładna Litwinka, wyszła we Lwowie zamąż za Jana Karłowicza, słynnego naczelnika narodowej policyi warszawskiej; kupili oni na spółkę ze szwagrem, Gustawem Reuttem, folwark Snopków pod Lwowem. Około nich skupiła się cała kolonia Litwinów we Lwowie, Domaszewicze, Jankowscy, Ibjańscy, Knomiwiczowie(?) i inni. Z całą tą kolonią żyłem w bardzo bliskich przyjacielskich stosunkach. Litwini są wogóle bardzo gościnni, serdeczni, może niełatwi w zawieraniu bliższych stosunków, ale zato, gdy się już zbliżą, są wytrwali w przyjaźni i szczerzy, a nawet wylani.

wicz, intendent obozu, którego siostra słynęła z piękności w Warszawie. Z innych oficerów na Śtym-Krzyżu przypominam sobie podporuczników Tuszowskiego i jego brata księdza, kapelana obozu, oraz Władysława Zawadzkiego, Łapińskiego, podporucznika głównej kwatery, 70-letniego wiarusa, byłego wachmistrza ułanów z r. 1831. To mniej więcej cały sztab oficerski na Śtym-Krzyżu. A nadto dr. Kozłowski, lekarz obozowy.

Langiewicz wydał oficerom rozkazy, by żołnierze czyścili broń i przygotowali się do wymarszu w góry, a on sam tymczasem z majorami pójdzie opatrzeć najdogodniejsze stanowisko do rozłożenia obozu.

Gdy wszyscy wyszli, zostaliśmy sami, bo mieliśmy ze sobą wiele do pomówienia. Langiewicza znalazłem przejętego najlepszym duchem i ożywionego pełną nadzieją powodzenia. Opowiadałem o wszystkich postanowieniach Komitetu Centralnego i o dalszych zamiarach: Komitet jest tego przekonania, że w chwili wybuchu powstania rząd tajemny nie może istnieć, że musi być jawny i że jedyną formą rządu powstańczego jest dyktatura wojskowa. — Komitet postanowił taką dyktaturę powierzyć Mierosławskiemu i przez brata mego wysłał do niego odpowiednie wezwanie. Wiedziałem, że Langiewicz jeszcze ze szkoły w Genui był w bardzo złych, a nawet nieprzyjaznych stosunkach z Mierosławskim. Spodziewałem się, że Langiewicz na tę wiadomość wybuchnie z protestem. Lecz zupełnie niespodzianie przyjął ją z zupełnem poddaniem się woli Rządu. Zrobił mi tylko uwagę, że nie znamy Mierosławskiego; jakkolwiek nie można mu odmówić zdolności wojskowych, ale jako człowiek jest warchoł, a przytem tchórz i ma przekonanie, że na plac boju nie przyjedzie. Dodał jednak z całą dobrą wiarą i stanowczością, że, jeżeli Mierosławski stawi się na placu boju, to on Langiewicz pierwszy, jakkolwiek jest jego nieprzyjacielem, bezwarunkowo podda się pod jego rozkazy. Serdecznie uścisnąłem Langiewiczowi rękę za jego, tak patryotyczną, abnegacyę ze spraw osobistych dla dobra Ojczyzny. Objaśniłem go następnie, że, ponieważ do przyjazdu Mierosławskiego może upłynąć parę tygodni, więc postanowiliśmy tymczasem w miejscu, gdzie powstanie będzie zwycięskiem, ogłosić się jako tymczasowy Rząd Narodowy aż do przyjazdu dyktatora. Że rachuby nasze na Płock upadły, gdyż tam powstanie się nie udało. Że dowiedziawszy się o jego (Langiewicza) powodzeniu, postanowiliśmy tego ogłoszenia dopełnić w jego obozie i dlatego tutaj mamy się zjechać. Ta wiadomość nie bardzo

się podobała Langiewiczowi. Odpowiedział mi: „Dobrze, jeżeli tak chcecie; ale to będzie trudnem i dla was i dla mnie. Na mnie ściągniecie wszystkie siły moskiewskie, a ja jestem jeszcze za słaby, bym mógł wytrzymać, a wy nie będziecie mieli bezpieczeństwa. Tu w górach może nie tak prędko Moskale zdecydują się mnie atakować, tu chcę się organizować i siły zbierać; zobaczymy". Zrobiłem uwagę, że zgoła nie rozumiem, co się stać mogło z Awejdem i Majkowskim, boć to już szósty dzień, jak rozstaliśmy się w Piotrkowie, oni mieli jechać drogą krótszą, bo na Opoczno, więc powinni tu już być, tem więcej, że ks. Mikoszewski już przyjechał. Jeżeli się im, co nie daj Boże, co złego przytrafiło, to w takim razie nasze zamiary ogłoszenia tutaj Rządu spełzłyby także na niczem. Prosiłem dalej Langiewicza, żeby on mi też swoje dotychczasowe losy opowiedział: „Kazaliście — powiedział — robić powstanie, więc robiłem co mogłem. Wasz komisarz przez bardzo powiększające szkła patrzał na wszystko, boć ja tu prawie nic przygotowanego nie znalazłem; pisałem do was, że nie mam broni, kazaliście jej szukać u nieprzyjaciela i do tego rozkazu się zastosowałem, choć z niewielkiem powodzeniem. W Szydłowcu coś niecoś się zabrało. Na całej przestrzeni między Szydłowcem i Iłżą i dalej na południe, gdzie tylko można było, ogłoszono Rząd Narodowy i dekreta. W Wąchocku obrałem sobie główną kwaterę i tam się organizowałem; miałem już do tysiąca ludzi". A ja wtrąciłem: „Po drodze słyszałem, że masz 6.000, a nawet jakiś żydek powiedział mi onegdaj rano, że masz już 20.000; nie wierzyłem temu, alem zawsze przypuszczał, że z jakie 5 tysięcy będziesz miał". „Żeby to było prawdą — odparł — tobym Wąchocka nie opuszczał, alebym sam Moskali atakował, bo tym tylko sposobem młody żołnierz zaprawia się do boju. Chciałbym jak najprędzej dojść do siły i zaczepnie działać, ale cóż, kiedy broni niemam. Otóż — ciągnął dalej — siedziałem w Wąchocku; Moskale zaczęli mnie węszyć, napadli na Suchedniów, potem na Bodzentyn, wyparli stamtąd powstańców, a miasteczka zrabowali i spalili. Wreszcie onegdaj z dwóch stron mnie napadli, od Kielc i od Radomia. Broniłem się mocno; bitwa była zacięta, ale żołnierz młody i brak broni palnej zmusił mię do opuszczenia miasta, nawet z nie tak wielkiemi stratami w poległych i rannych, tylko było wielu uciekinierów, którzy tu, sądzę, ściągną się powoli. Z tego, co miałem w Wąchocku zostało mi 300 ludzi i 20 koni. To jest moja siła w tej chwili, z tem nie wiele mogę zrobić, ale Bóg da. Moskale, jak słyszę, Wąchock zrabowali i spalili".

Następnie opowiedziałem Langiewiczowi, co widziałem i wiedziałem. „Otóż, jak ci już wspominałem, wzięcie Płocka się nie powiodło, ale co gorsza, potem szlacheckiemu naczelnikowi województwa, Ujazdowskiemu, udało się przekonać pułkownika Bończę, że to wszystko już stracone i że niema więcej tu co robić. Bończa uległ tym perswazyom, opuścił stanowisko i wyjechał za granicę. Bobrowski zaraz posłał Padlewskiemu rozkaz, żeby objął naczelnictwo województwa". „A! to zawsze jednakowa ta szlachta" — żachnął się Langiewicz. „Ponieważ Bobrowski doniósł nam do Kutna, że się organizujesz w Wąchocku i że masz widoki powodzenia, gdy w Kutnie nie mogliśmy już dłużej siedzieć, bo mogliśmy tam być przyaresztowani, więc wyjechaliśmy do Łodzi i jednocześnie wysłaliśmy pewnego ks. Pijara, żeby na miejscu w Wąchocku zbadał stan rzeczy". „A! był u mnie jakiś ksiądz, pamiętam" — wtrącił Langiewicz. „Ksiądz wrócił, potwierdził wiadomości, przez Bobrowskiego podane, więc natychmiast wyjechaliśmy. Jak ci już mówiłem, w Piotrkowie rozdzieliliśmy się, dwaj pojechali na Opoczno, a my dwaj mieliśmy inną drogą jechać. Pojechaliśmy przez Skierniewice i musieliśmy nocować w Żelaznej na probostwie u ks. Mikoszewskiego". Tu opowiedziałem o zachowaniu się księdza. Langiewicz był oburzony. „I to ma być członek rządu — powiedział — „wiesz, że już w Warszawie on mi się niepodobał! to jakiś pyszałek, i tu wczoraj opowiadał mi jakieś bajdy, których nierozumiałem". „Jadąc z Żelaznej — mówiłem dalej — już sam (bo ksiądz chciał zawsze inną drogą jechać) przez Rawę, za tem miastem natknąłem się niespodzianie na obóz powstańczy we wsi Cielądzu. Nie wiem, kto tam był dowódzcą, ale widziałem tam wielki porządek i czujność wojskową; oddział mógł liczyć parę set ludzi". Opowiedziałem mu dalszą moją podróż, natknięcie się na Moskali w Białobrzegach (tu Langiewicz zrobił uwagę, że nie wie, coby to byli za powstańcy, z którymi Moskale się starli, ale prawdopodobnie z Jedlińska). Wspomniałem dalej o Gniewoszowie. „A! miałem w Wąchocku tych dzielnych mieszczan z ich burmistrzem i prawdopodobnie są jeszcze". „Są — odpowiedziałem — bo ich burmistrz tu mnie przywiózł ze Sienna, gdzie go spotkałem" (lecz naturalnie zmilczałem o przygodzie z nim). Wczoraj się znowu natknąłem na obóz powstańczy w Lipsku". „A co to za oddział?" — spytał ze ździwieniem Langiewicz. Opowiedziałem wszystko, com tam widział, moje obawy o ten oddział. „Proponowałem Frankowskiemu, żeby się z tobą połączył, ale nie chciał o tem słyszeć. Chce

tu, gdzie się czuje zupełnie bezpiecznym, zorganizować się i wrócić w Lubelskie". Zażądałem teraz od Langiewicza, ponieważ oddział znajduje się na terytoryum jego władzy, żeby mu posłał rozkaz natychmiastowego stawienia się w Słupi Nowej. Langiewicz uznał to za zupełnie słuszne i obiecał, że to zrobi.

Po tej poufnej rozmowie, która trwała dobre półtory godziny, poszliśmy z Langiewiczem w towarzystwie obu majorów i adjutantów piechotą w góry dla obejrzenia stanowiska i obrania miejsca na obóz. Miejsce obrane zostało u podnóża góry, po lewej stronie drogi leśnej, prowadzącej z miasteczka do klasztoru, na szczycie góry położonego. Była to dosyć wyniosła, niewielka równina, odległa o jakie $1^1/_2$ wiorsty od miasta, z trzech stron lasem gęstym otoczona, a z czwartej wschodnio-południowej strony otwarta, z rozległym widokiem na miasteczko i okolicę.

Powróciwszy z rekonesansu, Langiewicz rozkazał wymarsz, a tymczasem załatwiliśmy sprawę Frankowskiego. Langiewicz napisał rozkaz, ja dołączyłem mój, opatrzony ową wielką pieczęcią Rządu Narodowego, i zaraz przez kuryera wysłał.

Oddział się już uformował, ruszyliśmy w pochód: Naprzód szła szpica kawaleryi pod dowództwem Prędowskiego, za nią zajął miejsce Langiewicz z dwoma adjutantami, ja przyłączyłem się do nich wraz z ks. Mikoszewskim, który był nadszedł ze Słupi, gdzie wraz z księdzem Tuszowskim, kapelanem, nocował; za nami pierwszy batalion Czachowskiego, potem drugi Koryckiego, potem wozy rozmaite; reszta kawaleryi zamykała kolumnę. Droga była wązka, więc wojsko szło dwójkami. Szpica była już na miejscu, gdy reszta wychodziła zaledwie z miasteczka.

Czas był pochmurny, mglisty; lekki przymrozek ściął wody wczorajszego deszczu, a śnieg przypadł nad ranem i całą okolicę odział białym całunem. Żołnierz był swobodny, wesoły; śpiewem uprzyjemniał sobie niezbyt dobrą drogę. Jeszcze była godzina do południa, gdyśmy stanęli na miejscu. Żołnierze jedni zajęli się gotowaniem obiadu, a drudzy przyrządzali szałasy z gałęzi, z których większy, umieszczony na najwyższem miejscu, skąd cały obóz widzieć można było, zbudowano dla Langiewicza, a obok niego dla adjutantów; niedaleko też ulokował się podporucznik Łapiński z furgonem głównej kwatery. Po lewej stronie, patrząc od Słupi, pod kępą wielkich jodeł umieszczono szałas dla odwachu obozowego, przed którym stanęło dwóch szyldwachów. Po prawej stronie teren

się podnosił, a na szczycie była bardzo obszerna polana; tę Langiewicz przeznaczył na plac musztry.

Pierwszy raz w życiu byłem nietylko w obozie, ale i w górach. Wszystko zatem aż do tej pięknej natury, było dla mnie nowością, pełną uroku i zajmowało mnie bardzo.

Ze względu na dalsze wypadki, które nas tu czekały, muszę trochę bliżej opisać położenie i bliższe okolice.

Powiedziałem już wyżej, że obóz rozłożony został na małej wyniesionej płaszczyźnie, u samych stóp lasów Śto-Krzyskich. Płaszczyzna ta przecięta jest dosyć głębokim parowem, w dole którego biegła droga od stóp i przez góry na szczyt Łysej góry do klasztoru. Jej kierunek jest więc ze wschodu ku zachodowi. Na południowej stronie tej płaszczyzny stanął obóz, zasłonięty od południa niegłębokim, zaledwie pół wiorsty ciągnącym się, lecz dosyć gęstym lasem, poza którym rozciągała się lekko pofalowana równina. Przez tę równinę szła boczna droga ze Słupi, do wsi Huta Stara, położonej na południowo-zachodnim stoku Łysej góry, od której można się było dostać z jednej strony do klasztoru wązką leśną drużyną, z drugiej strony polnemi drogami przez Bieliny do Daleszyc. Główny bity gościniec z Opatowa do Kielc idzie w znacznem oddaleniu od gór, po południowej ich stronie, przez Bąkowice, Łagów, Bolno, Daleszyce.

Północna strona płaszczyzny, przez obóz zajętej, po drugiej stronie parowu, była obszerniejsza, a po za nią rozciągały się na stoku gór wielkie i gęste lasy. Drugi gościniec z Opatowa na stronie północnej ku zachodowi dochodził tylko do Waśniowa, skąd raptownie skręcał się ku północy do Kunowa. Od Waśniowa do Słupi można się tylko dostać po bardzo przepaścistych drogach, po których ja w nocy jechałem. Od Bodzentyna z północy i od Łagowa z południa, takie same dróżyny leśne dążą ku Św. Krzyżowi. Widzimy więc z tego, że tak z północnego zachodu jak i z południa dostęp do obozu był dla wojska regularnego, jeżeli nie niemożliwy, to w każdym razie bardzo trudny. Jedyny dostęp swobodniejszy był wprost od Słupi, gdyż pozycya ta była od tej strony otwarta; stąd jednak można było doskonale widzieć całą równinę, tu się rozciągającą i z tej tylko strony nieprzyjaciel mógł obóz zaatakować. To korzystne położenie skłoniło też Langiewicza do obrania tego miejsca na obóz; był pewnym, że nieprzyjaciel nie może przyjść ani z północy, ani z zachodu, bo musiałby się przedzierać przez wielkie górzyste i bardzo gęste lasy, a tylko w te właśnie strony

mógł mieć zabezpieczony odwrót, bo co dla wojska regularnego jest niemożebnem, to dla partyzanckiego oddziału (a takim był właśnie oddział Langiewicza) było zupełnie możebnem.

Należało jednak obejrzeć i dobrze poznać pozycyę w lasach, aby na przypadek odwrotu wiedzieć naprzód, jak i gdzie się cofać. W tym też celu, gdy już rozłożenie obozu było wybranem, posiliwszy się trochę jakąś przekąską, Langiewicz, jeden z majorów (zdaje mi się Czachowski), jeden z adjutantów, ks. Mikoszewski i ja pod ochroną sześciu strzelców z dobrymi karabinami, udaliśmy się w góry ku klasztorowi. O jakie 500 kroków od obozu ku zachodowi droga wychylała się z parowu i wychodziła na grzbiet, którego oba boki dosyć strome, pokryte były gęstym nieprzejrzanym lasem. W tem miejscu droga rozdzielała się na dwie części; jedna zbaczała na lewo i wijąc się wężem po południowym stoku, pięła się w górę i dochodziła do bramy w murze, okalającym klasztor i tu spotykała się z dróżką, idącą od Huty Starej, o której wspomniałem. W tem miejscu mur, klasztor okalający, był najbliżej furty klasztornej położony, bo o jakie zaledwie sto kroków. Od muru aż do drogi było miejsce wolne jakie 200—300 kroków szerokie, zajęte w zupełności przez sągi drzewa opałowego. Druga droga od owego rozgałęzienia była znacznie krótsza, lecz za to przykrzejsza i wpadała znowu w wąwóz nie zbyt głęboki. Poszliśmy drogą pierwszą; a po godzinnej przeszło wędrówce stanęliśmy u bramy. Klasztor sam zbudowany na nagim i bardzo stromo podnoszącym się szczycie, opasany był murem, 8—10 stóp wysokim i dosyć grubym. Brama, do której doszliśmy, położoną była od zachodu prawie na wprost dróżyny od Huty. Za bramą, która była otwarta, trzeba było dobrze się drapać na szczyt, do samego klasztoru, w którego południowej stronie była właściwa furta klasztorna, którą właśnie znaleźliśmy otwartą.

Klasztor na Łysej górze przeznaczony był w tym czasie na zakład karny dla księży t. zw. Demerytów. Kapelanem i przełożonym zakładu był ks. Kotkowski, kanonik sandomierski, a w organizacyi narodowej naczelnik cywilny województwa Sandomierskiego.

Nie zastaliśmy go w domu. Obeszliśmy cały gmach. Wiele sal było zupełnie pustych. Na jednym tylko korytarzu I. piętra kilkanaście sal zajmowali księża, odsiadujący karę za niemoralne wogóle życie. Na tym korytarzu było także mieszkanie ks. kanonika. W parterze było mieszkanie ekonoma; przyjmował i oprowadzał nas ekonom, człowiek żonaty i dzietny. Otworzono nam też i ko-

ściół, w którym znajdowały się relikwie Św. Krzyża, gdzie też pomodliliśmy się chwilkę.

Langiewicz umyślił zająć sale parterowe na pracownie dla siodlarzy i innych rzemieślników, a jedną ustronną na przygotowywanie ładunków; przekonany bowiem był, że nie tak łatwo przyjdzie Moskalom atakować go na Łysej górze; postanowił zatem dłużej tu pozostać i organizować się.

Zwróciłem zaraz jego uwagę, że powinien odkomenderować strzelców i pół plutonu kosynierów na załogę tak dla utrzymania porządku i karności, jak i dla bezpieczeństwa warstatów, jak wreszcie i na przypadek, gdyby nieprzyjaciel zechciał z tej strony przejść góry, żeby przynajmniej jaki taki znalazł opór, a ten z pewnością go powstrzyma od dalszego pochodu. Langiewicz jednak tak był pewien swoich przypuszczeń i zupełnego bezpieczeństwa, że uznał moją uwagę i zalecaną ostrożność za zupełnie zbyteczną, twierdząc, że dając tu załogę osłabiłby siebie. Nie zdołał mnie jednak przekonać i codzień go o to nalegałem. Wypadki następne dowiodły, że miałem słuszność.

Posililiśmy się tu lekkim obiadem, który nam ekonom przygotował; już prawie noc zapadała, gdy powróciliśmy do obozu. Tę pierwszą noc spałem w obozie w szałasie Langiewicza. Miałem dobre futro baranie, więc było mi ciepło.

Rano jeszcze panował mrok, gdy trąbka obozowa obudziła nas. Wstałem tak rzeźki, jak nigdy. Świeże górskie powietrze, gdym wyszedł z szałasu, orzeźwiło mnie zupełnie, nie czułem zmęczenia, które mi w chwili ułożenia się na spoczynek mocno dokuczało. W obozie ruch panował, ale bez żadnego zamętu. Żołnierze opatrywali i czyścili broń, gotowano śniadanie.

Około godziny 9. rano, a była to sobota, 7. lutego, przyjechał do nas p. Brokhusen, bogaty obywatel z okolicy, a ojciec młodego podporucznika kawaleryi; przywiózł ze sobą faskę wybornego bigosu, kilkanaście butelek wina węgierskiego, wybornej starki litewskiej, porteru, piwa, mnóstwo różnych wędlin, słowem pełną brykę rozmaitych wiktuałów, co doskonale zaopatrzyło obozową spiżarnię. A nadto przyprowadził parę pięknych młodych ogierków rasy arabskiej w prezencie dla Langiewicza. Na jednym był kompletny rynsztunek do konnej jazdy. Stary Brokhusen był Niemcem z pochodzenia; mówił jednak doskonale po polsku i czuł się duszą i sercem Polakiem, również jak i syn jego, który na pierwszą wiadomość o powstaniu wraz ze sąsiadem Zglinnickim z pod Opatowa

stawili się natychmiast do obozu w Wąchocku. Gdyby tak wszyscy obywatele ziemscy postąpili, kto wie, jakiby obrót przyjęło powstanie i czyby lud wiejski, zagrzany dobrym przykładem, nie poszedł za nimi całą masą i nie przechylił ostatecznie szali zwycięstwa na naszą korzyść. Niestety takich Brokhusenów i Zglinnickich może nawet i stu w całem powstaniu nie było. Zakrzepła już krew w żyłach szlacheckich, a stare ojców szablice zardzewiały.

Z zapasów Brokhusena mieliśmy wyborne śniadanie; bigos w kociołku przed szałasem się przygrzewał. Ja wódki prawie dotąd nie pijałem, ale tu napiłem się wcale spory kieliszek, a potem wina i nie czułem zamętu w głowie; sprawiło to świeże powietrze, wesołość obozowa. Przyjemnie rzeczywiście było patrzeć na to życie obozowe, na swobodę i wesołość żołnierza pomimo, że parę dni temu zaledwie odbył ciężką bitwę i zmuszony był do rejterady. Serca wzbierały nadzieją powodzenia.

Tegoż samego dnia, około południa, przyjechało więcej gości: p. Józef Prędowski z żoną, brat starszy porucznika kawaleryi; ks. Filip Majewski, proboszcz z pod Radomia; ks. Edward Nowakowski, kleryk OO. Kapucynów, brat znanego nam już z poprzedniego opowiadania Karola Nowakowskiego. Edward był bibliotekarzem, przeniesionej przez Wielopolskiego do Chrobrza, biblioteki Świdzińskiej, Po znanych nam już procesach o tę bibliotekę, porzucił to stanowisko i wstąpił do zakonu Kapucynów.

Wesoło więc było i gwarno w obozie. Zabawa jednak nie stawała na zawadzie innym wojskowym zajęciom. Na owej wyżej położonej polanie po prawej, a więc północnej stronie obozu odbywała się musztra dwa razy dziennie, przed obiadem i po obiedzie, po dwie godziny.

Oficerowie naprzód pod nadzorem majorów, ćwiczyli swoje pojedyńcze plutony, a potem Langiewicz obejmował ogólną komendę i oddział cały sprawiał się do rozmaitych poruszeń.

Żołnierz był bardzo pojętny i znaczne robił postępy. Przypatrywaliśmy się tym ćwiczeniom.

W klasztorze też pracowano; przygotowywano ładownice, tornistry, pasy, uprzęże, robiono ładunki. Ruch więc i zajęcie było ogólne, a wszędzie ład i porządek. Pikiety były rozstawione, a kawalerja wychodziła na podjazdy.

Po południu taki podjazd przyprowadził trzech ludzi podejrzanych, którzy się chcieli dostać do obozu. Jeden z nich był chłop znany w Słupi, jako zwyczajny szpieg; drugi także jakiś chłop,

a trzeci jakiś ksiądz, przynajmniej w ubiorze świeckiego księdza, którzy tak samo, jak ów szpieg nie umiał się wylegitymować, skąd pochodzi i po co do obozu chciał się dostać. Umieszczono ich na odwachu, a audytorowi (nie pamiętam nazwiska) kazał Langiewicz przejrzeć ich papiery i przesłuchać.

Około godziny 3. po południu tegoż dnia powrócił posłaniec wysłany do Frankowskiego, a z nim przybyło dwóch młodych ludzi jako delegatów.

Oświadczyli oni, że Frankowski radby się połączyć z Langiewiczem, lecz, jeżeli ten podąży do niego, że rozkazów Langiewicza niema obowiązku słuchać, gdyż obydwaj mają równe prawa; co do rzekomego rozkazu Rządu Narodowego, to on Frankowski zna dotychczas tylko jedną pieczęć z napisem Komitet Centralny i gdyby rozkaz był tą pieczęcią opatrzony, toby go wypełnił. Langiewicz, choćby tylko dlatego, że zajmował tak wygodną i korzystną pozycyę dla swej organizacyi, nie mógł bezwarunkowo jej opuszczać; odpowiedział delegatom, że odpowiedź Frankowskiego uważa za niesubordynacyę wojskową, że przywłaszcza sobie wojskową władzę, której absolutnie niema; rozkaz Rządu Narodowego jest autentyczny, bo pochodzi od członka tegoż Rządu, który ze szczególnem pełnomocnictwem znajduje się w jego obozie; że ów członek własnemi oczami widział nieład i nieporządek wojskowy, jaki w oddziale w Lipsku panował, że do życzenia Frankowskiego się nie zastosuje, bo nie może; że za klęskę, jaka go niechybnie czeka, będzie Frankowski odpowiedzialnym wobec Ojczyzny, że o całem tem zajściu nie omieszka zdać raport Rządowi Narodowemu. Potem rozkazał delegatom natychmiast opuścić obóz, dodawszy im straż wojskową, która ich na pikiety odprowadziła. Całe to zajście było dla mnie nadzwyczaj przykre. Przeczuwałem nieszczęście, jakie zarozumiałość i upór tego, skądinąd bardzo szlachetnego, młodzieńca sprowadzić miały. I rzeczywiście! Gdy Frankowski opuścił Lipsko i dążył ku Sandomierzowi, gdzie spodziewał się złączyć z oddziałem niejakiego Rayskiego, tamże stojącego i przeszedł Wisłę, by udać się napowrót w Lubelskie, został raniutko niespodziewanie zaatakowany przez Moskali w Słupczy [20]) gdzie zatrzymał się na nocleg.

Zdanowicz, ów mniemany dowódzca oddziału zaraz z po-

---

[20]) Słupcza, wieś i folwark nad rz. Opatówką, pow. Sandomierski, leży w odległ. 10 w. od Sandomierza. Co do Frankowskiego Por. Kolumna Z. Pamiątka cz. I. str. 49—51.

czątku bitwy drapnął, zostawiając oddział bez dowództwa. Oddział został zupełnie rozbity a Frankowski ciężko ranny dostał się do niewoli. Z całego oddziału, który, jak go widziałem w Lipsku, mógł liczyć około 600 ludzi, przeważnie inteligentnej młodzieży, tylko kilkudziesięciu ludzi zaledwie uszło śmierci lub niewoli. Niedobitki dostały się szczęśliwie do Sandomierza unosząc ze sobą ranionego Frankowskiego. Rayski w Sandomierzu przygotowywał się właśnie do wymarszu na spotkanie z Frankowskim, gdy od tych niedobitków dowiedział się o klęsce pod Słupczą. Wstrzymał więc wymarsz, a spodziewając się, że Moskale w pościgu uderzą na miasto, rozpoczął przygotowywać się do obrony.

Gdy mieszczanie spostrzegli te przygotowywania, wysłali do Rayskiego deputacyę z prośbą, by nie narażał miasta na spalenie, jak to się już stało z innemi miastami i żeby opuścił miasto. Rayski zgodził się na to i w nocy wyprowadził cały swój oddział, powiększony niedobitkami z pod Słupczy ku południowi, kierując się ku Koprzywnicy. Oddział ten w parę dni potem złączył się z Langiewiczem pod Staszowem.

Przyprowadził go Matowski major z r. 1831. Rayskiego zaś w nim nie było; co się z nim stało, nie wiem. Od tegoż Matowskiego dowiedziałem się powyższych szczegółów *).

Wracam do przerwanego toku opowiadania. Tak się zakończył ten z rana wesoły, lecz nad wieczorem bardzo smutny drugi dzień mego pobytu w obozie Św. Krzyża; zmęczony i smutny, potrzebując samotności i ciszy, poszedłem na noc do klasztoru, a zresztą (przyznam się) było mi tam wygodniej, aniżeli w szałasie Langiewicza.

Z rana w niedzielę 8. lutego poszedłem do obozu. Tu zastałem wszystkich przygotowujących się do przeglądu, po którym cały od-

*) Gdy ciężko rannego Frankowskiego przywieziono do Sandomierza, miał się nim zająć Rayski. Gdy Moskale zatrzymawszy się w Gierłuchowie pod Sandomierzem, nazajutrz weszli do miasta, ktoś zdradził pobyt Frankowskiego. Dowódzca moskiewski, pomimo jego śmiertelnej rany zabrał go ze sobą i odstawił do Lublina. Rannego kazał generał Chruszczew, gubernator lubelski, umieścić w szpitalu wojskowym; kazał go otoczyć wszelką możliwą opieką, a nawet sam go odwiedzał i okazywał wielką troskliwość.

W czerwcu, gdy Frankowski prawie że wyzdrowiał, Chruszczew oddał jego sprawę sądowi wojennemu. Ten Frankowskiego, jako naczelnika oddziału schwytanego z bronią w ręku, skazał na śmierć. Chruszczew, jakkolwiek miał prawo zatwierdzenia i wykonania wyroku, odwołał się do W. Ks. Konstantego z prośbą o ułaskawienie. Matka skazanego sama pojechała do Warszawy, na klęczkach błagała satrapę i jego żonę o darowanie życia synowi. Książę był nieubłagany i tak mu było pilno, że telegraficznie d. 15. czerwca rozkazał wyrok wykonać. Dnia 16. czerwca Frankowski został powieszony w Lublinie.

dział miał pomaszerować na nabożeństwo do kościoła. Podczas odbywającego się przeglądu przyjechało do obozu dwóch księży ze Sandomierza, przywożąc obraz św. Stanisława biskupa, jako dar dla Langiewicza od biskupa sandomierskiego, ks. Juszyńskiego z upoważnieniem dla kapelana obozowego do odprawienia mszy św. na każdem miejscu przed tym obrazem.

Zaraz więc po przeglądzie Langiewicz, zarządziwszy odpowiednią straż dla obozu, złożoną z plutonu strzelców i paru plutonów kosynierów, ruszył w pochód ku górze z muzyką na czele. Zapomniałem dodać, że w oddziale było paru doboszów i kilku niezłych trębaczy. Szliśmy krótszą drogą prosto pod górę.

O godzinie 9. rozpoczęło się nabożeństwo. Mszę św. odprawił kapelan ks. Tuszowski, kazanie wygłosił ks. Mikoszewski; nawiasem mówiąc, mówił licho, bezbarwnie, podobnie, jak w Żelaznej. Bardzo wiele ludu wiejskiego z okolicznych wsi zebrało się na tem nabożeństwie i uczestniczyło w następnych uroczystościach.

Po nabożeństwie Langiewicz rozkazał oddziałowi uszykować się w czworobok na podwórzu klasztornem, a wysłaniec biskupa po krótkiej, ale bardzo pięknej przemowie zachęcającej do męstwa, wytrwałości, karności, udzielił wojsku biskupiego błogosławieństwa i uroczyście wręczył Langiewiczowi przysłany obraz. Piękna to była i uroczysta chwila. Dostojnik kościoła i pasterz stanął tym czynem wyraźnie po stronie walczącego o swą wolność narodu. Czemuż nie miał więcej naśladowców?

Po tych ceremoniach wróciliśmy do obozu, gdzie nas czekała inna niespodzianka. Pikiety dały znać, że do Słupi przyszedł jakiś oddział, z kilkudziesięciu ludzi złożony, pomiędzy którymi było 25 strzelców, uzbrojonych w karabiny zdobyte na wojskowej straży granicznej moskiewskiej „objeszczykach". Langiewicz zaraz odkomenderował do Słupi pluton strzelców pod komendą jednego z majorów z muzyką, a oddział cały stanął w szyku bojowym, dla przyjęcia nowo przybywających.

W niespełna pół godziny ujrzeliśmy wychodzących ze Słupi, którym towarzyszył tłum mieszczan, mężczyzn i kobiet. Szła tedy naprzód muzyka, grając mazurka Dąbrowskiego, za nią major, potem pół plutonu strzelców obozowych, dowódzca przybywających, porucznik z wojska moskiewskiego, chorąży z rozwiniętym sztandarem, żołnierze postępujący czwórkami; pochód zamykał drugi półpluton strzelców obozowych. Za zbliżeniem się zagrzmiały ze wszystkich piersi rzeczywiście radosne okrzyki „Niech żyje Polska!"

Wojsko sprezentowało broń. Nowo przybyli przedefilowali przed Langiewiczem, poczem dowódzca oddziału, salutując, przedstawił się Langiewiczowi, zdał sprawę ze swej wyprawy i odebrał stosowne rozkazy. Langiewicz mianował go na miejscu kapitanem. Bardzo żałuję, że nie pamiętam nazwiska tego oficera i szczegółów jego wyprawy, gdyż był to bardzo tęgi człowiek i zaraz w następnej bitwie się odznaczył. Gdy przyjdzie mi jeszcze później o nim wspomnieć, nazwę go kapitanem „Niewiadomym".

Jak powiedziałem, Langiewicz w chwili, gdy stanął obozem w Słupi, miał około 300 ludzi, lecz przez te dwa dni ściągali się rozbitki z Wąchocka, rozmaici ochotnicy, tak, że z przybyłymi teraz oddział liczył już przeszło 500 ludzi dobrze uzbrojonych, w tem przeszło 50 strzelców z karabinami; tyle, a może i więcej z dubeltówkami, resztę stanowili kosynierzy i 20 jazdy.

Niebawem zaroił się obóz gośćmi cywilnymi: przyjechali Prędowscy, ks. Filip Majewski, Walery Tomczyński, komisarz wojskowy Langiewicza; Ignacy Maciejowski, sandomierski komisarz Rządu Narodowego i ks. Kotkowski, naczelnik cywilny województwa. Wojsko usiadło do obiadu, a gości podejmował Langiewicz w swoim szałasie tak obozowymi zapasami, jak i przysłanymi z klasztoru. Dzień był piękny, zimowy, ale względnie ciepły, słoneczny. Gwarno i wesoło było w całym obozie.

Po obiedzie i odpoczynku odbyła się pomimo niedzieli zwykła, lecz trochę krótsza, musztra.

Jakoś po godzinie 3. przybyli do obozu nowi goście; byli to pp. Stanisław Karski z Włoszczowej, wojewódzki Sandomierski organizacyi białej i Roman Cichowski z Linowa, który niedawno powrócił ze Syberyi, obaj obywatele ziemscy. Panowie ci, po przedstawieniu się Langiewiczowi, bardzo pilnie i szczegółowo oglądali obóz i oświadczyli mu, że w bardzo ważnych sprawach życzą sobie rozmówić się z nim poufnie i na osobności. Ponieważ w obozie na taką poufną rozmowę nie było miejsca, Langiewicz kazał sobie osiodłać konia i pojechał z tymi panami do Słupi bez żadnej eskorty.

Nie upłynęło nawet trzy kwandranse, gdyśmy zobaczyli Langiewicza powracającego galopem. Był chmurny i zły. Zaledwie zsiadł z konia, zawołał do siebie do szałasu mnie, ks. Kotkowskiego, Maciejowskiego i Tomczyńskiego; zakomunikował nam, że panowie ci ni mniej, ni więcej zaproponowali mu, żeby natychmiast rozpuścił obóz i wyjechał za granicę, że mu wszystko zaraz ułatwią i dadzą pieniędzy, ile tylko zechce. Że naturalnie propozycyę tę

z najwyższem oburzeniem odrzucił; gdyby był miał ze sobą eskortę jakąkolwiek, kazałby ich aresztować, a tak ukazał im tylko drzwi i kazał się jak najprędzej wynosić, gdyż bynajmniej nie myśli tej uczynionej mu propozycyi ukrywać, a jak się w obozie o tej zamierzonej zdradzie dowiedzą, mogą to życiem przepłacić.

Wiadomość ta i nas wszystkich w najwyższym stopniu oburzyła. Zrobiliśmy uwagę Langiewiczowi*),że naczelnemu wodzowi, na którego osobie całe bezpieczeństwo wojska polega, nie wolno nigdy oddalać się od obozu bez należytej eskorty. Langiewicz się tłumaczył, że nigdy w świecie nie przypuszczał, żeby mu podobną propozycyę mógł ktokolwiek zrobić. Przypomniałem mu taką samą historyę w województwie Płockiem, o której mu już mówiłem. Do takich to sztuczek i niewybrednych środków uciekała się szlachta polska, żeby tylko zabić powstanie.

Nie dziwię się p. Stanisławowi Karskiemu, choć nie znam jego przeszłości, ale mi wystarcza, że należy do tej samej rodziny, która wydała tak nędzny charakter, jak jego brat rodzony Mścisław Karski (znany doskonale w Warszawie jeszcze z czasów Paszkiewiczowskich, z nieporządnego, do spółki z Moskalami prowadzonego, życia, hulaka, karciarz, kawaler balików rajskich, urządzanych dla aktorek, baletnic i różnych nierządnic), ale, że Roman Cichowski, po kilkunastoletniem wygnaniu na Syberyi, odważył się na krok podobny, tak haniebny i podły, można chyba przypisać to jakiejś aberacyi umysłu i wrogiej przeciw powstaniu zaciętości.

Obywatele ziemscy, czyli tak zwana zwykle szlachta, a szczególniej właściciele większych posiadłości w całej dawnej Polsce,

*) Autor Dziejów 1863 r. (T. I. str. 25—227; T. II. str. 505—507) opowiada o tym wypadku, lecz opowiadanie to, jakkolwiek oparte na rzekomo autentycznych źródłach, nie jest jednak ściśle prawdziwe. Sprawa bowiem tak się miała, jak ją tu, jako naoczny świadek, przedstawiłem. Widziałem tych panów, jak przyjechali, jak obóz pilnie oglądali i do Słupi z Langiewiczem pojechali. Jaki przebieg w szczegółach miała rozmowa w Słupi, nie wiem, ale to, co podałem, słyszałem z własnych ust Langiewicza i to jest ściśle autentyczne i prawdziwe. Langiewicz był tak wzburzony, że nie mógł całej rozmowy powtórzyć, a zresztą mówił zawsze zwięźle, niemal lakonicznie, jak żołnierz. Jestem przekonany, że gdyby Langiewicz miał przy sobie asystę wojskową, to pomimo to nie byłby ich aresztował, bo cóżby w takim razie miał z nimi potem zrobić? — tylko, albo kazać rozstrzelać, albo puścić wolno; i pewnie tylko to ostatnie byłby zrobił. Spotkanie i rozmowa z Prędowskim, (T. II. str. 505—507), jest niemożliwa, bo ten w chwili przyjazdu tych panów był w obozie. Znałem Prędowskiego doskonale; był to młodzieniec pełen zapału i energii i z całą wiarą młodzieńczą oddany powstaniu. Poznałem go potem bliżej i na emigracyi i we Lwowie; była to natura szczera, szlachetna i o powstaniu mówił zawsze z zapałem. Prawdą jest, żeśmy wyrzucali Langiewiczowi, że nie wziął ze sobą eskorty, bo mógłby kazać tych panów aresztować, ale o urządzeniu pościgu za nimi, ani ks. Kotkowski ani żaden z nas nawet nie wspomniał.

była przeciwną powstaniu. W Królestwie organizacyę ruchu traktowali lekceważąco, nazywając ją robotą smarkaczów; nie mieli jednak odwagi wystąpić śmiało i energicznie przeciwko tej robocie, zato z chwilą wybuchu znaleźli dosyć odwagi, żeby przeciw powstaniu intrygować. Urządzali zjazdy, sejmiki, na których uchwalali oburzenia, protesty. Dyrekcya biała wydała odezwę, wzywającą powstańców do złożenia broni. Wpływami swemi starała się u W. Ks. Konstantego, by jak najenergiczniej tłumił powstanie. Wszystko to były czyny niecne, niegodne Polaków. W tym ferworze opozycyjnym znaleźli się ludzie bardzo mali, jak Ujazdowski w Płockiem, a Karski w Sandomierskiem, którzy odważyli się pójść drogą prostej zdrady i przekupstwa. Czy zrobili to z natchnienia Dyrekcyi, czy z własnej inicyatywy i gorliwości, nie wiem, ale przypuszczam, że była to ich własna myśl, bo gdyby była w tem inicyatywa Dyrekcyi, to podobne wypadki zdarzyłyby się we wszystkich województwach. Szczęściem, że tak nie było, bo hańba spada tylko na tych panów, a nie dotyka całego stronnictwa.

Tego samego dnia napisał Langiewicz odezwę do obywateli województwa Sandomierskiego i Krakowskiego, powołującą do wzięcia udziału w powstaniu, jeżeli nie osobistego, to przynajmniej w ofiarach pieniężnych, odzieży, żywności[21]). Odzieży i butów szczególniej była wielka potrzeba. Każdy przychodził we własnem ubraniu, lecz to prędko się zdarło; brakowało bielizny.

Odezwa zredagowana krótko, szorstko, po żołniersku, wspominała o próbach przekupstwa, bez wymienienia atoli nazwisk. Nazajutrz wydrukowano ją w sztabowej ręcznej drukarni i rozesłano przez organizacyę.

Jak powiedziałem wyżej, w klasztorze na górze urządzono warstaty, prochownię i fabrykę ładunków; pozostawiono to wszystko bez żadnej straży. Ale, co gorsza, bez obsadzenia wojskiem klasztoru bezpieczeństwo obozu mogło być zagrożonem, nieprzyjaciel mógł łatwo przejść lasem drogę od Kielc, a nie spotkawszy oporu w klasztorze, uderzyć na obóz z tyłu jedną kolumną, drugą zaś zaatakować go z frontu od Słupi. Tak się też rzeczywiście stało, jak to zaraz opowiem.

Nacieraliśmy ciągle z ks. Mikoszewskim na Langiewicza, by choć kilkunastu strzelców posłał do klasztoru; opierał się temu i nie chciał, tłómacząc się, że nie może sił swoich rozdzielać. Po

---

[21]) Odezwa tej treści skądinąd nie jest znaną. (P. R.)

wizycie jednak tych panów natarliśmy gorąco i stanowczo, a poparli nas ks. Kotkowski i Tomczyński i uzyskaliśmy przyrzeczenie, że nazajutrz to zrobi, bo teraz ma więcej ludu.

Cały dzień następny, poniedziałek 9. lutego, przepędziłem w obozie. Dzień rozpoczął się od egzekucyi skazanego na śmierć przez sąd wojenny jakiegoś Niemca, szpiega schwytanego jeszcze w sobotę. Egzekucya odbyła się na placu musztry. Około południa przybyła znowu partya około 60 ludzi nieźle uzbrojonych, a wśród nich czterech dezerterów, którzy z bronią w ręku od Moskali uciekli.

Tomczyński i Maciejowski odjechali. Ostatniemu Langiewicz polecił zakupić kilkadziesiąt kożuszków dla wojska i wziął odemnie dwieście rubli, bo mu tyle do potrzebnej kwoty brakowało.

Nad wieczorem przyjechały do obozu trzy kobiety, z których dwie były córkami Dobrowolskiego, znanego komisarza policyi w Warszawie, jedna z nich zamężna, a jedna panna; trzecia, panna Karolina (nie pamiętam nazwiska), znaną była potem w obozie pod imieniem panna Karola, bo się przebrała po męsku, lecz bynajmniej wojskowo nie służyła, lecz dla innych uciech pozostała w obozie. Panie te miały paszporta narodowe, wydane w Warszawie, a przyjechały z zamiarem pielęgnowania rannych. Langiewicz posłał je na noc do klasztoru.

Po poobiedniej mustrze, czyniąc zadość danemu słowu, odkomenderował Langiewicz do klasztoru pluton strzelców i pluton kosynierów pod dowództwem pułkownika Tuszowskiego i podporucznika Władysława Zawadzkiego. Puste prawie dotąd lokalności klasztoru zaroiły się nowymi mieszkańcami. Ks. Kotkowski zajmował swoje mieszkanie, ja z ks. Mikoszewskim, drem Usłowskim, Lewkowiczem i jeszcze z kimś piątym (kto był, nie pamiętam), zajmowaliśmy jedną z większych sal na piętrze. Wojsko zajęło sale parterowe. Kobiety oddał ks. Kotkowski pod opiekę żony intendanta klasztoru.

O godzinie 6. rano, we wtorek, 10. lutego, gdyśmy jeszcze w najlepszym rannym śnie byli pogrążeni, obudziło nas nagłe wołanie: „Wstawajcie! Moskale!“ Zerwaliśmy się wszyscy i ujrzeliśmy stojącego we drzwiach ks. kanonika Kotkowskiego, już ubranego do podróży. Kanonik raz jeszcze zawołał: „Moskale będą tu najdalej za jakie pół godziny“. Znikł i już go więcej dnia tego nie widziałem. Kanonik wyraźnie był dobrze pierwej ostrzeżony o zbliżaniu się Moskali, bo dobre pół godziny minęło, zanim się pod klasztorem pokazali.

Domyśleć się łatwo, żeśmy trzeciego wołania nie czekali, lecz w pięć minut byliśmy już wszyscy ubrani. Nie oglądając się na nikogo, zbiegłem natychmiast na dół do komendanta załogi. Zastałem cały oddział w gotowości; powiedziałem mu tylko, żeby się przygotował do zatarasowania drzwi. Komendant objaśnił mię, że pikiety są wysłane na drogę do Kielc, skąd tylko Moskale przyjść mogą; lecz skoro strzałów dotąd nie dały, więc wyraźnie nieprzyjaciela dotąd nie spostrzegły. Pomyślałem sobie: „A co, panie pułkowniku, czy obawy nasze były płonne, a żądanie załogi słuszne?“ Wyszedłem na dziedziniec z zamiarem wyjścia na drogę i zobaczenia, co się tam dzieje. Wyszedł ze mną także dr. Usłowski, lecz natychmiast gdzieś się podział. Wyszedłem za bramę. Las w tem miejscu był wycięty, a po obu stronach drogi było ułożonych mnóstwo sągów drzewa opałowego.

Zaledwie uszedłem ze 30 kroków, pikiety, stojące o jakie sto kroków przedemną, dały ognia i w pełnym biegu zbliżały się ku mnie, a mijając, jeszcze raz strzeliły. Na moje zapytanie, czy daleko Moskale, odpowiedzieli: „Zmykaj, bo już idą“ i pędem wpadły na dziedziniec. Rzeczywiście, zaledwie doszedłem do bramy, doszedł mnie tętent szybko biegnących koni i wnet padły trzy strzały. Obejrzałem się; w odległości 300 kroków zobaczyłem trzech kozaków. Nie wiele myśląc, podążyłem tęgo biegnąc ku klasztorowi. Na moje ździwienie, zastałem już drzwi zamknięte i słyszałem tylko stuk walonych na nie wewnątrz różnych rzeczy.

Stukanie moje i wołanie nic nie pomogło; drzwi zostały zamknięte, a ja zostałem sam jeden na otwartym dziedzińcu, na który lada chwila wpaść mogli kozacy. Dodam, że nie miałem żadnej broni, nawet laski, a zresztą gdybym ją i miał, toby mi się na nic nie przydała, bobym nie umiał jej użyć; strzelałem w mojem życiu może z jakie dziesięć razy najwyżej. Nie powiem, by mnie w tej chwili strach nie obleciał, przeciwnie, ciarki mnie przebiegły po skórze, lecz nie traciłem przytomności i zacząłem przemyśliwać o rejteradzie. Naprzód poszedłem w jedną i drugą stronę klasztoru, szukając drzwi; były pozamykane. Lecz od strony południowej, skąd szli Moskale, znalazłem jakiś krużganek otwarty; wszedłem więc tam, by się jako tako uchronić od kul, które mi już dobrze koło uszów gwizdały, bo i załoga z okien parteru i piętra zaczęła już odpowiadać na strzały moskiewskie. W krużganku tym postałem z pięć minut i zastanawiając się nad mojem położeniem, uprzytomniłem sobie, że ze względu na stanowisko moje w oddziale

obowiązkiem moim jest być w obozie. Nie namyślając się więcej, postanowiłem bądźcobądź tam się udać. Mogło być zaledwie parę minut po siódmej. Tem więcej utwierdziła mnie, że taki jest mój obowiązek, myśl, że Langiewicz może zupełnie nie wiedzieć o ataku Moskali na klasztor i może być łatwo bardzo napadnięty z tyłu, gdyż wyobrażałem sobie, że załoga nie będzie się mogła długo bronić i że Moskale, nie zważając na opór w klasztorze, mogą się łatwo i niespostrzeżenie dostać do obozu drogą, ciągnącą się po południowym stoku góry. Tak zdecydowany wyszedłem z mojej kryjówki w krużganku. Musiałem iść wzdłuż południowego boku klasztoru, zupełnie od drogi odkrytego; dążyłem na sam szczyt góry, dotąd zakryty; lecz gdym się znalazł na samym szczycie, usłyszałem za sobą trzy strzały i trzy kule gwizdnęły mi koło uszów. Zacząłem biedz, miałem śniegu do połowy łydek. Kozunie znowu posłali mi trzy strzały; wtem nogi mi się poplątały, padłem na nos i usłyszałem wyraźne głosy: „Ubit, ubit!“ Podniosłem ostrożnie głowę, a rozejrzawszy się, spostrzegłem, że droga, po której biedz miałem, o parę zaledwie kroków zaczyna schodzić na dół, że przebywszy tych parę kroków będę już zupełnie zakryty; zerwałem się szybko i dawszy kilka susów byłem już bezpieczny.

Padło jeszcze wprawdzie w tym krótkim czasie kilka strzałów, ale szczęściem tak, jak i poprzednie, nie uczyniły mi żadnej krzywdy. Więc to nie wszystkie kule zabijają, pomyślałem sobie, albo Moskale źle strzelają. Przyśpieszonym krokiem szedłem dalej ciągle w dół aż do furtki, z której mocno stroma droga prowadziła do miejsca, gdzie się dwie drogi od klasztoru ku obozowi spotykały, jak to już z wyżej opisanego położenia wiemy. Na kilkaset kroków przed sobą zobaczyłem uciekającego, co sił starczy, ks. Mikoszewskiego bez czapki, w czarnym lekkim płaszczyku rozpuszczonym tak, że tworzył jakby dwa skrzydła. Wyglądał jak duch leśny. Podążyłem za nim także najpełniejszym, na jaki tylko zdobyć się mogłem biegiem. Drogę, na którą zwyczajnym chodem trzeba było dobre pół godziny, odbyłem pewnie w nie cały kwandrans.

Langiewicz istotnie nic dotąd nie wiedział o ataku na klasztor; gdy mu o tem powiedziałem, przyjął tę wiadomość spokojnie, bo, jak twierdził, Moskale, znalazłszy tam opór, nie posuną się dalej, dopóki tego oporu nie złamią, a tych kilkunastu strzelców wystarczy, żeby ich zatrzymać i miał słuszność.

Zato w obozie zastałem ruch: przygotowywano się do bitwy,

gdyż pikiety od Słupi dały znać o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Moskale szli od Kielc przez Bieliny i Starą Hutę.

W Starej Hucie rozdzielili się: część mniejsza bez dział poszła górską drogą prosto pod klasztor, znaczniejsze zaś siły z artyleryą obeszły górę drogą, ciągnącą się u południowego stoku góry i od Słupi uderzyły na obóz Langiewicza. Moskale, postępując brzegiem lasu, rozwijali się na płaszczyźnie, a opierając swoje lewe skrzydło o las, prawem, przy którem była artylerya złożona z sześciu dział, posuwali się ku Słupi. Langiewicz rozstawił swoje wojsko na płaskowzgórzu, na którem stał obozem; na lewem skrzydle postawił kawaleryę w sile dwudziestu kilku koni; piechotę zaś rozwinął równolegle do drogi, którą postępowali Moskale, strzelców w pierwszej linii, kosynierów w drugiej.

Wpadłem na plac boju w chwili, gdy ów świeżo mianowany kapitan „Niewiadomy“, tęgi i doświadczony oficer, formował parę plutonów strzelców do ataku i rozsypał się w tyraliery w rzadkim lesie. W kilka minut tyralierzy z okrzykiem: „Niech żyje Polska!“ rozpoczęli ogień. W tej samej chwili odezwały się moskiewskie działa od strony Słupi, a hukom ich towarzyszył trzask łamiących się pod kartaczami gałęzi drzew. Pierwsza ta salwa nie wyrządziła żadnej szkody, bo Moskale, stojąc znacznie niżej, górowali. Padła druga i trzecia salwa armatnia po części kartaczami, po części granatami, które także górowały, jeden tylko granat wpadł między kawaleryę i od razu ją rozproszył. Teraz rozpoczęła się także palba z ręcznej broni z obu stron na całej linii. Mogła być godzina 8. rano. Z wielkim spokojem i zimną krwią stał Langiewicz w tyle na pagórku z lunetą w ręku. Powiadomiony przezemnie o ataku na klasztor, odkomenderował był zaraz majora Czachowskiego z większą częścią jego batalionu do klasztoru i tam także skierował wozy z bagażami. Pozostało mu najwyżej 400 ludzi, w tem około 100 strzelców. Ogień ciągle się zwiększał; padające gałęzie zasypywały wojsko, lecz dotąd nikt nie był ranny.

Stałem jakiś czas przy Langiewiczu. Pierwszy raz byłem w ogniu. Huk dział, trzask łamiących się gałęzi, świst kul, pękanie granatów, choć widziałem, że żadnej szkody nie czynią, bardzo nieprzyjemne wywierało na mnie wrażenie. Stojącemu zupełnie bez broni, przyszła po jakimś czasie zła myśl rejterady. Za tą złą myślą poszły mimowolnie i nogi, lecz nie uciekałem; umiałem jeszcze zachować pewne „decorum“. Wolnym krokiem spuściłem się w parów i skierowałem się ku temu wyższemu jeszcze płaskowzgórzu, na

którem odbywała się musztra. Zdawało mi się, że tam kule nie dochodzą, że będę tam bezpieczny i tam przeczekam bitwę. Stanąwszy na miejscu, widziałem doskonale cały plac boju; bitwa rozwinęła się w całej pełni. Kule istotnie wcale tam nie dochodziły; czułem się zupełnie bezpiecznym i niepokój zupełnie mnie odstąpił. Postąpiłem kilka kroków dalej i nagle spostrzegłem trupa wczoraj rozstrzelanego Niemca z rozszarpaną w strzępy piersią. Doznałem uczucia, jakby nagle krew gdzieś ze mnie ustąpiła, jakby mi się ścięła; włosy dębem stanęły mi na głowie, zesztywniałem cały, nie mogąc się ruszyć z miejsca; kule zaczęły do mnie dochodzić; huk dział się wzmagał; jakiś zbłąkany granat pękł o kilkadziesiąt kroków odemnie, strzały stawały się coraz gęstsze. Sam nie wiem, kiedy zacząłem uciekać. Nie wiem, jak długo biegłem, jak szalony. Gdym trochę oprzytomniał, znalazłem się w gęstym lesie. Zatrzymałem się... Byłem zmęczony, spocony, serce mi biło gwałtownie. Usiadłem na najbliższym obalonym pniu.

Po chwili oprzytomniałem zupełnie. Spojrzałem na zegarek; była godzina 11. Więc tak długo trwała moja wędrówka? Przyszła wnet rozwaga. Przypomniałem sobie, gdzie jestem i w jakim charakterze i dopiero teraz spostrzegłem, jak haniebnie z pola walki uciekłem, krew mi uderzyła do głowy, zaczerwieniłem się, czoło paliło mnie ze wstydu. Zacząłem się przysłuchiwać, lecz cisza była wokoło najzupełniejsza.

Wstałem, obejrzałem się na wszystkie strony dla rozpoznania miejscowości i pomiarkowania się, w którą stronę mam się udać. Postanowiłem złe naprawić i odszukać swoich. Zdawało mi się, że Langiewicz, jeżeli Moskali nie odparł, to prawdopodobnie cofnął się w górę ku klasztorowi. W stronę zatem klasztoru iść postanowiłem.

Znajdowałem się w gęstym lesie, na północnym stoku góry, prawie u jej podnóża, iść zatem w górę zdawało mi się kierunkiem najwłaściwszym.

Nie mogę dziś, jak i wówczas pojąć, jakim cudem, biegnąc tak bez opamiętania nie skręciłem karku, tak stromą była góra, pełna pni zwalonych drzew, stosów gałęzi, kamieni, dziur rozmaitych, które teraz, drapiąc się pod górę, musiałem przeskakiwać lub w jamy po kolana się zapadać.

Te same przeszkody musiałem natrafiać i w biegu, lecz tego zupełnie wówczas nie czułem. Strach widać dużo może.

Uszedłszy, a raczej drapiąc się tak paręset kroków, spotkałem

ks. Nowakowskiego Edwarda, Kapucyna, dążącego z góry na dół. Dowiedziałem się od niego, że bitwa skończona i Langiewicz bez żadnej straty cofnął się na górę. Rozeszliśmy się, każdy w swoją stronę. Drapiąc się dalej spotkałem konia osiodłanego. Domyślałem się, że jego właściciel zrobił tak samo, jak i ja, to jest drapnął. Wziąłem konia za uzdę i tak obaj drapaliśmy się pod górę. Po dobrze pół godzinnej, a może i dłuższej drodze, las stał się rzadszym, pochyłość góry mniej stromą i na paręset jeszcze kroków dalej spostrzegłem małą polankę a na niej gromadkę ludzi około 150 osób i kilka koni. Był to Langiewicz; stał na froncie tej gromady, otoczony sztabem, zwrócony w stronę opuszczonego obozu, jak zawsze, zimny, spokojny; rewolwer i lunetę trzymał w ręku.

Była to właśnie polanka, z której rozchodziła się droga z obozu prowadząca na dwie strony, po której z rana tak rączo biegłem do obozu.

Nie chciałem się zdradzić z mojego strachu i ucieczki, więc zatrzymałem się chwilkę, żeby się uspokoić i nabrać pewności siebie.

Śmiało wyszedłem z lasu, zbliżyłem się i powitałem, mówiąc: „Pułkowniku, przyprowadzam ci zabłąkanego konia“. Nikt o nic więcej mnie nie pytał, ja nie miałem się z czem pochwalić: rad byłem, żem się nazad z obozem złączył. Staliśmy tak z kwadrans w milczeniu. Była godzina 1. po południu. Wtem usłyszeliśmy strzały od strony klasztoru.

Langiewicz zmienił front i ruszyliśmy w górę ku klasztorowi krótszą, stromą drogą, poprzedzani przez kilku strzelców z dobrymi karabinami. W drodze dowiedziałem się od Langiewicza, że ani jednego zabitego, ani rannego niema; stracił tylko wóz sztabowy, u którego oba konie zabito. Ponieważ za mało miał siły do wstępnego boju, był zmuszony się cofnąć. Szliśmy powoli i ostrożnie. Strzały były coraz bliższe i gęściejsze i, tu przyznać muszę, już żadnego na mnie nie robiły wrażenia; strach pierwszy już mnie zupełnie opuścił. Dochodząc do muru, otaczającego klasztor, spostrzegliśmy furtkę, przez którą z rana wyszedłem, teraz zamkniętą. Karabin i głowa placówki wyglądała z za muru. Nasza awangarda zamieniła hasło, otworzono, weszliśmy.

Strzały padały gęste, lecz z przeciwnej strony klasztoru. Langiewicz kazał odpocząć ludziom. Wkrótce przyszedł major Czachowski z raportem, że od godziny Moskale rozsypani w tyraliery na brzegach wyrębu, atakują klasztor, że dotąd niema ani zabitych,

ani rannych i że z okien i z poza muru obwodowego dosyć pomyślnie na ogień nieprzyjacielski odpowiada.

Langiewicz chciał sam opatrzyć stanowisko. Wypadało koniecznie wejść na sam wierzchołek góry, na którym rano Moskale mnie na cel brali. Langiewicz, jak zwykle spokojnie, schował rewolwer i lunetę i poszedł naprzód, ja tuż obok niego, za nami Czachowski i obaj adjutanci Reutt i Abramowicz. Wyszliśmy na górę przywitani gęstym ogniem z lasu. Dobrych 5 minut wytrzymaliśmy ogień bez szwanku, obeszliśmy dalej cały klasztor wokoło. W tym czasie raniono dwóch oficerów. Z tych porucznik Tuszowski, strzelając przez rozpadlinę w murze, dostał postrzał w lewą rękę między łokciem i ramieniem; rana była lekką, bo kula przeszła tylko przez mięśnie.

Drugim rannym był porucznik Zawadzki Władysław. Dostał kulę w lewe udo; rana była ciężką, bo kula uwięzła w kości. Zemdlonego zanieśli na górę do klasztoru. I myśmy się też tam udali.

Langiewicz kazał wszystkich strzelców ściągnąć do środka i ograniczyć się tylko do strzelania z okien. Około godziny 3. rozkazał Langiewicz kapitanowi strzelców Pióro, żeby zebrał ze trzy plutony ochotników i z niemi zrobił wycieczkę. Ochotnicy stanęli w tej chwili. Wycieczka się powiodła; w trzy kwadranse kapitan wrócił, niosąc kilka karabinów. Wedle jego raportu, udało mu się ze 20 Moskali zabić, samemu nic nie straciwszy. Około godziny 5. popołudniu ogień ucichł zupełnie. Nieprzyjaciel się cofnął. Tak się skończyła druga bitwa Langiewicza.

Jak powiedziałem, mieliśmy tylko dwóch rannych. Moskale musieli mieć około sześćdziesięciu zabitych i tyluż rannych. Rachunek ten nie jest przesadzonym, gdyż, jak później dowiedzieliśmy się, Moskale w trzech dołach w Hucie Starej pogrzebali swoich poległych, a kilkadziesiąt fur potrzebowali dla swych rannych, których odesłali do Kielc. Rachunek taki jest tem więcej prawdopodobnym, bo strzelcy nasi w rannej bitwie pod Słupią byli ukryci w lesie, a Moskale w zupełnie otwartem polu; w południowej zaś walce około klasztoru nasi strzelali z poza murów lub z okien i to tylko najlepsi strzelcy, a inni tylko broń nabijali. Sam Czachowski z okien, ile ja mniej więcej liczyłem, powalił przynajmniej 15 Moskali, a inni oficerowie, jak Pióro, Korycki, Prędowski, Brokhusen, kapitan „Niewiadomy“ bardzo pilnie pracowali. Porucznik Tuszowski, którego Langiewicz mianował teraz kapitanem, przewiązał sobie sam ranną rękę i zaraz z okien łupił, co mógł. Czachowski urządził sobie wa-

bika na Moskali. Osadzoną na kiju czerwoną krakuskę kazał podnosić w górę tak, że z dołu mogło się wydawać, jakby żołnierz wychylał się z okna do strzelania, a jednocześnie ukryty za krzakiem pilnie baczył; a skoro tylko Moskal wysunął głowę z poza drzewa, by strzelić do tej czerwonej czapki, już było po nim. Figiel ten udał mu się pomyślnie kilka razy.

Rannym podporucznikiem Zawadzkim zajęły się przybyłe dnia wczorajszego panie. Doktora nie było żadnego, bo dr. Usłowski, wyszedłszy z klasztoru z rana razem ze mną, nie powrócił. Cyrulik robił co mógł. Kapitan „Niewiadomy“ próbował wyjąć kulę, ale to nie mogło się udać, bo ta uwięzła w kości. Obandażowano więc tylko ranę.

Rezultaty bitwy całodziennej były wielce pomyślne. Nieprzyjaciel został odparty ze znacznemi stratami, bez żadnych strat w zabitych z naszej strony. Były jednak znaczne straty w zbiegłych. Po bitwie do apelu stanęło zaledwie trzystu kilkudziesięciu ludzi, a było rano blizko sześćset. Strzelców tylko paru brakowało, a reszta brakujących byli kosynierzy. Kawalerzysty też brakowało jednego, a był nim pewnie ten, którego konia w lesie znalazłem. Z oficerów nikogo nie brakowało; zniknął tylko, jak powiedziałem, dr. Usłowski. Ks. Mikoszewski także się gdzieś zapodział; tak samo, jak ja, był pierwszy raz w ogniu i taki sam zapewne strach, jak mnie, tak i jego opanował. Kapelan Tuszowski nie tylko dotrzymał stanowiska, ale był zawsze pierwszy w szeregu z krzyżem i pistoletem w rękach, dodawał ducha, zachęcał do boju.

Wogóle muszę oddać wszystkim sprawiedliwość, że dobrze spełnili swe obowiązki. Kobiety wczoraj przybyłe nie traciły spokoju, choć kule bardzo gęsto do klasztoru padały, a korytarz i pokoje zasypane były gruzami z odbitych przez kule tynków.

Z samego rana znikł także ekonom zakładu z całą rodziną; którędy umknął, niewiadomo, gdyż, jak mówiłem wyżej, drzwi główne odrazu zatarasowano. Przypuszczaliśmy, że musiał się wymknąć jakimś podziemnym korytarzem, o którego istnieniu opowiadał nam później ks. Kotkowski. Powinien był, co prawda, zawiadomić o tem pierwej Langiewicza. Wiadomość ta mogła się bowiem przydać w wypadku, gdyby Moskale chcieli nas oblegać w klasztorze. Żywności nie było więcej, jak na trzy dni, a amunicyi bardzo szczupłe zapasy. Szczęściem, że do tego nie przyszło.

Korzystając z zamieszania zbiegli także z klasztoru wszyscy

księża Demeryci, którzy tu karę odsiadywali, ale jakim sposobem, także nie wiemy, musiał ich chyba ekonom wyprowadzić[22]).

Po całodziennych trudach należał się wszystkim dobrze zasłużony odpoczynek i posiłek; parę też godzin mu poświęcono.

Około godziny 7. wieczór wysłał Langiewicz patrole na dwie strony, jeden ku Słupi, drugi ku Hucie Starej.

Około dziewiątej patrole powróciły i przyniosły następujące wiadomości: Z pierwszej strony Moskale spalili obóz, to jest szałase z gałęzi; część lasu jeszcze się dotąd pali; pozostawionego chleba nie tknęli (to się tem tłumaczy, że Moskale sami rozgłaszali, że powstańcy umyślnie zostawiają zatruty chleb, co jest i było wierutnem kłamstwem). Worki z kaszą i grochem, które pozostawiono w pospiesznym odwrocie rozpruli i rozsypali. Znalazł także patrol siedm trupów, okropnie pomordowanych i do naga obdartych, to jest pięciu więźniów na odwachu, których sprawa przed bitwą nie była jeszcze skończoną i dwóch kosynierów, stojących na straży. Zapomniano o nich, ale cześć im zato, że raczej zginęli na swem stanowisku, a nie opuścili go. W miasteczku Słupi zastał patrol zupełny spokój. Moskale ograniczyli się na rzuceniu do miasta kilku granatów, od których powstało parę małych pożarów, lecz te zostały szybko zgaszone i straty były małe. Dowiedział się także patrol, że rano przed bitwą o dobrym jeszcze zmroku przyszedł do Słupi jakiś oddziałek kilkudziesięciu ludzi, który jednak z powodu bitwy nie mógł się przedostać do obozu i cofnął się w lasy. Co się z tym oddziałkiem później stało, nie wiemy.

Patrol, wracający od strony Huty, natknął na przednie czaty moskiewskie pod samą wsią i widział, że w tej wsi Moskale rozłożyli się obozem i gotowali jedzenie.

Chodziła pogłoska, że chłop z tejże wsi Huty, będąc na nabożeństwie w niedzielę, zobaczył, że niema zupełnie wojska w klasztorze (wiemy, że załogę dano dopiero w poniedziałek) i doniósł o tem do Kielc do Czengierego, a nawet miał sam prowadzić Moskali drogą do klasztoru[23]). Za prawdziwość tej pogłoski ręczyć trudno, ale to jest faktem, że wieś Huta, licząca kilkaset dymów była z początku powstaniu bardzo nieprzyjazną. W Opatowskiem i Kie-

---

[22]) Berg (Zapiski II. str. 514; tł. pol. II. str. 365) mówi, że księży demerytów uwolnił Langiewicz. Źródła jednak nie podał. (P. R.)

[23]) Berg (Zapiski II. str. 515: tł. pol. II. str. 366) opierając się na Dzienniku poznańskim (1863 nr. 43), podaje wiadomość, że Czengierego prowadził sołtys z Krajnego, ten sam, który wydał ks. Ściegiennego. (P. R.)

leckiem było kilka wsi podobnie usposobionych, jak między innemi Kurów Opatowski i liczne tu dosyć kolonie niemieckie.

Wysłuchawszy raportów, Langiewicz rozpoznał na mapie okolicę, w której Moskale nocowali. Ze wsi Huty prowadziła tylko jedna droga przez góry i wąwozy, przystępna jednak dla marszu regularnego wojska z artyleryą. Tą drogą Moskale musieli iść, gdziekolwiekbądź udaćby się chcieli; tą samą drogą przyszli z Kielc. Powziął więc zamiar wysłać w nocy oddział wyborowy pod wodzą doświadczonego oficera dla zajęcia i ukrycia się w wąwozie lesistym o pół mili od Huty oddalonym, w kierunku ku Kielcom. Sam zresztą oddział miał wyjść nad ranem tak, by, jak Moskale wyjdą z Huty, nie był więcej jak pół godziny drogi od nich oddalony. Skoroby Moskale środkiem swoim weszli w zasadzkę w wąwozie przygotowaną, on sam zamknąłby im odwrót. Plan był dobry, chodziło tylko o jego wykonanie. W tym celu zwołał Langiewicz swoich starszych oficerów, mianowicie Czachowskiego, Koryckiego i Pióro i przedłożył im swój projekt. Oficerowie ci jednogłośnie odmówili wykonania, tłumacząc się tem, że nie dowierzają zbyt młodemu jeszcze i niedoświadczonemu żołnierzowi. Że do zasadzki potrzeba ludzi śmiałych, wytrzymałych, obytych z bronią i cierpliwych, gdyż jeden niebaczny i nieostrożny strzał, lub jakikolwiekbądź przedwczesny ruch gubi wszystko. Wobec tego kategorycznego oświadczenia musiał Langiewicz od planu swego odstąpić.

Narada trwała dobrą godzinę, do której i ja, popierając Langiewicza, się wtrącałem, lecz tam gdzie nie było stanowczości i zaufania do żołnierzy, a w gruncie rzeczy i pewności siebie w oficerach, wszelka namowa musiała być bezskuteczną.

Langiewicz nie chciał zostawać dłużej na Św. Krzyżu, choć to było miejsce sprzyjające do organizacyi. Chciał z jednej strony przyzwyczaić żołnierza do marszów, a powtóre uważał za potrzebne zbliżyć się do granicy dla odebrania kilkuset karabinów, o których możliwem nadejściu uprzedził go był Maciejowski w czasie swej bytności w obozie. Rozkazał więc oficerom przygotować się do wymarszu, tak, by najpóźniej o godzinie 1. w nocy można było wyruszyć. Nocną zaś porą wymarsz uskutecznić należało dlatego, że wypadało koniecznie przejść około obozu moskiewskiego w odległości półtory do dwóch wiorst najwyżej. Innej drogi w kierunku do Staszkowa, dokąd się udać zamierzał, nie było.

Punkt więc o godzinie 1. w nocy wyruszyliśmy z całym tabo-

rem ku Słupi w porządku następującym: Awangarda pod dowództwem Prędowskiego, jako dobrze znającego okolicę. Środek pod dowództwem samego Langiewicza; tu należały i wozy, których było dziesięć. Tylna straż pod komendą majora Czachowskiego.

Wszystko razem w dwójkach z powodu nocy i wązkości drogi, przeważnie wąwozem wiodącej, rozciągnęło się na przestrzeni do dwóch wiorst długości. Zejście z gór było nadzwyczaj przykre, wozy się przewracały. Noc była tak ciemną, że na dwa kroki przed sobą trudno było cokolwiekbądź dojrzeć.

Langiewicz usadowił się na jednym z wozów, mniej ładownych, ja i obaj adjutanci szliśmy piechotą. W miejscu, gdzie był obóz, las jeszcze się palił, lecz słabo, dzięki wilgoci i zimowej porze. Palące się jak świece jodły, oświetlały drogę. Rannego porucznika Zawadzkiego kazał Langiewicz odwieść do Słupi i tam zostawić na opiece księdza. Od Słupi wzięliśmy się na prawo; wązkiemi leśnemi drożynami, często łożyskiem potoczków z trudem mogliśmy się posuwać.

Około 3. rano trochę się rozjaśniło, bo wszedł księżyc. Zmęczony tą nocną podróżą, skorzystałem z mego uprzywilejowanego stanowiska i wsiadłem na wóz z Langiewiczem. Obaj adjutanci szli ciągle obok nas piechotą. Marsz ten był rzeczywiście bardzo śmiały i niebezpieczny. Na prawo widzieliśmy w oddaleniu dwóch wiorst łuny ognisk obozowiska moskiewskiego. Sami rozciągnięci na tak długiej przestrzeni, gdzie spójność z powodu nocy była wprost niemożliwa, na przypadek nieprzyjacielskiego ataku bylibyśmy z pewnością zgubieni. Gdy się dzień zrobił otucha wstąpiła we wszystkie serca.

Około godziny 8. zatrzymaliśmy się dla odpoczynku i posiłku w rzadkim lesie, pod wsią Lechówek[24]), po lewej stronie gościńca, idącego od Łagowa ku Daleszycom i Kielcom. Miasteczko Łagów zostawiliśmy na prawo. Rozstawiono czaty, a większe patrole konne wyszły ku Łagowu i ku Daleszycom. Żołnierzom dano tylko wódki, chleba i słoniny; tem samem i myśmy się pożywili, gotować nie było czasu. Po dwugodzinnym, a może i dłuższym odpoczynku, ruszyliśmy w dalszą i tak samo niewygodną drogę. Około godziny 3. po południu stanęliśmy pod wsią Ociesęki[25]). Żołnierz był bardzo zmęczony; tu też Langiewicz postanowił nie tylko dłużej odpocząć,

[24]) Lechówek, wieś, pow. Opatowski, gm. i par. Łagów. (P. R.)

[25]) Ociesęki, wieś, folw. i dobra, pow. Kielecki, gm. Cisów, odl. o 32 wiorst od Kielc. (P. R.)

aby zanocować. Była to środa, 11. lutego. Wieś ta była kilka razy w powstaniu polem bitwy. Ostatni raz bił się tu jenerał Bosak i pułkownik Zygmunt Chmieliński, akurat w rok potem, w lutym 1864 r.

Obóz rozłożono na wiorstę drogi przed wsią na pochyłości wzgórza rzadkim lasem pokrytego. Miejscowość tę wybrano dla zakrycia żołnierzy od silnego bardzo, zachodnio-północnego wiatru. Po rozłożeniu obozu i rozstawieniu czat, rozpalono ognie i zabrano się do gotowania obiadu.

Wkrótce przyjechał właściciel wsi (nazwiska nie pamiętam), bardzo gościnny obywatel; co tylko miał w domu, kazał przywieść żołnierzom. Kazał zabić wołu i możliwie najwięcej upiec chleba. Langiewicza, mnie i kilku oficerów zaprosił na obiad do dworu. Ofiarowano nam także i nocleg tam, ale tego nie przyjęliśmy, niechcąc się oddalać od obozu. Ja z Langiewiczem nocowaliśmy w małej bardzo, przewiewnej stodółce na polu, w sąsiedztwie obozu. Nie wiem, czym kiedy spał smaczniej i wygodniej na materacach, jak tam na słomie futrem owinięty.

Nazajutrz z rana, 12. lutego, po śniadaniu wyruszyliśmy do lasu, gdzie Langiewicz chciał dać dłuższy wypoczynek żołnierzom, by potem pójść w dalszy marsz. Las był wielki i tylko o półtory wiorsty po drugiej stronie wsi od dworu oddalony w kierunku południowym. Rozłożono tam obóz i zajęto się przygotowaniem obiadu. Tymczasem Langiewicz zaprosił mnie, abym mu towarzyszył i wyszliśmy razem dla obejrzenia okolicy, a mianowicie rozpatrzenia kierunku kilku dróg, które się ze wsi Ociesęki rozchodziły. Wycieczka ta trwała jakie półtory godziny. Były to drogi wiejskie, prowadzące przez lasy i mniejsze wyniosłości i nie przedstawiały żadnego strategicznego znaczenia. Jedyna droga trochę szersza prowadziła do Daleszyc, nie była jednak odpowiednią dla marszu większych sił regularnego wojska. Gdyśmy wrócili do obozu, Langiewicz wysłał silniejsze trochę patrole jazdy w dwóch, czy trzech kierunkach z poleceniem zatrzymania się na krańcach lasu. Silną grand-gardę wysłał do samej wsi Ociesęki. Wkrótce potem, gdy żołnierze byli zajęci gotowaniem obiadu, czyszczeniem broni i wogóle moderunku wojskowego, nagle od strony Daleszyc padło kilka strzałów. Cały oddział zerwał się do broni i w pięć minut stanął w szyku bojowym, oczekując rozkazów. Skończyło się jednak na niczem, bo to Langiewicz dla obudzenia czujności i przekonania się o sprawności wojska, rozkazał podjazdom, ku Daleszycom

wysłanym, wykonać fałszywy alarm. Wszystko się uspokoiło i żołnierze wrócili do porzuconych zajęć.

W ciągu dnia patrole przyprowadziły kilka oddziałków po 20 do 30 ludzi, bądź to ochotników, bądź też rozbitków, a właściwie mówiąc uciekinierów, z pod św. Krzyża, bądź też z rozbitego pod Słupczą oddziału Frankowskiego. Największym był jednak oddział z 60 ludzi złożony, w połowie z samych prawie strzelców, a w połowie z jazdy, prowadzony przez majora Ulatowskiego, żołnierza z r. 1831. Była to część oddziału, sformowanego przez Rajskiego w Sandomierzu, który po bitwie pod Słupczą opuścił Sandomierz i cofnął się był do Koprzywnicy, gdzie przybyły inne niedobitki oddziału Frankowskiego. W oddziale tym wszyscy ludzie byli dobrze uzbrojeni, a nawet umundurowani, co, jak wówczas z początku, było rzadkością. Kawalerya szczególnie pięknie wyglądała; byli w niej przeważnie chłopi galicyjscy. Ulatowski zapowiedział, że jeszcze jeden podobny oddziałek powinien przed wieczorem nadejść.

Po obiedzie spędzonym w obozie, zaproponował mi Langiewicz, ponieważ koniecznie wiedzieć potrzebuje czy Moskale są w Opatowie, dla dalszego marszu i kierowania się, czy nie chciałbym zaraz do Opatowa pojechać, żebym jednak tej samej nocy powrócił do Rakowa, dokąd on przed wieczorem wyruszy i tam zanocuje. Jak już mówiłem, Langiewicz zamierzał iść do Staszowa, a w zamiarze tym utwierdził go jeszcze Ulatowski wiadomością, że na całem pograniczu od Sandomierza aż do Stobnicy[26]), nie ma wcale Moskali i że w Staszowie, w środkowym punkcie tego pasu, zajmuje się bardzo czynnie organizacyą powstańczą stary pułkownik Krakusów z roku 1831, Krzesimowski i zjechało się tam wiele młodzieży, synów obywatelskich. Chociaż nie rozumiałem dobrze, dlaczego do tej inspekcyi Langiewicz mnie wybrał, a nie jakiegoś wojskowego, jednak nie pytając się o to, propozycyę przyjąłem i natychmiast furmanką, dostarczoną przez właściciela Ociesęk, pojechałem. Ujechawszy jakie pół mili spotkałem oddział 20 ludzi konnych i tyleż piechoty na furmankach, jadących ku obozowi; był to ów oddział, zapowiedziany przez Ulatowskiego. Dążyli oni na Św. Krzyż, lecz w drodze dowiedzieli się o bitwie i cofnięciu się Langiewicza, więc dążyli za nim. Już dobrze o zmroku dojechałem do Opatowa; chociaż miałem paszport najlegalniejszy, jednakże nie wjechałem do samego miasta, lecz zatrzymałem się w karczmie,

---

[26]) Stobnica, wieś nad rz. Pilicą, pow. Piotrkowski, gm. i par. Ręczno. (P. R.)

jakie pół wiorsty przed miastem leżącej. Tu dowiedziałem się, że już od tygodnia przeszło Moskale Opatów opuścili i gdzieś ku północy pomaszerowali. Posiliwszy się i popasłszy konie z półtory godziny, ruszyłem z powrotem i około północy byłem w Rakowie.

Zajechałem do głównej kwatery w rynku, w mieszkaniu burmistrza założonej. Jeszcze tu nie spali. Zastałem tam znowu ks. Kotkowskiego, ks. Mikoszewskiego i Tomczyńskiego. Pokazało się, że niepotrzebnie jeździłem do Opatowa, bo Tomczyński właśnie stamtąd na chwilę przedemną przyjechał. Langiewicz był w doskonałym humorze, bo oddział jego znowu się powiększył znacznie tak w piechocie, jak i kawaleryi, dobrze ubranych i uzbrojonych. Dowiedziałem się, że Langiewicz jeszcze dobrze za dnia przyszedł do Rakowa, że Żydzi, prawie wyłącznie mieszkańcy miasteczka, wyszli na jego przywitanie za miasto z rabinem, torą, chlebem i solą. Znieśli mu zaraz wszystkie buty i kożuchy, jakie tylko mieli, za co naturalnie Langiewicz gotówką zapłacił, a wojsko całe rozebrali na kwatery, karmili i poili. Nadmienię, że czujność obozowa była zachowaną, czaty rozstawione, bom je spotkał, dojeżdżając do miasteczka i przez nie byłem do miasta odprowadzony.

Nazajutrz w piątek, 13. lutego, cały oddział udał się w marsz do Staszowa. Ja z Tomczyńskim wyjechałem parę godzin przedtem, a to dla uprzedzenia pułkownika Krzesimowskiego o nadejściu Langiewicza i przygotowania kwater dla wojska. Minąwszy Kurozwęki, własność niegdyś Potockich, gdzie jest piękny pałac i stary kościół, na jakie pół mili przed Staszowem przejechaliśmy wpław rzeczkę Czarną, dosyć głęboką i szeroką; w tym przejeździe zgubiliśmy sforzeń od bryczki i skoro tylko wjechaliśmy na brzeg, bryczka się odprzodkowała; poszliśmy więc dalej piechotą. Była godzina 1. po południu, gdyśmy przyszli do miasta.

Zameldowaliśmy się pułkownikowi Krzesimowskiemu. Poważnie, lecz serdecznie przyjął nas staruszek, a zadowolenie z roli, jaką tam odgrywał, malowało się na całej jego postaci.

Starzec ten, powłóczący zaledwie nogami, był pięknym przykładem miłości Ojczyzny, poświęcenia i poczucia obywatelskich obowiązków. Znaleźliśmy tu dużo ruchu i zgiełku, choć roboty nie wiele, ale to wybaczyć należy starcowi, który sam nie mógł wszędzie zajrzeć, wszystkiego dopilnować, a w otaczającej go młodzieży nie było nikogo, ktoby znajomością rzeczy i energią mógł mu być pomocą. Pomimo to dosyć tu zrobiono, bo ów oddziałek, który jadąc do Opatowa spotkałem, był uformowany i uzbrojony

w Staszowie. Pułkownik Krzesimowski taką też tylko przygotowawczą robotę, jak formowanie, uzbrajanie i wysyłanie na pole bitwy wziął sobie za cel. Między otaczającą go młodzieżą znalazłem jednego towarzysza z lat moich dziecięcych, Wacława Rojewskiego z Lubelskiego. Jego też bryczką pojechałem zabrać rzeczy, które na zepsutej bryczce w czystem polu zostawiliśmy.

Pułkownik wziął na siebie przygotowanie wszystkich potrzeb dla wojska i zaraz wydał odpowiednie zarządzenia rozmaitym młodzieńcom, których miał pod ręką. Oświadczył nam przytem, że sam wyjedzie na spotkanie naczelnika Sandomierskiego powstania, gdyż uważa się za jego podkomendnego.

Wysłał też zaraz kilku konnych, żeby na pół mili przed miastem oczekiwali i dali znać, gdy ujrzą zbliżający się oddział. Między 3. a 4. po południu przyszła wiadomość, że Langiewicz, spostrzegłszy oczekujący go patrol, zatrzymał oddział tak dla chwilowego odpoczynku, jak i dla przygotowania go do uroczystego, ile można, wjazdu do pierwszego większego i to powiatowego miasta. Pułkownik Krzesimowski wyjechał też niebawem powozem, otoczony swoją świtą około dwudziestu konnych, po największej części okolicznej obywatelskiej młodzieży. Ja z Tomczyńskim wyszliśmy za nimi piechotą, jako spektatorowie.

W mieście wszystko było w ruchu. Od rana już wiedziano, że Langiewicz ma przybyć do Staszowa. Kto żyw, śpieszył na to spotkanie. O jakie półtory wiorsty za miastem spostrzegliśmy zbliżający się orszak, więc zatrzymaliśmy się.

Naprzód szła szpica, dobrze pokrytego plutonu, jakieś dwadzieścia koni własnej kawaleryi Langiewicza, pod dowództwem porucznika Prędowskiego. O parę staj dalej szła straż przednia pod dowództwem majora Ulatowskiego, złożona z kilku plutonów strzelców i kosynierów i paru plutonów kawaleryi. Znowu o jaką stajęmuzyka i część eskorty pułkownika Krzesimowskiego. Muzyka grała „Jeszcze Polska nie zginęła!“ Dalej pułkownik Krzesimowski w powozie. Po lewej stronie powozu Langiewicz konno ze swymi adjutantami, jak na teraz, konno. Po prawej stronie adjutant Krzesimowskiego; za powozem majorowie Czachowski i Korycki i reszta eskorty Krzesimowskiego. O jakie trzydzieści kroków za powozem spostrzegłem niespodzianie bardzo śmiesznie wyglądającą postać konną — był to ks. Karol Mikoszewski, członek tymczasowego Rządu Narodowego w białej baraniej czapce, w czarnym płaszczyku bez rękawów, który mu wiatr w dwa skrzydła rozdymał,

z głową dumnie podniesioną do góry, z wyrazem twarzy pełnym pychy i wysokiego zadowolenia. Dziś, gdy to piszę, na wspomnienie tej śmiesznej postaci, pusty mię jeszcze śmiech bierze. Jechał zupełnie sam. O jakie trzydzieści kroków za nim szło czwórkami wojsko, strzelcy, kosynierzy, kawalerya. Dalej wozy z bagażami. Pochód zamykała kawalerya. Cały ten orszak, liczący z jakie sześćset ludzi, rozciągnięty na tak długiej przestrzeni, dosyć imponująco wyglądał i w oczach tego tłumu, prawie wszystkich mieszkańców miasta, rósł na potęgę, parę tysięcy wojska wynoszącą. Okrzyki tego ludu pełne zapału, ale szczerego i serdecznego, przeprowadzały ten orszak aż do rogatki miejskiej. Tu czekał go burmistrz z radą gminną, miejscowe duchowieństwo z chorągwiami i tłum żydów z rabinem.. Na wszystkich twarzach widać było radość, a w niejednej ze łzami połączoną. Na rynku cały oddział się zatrzymał, uformował się w szeregi po trzech bokach rynku. Stary pułkownik wysiadł z powozu i w towarzystwie Langiewicza i całego sztabu, powłócząc nogami, przeszedł przed frontem wszystkich szeregów, witany głosem: „Niech żyje!“

Potem rozłożono ognie na rynku dla ogrzania się żołnierzy. Ze wszystkich stron mieszczanie znosili rozmaite pożywienia i rozdawali żołnierzom. Przed nocą rozesłano w kierunku głównych traktów, wiodących od Sandomierza, Opatowa, Szydłowca i Stobnicy, grand-gardy, złożone z kawaleryi i piechoty. Na rynku pozostała placówka; ręsztę wojska rozmieszczono po kwaterach u mieszczan.

Dzień był piękny, słoneczny, względnie ciepły, co wszystko razem złożyło się na bardzo piękną, podniosłą i rzeczywiście rzewną uroczystość.

Ten stary wiarus, z ostatniej z przed trzydziestu jeszcze laty wojny o niepodległość, z którego twarzy biła jeszcze prawie całą siłą młodość, miłość Ojczyzny i poświęcenie dla niej, budził cześć i poszanowanie — kojarzył te dawne boje w innych, lepszych warunkach podjęte, z nowemi usiłowaniami. W tych nowych szeregach, które z takim samym zapałem, choć w daleko gorszych warunkach, chwyciły za broń do walki za Ojczyznę, było wielu takich, którzy nie tylko pamiętali owe przedtrzydziestoletnie boje, ale i brali w nich udział, w tych szeregach, powiadam, zapał się wzmagał i potężniał, serca rosły, utrwalało się postanowienie i wiara, że ten bój nowy będzie ostatnim, a musi być zwycięzkim. Czemuż? O czemuż nie było tego zapału i tej wiary w całym narodzie? Cze-

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Polit.-Wych.

muż owe warstwy, które dotychczas przodowały w narodzie, których obowiązkiem było i teraz, jeżeli nie przodować, to całą siłą wspierać i współdziałać w tym zbrojnym ruchu, były nietylko obojętne, ale nawet okazywały się wrogie, skłonne do poniżania się przed wrogiem, nie wstrzymywały się nawet przed namawianiem do zdrady sprawy i chorągwi narodowej? Czemuż ten lud kmiecy, jak powiada poeta, „nie poparł go swymi plecy“? Prawda, że lud ten był ciemny, narodowo nieuświadomiony, przejęty niewiarą i uprzedzeniem do swych „panów“. Prawda, że praca nad nim przez lat trzydzieści leżała odłogiem, że za Mikołajewskich czasów była niemożliwą, ale teraz Rząd Narodowy ogłosił uwłaszczenie ludu tego, a powstanie to było głośnem wypowiedzeniem życzeń i woli całego narodu i wojskowe polskie władze postanowienie to wszędzie ogłaszały. Właściciele ziemscy nie poparli tego czynem ze swej strony, zrzekając się praw własności, lecz pomimo to żądali od ludu i pańszczyzny i danin po dawnemu, więc wzbudzali tem większą nieufność i niewiarę w dotrzymywaniu tego, co im ogłoszono. Prawda, że to byłoby ze strony właścicieli ofiarą i to ciężką, ale ofiarę tę na ołtarzu Ojczyzny złożywszy, byliby przyspożyli Ojczyźnie obrońców, nie czyniąc teraz tego dobrowolnie, musieli uczynić to pod presyą i z nakazu wroga, a więc nie z pożytkiem, lecz ze stratą dla Ojczyzny.

Powiedzą mi na to ekonomiści i politycy na krótką metę, że sprawy tak ważnej, tak głęboko sięgającej w stosunki ekonomiczne narodu, nie można rozstrzygać doraźnie cięciem miecza. Ależ w Galicyi po roku 1863 rządy zaborcze tak samo, a nie inaczej sprawę włościańską rozstrzygnęły i musiało być dobrze. Rządy zaborcze rozumiały doskonale, że sprawa uwłaszczenia włościan jest przedewszystkiem polityczną i nie zawahały się przed jej rozstrzygnięciem doraźnem, nie krępowały się ekonomicznemi względami, bo widziały w tem własną korzyść, bo wyrządzając ludowi wiejskiemu sprawiedliwość — stawały się jego dobroczyńcami, zjednywały go dla siebie, dla swoich widoków i celów. Długo i wiele, bardzo wiele pisać o tem można i bardzo wiele napisano, a dotknąłem tej sprawy pobieżnie, by wykazać, że zapał tej młodzieży, z jakim za broń chwyciła, jej wiara głęboka, że zamierzonego celu dopnie, że zwyciężyć musi w takich warunkach i okolicznościach, przy takiem zrozumieniu sprawy przez tych, od których to najwięcej zależało, musiały, pomimo największych wysiłków,

bezgranicznych niemal poświęceń i ofiar, pomimo przelanego morza krwi, stać się szlachetną, ale nieszczęśliwą ułudą i mrzonką.

Ale wracam do opowiadania. Langiewicz zrobił mi propozycyę, żebym wspólnie z ks. Mikoszewskim w imieniu Rządu Narodowego, jako jego reprezentanci, wydali dyplom, mianujący generałem starego zasłużonego pułkownika Krakusów z r. 1831. Propozycyę tę przyjąłem chętnie i odpowiedzialność wziąłem na siebie. Rzeczywiście poświęcenie tego starego wiarusa, który to wszystko, co tu robił, robił własnemi funduszami, powinno było być uznane i nagrodzone. Wręczenie tej nominacyi miało się odbyć nazajutrz rano w obecności wszystkich zgromadzonych oficerów.

Zakomunikowałem tę myśl ks. Mikoszewskiemu, a otrzymawszy i jego zgodę, zredagowałem ten akt sam i sam przepisałem na blankiecie, który miałem przy sobie i przypieczętowałem ową wielką pieczęcią lakową, którą oznaczone były oba wezwania do Mierosławskiego na dyktatora i wezwanie do Frankowskiego, o którem wyżej mówiłem. Był to więc czwarty i ostatni zarazem dokument tą pieczęcią opatrzony. Gdzie się obecnie ta pieczęć znajduje, nie wiemy; zostawiłem ją w Warszawie, w domu, w którym mieszkałem chwilowo z rodzicami mej żony przez maj i czerwiec 1863 r., przy ulicy Nowolipie nr. 2425, schowaną na poddaszu, na krokwi dachu między połaceniem, a pokryciem blaszanem.

Następnego dnia, 14. lutego, w sobotę o godzinie 10. rano, w domu na rynku, w którym mieszkał pułkownik Krzesimowski i była główna kwatera Langiewicza, zebrali się wszyscy oficerowie oddziału, stosownie do danego im rozkazu; przybyliśmy tam także obydwaj z ks. Mikoszewskim. Langiewicz w krótkiej przemowie podniósł zasługi i poświęcenia starego pułkownika i wręczył mu nominacyę na generała wojsk polskich. Rozpłakał się staruszek i uściskał serdecznie Langiewicza i nas obu; ze wszystkimi, winszującymi mu oficerami ściskał się i całował i zaprosił wszystkich na obiad. W chwili wręczenia nominacyi pluton strzelców dał salwę pod oknami.

Potem odbyła się musztra i przegląd wojsk na rynku. Oddział cały, jak już powiedziałem, liczył około 600 ludzi, w tem około 80 kawaleryi i miał wcale niezłą postawę. Po przeglądzie rozdawano bardziej potrzebującym kożuszki, buty, bieliznę, której dosyć nagromadzono w Staszowie z ofiarności okolicznych obywateli wiejskich

i miejskich. Kożuszków znaczną część przysłał Maciejowski z Galicyi, resztę zakupiono w Rakowie i Staszowie. Oczekiwana broń z Galicyi dotąd jeszcze nie nadeszła.

Na obiedzie u generała zebrało się ze 30 osób. Wszystko było skromnie po wojskowemu i obozowemu, wina nie wiele. Piliśmy jednak zdrowie solenizanta generała, toasty na pomyślność powstania, Rządu Narodowego, Langiewicza.

Tego samego dnia nad wieczorem przybył kuryer z Warszawy, przez którego Bobrowski Stefan listownie zawiadamiał nas o powrocie do Warszawy Awejdego i Majkowskiego i wzywał w swojem imieniu do natychmiastowego powrotu dla wsparcia się w pracach i pomocy w powstrzymaniu chaosu, jaki wkradł się do Komisyi wykonawczej, rządzącej po naszym wyjeździe. Postanowiliśmy z ks. Mikoszewskim zaraz nazajutrz w niedzielę wyjechać do Warszawy.

Wieczorem około godziny 6. (było już prawie ciemno), przyszedłem do Langiewicza dla powiadomienia go o wyjeździe. Zastałem tam jakiegoś księdza i bardzo młodego chłopca; przy rekomendacyi dowiedziałem się, że ów ksiądz nazywa się Szymański i jest kuryerem z Warszawy, który list przywiózł, a ów młody chłopiec nazywa się Michał Smok. Zadziwiła mnie jednak niezwykła figura tego młodzieńca, jakby nienaturalnie poruszająca się w męzkiem ubraniu, nadzwyczaj mała ręka i noga, a przytem nieproporcyonalna szerokość bioder, więc prezentowany chłopiec wydawał mi się płci bardzo podejrzanej. Po krótkiej rozmowie panowie ci wyszli; a Langiewicz objaśnił mnie, że ów ksiądz jest tylko przebranym, a p. Michał Smok, jest panna Henryka Pustowojtów, która przyjechała z Mołdawii z zamiarem wstąpienia w szeregi powstańców. Nazwisko to było mi znanem, jako dosyć głośne jeszcze w czasach manifestacyjnych w Lublinie. Zrobiła ona na mnie bardzo przyjemne wrażenie skromnością, a nawet pewną lękliwością, zdradzającą młodą dziewczynę, czującą się niezupełnie swojsko w swem niezwykłem położeniu. Determinacya jednak, z jaką odpowiadała mi na uwagi czynione, że tak młody chłopiec nie wytrzyma trudów wojennych, zdradzała silną wolę i mocne, a czyste postanowienie służenia sprawie narodowej orężnie.

Nazajutrz z rana w niedzielę, d. 15. lutego, o godzinie 8. rano, cały oddział stanął pod bronią na rynku, gdzie Langiewicz miał odbyć przegląd. Oddział uszykował się w czworobok; jeden bok zajęła kawalerya, której komendantem został major Ulatowski, trzy

inne boki zajęła piechota, podzielona na trzy bataliony: 1-szy pod komendą majora Czachowskiego; 2-gi — majora Koryckiego; 3-ci — świeżo mianowanego majorem, kapitana Pióro.

W pierwszym batalionie, na prawem skrzydle, w pierwszej kompanii strzelców i w pierwszym szeregu spostrzegłem stojącego Michała Smoka. Wyglądał bardzo młodo, ale raźnie i dosyć wojowniczo, w szarym kożuszku i w rogatywce czerwonej stał z dubeltówką przy nodze. Podszedłem wolno ku niemu, powitałem już jako znajomego; robiłem jeszcze uwagi co do młodości i sił, lecz również, jak wczoraj, odebrałem odpowiedź stanowczą, choć skromnie, nawet bardzo skromnie wypowiedzianą. Zapytałem, czy niema czasem jakiego zlecenia do rodziny w Lublinie, że mam tam krewnych, a wracając do Warszawy będę miał sposobność wiadomość mi podaną zakomunikować. Pan Michał prosił mnie, by tylko pani Kossakowskiej z Rzewuskich powiedzieć, że Michał Smok jest zdrów i w kraju. Obiecałem to uczynić i pożegnałem.

Pan Michał był bardzo ładną dziewczyną, brunetką silną o wyrazistych rysach, trochę przypominających rysy Tadeusza Kościuszki, pięknych, czarnych i bardzo żywych oczach, o piersi wypukłej, której wydatność, nawet obcisły kożuszek nie wiele zmniejszał.

Niebawem rozpoczął się przegląd. Jeden z oficerów, świeżo przybyły porucznik artyleryi z wojska moskiewskiego, choć było jeszcze tak rano, już był niekoniecznie trzeźwym i dokazywał na koniu, gdy nagle, jak chciał zawrócić, żeby stanąć przed szeregiem, koń się zwinął na śliskim bruku i obadwa z jeźdźcem runęli, jak kłoda; był to epizod tak śmieszny, że w całym oddziale ogólny śmiech wywołał.

Po skończonym przeglądzie ogłoszono nominacye: kapitan Pióro został majorem; porucznik Prędowski rotmistrzem; podporucznicy Zglinnicki i Brokhusen porucznikami kawaleryi; adjutanci Langiewicza podporucznicy, Abramowicz i Reutt — porucznikami. Michał Smok został mianowany adjutantem przy starym majorze Czachowskim; to stanowisko dawało mu prawo jazdy na koniu.

Skoro się tylko przegląd skończył, a wojsko po małym odpoczynku miało się udać na nabożeństwo do kościoła, skorzystałem z tego, pożegnałem szanownego już generała Krzesimowskiego, Langiewicza i innych i razem z owym p. Szymańskim wyjechałem ze Staszowa, dążąc do Warszawy.

Na noc dnia tego zajechaliśmy do Kurowa sandomierskiego[27]), wsi trzymanej dzierżawą przez p. Henela, brata dobrze mi znanego w Warszawie Adolfa Henela, współpracownika „Gazety codziennej“ i bardzo czynnego członka organizacyi narodowej. Wieś to bardzo ludna i dawno już oczynszowana; lud był z początku wrogim powstaniu; chłopi z własnej woli i ochoty trzymali wartę we wsi i zatrzymywali przejeżdżających, żądając wylegitymowania się. Taka warta i nas zatrzymała, musieliśmy jej okazać paszporta, gdy jednak powiedzieliśmy, że jedziemy do dworu, do pana dzierżawcy, puściła nas.

Przenocowawszy w Kurowie pojechałem sam dalej do Ożarowa[28]) dla wzięcia koni pocztowych. Na stacyi pocztowej spotkałem dra Usłowskiego, który był, jak to wyżej mówiłem, lekarzem obozowym Langiewicza, ale przed samą bitwą na Św. Krzyżu uciekł. Od chwili tej ucieczki jeździł ciągle od wsi do wsi po znajomych i nie mógł się dotąd uspokoić ze strachu, jaki go na Św. Krzyżu ogarnął. I teraz sam mój widok tak silnie mu przypomniał ową chwilę strachu, że zbladł i formalnie febry dostał i blizko przez pół godziny, rozmawiając ze mną, drżał jak liść osikowy i nie umiał zupełnie zapanować nad sobą. Przy tak silnem usposobieniu nerwowem niemożliwem mu było pełnić obowiązki lekarza obozowego. Pożegnałem go więc serdecznie, życząc mu jak najprędszego uspokojenia i pojechałem dalej. Przed wieczorem stanąłem w Brześciach[29]) u mego krewnego Koperskiego i tu zupełnie niespodzianie zastałem moją żonę, którą zostawiłem był w Sieciechowie, gdzie miała mnie oczekiwać. Przez cały czas rozłąki raz tylko miałem sposobność przez ks. Filipa Majewskiego dać jej o sobie wiadomość. Niespokojna o mnie, przyjechała tu, żeby być bliżej. Rad byłem bardzo temu niespodziewanemu spotkaniu i w Brześciach przenocowałem. Ponieważ nazwisko moje i charakter urzędowy, choć się tem nie chwaliłem i publicznie nie występowałem, wszystkim prawie w obozie był wiadomym, a był także wiadomym i owemu Zdanowiczowi, dowódzcy oddziału Frankowskiego, którego w Lipsku poznałem, a który zdradził i Moskalom się oddał, dla ostrożności postanowiłem wracać do Warszawy pod obcem nazwiskiem, a dla zmienienia na pierwszy rzut oka fizyognomii, ogoliłem brodę i wąsy.

---

[27]) Kurów, wieś i folw., pow. Sandomierski, gm. Lipnik, parafia Włostów, odl. 18 wiorst od Sandomierza. (P. R.)

[28]) Ożarów. os. miejska, pow. Opatowski, odl. 22 w. od Opatowa. (P. R.)

[29]) Brzeście nad Wisłą, wieś i folwark, pow. Kozienicki, gm. Oblessy, par. Janowiec. (P. R.)

Nazajutrz rano we wtorek, 17. lutego, wyjechaliśmy z żoną z Brześć do wsi N. N. (nie pamiętam) do pp. Łuczyńskich. Pani Ł. była siostrą p. Szymańskiego, z którym ze Staszowa wyjechałem, i on też o moim przyjeździe miał p. Ł. uwiadomić. Przedstawiłem się tam naturalnie, jako Janowski Józef z Warszawy. Zastałem tam p. Łuczyńską, matkę gospodarza, z którą spotkałem się był parę miesięcy temu na zjeździe w Baranowie, o czem poprzednio (Tom II.) pisałem. Tam pani Ł. znała mnie, jako Jastrzębowskiego; ja poznałem ją odrazu, ale i ona mnie pomimo ogolenia poznała, co mi nie było przyjemnem, lecz udała, że mnie pierwszy raz widzi. Po śniadaniu pp. Łuczyńscy odesłali mnie swemi końmi do Kozienic, gdzie zjechałem się znowu z p. Szymańskim. Za jego pośrednictwem dostałem od burmistrza kozienickiego paszport, jako rządca okolicznego majątku. Końmi pocztowemi pojechaliśmy z żoną dalej przez Ryczywół, Mniszewo, Górę, Kalwaryę, Piaseczno; przyjechaliśmy do Warszawy w nocy. Nie zajechałem do domu, lecz do hotelu Warszawsko-wiedeńskiego, położonego obok dworca kolejowego, gdyż miałem zamiar po przekonaniu się, że mi w Warszawie żadne nie grozi niebezpieczeństwo pojechać znowu do Łodzi i stamtąd dopiero za własnym legalnym paszportem do Warszawy na stałe powrócić *).

*) W hotelu zaraz dowiedziałem się, że na parę dni przed mym przyjazdem umarł Henryk Marconi, radca budowniczy, mój niegdyś kochany profesor i prawie przyjaciel. Ś. p. Marconi mieszkał zaraz naprzeciwko dworca, więc dobrze był znany gospodarzowi hotelu, a ten, pytany o nowiny, wspomniał o wspaniałym pogrzebie, jaki parę dni temu mieli. Szczerze żałowałem tego zacnego człowieka i obywatela patryotę, dla którego miałem, oprócz wdzięczności, wiele bardzo głębokiego i szczerego szacunku. Cześć jego pamięci!

ROZDZIAŁ III.

Po czterotygodniowem błąkaniu się, wróciłem do Warszawy dnia 18. lutego; błąkaniu się, powiadam, bo, jeżeli już wówczas tak ja, jak i moi koledzy, uważaliśmy nasz wyjazd z Warszawy dla poszukiwania miejsca, gdziebyśmy się mogli ogłosić Rządem Narodowym, za błąd, tem więcej dziś, gdy w tak daleką przeszłość zwracam moje myśli trzeźwo i krytycznie, utwierdzam się w przekonaniu, że to był błąd wielki. Był on następstwem koniecznem ustanowienia dyktatoryalnej, osobistej powstańczej władzy, bez względu na osobę. Jakimi motywami powodowaliśmy się w ustanowieniu takiej władzy, wyłuszczyłem na właściwem miejscu, więc powtarzać się tu nie będę. Nie mogliśmy sobie wyobrazić możności władzy nieznanej, a do tego tajemnej. Nie rozumieliśmy także i tego, że władza dyktatoryalna bez stałego, zapewnionego dla niej, miejsca pobytu jest niemożliwą, a tem więcej dyktatura wojskowa, mająca swoją siedzibę w obozie jakiegoś oddziału powstańczego, zmuszonego do ciągłej zmiany miejsca i wystawionego na ciągłe ataki moskiewskie, tem silniejsze i gwałtowniejsze właśnie dlatego, że to jest oddział dyktatora. Z chwilą rozbicia takiego oddziału ginąć musiała i władza dyktatora tak, jak faktycznie potem zginęła dyktatura Mierosławskiego, zginęła dyktatura Langiewicza; najfatalniejszem następstwem tej myśli rządu dyktatoryalnego, wojskowego było to, że właściwie powstanie przez ciąg całych dwu pierwszych miesięcy było pozbawione rządu centralnego, było pozbawione wogóle kierunku. Że pomimo to powstanie nie upadło, ale przeciwnie rosło w siły, dowodzi to jego wielkiej żywotności pomimo, że brała w niem udział tylko część narodu.

Tegoż samego dnia raniutko poszedłem do Awejdy i Majkowskiego, mieszkających w pałacu ordynata Zamojskiego. Zastałem samego Majkowskiego. Dowiedziałem się od niego, że Awejde wyjechał w Lipnowskie na spotkanie z Mierosławskim, który w tamtej okolicy miał wkroczyć z małym oddziałem w granice Królestwa.

Wiadomość o zamiarze wkroczenia Mierosławskiego w Lipnowskie powzięła Komisya wykonawcza od Władysława Daniłowskiego, który bawił jakiś czas w Warszawie z pełnomocnictwem dyktatora do sformowania oddziału z kilkudziesięciu inteligentnej młodzieży warszawskiej, jako przybocznej dla niego straży [1]). Daniłowski miał rozkaz, oddział ten przyprowadzić w okolice Nieszawy i oczekiwać niedaleko stacyi drogi żelaznej w wielkich lasach, położonych na prawym brzegu Wisły, od samej granicy Prus zachodnich się rozciągających. Daniłowskiemu na przygotowanie tego oddziału Komisya wykonawcza wypłaciła 30.000 złp. Polecenie to Daniłowski wypełnił i kilka dni temu z Warszawy wyjechał. Udzielił mi także Majkowski bardzo przykrej wiadomości, że poprzedniego dnia został aresztowany Witołd Marczewski. Od dłuższego już czasu aresztowanie to wisiało, że się tak wyrażę, nad Witołdem, gdyż nazwisko jego, jako bardzo czynnego członka organizacyi, było w całem mieście znanem. Ostrzegany na kilka dni przedtem, wystąpił z Komisyi wykonawczej, ale Warszawy opuścić nie chciał *).

---

[1]) Por. Daniłowski. Not. do pam. str. 221 i nn. — Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 373 i nn. Sumę, przeznaczoną dla sformowania oddziału dla Daniłowskiego, określa na 35.000 złp. na podstawie Gillera H. P. N. P. I². str. 223. (P. R.)

*) Witołd Marczewski skończył wraz ze mną gimnazyum realne w r. 1850. Był to młodzieniec bardzo wysoko uzdolniony, małego wzrostu, jasny szatyn, o bardzo regularnych, delikatnych, prawie dziewczęcych rysach twarzy, podobnej białej, delikatnej cerze, oczów niebieskich, łagodnych i wogóle bardzo spokojnego, łagodnego usposobienia. Kochaliśmy go wszyscy koledzy bardzo i nazywali „Marysią“. Obok tej łagodności, zdradzał pewną energię i siłę woli, moc charakteru i bardzo silne uczucie patryotyczne. Zaraz po skończeniu gimnazyum, wstąpił do zarządu głównego drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej. Tu, oprócz pracy biurowej, usilną pracą zdobył wyższe wykształcenie zawodowe, inżynierskie i zyskał uznanie przełożonych. Szybko przechodząc różne stopnie zawodu, już (zdaje mi się w r. 1861) mając zaledwie lat 29, został naczelnym inżynierem; zajął więc niemal najwyższe stanowisko w służbie dróg żelaznych. Gorący patryota, pomimo swego wysokiego stanowiska, nie pozostał obojętnym na to, co się w kraju działo; brał w tem zyciu gorączkowy, czynny udział i gdy w r. 1862 zawiązał się Komitet Centralny, został jego członkiem i był w nim czynnikiem gorącym, ale roztropnym i umiarkowanym. Przetrwał na tem stanowisku politycznem wszystkie zmiany i wstrząśnienia wewnętrzne, dla swych przymiotów duszy i serca bardzo szanowany. Wskutek wypadków ostatnich dni grudnia 1862 r. wystąpił z Komitetu Centralnego, z powodu okoliczności, które opowiedziałem odmiennie, niż Agaton Giller, z którym, jak wiemy, wspólnie, od samego

Z Majkowskim poszliśmy do Bobrowskiego, który zawiadomił nas, że odebrał właśnie przez kuryera wiadomość, że Mierosławski d. 17. lutego nie w Lipnowskiem, lecz w okolicy Gopła przeszedł granicę, że Awejde pewnie jeszcze o tem nie wie, że więc trzeba koniecznie, by członkowie do niego pojechali, gdyż tak jest umówione. Ponieważ niema Awejdego, a ks. Mikoszewski jeszcze nie przyjechał, więc na razie my dwaj, t. j. Majkowski i ja musimy bezzwłocznie wyjechać. Wyjazd i spotkanie się z Mierosławskim było niezbędne dlatego, że musieliśmy złożyć w jego ręce naszą tymczasową władzę i porozumieć się z nim, co do dalszego kierunku administracyi powstańczej, jak i charakteru i stosunku do dyktatora tej władzy administracyjnej. Dyktatorowi, będącemu ciągle w obozie o charakterze partyzanckim, zmieniającym ciągle miejsce pobytu, niemożliwem było zajmować się prowadzeniem całej machiny administracyjnej, która, jakkolwiek bardzo prosta, wymagała jednak specyalnego zajęcia się i kierunku. Chcieliśmy, żeby ta władza pozostawała nadal w naszych rękach, jako znających doskonale organizacyę, jej atrybucye i sposoby działania. Władza ta działałaby naturalnie w imieniu dyktatora, lecz samodzielnie. O ile władza dyktatora byłaby jawną, to władza administracyjna musiałaby pozostać tajemną. Taki stan rzeczy pozostawałby aż do czasu, w którymby powstanie nie ogarnęło zupełnie i nie oczyściło pewnej części kraju od Moskali.

Postanowiliśmy z Majkowskim wyjechać natychmiast koleją żelazną do Kutna i stamtąd wysłać kuryera dla zasięgnięcia wiadomości o pobycie dyktatora[2]).

Wyjechaliśmy tedy z Warszawy: ja z żoną i Majkowski; wzięliśmy ze sobą niejaką pannę Teklę Kuczborską, bardzo energiczną

---

niemal zawiązania Komitetu Centralnego, w nim pracował, pojmując obowiązki z tego stanowiska wypływające. W chwili wyjazdu Rządu Narodowego wstąpił do Komisyi wykonawczej i, jak prawy żołnierz Ojczyzny, wytrwał do końca. W chwili aresztowania pozostawił młodą i ładną żonę i dwóch synów. Aresztowany i zamknięty w cytadeli, przetrwał katusze śledztwa z całą mocą swego nieugiętego charakteru. Po roku więzienia, bo dopiero w r. 1864, został skazany do ciężkich robót w Nerczyńsku. Po śmierci Aleksandra II. ułaskawiony, wrócił do kraju. Podczas wystawy we Lwowie w r. 1894 przyjechał do Lwowa. Odwiedził mnie, a tak się nic nie zmienił, że na pierwszy rzut oka, gdym mu drzwi otworzył, chwyciłem go w objęcia, wołając „Marysia“; krótko mogliśmy się widzieć, gdyż przejechał granicę tylko za kartką, bo mu paszportu Moskale dać nie chcieli, musiał wracać do Warszawy. Umarł w parę lat później. Cześć Jego pamięci!

[2]) Giller. H. P. N. P. I². str. 222 mówi o wyjeździe do Mierosławskiego 4. członków K. C., t. j. oprócz Janowskiego i Majkowskiego, wymienia Awejdego i ks. Mikoszewskiego. Por. Daniłowski. Not. do pam. str. 268. (P. R.)

i sprytną, już nie pierwszej młodości, osobę, która zobowiązała się służyć za kuryera. Przyjechawszy do Kutna, obie panie udały się do miasta, a ja z Majkowskim zostaliśmy na dworcu, gdzie dał nam gościnę naczelnik stacyi Kazimierz Regulski, kolega mój jeszcze z gimnazyum, z którym, jak to już wyżej opisywałem, przygotowywaliśmy się razem do matury i z którym w przyjaznych zostawałem stosunkach. Regulski należał do organizacyi, ale o moim w niej charakterze nic nie wiedział, a ja go też bliżej nie objaśniałem.

Nazajutrz, d. 19. lutego rano, udaliśmy się z Majkowskim do miasta, żeby się zobaczyć z Żeglińskim i zawiadomić go o celu naszego przybycia *).

Żegliński natychmiast wysłał swego zaufanego kuryera w okolice Gopła, celem powzięcia wiadomości o Mierosławskim, gdyż sam nic o jego wkroczeniu nie wiedział. Musieliśmy czekać na powrót kuryera, a ten wrócił dnia 21. wieczorem z bardzo niepomyślnemi wiadomościami: Mierosławski istotnie d. 17. lutego przeszedł granicę pod wsią Konary [3]) w towarzystwie kilkunastu oficerów i zatrzymał się w Krzywosądzie; między oficerami było paru wyższych stopni, jak major Celiński, major Buski, kapitanowie Raczkowski, Krosnowski, Seyfrid, kilku uczniów byłej szkoły w Cuneo; był także sekretarz Mierosławskiego, Jan Kurzyna, jako komisarz Rządu Narodowego — Janowski[4]). Na drugi dzień jakoś Daniłowski, który tam także występuje jako komisarz Rządu Narodowego, przyprowadził do Krzywosądzia około 60 młodych ludzi z Warszawy, bardzo źle uzbrojonych. Mierosławski za pośrednictwem Daniłowskiego porozumiał się z Mielęckim, dowódzcą oddziału, stojącego w Lubstowie, około 7 mil odległym, i na niego oczekiwał. D. 19. lutego po południu został Mierosławski zaatakowany przez Moskali [5]) od północy, którzy zdaje się postępowali śladem owego oddziału, przyprowadzonego przez owego Daniłowskiego. Moskale mieli przeważające siły: Mierosławski nie mógł

*) Daniłowski (Pamiętnik, str. 226) nazywa Żeglińskiego komisarzem województwa Mazowieckiego i powiada, że ten udzielał mu pomocy, w czem się zupełnie myli, bo: 1) Żegliński był tylko naczelnikiem miasta Kutna. 2) Nie oddalał się z Kutna wcale i teraz tu go zastałem. 3) Miejscowość w Lipnowskiem, gdzie Daniłowski działał, położona po prawej stronie Wisły, należała do województwa Płockiego.

[3]) Por. Przyborowski D. 1863 r. I. str. 380. (P. R.)

[4]) Por. Daniłowski Not. do pam. str. 228, gdzie wymienia otoczenie generała. (P. R.)

[5]) Por. Daniłowski. Not. do pam. str. 231 i nn. — Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 383. (P. R.)

przyjąć bitwy stanowczej i postanowił cofnąć się na południe ku Płowcom, a w lasku Krzywosądzkim pozostawił dla zasłonięcia odwrotu kilku swoich oficerów i kilkunastu strzelców i tyluż kosynierów pod dowództwem majora Celińskiego. Ci rzeczywiście wstrzymali Moskali, ale prawie wszyscy zginęli. Zginął major Celiński, major Buski, komisarz Rządu Narodowego Janowski, kapitan Krosnowski i inni. Z kilkudziesięciu ludźmi pozostałymi Mierosławski poszedł ku Płowcom; naciskany przez Moskali, cofnął się do wsi Trojanki, gdzie przed samym wieczorem mieli go dosięgnąć Moskale; pytany przez nas, czy połączenie z Mielęckim nastąpiło, nie umiał kuryer odpowiedzieć. Tej mniej więcej treści relacyę zdał nam kuryer.

Dopytywałem się kuryera, czy wiadomość o śmierci Janowskiego jest pewną; potwierdził, że to nazwisko, jako pewne mu wymieniono; nie umiał jednak wymienić nazwiska osób, od których powziął te wiadomości; zebrał je jednak w samym Krzywosądzie. Dodał nadto, że na drugi dzień po bitwie, a może jeszcze tej samej nocy chłopi okoliczni dobijali rannych i obdzierali trupów *).

Wiadomości te, tak smutne i przerażające dla mnie podwójnie z powodu śmierci brata, sprawiły, że obydwaj z Majkowskim uznaliśmy dalszy nasz pobyt w Kutnie za zbyteczny i postanowiliśmy wracać do Warszawy.

Nazajutrz też raniutko Majkowski pojechał wprost koleją żelazną do Warszawy, a ja z żoną pojechałem do Łodzi, żeby tam uregulować sprawy mego własnego paszportu, to jest uzyskać od burmistrza legalne potwierdzenie mego w Łodzi pobytu, bo jak mó-

*) Niestety wiadomości o śmierci mego brata w zupełności się sprawdziły. Dokładniejszych jednak wiadomości nikt mi wówczas udzielić nie mógł. Starałem się później przez przyjaciela mego i zarazem komisarza Rządu Narodowego województwa Mazowieckiego, Eugeniusza Kesslera, zebrać jakieś bliższe wiadomości, lecz, pomimo usilnych starań, i on nie mógł się żadnych szczegółów dowiedzieć. Badał miejscowego proboszcza, który grzebał ciała poległych, ale i ten nie mógł sobie przypomnieć nawet z opisanej fizyognomii i ze szczegółu, że poległy miał na piersiach złoty krzyżyk. Istotnie, ponieważ chłopi obdzierali rannych, to krzyżyk musieli zabrać. Dopiero w Paryżu upewnił mnie Jan Kurzyna, że brat mój zginął pod Krzywosądzem. Pułkownik Raczkowski utrzymywał, że sam widział, jak Janowski zsiadł z konia i wziąwszy kosę do ręki poprowadził chwiejących się kosynierów; ranny ciężko w piersi padł, chustką zakrył ranę, dobywał z kieszeni jakieś papiery, darł je i jadł. Potem pomagał rannego włożyć na wóz, który miał go zawieść do Krzywosądza. Co się dalej stało, nie wiedział. Daniłowski w pamiętniku swoim (str. 235 i nn.) podobnie, jak Raczkowski, o śmierci brata mego opowiada. Był to młodzieniec rzadkich przymiotów serca i duszy; nie waham się tego powiedzieć, choć to brat mój rodzony. Zginął, a mógł wielkie jeszcze Ojczyźnie oddać usługi. Choć młody, bo liczył dopiero lat 28, umiał jednak zjednywać sobie miłość i szacunek i poważanie u wszystkich, z kim miał stosunki czy prywatne, czy urzędowe, czy polityczne. Cześć Jego pamięci!

wiłem wyżej, wróciłem od Langiewicza do Warszawy i teraz do Kutna przyjechałem za cudzym paszportem.

Ciężko zmartwiony wyjechałem z żoną raniutko, d. 22. lutego, w niedzielę ekstrapocztą do Łodzi, gdzie przybyliśmy około południa. W mieście, w którem nie było wcale Moskali, zastaliśmy jakiś gorączkowy i podniecony ruch. Zajechaliśmy do pp. Cichockich i tu dowiedzieliśmy się, że przyczyną tego niezwykłego ruchu w mieście była wiadomość, że oddział sformowany przez dra Dworzaczka, naczelnika powiatu Łęczyckiego, w którym było bardzo wiele młodzieży z Łodzi, ma przyjść do miasta. I rzeczywiście około g. 3. po południu oddział, złożony z około 1000 ludzi, w uroczystym pochodzie i ze śpiewem „Jeszcze Polska nie zginęła“ wkroczył do miasta gościńcem od Łęczycy. Przyjmował go proboszcz miejscowy z wikaryuszami, w otoczeniu bractw, cechów rzemieślniczych z chorągwiami i mas ludowych: Polaków, Niemców, Żydów. Cała prawie ludność miasta była na ulicach. Przed kościołem oddział się zatrzymał. Proboszcz powitał go krótką, gorącą przemową i poświęcił sztandar z Matką Boską (ofiarowany przez kobiety łódzkie) i pobłogosławił wojsko i lud. Lud był żywo przejęty uczuciem patryotycznem, szczerze i ochoczo witał i podejmował żołnierzy.

Niestety ta patryotyczna radość Łodzian trwała nie długo. Oddział ten na drugi dzień, 23. lutego, do dnia wymaszerował z Łodzi w kierunku zachodnim i d. 24. lutego pod miasteczkiem Dobra [6]), około 7 mil od Łodzi odległem, zmuszony do przyjęcia bitwy, został zupełnie rozbity, straciwszy $^1/_4$ część w poległych i rannych; reszta, wzięta do niewoli, poszła w zupełną rozsypkę. Dowódzca dr. Dworzaczek został ciężko ranny. W bitwie tej poległa niejaka p. Piotrowska, matka kilkorga dzieci, która uniósłszy się zbytnim zapałem wojennym, zapomniawszy o obowiązkach matki, zaciągnęła się jako prosty żołnierz do oddziału. Jakkolwiek, zdaniem mojem, obóz i walka orężna nie jest wogóle zadaniem dla kobiety, gdyż ta na właściwem sobie polu daleko większe może oddać usługi Ojczyźnie, jednakże można wyjątkowo usprawiedliwić taki wojenny zapał w kobiecie, jeżeli czując w sobie odpowiednie siły, a nie mając żadnych obowiązków, w wojnie o niepodległość Ojczyzny da się unieść zapałowi i żołnierskiemu odda się zawodowi. Mieliśmy w walkach porozbiorowych liczne takiego poświęcenia przykłady, że wspomnę tylko z przeszłych czasów pannę Plater, a obecnie

[6]) Dobra, przedtem miasteczko, dziś osada w pow. tureckim, odległa o 42 w. od Kalisza, a 4 w. od Kutna. (P. R.)

pannę Pustowojtów; były to jednak kobiety wolne i żadnemi obowiązkami nie związane. Ale kobiecie, matce, rzucać dzieci, choćby nawet dla przyjęcia udziału w walce o wolność Ojczyzny, gdy rąk męskich jeszcze nie brakowało, czynić tego nie wolno. Taki zapał w kobiecie matce jest niezdrowy; jest wypływem źle pojętej miłości Ojczyzny, jest zupełnem niezrozumieniem najpierwszych, najważniejszych i najszczytniejszych obowiązków matki.

Załatwiwszy pomyślnie przy pomocy Cichockiego sprawę paszportową, wyjechaliśmy z żoną w poniedziałek, 23. lutego, raniutko do Piotrkowa, skąd koleją żelazną dążyliśmy ku Warszawie. Na stacyi w Pruszkowie, ostatniej przed Warszawą, gdy pociąg się zatrzymał, spostrzegłem dobrze mi znanego z organizacyi, Stanisława Olszańskiego, który, jakby szukając kogoś, przypatrywał wagony. Otworzyłem okno i zapytałem go, kogo szuka? „Właśnie pana — odpowiedział — niech państwo wysiadają". Pociąg zwykle stał tylko minutę, więc szybko zbieraliśmy nasze manatki, lecz Olszański powiada: „Niech się państwo nie spieszą, bo naczelnik umyślnie pociąg dłużej zatrzyma". Wysiedliśmy. — „Co się stało?" pytam. — „Czekam na państwa, żeby zawieźć do Warszawy końmi".

Nie spiesząc się więc, gdy pociąg odjechał, wsiedliśmy do oczekującej zamkniętej karety. Tu dopiero objaśnił mnie Olszański, że poczciwy Majkowski wiedząc, że jedziemy za fałszywym paszportem, zapomniawszy wyraźnie, poco jeździłem do Łodzi, polecił mu udać się do Pruszkowa i stąd przywieźć nas do Warszawy, bez potrzeby meldowania się na rogatce. Wysiąść na dworcu w Warszawie mogłoby być niebezpiecznem, bo tam pilnie rewidują i żądają paszportów. Bardzo byłem wdzięczny Majkowskiemu za tę ostrożność i pamięć, za co mu też serdecznie podziękowałem. Olszański był urzędnikiem kolejowym i jako taki miał też tu stanowisko w organizacyi, a przy tem był bardzo miłym, eleganckim młodzieńcem i gorliwym patryotą. Na rogatce Jerozolimskiej tylko dla formy wysiedliśmy zawizować paszporty i szczęśliwie, jeszcze prawie za dnia, stanęliśmy w naszem pomieszkaniu na Lesznie.

Wieczorem, tego samego dnia, poszliśmy z żoną do jej rodziców, a potem do mojej matki. Ze ściśnionem sercem tam przyszedłem, a musiałem się powstrzymać i uspokoić, zanim próg jej mieszkania przystąpiłem, ażeby ukryć boleść, jaka mną wstrząsała; powitała nas matka z powagą i spokojem, któremi (a wyraźnem to

było na jej obliczu) starała się pokryć wzruszenie, które ją przejmowało. O brata nawet nie pytała, a ja też milczałem.

Siostra tylko wzrokiem chciała nas badać; położenie nasze było nadzwyczaj ciężkie. Wiadomość o śmierci brata przez usta przejść mi nie mogła. W milczeniu naszem była jakaś, wypowiedzieć się nie dająca, groza. Opowiadaliśmy o naszej podróży, o bytności u Cichockich w Łodzi, u Frankowskich w Sieciechowie, u Koperskich w Brześciach, o spotykanych oddziałach powstańczych, ale śmierć brata pozostała nietkniętą tajemnicą. Dopiero na drugi dzień raniutko przyszła siostra do nas; opowiedziałem jej wszystko, co wiedziałem o bracie; siostra, zbierając myśli z dni ostatnich, opowiedziała nam o dziwnem przeczuciu macierzyńskiego serca, biednej matki naszej. Właśnie 19. lutego, w dniu śmierci brata, matka poszła rano do kościoła, co zwykle bardzo rzadko w dni powszednie robiła. Cały dzień była bardzo smutna i prawie ciągle płakała, a na parokrotne zapytania siostry z trudem wreszcie odpowiedziała: „Mam przeczucie, że już Władzia więcej nie zobaczę". I wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Odtąd o bracie nie wspominała. Być może, że źle zrobiłem, nie wyjawiając matce o śmierci brata, bo w jej sercu tkwiła jednak ciągle nadzieja, że on żyje i że go zobaczy. Przyznam się, że i ja łudziłem się także jakąś nieokreśloną nadzieją, że może ranny dostał się do niewoli moskiewskiej, że wywieziony został na Sybir. W parę miesięcy potem zdarzył się wypadek, który świadczył o tej głębokiej, w sercu matki utwierdzonej, nadziei; przyszedłszy raz do matki, zastałem ją bardzo smutną i mocno spłakaną. „Czemuż to mamusia tak płacze" — zapytałem. „Miałam przed chwilą dziwne zdarzenie" — odpowiedziała z wielkim trudem i płaczem. „Siedzę przy otwartem oknie i spostrzegłam na podwórzu dziadka, nadzwyczaj podobnego..." (i imienia nie wymówiła, tylko zaniosła się płaczem) „który stał chwilę, patrząc w okno; po chwili, nic nie mówiąc, zbliżył się, bystro mi się przyglądając, i wysunął rękę jak po prośbę; patrzyliśmy tak na siebie — ja słowa wymówić nie mogłam, a gdym po chwili oprzytomniała i odwróciłam się, by mu podać jałmużnę, już go nie było. Józio! to był Władek, a ja go nie poznałam, ja go nie powitałam". I z jękiem boleści rzuciła mi się na szyję.

Długi czas nie mogłem uspokoić biednej matki mojej i musiałem jej powiedzieć: „Kochana mamusiu, to było złudzenie, bo Władzio nie żyje; poległ d. 19. lutego pod Krzywosądzem" [7]). Przestała płakać

[7]) Por. R. I. str. 70—71.

i powiedziała: „Tak, tak, to było tego dnia; ja to przeczułam, nic nie mówiłam, ale wiedziałam, że tak jest, lecz miałam nadzieję. A to dzisiejsze zdarzenie! o Boże! o Boże!“ Opowiedziałem teraz wszystko, co wiedziałem o śmierci i o moich staraniach. Starałem się wyperswadować matce, że dzisiejsze zdarzenie było złudzeniem, że to był zwykły dziadek żebrak, a gdy nic nie dostawał, poszedł. Czym zdołał matkę przekonać, nie wiem, bo o tem już nigdy odtąd nie mówiliśmy. Te ciężkie i tak wstrząsające chwile, jak żywe, tkwią mi w pamięci. Biedna matko moja, nie Ty jedna poniosłaś taką stratę! Tysiące ich opłakiwało mężów, synów, a pociechą dla Ciebie i dla nich wszystkich było to, że życie swoje ponieśli w ofierze dla Ojczyzny, że zginęli jako jej prawdziwi i wierni synowie. Cześć Tobie, o matko ukochana! Cześć im wszystkim!

Nazajutrz, d. 24. lutego, we wtorek, udałem się rano na posiedzenie Komisyi wykonawczej. Zastałem już Awejdego, który wrócił był z niefortunnej, jak i moja, wycieczki dla spotkania się z Mierosławskim; zastałem Majkowskiego i ks. Mikoszewskiego i innych. Po miesięcznej wędrówce zebraliśmy się znowu w Warszawie, by prowadzić przerwaną pracę.

Przez ten miesiąc cały zaszło wiele wypadków, tak w samej Komisyi wykonawczej, jak i w kraju objętym powstaniem, na Litwie i na Rusi, w obu zaborach, austryackim i pruskim, wreszcie i za granicami Polski. Zanim przystąpię do opowiadania dalszego, muszę choćby najtreściwiej, przedstawić stan ówczesny spraw; stan ten jest punktem wyjścia, stanowi podstawę dla następnych prac naszych, które jakby na nowo mieliśmy rozpocząć.

Przypominam sobie, że wyjeżdżając z Warszawy d. 21. stycznia, powierzyliśmy wykonywanie czynności administracyjnych Stefanowi Bobrowskiemu, dodając mu do pomocy Witołda Marczewskiego i Władysława Daniłowskiego. Po paru jednak dniach, bo już d. 25. stycznia, Daniłowski został wysłany do Paryża w charakterze kuryera, wiozącego duplikat wezwania do Mierosławskiego. Wkrótce potem Daniłowski wrócił do Warszawy ze specyalną misyą od przyszłego dyktatora. Załatwiwszy ową misyę, wyjechał znowu i dotąd nie wrócił; można więc było uważać, że dobrowolnie przestał być członkiem Komisyi [8]).

Po wyjeździe Daniłowskiego cały ciężar pracy spadł na dwóch

[8]) Jeszcze przed wyjazdem Daniłowskiego do Krakowa, krążyła opinia o nim, że wystąpił z Komisyi. Daniłowski. Not. do pam. str. 268. (Rozmowa z Awejdem). (P. R.)

pozostałych. Witołd Marczewski, który już z powodu zbytecznego ujawnienia swego nazwiska, nie chciał był wejść do Komitetu Centralnego w chwili jego zmiany z końcem grudnia 1862 r., a do Komisyi wykonawczej wstąpił na silne nasze nalegania, musiał z wielką postępować ostrożnością i zbyt czynnego udziału w pracach Komisyi nie przyjmował. Ostrożność Marczewskiego nie była płonną, czego dowodzi jego aresztowanie, o którem już mówiłem. Bobrowski sam nie mógł podołać nawałowi pracy i musiał korzystać z przyznanego mu przez nas prawa kooptacyi. Nie wiem, czy Bobrowski zaprosił Agatona Gillera, czy też on sam zaofiarował swoje usługi. Sądzę, że propozycya wyszła od Bobrowskiego, a Giller przyjął ją chętnie. Dla Bobrowskiego Giller przedstawiał się, jako bardzo cenny współpracownik, gdyż, jako członek Komitetu Centralnego od samego prawie zawiązania się jego, znał doskonale wszystkie sprawy, wszystkie sprężyny tej tajemnej organizacyi i znał doskonale teren i ludzi, na miejscu działających. Gillerowi, człowiekowi wielkiej, a nawet mocno wygórowanej ambicyi, mogło być markotno, że on, lubiący władzę, został naraz, choć z własnej woli, od niej usunięty. Jeszcze jedna okoliczność mogła sprawić, że Giller okazał się chętnym dla przyjęcia propozycyi. Był on z powołania i z zawodu literatem, miał stosunki z dziennikami i pisywał do nich korespondencye. Obfitość wypadków pierwszorzędnego znaczenia, spowodowanych wybuchem powstania, była bardzo ponętną dla literata-dziennikarza, bo dostarczała mu niewyczerpanego materyału; jako członek władzy kierującej mógł materyał ten mieć z pierwszej ręki. Że to stanowisko umiał Giller na swój sposób wyzyskać, zobaczymy później. Pozostaje jeszcze kwestya konsekwencyi w postępowaniu polityka polskiego i patryoty i to bardzo zdolnego i gorącego, jakim był Giller. Niestety, ścisła konsekwencya w postępowaniu polityków wogóle jest bardzo rzadkim przymiotem, a pojmowanie jej jest zależnem od indywidualnej umiejętności naciągania okoliczności i faktów. Giller nie chciał wejść do Komisyi z dwóch powodów: 1. Nie chciał zasiadać razem z Daniłowskim, bo uważał go za człowieka złej wiary. 2. Był przeciwny i samemu powstaniu i powołaniu na dyktatora generała Mierosławskiego. Ponieważ w chwili, gdy Giller wstępował do Komisyi, uważano, że Daniłowski przestał być jej członkiem, więc ten wzgląd był usunięty. Ale powstanie nie zostało odwołane, przeciwnie: w całym kraju w dniu oznaczonym wybuchło w formie pojedynczych napadów i tworzenia się następnie oddziałów zbrojnych.

Lecz i tu konsekwencya polityczna znalazła furtkę wyjścia. Giller był przeciwny narodowemu powstaniu, ale już w swoim projekcie dyslokacyi przypuszczał możność zbrojnego oporu poborowych. Więc ruch w kraju, bez naczelnego wodza, bez Rządu narodowego (bo tych faktycznie nie było), nie jest powstaniem, ale zbrojnym oporem przeciw poborowi. Tak rozumując, nie widział teraz niekonsekwencyi w przyjęciu obowiązków członka Komisyi wykonawczej. Dwoistość jego publicznego charakteru przyszła mu w pomoc. Giller jako polityk — zasiadł w Komisyi i pracował dla rozwoju powstania narodowego. Giller jako literat, dziennikarz — w korespondencyach swoich do krakowskiego „Czasu“ — przedstawiał ruch w kraju, jako zbrojny opór przeciw poborowi.

I rzeczywiście. Przez pierwsze dwa tygodnie od 22. stycznia wszystkie korespondencye „Czasu“ z Warszawy przedstawiały ruch zbrojny w Królestwie, jako opór zbrojny przeciw proskrypcyjnemu poborowi Wielopolskiego. „Czas“ nie podał manifestu powstańczego Rządu Narodowego. Opierając się na zdaniu swego warszawskiego korespondenta (o którego politycznem stanowisku musiał wiedzieć), we własnych swoich artykułach popierał jeszcze i utwierdzał opinię swego korespondenta. Dzienniki zagraniczne głównie z „Czasu“, jako najpoważniejszego wówczas organu polskiego, czerpiąc swoje wiadomości, osądzały również wybuch z d. 22. stycznia nie jako powstanie narodowe, z jasno wytkniętym celem odzyskania niepodległości rozpoczęte, lecz jako prosty opór zbrojny przeciw rekrutacyi.

Na zewnątrz więc powstanie 22. stycznia w myśli, charakterze i dążności swojej było zwichniętem i to przez nieopatrzne działanie jednego z najgorliwszych i najczynniejszych jego przygotowywaczy. W kraju tymczasem wszyscy należący i walkę wspierający bili się jako powstańcy o niepodległość swej Ojczyzny.

Daleki jestem od posądzenia Gillera o złą wolę, o chęć sparaliżowania ruchu, choć taki był rzeczywisty skutek jego postępowania. Wygórowana ambicya, zarozumiałość i zatwardziały upór w swojem zdaniu nie dozwalały mu dostrzedz, że działanie jego taki, a nie inny musiało wywołać rezultat. I prowincye obu innych zaborów pod wpływem takiego przedstawiania sprawy powstania w Królestwie, nie popierały go od razu tak, jak mogły i powinny były to uczynić. Podobny pogląd odpowiadał zupełnie przekona-

niom — ba — nawet życzeniom pewnych warstw, które i w Królestwie je żywiły, że powstanie prędzej, czy później musi upaść dla braku sił żywotnych, więc szkodliwem jest nieść mu jakąkolwiekbądź pomoc. Giller jednak wkrótce się opamiętał i zmienił taktykę, a z nim i „Czas". W korespondencyi z d. 7. lutego pisze już wyraźniej, że powstanie coraz więcej się szerzy i rozwija. Nietylko z przykrością, ale nawet z boleścią musiałem tu przedstawić to postępowanie Gillera. Był on bowiem gorącym i szczerym patryotą, oddany całem sercem sprawie Ojczyzny i w życiu swojem nie małe jej oddał usługi, ale wady jego charakteru, które już wskazałem, prowadziły go często na manowce, zaciemniały jasny pogląd i wskazywały zamiast dróg prostych — kręte ścieżki.

Powiedziałem już, że Giller wszedł do Komisyi wykonawczej zaraz po wyjeździe Daniłowskiego [9]). Gdy jednak Bobrowski miał na swych barkach całą organizacyę miejską, a Marczewski prawie że nie brał udziału w pracach z powodu zajęcia się sprawami całego kraju, sam Giller nie wystarczał; należało koniecznie powiększyć skład Komisyi.

Bobrowski, sam nie znając jeszcze dobrze stosunków i ludzi, pozostawił tę sprawę Gillerowi. Ten wprowadził: Gerwazego Gzowskiego, sybiraka, osobiście bardzo mi dobrze znanego, (był przyjacielem szwagra mego, Adama Grossa), człowieka wielkiej prawości i zacności, bardzo gorącego patryotę, ale małej samodzielności, a stąd łatwo podlegającego umysłom silniejszym. Gralewskiego Mateusza, znanego nam już, o umyśle samodzielnym i twardym w przekonaniach. Leona Królikowskiego, który brał był jakiś udział w epoce tworzenia się Komitetu z końcem roku 1861 i na początku 1862; uchodził za człowieka dosyć skrajnych przekonań (osobiście znałem go bardzo mało, więc nie mogę nic więcej o nim powiedzieć). Juliana Surzyckiego, kaukazczyka i inżyniera, z charakteru, umysłu i usposobienia zupełnie podobnego do Gzowskiego; wchodząc do Komisyi przybrał sobie pseudonim „Michał" (znałem go przedtem osobiście, ale mało). Wreszcie osobistość zupełnie mi nie znaną, podobno także sybiraka, którego nazwiska nie pamiętam, a utkwił mi tylko w pamięci oryginalny pseudonim „Pan Jezus", bo miał rysy twarzy podobne.

Komisya zatem po wliczeniu do niej Bobrowskiego, Marczewskiego i Gillera składała się z 8. osób, a uformowała się w tym skła-

[9]) Por. Daniłowski. Not. do pam. str. 266, gdzie mówi o zmianach w Komisyi. (P. R.)

dzie w końcu stycznia. Przewodniczącym był Bobrowski. Gdy jakoś 6. czy 7. powrócili z niefortunnej podróży do Langiewicza Awejde i Majkowski, skład Komisyi wzrósł do liczby 10. członków. Każdy zrozumie, że jak na ciało, rządzące powstaniem, było ono za ciężkie, a nawet bardzo za ciężkie i dlatego nie mogło być energicznem i nie mogło dawać rzeczywistej Bobrowskiemu pomocy, ale stawało się nieraz zawadą i sprowadzało chaos, na który skarżył się Bobrowski w liście, który od niego odebrałem w Staszowie.

Komisya w tym składzie, szczególniej przed powrotem Awejdy i Majkowskiego, była istotnie dla Bobrowskiego raczej zawadą, niż pomocą, a w niej zdanie Gillera i jego sąd o powstaniu miał stanowczą przewagę, bo tylko Marczewski i Gralewski podzielali zapatrywania Bobrowskiego i w ruchu dnia 22. stycznia widzieli powstanie narodowe, zaś 5 pozostałych uważało go tylko za przejściowy opór zbrojny przeciwko poborowi. Większość ta przytem, oprócz Gillera, który w niej odznaczał się bystrością umysłu i umiejętnością panowania nad innymi, jeżeli nie zawsze wyższością i głębokością myśli, to przynajmniej twardym uporem w obstawaniu przy swojem zdaniu i opinii, przedstawiała element ciężki, choć wysoce uczciwy, szczerze i gorąco patryotyczny, lecz Gillerowi prawie że ślepo powolny i uległy. Giller potrafił po kilka razy wracać do kwestyi omówionych, a nawet zadecydowanych, jeżeli decyzye były przeciwne jego zdaniu, a uporem tym tak często znużył i znudził, że w końcu udawało mu się wymódz przychylną jego zdaniu decyzyę. Po przyjeździe Awejdy i Majkowskiego, 26. lutego, sytuacya się trochę poprawiła; zwracam uwagę, że właśnie w tym czasie Giller zaczął w swoich korespondencyach pisać już o powstaniu, ale zawsze panowało zamieszanie i długie, a bezowocne dyskusye. Przybycie Awejdy i Majkowskiego, dwóch ludzi, którzy powstanie uważali szczerze nie jako zbrojny opór przeciwko poborowi, ale za walkę narodową, podjętą w celu odzyskania niepodległości, wpłynęło nietylko na dotychczasowe stanowisko wobec niej Gillera, ale i całej Komisyi. Świadczy o tem odezwa tejże z dnia 7. lutego do Polaków w zaborach austryackim i pruskim. Odezwa ta wyraźnie mówi o walce i niepodległości i określa stosunek obu zaborów do tej walki, ograniczając go do obowiązku niesienia jej pomocy przez dostarczanie ludzi, broni i pieniędzy, jak również działania na opinię Europy przez obznajamianie jej o prawdziwym stanie rzeczy [10]),

[10]) „Komitet Centralny jako tymczasowy Rząd narodowy do Polaków w Zaborze austryackim i pruskim". Druk W. M. do H. p. 1863—1864. Tom wstępny (I.) str. 42—43.

Giller zaczął teraz wydawać „Wiadomości z pola bitwy". Pierwszy ich numer ukazał się 11. lutego.

Bobrowski w podwójnym swoim charakterze, jako naczelnik miasta i przewodniczący Komisyi wykonawczej, miał z początku, szczególniej w pierwszym, że go tak nazwę, urzędzie bardzo ciężkie zadanie. Nie znał dobrze terenu, był obcym w mieście. Poprzednik jego na tem stanowisku, Zygmunt Padlewski, był bardzo w organizacyi lubianym i posiadał wielkie zaufanie. Gdy jednak Moskwa dokonała poboru, pomimo, że Padlewski zapewniał, że do niego nie przyjdzie, stracił bardzo wiele w opinii organizacyi, a że nie był miejscowym, Warszawianinem, lecz był niejako narzuconym z góry, powstała stąd pewna do obcych nieufność. Tę nieufność otrzymał po nim w spadku Bobrowski. Trudność pozycyi jego powiększała naturalnie okoliczność, że nie znał ani miejscowości, ani ludzi. Bobrowski, człowiek niepospolitego rzeczywiście umysłu i woli nieugiętej, postanowił sobie przełamać wszystkie trudności i przeszkody, i na stanowisku swojem wytrwać. I rzeczywiście ta niezłomna jego wytrwałość, skupiona energia, nadzwyczajna bystrość umysłu, zupełne zapomnienie o sobie, a oddanie się całą duszą sprawie, w połączeniu z niezwykłemi zdolnościami organizatorskiemi, dozwoliły mu prędko przejednać nieufność, złamać wszelki opór, pozyskać umysły i serca wszystkich. Wyszukać sobie ludzi poświęcenia i bardzo umiejętnie użyć każdego, wedle jego zdolności i charakteru. Bobrowski był jednem słowem w pełnem tego słowa znaczeniu człowiekiem niepospolitym, jakkolwiek miał dopiero 23 lat. Miał jedną tylko słabość; musiał spać długo, bo zwykle do późnej nocy pracował. Słabość ta była jedną z najpierwszych przyczyn, obudzających niechęć ku niemu, bo przychodzący do niego urzędnicy organizacyi z raportem, lub po rozkazy, o g. 10. rano, a czasami i później, zastawali go w łóżku. Przekonali się jednak prędko, że nie pochodziło to z lenistwa, bo Bobrowski, gdy tego zaszła potrzeba, umiał całą noc nie spać, jak i bardzo rano wstawać. Bobrowski tak sobie zjednał organizacyę, że przeprowadzał za jej pomocą wszystko, co tylko chciał, a wszystkie jego rozkazy spełniano dokładnie z odwagą i poświęceniem, bo sam tej odwagi i poświęcenia dawał przykład.

Wiemy już, że w Komisyi nie miał zupełnego poparcia i większości; jeżeli więc jakiegoś zamiaru nie mógł tam przeprowadzić, to wykonywał to przez organizacyę miejską, bo tu miał dyktato-

ryalną władzę i Komisya nie miała prawa wglądać i kontrolować jego czynności.

Bobrowski za pomocnika wybrał sobie Tytusa Zienkowicza, człowieka młodego, bardzo zdolnego, a przy tem energicznego *). Zienkowicz, nieufny z początku, wkrótce jednak poznał wartość duszy i charakter Stefana, przywiązał się do niego całą duszą, był mu bardzo pożytecznym współpracownikiem, bo jako jeden z wydziałowych miasta, znał doskonale organizacyę, jej wady i braki. Z jego pomocą Bobrowski zaprowadził ład, porządek i posłuszeństwo w organizacyi.

Na stanowisko naczelnika policyi narodowej powołał byłego przed powstaniem pomocnika naczelnika tejże policyi, Jana Karłowicza, znanego pod nazwiskiem „Janka Białego“, urzędnika magistratu warszawskiego, człowieka młodego, energicznego, śmiałego i odważnego aż do zuchwalstwa, który posiadał rzeczywiście niezwykle zdolności policyjne**). Razem z Jankiem Białym zreorganizowali policyę, powiązali ją z policyą moskiewską, wprowadzając do jej narodowej organizacyi urzędników policyjnych moskiewskich, przez co policya narodowa miała jak najdokładniejsze wiadomości o wszystkich, nawet tajnych, rozporządzeniach moskiewskich. Na wszystkich rogatkach miał zaprzysiężonych urzędników, którzy ułatwiali wszelkie komunikacye z krajem. Gotowe już kadry na poczcie, na kolejach żelaznych, w personale osobowym, szczególniej ruchu, magazynów, komory celnej, rozszerzył i uzupełnił. W mieście urządził składy ubrania, obuwia, broni, przyborów wojennych, któremi zasilał formujące się w okolicach Warszawy i dalszych nawet, oddziały; prowadzenie tych składów i wysyłek z nich powierzył młodym ludziom, Ludwikowi Lempkemu, znanemu pod nazwiskiem „Okularnika“ i Gawełkiewiczowi, zwanemu przez skrócenie „Gawełkiem“, Stanisławowi Olszańskiemu, urzędnikowi komory celnej, i Hieronimowi Niezabitowskiemu, geometrze. Wszyscy ci ludzie, po kilku dniach stosunku ze Stefanem, przywiązywali się do niego całą duszą i z ufnością zupełną, wiernie i sumiennie spełniali

*) Przypominam, że z tym samym Tytusem Zienkowiczem urządzaliśmy wspólnie apartamenta pałacu Radziwiłłowskiego w Warszawie na bal szlachecki dla cara w r. 1856.

**) W obszerniejszym życiorysie Jana Karłowicza p. t. Janek Biały, opowiedziałem zajście z ajentem moskiewskim Zagórskim, epizod, który uwypukla charakter Karłowicza, jego niezłomną wolę i gorącą miłość ojczyzny, a zarazem świadczy o odwadze, dochodzącej do zuchwalstwa. (W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego. Lwów. Nakładem komitetu wydawniczego. 1903. str. 142—143).

wszystkie jego rozkazy. Bobrowskiemu należy się w całości zasługa położenia podwalin tej powstańczej organizacyi warszawskiej, która potem tak się rozwinęła, spotężniała, objęła całą niemal ludność Warszawy tak, że zepchnęła na drugi plan całą policyjno-wojskową organizacyę moskiewską. A była to organizacya tajemna, do której nie trzeba było wciągać, a nawet i zaprzysięgać, bo ludzie sami dobrowolnie, jedynie pociągani poczuciem obowiązku służenia Ojczyźnie, dopraszali się o pracę i współudział. Dla zasilenia kasy powstańczej Bobrowski ściągał z mieszkańców Warszawy podatek, jeszcze w miesiącu październiku 1862 roku przez Komitet Centralny ustanowiony, jako podatek ofiary narodowej. Płacono go chętnie, chociaż żadnych środków przymusu nie używano. Jest to także wielki dowód żywotności powstania, bo nic tak trudno od ludzi wydobyć, jak pieniądze. Ale Bobrowski na tych pracach się nie ograniczył. Opracował także i kazał wydrukować instrukcyę wojskową dla powstańców, czerpiąc do niej wzór z podobnych instrukcyi Chrzanowskiego i Mierosławskiego. Gdy dowiedział się, że młodzież szkolna nieletnia opuszcza szkoły z zamiarem udania się do powstania, i że liczni ajenci policyi moskiewskiej kręcą się po warstatach i namawiają robotników do powstania, a potem nierozważnych łapią i jako buntowników oddają policyi, wydał 14. lutego rozkaz dzienny, w którym ostrzega: 1. uczniów szkół, żeby nie opuszczali nauk, gdyż tylko młodzież, najmniej 18 lat licząca, może być do oddziałów przyjmowaną; 2. robotników, żeby ostrożnie się zachowywali wobec prowokacyi moskiewskiej i nie opuszczali warstatów, nie objawiali chęci zapisywania się do oddziałów, jeżeli werbujący nie okaże upoważnienia, opatrzonego pieczęcią naczelnika miasta.

Tak Bobrowski wszystko wiedział, wszystko miał na oku, na wszystko znalazł właściwą radę i środek, a wszystko to robił sam, jedynie z pomocą organizacyi miejskiej, bez żadnego współudziału Komisyi wykonawczej, a często nawet, jak się bardzo wyraźnie przed nami uskarżał, doznawał od niej przeszkód i wbrew jej woli działać musiał.

Gdyśmy się teraz rozpatrzyli w sytuacyi i zapoznali z rezultatami tej ogromnej pracy, dokonanej z inicyatywy jednego człowieka, tem dotkliwiej jeszcze uczuliśmy doniosłość błędu, popełnionego przez opuszczenie Warszawy. Tu zrobiono bardzo wiele, ale kraj cały, powstanie, zupełnie pozbawiono jednolitego kierunku nie woj-

skowego, bo pod tym względem jednolitość była niemożebną, ale administracyjnego.

Gdyby natychmiast, a jednocześnie z wybuchem powstania, mógł się był uregulować Rząd Narodowy i konsekwentnie prowadzić i rozwijać powstanie, myśleć o wszystkich jego potrzebach, gdyby na zewnątrz nie zwichnięto jego charakteru i celu, do którego dążył, a tem samem zaraz w pierwszej chwili nie pozbawiono pomocy i poparcia z innych prowincyi, sprawa powstania po miesiącu jego istnienia, musiałaby była stać silniej, niż stała faktycznie. Nie śmiem twierdzić, czy powstanie byłoby dosięgło zamierzonego celu, ale jestem pewien, że o wiele więcej byłoby się do niego zbliżyło. Nie chcę oskarżać wyłącznie nikogo. Bo my, Rząd składający, byliśmy pierwszymi winowajcami, żeśmy posterunek opuścili, żeśmy uważali za konieczne z Warszawy wyjechać. Ale również byli winni i ci, którzy mając nieograniczoną władzę działania, z wyjątkiem jedynie wydawania zarządzeń czysto politycznej natury, z prawa tego nie korzystali, a działaniem swojem, choć bez zaprzeczenia z dobrą wiarą podejmowanem, przyczynili się do odjęcia powstaniu jego charakteru ogólno narodowego, dążącego do wywalczenia niepodległości Ojczyzny. Kraj był wolny, do organizacyi otwarty, bo nieprzyjaciel, oceniając siłę i rozmach powstania wyżej, niż my sami, skoncentrował siły swoje w głównych miastach i z tych tylko nieśmiałe i lękliwe czynił wycieczki.

Już poprzednio, mimochodem wspomniałem o stanowisku, jakie stronnictwo, tak zwane białe, w Królestwie zajęło wobec powstania. Dyrekcya tego stronnictwa wiedziała doskonale o tem, że stronnictwo ruchu, nazywane czerwonem, a które autor „Historyi dwóch lat“ z sarkazmem i źle tajoną dziś jeszcze nienawiścią nazywa „czerwieńcami“, dąży w pracach swoich do powstania, ale dążności te lekceważyła. To też, gdy ukazał się manifest powstańczy Rządu Narodowego i powstanie wybuchło, Dyrekcya była, jakby zaskoczoną. Nie wierzyła, żeby to powstanie było istotnem, żeby miało się rozwijać i trwać długo; sądziła, że to jest opór zbrojny popisowych, który, nie mając sił i podstaw realnych w kraju, musi bardzo prędko uledz przemocy moskiewskiej. Ale członkowie tego stronnictwa, a właściwie szlachta, właściciele ziemskich posiadłości na prowincyi, widząc sami tworzące się oddziały liczniejsze, nie z samych popisowych złożone, przyszli do przekonania, że to nie jest opór zbrojny, ale rzeczywiste powstanie.

Zaniepokojeni zaczęli się zjeżdżać ze wszystkich stron kraju do Warszawy. Przyjechali też, czy jako delegaci, czy jako ochotnicy — obywatele ziemscy z Litwy, Galicyi i Poznańskiego. Zjechało się parę tysięcy szlachty na wielki sejm do Warszawy, żeby radzić, co mają robić i jakie względem tego ruchu zająć stanowisko. Dyrekcya biała trwała jednak przy tem zapatrywaniu, że ruch ten nie ma żadnej trwałości, że jest to awantura, która się prędko musi skończyć. W tem przekonaniu utwierdzało Dyrekcyę stanowisko „Czasu", krakowskiego organu konserwatywnego, który, jak wiemy, w korespondencyach warszawskich podobną wyrażał opinię, nazywając ten ruch zbrojnym oporem, a opór nie może trwać długo. Może być nawet, że Dyrekcya wiedziała, że owe korespondencye pochodzą od osoby, jeżeli nie zasiadającej w Rządzie tymczasowym, to w każdym razie blisko niego stojącej. Autor tych korespondencyi nie rozumiał, że tak pisząc gra w dudkę Dyrekcyi białej, której działanie i stanowisko jeszcze w czasie przedpowstańczym bardzo silnie potępiał. To przekonanie swoje Dyrekcya biała starała się wpoić w grono sejmującej szlachty.

Tymczasem ten ruch zbrojny trwał we wszystkich częściach kraju; stoczono już nie jedną z Moskalami bitwę, wojska moskiewskie opuszczały kraj i koncentrowały się tylko w większych miastach; ruch przybierał coraz wyraźniejsze cechy powstania. Widmo to wprawdzie bardzo zaniepokoiło szlachtę, ale nie zachwiało jej przekonaniem, że to wszystko może się do paru tygodni skończyć. Po rozmaitych naradach w większych lub mniejszych kołach, jak i z członkami Dyrekcyi, ustaliło się zdanie, że jakkolwiek ruch ten ma wszelkie cechy powstania narodowego, lecz nie może trwać długo, więc należy się zachować względem niego biernie i wyczekująco i nie udzielać mu żadnej pomocy. Gdy zaś cała ta awantura się skończy, wtenczas dla ulżenia i zmniejszenia represalii, które ze strony rządu mogą nastąpić, postanowiono podać adres do W. Ks. Konstantego. Z tem się szlachta rozjechała i powróciła do domów.

Czy owe próby przekupstwa i namawiania do zdrady w Płockiem względem Bończy, a w Sandomierskiem względem Langiewicza, pochodziły z uchwał tych sejmików, nie wiem, ale jestem najmocniej przekonany, że nie. Sądziłbym raczej, że były one wynikiem uchwał tylko małych konwentyklów lokalnych, albo nawet zrodziły się w głowach samych wykonawców. Były to czyny podłe, a w Dyrekcyi zasiadali ludzie wprawdzie innych przekonań i dążeń, ale ludzie rozumni, uczciwi i szlachetni, którym podobne, szpetne

środki nawet na myśl przyjść nie mogły. Zresztą podobne próby w innych miejscach nie powtórzyły się.

W obradach tych jednak nie było bezwzględnej jednomyślności, nawet w samej Dyrekcyi. Żywioły gorętsze, silniej i bardziej patryotycznie czujące, wypowiadały odrazu opinię, że wobec rozpoczętego powstania i wobec uznania go za ruch narodowy, wobec przelanej już krwi, jedna tylko wszystkim Polakom pozostaje droga: połączyć się z niem otwarcie i całem sercem wspierać go połączonemi siłami. W Dyrekcyi wyrazem tej opinii byli Edward Jurgens i Karol Ruprecht. Jurgens wypowiedział to stanowczo i otwarcie. Z a c o m u c z e ś ć! Za otwartość swoją ciężko odpokutował. Wielopolski, który o tem, co się w Dyrekcyi dzieje, był dobrze poinformowanym, w parę dni potem kazał Jurgensa aresztować i zamknąć w cytadeli. Tu po długich męczarniach i katuszach śledztwa umarł. Wystąpienie to szczere i otwarte Jurgensa, jak i tych, którzy podobne wygłaszali opinie, miało ten skutek, że jakkolwiek organizacya stronnictwa jako taka się nie rozpadła, jednak istnienie jej i zbiorowa, solidarna działalność zostały podkopane i rozluźnione. Ci wszyscy, którzy wypowiadali obowiązek złączenia się z powstaniem, uczynili to i przykładem swoim pociągnęli innych, szerząc tym sposobem dezorganizacyę w szeregach stronnictwa. Spójność w tych szeregach na prowincyi nie była tak ścisłą. Na zjazdach, konwentyklach zdawało się, że wszyscy byli jednego zdania, ale, gdy szlachcic znalazł się sam u siebie, szedł za własnem zdaniem lub sąsiada przyjaciela; przykład mógł tu wiele działać. Jedynym węzłem, który łączył, spajał organizacyę na prowincyi, była przyjemna bezczynność, w której ociężały, często egoistyczny element, tak zwany szlachecki, najwięcej się lubował. W gruncie rzeczy element ten nie był zły, a w przeważnej części nawet szczerze i gorąco patryotyczny. Był on przeciwny powstaniu nie z miłości dla Moskali, lecz z prostej ociężałości i ospałości, że tak powiem. Złączył się też powoli z powstaniem szczerze i otwarcie, a za udział w powstaniu srodze po jego upadku był przez Moskali prześladowany. Niejeden z pewnością swej opieszałości żałował. Nie chcieli dobrowolnie się zastosować do dekretu Rządu Narodowego o uwłaszczeniu włościan, a potem musieli w daleko gorszych warunkach uczynić to z rozkazu moskiewskiego rządu, a w dodatku płacili kontrybucye i poddać się musieli różnym uciążliwościom, wynikającym z rozporządzeń owej sławnej Komisyi urządzającej. Z pomiędzy wojewódzkiej organizacyi białej jeden tylko wojewoda augustowski, Awejde, ojciec Oskara,

poszedł drogą przez Jurgensa wskazaną i pociągnął za sobą całe obywatelstwo tego województwa. Lecz ponieważ tam organizacya ruchu z przyczyn, wyżej opowiedzianych, była bardzo słabą i przygotowań do powstania nie było prawie żadnych, dlatego też województwo to w pierwszej chwili powstania żadnym czynem łączności swojej z niem okazać nie mogło.

W Warszawie Bobrowski skorzystał z tego rozstroju tej organizacyi. Wszedł w stosunki z wybitniejszymi, a znanymi z patryotyzmu jej członkami, a mianowicie z Karolem Ruprechtem, dobrze już znanym z poprzedniego opowiadania. Starał się on tych ludzi pogodzić z powstaniem i skłonić do czynnego i gorliwego przyjęcia udziału w pracach powstańczych. Zabiegi te zupełnie się udały, bo w krótkim czasie Dyrekcya i organizacya biała istnieć przestały.

Wspomnieć mi tu jeszcze należy o chwilowym, reakcyjnym przeciw powstaniu, objawie między młodzieżą Szkoły głównej. Między tą młodzieżą byli zarówno zwolennicy stronnictwa ruchu, jak i stronnictwa białego. Na tych ostatnich wywierał znaczny wpływ Wielopolski przez swego wielbiciela, profesora Plebańskiego. Dnia 23. stycznia, to jest zaraz po wybuchu, Wielopolski w obawie, żeby młodzież nie opuściła zakładu i nie przyłączyła się do powstania, ogłosił postanowienie, że wstrzymuje się wydawanie urlopów na wyjazd z Warszawy, a ci, którzyby samowolnie się wydalili, zostaną wykreśleni ze Szkoły i wykluczeni zupełnie z pod jej opieki. Ogłoszenie to spowodowało ogólne zgromadzenie młodzieży tego samego dnia wieczorem. Gdy po burzliwej dyskusyi przyszło do głosowania, okazało się, że większość oświadczyła się za uchwałą, żeby w powstaniu nie brać udziału i uczęszczać bez przerwy na prelekcye. Uchwała ta byłaby może obałamuciła młodzież zupełnie i oddziałała ujemnie na ogólne zachowanie się młodzieży, gdyby nie artykuł, który się okazał nazajutrz, 24. stycznia, w „Dzieniku powszechnym“, inspirowany przez Wielopolskiego, w którym autor, oddając pochwały młodzieży za to męskie postanowienie, powiadał, że „czystość serca i umysłu młodzieży odepchnęły obostrzone groźbą propozycye i młodzież Szkoły Głównej została wierną najświętszym swoim obowiązkom względem Ojczyzny. To dobra wróżba dla świeżo założonej świątyni nauki. Bóg sam chce, abyśmy murowali na silnym gruncie tę przyszłość błogosławioną, którą dotąd szaleńcy bezmyślnie chcieli wygnać“ i t. d. [11]).

[11]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 150. (P. R.)

Artykuł ten podziałał otrzeźwiająco na młodzież; zrozumiała, że, jakkolwiek nauka jest obowiązkiem młodzieży tak szkolnej, jak i akademickiej, ale ważniejszym daleko obowiązkiem jest w chwili, gdy naród chwycił za broń dla wywalczenia niepodległości Ojczyzny, stanąć bez namysłu w szeregach walczących. Gdy przytem uchwała młodzieży wywołała nadzwyczajne w mieście oburzenie, młodzież zaczęła opuszczać mury szkolne i w niedługim czasie mury te prawie zupełnie opustoszały.

Przechodzę teraz do opowiadania wypadków, zaszłych w ciągu pierwszego miesiąca po wybuchu powstania, na placu walki.

Zacznę od województwa płockiego, bo tu na powodzeniu powstania największe pokładaliśmy nadzieje, a nawet na pewno liczyliśmy na nie, a to ze względu na najsilniejszą w tem województwie organizacyę. Niestety, nadzieje te zawiodły zupełnie. Główne tu zadanie polegało na opanowaniu stolicy województwa, Płocka. To się nie udało. Szczegółów dokładnych tej sprawy nie znaliśmy. Wiadomem tylko było z raportu komisarza, że naczelnik wojskowy województwa, Bończa, z części spiskowych samego miasta, oraz ze spiskowych okolicznych utworzył pięć czy sześć oddziałów, których zadaniem było uderzyć na miasto z zewnątrz, gdy pozostali w miejscu spiskowi mieli zaalarmować miasto. Ruch ten naokoło miasta obudził czujność Moskali. Dowódzca moskiewski, Mengden, na rozkaz z Warszawy wysłał z załogi kilka oddziałów mniejszych dla zrekognoskowania okolicy. Jeden z tych oddziałów, wysłany w strony Płońska, natrafił na mały oddziałek przyszłych powstańców 20. stycznia pod Ciołkowem; został przez tychże w lesie napadnięty i kosami prawie zupełnie wycięty. Było to pierwsze spotkanie z Moskalami [12]).

Z Warszawy wysłali Moskale wojska do ścigania wyszłych z miasta spisowych, zebranych w lasach Zegrzyńskich i Serockich, na prawym brzegu Wisły, oraz w puszczy Kampinoskiej, na lewym jej brzegu. Pierwsi, jak już wiemy, pod dowództwem Skowrońskiego opuścili wcześnie kolonię „Karolina“ i pomaszerowali ku Płońskowi. Padlewski z popisowymi z Kampinosa, których właściwem przeznaczeniem było popierać powstanie w Mazowieckiem, na wiadomość o wysłaniu przeciw nim wojska z Warszawy, przeszedł w nocy z 18. na 19. stycznia pod Secyminem na prawy brzeg

[12]) Por. Przyborowski. D. 1863 R. I. str. 66, 42—43. (Data spotkania Ciołkowskiego 21. stycznia). (P. R.)

Wisły. Czy Padlewski z tym oddziałem miał mieć udział w ataku na Płock, nie wiem, ale zdaje mi się, że nie [13]).

Wiadomość o porażce Moskali pod Ciołkowem, która przyszła do Płocka 21. stycznia, zwiększyła jeszcze czujność Mengdena. D. 22. stycznia spostrzegł on jakiś znaczny ruch w mieście i doszły do niego wieści o mającym nastąpić w nocy napadzie, co go spowodowało do przedsięwzięcia środków ostrożności w samem mieście. Rozesłał po mieście patrole z rozkazem aresztowania podejrzanych osób i wydał rozkaz, żeby wieczorem nie palono w domach świateł i żeby bramy domów były pozamykane. Patrole przytrzymały kilkadziesiąt osób, a przy wielu z nich znaleziono broń. Gdy o północy, według umowy, uderzono w dzwony w mieście i powstańcy, tak w mieście, jak i bliżej niego zebrani, ukazali się na ulicach, zastali Moskali przygotowanych do oporu. Patrole moskiewskie, wysłane poza miasto, powracając napotkały i uderzyły na oddziały powstańców, spieszące do miasta. Walka miała trwać niedługo; powstańcy poszli w rozsypkę, wielu dostało się do niewoli, oprócz niewielkiej liczby zabitych i rannych. Napad na Płock nie tylko zupełnie się nie udał, ale osłabił ducha w tych oddziałach, które nie zdążyły dojść do miasta i musiały się cofnąć, mocno tem zdemoralizowane [14]).

Jednoczesny z Płockiem atak na Płońsk także się nie udał. Wraz z miejscowymi powstańcami brał z nimi udział także i oddział spisowych z lasów Zegrzyńskich. Po krótkiej bitwie powstańcy cofnęli się z miasta i okolicy, rozdzielając się na drobne oddziałki. Jeden z nich w parę dni potem został rozbity pod Unieckiem. Ataki na inne miasta powiatowe w województwie Płockiem, nie przyszły wcale do skutku. Tak więc w pierwszej chwili powstanie w tem województwie zupełnie chybiło [15]).

W parę dni potem zaszedł już wyżej wspomniany wypadek z Bończą i wojewódzkim białym, Karolem Ujazdowskim. Bończa opuścił województwo. Ścisłej daty i miejscowości, w których spotkanie się tych dwóch panów miało miejsce, podać nie mogę; był to fakt niekwestyonowany. Gdy ten fakt doszedł do wiadomości Komisyi wykonawczej, Bobrowski posłał Padlewskiemu rozkaz, by objął stanowisko naczelnika wojskowego województwa Płockiego. Padlewski stanął kwaterą w Drobinie; tu zamyślał się

[13]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 38—41 i 70 (nota). (P. R.)
[14]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 68—69. (P. R.).
[15]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 72—74. (P. R.)

zorganizować i stąd wyruszyć w ostrołęckie okolice, zamieszkałe przez Kurpiów. Po krótkim tu pobycie przeniósł się w okolice między Narwią i Bugiem do Długosiodła. W połowie lutego w te same okolice przybył także Zameczek (Cichorski), cofając się z pod Siemiatycz, po stoczonej tam bitwie d. 9. lutego, o czem będę mówił dalej. Tu Padlewski, połączywszy się z Zameczkiem, objął dowództwo. Dalsze działania Padlewskiego odnoszą się już do samego końca lutego i początku marca, więc później o nich mówić będę [16]).

W województwie Augustowskiem, szczególniej w północnych jego powiatach, był zupełny spokój z powodów, o których już wyżej mówiłem. Wyjątek stanowił powiat Łomżyński, graniczący bezpośrednio z województwem Podlaskiem. Tutaj Cichorski, który przyjął sobie pseudonim Zameczka, sformował oddział z robotników warstatów drogi żelaznej warszawsko-petersburskiej, osiadłych w Łapach nad Narwią na południu powiatu i z drobnej szlachty, gęsto w tej okolicy zamieszkałej. Uderzył on na Tykocin bez skutku dodatniego, potem na miasteczko Suraż, jeszcze więcej na południe nad Narwią położone, rozbroił i rozpędził stojących tam kozaków i przeszedł za Narew do powiatu Białostockiego. W parę dni później, 25. stycznia, niejaki Szepietowski zaatakował Wysokie Mazowieckie; po ciężkiej bitwie, w której sam zginął, oddział jego przeszedł do województwa Podlaskiego [17]).

W województwie Podlaskiem powstanie w pierwszej zaraz chwili, w nocy z 22. na 23. stycznia, bardzo wybitnie się objawiło. Organizacya była tu bardzo silną i składała się, oprócz mieszczan i rozmaitych oficyalistów dworskich, w znacznej części z drobnej szlachty, bardzo licznie osiadłej w rozmaitych zaściankach w całem województwie. Wielu też młodych obywateli wiejskich należało do organizacyi, jak Bronisław Deskur, Gustaw Zakrzewski, Teodor Jasiński i inni. Naczelnikiem cywilnym województwa był Deskur, komisarzem Komitetu Centralnego Roman Rogiński, a naczelnikiem wojskowym Lewandowski. Wszyscy trzej działali w porozumieniu i sami wzięli udział w powstaniu. Istniało też porozumienie w niektórych miejscach z oficerami wojsk moskiewskich. Szczegółów tych walk wówczas nie mieliśmy. Mógłbym je teraz zaczerpnąć z rozmaitych źródeł, ale odstąpiłbym nie tylko od zasady pamiętnika, lecz i pomimo to opis niemógłby być

[16]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 161—165 i II. str. 195. (P. R.)
[17]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 77—80. (P. R.)

dokładnym, a przytem toby mnie za daleko zaprowadziło. Wogóle w opowiadaniu mojem w opisy szczegółów rozmaitych bitew, których była wielka mnogość, wdawać się nie będę, chyba w wypadkach szczególnie ważnych *).

W tem województwie w nocy z 22. na 23. stycznia, powstańcy zaatakowali Siedlce, Łuków, Radzyń, Międzyrzecz, Białą i inne miejscowości.

Na Siedlce, stolicę powiatu, uderzył sam Lewandowski. Na samo miasto atak nie mógł przyjść do skutku; z jakich powodów, nie wiem. Lewandowski zwrócił się na Stok Lacki, miasteczko o parę kilometrów odległe. Miasteczko na chwilę opanował, zabrał broń z arsenału, ale utrzymać się tu nie mógł z powodu nadeszłej z Siedlec pomocy moskiewskiej [18]).

W napadzie na Łuków dowodził Gustaw Zakrzewski, młody obywatel ziemski, właściciel Ciechomina. Na chwilę opanował miasto, zabrał z arsenału kilkadziesiąt karabinów, różnej broni, dosyć amunicyi, ale utrzymać się nie mógł [19]).

Radzyń atakował Bronisław Deskur, także młody ziemianin, właściciel Horostyty. Miasto wraz załogą było zupełnie uśpione; powstańcy uderzyli na koszary artyleryi, arsenał i dom, gdzie mieściła się główna kwatera moskiewska. Strzały rozbudziły Moskali. Żołnierze bronili się w koszarach — zawrzała w całem mieście bitwa. Obok koszar stało 12 armat, które powstańcy mogli zabrać, ale nie było koni. Przy uderzeniu na główną kwaterę zginął generał

*) Autor „Dziejów 1863 r." bardzo skrzętnie i szczegółowo opisuje rozmaite bitwy. W opisach tych jednak opiera się prawie wyłącznie (! P. R.) na źródłach moskiewskich, które z natury samej nie mogą być wierne i zupełnie prawdziwe. Nie można z tego czynić autorowi zarzutu, bo źródeł polskich jest bardzo mało, a całości niema i prawdopodobnie nigdy nie będzie. Rząd Narodowy wprawdzie wydawał peryodycznie „Wiadomości z placu boju", ale wiadomości te były doraźne, na bardzo treściwych raportach rozmaitych dowódzców oparte, a podające najczęściej tylko nazwę miejscowości, gdzie bitwę stoczono i jej wynik. Jakkolwiek w pracy mojej musiałem nieraz wystąpić, a nawet ostro, przeciwko różnym poglądom i rzekomym faktom, podanym przez Przyborowskiego, to jednak w opisywaniu przez niego bitew muszę autorowi temu oddać tę sprawiedliwość, że z wielkim nakładem pracy i starań i z wielką skrzętnością usiłował przedstawić cały obraz walki orężnej. Musiał on nieraz własną fantazyą, co do intencyi i zamiarów wodzów, i własnym poglądem krytycznym uzupełniać braki, szczególniej właśnie, co do tych intencyi i zamiarów dowódzców obu stron, a szczególniej polskich. Krytyka jego jest ostra i surowa, może nie zawsze słuszna, ale z tego nie można mu czynić zarzutu, bo nie jest wojskowym z zawodu, więc poglądy jego na sprawy wojskowe nie mogą być istotnie i nie są ściśle fachowe, ale więcej fantazyjne. Bądźcobądź w każdym razie dobre jego chęci i mozolną pracę uznać należy.

[18]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 85—87. (P. R.)

[19]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 88—89. (P. R.)

Eigentum
Heeresarchiv - Zweigstelle
Danzig

Kannabich, dowódzca artyleryi. Bitwa była krwawa, może nawet zwycięska dla powstańców, lecz nie mogli się utrzymać; ze zdobytą więc bronią rozmaitego rodzaju opuścił Deskur miasto i podążył ku Siedlcom dla połączenia się z Lewandowskim [20]).

Na Białą uderzył Roman Rogiński, młodzieniec 22-letni, uczeń szkoły genueńskiej. Rogiński był w porozumieniu z niejakim Suchodolskim, komendantem bateryi artyleryi, stojącej w mieście. Rogiński tak wszystkiem rozporządził, że atak powinien był się udać. Tymczasem pokazało się, że dowódzcę moskiewskiego, pułkownika Mamajewa, uprzedził o wszystkiem ów Suchodolski; cały garnizon moskiewski skoncentrował się w rynku, przygotowany do odparcia napadu. Rogiński, na dany znak w mieście, miał nań z czterech stron uderzyć. Gdy te sygnały się nie pokazywały, Rogiński, dowiedziawszy się o gotowości zupełnej Moskali, powziął śmiałą myśl przejścia przez miasto ku gościńcowi, prowadzącemu do Janowa, dla połączenia się z innymi oddziałami, co też uskutecznił. Przeszedł przez rynek, gdzie cała załoga była zgromadzona z działami gotowemi do strzałów, lecz bez obsługi, bo pokazało się, że prawie wszyscy kanonierzy należeli do spisku i zbiegli do oddziału, zupełnie nie zaczepiani. Zaraz pod miastem połączył się z resztą swoich oddziałów, rozłożył obóz i przenocował. Dopiero nazajutrz rano dowódzca moskiewski pomiarkował się i wysłał w pogoń kozaków; tych Rogiński odparł i pomaszerował do Janowa podlaskiego, stolicy biskupstwa [21]).

Napad na Kodeń prowadził Nencki, rządca dóbr kodeńskich. Napadł na miasto niespodzianie, co wywołało popłoch między Moskalami; uciekali na wszystkie strony prawie bez oporu. Nencki bez żadnej straty opanował miasto, zabrał paręset karabinów i innej broni, wielką ilość amunicyi; wziął do niewoli kilkudziesięciu żołnierzy i jednego oficera [22]).

Napad na Międzyrzecz, którym miał kierować Karol Krysiński, nie przyszedł do skutku z niewiadomych mi przyczyn [23]).

Atakiem na Łomazy, małe miasteczko, w którem był stacyonowany szwadron ułanów, dowodził Aleksander Szaniawski, właściciel wsi Krasówki. Oddział składał się z własnej jego służby

---

[20]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 95—101. Kannabich nie zginął, tylko został ciężko ranny. (l. c. str. 100 nota). (P. R.)

[21]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 92—95. (.P R.)

[22]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 101—102. (P. R.)

[23]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 89—90. (P. R.)

i ze szlachty zaściankowej, którą prowadził proboszcz ks. Nawrocki; miejscowi mieszczanie wzięli także gorący udział. Atak niespodziany, a szybki, tak przestraszył ułanów, że nie dosiadając koni, pieszo umknęli z miasta. Szaniawski zabrał trochę niewolnika i kilkadziesiąt koni z zupełnym rynsztunkiem [24]).

Takie były wyniki pierwszej chwili powstania w Podlaskiem. Oddziały nie rozprószyły się, lecz oczekując dalszych rozkazów zebrały się w różnych miejscowościach: w okolicach Łomaz, Garwolina, Janowa, Siedlec i Kodnia.

D. 3. lutego zaszła krwawa bitwa pod Węgrowem, mieście powiatowem, w północnej części województwa położonem. Organizacya tutejsza składała się, podobnie jak w całem województwie, przeważnie z drobnej, zaściankowej szlachty, licznie tu osiadłej. W pierwszej chwili powstania było tu cicho, dopiero gdy wojsko moskiewskie opuściło te okolice, a mianowicie Węgrów i drugie miasteczko Sokołów, koncentrując się w Siedlcach, powstanie podniosło tu głowę. Dowództwo objęli: Matliński, pod przybranem nazwiskiem Sokoła i Władysław Jabłonowski, uczeń szkoły genueńskiej. Pod ich przewodnictwem organizowali się licznie zbierający się powstańcy. Organizacya objęła ten kąt, gromadząc pod sztandarem powstania parę tysięcy ludzi [25]). Moskale pod dowództwem pułkownika Papaafanasopuły, wyszedłszy d. 31. stycznia z Siedlec, zatrzymali się na noc d. 2. lutego w Szarutach, odległych parę kilometrów od Węgrowa. Janek Sokół, dowiedziawszy się, że Moskale nocują w Szarutach, postanowił na nich uderzyć. Wyprawę tę powierzył Jabłonowskiemu. Powstańcy szli śmiało, znieśli przednie straże, dotarli do samego obozu, lecz tu przywitani kartaczami i granatami, szybko się cofnęli z małemi stratami do Węgrowa. Nazajutrz raniutko wódz moskiewski uderzył na Węgrów wielką strzelaniną z dwóch bateryi dział, od której wszczął się w mieście wielki pożar. Sokół, widząc tak wielką przewagę nieprzyjaciela w artyleryi, postanowił odwrót do miasteczka Sokołowa. Odwrót zasłaniał Jabłonowski z siłą kilkuset kosynierów i strzelców. Powstańcy spełnili ten obowiązek z całem bohaterstwem, odparli atak ułanów i zmusili ich do ucieczki; Jabłonowski, cofając się do miasta w porządku, krok za krokiem odpierając napastników, przeszedł miasto i podążył za Jankiem Sokołem. W krwawej tej bitwie po-

---

[24]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 101. (P. R.)
[25]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 176—177. (P. R.)

wstańcy stracili stokilkadziesiąt ludzi w zabitych i rannych, których nie mógł Jabłonowski uprowadzić. Dowódzca moskiewski bał się jednak wejść odrazu do palącego się miasta i prawie do wieczora strzelał ciągle z dział, choć tam już ani jednego powstańca nie było. Moskale, wszedłszy do miasta, wymordowali wszystkich rannych, a miasto doszczętnie zrabowali [26]).

Janek Sokół w przypuszczeniu, że będzie ścigany, zwrócił się do Sterdyni na północ, skąd zwrócił się na południe i pod Grannem przeprawił się przez Bug i poszedł pod Siemiatycze [27]).

Wiemy, że Lewandowski po uderzeniu na Siedlce zajął miasteczko Stok Lacki, zabrał tam, co mógł z arsenału, i gdzieś zniknął; co robił przez dni parę, nie wiemy, ale 24/25. stycznia spotykamy go w Maciejowicach z jakimś małym oddziałem, który ze sobą z pod Stoku Lackiego przyprowadził. Tu zastał jakiś formujący się dopiero oddział, objął tedy nad nim dowództwo i zajął się dalszą jego organizacyą. Dowiedział się, że we wsi Rowy pod miasteczkiem Łaskarzewem ma odbyć się jakiś zjazd szlachty polskiej; udał się więc tam dla zasięgnięcia wiadomości, o czem szlachta będzie radzić. Znalazł tam bardzo nieprzyjazne dla powstania usposobienie. Wysłuchawszy wszystkich narzekań i odgróżek, skarcił ostro sejmikujących, zapowiedział, że będą pociągnięci do najsurowszej odpowiedzialności, a wszystkim młodym rozkazał się zebrać nazajutrz w obozie maciejowickim. Szlachta w milczeniu wysłuchała naczelnika i rozjechała się do domów; młodzież stosownie do rozkazu stawiła się w obozie. Lewandowski tego samego dnia uderzył na Łaskarzew, lecz zdradzony, zastał Moskali przygotowanych; oddział poszedł w rozsypkę. Z Maciejowic z kilkudziesięciu pozostałymi mu ludźmi podszedł do Białej. Tu Rogińskiego już nie zastał, a jego oddział zmniejszył się do kilkunastu ludzi; powziął tu wiadomość o ogólnym ruchu wszystkich oddziałów za Bug ku Siemiatyczom, więc i sam tam podążył. Po drodze spotkał kilka małych oddziałków, dążących także ku Siemiatyczom, zebrał je wszystkie i mając około 400 ludzi, przeprawił się za Bug [28]).

Jak widzimy, wszystkie oddziały województwa Podlaskiego przeszły Bug i zgromadziły się w Siemiatyczach. Województwo opustoszało na razie zupełnie z powstańców. Bitwa pod Sie-

[26]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 181—183. (P. R.)
[27]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 188. (P. R.)
[28]) Por. Przyborowski, D. 1863 r. I. str. 86—87, 193—195. (P. R.)

miatyczami, którą zebrane tu oddziały stoczyły dnia 9. lutego ze względu na bardzo znaczne siły powstańcze, biorące w niej udział, była bodaj czy nie największą w obecnem powstaniu. Dlatego też muszę ją bardziej szczegółowo opisać.

Przeniesienie powstania w granice Litwy było rzeczywiście omawiane w naradach Komitetu Centralnego. Czy jednak jakiekolwiek instrukcye otrzymał Lewandowski w tym kierunku, nie wiem, bo instrukcye wojskowe odbierali naczelnicy województw od samego Padlewskiego, gdy wyjeżdżali z Warszawy dla objęcia swych stanowisk. Zastanawiając się jednak nad całym przebiegiem powstania w Podlaskiem w pierwszej jego chwili aż do Siemiatycz, sądzę, że ten ruch powstańczy i przechodzenie za Bug nie wypływał z ogólnej instrukcyi, lecz był ruchem samorzutnym dowódzców i to bez żadnego między nimi porozumienia, spowodowany jedynie naciskiem, jaki na pojedyncze oddziały wywierali Moskale, wskutek czego zmuszeni byli, niejako dla uwolnienia się od tego nacisku, przechodzić za Bug. Sądzę, że jeden tylko Rogiński przeszedł Bug z zamiarem wzniecenia powstania na Litwie. Że to zgromadzenie się wszystkich oddziałów podlaskich pod Siemiatyczami, jakkolwiek nastąpiło prawie w jednym czasie, nie było wynikiem jakiejś instrukcyi i z góry ułożonego planu, utwierdza jeszcze i ta okoliczność, że Lewandowski, jako naczelnik wojskowy województwa, nic nie wiedział o tem, że dopiero, szukając Rogińskiego, dowiedział się, że ten jest za Bugiem i on też ostatni pod Siemiatycze przybył. Z jakichkolwiekbądź powodów nastąpiło to zgromadzenie się wszystkich oddziałów za Bugiem, było ono wypadkiem szczęśliwym i mogło mieć bardzo poważne i korzystne dla powstania następstwa. Zebrane pod Siemiatyczami oddziały przedstawiały znaczną siłę 4 do 5 tysięcy ludu.

Słabą stronę tego zebrania się oddziałów stanowiło to, że nie było ono, jak już powiedziałem, planowe, lecz tylko przypadkowe; każdy z dowódzców miał inne zamiary, więc były one rozbieżne. Chwilowo i to jeszcze dobrze, że wobec wspólnego nieprzyjaciela porozumieli się i uznali za potrzebną jedność dowództwa. Z prawa należało się Lewandowskiemu i on też je objął, ale nie miał tyle woli i energii, żeby, objąwszy władzę, umiał ją w ręku utrzymać. Ta rozbieżność zamiarów, jak zobaczymy, już podczas bitwy ujawniła się i spowodowała właściwie przegraną. Po bitwie każdy oddział poszedł w swoją stronę, nie troszcząc się o inne.

Pierwszy w okolice Siemiatycz przybył Zameczek, który po

swoich wstępnych działaniach w powiecie Łomżyńskim przeszedł Narew pod Surażem w ostatnich dniach stycznia. Spodziewał się on znaleść tu spokojniejsze miejsce do zorganizowania się i powiększenia sił, z któremi zamierzał wrócić do swego województwa. Rzeczywiście zebrał znaczne siły, do 2.000 ludzi wynoszące, i posuwał się do Siemiatycz, które zajął 3. lub 4. lutego [29]). Zameczek był człowiekiem dobrych chęci, ale więcej próżny i ambitny, niż zdolny. Podobała mu się rola naczelnika i taką też rolę chciał w Siemiatyczach odgrywać. Drugim z kolei przybył pod Siemiatycze Janek Sokół z Jabłonowskimi d. 5. lutego wieczór zatrzymał się w odległości dobrej mili od miasta. Wiemy, że Rogiński po ataku na Białą poszedł do Janowa Podlaskiego, stolicy biskupstwa, po drodze połączył się z Nenckim, wracającym z Kodnia i Szaniawskim, idącym z Łomaz, a wzmocniony tak do 800 ludzi, 26. stycznia, stanął w Janowie. Tu uzupełnił swoją jazdę końmi, zabranemi ze stadniny rządowej, a przybywającymi ochotnikami zwiększył siłę oddziału do 1000 ludzi. Z Janowa wrócił znowu do Białej, gdzie stanął 30. stycznia. Po stoczonej tu 2. lutego bitwie, w której powstańcy z wielką potykali się brawurą, d. 3. lutego opuścił znowu Białę i podążył do Janowa. Tu zabrał, co tylko mógł, pieniędzy rządowych i skierował się ku Bugowi, który przeszedł pod Niemirowem i 4. lutego zatrzymał się pod Wysokiem Litewskiem na noc. Tu zamierza tylko odpocząć i pójść do puszczy Białowieskiej. Dowiedziawszy się, że jakiś oddział powstańczy zajmuje Siemiatycze, wysłał zaufanego oficera, dla powzięcia wiadomości o jego sile i nazwisku dowodzącego, z wezwaniem, by ten dla wspólnego działania zechciał ze swym oddziałem przybyć do niego. Zameczek, który właściwie należał do organizacyi płockiej, nie wiedział, że Rogiński jest nie tylko dowódzcą, ale i komisarzem Rządu Narodowego, przejęty przytem swem stanowiskiem dowodzącego tak licznym oddziałem, bo nawet w swej wygórowanej ambicyi kazał się nazywać generałem, odpowiedział butnie posłowi Rogińskiego, że: „Naczelny wódz armii podlaskiej niniejszem wzywa naczelnika oddziału podlaskiego, Romana Rogińskiego, aby niezwłocznie zjawił się do Siemiatycz do głównej kwatery, do wspólnego dalszego działania“. Rogiński, który prawdopodobnie o Zameczku nigdy nie słyszał, zdziwił się niepomiernie tak butną odpowiedzią, jak i przybranym tytułem. Było to d. 5. lutego. Nie namyślając się długo, a może

[29]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 80—81, 188. (P. R.)

i zaciekawiony tą odpowiedzią, postanowił zaraz nazajutrz, raniutko wyruszyć do Siemiatycz. To postanowienie Rogińskiego bardzo przemawia na jego korzyść, bo świadczy, że nie chodziło mu o władzę, lecz o dobro sprawy. Odległości pięciomilowej, z Wysokiego Litewskiego do Siemiatycz, nie mógł przebyć tak prędko; przed samym wieczorem, mając jeszcze kilkanaście wiorst do przebycia, zatrzymał się z postanowieniem przenocowania [30]).

W Siemiatyczach tymczasem zaszedł wypadek zupełnie dla Zameczka niespodziany. Był on nieostrożny i obozowiska swojego zupełnie nie opatrzył widetami. Jenerał moskiewski, Maniukin, konsystujący w Bielsku, dowiedziawszy się o powstańcach, zajmujących Siemiatycze, raniutko, 6. lutego, z silnym oddziałem i 4 działami wyruszył z Bielska do Siemiatycz i o dobrym już zmierzchu, niespostrzeżony, zbliżył się do miasta, a przednią strażą, złożoną z kozaków, wtargnął do miasta i dotarł aż do rynku. Już się ściemniało. Powstańcy jakoś prędko się opatrzyli i nie czekając rozkazu z domów, gdzie byli rozkwaterowani, rozpoczęli gęsty ogień. To było znowu niespodzianką dla kozaków; zmieszali się, a tymczasem powstańcy ze wszystkich domów wybiegli na rynek, rozpoczęli bójkę i wyparli kozaków za miasto. Noc zapadła. Cały oddział polski stanął pod bronią; przybył i Zameczek, który miał główną kwaterę w wielkiej karczmie w pobliżu rynku i nie czekając, co mu się chwali, uderzył całą siłą na Maniukina. W obozie moskiewskim uciekający kozacy sprawili popłoch niesłychany. Piechota i kawalerya w nieładzie zaczęły uciekać. Powstańcy teraz natarli ostro, nawet strzały kartaczami z armat, które z powodu zupełnej nocy nie wiele szkody robiły, nie wstrzymały powstańców, dopadli dział i rębali kosami kanonierów. Ci zdołali uprowadzić dwa działa, ale dwa, które ugrzęzły w błocie, pozostawili. Maniukin dał prędko rozkaz do odwrotu i dopiero we wiosce Czertajewo, blizko na milę od miasta odległej, mógł się w jakim takim porządku zatrzymać. Powstańcy cofnęli się do miasta z niewielkiemi stosunkowo stratami, bo około dwudziestu ludzi zabitych i kilkunastu rannych [31]).

Huk dział tej bitwy poruszył obydwa oddziały, Rogińskiego i Sokoła. Rogiński, nie mogąc tak spiesznie poruszyć całego oddziału, wysłał na pomoc do Siemiatycz swoją jazdę w sile 100 koni

---

[30]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 190—193. (P. R.)
[31]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 189—190. (P. R.)

pod komendą kapitana Radowickiego. Ten miał do przebycia blizko dziesięć wiorst, przybył więc na miejsce już po bitwie [32]).

Zameczek, pomimo zwycięstwa, przerażony tym niespodzianym napadem moskiewskim, widząc, że przez swą nieoględność mógł był cały oddział narazić na zupełną zgubę, postanowił jak najprędzej Siemiatycze opuścić i powrócić za Bug. Radowicki zastał w obozie przygotowania do wymarszu. Uwiadomił Zameczka, że Rogiński idzie z pomocą i że pewnie rano będzie już na miejscu; to powstrzymało Zameczka od wymarszu. Rzeczywiście Rogiński około 8 rano wszedł do miasta. Tu spotkał się ze Sokołem, który przybył właśnie z doniesieniem, że cały jego oddział pod komendą Jabłonowskiego dąży też ku Siemiatyczom; prawie jednocześnie z tem z drugiej strony przybył Lewandowski ze swoim oddziałem. Rogiński polecił Sokołowi, by wracał zaraz do Jabłonowskiego i forsownym marszem poprowadził swój oddział na trakt drohiczyński i tam, jak przyjdzie do bitwy, uderzył z tyłu na wojsko moskiewskie. Wszystkie więc cztery oddziały polskie zeszły się razem, tworząc poważną siłę 4.000 do 5.000 ludzi. Lewandowski z Rogińskim, prowadzeni przez Radowickiego, udali się do głównej kwatery Zameczka. Ten po krótkim oporze poddał się, choć niechętnie, pod rozkazy Lewandowskiego. Tu odbyto naradę. Spodziewali się, że Maniukin, otrzymawszy posiłki, będzie chciał powetować wczorajszą porażkę i zaatakuje Siemiatycze. Ułożyli więc wspólnie cały plan obrony, a w razie porażki mieli się wszyscy cofać się na trakt ku Wysokiemu Litewskiemu. Główne dowództwo objął Lewandowski i on też miał bronić rynku, jako środkowego punktu obrony. Maniukin rzeczywiście nazajutrz, d. 9. lutego, wzmocniony posiłkami, nadeszłemi z Bielska i Ciechanowa w sile 2.500 ludzi z 4 armatami, stanął pod miastem i rozpoczął bitwę gęstym łańcuchem tyralierów i ogniem z dział. Granatami wznieca pożar w mieście. Rozdziela swoje siły na dwie części i rzuca się na skrzydła polskie; Zameczek, dowodzący prawem skrzydłem, nie wytrzymuje pierwszego zaraz ataku, opuszcza w nieładzie pozycyę doskonałą, z której mógł się długo bronić, t. j. zabudowania po obu stronach gościńca bialskiego i oba cmentarze (katolicki i prawosławny), a nawet porazić tu i powstrzymać nieprzyjaciela. W ucieczce wpada na błota i trzęsawiska, ciągnące się wzdłuż małej rzeczki, traci tam masę ludzi, dostaje się na trakt ku Wysokiemu

[32]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 192—3. (P. R.

i ucieka jak najdalej. Ucieczką tą Zameczek odsłonił zupełnie środek, broniony przez Lewandowskiego. Ten wytrzymuje parę ataków całego prawie batalionu Moskali; obawiając się być otoczonym, cofa się ku gościńcowi i zawiadamia o wszystkiem Rogińskiego. Ten, pozostawiony własnym siłom, widząc, że w końcu musi uledz i stracić cały oddział, postanawia także się wycofać. Zajmował on pałac Siemiatycki przy drodze do Drohiczyna prowadzącej i zabudowania przyległe. Jedyna stąd droga ku Wysokiemu przechodziła przez rynek, opuszczony przez Lewandowskiego i prawie już przez Moskali zajęty. Wysyła naprzód całą swoją jazdę pod komendą Radowickiego, dając mu polecenie przejścia bądźcobądź do mostu, leżącego na trakcie ku Wysokiemu, gdzie pozostawił swój tabor, aby go obronił i uprowadził. Radowicki spełnia dzielnie rozkaz, rozpędza kozaków, którzy się już do taboru dobierali, i uprowadza go. Rogiński śmiałym swoim i również zdeterminowanym ruchem, z całym oddziałem, przeszło tysiąc ludzi liczącym, a już w poprzednich bitwach zaprawionym, ostrzeliwując się nieprzyjacielowi, maszeruje w zupełnym porządku, krok za krokiem przechodzi rynek pod strzałami moskiewskiemi i z niewielkiemi bardzo stratami dostaje się na trakt do Wysokiego, zupełnie nie ścigany. Jabłonowski z Sokołem, oddaleni przeszło milę drogi na trakcie drohiczyńskim, spóźnili się; bitwa była skończona, więc cofnęli się śpiesznie ku Bugowi. Maniukin spalił i zrabował doszczętnie Siemiatycze [33]).

Wracając do Bielska, palił i rabował wszystko po drodze. W Dołubiznie, wsi Wincentego Śnieżki, zamordował samego właściciela, dwór i wszystkie zabudowania spalił i zrabował doszczętnie tak, że rodzina właściciela zaledwie w koszulach zdołała się uratować *).

Maniukin przed powstaniem należał do tajnego związku oficerów, teraz przemienił się w słynnego w powstaniu litewskiem okrutnika i gwałciciela, stał się dzielnym pomocnikiem Murawiewa Wieszatiela [34]).

Pod Wysokiem Litewskiem wszystkie trzy oddziały zeszły się i rozłączyły się. Zameczek, uważając swój oddział za nienależący do Podlaskiego, a główny winowajca przegranej bitwy w Siemiaty-

[33]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 195—201. (P. R.)

[34]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 189. (P. R.)

*) Wincenty Śnieżko był przez żonę blizkim krewnym matki mojej żony Tolkemitowej. Pani Śnieżkowa była jej cioteczną siostrą i z ich ust wiedziałem o strasznych okrucieństwach, jakich dopuszczał się Maniukin tak u nich, jak i w całej okolicy. [Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 202.] (P. R.)

czach, przeprawił się za Bug w Łomżyńskie i przeszedł pod rozkazy Zygmunta Padlewskiego, o czem już wyżej nadmieniłem [35]). Rogiński, który właściwie znalazł się w Siemiatyczach przypadkowo, bo istotnym jego zamiarem po przejściu Bugu, było udać się na Litwę, poszedł do puszczy Białowieskiej. Lewandowski ze skromnym oddziałkiem wiernych mu około 100 ludzi, w czem było kilkunastu jezdnych, wrócił do swego województwa [36]). Lokalne powstanie w województwie Podlaskiem, tak hałaśliwie rozpoczęte, na parę następnych tygodni przycichło. Jakkolwiek dalsze losy Rogińskiego odnoszą się do samego końca lutego i marca, t. j. do czasów, gdy Rząd Narodowy zebrał się był już w Warszawie, to jednak opowiem je w tem miejscu tem więcej, że działał teraz na Litwie i wkrótce miał już zniknąć zupełnie z pola walki. Jenerał moskiewski Nostitz po bitwie pod Białą, po której Rogiński wymknął się i przeszedł za Bug, postanowił go ścigać. Przeszedł także Bug i gdy Rogiński po siemiatyckiej bitwie przyszedł pod Wysokie Litewskie, Nostitz prawie jednocześnie stanął w tem mieście. Rogiński, który miał za słabe siły, żeby mógł zaryzykować zmierzenie się z Nostitzem, ruszył ku Białowieży. Z licznego swego oddziału wziął tylko ludzi zdeterminowanych, gotowych na wszelkie trudy, nawet na śmierć, a takich znalazło się tylko stukilkudziesięciu ludzi. Omijając Wysokie, zwrócił się ku Prużanom; Nostitz ściga go, dopada pod Królowym mostem i zmusza do odwrotu, w którym Rogiński traci kilkunastu ludzi i wozy. Pośpiesznym marszem dochodzi do miasteczka Szereszowa d. 13. lutego. Tu nocuje, zaopatrza się w amunicyę. Z Szereszowa na podwodach dojeżdża do Prużan w nocy. Atakuje natychmiast koszary inwalidów, rozbraja ich, zabiera przeszło dwieście karabinów z amunicyą, z kasy miejskiej sto kilkadziesiąt rubli i znowu na podwodach dąży ku Kobryniowi. W drodze część ludzi opuszcza go, pozostaje mu zatem trochę więcej niż 100 wojowników. Nostitz, nie wiedząc dobrze, w którą stronę Rogiński mu się wymknął, rozdziela swoje siły na kilka kolumn i ściga go dalej. Rogiński, odstępując od zamiaru marszu do Kobrynia, zwraca się do Pińska, gdzie była słaba załoga moskiewska. Doniesiono mu, że miasto jest bardzo patryotyczne i że z pomocą mieszczan może opanować miasto i rozbroić załogę. Zatrzymuje się więc na kilka wiorst przed miastem i prowadzi rokowania. Te spełzły na niczem, a zabrały parę dni czasu. Opuszcza więc Pińsk i zwraca się na

[35]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 202, II. str. 259. (P. R.)
[36]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 202. (P. R.)

drogę do Słucka ku Królewskiemu Kanałowi. W drodze przejmuje depeszę rządową, z której dowiaduje się, że naczelnik wojenny w Pińsku przesyła do Mińska 36.000 Rs. Wysyłka miała nastąpić w godzinę po odejściu depeszy. Rogiński zatrzymuje się, atakuje konwój, zabiera pieniądze i jednocześnie odbiera wiadomość, że Nostitz wszedł do Pińska. Pali most na Kanale Królewskim i spiesznym marszem dąży ku Słuckowi, zmieniając ciągle kierunek pochodu, ażeby zmylić drogę pościgu. Wreszcie zmienia zupełnie kierunek i zmierza ku Słonimowi. W dniu 25. i 26. lutego zatrzymuje się we wsi Borkach, w powiecie Słominskim, należącej do dóbr Radziwiłłowskich. Oddział był tak zmęczony, że Rogiński musiał mu dać wytchnienie. Niestrudzony w pościgu Nostitz tu go dopada i w śnie głębokim pogrążony oddział atakuje. Rogiński broni się mężnie z poza taborów wozów, którym mały swój obóz otoczył. Oba wojska strzelają do siebie prawie tylko przez odległość długości wozów. W końcu Rogiński musiał uledz; zostało mu tylko kilkunastu towarzyszy, z którymi zdołał unieść życie. Z tą garstką niedobitków błąkał się dni kilka w okolicach błot Prypeci, nagabywany przez chłopów. W miasteczku Turowie został ujęty przez jedną z ruchomych kolumn Nostitza d. 3. marca. Stąd odstawiono go do Pińska, następnie sam Nostitz, obchodząc się z nim grzecznie, odwiózł go do Brześcia Lit., skąd wysłano go do Warszawy, zamknięto w cytadeli i skazano na śmierć. Za usilnem wstawieniem się Nostitza zamieniono mu wyrok na katorgę w Syberyi. W każdym razie Rogiński, młodzieniec 21-letni, okazał się człowiekiem energicznym, odważnym i pełnym determinacyi w chwilach stanowczych, gdy był silniejszym uderzał śmiało na nieprzyjaciela. Udając się na Litwę, działał w kraju nieznanym topograficznie i z usposobienia ludności. Sądził, że zdoła poruszyć Litwę, lecz, jak wiemy, Litwa w tym czasie do powstania była jeszcze zupełnie nieprzygotowaną. Jego energia i odwaga zjednały mu uznanie nieprzyjaciela, który ścigał go nieubłaganie, a schwytawszy oswobodził od śmierci. Rogiński z powodu jakiejś amnestyi uwolniony z Syberyi wrócił do kraju [37]).

Przejdźmy teraz do województwa Lubelskiego. Losy oddziału, sformowanego przez Leona Frankowskiego pod Kazimierzem, już opowiedziałem. Atak na Lubartów o tyle się w pierwszej chwili udał, że powstańcy opanowali działa, których

[37]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. II. str. 254, 262—273. (P. R.)

jednak nie mogli uprowadzić dla braku koni i uprzęży, a tymczasem kompania piechoty, zebrawszy się, uderzyła na powstańców i wyparła ich z miasta. Napady zamierzone na Chełm i Janów Ordynacki nie przyszły do skutku z powodu zdrady [38]).

W okolicy Józefowa, leżącego na południu, zebrał się oddziałek powstańców pod dowództwem Gramowskiego; uderzył on na straż graniczną i rozpędził ją, zabierając broń. Gdy w parę dni potem załoga moskiewska opuściła graniczne miasteczko Tomaszów, Gramowski zajął je i ogłosił Rząd Narodowy. Mieszczanie przyjęli go uroczyście i z radością. Tu się zorganizował i zebrał do dwustu ludzi. Gdy wiadomość o tem doszła do Zamościa, komendant fortecy wysłał pułkownika kozackiego Emanowa z dosyć silnym oddziałem piechoty i kozaków z artyleryą. Emanów spalił i zrabował po drodze Zwierzyniec, główną siedzibę zarządu ordynacyi Zamojskiej i d. 6. lutego stanął pod Tomaszowem. Powstańcy, nie chcąc narażać miasta szybko je opuścili, cofając się do przyległych lasów. Pomimo to Emanów zapalił miasto granatami, a następnie nie tylko je zrabował, ale sprawił formalną rzeź. Pijani i rozszalali kozacy dopuszczali się niesłychanych okrucieństw, wpadając do domów i mordując mieszkańców [39]).

Powstanie w województwie ograniczyło się do tych kilku wypadków, ale Moskale zasmakowawszy rabunku w Zwierzyńcu i Tomaszowie, nie znajdując oporu, rozhulali się na dobre. D. 12. lutego popołudniu oddział moskiewski pod dowództwem pułkownika Sakownina zrewidował i złupił wieś Rakołupy, własność hr. Poletyłły, wpadł do miasteczka Wojsławic, leżącego niedaleko od Krasnego Stawu, przy głównym trakcie z Lublina do Uściługu i Hrubieszowa. W pałacu krasnostawskim (własności hr. Poletyłły, brata właściciela Rakołup) było zebranych kilku przyjaciół gospodarza, poważnych obywateli z okolicy, jak Tytus Wojciechowski, radca Tow. Kredytowego Ziem. w Lublinie z synem, Walenty Dunin, były pułkownik grenadyerów z 1831. r. z żoną i były major gwardyi napoleońskiej, Kunn. Strzały armatnie, wymierzone na miasteczko, zabiły tam kilku mieszczan, wznieciły pożar, a w pałacu wywołały popłoch. Ujrzano tam nagle z okien maszerującą ku pałacowi piechotę moskiewską, rozsypaną w tyralyery. Dwa działa wysunęły się naprzód, a żołnierze wpadli na dziedziniec i uderzyli na pałac,

---

[38]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 105—107. (P. R.)
[39]) Por. Przyborowski. D. 1863 r. I. str. 214—217. (P. R.)

rozbijając kolbami drzwi i okna i strzelając do wnętrza. Wdarli się potem do sieni, uderzyli bagnetami na służbę i rozbiegli się, mordując, po pałacu. Hr. Poletyłło z rodziną i kobietami schronił się do jakiegoś odległego pokoju, ale inni goście ustępować nie chcieli i padli ofiarą rozszalałego żołdactwa. Młody Wojciechowski zginął na miejscu. Pułkownik Dunin i major Kunn zostali ciężko poranieni. Żądaniu, by ich opatrzono, dziki dowódca moskiewski odmówił, oświadczając, że lekarzy ma tylko dla swoich żołnierzy, a nie dla buntowników. Zrabowano i zniszczono pałac doszczętnie, czego nie mogło żołdactwo zabrać, niszczono, drąc i rozbijając. Zabito tu 6 osób i raniono ciężko osób 9. Rabusiowi temu nie było tego dosyć; na drugi dzień napadł na dwór i wieś Tuczempy [40]), o małą milkę odległą od Wojsławic, własność Karola Tuszyńskiego *). Dwór zrabowali zupełnie, a właściciela majątku, zbitego okrutnie, wzięto między dwa konie i tak prowadzono do Zamościa. Karol Tuszyński, mężczyzna wysokiego wzrostu i znacznej tuszy, ledwie dowleczony do Zamościa, umarł tam zaraz tknięty apopleksyą.

Gwałty te i rozboje miały wielki rozgłos w całym kraju. Tytus Wojciechowski pojechał do Warszawy do W. Ks. Konstantego. Ten nakazał śledztwo i wydał d. 14. lutego rozkaz do wszystkich naczelników wojennych, by przestrzegali jak najściślej karności; winnych podobnych gwałtów karali według praw wojennych. Śledztwo nie odniosło żadnego skutku, zbrodniarz nie został ukarany; rozkaz pozostał na papierze, a żołdactwo nie zaprzestało dopuszczać się dzikich okrucieństw. Nietylko nie udzielano pomocy rannym, ale ich mordowano; lekarzy prześladowano za niesienie pomocy rannym, nawet księży za niesioną pomoc umierającym na polu bitwy często mordowano. To znowu spowodowało W. Ks. Konstantego do wydania nowego rozkazu d. 18. marca, że pomoc niesiona rannym i umierającym jest naturalnym obowiązkiem chrześcijańskim i spełniający te obowiązki nie mogą podlegać żadnej karze. I ten rozkaz nie wywarł żadnego skutku i nie był wypełniany przez zdziczałe żołdactwo. Władze powstańcze postępowały dotychczas bardzo szlachetnie z jeńcami moskiewskimi, pusz-

[40]) Tuczempy, wieś i folw. pow. hrubieszowski, gm. Grobowice, odl. o 28 wiorst od Hrubieszowa. (P. R.)

*) Karol Tuszyński był ożeniony z Ludwiką Rechkronówną, córką rodzonej mej ciotki Konstancyi. Bliższe szczegóły tych rodzinnych związków w tomie wstępnym. Obaj synowie Karola, Gustaw i Wacław, byli w powstaniu, z którego wyszli bez szwanku. Córka Marya była już wówczas zamężną za Bogusławem Wydżgą, właścicielem dóbr Raciborowice w Hrubieszowskiem. Brali oni bardzo czynny udział w zjeździe horodelskim w r. 1861.

czano ich zwykle wolno, a często opatrywano datkami na drogę, biorąc tylko przyrzeczenie, że nie będą więcej walczyć przeciwko Polakom. Przebrała się jednak miarka wobec tych gwałtów moskiewskich. D. 18. marca Rząd Narodowy wydał rozkaz do naczelników wojennych powstańczych, żeby wszystkich Moskali, którzyby dopuszczali się okrucieństw i gwałtów, wydawali na powstańców doraźne wyroki, lub w czemkolwiek byli szkodliwymi dla powstania, w razie ujęcia sądzili doraźnie i karali śmiercią.

Ruch powstańczy w województwie Sandomierskiem opisałem już wyżej. I tu Moskale od pierwszej chwili dopuszczali się gwałtów i okrucieństw, paląc miasteczka, rabując i mordując mieszczan. Jak już mówiłem, zostawiłem był Langiewicza w Staszowie ze znaczną już siłą, prawie przeszło 1000 ludzi liczącą, dosyć już uzbrojoną w broń palną, przeważnie na Moskalach zdobytą, a liczącą do 200 jezdnych. Dnia 17. lutego t. j. w dwa dni po moim wyjeździe, Moskale zaatakowali Langiewicza w Staszowie; odparci ze znacznemi bardzo stratami 100 ludzi, cofnęli się pospiesznie do Stopnicy. Zapalone z początku bitwy przedmieście, położone za rzeką, gdzie właśnie była bitwa, powstańcy prędko ugasili tak, że tylko parę domów się spaliło. Langiewicz w raporcie do Rządu Narodowego stwierdził dzielność, odwagę i karność swego żołnierza. Następnego dnia (18. lutego) Langiewicz powziąwszy wiadomość, że inny dowódca z pod Opoczna, Jeziorański, zmierza ku południowi, opuścił Staszów, kierując się w stronę północno-zachodnią ku Kielcom, z zamiarem połączenia się z nim i wspólnego działania. Miał on zamiar stworzyć większą siłę, z którą mógłby działać zaczepnie.

Muszę tu nadmienić, że Komisya wykonawcza, działając w charakterze Rządu Narodowego, po otrzymaniu raportu Langiewicza o bitwie staszowskiej, mianowała go generałem i poddała pod jego władzę oprócz województwa Sandomierskiego jeszcze województwo Krakowskie. Z nominacyą tą wysłano osobnego kuryera, który znalazł go dopiero na drodze do Małogoszczy.

Wyszedłszy ze Staszowa Langiewicz skierował się na Raków, zanocował we wsi Korzennie[41]), leżącej w połowie drogi pomiędzy Rakowem[42]) i Daleszycami [43]). Tu dowiedział się, że rozmaite od-

[41]) Korzenna, wieś, pow. stopnicki, gm. Potok. (P. R.)

[42]) Raków, osada miejska, pow. opatowski, gm. Rembów, odl. 31 wiorst od Opatowa. (P. R.)

[43]) Daleszyce, osada, pow. kielecki. (P. R.)

działy moskiewskie z Opatowa, Łagowa i Stopnicy ciągną za nim; przypuszczał, że i załoga Kielc nie pozostanie bezczynną, musiał więc postępować ostrożnie, unikać skombinowanego ataku tych oddziałów. Moskale mieli bardzo przesadzone wieści o sile Langiewicza, choć każdy z tych oddziałów wysłanych przeciwko niemu był od niego silniejszy, więc też z równąż ostrożnością na niego następowali. Zadanie Langiewicza było trudne, a marsz w tych warunkach był bardzo śmiały, choć ryzykowny. Z Korzennej skręcił na zachód przez lasy do miasteczka Pierzchnicy [44]), położonego na trakcie z Kielc do Chmielnika, a przenocowawszy tu, nazajutrz 20. lutego, wyruszył ku wsi Morawicy[45]), leżącej nad rzeczką Czarną, odległą najwyżej 2 mile od Kielc, gdzie się przez parę godzin zatrzymał. Po odpoczynku pospiesznym marszem udał się do miasteczka Sobkowa [46]) nad Nidą, gdzie przepędził noc z 20. na 21. lutego. Tym marszem flankowym zmylił zupełnie następujące na niego oddziały moskiewskie i tylko z powodu bliskości Kielc mógł był być zagrożonym od załogi tego miasta, w którem rezydował Czengiery. Ten jednak zupełnie o tem nie myślał, bo sam był w wielkim strachu. Miał bowiem przesadne bardzo wieści o sile Langiewicza, którą oceniał na kilka tysięcy ludzi z liczną jazdą a nawet artyleryą (Langiewicz miał podobno dwie armatki drewniane), a odebrał był także wiadomości o zbliżającym się do Małogoszczy oddziale Jeziorańskiego, który również na kilka tysięcy ludzi oceniał. Czengiery myślał o możliwym na Kielce ataku obu połączonych oddziałów i przygotowywał się do obrony. Langiewicz nie miał teraz zamiaru uderzenia na Kielce, chciał się pierwej połączyć z Jeziorańskim. Ta obawa Czengierego ułatwiła mu to połączenie. Langiewicz rano przeprawił się przez Nidę i pomaszerował prosto pospiesznym marszem do Małogoszczy[47]), gdzie stanął przed wieczorem 21. lutego. Stąd wysłał raport do Rządu Narodowego o całym marszu i zamierzonem połączeniu się z Jeziorańskim i z podziękowaniem za otrzymaną właśnie nominacyę na generała i powierzone mu naczelnictwo dwu województw, co uważał za korzystne dla powstania.

W województwie Krakowskiem pierwsze chwile

[44]) Pierzchnica, osada miej., pow. stopnicki, gm. Drugnia. (P. R.)

[45]) Morawica, wieś i folw. nad Czarną Nidą, pow. kielecki, w odl. 12 wiorst od Kielc. (P. R.)

[46]) Sobków, osada miejska nad Nidą, pow. noworadomski, gm. Radomsk. (P. R.)

[47]) Małogoszcz, osada miejska, pow. jędrzejowski, 28 wiorst od Kielc. (P. R.)

powstania zaznaczyły się dosyć korzystnym wynikiem. Naczelnikiem wojennym został, z konieczności mianowany, Apolinary Kurowski, z zawodu ziemianin; o wojskowych jego kwalifikacyach stanowił udział jego niegdyś w wojnie węgierskiej. Na naczelnika wojennego tego województwa Komitet Centralny przeznaczył pułkownika Czapskiego, znanego z powstania Poznańskiego w r. 1848., ten jednak do chwili powstania nie przybył, więc został nim Kurowski. We właściwej chwili powstania w województwie tem było cicho. Dopiero w końcu stycznia Kurowski zaczął gromadzić powstańców w Ojcowie. Zamierzył on wyzyskać topograficzne położenie województwa, graniczącego na długiej przestrzeni z Galicyą i granicę tę otworzyć przez spędzenie z pozycyi straży granicznej, t. zw. „objeszczyków“; pierwszy atak wymierzył na Michałowice [48]): d. 4. lutego spędził straż, zabierając trochę broni i 6.000 rubli z kasy celnej. Jednocześnie zaatakował komorę w Szycach [49]) z pomyślnym wynikiem, gdzie zdobyto koszary straży granicznej, zabrano czterdzieści kilka karabinów i wiele sztuk innej broni. W dalszym ciągu zamierzał uderzyć na komorę w Maczkach [50]); dowiedziawszy się jednak, że tamtejsza straż już opuściła stanowisko i udała się do Sosnowca, na granicy pruskiej, zwrócił się w tamtą stronę. W Strzemieszycach [51]) d. 7. lutego na stacyi drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, skąd idzie odnoga do Sosnowca, zatrzymał wszystkie pociągi, a sam specyalnym pociągiem pojechał do Sosnowca [52]). Tu miał zadanie trudniejsze. Liczba straży wynosiła do 300 koni, a ci na wiadomość o zbliżających się powstańcach zamknęli się w budynkach koszarowych. Po długiej strzelaninie, która przysporzyła tylko ofiar, Teodor Cieszkowski, dowódca kosynierów, zdobył koszary szturmem. Wielu objeszczyków poległo, kilkudziesięciu wzięto do niewoli, a reszta schroniła się do Prus. Powstańcy zabrali wiele karabinów i różnej innej broni i kilkadziesiąt koni. Cały więc pas graniczny od Sosnowca aż do Baranowa [53]) był zupełnie wolny i połączenie z Kra-

[48]) Michałowice, wieś nad rzeką Dłubnią, pow. miechowski, leży na granicy Królestwa o 8 km. od Krakowa. (P. R.)

[49]) Szyce Duchowne, wieś i folwark, pow. olkuski, leży na granicy przy trakcie z Olkusza do Krakowa. (P. R.)

[50]) Maczki, tak zwała się niegdyś wieś obok stacyi drogi żel. warsz.-wied. Granica. (P. R.)

[51]) Strzemieszyce Wielkie, wieś nad rzeką Rakówką, pow. będziński, gm. Olkusko-Siewierska. (P. R.)

[52]) Sosnowiec, osada fabr., pow. będziński, gm. Gzichów. (P. R.)

[53]) Baranów, miasteczko, pow. tarnobrzeski. (P. R.)

kowem i Galicyą zabezpieczone. W całej tej części województwa Kurowski wszędzie ogłosił Rząd Narodowy i dekret o uwłaszczeniu. Po tych zwycięskich wycieczkach Kurowski powrócił do Ojcowa, żeby się dalej organizować.

To powodzenie pierwszej chwili powstania w tem województwie, wogóle prawie jedyne, miało być jednak bardzo prędko przyćmione wielką klęską, choć połączoną z wielkiem bohaterstwem mieszkańców, poniesioną w ataku na Miechów[54]) dn. 17. lutego.

Wiadomości o bitwie miechowskiej Komisya wykonawcza w Warszawie miała bardzo niedokładne. Raportu o niej urzędowego od Kurowskiego nie było, bo ten po tej klęsce skonsternowany, a prawdopodobnie i przygnębiony, bo był człowiekiem uczciwym i dobrym patryotą, wyjechał zaraz do Galicyi. Dokładnego więc przebiegu bitwy samej podać nie mogę. Kurowski w obozie Ojcowskim mógł zebrać 2.000 ludzi i spokojnie się organizował, gdy dowiedział się o dążących w te strony wojskach moskiewskich. Klęski bowiem, jakie zadał Moskalom, doszły do Warszawy i stamtąd wyszły rozkazy do pospiesznego na niego uderzenia; do tego miała być także użytą załoga, stojąca w Miechowie. Postanowił więc z tego skorzystać i uderzyć na miasto ogołocone z wojska. Wysłał więc naprzód dwie kolumny, jedną pod dowództwem Wanerta, byłego majora wojsk moskiewskich z Kaukazu do Słomnik[55]), a drugą pod wodzą Cybulskiego do Wolbromia[56]). D. 16. lutego z resztą sił swoich, pozostawiwszy w Ojcowie bagaże i paręset kosynierów dla ich strzeżenia, wyruszył sam na zdobycie Miechowa. Nie wiedział jednak o tem, że tego samego dnia przybyły do Miechowa świeże wojska moskiewskie, dla zastąpienia wysłanych poprzednio przeciwko niemu. W tem więc przekonaniu, że w mieście niema załogi, rano 17. lutego uderzył na miasto i tu zastał nową załogę i to zupełnie do odparcia ataku przygotowaną. Dowódca moskiewski, zdaje się powiadomiony, obsadził strzelcami domy w rynku, kościół z przyległym cmentarzem, otoczonym murem, oraz główne gościńce do miasta prowadzące. Powstańcy z wielką brawurą uderzyli ze wszystkich stron na miasto, lecz wszędzie znaleźli opór: przyjęci silnym ogniem

[54]) Miechów, miasto pow. gub. kieleckiej nad rzeką Wielką. (P. R.)

[55]) Słomniki, osada miejska nad rzeką Szrzeniawą, pow. miechowski, odl. 14 wiorst od Miechowa. (P. R.)

[56]) Wolbrom, osada miejska nad rzeką Pokrzywianką, pow. olkuski, odl. 17 wiorst od Miechowa. (P. R.)

karabinowym z domów, z kościoła, z cmentarza. Rochenbrune który tu po raz pierwszy pokazuje się na polu walki, zdobywa szturmem cmentarz, wyrzuca z niego Moskali i dostaje się do rynku; inne oddziały również tu docierają. Na rynku rozpoczyna się szalona walka: powstańcy muszą zdobywać pojedyncze domy, w których ukryci Moskale prażą ich morderczym ogniem; powstańcy walczą z prawdziwem bohaterstwem, lecz walka nierówna, bo Moskale ukryci byli w domach; wskutek tego powstańcy odkryci zupełnie, wystawieni na dośrodkowy ogień ze wszystkich czterech stron rynku, musieli uledz. Kurowski chce rzucić do walki kosynierów, lecz ci pod strasznym ogniem moskiewskim cofają się. Zrozpaczony Kurowski rozkazuje całej jeździe, jaką miał, uderzyć na Moskali. Jazda polska, złożona przeważnie z młodzieży krakowskiej, dwiema kolumnami, jedna pod dowództwem Nałęcza, druga Radońskiego z brawurą, przypomijającą najświetniejsze jej w przeszłości ataki, wpada na rynek, lecz, przyjęta piekielnym ze wszystkich stron ogniem, traci swoich wodzów i cofa się w nieładzie. Nastąpił odwrót ogólny w największym popłochu, klęska była zupełna. Straty w ludziach były znaczne, ale największą stratą była klęska moralna, upadek na duchu.

Teraz Moskale, pozbywszy się powstańców, rozpoczęli właściwe sobie działanie: pożar, rabunek i rzeź mieszkańców, którzy zupełnie żadnego nie brali udziału ani w szturmie samym, ani w obronie. Rozszalałe żołdactwo podpaliło miasto z kilku stron naraz, popłoch powstał ogólny; mieszkańcy, uciekając z palących się domów, dostawali się pod bagnety żołdaków, którzy mordowali bez litości. Pożar trwał 24 godzin, miasto zgorzało prawie doszczętnie. Moskale w pogoni za cofającymi się powstańcami spalili i zrabowali kilka okolicznych wsi. Była to pierwsza i największa klęska, jaką powstanie poniosło.

Część rozbitków miechowskich, błąkając się po lasach, przyłączyła się bądź do Langiewicza, który, jak wiemy, maszerował w parę dni później ze Staszowa do Małogoszczy, bądź też dotarła jeszcze dalej do Jeziorańskiego, który pod Małogoszczą obozował. Inna znowu część rozbitków, wraz z uciekającymi z Miechowa mieszkańcami, dostała się do Galicyi do Krakowa, przynosząc tam hiobowe wieści o klęsce. Kraków okrył się żałobą, bo bardzo wiele krakowskiej młodzieży położyło w Miechowie swoje głowy. Oburzenie na Kurowskiego w pierwszej chwili było tak wielkie,

że ukrywać się musiał. Długo, bardzo długo jeszcze Krakowianie nie mogli zapomnieć tej klęski. Echo jej jeszcze słyszałem, gdym w miesiąc blizko później był w Krakowie.

O powstaniu w województwie Kaliskiem nie wiele mam do powiedzenia. Wojewódzkim cywilnym był ks. kanonik Cent, proboszcz z Sulejowa a komisarzem Gustaw Wasilewski, były student uniwersytetu Kijowskiego, a potem szkoły w Cuneo, energiczny i bardzo zapalony patryota, 23-letni młodzieniec. Wiemy także, że na to województwo Komitet Centralny nie przeznaczył naczelnika wojskowego, bo nie miał kandydata. Staranie się o oficerów pozostawiono komisarzowi. Znalazł on chętnych między oficerami moskiewskimi, należącymi do spisku wojskowego, a mianowicie: Grekowicza, Rakowskiego, Udymowskiego i Francewicza. Najdzielniejszym z nich był Grekowicz, porucznik czy kapitan piechoty. Przed wybuchem uradzili oni wraz z Wasilewskim plan działania, mianowicie: mieli uderzyć na Piotrków, a w razie powodzenia, pójść do Radomska, i rosnąc w siły, uderzyć na Częstochowę. W ostatniej zaś chwili, po bliższem zastanowieniu się i rozpatrzeniu w Piotrkowie, wojskowi ci przyszli do przekonania, że o owładnięciu tem miastem wobec stosunkowo silnej załogi, myśleć nie można. Postanowiono zatem zacząć od Radomska. Lecz i to się nie udało przez zdradę; Moskale dowiedzieli się o zamiarze powstańców i urządzili zasadzkę. Nawet bójki nie było, tylko aresztowano kilkudziesięciu ludzi. Z owych czterech oficerów tylko jeden Grekowicz ocalał. Udymowski sam się oddał w ręce Moskali, Francewicz i Rakowski zostali potem pojmani i wszyscy trzej zostali rozstrzelani w Piotrkowie. W środkowych i południowych okolicach województwa ruch powstańczy obudził się dopiero około 10. lutego. W okolicach Łodzi sformował się oddział Dworzaczka, o którego losach mówiłem już wyżej. W okolicy Złoczewa[57]) sformował oddział Oxiński, były uczeń szkoły w Cuneo, który posunął się stamtąd aż pod Kalisz do Opatówka[58]). Cel tego marszu niewiadomy; był bowiem Oxiński za słaby, żeby mógł się pokusić o zdobycie Kalisza. Obudził jednak czujność Moskali, którzy rzeczywiście wyruszyli przeciwko niemu. Oxiński cofnął się ku Brzeźnickim lasom[59]), gdzie 26. lutego stoczył

---

[57]) Złoczew, osada miejska nad rzeką Oleśnicą, pow. sieradzki. (P. R.)

[58]) Opatówek, osada miejska nad rzeką Pokrzywnicą, pow. kaliski, odl. 9 wiorst od Kalisza. (P. R.)

[59]) Brzeźnica, osada nad rzeką Pichną, pow. noworadomski. (P. R.)

potyczkę pod Kuźnicą Grabowską[60]), po której rzucił się nagle na południe w te same okolice, gdzie się sformował.

Na Kujawach w pierwszych dniach lutego formował oddział w okolicy Żychlina[61]), Kazimierz Mielęcki, ziemianin, właściciel Nowej wsi[62]) pod Wrocławkiem. Nie posiadał on żadnych specyalnych wiadomości wojskowych, lecz był gorącym patryotą, posiadał wielką odwagę i determinacyę i pewien zmysł wojskowy. Na polu działania widzimy go pierwszy raz w Przedczu[63]), gdzie zabrał 10. ludzi pozostawionych przez Moskali dla strzeżenia magazynu, a wraz z nimi znaczną ilość zapasów, w magazynach się znajdujących. Stamtąd pomaszerował na północ ku Izbicy[64]) i rozłożył się obozem we wsi Ciepliny[65]). Tu przyjął bitwę 10. lutego, a oddział jego chrzest bojowy. Odparłszy skutecznie ataki nieprzyjaciela, poszedł do Ossowa[66]), a po krótkim tu postoju postanowił dla ostatecznego skompletowania i sformowania oddziału przenieść się w wielkie lasy Lubstowskie[67]), bliżej granicy Księstwa Poznańskiego. Po drodze w miasteczku Kole ogłosił Rząd Narodowy, zabrał kasę powiatową i 17. lutego stanął pod Lubstowem.

Tego samego dnia, jak wiemy, generał Mierosławski stanął w Krzywosądzu i stąd zawezwał Mielęckiego do połączenia się. Połączenie nastąpiło 20. lutego w Płowcach[68]), potem nastąpił Trojaczek[69]) i wreszcie Nowawieś[70]). Po przegranej tu pod dowództwem Mierosławskiego bitwie, część mała oddziału przeprawiła się przez Gopło do Księstwa, a reszta cofnęła się do Kazimierza. Mierosławski wyjechał za granicę, a Mielęcki z pod Kazimierza wrócił znowu w lasy Ossowskie, gdzie parę dni pozostał dla odpoczynku i uporządkowania oddziału. Tu dowiedział się

---

60) Kuźnica Grabowska nad rzeką Łużycą, kol. i folw., pow. wieluński. (P. R.)

61) Żychlin, wieś i folw., pow. koniński, gm. Staremiasto. (P. R.)

62) W pow. włocławskim są aż cztery wsi tej nazwy — o której tu mowa, niewiadomo. (P. R.)

63) Przedecz, osada miejska, pow. włocławski. (P. R.)

64) Izbica, osada, pow. kolski. (P. R.)

65) Ciepliny, wieś, pow. kolski, gm. Izbica. (P. R.)

66) Ossowo, wieś i folw., nad rzeką Chodeczką, pow. włocławski, gm. Piaski. (P. R.)

67) Lubstów, wieś i folw., pow. kolski, gm. Sompolno, 20 wiorst od Koła. (P. R.)

68) Płowce, wieś, pow. nieszawski, gm. Osięciny. (P. R.)

69) Trojaczek, kol., pow. nieszawski, gm. Piotrków. (P. R.)

70) O której mowa, niewiadomo. (P. R.)

o mającym wejść do Królestwa oddziale pomocniczym pod dowództwem Garczyńskiego; podążył więc ku granicy Księstwa i w Gosławicach[71]), gdzie stanął 27. lub 28. lutego, rozłożył się obozem.

W województwie Mazowieckiem w ostatnich dniach stycznia Władysław Strojnowski, właściciel Głuchówki[72]) w Rawskiem, były oficer moskiewski, zaczął formować oddział w lasach Bolimowskich[73]), miejscowości zwanej Grabina[74]). W tych bardzo wielkich lasach Strojnowski mógł doskonale przez kilka dni siedzieć i organizować się. Z obozu czynił małe wycieczki; w Bolimowie ogłosił Rząd Narodowy; w Łyszkowicach[75]) zabrał kasę księstwa Łowickiego. Moskale wreszcie dowiedzieli się o tym oddziale i urządzili nań wyprawę z Łowicza i ze Skierniewic. Dnia 9. lutego uderzyli na obóz w Grabinie, obóz zdobyli, lecz Strojnowski z częścią oddziału zręcznie się wymknął w kierunku Rawy. Jakie były losy oddziału i dowódcy nie wiem.

O bitwie i zajęciu Rawy d. 4. lutego, wspominałem już pobieżnie wyżej, opisując podróż moją z Kutna do Langiewicza. Zajęcia Rawy dokonał rzeczywiście Jeziorański Antoni, o czem wysłał szumny raport do Warszawy. Komisya wykonawcza pod wpływem tego raportu mianowała go za ten czyn pułkownikiem.

Nie myślę odbierać zasługi Jeziorańskiemu, ale muszę ją troszkę zredukować, powołując się na to, co już wyżej w tym przedmiocie pisałem. Antoni Jeziorański, były oficer powstania węgierskiego, był człowiekiem nadzwyczaj ambitnym, zarozumiałym, chciwym władzy i o nią zazdrosnym, a przytem wielkim intrygantem. Miał on pewne zdolności wojskowe, miał pewną rzutność i łatwość oryentowania się w sytuacyi. Zajęcie Rawy, miasta powiatowego, tak niedaleko od Warszawy położonego, było niemal pierwszym wypadkiem z początku powstania, mającym poważniejszy charakter. Jeziorański w raporcie swoim, napisanym buńczucznie i z wielką przechwałką, przedstawił to zajęcie jako wielką bitwę. Nic też dziwnego, że Rząd Narodowy, a raczej Komisya wykonawcza, pod wrażeniem raportu i chcąc nadać temu jeszcze

[71]) Gosławice, wieś, pow. nieszawski, gm. Sędzin. (P. R.)

[72]) Głuchówek, wieś i folw., pow. rawski, gm. Regnów. (P. R.)

[73]) Bolimów, osada, nad rzeką Rawką, pow. łowicki. (P. R.)

[74]) Grabina duża i mała, dwie wsi, pow. łowicki, gm. Bolimów — Przyborowski D. 1863 r. I. str. 248. błędnie Grabie. (P. R.)

[75]) Łyszkowice, kol. i wieś, pow. łowicki, odl. 13—15 wiorst od Łowicza. Przyborowski l. c. I. str. 248 mylnie Łyskowice. (P. R.)

większy rozgłos i podnieść ważność wypadku, mianowała Jeziorańskiego pułkownikiem. Z tego, co już wyżej pisałem wynika, że zajęcie Rawy nie było w istocie samej wielkim czynem i z niewielką przyszło trudnością. 1. lutego Moskale tak pośpiesznie opuścili Rawę, że nawet magazyny zostawili pod nieliczną obroną inwalidów i 2. lutego, gdym przejeżdżał przez Rawę, oprócz tychże inwalidów nie było ani jednego Moskala. Dopiero nazajutrz przyszła sotnia kozaków dla zabrania magazynu; oddział stojący pod Rawą w Cielądzu, a był to istotnie odział Jeziorańskiego, stał zupełnie spokojny i bezpieczny i mógł łatwo Rawę zająć. Dlaczego nie zrobił tego teraz, a dopiero w dwa dni później, nie wiem. Istotnie jednak 4. lutego uderzył, tych 100 kozaków przepędził i zabrał z magazynów, co się wziąść dało. Oddział Jeziorańskiego liczył do 400. ludzi, jak mnie Bayer, dowodzący kawaleryą, objaśnił i był dobrze uzbrojony. Nie było więc bardzo trudnem przepędzenie sotni kozaków.

Jeziorański na drugi dzień, 5. lutego, opuścił Rawę i poszedł do Lubochni[76]), gdzie się zatrzymał. Dowiedziawszy się o nadciągających od Tomaszowa Rawskiego Moskalach, zrobił zasadzkę, przetrzepał ich trochę i pomaszerował do Studziannej[77]), gdzie przybył 10. lutego. Tu pozostawał kilka dni i wzmocnił się przybyłym i rozmaitymi drobnymi oddziałkami: przybył mianowicie Józef Leniecki[78]) z częścią rozprószonego oddziału Strojnowskiego. Łakniński[79]), który, jak już wyżej mówiłem, stał w początkach lutego w Opocznie i tam jakiś czas trzymał u siebie Awejdego i Majkowskiego, teraz po rozpuszczeniu, z małą tylko cząstką swego oddziału połączył się z Jeziorańskim i przyprowadził mu dwie armatki i śmigownicę żelazną. Zwiększony tak oddział liczył teraz do 1000 ludzi, wcale dobrze uzbrojonych. W Studziannej Jeziorański nie chciał przyjmować bitwy; to też, gdy powziął wiadomość o zbliżającym się z dwu stron nieprzyjacielu, opuścił 17. lutego obóz i pomaszerował w Kieleckie. Tu znowu zatrzymał się d. 17. lutego w dużej wsi Radkowicach[80],) oddalonej ze dwie mile w kierunku wschodnio-południowym od miasta Secemina[81]). Tu przyłączyli

---

[76]) Lubochnia, wieś, folw. i osada, pow. rawski. (P. R.)

[77]) Studzianna, wieś i folw. w pobliżu Pilicy, pow. opoczyński. (P. R.)

[78]) U Przyborowskiego D. 1863 r. I. str. 452 Lewiecki. (P. R.)

[79]) U Zielińskiego (S. b. i p.) Łakiński Józef, toż u Przyborowskiego D. 1863 r. I. str. 452. (P. R.)

[80]) Radkowice, wieś, pow. kielecki, gm. Korzecko — Przyborowski D. 1863 r. I. str. 454 mylnie zwie ją Radkowem. (P. R.)

[81]) Secemin, osada miejska, pow. włoszczowski. (P. R.)

się znowu do niego rozbitki z pod Miechowa pod dowództwem Nowaka, ze dwieście ludzi liczący. Tu także powziął wiadomość, że Langiewicz maszeruje do Małogoszczy, więc zaraz, 20. lutego wyszedł z Radkowic i nazajutrz 21. lutego stanął w Ropocicach[82]), wsi o milkę od Małogoszczy odległej. Tego samego dnia Langiewicz stanął w Małogoszczy.

Tak więc dwaj dowódcy, którzy wzajemnie pragnęli połączenia się, zbliżyli się do siebie. Jeziorański w swej wysokiej ambicyi i chciwości szerokiej władzy pragnął połączyć się z Langiewiczem w przekonaniu, że obejmie władzę nad obydwoma oddziałami. Langiewicz przeciwnie, chciał połączenia dla porozumienia się i wspólnego działania. Cele więc obu tych wodzów pod względem moralnym były rozbieżne, a następstwem tej rozbieżności była zawsze pewna niechęć płynąca z podrażnionej ambicyi Jezioraúskiego z jego charakteru skłonnego do intryg i skrytego działania, gdy Langiewicz był szczerym i otwartym. Nie mógł być podkomendnym Jezioraúskiego, gdyż ten był tylko pułkownikiem, a Langiewicz generałem i naczelnikiem dwu województw, Sandomierskiego i Krakowskiego. Nadto przez sam fakt, że znalazł się w obrębie władzy wojskowej Langiewicza, musiał się Jeziorański poddać pod jego komendę. Jeziorański jednak o nowej nominacyi Langiewicza nie wiedział, gdyż, jak mówiłem, doszła ona do Langiewicza dopiero w Małogoszczy.

Siły powstańcze, które te kilkadziesiąt oddziałów, w całym kraju działających, zasilały, składały się prawie wyłącznie z ludności miejskiej rozmaitych stanów i zawodów, słabo ze sfer ziemiańskich młodszych, z oficyalistów wiejskich, służby folwarcznej i leśnej; w jednem tylko województwie Podlaskiem prawie masowo szła do powstania ludność wiejska: drobna zaściankowa szlachta i dosyć licznie i chłopi. Jakże się zachowała wobec powstania rdzenna ludność wiejska, chłopi? Wiemy, że Komitet Centralny wielką wagę przykładał do ogłoszonego powszechnego uwłaszczenia włościan, sądząc, że to pociągnie masy włościańskie i zjedna je dla sprawy powstania. Nadzieja ta jednak zupełnie zawiodła. Oddziały, którym powierzono misyę ogłaszania dekretów Rządu Narodowego, spełniały to zadanie, lecz bez żadnego prawie skutku. Jedni przyjmowali tę wiadomość z zupełną nieufnością i niewiarą, inni przyjmowali ją z powątpiewaniem w dotrzymanie tych obietnic,

[82]) Ropocice, wieś i folw., pow. włoszczowski, gm. Secemin. (P. R.)

„jak to już dawniej bywało“, życzyli powstaniu powodzenia, ale nie chcieli się mieszać do niczego, wyczekiwali; przeważnie lud wiejski zachowywał się zupełnie obojętnie. Niestety były jednak miejscowości, gdzie lud wiejski zajął wprost nieprzyjazne względem powstania stanowisko. Tworzył z własnej woli straże wiejskie, jak w Kurowie Sandomierskim, gdzie mnie zatrzymano w podróży powrotnej ze Staszowa do Warszawy. Zatrzymywały one i aresztowały przejezdnych. Chłopi napadali i chwytali uzbrojonych powstańców, a nawet podejrzanych tylko i oddawali władzom wojskowym moskiewskim. Wypadki takie zdarzały się w Lubelskiem, w Krasnostawskiem; były także i w Sandomierskiem i innych, choć nielicznych miejscowościach. Zdarzały się nawet tam, gdzie powstanie było względnie silne. W Sandomierskiem, w Miechowskiem wzburzenie chłopów było tak silne, że obawiano się napadów na dwory. W Opoczyńskiem w kilkudziesięciu wsiach pojawił się taki niebezpieczny ruch chłopski przeciwko dworom. W wielu miejscach okazywali chłopi nawet dzikie instynkta w dobijaniu po bitwie rannych i obdzieraniu trupów, jak po bitwie Krzywosądzkiej na Kujawach i w Miechowskiem, po opuszczeniu przez Kurowskiego obozu w Ojcowie. Były jednak wypadki, choć niestety rzadkie, że wsie przyjmowały powstańców życzliwie i przyjaźnie, jak w Radkowicach, gdy tam stanął Jeziorański. Zdarzało się też, że gdy oddział pokazał się we wsi, młodzież wiejska i parobcy przyłączali się do niego.

Do nieprzyjaznego występowania chłopów przeciwko powstaniu przyczyniali się bardzo silnie wojenni naczelnicy moskiewscy, którzy sami do tego zachęcali i podburzali lud wiejski. Rządowi moskiewskiemu to stanowisko ludu wiejskiego, choć tak sporadycznie i wyjątkowo objawiające się nieprzyjaźnie dla powstania, było bardzo dogodnem; postanowił też nawet wyzyskać je dla swego celu tłumienia powstania. D. 6. marca wydał rozporządzenie do wszystkich naczelników wojskowych, aby po wsiach organizowano gminne straże gromadzkie i polecono tymże czuwać nad wszystkiemi osobami czasowo lub w przejeździe w gminie przebywającemi, aby każdego powstańca lub podejrzanego aresztowały i najbliższym władzom wojskowym oddawały. Rząd moskiewski spodziewał się, że z organizacyi policyjnej chłopskiej będzie miał wielką korzyść w uśmierzeniu buntu. Chłopi jednak, którzy, jak można sądzić z tego, co wyżej mówiłem, z małymi wyjątkami nie byli stanowczo nieprzyjaźnie dla powstania uspo-

sobieni, lecz wyczekująco obojętni, niechętnie rozkazy te wypełniali. I tak, jak nieprzyjazne ich przeciw powstaniu wystąpienia były rzadkie i sporadyczne, takiem też było i wypełnianie tego moskiewskiego rozkazu.

Władze wojskowe narodowe ze swej strony stosowały kary na tych, którzy je wypełniali, więc owe straże chłopskie zupełnie z czasem działać przestały. Rozporządzenie rządu moskiewskiego z d. 6. marca z powodu niechęci ludu wiejskiego nie przyniosło mu spodziewanych korzyści, a w sferach polskich wywołało zaniepokojenie i oburzenie, które znalazło swój wyraz w gremialnem d. 10. marca podaniu się do dymisyi wszystkich niezależnych, polskich członków Rady Stanu. Motywem tego kroku było to, że rząd tak ważne i tak doniosłego znaczenia postanowienie wydał bez żadnej ingerencyi Rady Stanu. Ten fakt ogłoszony został w „Dzienniku Warszawskim“ d. 17. marca. Ks. arcybiskup Feliński, który ze swego urzędu był członkiem Rady Stanu, wahał się z początku, lecz ostatecznie wniósł także podanie o dymisyę; przez pomyłkę podanie to zaadresował do Rady administracyjnej, a sekretarz tej Rady, Enoch, poszedł z tem do namiestnika, jako prezesa rady. Namiestnik usiłował wpłynąć na arcybiskupa, żeby pozostał i wymógł to, że arcybiskup podanie cofnął.

Zdarzyło się, że jednocześnie, gdy w parlamencie francuskim książę Napoleon, brat cesarski, w dyskusyi w sprawie polskiej, mówiąc o położeniu w Królestwie, przedstawiał, że stosunki są tam tak naprężone, że nawet członkowie Rady Stanu, a pomiędzy nimi arcybiskup Feliński, podali swoje dymisye, dzienniki tego samego dnia podały wiadomość z Warszawy, że arcybiskup Feliński podanie o dymisyę cofnął.

Te dwie wiadomości, wykazujące taką chwiejność i to w tak ważnej sprawie najwyższego dygnitarza kościoła w Królestwie, mocno dotknęły arcybiskupa. Postanowił też w sposób jasny określić swoje stanowisko tak w stosunku do rządu, jak i do sprawy narodowej, a drogę do tego celu uznał za najlepszą dania wyrazu swych przekonań w liście do cara[83]). List ten wręczył osobiście W. Księciu z prośbą o przesłanie go cesarzowi. W tydzień dopiero otrzymał wezwanie do W. Księcia po odpowiedź. Książę przyjął go sucho i zwracając mu list, rzekł: „Pojmujesz pasterzu, że tego

[83]) List ten, noszący datę 15. marca, wydrukował w oryginale francuskim Przyborowski H. D. L. V. str. 474—475. Polskie zaś tłumaczenie w „W. M. do H. P.“ I. str. 44—45. (P. R.)

posłać cesarzowi ja nie mogę". — „A więc" — odrzekł arcybiskup — „pozostaje mi tylko list ogłosić w gazetach, albo ponowić prośbę o dymisyę". W. Książę przyjął teraz podanie o dymisyę i ta ogłoszoną została w „Dzienniku" d. 31. marca. Wypadek tu opowiedziany, był początkiem sprawy arcybiskupa Felińskiego, której epilog miał nastąpić dopiero w dwa miesiące *).

Wrogie występowanie włościan przeciwko powstaniu objawiało się bardzo wyjątkowo. Włościanie nie wierzyli, że obiecane w dekrecie Rządu Narodowego uwłaszczenie jest szczere i będzie wykonanem. Niewiara ta miała podstawę w przeszłości. Przypomnijmy sobie przemowę włościan na owej uczcie dla nich po pogrzebie arcybiskupa Fijałkowskiego w r. 1861.

I teraz ta niewiara w dotrzymanie tego, co dekret Rządu Narodowego obwieszczał, objawiała się, jak to sam słyszałem z ust rozmawiających poufnie włościan w Brzozy, w podróży mojej do Langiewicza. Włościanie czekali, a czekali na co? Czekali na to, co też zrobią ci, którzy byli posiadaczami, właścicielami tej ziemi, która z mocy dekretu mała teraz stać się ich własnością. Dekret Rządu Narodowego nie wkładał na właścicieli dóbr obowiązku oddania włościanom zaraz tej ziemi, mówił tylko, że indemnizacyę otrzymają z funduszów narodowych za pośrednictwem długu państwa. Wprawdzie podczas dyskusyi w Komitecie Centralnym nad dekretem uwłaszczenia podniesioną była myśl, żeby w tym samym

---

*) Autor „Dziejów r. 1863" opisuje ten cały wypadek w tomie I. przy końcu rozdziału III. (str. 363—366). Ciekawe i charakterystyczne jest opowiadanie tego autora. Przebija z niego ta sama tendencya potępiania całego ruchu polskiego, która mu była przewodnikiem w jego „Historyi dwóch lat". Podnosi przytem znaczenie i prawie że dobrodziejstwo i zbawienie dla Polski programu i pracy margrabiego Wielopolskiego. Na str. wreszcie 366 pisze tak: „Tak więc padał częściowo w ruinę budynek tak mozolnie wznoszony przez Wielopolskiego i rozsypywała się w gruzy krwawe sama ojczyzna. Podanie się Rady stanu do dymisyi, mówiło głośno i manifestacyjnie przed światem, że najumiarkowańsze żywioły w Polsce odsuwają się od margrabiego i jego rządów, że on całkiem jest osamotniony. Był to niewątpliwie najcięższy, najdotkliwszy cios, jaki zadały ręce polskie jego systemowi, co mniejsza, ale własnej ojczyźnie, co już nigdy wybaczonem być nie może". Zapomniał autor, że najcięższym ciosem, zadanym ojczyźnie, było samo zjawienie się margrabiego na politycznej arenie polskiej i narzucenie się jego narodowi na przodownika i kierownika narodowej nawy pod egidą moskiewskiego rządu. Śmieszne są wprost łzy, jakie zaraz potem wylewa nad tem, że wraz z tą dymisyą znikły majaki Wielko Książęce (o polskiej koronie) — „marzenia niestety! bardzo zbawienne dla tej nieszczęśliwej Polski, gdyby mogły być urzeczywistnionemi". Arcybiskupowi nie szczędzi zarzutów w jego postępowaniu i na str. 362 rzuca anatemę w słowach: „Tak się skończyła ta brzemienna w najzgubniejsze następstwa rozmowa, taką miał historyę ten cios, zadany własnej ojczyźnie przez człowieka niewątpliwie kochającego ją gorąco, przez najzacniejszą, najbardziej entuzyastyczną duszę, ale oszołomioną niezdrowemi wyziewami chwili".

dekrecie włożyć na właścicieli ziemskich obowiązek zastosowania się zaraz do dekretu, ale myśl ta upadła, bo nie chcieliśmy tym przymusem wywołać tak możliwego oporu, jak i zamieszania ekonomicznego, które w połączeniu z zamieszaniem przez samo powstanie spowodowanem, mogło zaszkodzić i osłabić samo powstanie. Woleliśmy to pozostawić dobrej woli i patryotyzmowi samych właścicieli. Mogliśmy się bowiem spodziewać, opierając się na zapale, z jakim znaczna większość członków Towarzystwa rolniczego powzięła uchwałę, uznającą uwłaszczenie włościan za potrzebę kraju na owem pamiętnem zebraniu ogólnem w d. 24. lutego, że sami dobrowolnie teraz zastosują się do dekretu Rządu Narodowego. Tymczasem i tu doznaliśmy zawodu, bo jak teraz w początku powstania, tak i później rzadko można było słyszeć o takiem dobrowolnem zrzeczeniu się praw własności na korzyść włościan.

Czyny takie, choćby nie ogólne, ale w znacznej ilości objawiane, byłyby może przekonały włościan o dobrej woli i szczerości tak Rządu Narodowego, ogłaszającego dekret, jak i właścicieli ziemskich; usunęłyby niedowierzania i wątpliwości i skłoniłyby włościan do wzięcia czynnego udziału w powstaniu. Nie śmiem twierdzić i nie posądzam znacznej większości obywateli ziemskich o brak patryotyzmu, wolę raczej przypisać to niewierze w powodzenie powstania, obawie poniesienia ciężkiej ofiary materyalnej, jak i obawie przed prześladowaniem moskiewskiem. Jakiekolwiekbądź zresztą były przyczyny, które wstrzymały obywateli ziemskich od tego patryotycznego czynu, wyszły one na szkodę powstania i ich samych. Powstanie w takich warunkach rozwijać się nie mogło, bo nie było ogólno narodowem, bo paromilionowa rdzenna ludność wiejska nie wzięła w niem udziału, nie wsparła „swemi plecy“. Obywatele ziemscy nie uniknęli ciężkiego prześladowania, bardzo ciężkich ofiar pieniężnych w postaci różnych kar i kontrybucyi, a wreszcie musieli się poddać moskiewskiemu nakazowi uwłaszczenia.

Rząd moskiewski tak w Warszawie, jak i w Petersburgu, zapatrując się na powstanie przez okulary Wielopolskiego, uważał je także za chwilową zamieszkę, wynikłą z poboru. Margrabia cieszył się, „że wrzód pękł“, że z łatwością przyjdzie przywrócić spokój. Władze wojskowe, chcąc zapewne drobne oddziały wojska, rozlokowane po małych nawet miasteczkach, ochronić od możliwego napadu oddziałów powstańczych, nakazały d. 23. stycznia koncentracyę do miast większych powiatowych i innych wedle ich

strategicznego położenia. Rozkaz ten wykonano i już 1. lutego był skończony. Przez ten ruch wojska moskiewskiego znaczne części kraju były oswobodzone, była więc możność rozwijania i organizowania sił powstańczych, brak jednak broni i dowódców stanął temu na przeszkodzie. D. 24. stycznia z rozkazu W. Ks. Konstantego zaprowadzono znowu, zniesiony już prawie w grudniu, stan wojenny w całem Królestwie ze wszystkiemi jego prawami; ustanowiono sądy wojenne, a głównym naczelnikom wojskowym w Warszawie, Płocku, Lublinie, Radomiu i Kaliszu przyznano prawa zatwierdzania wyroków tychże sądów.

Car d. 25. stycznia w Petersburgu, korzystając z przeglądu Izmajłowskiego pułku gwardyi, wypowiedział do oficerów mowę o wypadkach w Polsce, o tworzących się „bandach powstańczych", o rzekomo strasznych okrucieństwach, jakich bandy te miały się dopuszczać. Raczył jednak dodać, że z powodu owych czynów nie chce obwiniać całego narodu polskiego, że obarcza tylko niemi stronnictwo rewolucyjne, dążące do wywołania zamętu w całej Europie. Wspomniał tylko o zdradzie, jakiej się wielu oficerów dopuściło, przechodząc do szeregów powstańczych; wyraził jednak przekonanie, że te pojedyńcze wypadki nie zachwieją wiary, jaką ma do oficerów, że obowiązki swoje spełnią z całem poświęceniem, jak tego wymaga honor sztandaru, pod którym służą. Tego samego dnia car wydał rozkaz, aby schwytanych z bronią w ręku powstańców oddawać pod sąd polowy.

Jeżeli wogóle w nocy wybuchu powstańcy mieli się jakoby dopuszczać okrucieństw, choć tych w ścisłem znaczeniu tego wyrazu nie było wcale, bo w tej pierwszej walce ginęli tak samo Moskale, jak i Polacy, to jakże trzeba nazwać te wszystkie czyny, wyuzdanego barbarzyństwa, jakich od pierwszych chwil dopuszczały się wojska moskiewskie. Jakże nazwać to palenie miast całych, znęcanie się i mordowanie spokojnych i zupełnie nic niewinnych mieszkańców, rabowanie ich mienia, dobijanie rannych, obdzieranie trupów, mordowanie lekarzy i księży, niosących pomoc na pobojowisku, to napadanie na dwory połączone z grabieżą, rabunkiem i mordem. Car oskarżał powstańców, że dopuszczali się niesłychanych okrucieństw, a gdy potem z powodu tych rzeczywistych okrucieństw, mordów i rabunków, dokonywanych przez wojska moskiewskie, niektóre rządy europejskie w drodze dyplomatycznej wytykały takie postępowanie rządowi moskiewskiemu, to on wyrażał wprawdzie nad tem ubolewanie, ale zarazem

uniewinniał, tłumacząc, że to są zwykłe, naturalne następstwa walki. Czy cynizm i bezwstyd rządu moskiewskiego mógł być dalej posunięty?

D. 27. stycznia car rozkazał zaprowadzić stan wojenny w guberniach litewskich, graniczących z Królestwem i tu, w razie ukazania się „band powstańczych", ujętych z bronią w ręku, oddawać je sądom polowym. I tu zaraz widzieliśmy, jak te sądy wojenne rozumiał i wykonywał Maniukin, paląc i rabując Siemiatycze i okoliczne wsie i dwory.

Wiemy, że oddziały powstańcze zabierały rozmaite kasy z komór celnych, z miast i miasteczek. Rząd moskiewski, chcąc uniemożliwić taki zabór kas przez powstańców, rozkazem W. Ks. Konstantego z d. 15. lutego i Rady administracyjnej z d. 20. lutego, polecił komendantom wojskowych oddziałów zabierać pieniądze z kas opuszczanych przez siebie miejscowości. Polecono nadto kasom rządowym prowincyonalnym z powodu przerwanych komunikacyi i niebezpieczeństwa przesyłania pieniędzy pocztą, aby wypłacały naczelnikom wojennym gubernialnym po 20 tysięcy rubli na potrzeby wojska, a nawet dozwolono komendantom rozmaitych oddziałów moskiewskich czerpać z kas rządowych wogóle, wiele zapotrzebują. Temi poleceniami rząd moskiewski opatentował i usankcyonował kradzież i rabunek, których najbezczelniej dopuszczali się owi komendanci i pod pozorem potrzeb wojska, napychali własne kieszenie*).

Komisya Skarbu Królestwa, powodowana także względem ochronienia funduszu krajowego od rabunku, rzekomo przez powstańców, kazała reskryptem z d. 5. lutego wstrzymać pobór podatków. Wszystkie te rozporządzenia zebrane razem, już w końcu lutego doprowadziły skarb Królestwa niemal do bankructwa.

Opinia publiczna w Rosyi, gdzie powiew wolnościowy, acz słabo, ale istniał jeszcze, w pierwszej chwili, podobnie jak i rząd, uważała ruch w Królestwie za opór wynikły z prowokacyjnego poboru Wielopolskiego. I nawet, gdy powstanie rozwijać się zaczęło, opinia ta nie była mu nieprzyjazną. Dopiero później dzienniki rządowe i Katków przez swoje artykuły w „Moskiewskich Wiedomostiach" rozpaliły ogólną nienawiść do Polaków.

*) Późniejsze obliczenia wykazały, że kwoty zrabowane przez komendantów moskiewskich wynosiły blizko trzy razy więcej, niż to, co zabrali powstańcy. To, co zabrali powstańcy, nie było jednak bezwzględnie zmarnowanem, bo użytem zostało na potrzeby powstania. Gdy przeciwnie pieniądze, zrabowane przez tych opatentowanych opryszków i prawdziwych rozbójników, stały się ich osobistym łupem.

Galicya i W. Ks. Poznańskie nie od razu w chwili wybuchu powstania w Królestwie odpowiedziały zadaniom, których Komitet Centralny od nich oczekiwał. Komitet Centralny o oznaczonym terminie powstania nie uwiadomił władz organizacyjnych, w obu tych prowincyach działających, bo potrzeba tajemnicy absolutnie tego wymagała. Nawet wojskowi w Królestwie dopiero w ostatniej chwili zostali powiadomieni. Obie te prowincye, pozostając same w zupełnym spokoju, miały tylko nieść powstaniu pomoc w ludziach, broni i pieniądzach. Przyśpieszony termin i wybuch powstania wywołał też tam silną konsternacyę, szczególniej w Galicyi. Organizacyą Galicyi kierowała Rada Naczelna Galicyjska przez dwa oddzielne organa: Ławę krakowską dla Galicyi zachodniej i Ławę lwowską dla Galicyi wschodniej. Rada Naczelna i obie Ławy były zaskoczone wybuchem powstania. Ława krakowska pod tem wrażeniem była tak skonsternowana, że się rozwiązała, a Rada Naczelna była zmuszona powołać innych ludzi. Konsternacya ta spowodowała zupełną bezczynność. Nie umiano zdać sobie sprawy, czy ruch w Królestwie jest istotnie powstaniem, czy też tylko zbrojnym oporem, spowodowanym rekrutacyą. W tem ostatniem mniemaniu podtrzymywały je korespondencye z Warszawy, które „Czas“ krakowski tak skwapliwie podawał. Młodzież galicyjska, gorętsza, rwała się do boju, lecz Ławy powstrzymywały ją bardzo groźnymi nawet rozkazami, jak odezwa Ławy lwowskiej z d. 2. lutego[84]), w której grożono, że nieposłuszni będą uważani za zdrajców sprawy narodowej. Odezwa znowu d. 5. lutego[85]) zapowiadała, że żadna wyprawa nie może być przedsięwziętą bez wyraźnego rozkazu Ławy.

Głoszenie, że ruch w Królestwie nie jest powstaniem, ale tylko oporem przeciw poborowi, był bardzo na rękę szlachcie galicyjskiej, która podobnie, jak szlachta w Królestwie, była powstaniu niechętna i nietylko wierzyła w jego krótkie trwanie, ale i życzyła sobie tego. Warstwy ziemiańskie w Galicyi grupowały się koło Komitetów dla Galicyi wschodniej i osobnego dla zachodniej. Komitety te zostawały w porozumieniu z Dyrekcyą białą w Warszawie i pod jej wpływem postanowiły, uznając powstanie za ruch narodowy, nie mieszać się jednak do niego i wyczekiwać co z tego wyniknie. Było to właśnie w chwili pierwszych enuncyacyi rządu francuskiego, który potępiał powstanie jako ruch o charakterze re-

[84]) Druk. w W. M. do H. P. III. str. 2—3. n. 4. (P. R.)
[85]) Druk. w W. M. do H. P. III. str. 3. n. 5. (P. R.)

wolucyjnym. Komitety galicyjskie odniosły się do Paryża do ks. Władysława Czartoryskiego, który miał pewne tradycyonalne stosunki z francuską dyplomacyą, żądając bliższych informacyi i otrzymały odpowiedź, że powstanie wywarło fatalny wpływ w Paryżu i że jedynie przez wstrzymanie powstania można uratować sytuacyę. W Paryżu tymczasem zaszła nagła zmiana, spowodowana stanowiskiem Prus, o czem niżej mówić będę i minął zaledwie tydzień, gdy Komitety galicyjskie odebrały d. 16. lutego wprost przeciwne wiadomości od księcia Czartoryskiego, żeby powstanie podtrzymywać i wspierać. Teraz dopiero Komitety te rozpoczęły rzeczywistą pracę pomocniczą.

W W. Ks. Poznańskiem nie było lepiej, ale nawet gorzej, bo tam prawie żadnej organizacyi nie było. Z powodu braku wyższych zakładów naukowych nie było tu ognisk młodzieży, a ster spraw narodowych pozostawał przeważnie w rękach ludzi do sfer szlacheckich należących.

Gdy taki stan sprawy w obu tych prowincyach się przedłużał i czynnej pomocy powstanie nie otrzymywało, Komitet Centralny, a raczej Komisya wykonawcza w jego imieniu, wydała d. 7. lutego odezwę do Polaków w zaborze austryackim i pruskim, wzywającą do wypełnienia obowiązku, niesienia pomocy powstaniu[86]). Odezwa ta, jak i zmiana frontu przez „Czas“, który odtąd mówił już wyraźnie o powstaniu, poskutkowały i organizacye obu prowincyi zaczęły się pilniej krzątać około organizowania pomocy. Skutki tej zmiany widzieliśmy w oddziale Kurowskiego w chwili bitwy Miechowskiej, gdzie była znaczna ilość młodzieży galicyjskiej, przeważnie z Krakowa[87]). Pierwszy zaś oddział sformowany w W. Ks. Poznańskiem przekroczył granicę około 22. lutego.

Rząd austryacki wiedział doskonale, że Rząd Narodowy nie ma najmniejszego zamiaru wywołania powstania w Galicyi i że stamtąd oczekuje tylko pomocy. Wobec ruchu pomocniczego, który się teraz objawił, zachował też postawę obojętną, patrzał na wszystko przez szpary i nie przeszkadzał wcale formowaniu się oddziałów i wychodzeniu młodzieży do Królestwa. W samym początku lutego we Lwowie i w Krakowie ogłosił odezwy ostrzegające, ale czynił to więcej dla formy. Pograniczne posterunki austryackie nie tylko, że przepuszczały swobodnie grupy, udające

[86]) Drukowana w W. M. do H. P. I. str. 43—44. (P. R.)

[87]) Por. Przyborowski D. 1863 r. str. 273 (przy charakterystyce ruchu w zaborze austryjackim). (P. R.)

się do Królestwa, ale nieraz jeszcze im dopomagały i ułatwiały przejście granicy.

Rząd pruski przeciwnie w W. Ks. Poznańskiem zajął odrazu stanowisko nieprzyjazne i całą granicę obstawił wojskiem. D. 1. lutego prezydent prowincyi Poznańskiej kazał rozrzucić po całem Księstwie proklamacyę, w której zawiadamiał mieszkańców o wybuchu w Królestwie rokoszu połączonego z okrucieństwami, których się powstańcy dopuszczali i groził wreszcie wszystkim, którzyby jakąkolwiekbądź pomoc, lub jakikolwiek, choćby pośredni w powstaniu udział wzięli, karami jakby za zdradę stanu. Ta postawa rządu pruskiego utrudniała pomocniczą działalność, z Księstwa płynąć mającą.

O wrażeniu, jakie powstanie polskie w pierwszej chwili wywarło na opinię zagraniczną, a w szczególności na rządy i ich wzajemne dyplomatyczne stosunki, nie wiele mogę powiedzieć. Działania dyplomatyczne rządów, wzajemne udzielanie sobie zapatrywań, wymiana zdań są zwykle do pewnego czasu osłonięte tajemnicą gabinetów, poufnych narad ministrów i ambasadorów, a dostają się do wiadomości publicznej o tyle tylko, o ile ministrowie w swej grze dyplomatycznej uważają to za konieczne przez urzędowe lub półurzędowe gazety. Otóż tylko z tego źródła można się było coś nie coś dowiedzieć. Jakie stanowisko względem powstania zajęły rządy austryacki i pruski, jako bezpośrednio w tem zainteresowane, już mówiłem, pozostaje mi zatem jeszcze mówić o innych rządach, które wypadkami w Polsce tylko pośrednio mogły się zajmować.

Wiemy, że samo postanowienie rządu moskiewskiego o poborze w Królestwie i jego charakterze proskrypcyjnym, wywarło ogromne oburzenie w opinii europejskiej na to „barbarzyństwo moskiewskie“ i sprowadziło gromy na rząd i na osobę margrabiego Wielopolskiego, jako na twórcę tego postanowienia.

Gdy pobór został dokonany i zanim opinia publiczna za granicą mogła się o nim wypowiedzieć, telegramy rozniosły po Europie wiadomość o wybuchłem powstaniu, przedstawiając je, jako opór zbrojny przeciwko odbytej proskrypcyi, jako wynik zbrodni, popełnionej na „nieszczęśliwym narodzie, tak srodze przez barbarzyństwo moskiewskie doświadczanym i uciemiężanym“.

Muszę tu z góry zaznaczyć, że co się tyczy działań dyplomacyi, nie mogę wchodzić w pobudki, przyczyny, plany i kombinacye ga-

binetów, bo te byłyby bądźcobądź memi własnemi kompozycyami. Pisząc pamiętnik podaję tylko fakta, ogólnie znane w danej chwili.

Z rządów europejskich pierwszy zabrał głos rząd francuski, zrazu przez pół urzędowe dzienniki, w których opierając się na dekrecie Rządu Narodowego o uwłaszczeniu, piętnował ruch polski „jako rewolucyjny, a nie narodowy", potępiał go więc i nie wróżył mu długiego powodzenia. W „Monitorze", a więc w organie urzędowym, d. 30. stycznia kazał rząd francuski ogłosić korespondencyę konsula francuskiego w Warszawie. Reprezentant Francyi „potępiał stanowczo ruch zbrojny w Polsce". „Oskarżał kobiety, że to one swym przeważnym wpływem na społeczeństwo wywołały je"; pisał o mowie cara wygłoszonej w Petersburgu do oficerów gwardyi: chwaląc cara za jego „umiarkowane postępowanie z Polakami". Wyrażał opinię, „że garstka młodzieży, która za broń chwyciła, nie zdoła się opierać regularnej armii moskiewskiej[88]).

To nieprzyjazne stanowisko rządu francuskiego względem powstania, jak i wiadomości, nadchodzące z Polski o krwawych bojach początkowych, o rabunkach i paleniu miast przez Moskali, skłoniły przyjaciół Polski w ciele prawodawczem francuskiem do wniesienia do rządu interpelacyi w tej sprawie. Interpelacya miała miejsce d. 5. lutego. Na interpelacyę odpowiedział minister Billaut: „Francya nie straciła dawnej sympatyi dla Polski, lecz sądzi i rząd zarówno z nią sądzi, że autonomia tego kraju więcej mogła się spodziewać od wspaniałomyślnych i liberalnych uczuć obecnego cesarza Rosyi, jak od ruchu powstańczego, którego usiłowania mogą tylko nowe sprowadzić klęski na ten kraj nieszczęśliwy". Rząd francuski w takich warunkach nie może nierozważnemi słowy dawać podniety dążnościom rewolucyjnym[89]).

Rząd angielski zajmował podobne, jak i francuski stanowisko, opierając się na raportach swego konsula w Warszawie. Potem jednak, pod wrażeniem okrucieństw moskiewskich, o których tenże konsul donosił, rząd angielski zmienił swoje zapatrywanie, tak na powstanie, jak i na postępowanie rządu moskiewskiego.

Rządy francuski i angielski przez zajęcie takiego wobec powstania stanowiska, zdawały się uważać tę sprawę za czysto wewnętrzną między Polską a Rosyą, nie wiele ich zresztą obchodzącą.

---

[88]) Por. Koźmian. Rzecz o r. 1863. I. str. 10. (P. R.)

[89]) Por. Przyborowski D. 1863 r. I. str. 257 i Koźmian Rzecz o 1863 r. I. str. 17. (P. R.)

Rząd pruski jednak inaczej się na powstanie w Polsce zapatrywał, uważał je za szczęśliwy przypadek i okoliczność, z której mógł wyciągnąć pewne dla siebie korzyści. Poczyniwszy w W. Ks. Poznańskiem zarządzenia, o których mówiłem, rozpoczął grę dyplomatyczną, która ze sprawy lokalnej, za jaką ją uważały rządy francuski i angielski, zamieniła ją odrazu na sprawę europejską, międzynarodową. Prezesem ministrów pruskich był Bismarck, już wówczas wróg zawzięty Polaków i on też nawiązał ową grę dyplomatyczną, o której mam mówić.

Policya narodowa w Warszawie, której naczelnikiem był Jan Karłowicz, powołany na to stanowisko przez Stefana Bobrowskiego, rozwinęła wielką czujność na wszystkich polach i miała swoich ajentów we wszystkich władzach i dykasteryach moskiewskich. Przez nich wiedziała prawie o wszystkiem, co się w tych sferach działo, miała też swoich ludzi w zarządach i służbie dróg żelaznych. Otóż d. 2. lutego Jan Karłowicz otrzymał doniesienie, że przez Aleksandrowo, stacyę drogi żelaznej warszawsko-bydgoskiej, przejechało dwu panów, zdaje się wojskowych pruskich, którzy istotnie przyjechali do Warszawy; jeden z nich pojechał zaraz dalej koleją do Petersburga, a drugi zatrzymał się w Warszawie i udał się tego dnia do zamku. Bobrowski polecił mieć tego pana na oku.

W parę dni później policya narodowa złożyła inny dowód swej wielkiej czujności. Do Warszawy przyjechali byli z Petersburga niejacy pp. Rosé, francuska para małżeńska. Policya zauważyła, że mają oni także jakieś stosunki z zamkiem; zajęła się więc nimi. Gadatliwy Francuz w jakiemś miejscu publicznem wygadał się w rozmowie, że pozostaje w ścisłych stosunkach z zamkiem, że w tych dniach wraca do Paryża i wiezie ze sobą ważne depesze. Bobrowski, powiadomiony o tem, polecił Karłowiczowi, żeby bądźcobądź depesze te przejął. Tak się też stało. W Aleksandrowie, stacyi granicznej, gdzie zwykle odbywano rewizye, i tych państwa jej poddano. Rewidujący byli naturalnie ajentami policyi narodowej. Rewizya dała plon obfity. U pani Rosé znaleziono zaszyte w krynolinie trzy depesze urzędowe naczelnika kancelaryi dyplomatycznej W. Ks. Konstantego, Tęgoborskiego; dwie były adresowane do barona Budberga, ambasadora moskiewskiego w Paryżu, a jedna do p. Oubrila, takiegoż ambasadora w Berlinie, wszystkie z d. 4. lutego. Oprócz tego dwa listy prywatne W. Księżnej Konstantowej i dwa także prywatne hr. Chreptowicza. Przeproszono grze-

cznie tych państwa za sprawioną im przykrość, pozwolono jechać dalej, a zabrane papiery natychmiast odesłano do Warszawy.

Bobrowski na posiedzeniu Komisyi wykonawczej te korespondencye otworzył i wszystko odczytał. Komisya postanowiła pisma urzędowe przesłać w oryginale do redakcyi „Czasu“ w Krakowie, zaś listy prywatne zamknięto nazad, opieczętowano pieczęcią urzędową Komitetu Centralnego i z dopiskiem, „że wojna zmusiła władze narodowe do popełnienia tej wielkiej niedyskrecyi, za co W. Księżnę najmocniej się przeprasza“ i odesłano do zamku. W zamku fakt ten miał wywołać wielką konsternacyę. W Europie wywołał wielkie wrażenie, bo świadczył o sile i wpływach Rządu Narodowego. „Czas“ dokument ogłosił, powtórzyły go inne pisma zagraniczne i dyplomacya zagraniczna dowiedziała się o jakichś zamierzonych przez Prusy knowaniach, co naturalnie musiało obudzić jej czujność. Tęgoborski w depeszach zawiadamiał ambasadorów w Paryżu i w Berlinie o przyjeździe do Warszawy i Petersburga wysłańców pruskich dla nawiązania z rządem moskiewskim porozumienia w sprawie wspólnie oba rządy tak blizko dotyczącego powstania w Polsce. W depeszy do d'Oubrila pisał: „Uznając całą uprzejmość ich (t. j. Prus) zamiarów nie możemy jednak dostatecznie wytłómaczyć sobie powodów. Niema „periculum in mora“ i nie doszliśmy jeszcze do tego, aby potrzebować pomocy wojskowej; dla nas wystarczy, aby Prusy, o ile można, dokładnie strzegły granicy i nie dozwalały skrywać się na swem terytoryum powstańcom. Z tego wynika, że misya tych trzech panów (tych trzech, co to przez granicę, w Aleksandrowo przejeżdżali) wojskowych za wiele daje znaczenia sprawie, o którą możnaby się było łatwo ułożyć z jednym“[90]). Z tego dyplomacya łatwo mogła wyrozumieć, że Prusom chodziło o ułożenie wspólnego działania wojskowego przeciw powstaniu. Skoro więc Prusy, choć interesowane, ale zawsze obce państwo, chce się wmieszać w sprawę powstania, to sprawa ta przestaje być sprawą lokalną między Rosyą a Polską, a nabiera przez to charakteru międzynarodowego.

Istotnie Bismarckowi chodziło o zbliżenie się do Rosyi w sprawie polskiej i o porozumienie się co do wspólnego działania celem stłumienia powstania. Car okazał się przychylnym temu projektowi i d. 8. lutego została zawarta konwencya między kanclerzem mo-

[90]) Z publikacyi Strusia W. M. do H. P. str. 176 ad 37. (Oryg. francuski u Klaczki. Etudes de diplomatie contemporaine str. 57—58. Zob. Przyborowski D. 1863 r. I. str. 265. nota 1). (P. R.)

skiewskim ks. Gorczakowem i wysłannikiem pruskim jenerałem Alwenslebenem. Konwencya stanowiła: że na żądanie któregokolwiek z wodzów, tak moskiewskich, jak pruskich, albo władz pogranicznych, komendanci wojskowi są obowiązani nieść sobie pomoc wzajemną, a nawet wzajemnie przekraczać granicę dla pościgu. Że do obu sztabów głównych, a nawet korpuśnych, zostaną przydzieleni oficerowie, których obowiązkiem będzie wzajemne udzielanie sobie wiadomości o postanowionych ruchach. Że oba rządy będą sobie wzajemnie udzielać wiadomości politycznych, dotyczących tak W. Ks. Poznańskiego, jak Królestwa Polskiego. W końcu zastrzeżono, że układ ten dopóty będzie obie strony obowiązywać, dopóki stan sprawy będzie tego wymagać i oba rządy uznawać będą tego potrzebę.

Układ ten, jakkolwiek miał być tajemnym, to tajemnica ta nie mogła się długo utrzymać. Czujność dyplomacyi, obudzona przez ogłoszenie listów Tęgoborskiego, musiała dojść prawdy. Rozpoczęła się więc obszerna gra dyplomatyczna między pięcioma wielkiemi mocarstwami: Francyą, Anglią, Austryą, Prusami i Rosyą, która zmusiła Prusy do wyjaśnień i wyznania prawdy. Szczegółów tej akcyi dyplomatycznej przytoczyć nie mogę, była ona tajemnicą gabinetów państw ją prowadzących i wyszły one dopiero później na jaw. Zaznaczam, jak zawsze, że piszę pamiętnik, a nie historyę*).

Owe zarządzenia rządu pruskiego zaraz po wybuchu powstania w W. Ks. Poznańskiem i wieści o układach z Rosyą, nie podobały się znacznej większości sejmu pruskiego, który właśnie w tym czasie obradował. Większość ta była przeciwną Bismarckowi, podejrzywała go bowiem o reakcyjne tendencye. Na posiedzeniu sejmu d. 7. lutego posłowie polscy Kantak, Chłapowski i inni ze stronnictwa postępowego, Niemcy, wnieśli do rządu interpelacyę: „Czy księstwo Poznańskie zostało poddane i od jakiego czasu prawom wyjątkowym? i czy rząd przyjmuje na siebie odpowiedzialność za formę i treść proklamacyi z d. 1. lutego?“ Dopiero 16. lutego rząd, odpowiadając na interpelacyę, pierwszej jej części zaprzeczył, a drugą potwierdził. Bismarck w mowie swej zaznaczył stanowisko rządu wobec powstania, że ruch ten ma na celu odbudowanie państwa polskiego, że cel dotyka bezpośrednio interesów pruskich, bo zagraża całości pruskiego państwa, że rząd ma do-

*) Ciekawi mogą ją znaleść w rozmaitych tak polskich jak i obcych pracach, między innymi w W. M. do H. P. T. V., w dziele „Dzieje roku 1863“ T. I. i w innych publikacyach.

wody, że poczynione są przygotowania do wybuchu powstania na terytoryum pruskiem, że przy lada sposobności może i tu powstanie wybuchnąć, że jakkolwiek rząd liczy na wierność i poczucie porządku większości poddanych, to jednak jest obowiązkiem rządu strzedz spokojną ludność od tego niebezpieczeństwa i dlatego jest zdecydowany, użyć wszelkich ku temu zmierzających środków. Następnie na posiedzeniu d. 18. lutego, dwaj posłowie ze stronnictwa postępowego wnieśli nową interpelacyę: „Czy konwencya została zawarta między rządem królewskim a gabinetem cesarskim w celu stłumienia powstania polskiego? i jeżeli tak jest, to jaka jest osnowa tej konwencyi?“ Bismarck odmówił odpowiedzi na tę interpelacyę. Wywołało to burzę w sejmie i zażądano dyskusyi nad tą odpowiedzią. Poseł Unruh zaznaczył, że Rosya jest zdecydowanym wrogiem Prus, że taka polityka rządu może doprowadzić do nieporozumień z Anglią i Francyą, że rząd stara się o wywołanie zagranicznego konfliktu z zamiarem powrotu do absolutnych rządów w państwie, że na taką politykę rządu izba nie da ani jednego talara. Po odpowiedzi Bismarcka, w której zaprzeczył, aby były wydane jakiekolwiek nadzwyczajne zarządzenia wojskowe, oświadczył, że rządowi chodzi tylko o obronę obywateli pruskich, a bynajmniej nie o Rosyę, że Rosya prowadzi swoją politykę w Polsce, a Prusy prowadzą swoją, mając swoje tylko interesa na widoku, bo Polska, jeżeliby odzyskała niepodległość, nie będzie wiernym sprzymierzeńcem Prus przeciw obcym mocarstwom; nie odda Prusom, ani Poznania, ani Gdańska. Opozycya przedstawiała izbie do przyjęcia rezolucyę tej treści: „Interes Prus wymaga, żeby rząd królewski wobec wybuchłego w Królestwie Polskiem powstania, ani rządowi rosyjskiemu, ani powstańcom żadnej pomocy lub poparcia nie udzielał, a zatem, żeby nie pozwalał żadnej ze stron walczących przekraczać granicy pruskiej bez uprzedniego rozbrojenia“. Nad tą rezolucyą toczyły się dalej rozprawy w d. 26., 27. i 28. lutego. Wszyscy mówcy napadali na rząd i jego politykę i potępiali konwencyę; faktycznemi zdarzeniami dowodzili, że konwencya jest wykonywana, bo oddziały pruskie i moskiewskie w pościgu za powstańcami istotnie przekraczały bez żadnej przeszkody granicę. Debaty, pomimo gwałtownych odpowiedzi Bismarcka, zakończyły się przyjęciem rezolucyi, ogromną większością głosów.

Muszę tu mimochodem wtrącić uwagę o stosunku, jaki w tym czasie panował między izbą i Bismarckiem i tejże izby względem

sprawy polskiej, a jaki się zawiązał w dziewięć lat niespełna potem. Teraz z nieufnością i podejrzliwością traktowano politykę Bismarcka i potępiano ją, a potem Bismarck stał się wyrocznią, przed którą pochylały się głowy nie tylko osób, ale całych Niemiec, a w dwadzieścia lat potem uchwalono Bismarckowi setki milionów na antypolską jego politykę. Bismarck zawsze pozostał ten sam, ale przez ten czas zdołał całe Niemcy ubrać w pikelhauby pruskie, które, jak regularna i posłuszna armia, maszerowały gdzie im kazał.

Konwencya prusko-rosyjska, podnosząc sprawę powstania w Polsce do znaczenia europejskiego, wywarła na rządy interesowane, a szczególniej francuski wpływ w kierunku dodatnim, więcej przychylnym. Rząd francuski zaczął teraz tolerować objawy i demonstracye ludowe na korzyść Polski. D. 12. lutego studenci urządzili owacyę księciu Czartoryskiemu w Paryżu, której policya nie przeszkadzała, a ze strony rządu dano do zrozumienia księciu, że będzie mile widziany na dworze cesarskim. Nie tylko rozmaici dygnitarze, ale i sam cesarz Napoleon, kładli w uszy ks. Czartoryskiemu słowa zachęty i kładli nacisk na wytrwałość. „Starajcie się wytrwać sześć tygodni, a zachęty nie zabraknie“ miał mówić cesarz do generała hr. Władysława Zamojskiego. Były to co prawda czcze słowa, ale dyplomacyi wszystko wolno. Napoleon III. miał może dobre chęci, zachęcając do wytrwania, ale w rezultacie zawiódł położone w nim zaufanie. W pierwszej jednak chwili powstania i aż do miesiąca lipca zachęty Napoleona i zabiegi dyplomatyczne nie miały żadnego wpływu na działanie Rządu Narodowego, który pracując nad wzmocnieniem i rozszerzeniem powstania nie liczył wcale na obcą interwencyę, chciał się opierać na własnej sile narodu. Ale o tem później.

Taki był ogólny stan sprawy powstania z końcem lutego, t. j. w chwili, gdyśmy się znowu w komplecie zebrali w Warszawie. Nie był on takim, jakiego moglibyśmy się spodziewać w chwili, gdyśmy opuszczali Warszawę. Doznaliśmy wielu zawodów. Powstanie w Płockiem nie dopisało. Dyktatura Mierosławskiego, jak dotąd, zrobiła fiasco. Dekret uwłaszczenia ludu wiejskiego, do którego tak wielkie przywiązywaliśmy nadzieje, nie odniósł zupełnie spodziewanego skutku, lud wiejski nie wziął w powstaniu żadnego udziału, pozostał wogóle obojętnym. Nie czuł w powstaniu siły, któraby go pociągała i dawała pewność, że obietnice będą dotrzymane. Nie widział też w tych, którzy byli tej ziemi, którą on

miał posiąść, właścicielami, żadnej chęci poniesienia tej ofiary. Było to bardzo doniosłym i przekonywającym dowodem, że na te masy ludowe, z natury konserwatywne i w uprzedzeniach zatwardziałe, doraźne środki, nawet tak nęcące i pociągające, jak darowanie ziemi, nie wystarczają. Żeby poruszyć te masy trzeba długiej, wytrwałej, systematycznej, miłością dla tego ludu przejętej pracy, któraby poruszyła i ogrzała tlejącą w głębi duszy tego ludu iskierkę miłości ojczyzny, poczucia obywatelskiego i wynikających stąd dla tej ojczyzny obowiązków. Wielka stąd płynęła nauka dla przyszłych pokoleń. Zrozumiało ją społeczeństwo w Królestwie, choć w ciężkich, bardzo ciężkich warunkach, podjęło później tę pracę i z pożytkiem.

Ale i warstwy ziemiańskie, posiadające, zatwardziałe w swych uprzedzeniach kastowych i egoizmie, które zagłuszyły niezaprzeczenie istniejące w ich duszach uczucie miłości ojczyzny, nie chciały zrozumieć, już nie pożytku, ale konieczności poniesienia ofiary dla dobra ojczyzny, której od nich społeczeństwo wymagało, nie okazały nawet chęci i dobrej woli spełnienia tego żądania. Nie chciały te sfery zrozumieć, że w pozycyi zajmowanej utrzymać się nie mogą, że reforma przyjść musi pomimo ich woli, jak już przyszła w obu innych zaborach. I przyszła, ale narzucona przez wroga. Jeżeli praca nad ludem i dla ludu jest obowiązkiem całego społeczeństwa, to sfery ziemiańskie posiadające powinny wejść głęboko w siebie i same nad sobą pracować, żeby się pozbyć tych wad i uprzedzeń, które nawet w zmienionych przez reformy stosunkach przynoszą szkodę nie tylko im samym, ale i ojczyźnie. Uznać włościan za zupełnie równych sobie obywateli, nie we formie, bo już z samego prawa są nimi, ale w duszach własnych i wspólnie z całem społeczeństwem złączyć się w pracy nad dokończeniem dzieła, jak go poeta określił: „z polską szlachtą, polski lud".

Wobec tych zawodów i powstanie samo nie mogło być pomyślnem. Nie otrzymało ono żadnych konkretnych wyników, nie odniosło nigdzie stanowczej nad nieprzyjacielem przewagi; nie opanowało ani jednej miejscowości, w którejby mogło swobodnie się rozwijać i organizować. Była ku temu sposobność w pierwszej połowie lutego, gdy nieprzyjaciel, przeceniając siły wybuchłego powstania, opuścił znaczne przestrzenie kraju i skoncentrował się tylko w większych miastach. Sposobność ta trwała krótko, a oddziały powstańcze były za słabe, zanadto rozprószone, a przytem

brak był broni i zapasów wojennych, a wreszcie i dowódców, żeby można było z tej okoliczności skorzystać.

Oba zabory nie dostarczały też spodziewanej pomocy, szczególniej Galicya, która mając cały pas nadgraniczny, prawie od Sandomierza aż do Sosnowca, zupełnie wolny, nie dawała pomocy ani w broni ani w ludziach. Dopiero w drugiej połowie lutego, gdy się tam przekonano, że ruch nie jest tylko zbrojnym oporem, lecz walką narodową i gdy doszły słowa zachęty z Paryża, rozpoczęto działania pomocnicze.

Kierunek też ogólny powstania nie tylko, że niedomagał, ale był nawet, jak widzieliśmy, spaczony w zasadzie. Rządu właściwego nie było. Cały ciężar prowadzenia sprawy spoczywał na barkach Bobrowskiego. Komisya była mu raczej zawadą. Mógł był wprawdzie Bobrowski rozpędzić Komisyę wykonawczą, jak ją sam władzą swą, przez Komitet Centralny w chwili wyjazdu mu nadaną, stworzył, bo miał po temu siłę i poparcie w całej warszawskiej organizacyi, zupełnie mu posłusznej i oddanej i złożyć Rząd, jakby mu się podobało, lecz nie chciał się uciekać do tego rodzaju zamachu, by tem nie osłabić idei władzy, bo ta, jeżeli istniała i utrzymywała się, to tylko powagą i siłą moralną. Bobrowski, rewolucyonista względem Moskali, był zawsze legalnym wobec swoich. Zamiast więc obalać Komisyę, Bobrowski chciał razem z nią złożyć włożony na niego obowiązek kierownictwa powstaniem w ręce władzy legalnej, t. j. tej, która wezwała naród do broni i której on był reprezentantem i tymczasowym pełnomocnikiem. Władza ta bowiem dotąd się nie rozwiązała, mandatu swego nie złożyła, tylko przez zbieg okoliczności, wyżej opowiedzianych, działać nie mogła. Dlatego też Bobrowskiemu tak pilno było zebrać nas znowu w Warszawie i dlatego tak gorąco i gwałtownie wzywał mnie i Mikoszewskiego do powrotu.

ROZDZIAŁ IV.

Dnia 24. lutego, rano, zebraliśmy się wszyscy razem z Komisyą wykonawczą; było nas 11 osób, a mianowicie, jako członkowie Komitetu Centralnego: Bobrowski, Awejde, Majkowski, ks. Mikoszewski i Janowski; jako członkowie Komisyi, powołani przez Bobrowskiego: Giller, Gralewski, Gzowski, Królikowski, Surzycki i „Pan Jezus".

Na mocy udzielonego mu pełnomocnictwa, jako przewodniczący Komisyi, zagaił zebranie Bobrowski i zaznaczył, że Komisya była powołaną do dotychczasowego działania w czasie nieobecności członków Komitetu Centralnego i że z chwilą gdy ci powrócili, by objąć kierunek naczelny spraw powstania, mandat Komisyi się skończył i powinna się rozwiązać, pozostawiając władzę Komitetowi Centralnemu. Rozwinęła się dyskusya, w której przeważnie Giller zabierał głos i dowodził, że Komisya, która przez miesiąc cały rządziła właściwie powstaniem, ma prawo i obowiązek pozostawać i dalej u steru, że członkowie Komitetu mogą, a mają poniekąd i prawo wejść w skład Komisyi i z nią niepodzielnie pracować. Gralewski stanowczo, a po części i Gzowski, choć słabo, podzielali pogląd Bobrowskiego. Po długiej, choć bezowocnej dyskusyi, rozeszliśmy się, nic nie postanowiwszy. Bobrowski zapowiedział ponowne zebranie za dwa dni, t. j. 26. lutego.

Na drugi dzień, 25. lutego, zebraliśmy się sami w pięciu, celem poufnej narady, jakie stanowisko mamy zająć wobec oporu członków Komisyi.

Bobrowski przedstawił nam istotny stan sprawy, stanowisko swoje, oraz stanowisko, jakie większość Komisyi i jej członkowie zajmowali we wszystkich pracach dotychczasowych, trudności, jakie miał z tego powodu do zwalczenia, stan organizacyi miejskiej,

jednem słowem to wszystko, co już wyżej opowiedziałem. W dyskusyi zgodnie wyjaśniliśmy nasz pogląd na sytuacyę, w której się w tej chwili sprawa władzy powstańczej znalazła. Nie pragniemy władzy, ale chcemy, by powstanie było uważane jako rzeczywiście narodowe, z jasno określonym celem odzyskania niepodległości, któryśmy w manifeście wypowiedzieli i żeby dalszy kierunek był odpowiednio i zgodnie z tym celem prowadzony. Gdyby Komisya w składzie, w jakim ją zastaliśmy, odpowiadała temu zadaniu, gdyby rzeczywiście rozwinęła była swoją czynność i energię, jakiej od władzy powstańczej wymagać trzeba, choćby nawet przekroczyła granice zakreślone danym jej mandatem jako ciału wykonawczemu i przybrała z własnej inicyatywy charakter władzy, rzeczywiście kierującej, tak dalecy jesteśmy od wszelkiej ambicyi rządzenia, tak pragniemy jedynie dobra sprawy i jej pomyślności, że nietylko ani jednej chwili nie upieralibyśmy się przy naszych prawach, lecz z całą gotowością i otwartością oddalibyśmy się pod rozkazy Komisyi, bez pretensyi nawet należenia do niej.

Przeciwko temu oświadczeniu naszemu Bobrowski wystąpił z całą stanowczością. Twierdził przekonywująco, że tu ambicya wcale w grę wchodzić nie może, że taka dobrowolna abdykacya byłaby nietylko małodusznem uchyleniem się od odpowiedzialności, ale wysoce szkodliwą dla sprawy. Nietylko nie wolno nam zrzekać się władzy, ale przeciwnie, mamy patryotyczny obowiązek zatrzymać ją. On widzi tylko dwie drogi wyjścia z tej sytuacyi, w jakiej opór niektórych członków Komisyi nas postawił: Albo stanąwszy jako rząd, cofnąć udzielony Komisyi mandat i rozwiązać ją, choćby siłą, albo też wejść chwilowo w skład Komisyi, a pozyskawszy w niej większość, powoli zreformować i w rząd regularny zamienić.

Pierwszą drogę po zastanowieniu się uznaliśmy za szkodliwą. Nie chcieliśmy w samym początku dawać przykładu obejmowania władzy środkami gwałtownymi. Do użycia tych środków przyjśćby musiało koniecznie, bo członkowie Komisyi stali twardo przy swojem i dobrowolnieby nie ustąpili, a i Gralewski, który popierał poglądy Bobrowskiego, przy takiem postawieniu sprawy byłby się może do kolegów przyłączył. Bobrowski oświadczył, że tą drogą tylko w razie niebezpieczeństwa formalnej zdrady poszedłby, a tego tu absolutnie niema.

Postanowiliśmy zatem wejść w skład Komisyi, jako wszyscy równi jej członkowie, a nawet powiększyć jeszcze jej skład doborem innych ludzi, a mianowicie wprowadzić do niej R a f a ł a K r a-

jewskiego (osobistość, dobrze znana z poprzedniego opowiadania, więc określać bliżej jej charakteru nie potrzebuję) i Eugeniusza Kaczkowskiego-Dembińskiego, zwanego pospolicie „Kotem“, jako rutynowanego wojskowego (wojskowego w Komisyi nie było żadnego, bo kwalifikacye wojskowe Mateusza Gralewskiego były bardzo ograniczone, służył on wprawdzie w wojsku moskiewskiem na Kaukazie jako zesłaniec polityczny, uwolniony jako podporucznik, ale właściwego wykształcenia wojskowego nie posiadał).

Na postanowienie nasze wejścia do Komisyi wpłynęła jeszcze i ta okoliczność, że właściwie władza, czy nasza jako Komitetu Centralnego, czy władza Komisyi całej wraz z nami, była zawsze tymczasową, chwilowo tylko i zastępczo działającą.

Dyktatura Mierosławskiego, ustanowiona aktami z d. 21. i 25. stycznia, istniała w całej pełni, gdyż jakkolwiek Komitet nie odebrał od niego żadnego pisemnego zawiadomienia o przyjęciu dyktatury, to jednak sam fakt wkroczenia na ziemię polską, musieliśmy uważać za zgodzenie się. Dotąd wiedzieliśmy, że przegrał dwie bitwy, a po trzeciej gdzieś zniknął i żadnej dotąd pewnej nie mieliśmy o nim wiadomości.

Postanowieniem tem przecięliśmy krótko wszelkie spory o władzę, weszliśmy prosto w skład Komisyi, by raz przecież wziąść się do pracy z całą możliwą energią. Wiedzieliśmy, że teraz będziemy mieli w Komisyi bezwzględną większość. Krajewski i Kaczkowski zgodzili się na wejście do Komisyi, a znając obu, wiedzieliśmy, że we wszystkich kwestyach zasadniczych będą iść z nami. Gralewski, który w kwestyi władzy stał po naszej stronie i teraz po niej pozostanie. Tak więc w ogólnym składzie 13. osób mieliśmy stanowczą większość (8 głosów przeciw 5). Po kilku dniach ilość członków zmniejszyła się, albowiem wystąpili dobrowolnie Gzowski, Surzycki i „Pan Jezus“, którzy i tak nie brali udziału w dyskusyach i zachowywali się biernie. Opozycya właściwa stopniała do dwu osób, Gillera i Królikowskiego, bo Gralewski, jak przewidywaliśmy, zawsze szedł z nami; właściwie obaj oni zaprzestali opozycyi, Giller tylko uporem swoim i chęcią „à tout prix“ utrzymania się przy swojem zdaniu, przewlekał dyskusyę. Po kilku dniach zatem istotny skład Komisyi stanowiło 10 osób. Ale i ks. Mikoszewskiemu było jakoś nie swojsko w tem nowem stadyum Komitetu. Zrozumiał, że poznano się już na jego mierności, krzykactwie i pyszałkostwie, więc też prędko dobrowolnie z Komitetu wystąpił, motywując to

potrzebą zajęcia się swoją parafią. Od tej chwili ks. Mikoszewski znikł zupełnie z horyzontu działań powstańczych i spotkałem go dopiero po powstaniu w Paryżu.

D. 26. lutego zebraliśmy się na posiedzenie. Bobrowski zawiadomił krótko o naszem postanowieniu, co zostało przyjęte z uznaniem. Dla formy postawił propozycyę dwu nowych członków, na co się też jednogłośnie zgodzono. Bobrowski został przewodniczącym, Majkowskiego obrano sekretarzem. Postanowiono zatrzymać pierwotną nazwę Komitetu Centralnego i używać tej samej pieczęci. Dalszą organizacyę zewnętrzną odłożono na później; postanowiono tylko tymczasowo, aby sprawy organizacyi cywilnej, t. j. stosunki z naczelnikami cywilnymi województw i komisarzami przedstawiał na posiedzeniu Awejde. Referat ten Awejde prowadził w Komitecie Centralnym jeszcze przed jego zmianą po wypadkach grudniowych. Sprawy wojskowe objął Kaczkowski, Giller miał się zajmować prasą i przedstawiać sprawy, dotyczące stosunków z Galicyą i W. Ks. Poznańskiem. Bobrowski pozostawał naczelnikiem m. Warszawy, co w połączeniu z przewodnictwem Komitetu oddawało mu najważniejsze i najbardziej wpływowe stanowisko w Komitecie.

D. 27. lutego rozpoczęliśmy pracę. Jakkolwiek charakter władzy Komitetu uważaliśmy za przejściowy, tymczasowy, to jednak powstanie potrzebowało sprężystej pomocy administracyi cywilnej. Formujące się i czynne oddziały powstańcze musiały być uzbrajane, odziewane, karmione, a na to potrzeba było pieniędzy. Po rozpatrzeniu się w sytuacyi, wyłoniły się więc dwie najważniejsze sprawy, t. j. administracyi prowincyonalnej i zaopatrzenia skarbu. Administracyę prowincyonalną pełniła dotąd przedpowstańcza organizacya, której skład i atrybucye opisałem już wyżej. O ile jednak skład jej, a przedewszystkiem atrybucye, były dobre dla prac przygotowawczych, t. j. dla utrzymania i rozszerzenia sprzysiężenia, o tyle nie były odpowiedniemi do sprężystego prowadzenia administracyi powstańczej. Najbardziej wadliwe w niej były dwie władze naczelne w województwie, t. j. naczelnik cywilny i komisarz województwa. Dwie te władze miały zupełnie te same atrybucye, co powodowało starcia i wydawanie sprzecznych rozporządzeń. Po wybuchu powstania przybywała jeszcze trzecia władza, naczelnika wojskowego, zupełnie dotąd nieokreślona w swych atrybucyach. Stosunek władz administracyjnych do tej nowej władzy wojskowej nie był również określony, przy tem w wielu powiatach, okręgach i w miastach organizacya się poszczerbiła, gdyż wielu

naczelników tych administracyjnych jednostek opuściło stanowiska i poszło do powstania. Stan ten wymagał prędkiej naprawy.

Skarb powstańczy zasilał się dotychczas tylko z wpływów podatku narodowego, ustanowionego jeszcze w październiku 1862. r. przez Komitet Centralny. Bobrowski ściągał dotąd ten podatek w Warszawie i płacono go dosyć chętnie. Na prowincyi pobór tego podatku prawie ustał, bo często go nie miał kto pobierać. Wojska powstańcze zasilały się jedynie zabieraniem kas powiatowych miejskich, granicznych na komorach, sprzedażą soli, zatrzymywaniem i zabieraniem funduszów rządowych pocztą przewożonych i t. p. Wszystko jednak, jako nieregularne, mogło prowadzić do nadużyć, a przedewszystkiem nie zasilało należycie skarbu narodowego. Ale i te źródła, z których oddziały powstańcze czerpały fundusze, stawały się niedostępne z powodu wiadomych już rozkazów rządu moskiewskiego z d. 15. i 20. lutego. Sprawa skarbu była więc nadzwyczaj pilną.

Komisya wykonawcza sprawami temi zupełnie się nie zajmowała i zajmować nie chciała, pomimo licznych nalegań ze strony Bobrowskiego. Zająć się teraz niemi musiał Komitet Centralny w tym nowym swoim składzie. Debaty postępowały nadzwyczaj powoli. Powolność leżała tak w charakterze osób, w skład jego wchodzących, jak i w zbyt wielkiej liczbie członków. Wiadomem jest, że im ciało obradujące, szczególniej w sprawach tak ważnych i zasadniczych, jest liczniejsze, tem powzięcie ostatecznych postanowień jest trudniejsze, tem więcej jeszcze, jeżeli to ciało obradujące nie jest żadnym regulaminem związane i rządzone. Takiego regulaminu Komitet nie miał. Porządku dziennego przewodniczący nie mógł układać, a jeżeli i był, to przychodziły niespodzianie różne sprawy bieżące a pilne, które bez względu na sprawy na porządku dziennym będące, trzeba było załatwiać natychmiast. Dysputy rozwijały się bez końca, bo każdy chciał w każdej sprawie zdanie swoje wypowiedzieć i je umotywować.

Jakkolwiek obie sprawy, o których mówiłem, same przez się wskazywały swą ważność i konieczność zajęcia się niemi, to jednak dopiero po długiej dyskusyi uznano je za takie. Potem nastąpiły znowu długie dyskusye parę dni trwające nad zasadami, podług których należy je uregulować.

Co do pierwszej, t. j. uregulowania władz wojewódzkich uchwalono, że obie władze naczelnika i komisarza województw należy dalej pozostawić, zmieniając ich atrybucye. Naczelnik cywilny miał

zawiadywać całą administracyą, poborem podatków i zaopatrywać oddziały w'ich potrzeby. Komisarz miał być okiem i kontrolorem rządowym we wszystkich sprawach administracyi dotyczących, a zarazem pośrednikiem i jakby regulatorem, między naczelnikiem cywilnym i naczelnikiem wojskowym województwa. Naczelnik cywilny wraz z komisarzem obowiązani byli przedstawiać Rządowi do nominacyi naczelników powiatowych i głównych miast w województwie. Resztę zaś osób całej organizacyi administracyjnej miał prawo mianować sam naczelnik cywilny. Opracowanie szczegółów tej całej administracyi powierzono Awejdemu, jako referentowi spraw wewnętrznych w Komitecie. Znał on doskonale całą istniejącą administracyę, bo już od długiego czasu przed powstaniem i teraz, skoro tylko wrócił ze swej nieudałej podróży do Langiewicza, miał ją skupioną w swem ręku. Wszyscy komisarze, kuryerzy do niego się zgłaszali, z nim konferowali, od niego odbierali rozkazy i wskazówki. Wszystkie raporta obowiązany był Awejde przedstawiać na zebraniu Komitetu i w ważniejszych sprawach żądać jego decyzyi. Polecono też Awejdemu, aby przedstawił wnioski co do utworzenia osobnego biura, któreby pod jego zarządem zostawało, gdyż dotychczas musiał sam wszystko załatwiać, sam na wszystko odpowiadać. Na takiem urządzeniu cierpiała ogromnie szybkość w załatwiania spraw. Naczelnik wojskowy województwa miał wyłączny kierunek spraw wojskowych, a co do potrzeb wojska, miał się bezpośrednio odnosić do naczelnika cywilnego. W nagłych wypadkach miał mieć prawo żądania pomocy od naczelników powiatowych, miejskich, a nawet okręgowych. Opracowanie instrukcyi dla naczelników wojskowych powierzono Kaczkowskiemu, Gralewskiemu i Janowskiemu.

W sprawie skarbowej zgodzono się w zasadzie na ustanowienie podatku, ofiary narodowej, opierając się na podobnym podatku z r. 1831., z uwzględnieniem naturalnie różnicy, wynikającej z tego, że działanie Rządu w r. 1831. było jawne, a obecnie tajemne. Opracowanie całego projektu powierzono Stefanowi Bobrowskiemu z prawem dowolnego przybrania sobie do pomocy znawcy spraw skarbowych.

Wszystkie te projekta po opracowaniu ich przez referentów, miały być poddane dyskusyi i uchwale pełnego Komitetu. To postanowienie przewlekało wprawdzie załatwienie sprawy, ale nie mogło być inaczej; prawo zatwierdzenia musiał Komitet pozostawić sobie.

Komitet przyjął zasadę, którą zresztą i przedtem zachowywał, że jest ciałem ściśle tajemnem, że interesantów, choćby najważniejszych, na pełnych swych posiedzeniach nie przyjmował, ale do porozumienia się delegował swoich członków, bądź referentów specyalnych spraw, bądź też innych, stosownie do potrzeby. Delegowany jednak miał obowiązek przedstawiać się nie jako członek Komitetu, ale jako uprawniony do tej sprawy jego pełnomocnik. Był to jedyny sposób zachowania tajemnicy rzeczywistego składu Komitetu. O miejscach zbierania się Komitetu także nikt nie wiedział; na każdem posiedzeniu oznaczano miejsce następnego zebrania. Tajemnica długo się zachowywała, ale z czasem znikła.

Wchodząc do organizacyi, a potem do Komitetu Centralnego, opierając się na doświadczeniu i nauce starszych ode mnie i wytrawnych konspiratorów, których bardzo wielu pomiędzy sybirakami znałem, przejąłem się dwiema kardynalnemi zasadami, których każdy spiskowiec bezwzględnie trzymać się powinien: 1. Dochowanie tajemnicy jest najważniejszym obowiązkiem i cnotą spiskowca. 2. Niepotrzebna ciekawość jest największym grzechem. Tych kardynalnych zasad trzymałem się przez cały czas mej pracy w stosunkach zewnętrznych, które z urzędu mojego mieć musiałem, a przedewszystkiem przybrałem sobie pseudonim „Jerzy“. Ukryłem więc nietylko nazwisko, ale i imię prawdziwe, i to się tak przyjęło, że nawet osoby najbliższe ze mną mające stosunki, jak koledzy w Komitecie, a później w Rządze Narodowym, nazwali mnie „Jerzym“. Okazało się to bardzo skutecznem później, gdy aresztowani, straciwszy moc ducha, zaczęli „śpiewać“; pytano z kim mieli stosunki, odpowiadali z „Jerzym“. Moskale w przekonaniu, że to jest istotnie czyjeś imię, aresztowali rozmaitych Jerzych, ale naturalnie nigdy nie natrafili i aresztowanych niewinnie musieli wypuszczać. Dalej starałem się tylko to wiedzieć, co mi było bezwzględnie potrzebnem do pełnienia moich czynności. Nie pytałem nigdy nikogo o nazwisko, bo wystarczającą mi była wiadomość, jakie funkcye, czy urząd ktoś pełni. Jeżeli ktoś mi nieznany zgłaszał się do mnie w sprawie, o której tylko ode mnie mógł się dowiedzieć, musiał się wylegitymować jakimś dowodem, że ma prawo i godnym jest zaufania; musiał więc pokazać pismo, opatrzone pieczęcią tej władzy, która go upoważniła do widzenia się ze mną. Jeżeli kto przyszedł do mnie choćby z taką legitymacyą, a zapytał, czy jestem „Janowskim“, bezwarunkowo mówić z nim nie chciałem, oświadczając, że się omylił, bo ja z temi sprawami nie mam nic do czynienia. Wie-

działem, że są różne biura, że są rozmaite urzędy, ale jak się nazywają ci, którzy je sprawują, było mi zupełnie obojętnem i, ściśle rzecz biorąc, niepotrzebnem. Sam Rząd Narodowy był mitem, „pieczątką“ i cały naród mu wierzył i spełniał jego rozkazy, więc i dla mnie pieczątka była jedynym symbolem władzy i zaufania. Od samego początku byłem przygotowany na możliwość niespodziewanego aresztowania, po co więc miałem obarczać swój umysł i pamięć niepotrzebnemi wiadomościami, bez których i tak mogłem spełniać moje obowiązki. Inkwizycye najostrzejszemi nawet męczarniami nie mogłyby wydobyć ode mnie wiadomości, których nie znałem. Wiedziałem, że inkwizycyom moskiewskim przy badaniach chodziło przedewszystkiem i najbardziej o nazwiska osób działających, bo im więcej osób przyaresztowano, tem prędzej mogli wniknąć i w samo działanie. Tem mojem postępowaniem kładłem sobie samemu nieprzebytą zaporę przeciwko możliwości tak zwanego „śpiewania“. Natura ludzka jest wogóle taką, a drażliwość nerwów może tak opanować człowieka, że najtęższy charakter może jej uledz. Dlatego nigdy nie potępiałem stanowczo i bezwzględnie tych nieszczęśliwych, którzy pod katuszami męczarni inkwizycyi zdradzali tajemnice. Nie potępiałem też i nie potępiam Jana Ławcewicza, który mnie wydał, bo uczynił to pod wrażeniem tysiąca rzeczy, bo mieszkał obok mnie, bo na pół godziny przed złapaniem go na ulicy odebrał odemnie papiery, które przy nim znaleziono. Ale na potępienie bezwzględne zasługują ci wszyscy, którzy dobrowolnie, bez żadnego gwałtu i przymusu zdradzali tajemnice, które wiedzieli, a nawet takie, których się tylko domyślali, jak Lanber, Karol Przybylski, dr. Cezary Murarski, którzy tym sposobem zdradzili Romualda Traugutta i cały Rząd Narodowy, jak Oskar Awejde i Karol Majewski, którzy dobrowolnie spisywali dla śledczych komisyi memoryały o całem powstaniu. Dla nich nie ma przebaczenia. Historya musi ich napiętnować mianem zdrajców.

Doczekaliśmy się wreszcie wiadomości autentycznych o Mierosławskim [1]). Tego samego dnia, 27. lutego, przyjechał do Warszawy Stanisław Frankowski, komisarz województwa Warszawskiego. Widział się z Awejdem i zdał mu szczegółową sprawę z krótkiego pobytu dyktatora w kraju, a tę Awejde zakomunikował dnia następnego na pełnem posiedzeniu. Potwierdził wiadomości, które już poprzednio mieliśmy, o trzech przegranych bitwach pod

[1]) Przyborowski D. 1863 r. I. str. 403 mówi o relacyi Rusieckiego co do losów Mierosławskiego na podstawie Gillera. (P. R.)

Krzywosądzem, Trojaczkiem i pod Nową Wsią, po której Mierosławski z kilkoma towarzyszami przeszedł granicę i aż dotąd nie dał o sobie żadnej wiadomości. Opowiadał, że już na kilka dni przed wkroczeniem generała mnóstwo rozmaitych agentów napełniało przyległe do granicy powiaty W. Księstwa i Prus zachodnich, a ci głośno opowiadali o bliskiem przybyciu generała [2]), że w granicach Królestwa Władysław Daniłowski w charakterze pełnomocnego komisarza Komitetu i pełnomocnika dyktatora zajmował się zbyt głośno przygotowaniami na jego przybycie. Że działania te obudziły czujność Moskali, którzy pilnie strzegli granicy i gromadzili wojska. Czujność ta o tyle była zmyloną, że generał pierwotnie miał wejść z Prus zachodnich w Płockie, zmienił jednak potem plan i wkroczył w okolicy Gopła w województwo Mazowieckie, że Daniłowski, który przygotowywał oddział z wiadomością Komitetu Centralnego w Płockiem, przeprowadził go szybkimi marszami ku Krzywosądzowi, a śladami jego następowali Moskale. Że Mierosławski, przeszedłszy granicę, stanął obozem pod Krzywosądzem i zamiast iść dalej w głąb kraju lub dążyć do Mielęckiego, organizującego silny oddział w lasach Kazimierzowskich, posłał temuż rozkazy, żeby dążył do niego. Posłańcy nie znaleźli już Mielęckiego w okolicach Kazimierza, bo ten przeszedł w lasy Lubstowskie. Mielęcki przybył do Mierosławskiego już po bitwie Krzywosądzkiej i spotkał go w okolicy Trojaczka. Mierosławski dlatego stał całe dwa dni w Krzywosądzu, że czekał na wykończenie swoich wozów kurzyckich i innych wojennych przyrządów swego pomysłu, bez których nie chciał wojny zaczynać. Musiał jednak pomimo tego braku przyjąć bitwę, w której zginęło bardzo wielu oficerów, którzy razem z nimi przeszli granicę i gdzie zginął także Władysław Janowski, mianowany przez Komitet Centralny komisarzem przy dyktatorze. Mielęcki, przybywszy do Trojaczka, namawiał generała, żeby posunął się w głąb kraju na południe, gdzie oddział jego liczący do 400 ludzi, wcale nieźle uzbrojonych i zorganizowanych, stoi w dobrej pozycyi i stamtąd będzie mógł rozpocząć działania. Mierosławski jednak uparł się, że on jako dyktator wydaje rozkazy, a inni muszą go słuchać. Mielęcki, choć z wielką niechęcią, ustąpił, poddał się pod rozkazy i posłał rozkaz swemu oddziałowi, żeby szybko posuwał się na północ ku Nowej Wsi, gdzie

[2]) Przyborowski D. 1863 r. I. str. 374 i 376 mówi (na podst. Pam. Guttrego) o głębokiem zachowaniu tajemnicy co do pobytu Mierosławskiego w Poznańskiem. (P. R.)

Mierosławski miał dążyć. I rzeczywiście, po potyczce z Moskalami w Trojaczku, pomaszerowali tam, mając ciągle następujących im na pięty Moskali. W bitwie pod Nową Wsią tylko część oddziału Mielęckiego brała udział. Nieodpowiednie, według Mielęckiego, rozporządzenie dyktatora i przeważające siły moskiewskie spowodowały przegraną bitwę, przytem w oddziale Mielęckiego wybuchł formalny rokosz przeciwko dyktatorowi, którego Mielęcki nie mógł powstrzymać.

Zaraz po bitwie, wieczorem, Mierosławski w kilka zaledwie koni przeszedł granicę z powrotem, nie pozostawiwszy żadnych wiadomości o następnych swoich zamiarach. Część oddziału Mierosławskiego ruszyła ku Gopłu i tam weszła do Księstwa. Reszta wraz z całym oddziałem Mielęckiego pomaszerowała ku Kazimierzowi. Tak się zakończyła wyprawa Mierosławskiego. Opowiadał Awejde, że Frankowski nie miał słów na wyrażenie oburzenia na postępowanie Mierosławskiego przez te cztery dni pobytu w kraju. Klęskę przypisywał tylko Mierosławskiemu, jego lekkomyślności, nieprzezorności i uporowi, połączonemu z pyszałkostwem. Opowiadał, że pod Nową Wsią wyszło kilkuset chłopów z okolicznych wsi na spotkanie generała, którego pamiętali jeszcze z powstania poznańskiego. Mierosławski wypalił do nich mówkę ognistą; po jej skończeniu, gdy chłopi wznosili na jego cześć okrzyki, zwrócił się do otaczającego go sztabu ze słowami: „A co? tęgą blagę palnąłem, tak do nich przemawiać trzeba“. Ten epizod, za którego autentyczność Frankowski ręczył, a wierzyć mu było można, bo uchodził za wielkiego zwolennika generała i był nim istotnie, dostatecznie charakteryzował Mierosławskiego i sposób jego postępowania, a szczególnie jego przekonanie i wiarę w to, co robił. Po takiem przemówieniu, którem rozentuzyazmował chłopów, zamiast rozdać im kosy i wezwać do bicia Moskali, sam drapnął za granicę.

Sprawozdanie Frankowskiego wywarło na nas wszystkich wysoce deprymujące wrażenie. Nasunęło się natychmiast pytanie, co dalej robić. Faktycznie nie mieliśmy od Mierosławskiego żadnej deklaracyi, czy dyktaturę przyjmuje, czy nie, podczas gdy uchwała Komitetu Centralnego z dnia 21. i 25. stycznia stała nienaruszona. Wywiązała się obszerna dyskusya, z której wyłoniły się dwa wnioski: 1. krańcowo rozstrzygający pytanie: Cofnąć i uznać za nie były akt z 21. stycznia. 2. Żeby utrzymać całą ważność tego aktu i wyznaczyć generałowi termin do objęcia władzy w myśl tego aktu z warunkiem, że jeżeli do danego terminu nie stanie na

placu boju, straci wszystkie prawa z aktu płynące, bo Komitet będzie to uważał za nieprzyjęcie dyktatury. Za wnioskiem pierwszym głosowało tylko dwu członków Komitetu i zdaje mi się, że obaj wojskowi, Kaczkowski i Gralewski. Drugi wniosek przyjęto jednogłośnie i tak samo oznaczono dzień 8. marca, jako ostateczny termin wkroczenia Mierosławskiego na plac boju.

Dyskusya miała się już ku końcowi, gdy Bobrowski otrzymał wiadomość, że Daniłowski przyjechał i żąda widzenia się z nim. Doskonale się sprawa układała. Ponieważ Daniłowski był członkiem byłej Komisyi wykonawczej i był nim mianowany przez Komitet Centralny i skład jego znał doskonale, więc też Komitet do rozmowy z nim delegował wszystkich pięciu członków pierwotnego Komitetu. Bobrowski zawiadomił go, że posiedzenie Komitetu odbędzie się popołudniu w mieszkaniu Oskara Awejdy i prosi go, żeby na to posiedzenie przybył.

Daniłowski przedstawił się nam, że przybywa jako pełnomocnik dyktatora i jako członek Komisyi wykonawczej celem powiadomienia, że dyktator, odpowiadając na wezwanie Komitetu Centralnego przybył do kraju, nie zastawszy odpowiednich sił pod naporem przeważającym Moskali, a przytem chory na gardło, musiał chwilowo wyjechać do Paryża, że jednak niebawem przybędzie do Krakowa i stamtąd wkroczy w województwo Krakowskie. Bobrowski objaśnił przedewszystkiem Daniłowskiego, że Komitet Centralny objął nazad urzędowanie, że zatem Komisya wykonawcza, jako tymczasowo pełniąca obowiązki, istnieć przestała, więc i jego mandat wygasł. Komitet go nie może uważać za pełnomocnika dyktatora, bo nie przedstawia odpowiedniej legitymacyi, występowanie Daniłowskiego, jako komisarza Rządu Narodowego przy dyktatorze, Komitet uważa za niewłaściwe, bo on do zajmowania tego stanowiska nie był zupełnie upoważnionym, bo jego misya ograczała się jedynie do doręczenia kopii aktu oryginalnego Komitetu dyktatorowi. Nawet wobec śmierci właściwego komisarza, Janowskiego, jeszcze nie przysługiwało mu prawo, wstąpienia w jego obowiązki. O wkroczeniu dyktatora do kraju i o całej jego akcyi Komitet jest już dokładnie poinformowany przez właściwego komisarza województwa. Dyktator dotąd nie powiadomił Komitetu o przyjęciu dyktatury. Komitet jednak pomija tę formalność i sam fakt wkroczenia do kraju uważa za akt przyjęcia dyktatury, oświadczenie zaś obecne Daniłowskiego o chwilowej tylko nieobecności dyktatora i jego zamiarze powtórnego wkroczenia przyjmuje z całą

dobrą wiarą do wiadomości. Na tem jednak zwlekaniu z faktycznem objęciem władzy przez generała i ogłoszeniem jej, stan tymczasowości przedłuża się z wielką szkodą dla powstania, więc Komitet, rozważywszy wszystkie okoliczności, właśnie dziś rano powziął stanowczą uchwałę, że utrzymując całą ważność aktu z dnia 21. stycznia, przez który Komitet oddawał władzę dyktatoryalną generałowi Mierosławskiemu, oznaczył jako termin prekluzyjny do objęcia władzy przez powtórne wkroczenie na plac boju w którąkolwiekbądź okolicę kraju dzień 8. marca, z zastrzeżeniem, że, jeżeli do dnia tego dyktator władzy faktycznej na polu walki nie obejmie i jej nie ogłosi, akt z 21. stycznia straci swoją ważność, a Komitetowi rozwiąże ręce do swobodnego działania.

To przemówienie Bobrowskiego, w którem i my zabieraliśmy głos popierający, bardzo się nie podobało Daniłowskiemu, burzyło go, a przerywaniem ciągłem dawał wyraz swego niezadowolenia; usiłował bronić swego prawa, jako członka Komitetu, a raczej Komisyi, prawa, rzekomo mu nadanego, komisarza przy Mierosławskim i t. p., a gdy wysłuchał owego postanowienia Komitetu co do dyktatury, wybuchnął całą siłą, że on przeciwko temu postanowieniu, gwałcącemu nabyte prawa dyktatora całą siłą protestuje jako jego pełnomocnik, że nie tylko to postanowienie, ale samo istnienie Komitetu jest nielegalnem, bo powołać Komitet i skład jego oznaczyć miał prawo tylko dyktator, że gdyby miał pisemne pełnomocnictwo dyktatora, toby tu inaczej występował, bo rozkazywałby, a nie słuchał*).

*) Daniłowski w pamiętniku swoim (str. 266 i nn.) całą tę sprawę opisuje inaczej i nie wszędzie prawdziwie. Naprzód działo się to 28. lutego, a nie 6. marca, co już samo opowiadanie poprzednie Daniłowskiego potwierdza. Bitwa pod Nową wsią była 21. lutego przed południem, a tego samego dnia wieczorem Daniłowski przeszedł granicę i przez Bydgoszcz, Rypin, Lipno, Mławę, puścił się do Warszawy; przez Lipno przejeżdżał w nocy, więc jechał dzień i noc. Do Mławy przyjechał rano i zaraz pojechał. Podróż do Mławy, którą odbywał extrapocztą, mogła mu zabrać dzień 22. i 23. lutego tak, że 24. wyjechał z Mławy. Tego samego dnia spotkał się z narzeczoną; tam, według opowiadania, miał zabawić dwa dni, t. j. 24. i 25., a nawet choćby i 26., to w Warszawie mógł stanąć 27. wieczór, nawet choćby 28. lutego rano. Jeżeli twierdzi, że posiedzenie było 6. marca, to gdzież te 6 dni przepędził? Daniłowski zupełnie z datami się nie liczy i nigdy ich nie podaje i dlatego trudno się z nim zoryentować. Rozmowa z Daniłowskim odbyła się w mieszkaniu Awejdy; Giller nie brał w niej udziału, więc cała awantura z tymże jest nieprawdziwą (str. 268—9). Mógł się spotkać potem z nim, ale znowu ja przy tem nie byłem, bo tego epizodu zupełnie niepamiętam. Giller, jakkolwiek istotny i zaciekły nieprzyjaciel Mierosławskiego, teraz jednak działał zupełnie lojalnie i nie sprzeciwiał się ważności aktu z dnia 21. stycznia; głosował przeciw pierwszemu wnioskowi, a za drugim ze wszystkimi. Czy z Awejdem i Królikowskim rozmawiał osobno i jakie opinie ci wypowiadali, nie wiem. Ja widziałem się z Daniłowskim tylko na tem posiedzeniu 28. lutego, potem spotkałem się z nim dopiero w Krakowie i to przelotnie.

Ten wybryk młodzieńczej krewkości Daniłowskiego musieliśmy na miejscu zgromić i skarcić, co go trochę uspokoiło. Staraliśmy się go przekonać już nie o legalności naszego postępowania, bo zarzut ten odparliśmy krótko i stanowczo, jako wybryk lekkomyślności, lecz wprost o konieczności powziętego postanowienia ze względu na dobro i powodzenie powstania, lecz napróżno. Chcąc sprawę zakończyć, gdyż dalsza dyskusya była zupełnie bezowocną, oświadczyliśmy Daniłowskiemu, że uznając go za przedstawiciela generała, wręczymy mu jeszcze dzisiaj akt postanowienia Komitetu, żeby go dyktatorowi zawiózł, co się też stało. Tym sposobem na razie sprawa dyktatury Mierosławskiego pozostała w zawieszeniu.

Dnia 1. albo 2. marca przyjechał z Wilna Wacław Przybylski, nauczyciel nauk przyrodniczych i literat, przysłany przez Komitet powstańczy litewski w charakterze pełnomocnego komisarza przy Rządzie Narodowym. Wiemy, że Komitet Wileński przez długi czas opierał się zwierzchnictwu Komitetu Centralnego, jako naczelnej władzy powstańczej. Układy wówczas z Komitetem Centralnym prowadził Komitet Wileński przez swego reprezentanta Du Laurant'a. Dopiero teraz Komitet ten, zreorganizowawszy się sam przez przybranie żywiołu gorętszego uznał, że dla dobra sprawy potrzebna jest jedność politycznego kierunku, choćby dla okazania łączności Litwy z Koroną dla odzyskania niepodległości. Komitet wileński uczynił propozycyę poddania się pod zwierzchnictwo Komitetu Centralnego, zależną od przyjęcia warunków, które delegowany miał przedstawić; ten w razie ich przyjęcia miał pozostać w Warszawie, jako stały jego reprezentant i pośrednik. Komitet Wileński mianowicie zastrzegł sobie oznaczenie terminu powstania i prawo nominacyi funkcyonaryuszów całej organizacyi administracyjnej i naczelników wojskowych.

Komitet Centralny, zastanawiając się nad tymi warunkami, uznał zupełną ich słuszność; mianowicie co do pierwszego, Komitet Wileński, działając na miejscu, mógł daleko lepiej ocenić stan swej organizacyi i wogóle przygotowań do rozpoczęcia kroków wojennych, był więcej kompetentnym do oznaczenia terminu powstania; co do drugiego, znał również lepiej i ludzi, i lepiej mógł ocenić, komu jakie stanowisko miał powierzyć. Zresztą, stawiając te warunki, Komitet Wileński przyjmował na siebie odpowiedzialność za kierunek faktyczny tak administracyjny, jak i wojskowy, a tem samem za powodzenie powstania. Dyskusya była prowadzona

w obecności delegata; mógł więc poznać dokładnie nie tylko same osobistości, ale i ich poglądy. Według oświadczenia delegata, Komitet spodziewał się, że powstanie na Litwie, t. j. w województwach: Kowieńskiem, Grodzieńskiem, Wileńskiem, Mińskiem i Mohylewskiem będzie mogło być oznaczone na drugą połowę marca. Na tych warunkach ustalony został stosunek Litwy do Królestwa. Komitet Centralny przyznał komisarzowi litewskiemu prawo brania udziału w naradach Komitetu Centralnego z głosem doradczym.

Co do Rusi, to porozumienie było jeszcze zawarte w styczniu za pośrednictwem Stefana Bobrowskiego, a mocą zawartego wówczas układu Komitet ziem ruskich uznawał zupełne zwierzchnictwo Komitetu Centralnego, a dla siebie zastrzegł tylko prawo oznaczenia terminu powstania. Dotąd jednak nie otrzymaliśmy stamtąd żadnej wiadomości.

Emigracya, jak wiemy, była przeciwną powstaniu; gdy jednak stało się ono faktem, uczuła potrzebę wzięcia w niem czynnego udziału. W tym czasie zaczęli też zjeżdżać różni wojskowi do Krakowa, przyjechali tam mianowicie: generał Józef Wysocki, majorowie: Romatowski, Waligórski i inni. Znalazł się tam także Seweryn Elżanowski, znany literat i redaktor wychodzącego w Paryżu pisma „Przegląd rzeczy polskich".

Załatwiwszy te sprawy, które wraz z bieżącemi zabrały nam przy gadulstwie parę dni czasu, coś dopiero 2. czy 3. marca mogliśmy się zająć sprawami ogólnemi, które przygotowane przez przeznaczonych dla nich referentów, czekały załatwienia.

Projekt reformy władz administracyjnych prowincyonalnych przedstawił Awejde. Opierał się on na zasadach ogólnych, uchwalonych już poprzednio, a dodatkowo zawierał instrukcye szczegółowe, określające atrybucye każdej z władz naczelnych województwa i tychże powiatowych i okręgowych i ich stosunek względem siebie, atrybucye komisarza rządowego. Instrukcye były krótkie i treściwe, jasno określone, tak, że zapobiegały jakimkolwiekbądź starciom w przyszłości. Co do pomocniczego biura dla załatwienia spraw wewnętrznych, Awejde stawiał wniosek, żeby Komitet z licznego grona swoich członków delegował jeszcze jednego jako współpracownika i na to stanowisko proponował Rafała Krajewskiego. Do składu tegoż biura miał także wejść naczelnik zarządu poczt. Zarządem poczt, które doskonale były urządzone jeszcze przez Tomasza Winnickiego, po jego wejściu do powstania zajmował się Roman Żuliński, profesor gimnazyalny, człowiek wy-

sokiej wartości moralnej, gorącego patryotyzmu, uczciwości nieskalanej, pełen poświęcenia i pracowitości. Poczty z samej swej natury musiały pozostawać na prowincyi w ciągłej styczności z władzami prowincyonalnemi i tam były im podległe, więc i władza ich naczelna w Warszawie musiała podlegać bezpośrednio władzy członka komitetu, zarządzającego sprawami wewnętrznemi. Dotąd zarząd poczt był podległy naczelnikowi miasta Warszawy. Podobnym poczcie urzędem pomocniczym była ekspedytura, a kierował nią Antoni Rozmanit, młody człowiek, energiczny, syn kupca korzennego; i ta podlegała naczelnikowi miasta. Awejde proponował przyłączyć ją także do biura spraw wewnętrznych. Po długiej, jak zawsze, dyskusyi, wszystkie te wnioski Awejdy Komitet przyjął. Rafał Krajewski przyjął stanowisko pomocnika Awejdy w zarządzie biurem, lecz jednocześnie prosił, by go zwolnić z urzędu członka Komitetu, gdyż tych dwu funkcyi razem pełnić nie może, a na stanowisku pomocnika będzie pożyteczniejszym. Krajewski, człowiek bardzo rozumny, rozważny, spokojnego usposobienia, o jasnym i szerokim poglądzie, był bardzo pożądaną osobistością w składzie Komitetu, więc nie chcieliśmy się zgodzić na jego żądanie, woleliśmy nawet kogo innego na stanowisko pomocnika powołać, byle go w Komitecie zatrzymać. Krajewski jednak twardo stał przy swojem, raz powziętem, postanowieniu i musieliśmy jego rezygnacyę z członka Komitetu przyjąć. Bobrowski zgodził się chętnie na propozycyę co do poczty i ekspedytury, gdyż oddanie tych biur pomocniczych pod zwierzchnictwo zarządu spraw wewnętrznych uważał za właściwe, a sam i tak miał wiele zajęcia.

Giller ze względu, że postanowienia i ogłoszenia Komitetu, mające charakter ogólno publiczny, drukowane są w setkach egzemplarzy, a dla stwierdzenia pochodzenia ich autentyczności, muszą być opatrywane pieczęcią Komitetu, a od sekretarza nie można żądać wykonywania tej czynności osobiście i z tego powodu pieczęć, pozostającą w jego ręku, musi powierzać ekspedyturze, co nie jest dobrem i zupełnie bezpiecznem, i że do tej czynności potrzeba powołać człowieka zupełnie zaufanego, zaproponował jako taką właśnie osobistość, Jana Wernickiego, który jeszcze przed powstaniem z ramienia Witolda Marczewskiego był pomocnikiem Tomasza Winnickiego w urządzaniu poczt i dotąd tam jeszcze pracuje. Pomimo opozycyi Bobrowskiego, który wybór ten uważał za zupełnie niewłaściwy z powodu lekkomyślnego cha-

rakteru tej osobistości, Komitet na zapewnienie Gillera zgodził się na jego propozycyę, tem więcej, że drukarnia pozostawała pod jego zarządem *).

Kaczkowski przedłożył projekt instrukcyi wojskowych. Ze szczegółów tych instrukcyi pamiętam tylko, że określały stosunek władzy naczelnika wojskowego województwa do władz cywilnych, dozwalały tak naczelnikowi wojskowemu województwa, jak i naczelnikom oddziałów żądać od ludności pomocy tak w dostarczaniu potrzebnych podwód, jak i żywności, lecz za opłatą gotówki, lub w braku tejże za bony, które władze cywilne miały wypłacać, że dowódcy pojedyńczych oddziałów, w razie przechodzenia z jednego województwa do drugiego, obowiązani byli, w razie dłuższego na terytoryum tego województwa pobytu, poddawać się rozkazom naczelnika tegoż województwa. Naczelnikowi wojskowemu województwa nadawały prawo stanowczej nominacyi nadoficerów niższych rang. Nominacye na rangi wyższe nad majora miał przedstawiać do zatwierdzenia Komitetowi Centralnemu.

Instrukcye te były później, już po upadku dyktatury Langiewicza, rozszerzone i uzupełnione. Proponował Kaczkowski ustanowienie osobnej komisyi wojskowej, której przewodniczącym i pośrednikiem z Komitetem miał być jeden z jego członków. Przy tem Kaczkowski i Gralewski oświadczyli, że w razie utworzenia tej komisyi, oni ofiarują swoje usługi, ale z Komitetu ustąpią, bo nie uważają się tu za koniecznie potrzebnych, a będą mieli więcej czasu do właściwej wojskowej pracy.

Wnioski te Komitet przyjął, obu od obowiązków członków Komitetu uwolnił, na przewodniczącego komisyi wojskowej przeznaczył Janowskiego, a na sekretarza komisyi powołał przedstawionego przez nich Stanisława Szczycińskiego, kolegę Gralewskiego z Kaukazu.

W sprawie skarbowej Bobrowski przedstawił, że radził się

*) Pokazało się później, że opozycya Bobrowskiego przeciw Janowi Wernickiemu była zupełnie słuszną. Bobrowski miał szczególniejszy dar oceniania ludzi. Jan Wernicki właśnie z powodu tego, że miał sobie powierzoną pieczęć Komitetu Centralnego, stał się główną osobistością w przeprowadzeniu krajowego zamachu na Rząd Narodowy. Był to istotnie człowiek w najwyższym stopniu lichy. Umiał on pozyskać zupełne zaufanie, a nawet przyjaźń Witolda Marczewskiego, który go wprowadził do organizacyi. Zaufanie to jak najhaniebniej zdradził, burząc mu jego spokój i szczęście rodzinne. Pochlebstwem, które Giller bardzo lubił, potrafił i jego zaufanie sobie zjednać. W zamachu najsilniej przeciwko Gillerowi występował. Autor „Dziejów roku 1863“ powiada, że był członkiem K. C. przed powstaniem, co nie jest prawdą, był on tylko w blizkich z Komitetem stosunkach przez zaufanie, pokładane w nim przez Marczewskiego i Gillera.

finansistów, że sprawa nie jest łatwą i wymaga gruntownego opracowania, że dla niej, jak wogóle dla uregulowania finansów zawodowych, trzeba powołać specyalną komisyę i ustanowić kasyera głównego. Na razie żądał tylko upoważnienia do dalszego pobierania podatku, jeszcze przez Komitet Centralny przed powstaniem rozpisanego, który chętnie jest płaconym, że ściąganiem tego podatku zajmuje się organizacya miejska, a kasyerem jest on sam. Komitet wnioski te i zapatrywania Bobrowskiego uznał w zupełności za słuszne i uchwalił je. Sprawa ta została ostatecznie uregulowana dopiero po upadku dyktatury Langiewicza. Tak więc myśl zasadnicza powołania osobnych komisyi specyalnych przez powyższe uchwały została urzeczywistnioną.

W czasie debaty nad powyższemi sprawami, członkowie Komitetu, Gzowski i Surzycki także oświadczyli stanowczo, że mając pełne zaufanie do Komitetu, składają wraz mandaty, które uważali tylko za tymczasowe. Komitet tę rezygnacyę dobrowolną przyjął. Co do „Pana Jezusa“, który stale na posiedzenia Komitetu nie przychodził, oświadczył Giller, że i ten swój mandat na jego ręce złożył. Komitet, tak liczny przed kilkoma dniami, przez te wystąpienia został zredukowany do liczby siedmiu tylko członków; pozostali tylko w nim: Bobrowski, Awejde, Giller, Janowski, ks. Mikoszewski, Majkowski i Królikowski.

Jakoś 8. czy 9. marca wyjechał także z Warszawy, rzekomo za urlopem, ks. Mikoszewski do swojej parafii Żelaznej, spowodowany sprawami swego probostwa. Wyjechał, żeby więcej nie wrócić. Od tej chwili Komitet obradował tylko w składzie 6. osób wyżej wymienionych. Zasadniczy jednak skład Komitetu Centralnego, oparty na tradycyi, miał wynosić tylko osób pięć. Taka dobrowolna redukcya wyszła tylko na korzyść. Pozbyto się balastu, który nic nie przynosił, a niepotrzebnie zwiększał gadaninę i przedłużał w nieskończoność dyskusyę. Żal nam tylko było Rafała Krajewskiego, bo jego zdrowe i poważne zdanie wielkie miało dla Komitetu znaczenie. Był on, od tej chwili aż do aresztowania w r. 1864., najpożyteczniejszym przewodnikiem wydziału spraw wewnętrznych. Za rządów Romualda Traugutta był dyrektorem tego wydziału.

W czasie tych obrad odbieraliśmy dosyć liczne wiadomości o ruchach powstańczych. Były to raporta bądź samych naczelników oddziałów, bądź też władz cywilnych. Doniesienia te starał się Giller dostawać do rąk swoich, nawet często przed udzieleniem

ich Komitetowi i komisyi wojskowej. Nielegalność tę tolerowaliśmy, bo Gillerowi chodziło o to, żeby jak najprędzej doszły wiadomości publicznej. Robił on z tego podwójny użytek: ogłaszał je w wydawanych „Wiadomościach z pola bitwy“ i w swoich korespondencyach do „Czasu“. Koloryzował on je, choć dosyć skromnie, na korzyść powstańców. Za to rząd moskiewski, który je także ogłaszał w „Dzienniku Powszechnym“, z największą bezczelnością i przechwałkami „bandy“ (bo tak oddziały powstańcze systematycznie nazywał) rozbijał zawsze i rozpędzał w proszek, a zawsze w staczanych bitwach tracił tylko jednego kozaka, a rannych nie miał wcale *). Tak n. p. ogłosili, że pod Małogoszczą rozbili zupełnie Langiewicza, że miał setki rannych i zabitych, tymczasem w parę dni potem ogłosili, że jakiś inny generał spotkał silną bandę Langiewicza i znowu ją rozbił i t. d.

Wiadomości odbierane świadczyły, że powstanie coraz więcej się ożywia. I tak, mówiąc wyżej o powstaniu w województwie Płockiem, zaznaczyłem, że Zameczek z pod Siemiatycz wrócił z za Bugu i organizował swój oddział między Bugiem i Narwią w okolicach Długosiodła. 26. lutego urządził zasadzkę pod Przetyczem [3]) na oddział moskiewski majora Golicyna i pobił go zupełnie. Zygmunt Padlewski, powziąwszy wiadomości o pobycie w tej stronie Zameczka, podążył ku niemu ze swym słabym oddziałem i połączył się. Moskale, dowiedziawszy się o porażce Golicyna, skierowali większe siły w tę stronę. Padlewski postanowił przenieść się do puszczy Myszenieckiej [4]), zamieszkałej przez dzielny i butny lud Kurpiów. Nie chcąc jednak opuszczonej okolicy ostrołęckiej zostawić bez powstania, polecił Mystkowskiemu i Deskurowi, zostawiając im część swoich ludzi, pozostać i w lasach ostrołęckich formować znaczniejszy oddział piechoty i jazdy, a sam z resztą oddziału przeszedł Narew i 7. marca stanął w Myszeńcu. Stąd datował otrzymany przez Komitet, ostatni raport. Wiemy, że

*) Pamiętam jeszcze z wojny wschodniej, że w biuletynach podawano zawsze jako wynik bitwy, że zginął tylko jeden kozak. Jakieś pismo humorystyczne niemieckie, zdaje się mi, że „Kladderadatsch“, podał anegdotę, że u furty niebieskiej dobijał się tłum kozaków do nieba; zdziwiony św. Piotr pyta: „Co wy za jedni i co was tak dużo?“ „To my — odpowiedziano — męczennicy za wiarę i cara, którzyśmy w bitwie takiej to...“ „Poszli precz! — powiada św. Piotr — oszusty, bo tam w tej bitwie zginął tylko jeden kozak“.

[3]) Przetycz, wieś i folwark, pow. ostrowski, gm. Długosiodło. (P. R.)

[4]) Myszeniec Stary i Nowy, wieś i miasteczko, nad rz. Rozogą, pow. ostrołęcki, w puszczy Myszenieckiej. (P. R.)

w województwie Podlaskiem, po opuszczeniu go przez wszystkie oddziały i przejściu ich za Bug, zaległa chwilowa cisza.

W tym samym czasie, kiedy powstańcy gromadzili się pod Siemiatyczami, ukazał się tu nowy oddział Marcina Borelowskiego, który przyjął pseudonim „Lelewela". Borelowski był z zawodu studniarzem i w spółce ze znanym w Warszawie inżynierem Spornym założył fabrykę pomp. Brał bardzo czynny udział w organizacyi przedpowstańczej, gdzie zjednał sobie i miłość i wpływ wielki w sferach rzemieślniczych. Po wybuchu powstania zmówił sobie kilkudziesięciu ludzi, z którymi wyszedł w Podlaskie i tu w okolicy Łukowa [5]) sformował oddział, parę set ludzi liczący. Zajął Łuków, ogłosił tam Rząd Narodowy i w tej okolicy pozostał dni kilka dla dalszego zorganizowania się.

Tu, we wsi Osinach [6]), spotkał go Lewandowski, powracający do swego województwa po bitwie siemiatyckiej. Lewandowski, powróciwszy z za Bugu z kilkudziesięcioma ludźmi, d. 17. lutego poraził Moskali pod Woskrzenicami [7]) koło Białej, potem, okrążywszy miasto, urządził nieudałą zasadzkę na jakiś oddział moskiewski pod Sycyną [8]). W marszu tym powiększył oddział do stu kilkudziesięciu ludzi. Z Sycyny skierował się ku Radzyniowi [9]). W drodze dowiedział się, że silny oddział powstańców znajduje się w okolicy Żelechowa [10]), poszedł w tym kierunku i d. 21. albo 23. lutego spotkał się we wsi Osiny z Lelewelem. Po paru dniach postoju rozdzielili się, udając się obydwaj na południe, ku województwu Lubelskiemu, zachowując kontakt ze sobą. Lewandowski maszerował wzdłuż Bugu, Lelewel wzdłuż Wisły; kontakt pomiędzy nimi utrzymywała jazda pod dowództwem Gustawa Zakrzewskiego. Ten ostatni, błąkając się po województwie, po onem przejściu oddziałów podlaskich za Bug, połączył się był z Lelewelem pod Łukowem. Teraz Lelewel po starciu się z Moskalami pod Sosnowicą [11]), pomaszerował w kierunku Włodawy [12]).

W województwie Lubelskiem, po opuszczeniu województwa

---

[5]) Łuków nad rzeką Krzną, miasto pow. gub. siedleckiej. (P. R.)

[6]) Osiny, wieś i folwark, pow. łukowski, gm. Mysłów. (P. R.)

[7]) Woskrzenice Małe i Wielkie, dwie wsi nad rzeką Krzną, pow. bialski, gm. Sidorki. (P. R.)

[8]) Sycyna, wieś, pow. bialski. (P. R.)

[9]) Radzyń, miasto pow. gub. lubelskiej. (P. R.)

[10]) Żelechów, miasto nad rzeką Wilgą, pow. garwoliński. (P. R.)

[11]) Sosnowica, wieś nad rzeką Piwonią, pow. włodawski, gm. Turna. (P. R.)

[12]) Włodawa, miasto pow. gub. siedleckiej. (P. R.)

przez Frankowskiego, nie było żadnego oddziału. Za to Moskale buszowali swobodnie paląc i rabując miasteczka i dwory. Dopiero w połowie lutego w powiecie chełmskim wystąpiły na widownię walki dwa oddziały, Bogdanowicza i Neczaja. Istniały one jednak bardzo krótko. Kazimierz Bogdanowicz mieszkał jako dzierżawca w Łowczy [13]) pod Sawinem i był w organizacyi naczelnikiem powiatu Chełmskiego. Tutaj też własnym kosztem sformował oddział przeszło 200 ludzi liczący. Pierwszem jego działaniem było chwilowe zajęcie Łęcznej [14]), gdzie ogłosił Rząd Narodowy i zabrał kasę powiatową, a stąd poszedł na południe ku niedaleko położonej wsi Rudce [15]), gdzie miał się połączyć i wspólnie działać z oddziałem Neczaja. Neczaj, doktor medycyny z zawodu, sam nie będąc wojskowym, powołał na dowódcę oddziału, który własnym utworzył kosztem, Oswalda Radziejowskiego, b. kapitana wojsk polskich. Oddział ten liczący około 200 ludzi formował się w okolicy wsi Świerzu [16]) nad Bugiem o dobrą milę od Rudki położonej. Za Bogdanowiczem posuwał się oddział moskiewski, wysłany z Lublina d. 15. lutego. Obaj dowódcy polscy, korzystając z dobrej pozycyi, postanowili przyjąć bitwę w Rudce. Bogdanowicz dnia 17. lutego, zdaje się nie czekając na Neczaja, śmiało uderzył na Moskali; pod przewagą broni i siły, bo Moskale mieli 3 kompanie piechoty i sotnię kozaków, musiał ustąpić. Już po skończonej bitwie nadciągnął Neczaj i uległ temu samemu losowi. Bogdanowicz po bitwie cofnął się do Zazulina [17]); gdy dla obejrzenia pozycyi wyjechał sam konno, został niespodzianie napadnięty przez kozaków dnia 28. lutego i wzięty do niewoli. Został rozstrzelany w Lublinie dnia 9. marca. Neczaj z pod Rudek, mocno osłabiony, cofnął się do Świerza i obozował w lasach około Żalina [18]). Tutaj d. 22. lutego zaatakowali go Moskale w sile 2 kompanii piechoty, szwadronu ułanów, sotni kozaków i 2 dział, gdy Neczaj miał zaledwie 200 ludzi. Otoczony zupełnie przez Moskali został wzięty do niewoli, a oddział cały wymordowany. Neczaja Moskale rozstrzelali w Krasnym Stawie dnia 19. marca.

W województwie Mazowieckiem, po opuszczeniu

[13]) Łowcza, wieś i folwark, pow. chełmski, gm. Bukowa. (P. R.)

[14]) Łęczna, miasto nad rzeką Wieprzem, pow. lubartowski. (P. R.)

[15]) Rudka, wieś, pow. lubartowski. (P. R.)

[16]) Świerze, wieś i folwark, nad Bugiem, pow. chełmski. (P. R.)

[17]) Słownik geogr. miejscowości o takiej nazwie zupełnie nie zna. — Przyborowski D. 1863 r. II. str. 295 podaje ją w tem samem brzmieniu. (P. R.)

[18]) Żalin, wieś i folwark, pow. chełmski, gm. Świerze. (P. R.)

go przez Jeziorańskiego, pozostał tylko Mielęcki. W poprzedniem opowiadaniu o powstaniu w tem województwie zostawiliśmy Mielęckiego w Gosławicach; nie pozostawał tam jednak długo i zwinąwszy obóz, wyruszył ku Bieniszewu [19]) i tu połączył się z oddziałem Garczyńskiego, który 1. marca przeszedł granicę Księstwa z oddziałem, tam utworzonym przez komitet miejscowy wielkopolski, pod przewodnictwem hr. Jana Działyńskiego, a nawet prawie wyłącznie kosztem tego zacnego obywatela i patryoty; oddział ten liczył do 400 ludzi, dobrze uzbrojonych. Obydwa oddziały razem liczyły do 1000 ludzi. Zaraz po połączeniu się, wynikł między dowódcami zatarg o dowództwo, skutkiem czego Garczyński odłączył się i skierował znowu ku granicy, zatrzymując się we wsi Mieczownica [20]). Mielęcki podążył za nim do Dobrosołowa [21]), graniczącego z Mieczownicą. Tu musiał przyjąć bitwę z postępującymi za nimi Moskalami. Garczyński okazał jednak jeszcze tyle patryotyzmu, że usiłował wśród rozpoczętej już bitwy przyjść na pomoc Mielęckiemu, lecz Moskale do połączenia się nie dopuścili, a wzmocnieni przybyłym drugim oddziałem, uderzyli osobno na każdy z oddziałów polskich. Po bohaterskiej obronie i chęci utrzymania się na cmentarzu, który stanowił klucz pozycyi, oba oddziały musiały się cofać ku granicy i tę przejść. Bitwa ta, która toczyła się d. 2. marca, kosztowała życie paruset ludzi. Przechodzących granicę rozbrajali i aresztowali Prusacy. Mielęcki szczęśliwie uszedł niewoli, ale Garczyński poszedł do pruskiego więzienia. W województwie tem powstanie chwilowo przycichło. Raport o tej bitwie złożył Komitetowi komisarz Frankowski. Wywarł on fatalne wrażenie. Był to już nie pierwszy wypadek sporu o dowództwo, który kończył się klęską. Poczucie patryotyczne niezawsze wystarcza do stłumienia ambicyi. W tym wypadku Garczyński był winien, bo wchodząc świeżo na pole walki, powinien się był poddać bez oporu rozkazom Mielęckiego. Nie miał on wprawdzie charakteru wyraźnego naczelnika województwa, ale był jedynym reprezentantem miejscowej władzy wojskowej i od paru tygodni ucierał się z nieprzyjacielem. Jedyną okolicznością, która mogłaby usprawiedliwić Garczyńskiego, była jego przeszłość, choć słaba, ale zawsze wojskowa. Brał on bowiem udział w powstaniu r. 1848. a potem służył w kozakach sułtańskich w wojnie wschodniej 1856. r., gdy Mielęcki był wojskowym nowicyuszem.

[19]) Bieniszewo, wieś, pow. słupecki, gm. Kazimierz. (P. R.)
[20]) Mieczownica, wieś i folwark, pow. słupecki, gm. Ostrowite. (P. R.)
[21]) Dobrosołowo, wieś, pow. słupecki, gm. Kazimierz. (P. R.)

W województwie Kaliskiem egzystował jedyny oddział Oxińskiego. Oxiński, po bitwie pod Kuźnicą Grabowską d. 26. lutego mocno osłabiony, forsownym marszem zwrócił się na południe w Wieluńskie, gdzie ukryty w lasach chciał się wzmocnić, zatrzymał się dnia 1. marca w Świątkowicach [22]). Zaraz nazajutrz dowiedział się o wyprawie nieprzyjaciela, wyszłej z Wielunia, opuścił więc obóz i przeprawił się przez Wartę i doszedł do Grabna [23]), a stąd do Wygiełzowa [24]), gdzie dopędził ścigający go oddział moskiewski dnia 4. marca. Oxiński miał wszystkiego 7. jeźdźców; tym polecił spędzić zastępujących mu odwrót kozaków, co mu się szczęśliwie udało. Zwrócił się znowu na południe, wymknął się szczęśliwie nacierającym na niego Moskalom, a kontrmarszami myląc drogę, opuścił zupełnie województwo Kaliskie i dopiero 6. lub 7. marca zatrzymał się w wielkich lasach Złotego Potoku [25]) w województwie Krakowskiem.

Jak widzimy z tego opowiadania, powstanie przez te kilkanaście dni od objęcia znowu władzy przez Komitet Centralny, t. j. od 24. lutego do 10. marca nietylko się nie podniosło, ale przeciwnie w znacznej części kraju mocno osłabiło. W województwach: Lubelskiem, Kaliskiem i Mazowieckiem około 6. marca nie było już ani jednego oddziału. W województwie Podlaskiem błąkały się dwa oddziałki Lewandowskiego i Lelewela. W województwie Płockiem przez cały miesiąc luty było prawie cicho, dopiero ku końcowi miesiąca rozpoczął działania Padlewski; rokuje pewne nadzieje ożywienia ruchu, przenosząc się w okolice nadzwyczaj dla rozwoju powstania dogodne. W województwie Augustowskiem wreszcie ciągła cisza.

Honor powstania i jego żywotność podtrzymuje tylko Langiewicz w województwach Sandomierskiem i Krakowskiem. W te też okolice zwraca się myśl i serce narodu. Langiewicz po zwycięskich bitwach na św. Krzyżu i w Staszowie zręcznym marszem wywijając się między 4-ma oddziałami moskiewskimi, usiłującymi go osaczyć, zdążał do Małogoszczy, gdzie stanął d. 21. lutego, przyjmowany bardzo uroczyście przez mieszkańców tego miasteczka.

---

[22]) Świątkowice, wieś, pow. wieluński, gm. Naramnice. (P. R.)

[23]) Grabno, wieś i folw. u zbiegu rzek Grabi i Widawki, pow. łaski, gm. Wola Wężykowa. (P. R.)

[24]) O której z trzech wsi tej nazwy (W. Kościelny, Poduchowny i Młodawin), leżących w pow. łaskim tu mowa, rozstrzygnąć nie można — prawdopodobnie jest to Wygiełzów Poduchowny, odl. 14 wiorst od Łaska. (P. R.)

[25]) Potok złoty, wieś i folw., pow. częstochowski. (P. R.)

Jeziorański po zajęciu Rawy, wyśrubowanem przez niego samego do rozmiarów wielkiej bitwy, zbierając po drodze drobne oddziały, zdążał na południe, wkroczył w województwo Krakowskie, stanął tegoż samego dnia 21. lutego w odległości mili od Małogoszczy, gdzie rozłożył się obozem. Obaj wodzowie dowiedziawszy się jeden o drugim dążyli w zamiarze połączenia się. Intencye mieli jednakowe, a jednak różne pod pewnym względem. Langiewicz w tym czasie nie miał wielkich ambicyi, chciał zdobyć większą siłę, by mógł działać zaczepnie i prowadzić dalej dzieło powstania. Że nie miał wielkiej ambicyi dowodzi, o czem już mówiłem, że był gotów zupełnie i dobrowolnie poddać się pod rozkazy Mierosławskiego, jako dyktatora, choć był to jego wróg osobisty. Jeziorański, człowiek próżny, chciwy władzy, pełen ambicyi, chciał także połączyć się, żeby zyskać większe siły, objąć naczelne nad niemi dowództwo i także bić Moskali. Dążąc do Małogoszczy, obydwa w hierarchii wojskowej mieli jedno stanowisko, obaj byli pułkownikami. W chwili, gdy stanęli pod Małogoszczą stanowisko to zmieniło się, bo Langiewicz tu właśnie odebrał nominacyę na generała i naczelnika dwu województw Sandomierskiego i Krakowskiego. Jeziorański o tem zupełnie nie wiedział, a mógł przypuszczać, że obydwaj, schodząc się na terenie województwa Krakowskiego, znajdą się na gruncie neutralnym, nie mającym naczelnika. Po wyjeździe bowiem Kurowskiego, po bitwie Miechowskiej, województwo to istotnie nie miało naczelnika, więc i ta okoliczność zdawała się sprzyjać ambitnym intencyom Jeziorańskiego objęcia naczelnego dowództwa nad mającymi się połączyć oddziałami. Spotkał go zawód, wygórowana ambicya została podrażniona, co odbijało się w całej kampanii Langiewicza, aż do chwili przekroczenia przez niego granicy austryackiej i uwięzienia. Langiewicz okazał bardzo wiele taktu, stanąwszy w Małogoszczu, nie posłał Jeziorańskiemu rozkazu poddania się pod swoje dowództwo, lecz sam pojechał do jego obozu. Jaka była między nimi rozmowa, nie wiedzieliśmy, ale znając charakter i usposobienie Jeziorańskiego, nie wróżyliśmy temu połączeniu powodzenia *). Połączenie nastąpiło d. 22. lutego. Langiewicz zajął miasteczko, a Jeziorański rozłożył swój obóz na cmentarzu poza miastem. Siły tak złączonych oddziałów wynosiły około 2.300 ludzi. Oddziały moskiewskie, które szły w trop tak za Langiewiczem, jak i za Jeziorańskim, rano dnia

*) Rozmowę tę podaje autor „Dziejów r. 1863“ I. str. 465, a zaczerpnął ją z pamiętnika Jeziorańskiego.

24. lutego uderzyły na Langiewicza z 3. stron pod dowództwem Dobrowolskiego, pułkownika, przed powstaniem spiskowca należącego do związku oficerów. Siły moskiewskie podzielone były na 3 oddziały, a liczyły razem około 1.500 ludzi z 4. armatami, w czem mieli stanowczą przewagę. Langiewicz miał także 3 armatki, które przyprowadził Jeziorański, ale te nie mogły równać się artyleryi moskiewskiej. W broni palnej mieli także Moskale stanowczą przewagę. Po Siemiatyckiej była to pierwsza większa bitwa, jaką w tym czasie stoczyli powstańcy. Bitwy szczegółowo opisywać nie mogę, tem więcej, że i raport Langiewicza był bardzo ogólnikowy, a sama treść bitwy była bardzo zawiłą, gdyż Moskale prawie jednocześnie z trzech stron atakowali. Bitwa trwała 4 godziny, powstańcy bili się z wielką brawurą i zaciętością. Gdy kule polskie z powodu słabej broni nie dosięgały, powstańcy rzucali się na bagnety i odpierali Moskali. Jazda szczególniej Jeziorańskiego pod dowództwem Jaszowskiego, którą Langiewicz rzucił na nieprzyjaciela dla zmylenia i zasłonięcia odwrotu, dawała dowody wielkiego męstwa, stanowczości i uporu. Owe trzy armatki robiły swoje, kierowane przez Dąbrowskiego, lecz gdy cała ich obsługa wraz z dowódcą położyła głowy nieprzyjaciel je zabrał. Powstańcy, jakkolwiek liczbą przewyższali siły nieprzyjacielskie, musieli uledz przewadze broni i zapasom amunicyi, której im już w końcu bitwy brakowało. Działa nieprzyjacielskie zasypywały ich kartaczami. Langiewicz w porządku wycofał się z miasteczka, lecz gdy nieprzyjaciel rozporządzeniem swego ataku, chciał zmusić go do odwrotu ku zachodowi i rzucić na wojsko, dążące z Częstochowy, Langiewicz zrozumiawszy te intencye tak kierował swojemi rozporządzeniami, że nim nieprzyjaciel spostrzegł, wycofał się na wschód ku Bolminowi [26]). Moskale swoim zwyczajem, zająwszy Małogoszcz, spalili miasto doszczętnie, mordując i rabując mieszkańców. Langiewicz w bitwie tej okazał wiele zręczności, hartu i osobistego męstwa, co mu nawet Jeziorański

---

[26]) Bolmin, wieś, pow. kielecki, gm. Zajączkowska. (P. R.)

*) Jak się później, bo już na emigracyi, dowiedziałem od naocznych świadków, panna Pustowójtów (w wojsku pan Michał), będąc w tej bitwie po raz pierwszy w ogniu, dała dowody prawdziwie męskiej odwagi, zachęcała przykładem, w razie potrzeby płazowała nawet chcących rejterować, a gdy okazała się konieczna potrzeba przejścia przez dosyć głęboką rzeczkę Łosnę, a spostrzegła w szeregach pewne wahanie się, schwyciła za karabin i rzucając się w rzekę wyżej pasa, pociągnęła za sobą wszystkich. W późniejszych bitwach dawała zawsze dowody niezwykłego męstwa i odwagi. Całem swojem przytem postępowaniem, zawsze pełnem powagi, godności i skromności, umiała sobie zjednać szacunek wszystkich swoich towarzyszy broni.

przyznawał, był ranny w nogę i ubito pod nim dwa konie. Bitwa była właściwie przegraną, tylko Langiewicz zręcznie się z matni wycofał, a mógł był tej matni zupełnie uniknąć. Wiedział dobrze, że Moskale z trzech stron na niego ciągną i że mogą ulerzyć na niego jednocześnie. Oddział jego był silniejszym od każdego pojedynczego oddziału moskiewskiego i mógł zrozumieć, że gdy te oddziały się połączą, to będą od niego silniejsze, powinien więc był do połączenia nie dopuścić, lecz na każdy pojedynczy oddział moskiewski uderzyć całą siłą. Pierwszy go atakował Dobrowolski i znalazł się w bardzo przykrej pozycyi i mógł być łatwo pobitym, gdyby mu nie był przyszedł w pomoc drugi oddział, od południa idący. Langiewicz nie lubił się bić w otwartem polu. Straty polskie wynosiły w poległych i rannych około 300 ludzi. Rannych, jak zawsze, Moskale dobijali i obdzierali. „Dziennik powszechny", donosząc o tej bitwie rozpowiada, że Langiewicz został doszczętnie rozbity, że sam ranny uszedł do Sandomierza, że miał 5.000 ludzi, a zabitych 500. Wojska carskie nie miały wcale zabitych, a rannych zaledwie kilku. Gdy pułkownik moskiewski Czengiery, który od strony południowo-wschodniej miał atakować Langiewicza, spostrzegł, że go już niema, puścił się za nim w pogoń ku Bolminowi, lecz już go tam nie zastał.

Langiewicz w Bolminie zatrzymał się tylko tyle czasu, aby uporządkować swoje wojsko i pomaszerował w kierunku południowo-wschodnim do Podzamcza, a stąd wrócił nagle na południowy zachód i lasami dotarł do Nagłowic [27]), a stąd do Słupi [28]). Tu odpoczął i przez Szreniawskie lasy [29]) doszedł do Pieskowej Skały [30]) i stanął tam dnia 2. marca. Z Pieskowej Skały przesłał Langiewicz raport o bitwie pod Małogoszczem. Ponieważ wszyscy oficerowie byłego osobnego oddziału Jeziorańskiego pełnili obowiązki tylko z woli swego dowódcy, Langiewicz, jako wódz naczelny dwóch województw, kazał wręczyć im formalne nominacye w imieniu Rządu Narodowego. Tu wylazły na wierzch intrygi Jeziorańskiego i jego zauszników, jak Tomasza Winnickiego, jego szefa sztabu. Oficerowie nie chcieli przyjmować tych nominacyi, twierdząc, że otrzymali je już od swego prawego naczelnika i żądali od Jeziorańskiego, by je swoim podpisem, jako wódz naczelny

[27]) Nagłowice, wieś i folw. nad rzeką Nidą, pow. jędrzejowski. (P. R.)

[28]) Słupia, wieś i folw. nad rzeką Pilicą, pow. włoszczowski. (P. R.)

[29]) Szreniawa, wieś i folw. nad rzeką Szreniawą, pow. miechowski, gm. Tczyca. (P. R.)

[30]) Pieskowa Skała, zamek i dobra, pow. olkuski, gm. Sułoszowa. (P. R.)

potwierdził. Aktem tym oficerowie chcieli zaznaczyć, że nie uznają Langiewicza jako naczelnego wodza. Jeziorański okazał jednak tyle taktu, że tego odmówił, zachęcając do zgody i jedności. Langiewicz dowiedziawszy się wieczorem o nadciągającym nieprzyjacielu, a nie chcąc tu przyjmować bitwy opuścił w nocy Pieskową Skałę. Zostawił tu tylko batalion piechoty strzelców i kilkudziesięciu umieszczonych w zamku. Raniutko 4. marca Moskale zbliżyli się, lecz strzelcy polscy odparli ich i poszli za główną siłą ku Skale. Inny oddział moskiewski tegoż dnia rano uderzył na zamek, zdobył go szturmem, wszystkich tam będących wymordował, a zamek zrabował i spalił doszczętnie. Langiewicz rano 4. marca, dochodząc do Skały, dowiedział się, że na cmentarzu biwakują Moskale, uderzył na nich, prowadząc sam atak. Zdobył cmentarz, zadając ciężkie straty nieprzyjacielowi, który w nieładzie ratował się ucieczką. W bitwie tej zginął rosyanin Potiebnia, jeden z nielicznych, którzy walczyli w szeregach polskich *). Langiewicz, odpocząwszy w Skale, przez Ojców dotarł do Goszczy [31]), gdzie stanął dnia 6. marca i stąd wysłał raport o zaszłych z nieprzyjacielem utarczkach. Wiemy już z poprzedniego opowiadania, że gdy Kurowski udając się do Miechowa opuścił Ojców, chłopi z Ojcowa zrabowali tamtejszych mieszkańców, a pozostawionych tam rannych powstańców wymordowali. Langiewicz przyszedłszy teraz do Ojcowa, rozkazał zrobić rewizyę we wsi, gdzie też znaleziono wiele przedmiotów z rabunku. Winnych aresztowano, a sąd wojenny złożony z trzech żołnierzy, wójta i dwóch starszych poważnych wło-

*) Potiebnia był bardzo czynnym członkiem związku oficerów przed powstaniem. On to strzelał do namiestnika Lüdersa w ogrodzie Saskim. Gdy wybuchło powstanie, pospieszył do obozu Langiewicza. Nie wahał się on walczyć przeciwko swoim, bo to byli niewolnicy carscy, który i jego ojczyznę uciskał. Jedyny Rosyanin, który uwierzył polskiemu sztandarowi i polskiemu hasłu: „za waszą i naszą wolność!“ — wierzył, że Polacy pozostaną wierni temu hasłu i przez wolną Polskę zaświta wolność i dla jego ojczyzny, że zwycięskie polskie powstanie skruszy siłę moskiewskiego tyrana. Zginął na czele kosynierów, szturmujących cmentarz w Skale, ugodzony kulą w samo serce. Cześć bohaterowi wolności! Autor „Dziejów 1863 r.“ T. I. str. 488 i 489 opowiada o Potiebni: „przybył do Langiewicza do Skały z propozycyą utworzenia tryumwiratu Wysockiego, Mierosławskiego i Langiewicza, więc z propozycyą jakiegoś zamachu. Znałem bardzo wielu ludzi, którzy w tym czasie byli u Langiewicza i blisko jego osoby, jak Gustaw Reutt, jego adjutant, panna Henryka Pustowójtów, Dr. Stanisław Lewenhard, lekarz oddziału i wielu innych i nigdy nic podobnego od nich nie słyszałem, a taić przedemną nie mieli potrzeby. Wszyscy zresztą mówili o Potiebni ze czcią, jako o człowieku idei. Autor wspomniany tem opowiadaniem robi z Potiebni warchoła i intryganta wielkiego gatunku, ale to już zwyczaj i system tego autora.

[31]) Goszcza, wieś kościelna i folw., pow. miechowski, gm. Luborzyca. (P. R.)

ścian, skazał trzech chłopów na karę śmierci, a sześciu na chłostę. Langiewicz zmienił wyrok w ten sposób, że tylko urlopnika i głównego herszta powieszono, pięciu ukarano chłostą, a resztę uwolniono.

Raport Langiewicza z Goszczy odebraliśmy w Warszawie 9. albo 10. marca. W raporcie tym Langiewicz zawiadamiał, że przybył do Goszczy z zamiarem pozostania tam czas dłuższy, gdyż chce korzystać z bliskości granicy, uporządkować i wzmocnić oddział swój, nadwyrężony skutkiem licznych starć z nieprzyjacielem, zaopatrzyć się w broń i amunicyę z Galicyi i wreszcie dać odpoczynek wojsku, zmęczonemu ciągłemi od Małogoszcza marszami. Istotnie położenie Goszczy było bardzo do osiągnięcia tych wszystkich celów odpowiedniem.

Nikomu z nas na myśl nawet nie przychodziło, że tu właśnie miał się zrodzić akt pierwszorzędnej doniosłości. Cała siedmiotygodniowa kampania Langiewicza, jakkolwiek nie wydała zupełnie konkretnych wyników, jednak przez ruchliwość jego kierunku nabrała charakteru pewnej poważnej siły i znaczenia. Dla Moskali stawała się nawet groźną. To też gdy w całej reszcie kraju powstanie zaledwie objawiało swoje istnienie, a w województwach Sandomierskiem i Krakowskiem trwało, uwaga, jak powiedziałem, całego kraju pilnie śledziła jego przebieg i pokładała w nim nadzieję zwycięstwa. Ogłaszane biuletyny o wiadomościach z pola bitwy informowały dostatecznie o przebiegu powstania i podnosiły znaczenie Langiewicza. Korespondencye Gillera do „Czasu“, pisane barwnie, informowały zagranicę i przedstawiały powstanie polskie, jako silny ruch narodowy. Komitet Centralny wspierał Langiewicza wszelkiemi, jakie tylko mógł wydobyć środkami i zasobami, starał się, by nie brakło pieniędzy. Gorliwość w tym względzie posuwał Komitet aż do drobiazgowości, bo staraliśmy się nawet dla podniesienia powagi Langiewicza przesyłać mu zawsze część pieniędzy w złocie. Władze prowincyonalne odbierały rozkazy dawania mu wszelkiej pomocy. Kobiety warszawskie i patryotki zebrały składkę i zakupiły dla Langiewicza szpadę honorową. Sława Langiewicza rosła. Komitet Centralny w podnoszeniu tej sławy i znaczenia jego miał jedynie na celu dobro sprawy, dodanie otuchy całemu krajowi i podsycanie powstania, wskazaniem przykładu, ruchliwości i działalności Langiewicza. Niestety sława, łatwo nabyta, ludzi psuje, wywołuje i rozbudza ambicye, sięgające ponad siły i zdolności. Sława Langiewicza pchała go na niewłaściwe drogi, zgubiła go

Eigentum
Heeresarchiv-Zweigstelle
Danzig

a powstaniu uczyniła szkodę. Do zejścia na niewłaściwą drogę i do sięgnięcia po władzę, do której niedorósł i której utrzymać nie mógł, dopomogli mu ludzie, mający na celu nie dobro sprawy, lecz swoje stronnicze plany i zamiary. Langiewicz ich nie przejrzał, bo go własna ambicya i nizkie a podstępne działanie intrygantów, oślepiły.

ROZDZIAŁ V.

Dnia 12. marca o wcześniejszej niż zwykle, godzinie rannej, bo już, zdaje mi się, o 8. rano, zebraliśmy się w mieszkaniu Oskara Awejdy, na zwykłe posiedzenie Komitetu. Przedmiotem obrad miała być jakaś ważna sprawa, finansowa czy wojskowa, dobrze nie pamiętam. Oczekując na zebranie się pełnego kompletu, było nas bowiem tylko czterech: Bobrowski, Awejde, Majkowski, Janowski, gdyż Giller i Królikowski spóźnili się, rozmawialiśmy o sprawach bieżących, a między innemi zwrócił ktoś uwagę, że to już czwarty dzień upływa od naznaczonego Mierosławskiemu terminu objęcia dyktatury, i omawialiśmy następstwa, gdyby dyktator tego terminu nie dotrzymał. Ujawniło się nawet zdanie, że może nawet byłoby dobrze, żeby nie dotrzymał, gdyż mielibyśmy rozwiązane ręce, że nawet myśl dyktatury wojskowej w tem stadyum powstania nie była zbyt szczęśliwą, bo zanadto ściśle wiązała los powstania z powodzeniem wojskowem dyktatora. W ciągu tych rozmów, które z godzinę trwały, wszedł Giller, a przywitawszy się i przeprosiwszy za opóźnienie, oświadczył, że przychodzi z ważną i bardzo szczęśliwą nowiną, że: „mamy dyktatora". Na to któryś z nas się odezwał: „No przecie! właśnieśmy o Mierosławskim mówili". Giller, nie odpowiadając na tę uwagę, wyjął z kieszeni jakiś papier, rozwinął go i położył na stole, mówiąc: „Langiewicz ogłosił się dyktatorem, a to jest jego proklamacya".

Był to jakby grom z jasnego nieba. Z najwyższem zdumieniem i ciekawością rzuciliśmy się na wielki zadrukowany papier. Ktoś z nas wziął go do rąk i zaczął czytać. Otoczyliśmy czytającego i z wlepionemi w papier oczyma, z zapartym oddechem, słuchaliśmy. Gdy przyszedł ustęp, w którym Langiewicz powoływał się w proklamacyi, że dyktaturę bierze w porozumieniu i za zgodą

Komitetu Centralnego, jako tymczasowego Rządu Narodowego, czterej razem jednogłośnie zawołaliśmy: „To fałsz, skąd masz tę proklamacyę?“ Giller najspokojniej odpowiedział: „Dziś rano ją odebrałem“.

Byliśmy tak wzburzeni tem fałszywem powołaniem się na porozumienie i zgodę z nami, że żaden z nas wprost nie mógł się odezwać. Zaległa cisza. Spoglądaliśmy tylko po sobie, jakby się śledząc wzajemnie, czy pomiędzy nami jest jaki winowajca. Spojrzenia nasze były jasne, czyste; na Gillera twarzy malowało się wielkie zadowolenie.

Po chwilowej ciszy powstała burzliwa i namiętna nawet dyskusya; wszyscy razem mówili, bo każdy chciał jak najprędzej wyrazić swoje uczucia. Streściły się one w tem: że niepodejrzywając żadnego z kolegów, domyślaliśmy się jakiejś kabały, jakiejś intrygi, której uległ Langiewicz, a w którą i nas wbrew istotnej prawdzie wciągnięto.

Proklamacya była datowana z Goszczy d. 10. marca. Langiewicz w ostatnim swoim raporcie, także z Goszczy d. 6. marca datowanym, zapowiadał zamiar zatrzymania się tam dni parę z powodu bliskości granicy i łatwej komunikacyi z Krakowem. Nawet cienia jakiejś wzmianki o innych zamiarach jakichkolwiek w raporcie tym nie było. Skorzystano wyraźnie z tej okoliczności i naprzód uknuto intrygę, omotano Langiewicza. Domyślaliśmy się wpływu i działania ludzi niechętnych powstaniu, którzy je jakimkolwiekbądź sposobem chcieli, jeżeli nie zabić, to przynajmniej sparaliżować. Usiłowania podobne już widzieliśmy z Bończą i z tym samym Langiewiczem. Albo przypuszczaliśmy działania dyplomatów, którzy niechętnem patrząc okiem na rząd tajemny, z ludzi b e z n a z w i s k złożony, chcieli mieć w dyktatorze narzędzie, powolne swoim zamiarom i widokom. A podobne działania tych ludzi znaliśmy dobrze z powstania r. 1831. i z powołania wówczas na dyktatora Skrzyneckiego. Mogła wreszcie owa intryga być uknuta przez ludzi życzliwych powstaniu, lecz tylko nie przyjaznych dyktaturze Mierosławskiego. Ale, jeżeli ta okoliczność skłoniła Langiewicza do ogłoszenia się dyktatorem, dlaczego oparł się fałszywie na porozumieniu się i zgodzie z Rządem? To nas najwięcej oburzyło już wprost przeciw osobie Langiewicza, a w najwyższym stopniu zaniepokoiło o przyszłość samego powstania. Fałsz w samem założeniu nie mógł płynąć z czystych zamiarów. Położenie wydawało się nam nadzwyczaj groźne. Widzieliśmy drugą dyktaturę i drugiego dyktatora, ale poza tem tak wielką nie-

pewność, tak wielkie ciemności, że najmniejsze światełko jakiejś przyszłości przedrzeć się przez nie niemogło.

Gdyśmy tak na przemian to oburzenie, to niepokój, niepewności, obawę i t. p. miotające nami uczucia wyjawiali, Giller został spokojny, usiłował uspokajać nasze obawy i przekonywać o najlepszych dla powstania skutkach, wyniknąć stąd mogących; starał się nas przekonać, że dyktatura Langiewicza będzie nieskończenie pożyteczniejszą i lepszą od dyktatury Mierosławskiego, która i tak już przecie skończyła się 8. marca, bo dotąd nie dał on żadnego znaku życia. Wiedzieliśmy, że Giller był stanowczym, zdecydowanym, politycznym nieprzyjacielem Mierosławskiego, więc ta przez niego zestawiona paralela obudziła jakiś cień podejrzenia, że Giller mógł, jeżeli nie współdziałać, to przynajmniej wiedzieć o zamiarach Langiewicza. Odsuwaliśmy jednak od siebie ten cień podejrzenia, bo przecież sama uczciwość, same koleżeństwo w pracy nakazywały, zamiast potajemnie a fałszywie, otwarcie się z nami porozumieć.

Niebawem nadszedł i Królikowski z tą samą nowiną i z proklamacyą w ręku, którą także rano miał odebrać i tak samo, jak Giller, i tymi samymi argumentami bronił postępku Langiewicza. Królikowskiego znaliśmy mało, ale wiedzieliśmy, że przez niejakiego Janczewskiego, swego kuzyna, i przez Daniłowskiego miał bardzo blizkie stosunki z garścią młodzieży, zwolenników Mierosławskiego. Tymczasem Królikowski tak samo jak Giller przedstawiał wyższość i większe korzyści z dyktatury Langiewicza przeciw Mierosławskiemu. Cóż to mogło znaczyć? Zadawaliśmy sobie pytania, dlaczego proklamacye przysłano Gillerowi i Królikowskiemu, a nie jednemu z nas, szczególnie dlaczego nie Bobrowskiemu, o którego stanowisku w Rządzie wiedział doskonale Langiewicz jeszcze ode mnie na św. Krzyżu. Błąkaliśmy się w manowcach, których żadne światło rozjaśnić nie mogło. Umysły nasze były tak tym niespodziewanym i taką jakąś tajemnicą okrytym wypadkiem zaskoczone, żeśmy nie byli zdolni do powzięcia jakiegoś postanowienia. Odroczyliśmy więc posiedzenie do dnia następnego *).

*) Autor „Dziejów roku 1863.“ (T. II. str. 56.) mówiąc o tem posiedzeniu Rządu powiada: „Tegoż dnia, w którym w Warszawie pojawiła się odezwa dyktatoryalna, wieczorem zwołano posiedzenie Rządu tymczasowego, na które, jak to zawsze bywało, przybyło wielu członków organizacyi miejskiej“. Jest to absolutnie nieprawdziwem. Na posiedzeniach Rządu nigdy i nikt, oprócz członków Rządu, nie bywał i w naradach nie brał udziału. Autor powołuje się na rękopis Tomasza B. (Burzyńskiego), ale ten w swych wspomnieniach (W. M. do H. P. T. IV. str. 188.) mówi o posiedzeniu Rady miejskiej, a nie o posiedzeniu Rządu. To posiedzenie Rady miejskiej mogło się odbyć, albo wieczór już po posiedzeniu

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Polit.-Wych.

Ciężkie mnie myśli opanowały, a sądzę, że również i moich kolegów. Jakaś widocznie fatalność ciążyła nad powstaniem. Dwa miesiące już prawie upływało od rozpoczęcia wojny, a tymczasem żaden rząd nie mógł się dotąd ustalić i wziąć w silne ręce naczelnego jego kierunku. I teraz, zaledwie że rozpoczęliśmy jakieś prace kierownicze pierwszorzędnej doniosłości, gdy dyktatura Mierosławskiego, dotąd nieogłoszona i nieujawniona, zdawała się już być pogrzebaną, aliści dyktatura Langiewicza psuje i przerywa wszystko. Kierunek zwichnięty i wytrącony przez najprzykrzejszą sytuacyę, jaka tylko być może, bo przez zupełnie ciemną i niepewną tymczasowość. Nic tak nie odbiera siły i energii jak poczucie, że z dnia na dzień tylko żyje się i działa. Langiewicz, choć dyktator, faktycznie władzą swoją poza granice powierzonych sobie województw sięgnąć nie może i działanie jego tylko do wojskowości ograniczyćby się musiało. Pomimo najlepszych nawet chęci, nie mógłby on się zająć żadnemi innemi sprawami. Nie mając żadnej zdobytej i oczyszczonej od nieprzyjaciela części kraju, zmuszony do ciągłego przenoszenia się z miejsca na miejsce, nie mogąc nigdzie nawet 24. godzin spokojnie pozostać, nie mógłby spełnić żadnych obowiązków, które spoczywałyby na nim, jako na naczelniku z nieograniczoną władzą, w powstaniu będącego narodu. Nieprzyjaciel rzuci na niego, jako na widomą głowę powstania wszystkie siły a on niema dostatecznych, by natarciu wroga się oprzeć. A jeżeli uledz będzie musiał, co się z powstaniem stanie? czy go upadek dyktatora nie zabije? a kraju na nieobliczalne klęski nie narazi? Co gorsza, czy ogłoszenie dyktatury Langiewicza nie wywoła wojny domowej? Jakkolwiek dyktatura Mierosławskiego faktycznie nie była ogłoszona, a akt z 21. stycznia przez samo niedotrzymanie terminu 8. marca stracił moc wszelką, to jednakowoż, czy Mierosławski tak łatwo ustąpi? czy, wsparty przez swoich zwolenników, nie będzie chciał siłą dochodzić rzekomych praw swoich? Widmo wojny domowej tak mnie grozą przejmowało, że pozbawiało swobody myśli.

Ważne też bardzo nasuwało się pytanie, co zrobić z dyktaturą Langiewicza wobec fałszu wyraźnego, w proklamacyi zawartego? Czy fałsz ten odkryć i napiętnować jawnie wobec narodu i dykta-

Rządu d. 12. marca, a prawdopodobnie dopiero d. 13. marca już po uchwałach, na posiedzeniu Rządu powziętych. Dopiero bowiem d. 13. marca przyszła do Warszawy większa ilość proklamacyi Langiewicza, a 12. marca były tylko te dwa egzemplarze, które miał Giller i Królikowski. Bobrowski umiał szanować tajemnicę posiedzeń Rządu i dopiero po uchwałach, powziętych d. 13., mógł Radę miejską zawiadomić o nich.

tury nie uznać? Czy też dyktaturę uznać i fałsz ulegalizować przyznaniem, że porozumienie z Rządem istniało rzeczywiście? Przez nieuznanie dyktatury moglibyśmy fatalne dla powstania sprowadzić następstwa. Przedewszystkiem szkodliwe rozdwojenie. Byłem przekonany, że wojsko Langiewicza bynajmniejby głosu naszego nie usłuchało i dyktaturę za legalną uznało. Rozgłośna sława Langiewicza, do której sami przyczyniliśmy się niemało, mogła mu była zjednać zwolenników w narodzie i poza obrębem jego działania. Nieuznanie mogło zatem w całym kraju wywołać opór, a na Rząd rzucić podejrzenie, że dla prostej chęci utrzymania się przy władzy, rzucamy w naród zamieszanie i zaród wojny domowej. Nadto, chcąc się sprzeciwić faktycznie dyktaturze, należało odkryć przed narodem fałsz, w proklamacyi popełniony w samem zaraniu jego władzy, rzucić na niego ohydę fałszu i podstępnej intrygi, a tem podkopać uznanie i wiarę, jaką miał w nim naród. Trzeba było nadto mieć odpowiednią siłę wojskową, by opór samego Langiewicza i jego zwolenników złamać od razu. Tej siły absolutnie nie mieliśmy, a chociażbyśmy ją posiadali, czyżby było rzeczą bezpieczną, a przedewszystkiem patryotyczną, wystawiać powstanie w samym jego początku na pastwę wroga przez wzniecenie nieporozumienia i wojny domowej? Sama ta myśl przejmowała mnie zgrozą. Nie! żadna siła do takiego kroku skłonićby mnie nie mogła. Nieuznanie Langiewicza otwierałoby na oścież pole działania Mierosławskiemu. Przyznam szczerze, że straciłem już był zupełnie wiarę w niego i cieszyłem się, że się dotychczas do danego mu terminu nie zastosował i tem samem rozwiązał nas ze wszystkich, względem niego, zobowiązań. Mierosławski wogóle nie miał wielkiego miru w narodzie, stały przy nim garście młodzieży, więc nawet wojna między dwoma dyktatorami, gdyby i Rząd tymczasowy stanął przy Langiewiczu, nie byłaby tak groźną i łatwoby się dała uśmierzyć. Bądźcobądź byłaby to zawsze wojna domowa. Wszystko więc przemawiało zatem, żeby dyktaturę Langiewicza uznać, fałsz nie tylko zataić, ale formalnie przyznać, że porozumienie istniało.

Nieznaliśmy tajemnic ukrytej intrygi, nie wiedzieliśmy pod wpływem jakiego gatunku ludzi Langiewicz dyktaturę przyjął, należałoby go więc wszelkim sposobem od tego wpływu na przyszłość uwolnić. Należało mu narzucić warunki takie, żeby, zostawiając mu nominalnie tylko wszechstronny kierunek, pozostawić mu zupełną swobodę wojskowego działania, zaś cały kierunek polityczny i administracyjny faktycznie zatrzymać w swem ręku.

Znaliśmy dobrze polityczne przekonania Langiewicza, że one są zupełnie zgodne z naszemi. Mogliśmy mieć to przekonanie, że uzna i słuszność i dobrą wiarę naszą i że z taką samą dobrą wiarą przyjmie te warunki, tem więcej, że przy takim podziale władzy będzie mógł mieć zupełną i niczem niezamąconą swobodę w najgłówniejszem działaniu, w kierownictwie wojskowem powstania.

Ciężki to był dzień, nie tylko dla mnie, ale dla nas wszystkich, cośmy u steru stali, bo w gruncie rzeczy nikt inny, tylko my sami byliśmy winni. Niech następcy nasi, gdy przyjdzie znowu do czynu, głęboko sobie do serca wezmą, niech na włos nie spuszczają z pamięci tej prawdy, że ten tylko sprawę, czy dzieło jakieś prowadzić może i powinien, kto dał mu początek z rozmysłem, rozwagą i całem głębokiem przekonaniem. Twórcy listopadowego powstania zgrzeszyli tem, że nie mieli odwagi wziąść w swe ręce kierunku sprawy, którą przygotowali i w formę czynu oblekli. Kierunek, zostawiany na bruku, znajdzie zawsze ludzi pochopnych do objęcia władzy, bo są jej chciwi. Lecz, jeżeli ci ludzie nie są przejęci tym duchem, który napełniał istotnie i rozgrzewał piersi właściwych twórców dzieła, nie dozwolą oni czynowi rozwinąć się i pójść drogą właściwą, prowadzącą do właściwego celu, lecz gwałtem go wtłoczą w ciasne ramki swych własnych ambicyi, widoków i krótkiego rozmiaru, zwichną go, spaczą i zabiją. My chcieliśmy uniknąć błędu podchorążych, tworząc dyktaturę Mierosławskiego. Lecz również jak oni zgrzeszyliśmy skromnością i brakiem wiary w siebie. Zdawało się nam, że, przygotowując zawczasu władzę powstańczą w formie dyktatury, unikniemy błędu naszych poprzedników. Chybiliśmy w wyborze człowieka i sprowadziliśmy sami ten stan tymczasowy, który, jak widzimy, w dwa miesiące po powstaniu trwał jeszcze ciągle. Lecz błąd nasz, faktycznie i ściśle rzeczy biorąc, nie leżał w istocie w tem, żeśmy władzę w złe i niegodne ręce oddali, lecz w tem, żeśmy ją z rąk naszych wypuścili. Jakąkolwiek byłaby władza i kierunek, byłby on zawsze lepszy niż żaden, byłby lepszy, bo byłby wykonywany przez tych samych ludzi, którzy rozumieli dokładnie cały stan sprawy w chwili rozpoczętego działania, którzy rozumieli ducha ożywiającego, bo oni sami dali mu formę czynu, bo mieli pełne i głębokie przekonanie i wiarę w to, co robią. Lepszy wreszcie byłby taki kierunek, jaki byliśmy w możności mu nadać, jaki nakoniec nadaliśmy po upadku dyktatury Langiewicza, jak żaden, bo jak powiadam, do tej chwili powstanie zupełnie kierunku było pozbawione. Że zaś, pomimo to wszystko, powstanie istniało i nawet rozwijało się i potężniało, było dowodem silnej

zywotności narodu, gorąco pragnącego wolności, było dowodem żywotności i potrzeby samego powstania. Było to także pięknem i wzniosłem świadectwem dla jednostek, które samodzielnie, czy to na polu wojennem, czy administracyjnem, dla dobra i pomyślności powstania pracowały.

Nazajutrz d. 13. marca zebraliśmy się rano w mieszkaniu, zdaje mi się, Królikowskiego. Na wstępie dowiedzieliśmy się z ust Gillera, że Langiewicz wzywa do siebie Gillera na I-go sekretarza generalnego, a Leona Królikowskiego na ministra spraw wewnętrznych, że drugim sekretarzem generalnym miał być Kantak, znany poseł W. Ks. Poznańskiego na sejm berliński. Powołanie Gillera i Kantaka nie zdziwiło nas bynajmniej, bo pierwszego Langiewicz znał dobrze jeszcze z czasów bytności jego, t. j. Gillera, w Paryżu jeszcze przed powstaniem w listopadzie 1862 r., gdy razem z Padlewskim Zygmuntem jeździli dla ustanowienia Komisyi broni i porozumienia się z emigracyą; znał go wreszcie i w Warszawie, jako osobistość główną, wówczas kierującą w Komitecie Centralnym. Kantaka znać musiał Langiewicz, jako sam pochodzący z Poznańskiego, a znać go musiał także z jego działalności pod każdym względem dodatniej, jako posła i obywatela. Ale dziwiło nas powołanie Królikowskiego, którego Langiewicz nie znał absolutnie, nie tylko osobiście, ale nawet z nazwiska. Było to więc Langiewiczowi przez kogoś podszepnięte i to przez kogoś mocno w tem interesowanego. Odsłaniało to jakiś rąbek tajemniczej intrygi. Byliśmy jednak tak przejęci ważnością sprawy, nad którą mieliśmy się zastanawiać, żeśmy nie mogli w tej chwili głębiej tej sprawy badać, nie pytaliśmy się nawet Gillera, jaką drogą i od kogo wiadomość o tych nominacyach otrzymał. Przeszliśmy też szybko do tej bieżącej sprawy. Dnia wczorajszego, po posiedzeniu, nie porozumiewaliśmy się wcale, a jednak dzisiaj wszyscy czterej wypowiedzieliśmy prawie zupełnie zgodne przekonania, tak we wnioskach, jak i w motywach. Wnioski nasze były: dyktaturę Langiewicza uznać, wysłać do niego delegacyę z łona Komitetu, która ma go objaśnić, że dopuścił się w proklamacyi fałszu o porozumieniu z Komitetem, bo nikt z nas o zamierzonej dyktaturze nie wiedział, że fałsz ten pomijamy milczeniem, ale za to żądamy bezwzględnie i stanowczo udziału Komitetu w tym samym, jak jest dzisiaj składzie w rządzie powstańczym, a mianowicie: Langiewicz, jako dyktator, zatrzyma przy sobie pełną władzę wojskową, a Komitetowi w Warszawie da nieograniczone pełnomocnictwo do rzeczywistego rządzenia i administrowania powstaniem, że żadnego

kroku politycznego nie zrobi bez poprzedniego z tymże Komitetem porozumienia. Łączność z Komitetem będzie utrzymywał przez swego generalnego sekretarza. Stan ten trwać będzie dopóty, dopóki dyktator nie zdoła opanować i oczyścić z nieprzyjaciela tak znacznej części kraju, w którejby rząd jawny, regularny, mógł skutecznie, bezpiecznie i spokojnie pracować. Wnioski te motywowaliśmy prawie jednozgodnie tak, jak to już wyżej przedstawiłem. W dyskusyi Giller zupełnie się do tych naszych wniosków przychylił bez zastrzeżeń. My zgodziliśmy się na zupełne uznanie nominacyi Gillera na I-go generalnego sekretarza. Królikowski z początku oponował przeciwko proponowanemu rozdziałowi władzy. Musiał naturalnie oponować, bo przez ten wniosek odpadała jego nominacya na ministra spraw wewnętrznych. Zdołaliśmy go jednak przekonać, że przecież w tem stadyum powstania o jawnem ministeryum przy dyktatorze mowy być nie może, co najwyżej, takie ministeryum mogłoby być utworzone poza granicami Królestwa, coby było nie tylko szkodliwem, ale nawet niemożliwem. Zresztą warujemy skład Komitetu w Warszawie taki sam, jaki jest obecnie, więc on, Królikowski w tej drugiej połowie rządu będzie miał udział. Wnioski powyższe w zasadzie przez nas wszystkich sześciu przyjęte zostały.

Następnie zastanawialiśmy się nad kwestyą, czy i kiedy Komitet ma ze swej strony zawiadomić naród o dyktaturze Langiewicza? Pierwsze pytanie: czy Komitet ma obowiązek od siebie wydać proklamacyę o dyktaturze zostało potwierdzone jednogłośnie i prawie bez dyskusyi. Co do drugiej części pytania, kiedy ta proklamacya ma być wydaną, zdania były podzielone. Jedni uznawali konieczność ogłoszenia dyktatury zaraz, inni sądzili, że proklamacya może być wydana dopiero po zgodzeniu się dyktatora na postawione warunki. Pierwsi, t. j. Giller, Królikowski i ja, broniliśmy naszego zapatrywania, opierając się na powziętej już uchwale uznania dyktatury i na motywach, które do powzięcia jej nas skłoniły i na instrukcyi, którą mają dostać nasi delegaci. Że niema obawy, żeby Langiewicz warunków nie przyjął, bo w takim razie wyjawimy fałszywe powołanie się na porozumienie się z Komitetem i to może go tak w opinii narodu skompromitować, że będzie musiał złożyć dyktaturę. Że, jeżeli Langiewicz uległ naciskowi i intrydze ludzi, niechętnych powstaniu, którzy dążą do objęcia władzy w zamiarach wrogich dla powstania, to warunki nasze dadzą mu sposobność uwolnienia się z pod nacisku, że bądźcobądź Komitet posiada pewną siłę moralną i nawet nieprzyjaciele

powstania muszą się z nią liczyć, a tem więcej musi się z nią liczyć Langiewicz. W końcu jeszcze zwróciliśmy uwagę, że proklamacya Langiewicza jest już znaną w całym kraju, że w Warszawie wiadomość o dyktaturze była już głośną i przyjęto ją z wielkim zapałem, Komitet zatem musiał się odezwać. Argumenty nasze przekonały kolegów i jednogłośnie uchwaliliśmy potrzebę wydania proklamacyi zaraz po wyjeździe delegatów.

Dnia następnego, 14. marca, zajmowaliśmy się bliższem określeniem i sformułowaniem warunków, które delegaci mieli podać Langiewiczowi. Warunki te spisano; przyjęliśmy projekt proklamacyi Komitetu. Wreszcie Komitet wyznaczył Gillera i Janowskiego na delegatów do Langiewicza.

Dnia 15. marca wyjechaliśmy z Gillerem do Krakowa. I w tej podróży towarzyszyła mi żona, chcąc wszystko ze mną podzielać. Drogę na Kraków, chociaż dalszą, wybraliśmy dlatego, by pewniej i bezpieczniej dostać się do Langiewicza przez Galicyę. Granica galicyjska była zupełnie od Moskali wolną między Krakowem i Sandomierzem. Jadąc wprost przez Kielce mogliśmy mieć przeciętą drogę przez oddziały moskiewskie, z którymi Langiewicz ciągle się ucierał. Mając tak ważne zadanie do spełnienia, nie mogliśmy się narażać na możliwe przyaresztowanie. Tego samego dnia, przed wieczorem, stanęliśmy w Granicy. Jakkolwiek komora graniczna od strony moskiewskiej była zupełnie wolna, jednakże Austryacy w tem miejscu dosyć pilnie strzegli granicy i koleją żelazną nikt absolutnie bez paszportu lub karty granicznej nie mógł granicy przejechać. Paszportów zagranicznych nie mieliśmy, więc postanowiliśmy przejść granicę w nocy z przewodnikiem. Czas naglił, trzeba było iść piechotą. Ciężka czekała nas przeprawa, bo przeszło milę trzeba było iść po znanych w tej okolicy piaskach. O dobrym zmroku wysłaliśmy naprzód przewodników dla opatrzenia drogi, dobrego miejsca i pory właściwej. Około g. 10. wyruszyliśmy my oboje, Giller i jeszcze parę innych, nieznanych nam osób. Postępowaliśmy wolno i w jak największej ciszy, zdala tylko słychać było od czasu do czasu odgłos rogów straży granicznej austryackiej. Zbliżaliśmy się już do pasu granicznego, gdy spotkaliśmy owych przewodników, poprzednio wysłanych, idących ku nam. Zawiadomili oni nas, że w tej chwili granicy przejść niepodobna, gdyż straż dziś jest jakoś czujniejsza i liczniejsza. Radzili nawet, żeby tej nocy zaniechać zupełnie podróży, gdyż nie mogą ręczyć za bezpieczeństwo. Nie było co robić, wróciliśmy nazad na stacyę.

Ja postanowiłem nie puszczać się na oślep, lecz postarać się o kartę graniczną, t. zw. przepustkę. Szczęściem była na stacyi furmanka z majątku p. Jacka Siemieńskiego, znanego mi z opinii jako obywatela, zupełnie sprzyjającego powstaniu, a nawet jakiś urząd w organizacyi piastującego, małą milkę od stacyi Granica odległego (nazwiska wsi nie pamiętam). Zdecydowałem się z tego skorzystać i o świcie tam pojechałem. P. Siemieński przyjął mnie bardzo grzecznie i chętnie udzielił mi ośmiodniowej przepustki na jakieś obce nazwisko. Powróciwszy musiałem czekać aż do wieczornego pociągu. Straciłem więc dzień cały, bo dopiero 17. marca popołudniu stanąłem w Krakowie. Giller nie uważał na ostrzeżenie przewodników, uparł się przejść granicę. Przeszedł ją rzeczywiście, ale tylko na pół szczęśliwie, bo zaledwie ćwierć mili poza pasem granicznym, zdążywszy dojść do wsi, został przez żandarmów austryackich zatrzymany i przyaresztowany. Stracił także dzień cały i zaledwie za opłatą 50. rubli potrafił odzyskać wolność i dopiero nad wieczorem, 17. marca do Krakowa nadjechał. Ja z żoną z trudnością znaleźliśmy pokój w hotelu Lwowskim na t. zw. Końskim Targu, za Bramą Floryańską. Giller stanął u Leona Chrzanowskiego, redaktora „Czasu“.

Pierwszy raz byłem w Krakowie. W innych okolicznościach byłby Kraków na mnie, jak i na wszystkich, po raz pierwszy w jego mury wjeżdżających, wywarł wrażenie wielkiej powagi, jako świątynia przeszłości narodowej — ja, przyznam się, tak byłem zajęty i przejęty wypadkami obecnymi, że po Krakowie chodziłem jak po każdem innem obcem mieście. Przez parę dni pobytu nigdzie oprócz na nabożeństwie w kościele Maryackim nie byłem i nic nie widziałem z zabytków i osobliwości miasta.

Miasto samo było nadzwyczaj ożywione, zjazd był bardzo liczny, hotele wszystkie przepełnione. Szczególnie najrozmaitszej młodzieży pełno, która tu przed pójściem do powstania używała jeszcze miejskiego swobodnego życia. Między tą młodzieżą było wielu i takich, którzy zaczęli i skończyli wybieranie się do powstania na bruku krakowskim. Mówili wiele o swej gotowości udania się na plac boju, a spełnienie tej gotowości odkładali z dnia na dzień, a nigdy jej w czyn nie wprowadzili. Niestety liczba takich paniczów powiększyła się potem i w chroniczną zamieniła się chorobę. Wszystko, co nie chciało lub nie miało odwagi bić się z Moskalami, uciekało do Krakowa. Ale o tem potem.

W Krakowie nie miałem nikogo, osobiście mi znanego. Miałem

zalecony dom pp. Demidowiczów, znanych z dawnych jeszcze czasów, jako patryotyczny i gościnny. Demidowicz był sędzią Rzeczypospolitej Krakowskiej i żołnierzem z roku 1831. (był teraz członkiem Rady Naczelnej Galicyjskiej, utworzonej jeszcze w r. 1862.). Tam też, uporządkowawszy się i odpocząwszy po podróży, poszliśmy z żoną. Mieszkali oni w rynku w wielkiej kamienicy „Krzysztofory“ zwanej. Wiedząc o tem stanowisku p. Demidowicza, spodziewałem się, że mogę od niego zasięgnąć wiadomości o sprawie dyktatury, dlatego też przedstawiłem się mu jako wysłaniec Komitetu Centralnego, jadący do Langiewicza z pewnem poleceniem, że muszę się parę dni zatrzymać w Krakowie. Pp. Demidowicze przyjęli nas bardzo serdecznie i gościnnie. Rozmowa od razu zawiązała się o dyktaturze. P. Demidowicz był bardzo z niej zadowolony i nie miał dosyć słów uznania dla Langiewicza. Dziwiło go trochę wspomnienie moje o Komitecie Centralnym, gdyż, według wiadomości, jakie w Krakowie otrzymali, Komitet ten już prawie nie istniał, że przed ogłoszeniem dyktatury przyjechał był do Krakowa p. Adam Grabowski, jako komisarz Rządu Narodowego i o tem opowiadał. Odsłaniał mi się tym sposobem znowu jakiś rąbek tajemnicy, bo doskonale wiedziałem, że Komitet Centralny żadnego komisarza nie wysyłał, a nazwisko Grabowskiego było mi zupełnie nieznanem. Odpowiedziałem jednak, że sam fakt wysłania komisarza stwierdza, że Komitet istnieje, że musiało to być jakieś nieporozumienie chwilowe, które albo już jest wyjaśnione, albo się wyjaśni. Że Komitet Centralny wydał nawet odezwę, uznającą dyktaturę i powołującą naród do posłuszeństwa dyktatorowi, że odezwa ta prawdopodobnie niebawem nadejdzie do Krakowa. Chciałem dyskretnie dowiedzieć się bliższych okoliczności powstania dyktatury, ale p. Demidowicz odpowiedział, że bliższych szczegółów nie zna, bo nie brał w tem żadnego udziału, że jednak wie, iż generał Wysocki, który bawi w Krakowie, bardzo tę myśl popierał i zachęcał Langiewicza do ogłoszenia się dyktatorem. Że w tym czasie był w Krakowie książę Adam Sapieha, był Bogusław Łubieński z Poznańskiego i jest jeszcze w Krakowie, a także Władysław Bentkowski, który jest teraz szefem sztabu dyktatora, Seweryn Elżanowski i dr. Ksawery Gałęzowski z Paryża i że ci wszyscy panowie również popierali dyktaturę. Że jednym z motywów było niebezpieczeństwo ogłoszenia się dyktatorem generała Mierosławskiego, który także jest w Krakowie, że ogłosił on pro-

test [1]) przeciwko dyktaturze Langiewicza, opierając się na poprzednich paktach z Komitetem Centralnym i bardzo teraz intryguje. Wiadomości te bardzo mnie zajmowały, stanowiły jakiś wątek, ale nie mogłem sobie sformować żadnego pojęcia o zawiązanej intrydze, choć ją czułem doskonale. Owo wspomnienie w proklamacyi o porozumieniu się i zgodzie z Komitetem Centralnym wiązało się wyraźnie z owym Grabowskim, rzekomym komisarzem. Postępowałem zawsze dobrą drogą, rozumiałem tylko szczere i otwarte działanie, intryga wszelka była mi obcą, połapać się tak łatwo nie mogłem. Taki był wątek rozmowy z p. Demidowiczem, której tu tylko treść przytaczam. Powiedziałem jeszcze, że chcę odwiedzić obu generałów, Wysockiego i Mierosławskiego i że będę się starał na ostatniego wpłynąć, żeby zaprzestał intryg i poddał się dyktaturze Langiewicza. P. Demidowicz wątpił, czy mi się to powiedzie, dał mi jednak adres obu i przybrane ich nazwiska. Pp. Demidowicze bardzo serdecznie zapraszali, byśmy u nich zamieszkali, ale na razie wymówiłem się, prosząc jednak o gościnność u nich dla mojej żony, gdy ja za dni parę do Langiewicza do obozu wyjadę.

Zaraz następnego dnia postanowiłem pójść do obu generałów. Jakkolwiek miałem adresy (dziś już ich nie pamiętam) przy zupełnej nieznajomości miasta z trudem mi to przyszło. Stosunki między obu tymi generałami były cierpkie. Cierpkość tę, przyniesioną jeszcze z emigracyjnych stosunków, powiększyło jeszcze obecne popieranie przez Wysockiego dyktatury Langiewicza wbrew pretensyom, jakie do niej rościł sobie Mierosławski. Ten miał w tej chwili licznych swoich popleczników. Był tu Daniłowski, Jeske, Ramlów, Janczewski, Bauerfeind, Kurzyna Jan, Adam Asnyk, Ignacy Maciejowski i w. i. Miał on przytem skrytych przyjaciół i zwolenników w obozie Langiewicza. Pierwsi z nich intrygowali w Krakowie, drudzy w wojsku. Do tych ostatnich miał należeć major, czy pułkownik, Borzysławski. W chwili mego przyjazdu do Krakowa obadwaj generałowie zupełnie się z sobą nie widywali. Zresztą obydwaj musieli się ukrywać przed policyą austryacką. Osobiście żadnego z nich nie znałem, poznać ich jednak chciałem i musiałem.

Przedewszystkiem odszukałem Wysockiego. Langiewicz zaraz po ogłoszeniu dyktatury ustanowił w Krakowie ministeryum wojny,

[1]) Protestacya z d. 11. marca w Krakowie, podpisana przez Wł. Daniłowskiego i Wł. Jeske d. 20. marca. Druk. Mierosławski: Dokumenta urzędowe, str. 5—6. (P. R.)

którego dyktatorem mianował generała Wysockiego, a jego szefem sztabu majora Ruszczewskiego. Sekretarzem przybocznym generała był Jan Mickiewicz, syn wiekopomnego Adama. Wszedłszy do mieszkania, musiałem przedewszystkiem przejść przez cenzurę majora Ruszczewskiego, którego osoby tylko się domyślałem, bom go także nie znał. Powiedziałem moje nazwisko, że przyjeżdżam z Warszawy i potrzebuję widzieć się z p. X. (przybranego nazwiska generała nie pamiętam). Major bacznie mi się przypatrywał i zapewne nic podejrzanego w mojej postaci i oczach nie dostrzegł, bo wszedł do dalszych pokoi i za chwilę powrócił, mówiąc, że generał prosi. Od pierwszego wejrzenia postać generała wzbudziła we mnie uczucie czci, tyle było w niej powagi, łagodności i prawie słodyczy. Przedstawiłem mu się jako wysłaniec Komitetu Centralnego jako tymczasowego Rządu Narodowego z pewną misyą do dyktatora, że uważałem sobie za obowiązek patryotyczny i obywatelski przedstawić się generałowi i złożyć wyraz uszanowania. Na zapytanie o rodzaj misyi odpowiedziałem, że ta jest zupełnie poufna, więc wybaczy, że nie mogę jej wyjawić. Nie nalegał. „Cóż w Warszawie słychać, jak Rząd przyjął dyktaturę?“ — zapytał. — „Pomimo, że dyktator — odpowiedziałem — w proklamacyi powołał się na porozumienie z Rządem, którego jednak nie było wcale, bo o dyktaturze dowiedział się Rząd dopiero z proklamacyi, to jednak za patryotyczny obowiązek uważał uznać dyktaturę i proklamacyą ze swej strony to uznanie ogłosił“. Ta odpowiedź moja wywołała na twarzy generała zdumienie, a nawet, jakby pewne zmieszanie. Po chwili milczenia, generał się odezwał: „Jakto, Rząd nie wiedział, przecież tu przyjechał p. Adam Grabowski z Warszawy w charakterze, jak powiadał, komisarza Rządu do traktowania w tej sprawie“. — „Mogę zapewnić generała — odpowiedziałem — że Rząd nic nie wiedział i nikogo do traktowania w tej sprawie nieupoważniał; ale zresztą, generale — chcąc przerwać ten wątek rozmowy, dodałem — to już należy do przeszłości. Dyktatura jest i Rząd ją uznał“. (Wogóle roztrząsanie tej sprawy uważałem za zupełnie niepotrzebne, a nawet szkodliwe, bo rzucałoby to cień na powstanie dyktatury). — „No, no“ — zauważył generał i dodał dalej, że on ze swej strony namawiałby Langiewicza do przyjęcia ofiarowanej mu dyktatury *), — „gdyż

*) Autor „Dziejów 1863. r.“ (T. II. str. 10.) powiada, że Wysocki odmawiał Langiewiczowi dyktatury, co, sądzę, nie jest prawdziwem, gdyż w notatkach, które spisałem w r. 1864., zatem za świeżej pamięci, mam wyraźnie zanotowane,

powstanie potrzebuje koniecznie rządu wojskowego, silnego, skoncentrowanego w jednej osobie". — „Nie mogę temu zaprzeczyć — odpowiedziałem — i Rząd jest tego przekonania i dlatego, jak zapewne generałowi wiadomo, jeszcze przed wybuchem powstania ofiarował taką dyktaturę generałowi Mierosławskiemu. Fakt ten jednak nie był wcale ogłoszony, a ogłoszenie go miało nastąpić dopiero wówczas, gdyby dyktator zajął pewną część kraju i formalny Rząd mógł się ukonstytuować. Po niefortunnem zjawieniu się jego, co także jest pewnie generałowi wiadomem, i gdy generał Mierosławski gdzieś się podział i nie dał żadnego znaku życia, Rząd go zawiadomił, że jeżeli do d. 8. marca nie wkroczy na pole walki, jego prawa do dyktatury same przez się znikną i Rządu obowiązywać nie będą, i dlatego Rząd dał swe uznanie Langiewiczowi". — „A jednak on tu jest" — wtrącił generał — protestuje i agituje przeciw Langiewiczowi". — „Będzie to tylko wichrzenie,— odpowiedziałem — któremu Rząd będzie pewnie umiał koniec położyć". Z dalszej rozmowy odniosłem wrażenie, że generał Wysocki już w tej chwili nie był zupełnie zadowolony z postępowania Langiewicza, jako naczelnego wodza, uskarżał się bowiem, że ze wszystkich ruchów, jakie już po ogłoszeniu się dyktatorem, przedsiębrał, widać, że niema żadnego planu działania, że tylko marszami i kontrmarszami nuży wojsko i zostawia Moskalom czas do koncentrowania sił. Pokazywał mi mapę, na której pilnie znaczył chorągiewkami wszystkie ruchy Langiewicza. Rozstałem się z generałem bardzo serdecznie i schyliłem się, chcąc go w ramię pocałować. „No, no, no, co pan robisz" — zauważył generał. Nie uważałem zupełnie za ubliżające sobie oddanie takiej czci staremu, zasłużonemu żołnierzowi, a zarazem zacnemu człowiekowi i patryocie.

Jakże odmienną była moja wizyta u Mierosławskiego, do

że w czasie mej rozmowy z Wysockim ten powiedział, że „namawiałbym Langiewicza". Potwierdza to pośrednio Bentkowski w swoim pamiętniku (W. M. do H. P. T. II. str. 23. dopisek) mówiąc: „Po niejakiem wzdryganiu się, Wysocki wyraźnie i kategorycznie na to przystał", (to jest, żeby w proklamacyi dyktatora było zamieszczonem, że w porozumieniu z generałem Wysockim). Wysocki potem kazał to z proklamacyi wykreślić, bo go „napadły znów skrupuły i wątpliwości, czy Grabowski jest istotnie pełnomocnym rządu komisarzem" i „nie chciał ewentualnie ściągać na swoją osobę pozoru jakiejś antirządowej roboty". Muszę tu jeszcze nadmienić, że według opowiadania Bentkowskiego, Wysocki dopiero 9. marca przyjechał ze Lwowa do Krakowa, a od 1. marca przynajmniej był we Lwowie, bo go tam tego dnia zastał Bentkowski. A po 9. marca Wysocki nie widział się z Langiewiczem, przynajmniej o takiem widzeniu nie wspomina. Więc przytoczone przez autora „Dziejów" wyrażenie, że Wysocki odmawiał Langiewicza, jest nieprawdziwe.

którego tegoż samego dnia popołudniu poszedłem! Wizyta ta miała zupełnie prywatny charakter, chciałem poznać sławnego generała i miałem postanowienie odprowadzenia go od dalszych protestów, a uznania dyktatury Langiewicza. Pierwsze osiągnąłem w zupełności, drugie przeciwnie zupełnie mi nie udało się. Z trudem udało mi się wyszukać jego mieszkanie. Znalazłem tam wielu nieznanych mi młodych ludzi, a między nimi szczęściem Daniłowskiego Władysława, dobrze mi znanego. Bez trudu więc zostałem dopuszczony do osoby eksdyktatora. Wszedłszy, zobaczyłem przed sobą człowieka średniego wzrostu, dosyć dobrej tuszy, z twarzą zupełnie ogoloną (z wizerunku znałem Mierosławskiego z wielką rozwichrzoną brodą), z małemi oczami, o wejrzeniu niesympatycznem, świdrującem a przenikliwem; robił wrażenie mieszczucha więcej, n. p. rzeźnika, niż generała i wodza. Przedstawiłem się jako brat rodzony, znanego generałowi, Władysława Janowskiego. Generał przyjął to uprzejmie, ze słowami wielkich pochwał dla mego brata, nazywając go istotnym komisarzem konwencyi z wielkiej rewolucyi francuskiej, podnosił jego charakter, stanowczość i determinacyę. Dopiero z tonu, jakim mówił, z głosu, pewnej stanowczości, można było poznać, że to nie mieszczuch, rzeźnik, ale człowiek, który lubi, a może i umie rozkazywać. Używałem tytułu „generał“, a nie „dyktator“, a za owe pochwały dla brata mego podziękowałem jakimś grzecznym frazesem. Nie chciałem dotykać przeszłości, choć tak nie dawnej, bo istotnie nie mógłbym mówić w tym przedmiocie inaczej, jak z pewną krytyką i żalem. Zacząłem więc mówić bardzo oględnie, objeżdżając z daleka, o obecnem położeniu, o braku jakiegoś kierunku, szczególnie wojskowego. Byłem słuchany spokojnie, lecz małe oczy generała świdrowały mnie i gdym wspomniał nazwisko Langiewicza, Mierosławski aż podskoczył na krześle z całą namiętnością i głosem więcej, niż podniesionym, wyrzucił cały szereg inwektyw, przekleństw i przydomków najrozmaitszych w języku francuskim, włoskim i niemieckim, a poniżających i osobę i charakter Langiewicza. Rzucał się, zżymał, plótł niestworzone rzeczy w największej pasyi. Nadzwyczajna, nieokiełzana pycha, ambicya biła mu nie tylko ze słów, ale z tonu, z gestów, z całego wyrazu twarzy. Wśród tych piorunów, błyskawic, starałem się od czasu do czasu, korzystając z chwilowych przerw, rzucić jakichś parę słów uspokojenia; nic nie pomagało! wywoływało jeszcze większe rozjątrzenie, a gdy wreszcie powiedziałem, jako mój już ostatni argument słowa: „Gdy, generale, nie dawałeś żadnego nawet

znaku życia wobec faktu ogłoszenia się Langiewicza dyktatorem, Rząd musiał go uznać, — że dla samej sprawy, dla miłości Polski, trzeba zrobić ofiarę", Mierosławski rzucił się, jak zraniony tygrys, a po wyrzuceniu najostateczniejszych inwektyw na Rząd, zawołał w najwyższem uniesieniu: „Ja już tyle dla tej Polski zrobiłem, czegoż ta Polska chce jeszcze ode mnie, czemuż się ona do mnie przyczepiła?" Oniemiałem ze zgrozy, odrazu stanął mi przed oczyma człowiek, który ponad swoje „ja" nic więcej nie widział, nie rozumiał, że nawet wyżej ponad Polskę, nad ojczyznę, stawiał samego siebie. Wobec tych bluźnierstw wstałem z krzesła ze słowami: „Wobec tego nic więcej nie mam do powiedzenia". Kiwnąwszy głową, odwróciłem się i wyszedłem*). Byłem tak wzburzony, że zatrzymywany przez Daniłowskiego w pierwszym pokoju, coś mu odburknąłem i wybiegłem na ulicę. Musiałem długo chodzić po plantach, żeby się uspokoić. Nigdy nie byłem tak zwanym „Mierosławczykiem", t. j. człowiekiem oddanym mu duszą i ciałem, choć za takiego usiłuje mnie przedstawić autor „Dziejów 1863. r." Wierzyłem tylko w jego zdolności wojskowe, w zdolności wodza, gdym mu dawał głos na dyktatora. Teraz poznałem człowieka, który chociażby miał zdolności największych wodzów świata, dla Polski byłby szkodliwym, bo był zdolnym, dla nasycenia własnej ambicyi, tę Polskę zabić. Odtąd też uważałem Mierosławskiego za najniebezpieczniejszego człowieka dla Polski powstającej i podzielałem najzupełniej zdanie, wypowiedziane później przez Traugutta, że

*) Władysław Daniłowski w notatkach do pamiętników (str. 284., 285.) opowiada, jakobym ja („Janowski szczególniej i przysłany później Bobrowski") prowadził w Krakowie jakieś układy o dyktaturę z Mierosławskim. Jest to absolutna nieprawda. Raz tylko jeden widziałem się z Mierosławskim i to przed wyjazdem do Tarnowa, chcąc go skłonić do nie ogłaszania protestu i to widzenie się właśnie opowiedziałem i o tem wspomina Daniłowski na str. 281., bo i z nim także tylko ten jeden raz się widziałem. Po powrocie z Tarnowa i po upadku dyktatury Langiewicza, bawiłem w Krakowie tylko pół dnia i ani z Mierosławskim, ani z Daniłowskim nie widziałem się zupełnie. Bobrowski Stefan również żadnych układów z Mierosławskim nie prowadził i nie zawierał. Całe to opowiadanie jest prostym Daniłowskiego wymysłem. Że to jest wymysł, dowodzi to jeszcze, że zaraz na str. 287. Daniłowski mówi o zerwaniu układów z Mierosławskim i o odezwie przez Bobrowskiego ogłoszonej. Bobrowski przyjechał do Krakowa d. 20. marca, a odezwę swą wydał, dowiedziawszy się o upadku Langiewicza, zaraz d. 21. marca (patrz dalsze moje opowiadanie), więc nie było czasu na układy z Mierosławskim. W odezwie tej Bobrowski mówi o upadku dyktatury Langiewicza. Zaś odezwa, w której jest mowa o upadku dwóch dyktatur, Mierosławskiego i Langiewicza, została wydaną przez Rząd tymczasowy dopiero 16. kwietnia w Warszawie. Daniłowski poplątał te dwie odezwy w jedną i podaje je jako dowód zerwania układów. Odezwę z dnia 16. kwietnia przytaczam także w mojem opowiadaniu.

Mierosławski jest tak szkodliwy, że nawet zgładzenie go ze świata byłoby czynem szlachetnym. Wszystkich jego stronników z powodu ciągłych ich wichrzeń uważał Traugut także za bardzo szkodliwych i niebezpiecznych. W jednym ze swoich reskryptów, do pełnomocnika Rządu Narodowego za granicą, pisał Traugutt: „U siebie starajcie się nie pozwalać tej brzydocie zagnieżdżać się; tępić na każdem miejscu, niech nigdzie przytułku nie znajdą, niech przynajmniej polskiej nie kalają ziemi...“ [2]). Gdy w końcu listopada pokazał się w Warszawie jeden z głównych menerów Mierosławskiego, Jan Kurzyna, policya narodowa kazała mu natychmiast pod karą śmierci wyjechać z Warszawy, co też natychmiast i bez żadnego uczynił oporu.

Dnia 19. marca miała się odbyć popołudniu wielka konferencya u generała Kruszewskiego w przedmiocie ustanowienia ministeryum w Krakowie. Obydwaj z Gillerem byliśmy na tę konferencyę zaproszeni. Jaką rolę w czasie pobytu naszego w Krakowie odgrywał Giller nie wiem, gdyż dotąd nigdzie się z nim nie spotkałem i miałem wrażenie, jakby Giller starał się o to, żeby się ze mną nie spotkać. Ale tego samego dnia rano, gdym zaszedł do generała Wysockiego, żeby się z nim porozumieć, co do mającej się odbyć konferencyi, zastałem tam Gillera. Toczyła się już właśnie rozmowa w tym przedmiocie. Giller dowodził potrzeby ustanowienia jawnego ministeryum tu w Krakowie z ludzi, znanych krajowi, a w tym ministeryum miał koniecznie zasiadać Leon Królikowski, jako minister spraw wewnętrznych.

Zdumiałem się, gdyż to twierdzenie Gillera było wprost przeciwnem instrukcyi, udzielonej nam przez Komitet Centralny, według której cały zarząd administracyjny z wyjątkiem specyalnie wojskowego, miał pozostawać w rękach Komitetu Centralnego. Wypowiedziałem też to zdanie wbrew twierdzeniu Gillera, a Wysocki przytakiwaniem „tak“ zdawał się to potwierdzać. Wyszliśmy potem razem. Robiłem wyrzuty Gillerowi. Ten tłómaczył się, że nie możemy tu odkrywać naszych kart, że tu trzeba politykować, że tu ci panowie mogą sobie układać co im się podoba, a potem wola dyktatora może wszystko obalić. Nie trafiało mi to do przekonania i twierdziłem, że my powinniśmy ściśle działać w myśl naszej instrukcyi, a jeżeli mamy politykować, to najlepiej nic nie mówić. Na konferencyę postanowiłem pójść, ale tylko jako świa-

[2]) Romuald Traugutt i jego dyktatura. (W. M. do H. P. T. IV. z. 2. str. 119.). (P. R.)

dek, żeby dowiedzieć się o czem i jak będą radzić i co postanowią. Zastałem tam, o ile pamiętam, generała Wysockiego, Bogusława Łubieńskiego, Chrzanowskiego, redaktora „Czasu“, i kilku innych jeszcze. Nie pamiętam dobrze, czy był Grabowski, ale zdaje mi się, że go nie było. Sprawa ministeryum była głównym przedmiotem dyskusyi. Dowodzono koniecznej potrzeby Rządu jawnego w Krakowie. Giller występował na tem zebraniu nie jako delegat Komitetu Centralnego, ale jako sekretarz generalny dyktatora i przemawiał także za jawnem ministeryum w Krakowie, przez co zdaniu swemu nadawał cechę jakby płynącemu z insynuacyi dyktatora. Jakkolwiek zamierzyłem sobie uczestniczyć w tem zebraniu jako świadek, jednakże nie mogłem wytrzymać i zażądawszy głosu, jako delegat Komitetu Centralnego wbrew zdaniu Gillera utrzymywałem, że kierować powstaniem z Krakowa jest niepodobieństwem, że ponieważ powstanie jest ograniczone tylko do Królestwa, więc ludzie kierujący muszą znać dobrze kraj, w którym mają administrować, że tylko kierownictwo wojny i to tylko pod względem ściśle wojskowym może płynąć z Krakowa, ze względu na łatwość komunikowania się z dyktatorem, że jednak administracya wojskowa, t. j. zaopatrywanie wojska w żywność, odzież i t. p. musi być w kraju. Że całe ministeryum musi być albo przy osobie dyktatora, albo dopóki dyktator nie opanuje takiej części kraju, w której Rząd będzie się mógł jawnie ukonstytuować, ministeryum musi być tajemne i tylko w Warszawie. Naturalnie ze zdaniem mojem pozostałem zupełnie odosobniony. Potem już wcale głosu nie zabierałem. Układano rozmaite listy ministrów, a w każdej był pomieszczony Leon Królikowski. W końcu zgodzono się na jedną, w której były wszystkie ministerstwa, nawet ministrowie sprawiedliwości i oświaty. Z tych pamiętam tylko gen. Wysockiego, jako ministra wojny, Królikowskiego, spraw wewnętrznych i, zdaje mi się, Bogusława Łubieńskiego, jako ministra skarbu. Innych nie pamiętam. Zresztą całą tę robotę niby bardzo poważną, nie znając zupełnie ani istoty ani przebiegu intrygi, której następstwem były owe narady, uważałem za prostą zabawkę, bo spodziewałem się, że Langiewicz pójdzie potem za naszem zdaniem jako delegatów, wyrażających postanowienia Komitetu Centralnego.

Po konferencyi, gdyśmy razem z Gillerem wyszli, nagliłem go do jak najśpieszniejszego wyjazdu do obozu. Dnia 20. rano rozeszła się wiadomość o świetnem zwycięstwie Langiewicza pod Grocho-

wiskami [3]). Dłużej już z wyjazdem nie chciałem czekać i wyszukawszy Gillera, oświadczyłem mu stanowczo, że bądźcobądź ja jutro rano t. j. 21. marca wyjeżdżam do Langiewicza, na co Giller się zgodził. Nie chcąc żony zostawiać samej w hotelu, tego samego dnia skorzystałem z ofiarowanej mi gościnności pp. Demidowiczów i tam ją wieczorem odprowadziłem. Dnia 21. marca wyjechaliśmy z Gillerem do Tarnowa koleją żelazną. Stamtąd najętą furmanką mieliśmy dojechać do Nowego Miasta, miasteczka na lewym brzegu Wisły położonego, gdyż Grochowiska, miejsce owej zwycięskiej bitwy, leżały w okolicy Buska.

Gdyśmy dojeżdżali do dworca w Tarnowie, zwróciło naszą uwagę wielkie zgromadzenie ludu na stacyi. Pociąg się zatrzymał, lecz nie pozwolono nikomu wysiadać. Wtem tłum cały rzucił się ku drzwiom stacyi, wołając i pokazując sobie: „O! o! Langiewicz! to on! do Lwowa go zapewne powiozą“. Wagon, w którym siedzieliśmy, był prawie na samym końcu bardzo długiego pociągu, nie mogliśmy więc nic dojrzeć, co się w tym nerwowo poruszającym się tłumie działo. Byliśmy jednak temi wołaniami nie tylko zaniepokojeni, ale nawet przerażeni. Co to ma znaczyć? zadawaliśmy sobie pytanie. Po kilku minutach ten sam tłum rzucił się ku drzwiom stacyi z wołaniem: „Patrzcie! wysiada — nie pojedzie“. — Nic nie mogliśmy zrozumieć. Dopiero znowu po kilku minutach, gdy stacya się opróżniła, pozwolono nam wysiąść. Gorączkowo przebiegliśmy do pierwszego spotkanego urzędnika kolejowego z pytaniem: „Co to jest? co się stało?“ Ten objaśnił nas, że wczoraj, a więc 20. marca straż graniczna przyaresztowała Langiewicza na przeprawie przez Wisłę pod Opatowcem [4]), że przywieziono go do Tarnowa, a stąd właśnie tym pociągiem miano go odwieść do Lwowa, ale wyraźnie zmieniono rozkaz, bo go nazad wrócono do miasta. Nie mogliśmy temu opowiadaniu dać wiary. Co i jak się stało? Po bitwie zwycięskiej aresztowany na przeprawie do Galicyi? Nie mogliśmy na to pytanie znaleść odpowiedzi. Wybiegliśmy ze stacyi, a znalazłszy jakąś furmankę, kazaliśmy jak najprędzej jechać do miasta. Przy samym wjeździe zobaczyliśmy jakiś hotel, a przed nim tłum ludzi, szyldwachy wojskowe przed bramą. Domyślając się, że w tym hotelu jest ów więzień trzymany, tu wysiedliśmy. Niestety wiadomość udzielona nam na stacyi tutaj w zupełności potwierdzoną została. Hotel był tak przepełniony, że z trudnością znale-

[3]) Grochowiska, osada, pow. pińczowski, gm. Zagość. (P. R.)
[4]) Opatowiec, osada miejska nad Wisłą, pow. pińczowski. (P. R.)

ziono dla nas jakiś pokoik. W wielkiej sieni na I. piętrze biwakował oddział piechoty, przy drzwiach wchodowych do jednego z pokojów na wprost schodów stał szyldwach. W bramie, na schodach, w korytarzach, wszędzie szyldwachy. Pilnowano dobrze. Rozgospodarowawszy się chwilę w naszym pokoju, wyszliśmy zaraz. Giller gdzieś od razu zniknął, zapewne, żeby myszkować za wiadomościami. Ja, chcąc się trochę posilić, wszedłem do wielkiej wspólnej gościnnej sali na parterze. Sala była przepełniona młodzieżą, prawie samymi powstańcami, o czem z ich ubiorów mogłem się przekonać. Gwarno tu było, a wszyscy okazywali wielki humor i pewną buńczuczność, która była w zupełnej sprzeczności z tak ważnym wypadkiem, jak aresztowanie dyktatora i wodza. Robiło to na mnie nie tylko nieprzyjemne, ale nawet bardzo przykre wrażenie. Nieznałem ani przyczyny ani genezy aresztowania Langiewicza, przypuszczałem jakąś wielką klęskę wojenną, jakieś zupełne rozbicie i wyparcie małej armii dyktatora za granicę. Dobry więc ten humor był w takim razie zupełnie nie na miejscu. Spostrzegłem siedzącego na uboczu zupełnie samotnie jakiegoś staruszka, zdradzającego postacią starego żołnierza, o bardzo dobrotliwym wyrazie twarzy a zawiesistym wąsie, przysiadłem więc do niego, prosząc o pozwolenie i wdałem się w rozmowę, do której staruszek okazał się dość chętnym. Powiedziałem, że tylko co przyjechałem z Krakowa, a właściwie z Warszawy, z zamiarem udania się do obozu, ale wyraźnie spóźniłem się, bo pewnie obozu już niema, kiedy Langiewicz jest tutaj i to aresztowany przez Austryaków. Staruszek objaśnił mnie krótko, że tak źle nie jest, bo dyktator potrzebował przyjechać do Galicyi, lecz niestety został na samej granicy, gdy wysiadł z łodzi, w której się przewoził przez Wisłę zdradzony i aresztowany wraz z towarzyszącą mu panną Pustowójtów. To połączenie dyktatora z panną Pustowójtów było mi przykrem, zapytałem więc w jakim charakterze panna Pustowójtów towarzyszyła Langiewiczowi. Objaśnienie było bardzo proste. Staruszek odpowiedział, że Langiewicz przyjeżdżał do Galicyi jako Waligórski z synem, bardzo młodym jeszcze chłopcem, za którego panna Pustowójtów miała uchodzić, bo i rysy i wygląd były prawie zgodne z paszportem. Odpowiedź ta uspokoiła mnie zupełnie i wszelkie jakieś złe myśli odpędziła. W czasie tej rozmowy spostrzegłem wchodzącego do sali, znanego mi dobrze jeszcze z pobytu na św. Krzyżu, ks. kanonika Kotkowskiego, naczelnika cywilnego województwa Sandomierskiego. Przeprosiwszy więc mego

uprzejmego sąsiada, poszedłem przywitać się. Dowiedział się on o aresztowaniu dyktatora i przyjechał natychmiast, by się dowiedzieć o powodach tak przybycia do Galicyi, jak i aresztowania. Ks. Kotkowski zapoznał mnie zaraz bliżej z owym staruszkiem, z którym rozmawiałem, a był nim generał kwatermistrz armii Langiewicza Waligórski. Stary żołnierz jeszcze z r. 1831.[5]), za którego paszportem Langiewicz przejeżdżał granicę i jego to właśnie syna udawała panna Pustowójtów. Zapoznał mnie też kanonik z p. Władysławem Bentkowskim, szefem sztabu Langiewicza i z p. Kantakiem, posłem na sejm pruski, który miał być drugim sekretarzem generalnym dyktatora. Ten przyjechał w wilię dnia aresztowania Langiewicza i zastał go już w Tarnowie. Spotkałem się tu także ze znanymi mi jeszcze ze św. Krzyża oficerami Prędowskim i Zglinnickim. Było też tam wielu innych dowódców z byłej małej armii Langiewicza. Z rozmowy z tymi rozmaitymi majorami dowiedziałem się nieco szczegółów o wypadkach zaszłych w ciągu tych dwu tygodni, które upływały od chwili przybycia Langiewicza do Goszczy, a jak wiemy z poprzedniego opowiadania stało się to d. 6. marca.

Według raportu do Komitetu, Langiewicz miał zamiar zostać tam dni parę dla odpoczynku i wzmocnienia swego wojska i w czasie tego postoju zaszedł ów ważny wypadek ogłoszenia dyktatury. Tym więc faktem przedewszystkiem zająć mi się wypada. W tym jednak wirwarze, jaki tu panował, wiadomości, jakie zebrałem, były bardzo luźne. Gdybym się chciał tylko na nich opierać, opowiadanie moje byłoby bardzo niedokładne i stanowiłoby nawet pewną lukę, nie dałoby wyobrażenia o całości wypadków i ich rozwoju. Dlatego też opowiadanie tych wypadków, a szczególniej o powstaniu dyktatury Langiewicza, muszę oprzeć na pamiętnikach bardzo poważnych i wiarygodnych świadków, głównie zaś na pamiętniku Władysława Bentkowskiego, szefa sztabu dyktatora, a pomocniczo na pamiętniku dr. Juliana Łukaszewskiego, komisarza pełnomocnego w zaborze pruskim, który w tym czasie znajdował się w obozie dyktatora *).

---

[5]) Chołodecki: Ks. pam. str. 391. oraz Przyborowski: D. 1863. r. T. II. str. 19. o udziale Waligórskiego w pow. list. nie wspominają, mienią go natomiast pułk. armii szwedz. Nie wymienia go również Gembarzewski („Wojsko Królestwa polskiego"). (P. R.)

*) Wyd. Mat. do Hist. pow. 1863. T. II. „Notatki osobiste Władysława Bentkowskiego z r. 1863." oraz „Zabór Pruski w czasie powstania styczniowego 1863—64. przez Dr. J. Łukaszewskiego. Jassy. Nakładem Autora" — pamiętnik osobisty — wycieczka do obozu Langiewicza — str. 278. i 279. Władysław Bent-

Pamiętnik Bentkowskiego jest bardzo cennym materyałem w odniesieniu do tworzenia się dyktatury Langiewicza. Nie brał on wprawdzie żadnego udziału czynnego w machinacyach, tworzących dyktaturę, ale stykając się bezpośrednio z osobami działającemi, stał się klasycznym świadkiem ich działań w Krakowie. Bentkowski zaraz po wybuchu powstania, jakkolwiek był dotąd stanowczym przeciwnikiem powstania, bo uważał je za mało przygotowane i przedwczesne, skoro jednak wybuchło, uważał jako były wojskowy za swój patryotyczny obowiązek wziąść w niem udział. W końcu lutego odebrał przez umyślnego posłańca wezwanie od generała Wysockiego, bawiącego w Krakowie, żeby przybył bezzwłocznie do zajęcia przy nim stanowiska szefa sztabu. Wyjechał więc i dnia 28. lutego lub 1. marca stanął w Krakowie. Wysocki tego samego dnia wyjechał do Lwowa i zostawił tylko wezwanie, by Bentkowski za nim tam podążył. Posłuszny temu, zabawiwszy tylko parę godzin w Krakowie, nocnym pociągiem podążył do Lwowa. Na dworcu w Krakowie między odprowadzającymi go spotkał dobrze sobie znanego Poznańczyka, którego nazywa „Łubą“ (Bogusław Łubieński), a wiedział o nim, że był jednym z naczelnych w Poznańskiem powierników warszawskiej organizacyi ruchu; ten wziąwszy go na bok opowiadał w sekrecie, że rzeczy najfatalniej i najsmutniej w Kongresówce stoją, że wszyscy prawie członkowie Komitetu Centralnego, czy tam Rządu Narodowego (tymczasowego) wyłapani i rozprószeni, że dwu już tylko zostało, którzy wszystko prowadzić muszą, ale którzy sobie rady nie dadzą i że tymi dwoma są A. Grabowski i Królikowski *). Już z poprze-

kowski, była to osobistość znana w Polsce, a szczególniej w W. Ks. Poznańskiem z wielkiego patryotyzmu i nieposzlakowanego charakteru; był posłem na sejm pruski w Berlinie. Był on wojskowo wykształcony, brał udział w powstaniu wielkopolskiem w r. 1848., a potem w wojnie węgierskiej w r. 1849. pod generałem Wysockim. Dr. Julian Łukaszewski, młody, bo miał lat 28, w roku 1862. skończył studya akademickie w Berlinie jako doktor medycyny. W październiku tegoż roku jako delegat młodzieży akademickiej w zaborze pruskim brał udział w zjeździe młodzieży polskiej w Krakowie. Tu dostał polecenie zajęcia się sprawą organizacyi narodowej w zaborze pruskim. W początkach marca udał się do obozu Langiewicza z listami od Bakunina. Wróciwszy po upadku dyktatury do Księstwa, został komisarzem pełnomocnym Rz. Nar. na zabór pruski. Był on bardzo gorliwym i sumiennym człowiekiem i obywatelem, jego książka „Zabór Pruski“ jest zupełnem sprawozdaniem z jego czynności jako komisarza.

*) Autor „Dziejów 1863. r.“ mówiąc o tem (II. str. 11.), dodaje: „Wiemy, że do pewnego stopnia tak było, że w Warszawie, po wyjeździe trzech członków Rządu do obozu Mierosławskiego, pozostał tylko Stefan Bobrowski i Włodzimierz Lempke“. Ma słuszność autor, ale to w pierwszych chwilach po wybuchu, a z Bobrowskim został nie Lempke, ale Witold Marczewski, Giller i inni jako Komisya Wykonawcza. Dalej na str. 51. tenże autor pisze: „Słowem, teraz oprócz Bobrowskiego i Gillera, Rząd składali: Leon Królikowski, ów znany nam dyre-

dniego opowiadania wiemy, że to wszystko było nieprawdą, że żaden Grabowski w Komitecie Centralnym nie zasiadał i że Królikowski nie był jedynym członkiem Komitetu, lecz że oprócz niego było jeszcze pięciu członków, w tym czasie w całej pełni urzędujących.

Dr. Julian Łukaszewski w pamiętniku swoim opowiada, że d. 8. marca przyjechał do Krakowa, właśnie gdy pierwsze zaczęły się rozchodzić pogłoski o gotującej się dyktaturze. Dalej pisze: „Najwięcej mnie zaintrygowało, że delegat z poznańskiego komitetu Ł. B.“ (Łubieński Bogusław) „także należał do tych konszachtów. Nie wiedziałem wonczas, że właśnie to w Wielkopolsce urodziła się pierwsza myśl dyktatury w zasadzie. Osoba jest fabrykatem galicyjskim. Ł... (t. j. Łubieńskiego) mając jako człowieka prawego, oraz jako przyjaciela i zwolennika G... (t. j. Guttrego), nie mogłem zrazu przypuścić, aby przeciwko rządowi tymczasowemu się obrócił. Po znajomości odwiedziłem go, i gdy prześliśmy do bieżących wypadków, oświadczyłem, że dyktatura jest wywołana jakąś niecną intrygą, w którą rząd napróżnoby chciano wmięszać. Jeśli zaś z Warszawy nie zapobieżono takiemu skandalowi lub nie zaprotestowano, dowodzi, że rząd, nie chcąc zapewne całej sprawy wyjawieniem zdemoralizowania powiększyć, milczy i czeka na przebieg wypadków... Wyraziłem otuchę, że Ł... (Łubieński) do wydania na świat tak bolesnej karykatury pewno się nie przyczynił. Lecz jakież rozczarowanie! Pan Ł. B... oświadczył mi z namaszczeniem, że dziś już nie pora debatować nad faktem dokonanym, raczej obowiązkiem każdego Polaka jest teraz popierać powstanie całemi siłami, a przedewszystkiem iść do obozu i bić się do upadłego. Przytem całą postawą, giestem, wzrokiem, tak mi starał się zaimponować, żem odrazu uwierzył, a czego przedtem przypuścić nie chciałem, że Ł... (Łubieński) rzeczywiście już godnie przedstawiał powierzoną mu rolę: wojewody krakowskiego i członka rządu cywilnego“ [6]). Następnie na str. 285. opowiada o swojem widzeniu się z Langiewiczem w Chrobrzy: „Najprzód wyraził zdziwienie (Langiewicz), czemu dotąd nikt do niego nie przybył z Warszawy, mimo że kilku wysłał do Rządu posłańców, a przecież należałoby jak najprędzej uregulować stosunki, nowym stanem zmienione. Langie-

ktor żeglugi parowej, i dwaj bracia Witołd i Bronisław Marczewscy, a później jeszcze Aweyde“. Wszystko bajki, bo Witołd Marczewski już siedział w Cytadeli a Bronisław nie był nigdy członkiem Rządu, a jaki był skład Rządu w tym czasie, we właściwem miejscu już wymieniłem.

[6]) L. c. str. 279. (P. R.)

wicz zdawał się w dobrej wierze rozumieć, że dyktaturę ofiarowano mu z wiedzą i wolą Rządu tymczasowego. Oświadczyłem mu tedy delikatnym sposobem, że o ile mi wiadomo, to myśl dyktatury powstała w kołach, nie mających styczności z Rządem, ale sądzę, że fakt dokonany zaakceptować należy, zwłaszcza, że jenerał przeszłością swą najlepszą daje rękojmię, iż rzecz dalej prowadzić będzie na podstawach przyjętych przez Komitet Centralny. Zresztą zwróciłem uwagę, że ad hoc umocowany M. Sok... (Maryan Sokołowski) był podobno w obozie, w celu traktowania. Dyktator żywo odrzucił, że tylko z ludźmi osobiście mu znanymi układać się może". Dalej pisze Łukaszewski: „Nie mogę pominąć jeszcze jednego orzeczenia generała Langiewicza w kwestyi dyktatury, które mi utkwiło w pamięci. W toku mowy wynurzył się, że szlachta zniewoliła go głównie do przyjęcia najwyższej władzy; byli pomiędzy nimi ludzie z różnych dzielnic kraju, znani z powagi i patryotyzmu, a więc za wyraz opinii publicznej ich uważać był zniewolony, dziś jednak żałuje, że przyjął ten niepomierny ciężar na siebie. Wreście gdyby tego nie zrobił, byłby się niezawodnie Mierosławski ogłosił dyktatorem, coby było niechybną zgubą dla kraju".

Teraz zapoznać się nam bliżej potrzeba z osobą owego p. Adama Grabowskiego, który według Łubieńskiego miał być jednym z dwóch pozostałych jeszcze członków Komitetu Centralnego i jaki go łączył stosunek z Leonem Królikowskim, owym drugim rzekomym pozostałym jeszcze członkiem. Co do osoby Grabowskiego, który był Wielkopolaninem, muszę się oprzeć na najzupełniej wiarygodnej charakterystyce tego pana, podanej przez Władysława Bentkowskiego, który jako także Wielkopolanin znał go dobrze. Dnia 10. marca na zebraniu owych działaczy dyktatoryalnych, na którem chodziło o ustanowienie, jakoby z poręki dyktatora Langiewicza, jawnego jakiegoś Rządu na ministerstwa porozdzielanego, a który także ze swej strony miał się przedstawić narodowi w osobnej odezwie (a na którem był obecny Bentkowski jako zaproszony), wspomniano o projekcie oddania jakiegoś ministerstwa A. Grabowskiemu i podpisaniu przez niego odezwy. „Pozwoliłem sobie wtedy", pisze Bentkowski, „bardzo stanowczą zrobić uwagę, że jakkolwiek A. Grabowski mógł późniejszem swojem życiem w Królestwie, patryotyzmem i poświęceniem, odkupić i zmazać błędy lekkomyślności młodzieńczej, wszelako ta druga, chwalebna strona jego życia znana jest tylko od spółpiskowych; dla ogółu zaś jest on natomiast albo zupełnie nieznanym, albo też, jak w W. Ks.

Poznańskiem, skąd pochodzi, znanym tylko z tego, że należał do lekkomyślnej, marnotrawnej młodzieży, że był kamerjunkrem dworu pruskiego, że musiał dla długów i bankructwa z W. Księstwa uchodzić i że go teść jego, książę Lubomirski, w anonsach gazet poznańskich wyświecił ostrzeżeniem, iż zięć jego odebrał już cały posag z żoną i że żadnego nie ma prawa ani tytułu do przedsiębrania czynności, obciążających majątek ks. Lubomirskiego. Nie uwłaczając więc bynajmniej obecnym zasługom i stanowisku A. Grabowskiego, objawiłem poufne, ale bardzo kategoryczne zdanie, iżby najniekorzystniejszą było dla całego powstania rekomendacyą, mianowicie w Wielkopolsce, gdyby pierwszą jawną i imienną odezwę Rządu powstańczego podpisał A. Grabowski“ [7]). Tak Bentkowski scharakteryzował hr. Adama Grabowskiego. W jakim czasie to wyświecenie Grabowskiego z W. Księstwa miało miejsce nie wiem. Nie wiem także kiedy przyjechał do Warszawy. Wiem jednak z późniejszego, już po dyktaturze Langiewicza, wywiadywania się w Warszawie, że Grabowski wcale do organizacyi nie należał, że nie okazał nigdzie swego patryotyzmu ani poświęcenia. Zajmował jakieś stanowisko w zarządzie Tow. Żeglugi parowej na Wiśle, którego dyrektorem był Leon Królikowski, członek Komitetu Centralnego. Tu jest źródło stosunku tych dwu panów.

Tomasz Burzyński w swoim pamiętniku *) pisze: „Adam hr. Grabowski zajmując jakieś stanowisko w żegludze parowej, wziął pieniądze od komitetu i zobowiązał się statkami broń sprowadzić. Czy broń kupił rzeczywiście i jaką niewiadomo, to tylko pewna, że komitet ani broni, ani pieniędzy nie otrzymał; a Grabowski usprawiedliwiał się rewizyą niespodziewaną statków i konfiskatą broni; o tej konfiskacie istotnie mówiono wówczas w Warszawie“. Jak wiemy, Królikowskiego wprowadził do Komitetu Bobrowski i miał do niego pewne zaufanie, jemu więc jako dyrektorowi Żeglugi mógł powierzyć to zadanie dostawy broni, a ten znowu dał je Grabowskiemu. W każdym razie była to jedyna jego czynność i to jeszcze w ciągu lutego, przed ukonstytuowaniem się Komitetu t. j. przed powrotem jego członków z podróży.

Zobaczymy teraz, co Bentkowski pisze o działaniach przed dyktaturą prowadzonych.

---

[7]) L. c. str. 28. (P. R.)

*) Wyd. Mat. do Hist. pow. 1863. IV. str. 189. Tomasz Burzyński jako wydziałowy, był członkiem Rady miejskiej, przez którą Bobrowski rządził miastem i o misyi, danej Grabowskiemu, sprowadzania broni statkami parowymi, mógł doskonale wiedzieć.

Bentkowski wezwany przez generała Wysockiego, pojechał zaraz t. j. 1. marca z Krakowa do Lwowa. Wysocki był tam zajęty projektowaną wielką wyprawą na Ruś i życzył sobie, by Bentkowski był jego szefem sztabu. Bentkowski pozostawał we Lwowie kilka dni, bo aż do 7. marca. W drodze do Lwowa i potem spotykał się tam z niejakim Władysławem Siemieńskim, którego osobiście nie znał, ale znał jego rodzinę, w Królestwie zamieszkałą. Z rozmów z tymże odniósł wrażenie, że jest on jakimś agentem Rządu Narodowego, wtajemniczonym w jego i organizacyi misterya, dowiedział się, że był w ciągłej podróży między Lwowem a Krakowem i bywał często u generała Wysockiego. Na dwa dni może przed wyjazdem powrotnym do Krakowa, Bentkowski wchodząc do generała spotkał się z wychodzącym stamtąd Siemieńskim. Zastał Wysockiego, chodzącego w zamyśleniu po pokoju, a na stole leżała jakaś karteczka. „Wystaw sobie — rzekł mu Wysocki — że może będę znów musiał temi dniami jechać do Krakowa; oto — dodał, wskazując na ową kartkę — przyniósł mi Siemieński wezwanie na jakąś nagłą konferencyę z nadzwyczajnym komisarzem rządu narodowego, który ma temi dniami przybyć z Warszawy do Krakowa. Z wszystkich prowincyj wezwani są pełnomocnicy na wielką naradę. Widać, że z rządem krucho stoi i że sobie rady dać nie może. Jednej wszelako rzeczy nie rozumiem, t. j. że w ekspedycyach i listach, które temi czasy, całkiem nawet niedawno, od rządu narodowego odebrałem, żadnej zgoła nie czynią mi o tym zjeździe wzmianki“ [8]). Przeglądał potem te listy, porównywał znaki, pieczęcie i daty i na tem wezwaniu, przez Siemieńskiego przyniesionem, znalazł także jakiś brak formalności i zagadkowości *). Siemieński nachodził Wysockiego i natarczywie domagał się jego wyjazdu. Wysocki rzeczywiście na telegraficzne już wezwanie przyjechał 9. marca do Krakowa. Ponieważ sprawa wyprawy na Ruś, jak się w niej rozpatrzył Bentkowski, mogła przyjść do skutku dopiero w odległej bardzo przyszłości, (jak zobaczymy dalej, przyszła ona do skutku dopiero w końcu czerwca), a jemu było pilno pójść do powstania, więc ostatecznie pożegnał się z Wy-

[8]) L. c. str. 10. (P. R.)

*) Komitet Centralny istotnie w tym czasie odniósł się do generała Wysockiego w sprawie owej wyprawy na Ruś. Referat obu zaborów miał w ręku swoim Giller, szczegółów tej korespondencyi nie pamiętam, ale to wiem, że około 8. marca Komitet wysłał w tej sprawie umyślnego kuryera w osobie Maryana Sokołowskiego.

sockim i dnia 7. marca wyjechał z powrotem do Krakowa. W wagonie spotkał się z ks. Adamem Sapiehą, śpieszącym także na ową naradę w obecności pełnomocnego komisarza. W Krakowie stanął w hotelu Saskim i zetknął się natychmiast z dawnym swoim znajomym, Leonem Chrzanowskim, redaktorem „Czasu“ i dowiedział się od niego, że Langiewicz konsystuje ze swoim oddziałem w Goszczy, o dwie mile zaledwie odległej od Krakowa. Postanowił więc jak najprędzej tam się udać, dla zupełnego jednak wyekwipowania się potrzebował przez dni parę pozostać w Krakowie. W hotelu Saskim, gdzie ruch przejezdnych się koncentrował, miał sposobność mimowolnie dowiadywać się niejednych tajemnic i półtajemnic. Tu dowiedział się o intrygach Mierosławskiego, prowadzonych tak na miejscu w Krakowie, jak i w samym obozie Langiewicza, a mających na celu ogłoszenie się dyktatorem. Dowiedział się, że w Krakowie ma się odbyć zjazd pod auspicyami komisarza Rządu Narodowego (czyli raczej w ten sposób nazwanej resztki tego Rządu), walny zjazd pełnomocników wszystkich ziem polskich, celem naradzenia się i uchwalenia, co dalej począć, że komisarz jest już, albo lada chwila będzie w Krakowie, że są pełnomocnicy poznańscy i galicyjscy, brakuje tylko litewskich i ruskich. Nazajutrz 8. marca Bentkowski spotkał się przed wieczorem na sali jadalnej hotelu z Adamem Grabowskim, któremu towarzyszył w charakterze adjutanta czy sekretarza niejaki Kołaczkowski, obywatel z Królestwa, wyglądający na zawadyakę i hulakę *). Wieczorem tegoż dnia Bentkowski został przez Leona Skorupkę zaprowadzony na naradę. Zastał tam już kilka osób, a niedługo wszedł także A. Grabowski. „Posadzono go na kanapie — pisze Bentkowski — inni porozsiadali się w około [9]), a przewodniczył i głosy rozdawał najstarszy wiekiem, generał Kruszewski, czy też ktoś inny. Zebranie było złożone z kilkunastu osób, w tem 7-miu czy 8-miu członków krakowskiego, czy też galicyjsko-zachodniego komitetu obywatelskiego, nadto Adam ks. Sapieha, Bogusław Łubieński, Grabowski. Przedmiotem narady było trudne i narady potrzebujące położenie powstania, bez rządu, który de facto był tak dobrze, jak rozbity, o grożącej dyktaturze Mierosławskiego,

*) Ów Kołaczkowski był rzeczywiście znanym w Warszawie hulaką, należącym do grona t. zw. „złotej młodzieży“, która w r. 1852. wraz z Moskalami, baletniczkami i najrozmaitszemi ladacznicami traciła na kartach, pijatyce i rajskich kolacyjkach zdrowie, majątki i honor, o czem w swoim miejscu wspomniałem.

[9]) L. c. str. 14. (P. R.)

o potrzebie jakiegoś rządu jawnego. Bentkowski dalej powiada, że: „Po każdym niemal głosie jednego z przytomnych, a mianowicie, kiedy była jakaś interpelacya do rządu dotychczasowego zwrócona, lub jaka ogólna wątpliwość, zabierał głos A. Grabowski[10]). Mówił ze spuszczonymi oczyma z pewnem urzędowem i dyplomatycznem namaszczeniem i używał zawsze formuły: „Rząd Narodowy jest zdania“ lub „Rząd Narodowy musi na to odpowiedzieć, że...“, z czego Bentkowski wnosił, że ma przed sobą owego zapowiadanego komisarza pełnomocnego, a zarazem i jednego z pozostających jeszcze członków warszawskiego Rządu Narodowego. W dalszym ciągu dyskusyi mówiono o z r o b i e n i u Langiewicza dyktatorem, o ujawnieniu Rządu w jego osobie, o wątpliwościach, czy on będzie mógł i chciał tak ogromną odpowiedzialność wziąść na siebie. Potem pytano szczegółowo reprezentantów różnych części Polski o ich zdanie w tej mierze. Komitet krakowski oświadczył się za dyktaturą, Adam Sapieha imieniem lwowskiego komitetu tak samo. Bogusław Łubieński za komitet poznański, tak samo. Adam zaś Grabowski, przemawiając jak zawsze w imieniu Rządu Narodowego, wśród różnych omówień i zastrzeżeń przychylił się w gruncie rzeczy podobnież do zdania ogólnego. Bentkowski pytany o zdanie, wymówił się od wypowiedzenia go, mówiąc, że nie zna ani osoby Langiewicza, ani samej sprawy, ani stosunków organizacyjnych Rządu Narodowego, i że wogóle nie posiada żadnej legitymacyi do wyjawiania opinii. Dnia następnego (9. marca) Bentkowski z Chrzanowskim pojechał do Goszczy. Przybywszy około południa ujrzał tam Grabowskiego i Kołaczkowskiego, widocznie pierwej już przybyłych, którzy jak się później pokazało musieli już mieć konferencyę z Langiewiczem. Przed dworkiem, który był kwaterą Langiewicza (zawsze opowiada Bentkowski)[11]) byli obok niego zebrani Jeziorański, Waligórski i wielu rozmaitych pułkowników i adjutantów. Po chwili Langiewicz zaprosił wszystkich na śniadanie obozowe. Gdy śniadanie miało się już ku końcowi Langiewicz powstał, mówiąc: „No moglibyśmy teraz przystąpić“ i kazał wszystkim niepotrzebnym wyjść. Gdy Bentkowski chciał wyjść także, Langiewicz zatrzymał go, mówiąc: „Prosimy niech poseł zostanie, radzi usłyszymy jego także zdanie“. Więc został. Zostali także: Jeziorański, Waligórski, Tomasz Winnicki, Grabowski (czy i Kołaczkowski został nie jestem pewien — pisze Bent-

[10]) L. c. str. 15. (P. R.)
[11]) L. c. str. 17—19. (P. R.)

kowski), Biechoński, komisarz województwa krakowskiego, Chrzanowski. Z początku rozmowa była rozstrzelona, w której Jeziorański i Waligórski, między którymi siedział Bentkowski gadali o potrzebie dyktatury. Jeziorański przybierając minę napuszoną z tonem znaczącym mówił, że chociaż nie jeden miałby tu może większe tytuły do dyktatury (przyczem widocznie siebie miał na myśli, dodaje Bentkowski), on jednak dla dobra ojczyzny i żeby nie wywołać rozdwojenia nic nie będzie miał przeciwko dyktaturze Langiewicza i gotów ją ze swoim oddziałem popierać *).

Po kwadransie takiej rozstrzelonej rozmowy Langiewicz objawił gotowość usunięcia się, żeby pozostawić swobodę dyskusyi w sprawie jego osoby dotyczącej, a gdy zebrani temu się sprzeciwili, Langiewicz pozostał. Z narady, która się teraz rozpoczęła, Bentkowski — jak pisze —zapamiętał, że Jeziorański, Waligórski, Grabowski przemawiali za dyktaturą, że Chrzanowski w subtelnej mowie, wytykając różne niejasności w oświadczeniach Grabowskiego i sam sobie różne kazuistyczne stawiając skrupuły, warunkowo tylko na myśl dyktatury przystawał. Tu w nawiasie Bentkowski dodaje: „fałszem więc jest, co potem głoszono, że on to głównie fabrykował dyktaturę“ [12]). Tu ja znowu w nawiasie muszę wtrącić moją uwagę. Pod tym względem Bentkowski się myli; nie znał on stosunków krakowskich, nie znał widać dobrze samego Chrzanowskiego, jego charakteru, jego potężnych wpływów, jako redaktora „Czasu“. Sprawy tak ważnej, na intrydze tajemnej opartej, jak owa dyktatura, bez współudziału Chrzanowskiego nawet komitet szlachecko-konserwatywny przeprowadzićby nie mógł, a charakter ambitny Chrzanowskiego nie pozwalał mu być tylko pomocnikiem; on gdy się raz zgodził na samą myśl, musiał być i kierownikiem i główną sprężyną wykonania. Ta właśnie subtelność i kazuistyka, o której mówi Bentkowski, dowodzi, że on był główną sprężyną w Krakowie. Działał skrycie a tu mówił prawie publicznie, musiał więc być ostrożny: zostawiał sobie furtkę, żeby w danym wypadku zrzucić z siebie odpowiedzialność, wyrzec się wspólnictwa z intrygą i fałszem. W opowiadaniu swojem Bentkowski tak dalej pisze: „Langiewicz zlekka się niby wzdragał, ale w końcu przyjął,

*) To powiedzenie Jeziorańskiego jest bardzo znamienne, bo dowodzi jego niechęci do Langiewicza a własnych pretensyi. Potwierdza to, o czem powszechnie mówiono, że w czasie całej kampanii wspólnej z Langiewiczem, od Małogoszczy aż do Grochowisk, t. j. do przejścia Langiewicza za granicę, ciągle wichrzył i podkopywał powagę Langiewicza.

[12]) L. c. str. 19. (P. R.)

że Biechoński siedział wciąż, jak martwa figura, ust ani razu nie otworzywszy i nie dawszy najmniejszym gestem lub poruszeniem twarzy żadnego znaku udziału na tę lub ową stronę". Gdy Bentkowskiego zapytano o zdanie, oświadczył, że jest tu przypadkowo i nie posiada żadnej legitymacyi do przemawiania. Jeżeli chodzi o jego osobistą opinię, o ile ją może mieć, będąc prawie zupełnie obcym w wewnętrznych sprawach i krokach dotychczasowego tajnego Rządu, to opinia ta stanowczo się nachyla ku dyktaturze Langiewicza. Uzasadniając tę opinię i opierając się na tem, co nawet członek i komisarz pełnomocny dotychczasowego Rządu powiada, że Rząd jest tak rozbity, postawił trzy postulaty: potrzebę jakiegokolwiekbądź Rządu, pożądanie Rządu jawnego, konieczność niedopuszczenia dyktatury Mierosławskiego. Następnie omawiał te trzy postulaty i zakończył: „Zresztą opinia komisarza pełnomocnego rządu, który taką dyktaturę za zbawienną i pożądaną uważa, rozstrzygałaby wszystkie wątpliwości i wahania, jakieby we mnie powstawać mogły [13]). Na wniosek Bentkowskiego postanowiono działać dalej w tajemnicy ale szybko i stanowczo i z gotową zupełnie sprawą wystąpić jawnie. Na wniosek samego Langiewicza, redakcyę odezwy dyktatora powierzono Bentkowskiemu, Chrzanowskiemu i Grabowskiemu. Bentkowski po powrocie z Goszczy dowiedział się, że generał Wysocki przyjechał do Krakowa. Udał się zaraz do niego, żeby go zawiadomić o tem co zaszło i zarazem przedstawić mu życzenie Langiewicza, który chciał, żeby w odezwie było wymienione nie tylko porozumienie się z Rządem Narodowym, ale i przyzwolenie generała. Generał Wysocki wyraźnie i kategorycznie na to przystał. Potem jednak rozmyślił się i powodowany skrupułami i wątpliwościami w autentyczność pełnomocnictwa Grabowskiego pozwolenie cofnął i już z drukującej się odezwy musiano ten ustęp wypuścić. Dalej Bentkowski opowiada, jak w nocy z 9. na 10. redagowali we trzech odezwę dyktatorską, jak Grabowski ani jednej literki nawet nie napisał, a tylko przez cały czas gryzł pióro i medytował, jak w końcu Chrzanowski z dwu konceptów, swego i Bentkowskiego złożył całość i jak potem 10. marca oddano odezwę do druku. Dnia 10. marca był znowu Bentkowski na naradzie, której przedmiotem była organizacya rządu cywilnego niejako z poręki Langiewicza wynikłej, na której dał wspomnianą już wyżej charakterystykę p.

---

[13]) L. c. str. 21. (P. R.)

hr. Adama Grabowskiego. Dzień więc 10. marca 1863. r. jest niezaprzeczenie dniem, w którym ostatecznie dyktatura Langiewicza się urodziła, choć jej faktyczne ogłoszenie w obozie dyktatora nastąpiło dnia następnego, 11. marca.

Intryga szlachecko-konserwatywna osiągnęła swój cel; teraz należało go utrwalić i uzupełnić przez chwycenie w swe ręce politycznego i administracyjnego kierunku powstania, przez utworzenie rządu jawnego, wykonawczego, złożonego z ludzi swoich. Tym sposobem chciano zupełnie wytrącić władzę z rąk jakiegoś tajemnego komitetu, z ludzi nieznanych złożonego, który uzurpował sobie władzę Rządu Narodowego, a z dyktatora zrobić sobie powolne narzędzie dla własnych stronniczych celów i widoków politycznych. Nasuwa się teraz pytanie, gdzie tkwiło źródło tej intrygi i w jaki sposób ją ukuto? Na te pytania i wówczas w Krakowie i później nawet odpowiedzi znaleść nie mogłem, a raczej nie umiałem. Na intrygach zupełnie się nie znałem, jak już raz zaznaczyłem starałem się zawsze iść drogami prostemi, jasno i otwarcie, wówczas więc w tym labiryncie połapać się nie mogłem. Dopiero później z rozmów z ludźmi, którzy coś o tem wiedzieć mogli, z przeczytanych wspomnień cudzych, z kombinacyi faktów, które sam widziałem w Krakowie, wyrobiłem sobie pogląd na postawione pytania.

Myśl ustanowienia jawnego rządu urodziła się prawie jednocześnie i w Galicyi i w Poznańskiem w kołach konserwatywno-szlacheckich, ale z różnych pobudek. W Galicyi, a mianowicie w Krakowie, dla położenia tamy rządom anonimowego, tajnego Komitetu Centralnego; w Poznaniu dla uniemożebnienia dyktatury Mierosławskiego. W Krakowie myśl ta powstała w łonie Komitetu szlacheckiego, złożonego z Józefa Bauma, Benoego i Cezara Hallera. Z łatwością przyszło im porozumieć się i zjednać dla swej myśli Leona Chrzanowskiego, redaktora „Czasu". „Czas" jakkolwiek miał pozory demokratycznego organu, był jednak rzeczywiście organem stronnictwa konserwatywnego, gdyż właścicielem jego i wydawcą był bankier Kirchmajer, związany ściśle z tem stronnictwem. Leon Chrzanowski, człowiek bardzo zdolny, zręczny, przebiegły, skłonny do intryg politycznych i nadzwyczaj ruchliwy, umiał godzić, zresztą niezbyt twardy, swój demokratyzm, z zasadami konserwatywno-szlacheckiemi. Jako redaktor „Czasu" dzięki tym swoim przymiotom był w Krakowie osobą bardzo poważną i bardzo wpływową. Pozyskany dla tej sprawy, stał się jej głównym motorem w Krakowie. Komitet postanowił zwołać do

Krakowa zjazd rozmaitych notablów stronnictwa ze wszystkich dzielnic Polski dla zastanowienia się nad sprawą ustanowienia jawnego rządu. Działo się to w połowie lutego, pod wpływem owych rzekomo pomyślnych wieści z Paryża, o których już mówiłem. Wskutek tej uchwały rozesłano rozmaite zaproszenia, a do Poznania wysłano niejakiego p. Brandysa. W W. Ks. Poznańskiem istniał komitet dla niesienia pomocy powstaniu, złożony z hr. Jana Działyńskiego, hr. Rogera Raczyńskiego, Władysława Niegolewskiego, Władysława Kosińskiego [14]), Aleksandra Guttrego i Bogusława Łubieńskiego. Po ukazaniu się Mierosławskiego na polu walki i wskutek wiadomości, rozpuszczonych o jego dyktaturze, komitet, przerażony tem, postanowił nie dopuścić do niej. Niebawem zjawił się w Poznaniu ów posłaniec z Krakowa, Brandys, z propozycyami komitetu krakowskiego. Komitet poznański przyjął propozycyę i obiecał przysłać delegata. Ponieważ komitetowi temu chodziło przedewszystkiem o niedopuszczenie dyktatury Mierosławskiego, więc sądzono, że najlepszym środkiem do tego celu będzie utworzenie innej dyktatury, bo uzyska się przez to ujawnienie rządu uczyni zadość życzeniom komitetu krakowskiego. W rezultacie zgodzono się na ofiarowanie dyktatury Langiewiczowi, który w tym już czasie wybił się na pierwszy plan. Kto w komitecie myśl tę podał nie wiadomo na pewno. Faktem jest jednak, że myśl sama wyszła z komitetu poznańskiego a ważnem jest, że przeprowadzenie tej myśli powierzono Bogusławowi Łubieńskiemu. W archiwum Rządu Narodowego Artura Wołyńskiego, w powstaniu sekretarza Wydziału spraw zagranicznych R. N., złożonem w Muzeum Raperswylskiem, znajduje się lakoniczna dosyć, ale własnoręczna notatka Bogusława Łubieńskiego, w której jest zupełne potwierdzenie tego, co wyżej powiedziałem. Działo się to, jak Łubieński mówił, w końcu lutego lub na początku marca. Lecz data ta jest błędna, bo musiało to być jeszcze dobrze przed końcem lutego, a nawet w pierwszych dniach drugiej połowy tego miesiąca. Bentkowski bowiem w swoim pamiętniku (patrz wyżej) wyraźnie mówi, że przyjechawszy do Krakowa 28. lutego lub 1. marca zastał tam już Łubieńskiego. Łubieński w swojej notatce opowiada dalej, że porozumiał się zupełnie z komitetem krakowskim, wymienia jego członków, tych samych, których i ja podaję i którzy faktycznie ów komitet sta-

---

[14]) Przyborowski: D. 1863. r. II. str. 9. wymienia zamiast Kosińskiego Jaroczyńskiego. (P. R.)

nowili, a dodaje jeszcze generała Kruszewskiego, Siemieńskiego, Grabowskiego, jako owego rzekomego członka Rządu; dodaje także, że był Bentkowski, co nie jest prawdą, bo Bentkowski spotkał się z nim przypadkiem na dworcu kolejowym w Krakowie, wieczór 1. marca w chwili wyjazdu swego do Lwowa. Powiada wreszcie Łubieński, że komitet krakowski upoważnił jego i Grabowskiego do porozumienia się z Langiewiczem. Zestawiając te wszystkie okoliczności z opowiadania samego Łubieńskiego z tem, co pisze Bentkowski i Łukaszewski i ze szczegółami, których mi ten ostatni później już we Lwowie udzielił, nabrałem przekonania, że autorem dyktatury Langiewicza był Bogusław Łubieński [16]), że on ją całą przeprowadził i to w ścisłem porozumieniu z Grabowskim. Dla usunięcia od tej działalności nawet pozoru zamachu stanu, a przeciwnie dla nadania jej cechy legalności potrzeba było spiskującym uzyskać zgodę Rządu Narodowego w Warszawie. Zamiast jednak starać się o to legalnie, użyto podstępu. I tu jest główny węzeł intrygi. Łubieński przypomniał sobie Adama Grabowskiego, przebywającego w Warszawie i zjednał go dla sprawy, a Grabowski zjednał sobie Leona Królikowskiego, członka Rządu i wciągnął go do spisku. Grabowski pojechał do Krakowa z jakąś legitymacyą, którą dostał od Królikowskiego, jako wiozący 1.000 rubli od Rządu dla generała Wysockiego (Giller, Hist. I., str. 280.). Że Królikowski był w zmowie z Grabowskim jest to dzisiaj dla mnie pewnem, a to ze względu na okoliczności, o których mówiłem, a to, że Królikowski odebrał proklamacyę dyktatora w Warszawie z wiadomością, że został mianowany ministrem spraw wewnętrznych, że na owych posiedzeniach w Krakowie na przedstawienia Grabowskiego forytowano go na owego ministra (Langiewicz w Tarnowie w rozmowie ze mną zaprzeczał tej nominacyi, bo Królikowskiego wcale nie znał), że Grabowski opowiadał w Krakowie, że w Warszawie Rządu nie ma, że tylko on i Królikowski są jedynymi jego członkami, wreszcie, że gdy Rząd z raportu Biechońskiego dowiedział się o całej intrydze Grabowskiego i wysłał Bobrowskiego do Krakowa (o czem będzie niżej), Królikowski zaraz z Rządu wystąpił. Grabowski tedy w podwójnym charakterze jako rzekomy członek i komisarz pełnomocny Rządu wyrażał życzenie i zgodę tegoż Rządu na dyktaturę Langiewicza. Tym sposobem intrygą

---

[16]) Takie same przypuszczenie wyraża Przyborowski: D. 1863. r. II. str. 9—10. dodając, że podsunął mu ją hr. Raczyński. (P. R.)

otrzymano rzekome porozumienie się z Rządem, Langiewicz z dobrą wiarą to przyjął i w proklamacyi swojej umieścić polecił. Wątpliwą jest rzeczą, czy owe 1.000 rubli doszły generała Wysockiego, bo Wysocki podejrzywał mocno autentyczność misyi Grabowskiego, a tego podejrzeniaby nie miał, gdyby owe pieniądze dostał, a w rozmowie ze mną byłby przecież o tem wspomniał. W całej tej sprawie największym winowajcą był Królikowski, bo jako członek Rządu, działając przeciw niemu i na jego szkodę, zdradzał położone w nim zaufanie. Ponieważ zaś w opowiadaniu mojem o przebiegu posiedzenia Rządu w dniu 12. marca, na którem dowiedzieliśmy się o ogłoszeniu się Langiewicza dyktatorem wspomniałem, że zachowanie się Agatona Gillera wzbudziło w nas pewne podejrzenia co do udziału jego w tej sprawie, muszę dla samej prawdy wypowiedzieć moje przekonanie, do którego później przyszedłem i w którem w zupełności trwam. Zaznaczam z góry z całą stanowczością, że Giller w intrydze wyżej opisanej, o ile ona dotyczy wciągnięcia w nią Rządu Narodowego pomimo pozorów, któreby późniejsze jego postępowanie mogło nasuwać, żadnego nie brał udziału i o niej, t. j. o samej intrydze nie wiedział. Powołanie się Langiewicza w odezwie, że bierze dyktaturę porozumiawszy się z tymczasowym tajnym Rządem Narodowym było dla Gillera taką samą, jak dla nas wszystkich (z wyjątkiem naturalnie Królikowskiego) najzupełniejszą niespodzianką. Giller grzeszył wiele swoją pychą, zarozumiałością, uporem, ale był zanadto uczciwym, żeby brać udział w takiej zdradzie, jakiej się dopuścił Królikowski. Giller wiedział jednak bezwzględnie o przygotowującej się dyktaturze. Tego dowodzi przedewszystkiem jego zanadto widoczne, a nawet rażące zadowolenie i radość, jakiej nie ukrywał i jaka biła z jego twarzy i zachowania się na owem posiedzeniu d. 12. marca. Dowodzi dalej jego zachowanie się i postępowanie w Krakowie, co zwracało moją uwagę, jego wyraźne unikanie mnie tam, żeby się ze mną nigdzie nie spotkać. Mieliśmy tam wspólną misyę i sama przyzwoitość nakazywała, żebyśmy tę misyę spełniali razem i w zupełnem porozumieniu. Gdyśmy się przypadkiem zeszli u generała Wysockiego, Giller w rozmowie zupełnie inne wypowiadał poglądy, a gdym mu to wymawiał, zasłonił się dyplomacyą. Tak samo w Tarnowie nie chciał objaśnić mnie o treści rozmowy z Langiewiczem. Zamilczenie dalej przedemną owego zrzeczenia się dyktatury przez Langiewicza na czas uwięzienia, co przecież było ważnem (Por. Hist. powst. I., str. 280. dopisek, w którym powiada,

że dokument ten złożył Langiewicz na ręce członków Rządu, co nie jest prawdą, bo ja o tem zupełnie nie wiedziałem). Dowodzi tego wreszcie stosunek Gillera z Leonem Chrzanowskim, redaktorem „Czasu“ i to stosunek nie korespondenta z redaktorem, ale stosunek przyjacielski i zażyły dwu ludzi świadomych zresztą zupełnie i wzajemnie swego stanowiska społecznego i politycznego. Tak jak Giller wiedział, że Chrzanowski jest koryfeuszem stronnictwa, którego organem był „Czas“, tak i Chrzanowski wiedział o stanowisku społecznem Gillera, tak przed powstaniem, jak i po powstaniu. Wiemy, jaka była harmonia między redaktorem a korespondentem w przedstawianiu powstania w pierwszych jego chwilach. Czyżby teraz Chrzanowski mógł nie zawiadomić Gillera o tak ważnej przygotowującej się sprawie, która tak blizko tegoż Gillera obchodziła? Chrzanowski był jednym, jak już mówiłem, z głównych motorów dyktatury w Krakowie. Wprawdzie Bentkowski temu przeczy, ale on wyraźnie nie znał Chrzanowskiego. Był to nadzwyczaj chytry, przebiegły dyplomata. Jakkolwiek musiał wiedzieć o całej intrydze Łubieńskiego i Grabowskiego, to nie tylko nie mógł się do tego przyznawać, ale przeciwnie musiał markować pewną nieufność i niewiarę. Taka sama dyplomacya nie pozwalała mu wyjawić Gillerowi otwarcie całej intrygi, ale nie można przypuścić ze względu na łączące ich stosunki, żeby on Gillera, członka Rządu, nie zawiadomił o zamiarach oddania dyktatury Langiewiczowi, choćby tylko dlatego motywu, żeby niedopuścić Mierosławskiego, bo wiedział dobrze, że przytoczeniem tego jednego motywu zjedna Gillera dla sprawy i skłoni go do tajemnicy. To wszystko mnie przekonywa, że Giller wiedział o dyktaturze. Obowiązkiem jego było powiadomić o tem kolegów członków Rządu. Tego nie zrobił i o to go obwiniam.

Tak więc dyktatura stanęła i d. 11. marca ogłoszono ją wojsku. Tego samego dnia popołudniu dyktator kazał zwinąć obóz w Goszczy i pomaszerował dalej w głąb kraju, do Sosnówki [18]), miejscowości położonej w lesie za Słomnikami [19]), gdzie stanął już w nocy. Dnia następnego, 12. marca, w tejże Sosnówce, Langiewicz złożył wobec wojska uroczystą przysięgę na wierność ojczyźnie, a następnie całe wojsko oddziałami zaprzysięgało takąż wierność ojczyźnie a posłuszeństwo dyktatorowi. Podczas tej przy-

[18]) Sosnówka, wieś, pow. miechowski, gm. Kacice. (P. R.)

[19]) Słomniki, osada miejska, pow. miechowski, nad rzeką Szrzeniawą. (P. R.)

sięgi ukazała się na niebie tęcza, co uważano za znak pomyślny [20]). Tego samego dnia i już po odbytej uroczystości przybył z Krakowa do obozu Władysław Bentkowski, by przy dyktatorze zająć stanowisko szefa sztabu. Gdy o mającej teraz nastąpić krótkiej kampanii Langiewicza, już dyktatora, nie było żadnego sprawozdania urzędowego, bo naturalnie dyktator nie miał obowiązku składania go nikomu, a tem mniej Komitetowi Centralnemu, bo ten mógł uważać za nieistniejący, muszę przeto dla przedstawienia tej kampanii posłużyć się pamiętnikiem tegoż Władysława Bentkowskiego. Muszę się jednak ograniczyć do jego streszczenia, pamiętnik bowiem jest bardzo szczegółowy [21]).

Langiewicz przyjął Bentkowskiego bardzo serdecznie, a jako pierwszą czynność polecił mu wygotowanie różnych nominacyi na wyższe stopnie oficerskie. A więc dotychczasowi pułkownicy Jeziorański, Waligórski, Czapski i Śmiechowski zostali generałami, Tomasz Winnicki, dotychczasowy szef sztabu, został pułkownikiem i generalnym intendentem. Bentkowski nie chciał dla siebie żadnego tytułu, oprócz zwykłego, zgodnego z urzędem szefa sztabu. Z generałów: Jeziorański mianowany generałem dyżurnym, a Waligórski generałem kwatermistrzem nie mieli żadnych komend, lecz wchodzili w skład sztabu. Armia Langiewicza mogła w tej chwili liczyć 3. do 4. tysięcy ludzi, którzy dzielili się na dwa pułki piechoty po trzy bataliony, dwa pułki jazdy, batalion żuawów czyli właściwie strzelców, pluton saperów i pluton artyleryi z dwiema żelaznemi armatkami jednofuntowemi. Prócz tego był oddział gewaltygierów, t. j. przybocznej straży dyktatora, złożonej z 20. ludzi konnych, doskonale uzbrojonych, dobranych z inteligentnej młodzieży. Do tego należy jeszcze doliczyć tabor, złożony z kilkudziesięciu wozów na bagaże dyktatora i sztabu, drukarnię polową, aptekę, bagaże wojska, amunicyę, żywność i furaż. Naczelnym dowódcą piechoty był generał Śmiechowski. Dowódcą I. pułku pułkownik Dąbrowski, II. pułkownik Czachowski. Dowódcą brygady kawaleryi był generał Czapski, a jednym pułkiem dowodził pułkownik Ulatowski. Żuawów prowadził pułkownik Rochebrune, a było ich stu kilkudziesięciu dobrze uzbrojonych. W każdym pułku był jeden batalion strzelców, z niezłą wogóle bronią palną, dwa inne bataliony były uzbrojone w kosy i piki. Kawalerya była sto-

---

[20]) Por. Przyb.: D. 1863. r. II. str. 46—8. (P. R.)
[21]) Por. Bentkowski l. c. str. 29—106. (P. R.)

sunkowo najlepiej uzbrojona w lance, pałasze i pistolety, a nawet jako tako umundurowana. Audytoryatu polowego nie było wcale, szef sztabu musiał go dopiero tworzyć. Naczelnym lekarzem był dr. Bukowiecki, lekarzy pułkowych było dosyć. Kapelanów pułkowych i oddziałowych, tak świeckich księży, jak i zakonników było także dosyć, ale, dodaje Bentkowski, przez cały ciąg mojego pobytu w obozie nie było ani razu nabożeństwa, ani modlitwy wspólnej, dla tej prostej przyczyny, że w nieustannych forsownych marszach czasu na to nie było. Co do intendantury, którą miał zarządzać pułkownik Tomasz Winnicki, to żywności dla wojska dostarczali albo okoliczni obywatele, albo się ją przywoziło z Krakowa. Piekarni polowej nie było, głównem więc zadaniem intendanta była troska o dostarczenie pieczywa. Odzież brano z Krakowa, gdzie dyktator miał osobnych agentów, Meisla i Lewkowicza. Płatnika i kasy nie było, bo ani oficerowie, ani żołnierze żołdu nie brali. Za żywność i furaż wydawano bony, grosz publiczny jaki był Langiewicz miał w torebce przy sobie i sam z niego wydatki jakie były opędzał. Wieczór tego dnia, t. j. 12. marca przybyli dwaj oficerowie Polacy, służący w wojsku włoskiem, bracia Borzysławscy, Karol podpułkownik gwardyi i Władysław podporucznik węgierskiego legionu, obaj dzielni kawalerzyści. Pierwszego dyktator przeznaczył do sztabu, a drugiego mianował kapitanem i przeznaczył na adjutanta przy szefie sztabu. „Chciałem się, jak naturalna — powiada Bentkowski — zaraz tego wieczora gruntownie objaśnić co do ogólnych dyspozycyi wojskowych naszego obozu, co do naszego stanowiska, względnie nieprzyjaciela i dalszych Langiewicza planów; ale jużto żem nie mógł wcale w ciągłym wirwarze głównej kwatery przyjść do dłuższej a spokojnej z nim rozmowy, jużto, że Langiewicz albo żadnych ogólniejszych nie miał może planów, albo też nie chciał mi ich powierzać, dosyć, żem się tyle tylko dowiedzieć i wymiarkować zdołał, że dyktator myśli jeszcze parę dni w Sosnówce zabawić, bądźto dla lepszego zorganizowania swojej armijki, bądźto dla ukończenia pertraktacyj z Krakowem względem organizującego się tamże rządu cywilnego [22]). Dla utrzymania wolnej z Krakowem komunikacyi zatrzymano posterunek wojskowy w Michałowicach [23]) i drugi silniejszy w Słomnikach. Służbę przedniej straży

[22]) L. c. str. 35. (P. R.)

[23]) Michałowice, wieś nad rzeką Dłubnią, pow. miechowski, leży na granicy Królestwa o 8 klm. od Krakowa. (P. R.)

od strony Miechowa, gdzie stali Moskale, pełnił Rochebrune ze swymi żuawami. Dnia 13. marca o świcie przednia straż była zaatakowana przez garstkę Moskali, wyszłych z Miechowa. Po zamienieniu kilkunastu strzałów, od których poległ jeden żuaw, a 4. czy 5. było rannych, Moskale cofnęli się. Z powodu ciemnej nocy i gęstej mgły nie można było wymiarkować siły nieprzyjaciela. Około godziny 8. rano przednie straże dały znać o zbliżających się Moskalach. Ponieważ pozycya nasza nie była obronną, Langiewicz kazał całemu obozowi cofnąć się do niewielkiego lasu tuż przy wsi położonego, gdzie wojsko się rozłożyło, zajmując odpowiednie posterunki. Około południa, gdy widocznem było, że nieprzyjaciel tylko demonstrował a atakować nie zamierzał, Langiewicz kazał zwinąć obóz i ruszyć w pochód ku Racławicom [24]), ponieważ z powodu tego ruchu wojsko oddalało się od granicy, ściągnięto posterunki z Michałowic i Słomnik, pozbawiając się Krakowa, jako podstawy militarnej. Maszerowaliśmy przez Nasiechowice [25]). Ku wieczorowi, ponieważ ludzie byli zgłodniali, bo nic tego dnia nie gotowano, i zmęczeni, Langiewicz postanowił zanocować we wsi Markocice [26]), gdzie już w ciemną zupełnie noc stanęliśmy i każdy ułożył się jak mógł. Ponieważ w tych paru dniach na postojach zdarzyły się kilka razy wypadki rabunku, skłonił więc Bentkowski dyktatora do wydania rozkazu dziennego, zapowiadającego karę śmierci na każdego, któryby we własnym kraju i na własnych ziomkach dopuścił się rabunku przedmiotów nie należących do pożywienia. Żeby zaś tem bezwzględniej i słuszniej przeprowadzić tak surowe zagrożenie, skłonił Langiewicza, żeby jednocześnie ogłosić wojsku, że odtąd prości żołnierze pobierać będą płacę. Zaznaczam tu z całym naciskiem, o czem już wyżej wspomniałem, że wojsko Langiewicza dotychczas nie pobierało wcale żołdu, ani oficerowie, ani żołnierze. Jakże to przemawia na korzyść moralną tych ludzi, tych prawdziwych żołnierzy wolności, którzy zgłodniali, zziębnięci, często obdarci, znosili wszystkie trudy wojenne bez żadnego realnego wynagrodzenia. Więc tylko czysta, szlachetna i głęboka miłość ojczyzny była dla nich pobudką do poświęcenia i ofiarności, do wyrzeczenia się wszelkich wygód, a znoszenia wszelkich niedostatków i do walki o wolność dla tej ukochanej

[24]) Racławice, wieś, folw. i dobra, pow. miechowski, pamiętna z kampanii Kościuszki. (P. R.)

[25]) Nasiechowice, wieś, pow. miechowski, gm. Kacice. (P. R.)

[26]) Markocice lub Marchocice, wieś, pow. miechowski, gm. Racławice. Bentkowski l. c. str. 40 błędnie zwie ją Markowicami. (P. R.)

ojczyzny. A tak było nie tylko u Langiewicza, ale we wszystkich walczących oddziałach. To jest ten, tak piękny, tak wysoce podniosły charakter powstania. To zaznaczyć, to podnieść i wyrazić tym prawdziwym bohaterom wolności najwyższą cześć jest moim obowiązkiem.

Langiewicz zgodził się na tę propozycyę. Płacę dla żołnierzy oznaczono na 20. groszy dziennie. Oficerowie i nadal nie mieli pobierać żadnej gaży. Postanowiono wypłacać z góry co 10 dni. W parę dni potem pierwszy żołd wypłacono. Dn. 14. marca o świcie, mogliśmy dopiero — mówi Bentkowski — rozpoznać pozycyę, w której staliśmy, a ponieważ okazała się bardzo niebezpieczną, zapowiedziano więc wojsku, żeby do gotowania jadła się nie zabierano a przysposobiono do marszu. Langiewicz nie był zdecydowany, gdzie ma maszerować. Kilka godzin czasu zeszło na namysłach. Wreszcie Langiewicz zdecydował przerzucić się z tej bezleśnej okolicy w wielkie i rozciągłe lasy, leżące na północ od Miechowa przy gościńcu, idącym do Jędrzejowa. Wytycznym punktem marszu był Książ Wielki [27]). Marsz ten trwał cały dzień z parorazowymi przystankami dla odpoczynku wojska i napojenia koni, gotować jadła jednak nie dano. Słońce miało się już ku zachodowi, kiedy wojsko dotarło do gościńca i brzegów lasu. Do Książa było jeszcze daleko i dojść tam można było znów tylko w ciemnej nocy. Oddział się zatrzymał na polance w pobliżu lasu. Tu rozpoczęły się narady. Rozkładano na ziemi specyalne karty geograficzne, śledząc granic i połączeń owego kompleksu lasów, pytając o wodę dla koni i t. p. „Ja głupi byłem na to wszystko — powiada Bentkowski — zrobiłem tylko uwagę, że na nic się nie zda włazić do lasu, bo za dzień lub za dwa dla braku wody i żywności trzeba będzie z niego wyleźć“ [28]). Tymczasem słońce zaszło i trzeba było na coś się zdecydować. Wreszcie dyktator zgodził się zanocować na skraju lasu, gdzie stała karczma, zwana „Antolką“ [29]). Bentkowski wyznaczył miejsce na obóz, a ponieważ miejscowość ta była zaledwie ćwierć mili oddalona od Miechowa, gdzie stała silna załoga moskiewska, przedsięwziął więc odpowiednie środki ostrożności i bezpieczeństwa. Ogni nie wolno było palić, więc wojsko głodne i zmęczone w tym mokrym lesie nieszczególny miało wypoczynek. Bentkowski dzielił te niewygody,

[27]) Książ Wielki, osada nad rzeką Nidzicą, pow. miechowski. (P. R.)
[28]) L. c. str. 45. (P. R.)
[29]) Antolka, osada karcz., pow. miechowski, gm. Książ Wielki. (P. R.)

bo spał także w lesie pod sosną w topniejącym śniegu. Dnia 15. marca, gdy Bentkowski o świcie przyszedł do owej karczmy do dyktatora po rozkazy, ten nie był jeszcze zdecydowany co dalej robić. Od marszu do Książa Wielkiego odstąpił, a gdy należało jak najprędzej od niebezpiecznego Miechowa się odsunąć, postanowił wreszcie podążyć ku lesistym i pagórkowatym okolicom nad rzeką Nidą czyli w Stopnickie. Tu Bentkowski przytacza bardzo oryginalną odpowiedź, jaką dał Langiewicz dowódcom oddziałów, przychodzącym dowiadywać się, czy mogą zabierać się do gotowania: „Ofiarowaliśmy, rzekł, Moskwie bitwę, stawiając się jej tuż pod nosem, zlękła się i nie przyjęła, więc pokazawszy, że się jej nie boimy, w inną ruszymy stronę i to natychmiast“ [30]). Była to przechwałka, pokrywająca brak wszelkiego planu i decyzyi, pozycya była zła, niebezpieczna i dlatego uciekano stąd. Przytaczam tu te szczegóły, bo one potwierdzają słowa generała Wysockiego, wyrzecone w rozmowie ze mną w Krakowie, którą wyżej przytoczyłem, „że ze wszystkich ruchów, jakie przedsiębrał, widać, że niema żadnego planu działania, że tylko marszami i kontrmarszami nuży wojsko“. Istotnie tak było. Bentkowski także się na to uskarża. Wyraźnie dyktatura ciężyła mu, stracił jasność poglądu, sprężystość i stanowczość, jaką się dotychczas odznaczał w ruchach swoich, tak konieczne dla naczelnego wodza, a to musiało prowadzić do katastrofy. Około 8. rano — opowiada Bentkowski [32]) — nie rozpalając ogni wyruszono napowrót na wschód przez Tuchołów [33]) ku Giebułtowu [34]). Gdy zbliżali się do Giebułtowa, ludzie idący ze wsi ostrzegli, że we wsi są Moskale i strasznie tam gospodarują. Była to prawda. Młody Bielski, syn właściciela Giebułtowa, przyjęty poprzedniego dnia do oddziału ułanów, w czasie, gdy rozkładano obóz wymknął się, korzystając z ciemnej nocy cichaczem z kilku towarzyszami do domu rodziców na herbatę. Znalazł się tam także przypadkiem niejaki Funkenstein [35]), żyd polski oddawna w Anglii zamieszkały, a trudniący się dostawą broni. Nad ranem tego dnia,

---

[30]) L. c. str. 47. Uwagi o tych słowach należą do Janowskiego. (P. R.)

[32]) Por. też Przyborowski: D. 1863. r. II. str. 83. (P. R.)

[33]) Tuchołów, wieś i folw., pow. miechowski, gm. Książ Wielki. Bentkowski l. c. str. 47. mylnie Tuchułów. (P. R.)

[34]) Giebułtów, wieś i folw. nad rzeką Nidzicą, pow. miechowski, gm. Książ Wielki. (P. R.)

[35]) Tak Bentkowski — Przyborowski: D. 1863. r. II. str. 79—80. za Kolumną (Pamiątka II. str. 70.) Finkenstein, Berg wreszcie (Zapiski III. str. 41.) Falkenstein. (P. R.)

kiedy obóz ruszał z pod „Antolki“, moskiewski major Bentkowski (także Polak, lecz żaden krewny polskiego szefa sztabu)[36]) — przechodząc niedaleko Giebułtowa dowiedział się, że we dworze jest kilku powstańców, napadł więc na dwór. Żołnierze rozjuszeni wymordowali wszystkich powstańców. Funkenstein, porąbany okropnie, ocalał *). Z powodu tego ostrzeżenia, wojsko Langiewicza, idące w zwykłym szyku marszowym uformowało szyk bojowy, a gdy przyszło do Giebułtowa, już Moskali tam nie było. Wojsko przeszło Giebułtów i pomaszerowało na Książ Mały[37]) ku Zaryszynowi[38]), gdzie stanęło przed samym zachodem słońca, strasznie zmęczone i głodne. Tu zanocowano i zaspokojono głód. Dyktator nie był zdecydowany na dalszy kierunek marszu; Bentkowski proponował, żeby uderzyć na Stopnicę, gdzie była nieliczna załoga moskiewska, żeby zaprawić młodego żołnierza do zaczepnego boju. Dnia 16. marca o świcie Langiewicz dał rozkaz wymarszu, choć właściwie nie wiedział jeszcze, gdzie się ma udać; nie wyrzekł się wprawdzie projektowanej wyprawy na Stopnicę, lecz po długich naradach postanowił pomaszerować do Zawarzy[39]), położonej na prawym brzegu Nidy, niedaleko Chrobrza. Skierowano się więc teraz na południowy wschód. Maszerowano przez Przecławkę[40]), Góry[41]), (należące do Juliusza Dembińskiego, synowca generała Henryka Dembińskiego), Młodzowy[42]) do Zawarzy. Na drodze przed samemi Górami przybył do obozu dr. Łukaszewski, o czem już wyżej mówiłem. W Górach Langiewicz zatrzymał się z częścią starszych oficerów w pałacu na obiad, mówiąc: „Wszyscy naraz się tam nie zmieścimy: pójdę więc teraz z połową posilić się, a potem zluzuje nas druga połowa“. Bentkowski nie chcąc zostawiać wojska maszerującego bez nikogo starszego

---

[36]) Berg Zapiski III. str. 20. w uwadze pisze: „Bentkowskiego brat rodzony służył w wojsku rosyjskiem jako major w smoleńskim pułku piechoty“ — nie jest to jednakże ten, o którym tu mowa. (P. R.)

[37]) Książ Mały lub stary, wieś, pow. miechowski, gm. Książ Wielki. (P. R.)

[38]) Zaryszyn, wieś i folw., pow. miechowski, gm. Książ Wielki (P. R.)

[39]) Zawarza, wieś, pow. pińczowski, gm. Chroberz. Bentkowski l. c. str. 51. mylnie Zaworza. (P. R.)

[40]) Przecławka, folw., pow. pińczowski, gm. Góry. Bentkowski l. c. str. 51. mylnie Przesławka. (P. R.)

[41]) Góry, wieś, pow. pińczowski. (P. R.)

[42]) Młodzowa lub Młodzowy, wieś i folw. nad rzeką Nidą, pow. pińczowski, gm. Chroberz. Bentkowski l. c. str. 51. mylnie Młodzawy. (P. R.)

*) Ów Funkenstein, jako poddany angielski, otrzymał później od Moskali za swe rany, z których możliwie się wylizał, 10.000 funtów szterlingów wynagrodzenia. Anglia umie doskonale bronić swoich poddanych.

pozostał na trawniku. Godziny mijały i cała kolumna wraz z taborem już przez wieś przeciągnęła, a dyktator nie wychodził z pałacu. Bentkowski, choć głodny, udał się na czoło kolumny, która maszerowała dalej. Już słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy kolumna wchodziła do wsi Młodzowy. Do Zawarzy było jeszcze daleko, wojsko było zmęczone i głodne, bo tylko suchym chlebem się posilało. Bentkowski kazał się kolumnie zatrzymać dla wypoczynku i rozpatrzenia się w miejscowości, a tymczasem wysłał adjutanta ku końcowi kolumny, żeby zobaczył, czy dyktator już nadjechał z generałami. Miejscowość była najniebezpieczniejszą pozycyą dla obozu powstańczego w pobliżu nieprzyjaciela. Nocleg tu był zupełnie niemożliwy. Gdy nadjechał wreszcie dyktator i uznał również, że tu nocować niepodobna, postanowiono mimo nocy maszerować dalej do wsi Wojsławice [43]), która miała być tylko trzy ćwierci mili odległa i mogła od biedy cały oddział pomieścić. Około godziny 10. wieczór wojsko przybyło do jakiejś miejscowości, gdzie się miało zatrzymać; pokazało się, że to nie są Wojsławice, lecz Chroberz [44]), główna rezydencya margrabiego Wielopolskiego. Langiewicz ze sztabem zajął dolne apartamenta wspaniałego pałacu, kazawszy I. piętro zamknąć i nikogo nie wpuszczać. W pałacu był tylko burgrabia sam, bo cała służba na wiadomość o wchodzących do wsi powstańcach uciekła. Dnia 17. marca z rana dyktator oświadczył, że chce tutaj parę dni zabawić, żeby ludzie i konie mogły się gruntownie wywczasować, odpocząć, najeść, podćwiczyć i lepiej zorganizować. Bentkowski po zrekognoskowaniu położenia wsi i pałacu wypowiedział dyktatorowi swoje spostrzeżenia, że pozycya nie jest wcale korzystna, nieobronna, a główna kwatera zupełnie wystawiona na nocny napad kilkunastu rezolutnych Kozaków, którzyby mogli dyktatora porwać, zanimby obrona przybyć mogła. Langiewicz uznał te obawy za nieuzasadnione. Czas zeszedł do obiadu i właśnie go podano, gdy nadeszła wiadomość, że wojska moskiewskie wyruszyły z Pińczowa, żeby uderzyć na Chroberz. Langiewicz różnymi zuchowatymi wykrzyknikami zlekceważał te doniesienia i obiad trwał dalej. Minęło jednak zaledwie pół godziny, gdy przybyła pani Deskurowa z jakąś towarzyszką i potwierdziła otrzymane poprzednio wiadomości. Bentkowski wydał natychmiast odpowiednie dowódcom rozkazy, a gdy Langiewicz skończył dosyć długo trwającą konferencyę z owemi paniami, zapytał go o dalszy

[43]) Wojsławice, wieś, pow. pińczowski, gm. Chroberz. (P. R.)
[44]) Chroberz, wieś nad rzeką Nidą, pow. pińczowski. (P. R.)

kierunek marszu i dalsze dyspozycye. Poradziwszy się map, oświadczył Langiewicz, że obierzemy nocleg w Grochowiskach [45]), wsi położonej niezbyt daleko na lewym brzegu Nidy, w lesistej i mocnej pozycyi. Tymczasem wojsko występowało z kwater i przygotowywało się do możliwego boju. Przebiegu tej bitwy, a raczej tylko spotkania opisywać nie będę, bo nawet bardzo szczegółowego opisu Bentkowskiego nie potrafiłbym streścić tak, by to streszczenie mogło dać jasny obraz całego przebiegu walki. Ograniczę się na treściwem opisaniu położenia i zamiaru nieprzyjaciela. Wojsko powstańcze na prawym brzegu Nidy, zajmowało całą wieś Chroberz i sam pałac. Droga przez wieś idąca, dochodząc między pałacem i kościołem ku rzece, przekraczała ją po moście drewnianym, przechodziła przez rozległą polanę i gubiła się w lesie, dążąc ku Buskowi w stronę wschodnią. Niedaleko za mostem z tego gościńca odszczepia się ku południowi droga do Zagościa, prowadząca dalej ku Grochowiskom, t. j. w stronę przewidzianą z góry do dalszego marszu. Moskale szli z Pińczowa, t. j. od północy. Dowódca moskiewski Czengiery, wychodząc z Pińczowa część mniejszą swego wojska oddzielił na prawy brzeg Nidy. Ta maszerując bitym gościńcem, zbliżała się do Chrobrza. O tem to wojsku otrzymał Langiewicz, a raczej Bentkowski wiadomość. Z główną swoją siłą i artyleryą dowódca moskiewski szedł lewym brzegiem Nidy. Miał on widoczny zamiar fałszywem uderzeniem na wieś ową małą siłą zmusić wojsko polskie do przejścia przez most na brzeg lewy i tu całemi siłami na nie natrzeć. Plan ten Bentkowski zniweczył, choć bezwiednie. Jak mówiłem, postanowiony był dalszy marsz do Grochowisk po lewej stronie położonym. Bentkowski powziąwszy wiadomość o idącym nieprzyjacielu zarządził natychmiast przeniesienie całego oddziału na lewy brzeg. Dla powstrzymania ataku Moskali obsadził przy drodze chałupy około mostu położone strzelcami. Przy moście na lewym brzegu postawił żuawów Rochebrune'a, z rozkazem spalenia mostu po przejściu całego oddziału. Gdy już reszta oddziału i bagaże przez most przechodziły, nagle Bentkowski spostrzegł na odległym horyzoncie ukazujące się i ustawiające się w szyk bojowy wojsko nieprzyjacielskie. Gdy więc ostatni żołnierz przeszedł przez most, a we wsi Chrobrze pokazały się forpoczty kozackie, most obłożony słomą i polany smołą Rochebrune kazał zapalić. Tym sposobem oddział

[45]) Grochowiska, osada, pow. pińczowski, gm. Zagość. (P. R,)

moskiewski, który miał na prawym brzegu Nidy we wsi zaatakować powstańców, został odcięty i w bitwie nie mógł brać udziału, a ograniczył się jedynie do nieszkodliwego ostrzeliwania żuawów, stojących przy palącym się moście. Ci jednak cofnęli się i połączyli z główną kolumną, która sformowała się też w szyk bojowy, frontem do nadciągającego nieprzyjaciela. Nie obyło się też przytem bez chwilowego zamieszania a nawet popłochu w arjergardzie, ale szybko przyprowadzono wszystko do porządku. Zamiary moskiewskie spełzły prawie na niczem, bo zamiast bitwy, wszystko ograniczyło się na strzelaninie niezbyt szkodliwej. Czengiery spostrzegłszy, że zamiary jego nie powiodły się, nie forsował ataku. Wojsko polskie cofając się w szyku bojowym dążyło ku Zagościowi. Straty polskie w tem spotkaniu wynosiły zaledwie kilkunastu rannych. Ale za to stracono część taboru z żywnością i furażem, ta bowiem zbytecznie się oddaliwszy zgubiła kontakt wśród nocy z główną kolumną, znaleść jej nie mogła, a błądząc parę dni w pobliżu granicy, przekroczyła ją i została zabraną przez Austryaków. O zapadającym zmroku strzelanina ustała. Wojsko sformowawszy się znowu w kolumnę marszową, przeszedłszy Zagoście i skierowawszy się ku północy dążyło ku Grochowiskom. Zapadła noc bardzo ciemna, co utrudniało pochód. Okoliczność ta skłoniła Langiewicza do przenocowania w Wełeczu [46]), o małą milkę odległego od Grochowisk. Dnia 18. marca rano wyruszono w dalszy pochód. Około godziny 10. rano wojsko doszło do upatrznego w lesie grochowiskim miejsca na obozowisko. Był to obszerny wyrąb ze złożonymi sągami drzewa. Rozpalono ognie i wysłano do okolicznych wsi, jak Galowa [47]) na północ i do Wełecza wozy dla zarekwirowania żywności i furażu. Około godziny 1. furażery wrócili wprawdzie bez niczego, ale z wiadomością, że tak w Galowie, jak i w Wełeczu zastali już Moskali. Wysłano natychmiast rekonesanse, które wiadomości te stwierdziły.

Czengiery powziąwszy wiadomość, że wojsko powstańcze obozuje w grochowiskim lesie, postanowił podobnie jak w Chrobrzu, uderzyć na nie z dwu stron. Parę rot piechoty skierował do Wełecza, a sam z główną siłą posuwał się na północ ku Galowowi. Oddział w Wełeczu miał zaniepokoić oddział polski od tyłu i popchnąć go drogą i zagajnikami ku głównej kolumnie. Bentkowski z odebranych wiadomości zmiarkowawszy ten plan nieprzyjaciela

[46]) Wełecz, wieś i folw., pow. stopnicki, gm. Busk. (P. R.)
[47]) Galów, wieś, pow. stopnicki, gm. Szaniec. (P. R.)

zabezpieczył tyły armii od Wełecza, pozostawiając tam na drodze do Wełecza pułkownika Czachowskiego z batalionem piechoty. Od strony Galowa polecił Rochebrune'owi z żuawami przejść grobelkę na mokradle i w zagajnikach za nią położonych po lewej stronie drogi rozsypać się w części w tyraliery, a z resztą w odwodzie za nimi postępować, dojść do końca zarośli i czekać, dopóki główna kolumna nie zacznie wysuwać się z lasu. Podobnie ustawił kompanie strzeleckie po prawej stronie drogi. Tymczasem oddział szykował się do pochodu. Bentkowski chciał sformować pochód w szyku bojowym, ale dyktator się na to nie zgodził, uformowano więc zwykłą kolumnę marszową. Gdy kolumna przechodząc częściami grobelkę postępowała dalej, a inne nie mając na niej miejsca stały skłębione, czekając swojej kolei, naraz od zagajnika, w którym stał Rochebrune dały się słyszeć pierwsze strzały karabinowe. Mogła być wtedy godzina 3. popołudniu. Wszystko się pomimo woli w rozpoczętym ruchu wstrzymało do miejsca przykute i w milczeniu coraz gęstszych słuchało strzałów. Kule do tego miejsca nie dochodziły. Niebawem odezwały się działa, szląc nader żywy ogień kartaczowy, zmieszany z gęstym ogniem plutonowym, wprost na grobelki i nasze obozowisko. Jakkolwiek ogień ten z dosyć blizkiej odległości kierowany po przez dosyć wysoki zagajnik nie przenosił go i żadnej prawie szkody w naszych szeregach nie czynił, wywołał jednak ogólne przerażenie i zamieszanie. Ci, co przeszli grobelkę, cisnęli się na nią z powrotem, wszystko zbiło się w jeden kłąb. Bliżej pozostawionego obozowiska stała kawalerya i wozy taboru. Niebawem znowu rozległy się strzały na tyłach od strony Wełecza. To nieprzyjaciel uderzył na Czachowskiego. Zamieszanie, które trwało około grobelki, udzieliło się teraz i tym, co zostali około obozowiska. Cała kawalerya pod dowództwem generała Czapskiego pierzchła pierwsza w las ku południowi — za nią wszystkie wozy, przewracając się i tratując jedne drugich, grzęznąc w ciągnącem się tam mokradle. Z kłębu około grobli pojedyńcze oddziały odrywały się i uciekały w głąb lasu po prawej stronie, t. j. ku wschodowi. Dwa bataliony kosynierów leżały prawie na ziemi w zupełnej martwocie, tak, że niczem poruszyć ich nie można było. Ks. Konarski, kapucyn (Moskale powiesili go potem w Warszawie), usiłował ich z tego odrętwienia poruszyć, lecz i to nie pomogło. W tym wirwarze i zamieszaniu dyktator z Jeziorańskim, Waligórskim, Borzysławskim i całym sztabem, stali z boku na koniach nieruchomo. Langiewicz okazywał największą determinacyę i zimną

krew, ale milczał zupełnie, patrząc przed siebie ze zmarszczonemi brwiami. Stali w największym ogniu; kule karabinów brzęczały i świszczały wkoło, jak rój pszczół. Rzadko kto w tej gromadce około 20. ludzi, nie miał uszkodzonego konia lub odzieży. Jeden tylko Witołd Zachert, adjutant Waligórskiego, zginął na miejscu ugodzony kartaczem w głowę; nikt więcej osobistego nie poniósł szwanku.

Ogień karabinowy Rochebrune'a w zagajniku zaczął się powoli oddalać; widocznie, co można było rozeznać po strzałach, żuawi posuwają się naprzód, a jednocześnie ogień moskiewski coraz był słabszy. Bentkowski miarkując z tego, że Moskale pod naciskiem Rochebrune'a cofają się, przyszedł do przekonania, że jakie takie poparcie go, choćby na pozór zaczepne może ich zmusić do zupełnego odwrotu, a prawdopodobnie i dział odprzodkowanych z zagajnika nie będą mogli odprowadzić. Skoczył więc ku owym bataljonom kosynierskim przy grobelce, wzywając dowódcę, żeby ich uformował i rzucił w krzaki z krzykiem „hurra!". Bataljon zamiast iść naprzód zaczął się cofać. Ani prośba ani groźba nie skutkowały. Przyszli mu z pomocą zachęcającą do poruszenia się inni oficerowie, a między nimi Pustowójtówna i Aureli Baliński (brat poety Karola), zachęcali, prosili, że jeżeli nie chcą iść naprzód, niech przynajmniej krzyczą jak najgłośniej „hurra!". Przerażenie jednak tych biednych, zgłodniałych ludzi było tak wielkie, że wszelkie usiłowania pozostały bez skutku. Wreszcie po uporczywem naleganiu na oficerów, żeby przynajmniej uprowadzili batalion z grobelki, usłuchali wreszcie, ruszyli się, ale w prawo w głąb lasu uciekając, a za nimi i reszta tych, co jeszcze pozostało. „Byliśmy więc zupełnie rozbici, rozprószeni, a co gorsza, na duchu bardzo upadli [48])" — powiada Bentkowski. W chwilę potem Langiewicz pokłusował w ślad za swoją rozbitą armią na prawo w las, a my wszyscy za nim, powiada dalej Bentkowski, ale w gąszczu leśnym pogubiliśmy się. Nie widząc dyktatora, pytałem napotykanych powstańców o wskazówkę, ale ci odpowiadali: „pst! cicho! bo Moskale mogą nas usłyszeć". Po niejakim czasie odszukał Bentkowski dyktatora. Jechał on z Borzysławskim, Jeziorańskim i Waligórskim i „widocznie pogrążony był w poufnej z nimi pogadance, której treści domyślałem się tylko mniej więcej ze wzdrygania ramion interlokutorów i ich zdekurażowanej gestykulacyi. Naraz dyktator podjechał ku mnie i rzekł: „Wyszukaj też na mapie, mój szefie, i wytknij drogę mniej

[48]) L. c. str. 81. (P. R.)

więcej bezpieczną dla kilkunastu koni ku granicy galicyjskiej“ — poczem do swojej grupy wrócił [49]). Bentkowski zaczął się rozpatrywać na mapie, a tymczasem dyktator znowu gdzieś w gąszczu zniknął. Tymczasem odgłos strzałów karabinowych i działowych słabnął powoli, rzedniał, wreszcie ustał zupełnie. W lesie całym zapanowała cisza. Bitwa skończyła się, jak widzieliśmy, zdawało się zupełnie niepomyślnie, bo główna część armii rozprysła się. Pułkownik Czachowski ze swoim batalionem, zasłaniając tyły od strony Wełecza wstrzymał wprawdzie Moskali z tej strony, a może nawet i odparł zupełnie, ale zamiast, jak miał polecone, zdążać ku obozowisku głównemu, wnosząc zapewne z ciszy, która zapanowała, że cały oddział jest rozbity, poszedł także w las i gdzieś się zapodział. A właściwie, jak się później pokazało, opuścił zupełnie plac boju, posunął się w głąb kraju i w lasach ś-to Krzyskich, rozpoczął na własną rękę partyzantkę. Pomimo to wszystko jednak, w rezultacie, jak zobaczymy, zwycięstwo było po naszej stronie, ale zasługa przypadła w udziale zupełnie Rochebrune'owi.

Gdy po pewnym czasie Bentkowski spotkał znowu dyktatora, udali się razem do miejsca we wschodniej stronie lasu, gdzie się rozbitki gromadzili. Jak powiedziałem, głucha cisza panowała w lesie. Po chwili Langiewicz odezwał się do swego otoczenia: „Musimy pojechać na rekonesans, chciałbym się rozpatrzeć w naszej pozycyi“. Ruszyli więc w jakie 20 koni, t. j. Langiewicz, Jeziorański, Waligórski, Borzysławski, Winnicki, Bentkowski, Pustowójtówna i różni adjutanci i gewaltygierzy, lasem gęstym, w którym nic nie można było zobaczyć. Bentkowski zwrócił uwagę Langiewicza, że tak brnąc nic nie zobaczy a straci ślad powrotu, że może wpaść w ręce kozackie. Otrzymał na to zimną i ironiczną odpowiedź: „Bo widzisz, szefie, ja się bardzo boję, więc dlatego w las jadę“. Bentkowski cofnął się i już się więcej nie odzywał. Jechali więc dalej w kierunku zachodnim, ku dawnemu obozowisku. Byli już blisko tego miejsca, gdy nagle tę głęboką ciszę przerwały strzały karabinowe, rozlegające się w oddali, mniej więcej w stronie lasu, gdzie stały rozbitki i skąd właśnie byli odjechali. Ogień się stawał coraz żywszy i słychać było wyraźnie sygnały trąbek moskiewskich. Jadący w sztabie kapitan Leniecki [50]), były oficer

[49]) L. c. str. 82. (P. R.)

[50]) Bentkowski (l. c. str. 83.) a za nim Przyborowski (D. 1863. r. II. str. 120, błędnie podają Leniewski zamiast Leniecki.

moskiewski, objaśnił znaczenie tych sygnałów. Była tam istotnie bitwa. Po niejakimś czasie usłyszano sygnały, które według objaśnień Leniewskiego, znaczyły cofanie się Moskali. Langiewicz zawrócił i mniej więcej tą samą drogą wracał do miejsca, skąd wyjechał. Dowiedziano się o tem, że zaraz prawie po odjeździe sztabu zjawił się tam Rochebrune pieszo sam i opowiadał zebranym pułkownikom i starszyźnie, że zostawiony zupełnie sam z żuawami w owym zagajniku, wytrzymał cały atak Czengierego, odparł go i gdyby mu dano pomoc, byłby nawet zabrał działa, które odprzodkowane w gęstych krzakach, z wielką trudnością odprowadzili Moskale. W opowiadaniu rzucał słowa obelżywe, jak: „Vous êtes tous de lâches! Vous ne méritez pas d' avoir une patrie, car vous ne savez pas mourir pour la patrie!“ i t. p. W czasie tego opowiadania nagle od północy dały się słyszeć sygnały strzeleckie, a potem pojedyńcze strzały. Rochebrune zaczął zachęcać, żeby jaki oddział ruszył w las przeciwko temu nowemu nieprzyjacielowi, ale gdy właściwie tam nie było żadnego sformowanego oddziału, więc oficerowie pod wpływem tych obelżywych słów, przed chwilą przez Rochebrune'a wypowiedzianych, zebrali kilkaset ochotników, strzelców, przeważnie z młodej inteligencyi, a z nimi wielu kosynierów i pod dowództwem Rochebrune'a i pułkownika Dąbrowskiego, rzucili się na zbliżających się Moskali. Walczyli z męstwem i zaciętością i zadawszy nieprzyjacielowi ciężkie straty w poległych i rannych, a nawet wziętych do niewoli dwudziestu kilku ludzi, zmusili go do ucieczki w popłochu i nieładzie. Były więc w ciągu dnia dwie bitwy, jedna z Czengierym, która trwała mniej więcej od 1. do 3., w której Rochebrune, co było istotną prawdą, ze swymi kilkudziesięciu żuawami zmusił Czengierego, mającego do 1.500 ludzi do odwrotu i o mało, że mu artyleryi nie zabrał, straciwszy sam zaledwie kilkunastu żuawów zabitych i tyluż rannych zadał Moskalom bardzo ciężkie straty. Żuawi potem złączyli się z całym oddziałem już po drugiej bitwie, przypominam tu z poprzedniego opowiadania chwilę, kiedy Bentkowski usiłował znaglić kosynierów do pójścia z pomocą Rochebrunowi i przewidywał, że działa mogły być zdobyte. Druga bitwa, świeżo opowiedziana, była nad samym wieczorem, której bardzo pomyślny rezultat także Rochebrune'owi zawdzięczać należało. W bitwie tej Moskale stracili w zabitych majora, kilku oficerów i bardzo wielu żołnierzy, gdyż kosynierzy zawzięcie rębali. Nasi stracili również wielu zabitych i rannych, ale zawsze mniej niż Moskale. Skąd się wzięli ci

Moskale w tej drugiej bitwie? Była to załoga ze Stopnicy, która wedle rozkazu Czengierego miała wyjść rano dnia 18. i dążyć do Pinczowa, dla połączenia się z nimi wieczór. Oddział ten w drodze zatrzymał się w Busku dla odpoczynku. Tu usłyszawszy strzały w lesie grochowiskim, przerwał odpoczynek i ruszył w kierunku zasłyszanych strzałów, przyszedł wprawdzie już wówczas, gdy Czengiery się cofnął, lecz sam rozpoczął bitwę, na czem źle wyszedł. Langiewicz dowiedziawszy się o tem zwycięstwie, przemówił z pewną emfazą do otaczających, winszując im zwycięstwa i rozkazując ogłosić je całemu wojsku. Teraz nasunęło się samo przez się pytanie, co dalej robić? Bentkowski radził, żeby opuścić te gąszcze i cofnąć się do onych sągów, gdzie było ranne obozowisko. Langiewicz nie zgodził się na to. Tu więc rozpalono ognie, żeby się jako tako ogrzać. Gromadziły się też powoli rozmaite rozbitki tak piechoty, jak i kawaleryi. Dowódca kawaleryi, generał Czapski, jak drapnął z pola walki, tak się nie oparł aż w Krakowie. Wreszcie gdy Langiewicz dowiedział się, że Czengiery cofnął się do Galowa, a Wełecz jest wolny, zdecydował się tam pomaszerować, gdzie też oddział przybył około północy. Wszystko było tak rozprężone, znużone i upadłe na duchu, że o rozstawieniu straży i posterunków nie podobna było myśleć, tem więcej, że nikt nie chciał słuchać, a każdy jak najprędzej starał się dostać do jakiejś chaty, by odpocząć. Wieś była doszczętnie wyjedzona, tak, że o dostaniu jakiegokolwiek posiłku nie można było myśleć; przytułek pod dachem był jedynem dobrodziejstwem. Langiewicz stanął kwaterą w dworku dzierżawcy, zupełnie opuszczonym przez mieszkańców. Dworek oprócz sztabu napełnił się powstańcami. Dyktator ulokował się w małej izdebce i odpoczywał jużto medytując, jużto rozmawiając z nieodstępującymi go Borzysławskim, Jeziorańskim i Waligórskim. Około 2. w nocy wezwał tu także Bentkowskiego na radę wojenną. Oprócz wyżej wymienionych był wezwany jeszcze Ulatowski, pułkownik kawaleryi.

Zbliżamy się w opowiadaniu do stanowczej chwili, która miała decydować o losie powstania, a szczególniej o tragicznym losie dyktatora i jego dziewięciodniowej dyktatoryalnej władzy, spędzonej na bezplanowem i bezowocnem wałęsaniu się po malutkiej przestrzeni kraju, zakończonej dwoma przypadkowemi zwycięstwami, bez najmniejszego nawet jego udziału. Myśl opuszczenia wojska i udania się do Krakowa musiała już dawniej, jeszcze podczas tego maszerowania bez celu powstać w umyśle dyktatora,

a skrystalizowała się podczas pierwszego peryodu bitwy grochowiskiej i była już omawiana z towarzyszącymi mu generałami w chwili, gdy ich Bentkowski spotkał w lesie i teraz w Wełeczu.

Gdy Bentkowski wszedł do izby, Langiewicz zaczął od przemowy, że pragnie usłyszeć zdanie zebranych o krytycznej chwili, w jakiej się znajdują. Przedstawił, że mimo odniesionych zwycięstw, położenie jest bardzo nieszczególne, że są zewsząd otoczeni i naciskani przez rosyjskie oddziały, że niema możności rekwirowania ani żywności, ani furażu, że jest brak zupełny amunicyi, bo zaledwie wystarczy jej po dwa naboje na żołnierza, że tak ludzie, jak i konie są zmęczeni i zgłodniali, że Mierosławczycy ciągle w wojsku nurtują. Ktoś w tej chwili zrobił uwagę, że w takiem położeniu, najlepiej posunąć się ku granicy, zająć tam stanowisko podobne, jak w Goszczy, wejść w bezpośredni stosunek z Galicyą i Krakowem, zaopatrzyć się tam we wszelkie potrzeby i dać ludziom odpocząć, zorganizować się, a potem działać, jak wypadnie. Langiewicz odpowiedział, że na zbliżenie się do granicy nigdy nie pozwoli, gdyż w tym stanie, w jakim się wojsko znajduje, mogłoby to stać się mimowolnem hasłem salwowania się za granicę dla wielu, za którymi poszliby i wszyscy. Gdy wszyscy uznali trafność tego poglądu, myśl poprzednio wypowiedziana została zupełnie zaniechana. Następnie któryś z generałów rozpoczął od słów: „Ja mogę powtórzyć tylko to, co już mówiłem“. Z tego wnosić można było, że już poprzednio sprawa była omawiana poufnie. Po tym wstępie mówiący rozwijał swoją myśl, że trzymanie się dyktatora jednej większej armii jest błędem tak pod względem politycznym, jak i militarnym, gdyż czyni go zależnym od losu tej armii i że taka mała armijka, jak nasza, ma wszystkie niedogodności armii wielkiej pod względem zaopatrzenia we wszystkie potrzeby, a nie posiada jej zalet, bo doświadczenie nas przekonało, że jesteśmy za mało wyćwiczeni, wyrobieni i zorganizowani wojskowo, żeby staczać bitwy w otwartem polu. Trzeba więc wrócić do małych partyzanckich oddziałów, które z łatwością prześlizgując się między nieprzyjacielem, dostaną się w głąb kraju. Że dyktator nie powinien się wiązać z żadnym oddziałem, lecz przenosić się po teatrze wojny do coraz innego oddziału. Drugi generał przychylił się zupełnie do zdania pierwszego i dodał, że dyktator sam lub z innymi oficerami, którychby nie można było użyć przy podziale armijki na drobne oddziały, powinien się udać n. p. w Kaliskie albo w Lubelskie, gdzie się właśnie zbierają większe siły powstańcze. Ulatowski ra-

«dził, żeby armijki nie rozdzielać, ale zaraz z nią uderzyć na Kielce, gdzie jest słaba załoga. Ale gdy zdanie to nie znalazło poparcia u innych radzących, a i sam wnioskodawca nie umiał swej myśli mocniej uzasadnić i ta myśl upadła. Pułkownik Borzysławski popierał myśl obu generałów. Wreszcie Langiewicz zapytał Bentkowskiego o zdanie. Ten przyznając teoretyczną słuszność wywodom poprzednich mowców, stwierdził, że w wykonaniu praktycznem, sądząc ze stanu ducha i wojska, rzecz się zupełnie inaczej przedstawia. Wszystko jest wyczerpane na ciele i animuszu, minowane przez malkontentów i czeka tylko pozoru i impulsu, by albo się rozprószyć, albo cofnąć do Galicyi. Odjazd dyktatora teraz, choćby nawet jego obecność była gdzieindziej potrzebną, mógłby być właśnie tym impulsem. Co robić i przedsiębrać w sensie wojskowym, przyznawał, że nie starczy mu na to rozumu, ale trzymając się zasady, że gdy rozum odmawia swojej wskazówki, należy iść za głosem instynktu i uczucia, a te mu w tej chwili wskazują, że w obecnym wypadku „il y a quelque chose d'odieux" żeby, dzieliwszy tak długo różne koleje tej małej armijki, opuszczać ją właśnie w chwili najkrytyczniejszego jej położenia i że to może podać najniesłuszniej nieprzyjaciołom dyktatora pochop do dyskredytowania go. Langiewicz odparł na to dosyć żywo, że nigdyby, choćby skądinąd tego było potrzeba nie opuścił tego tu wojska po przegranej i wśród porażki, ale że jesteśmy właśnie po dwu świeżutko odniesionych zwycięstwach, podział więc armii na partyzanckie oddziały i odjazd jego ku innemu teatrowi wojny i ku załatwieniu jeszcze rozporządzeń dyktatoryalnych rządowych, żadnego niekorzystnego i deprymującego pozoru, ani wobec świata ani wobec wojska dać nie może. Nie wiem, jakie to przemówienie Langiewicza zrobiło wrażenie na członkach rady, bo o tem Bentkowski nie wspomina, zapewne żadnego, bo sprawa ta była już w ich umysłach przesądzona, ale na mnie, gdy ją czytam teraz i zastanawiam się, zrobiła wrażenie bardzo dla Langiewicza ujemne. Była to prosta i niegodna dyktatora fanfaronada, bo on przecie był niemym prawie zupełnie świadkiem przebiegu ostatnich bitew pod Grochowiskami, mógł poznać doskonale usposobienie i stan ducha swego wojska, które było istotnie kupą ludzi do ostatnich granic zdemoralizowanych i niezdolnych do żadnego czynu. Podział na mniejsze partyzanckie oddziały mógł był je uratować, ale pod warunkiem, żeby przy jednym z nich pozostał był Langiewicz sam i z tym oddziałem, choćby wybranym, rzucił się był bądź w Ka-

liskie bądź w Lubelskie. Moskale nie byliby wiedzieli, przy którym z tych oddziałów znajduje się właściwie dyktator. Tym tylko sposobem mógł był ocalić swoją armię od zupełnej zagłady, którą właśnie swoim odjazdem spowodował. Mam to przekonanie, że Langiewicz sam był także zupełnie zdemoralizowany, a nabrałem tego przekonania, gdym się z nim widział i rozmawiał w Tarnowie. Nadrabiał tylko miną i frazesami, pełnymi pustej fanfaronady. Armijka po jego odjeździe szczezła zupełnie. Znaczna jej część przeszła do Galicyi wraz z dowódcami, reszta rozprószyła się. Ta tylko garstka, którą Czachowski odprowadził z pod Grochowisk, była uratowaną. Słowa Bentkowskiego: „il y a quelque chose d'odieux" (jest w tem coś niecnego) były zupełnie usprawiedliwione.

Gdy każdy z członków tej rady odzywał się jeszcze dorywczo w myśl poprzednio wypowiedzianego zdania, Langiewicz, jakby reasumując objawione zdania, zakonkludował stanowczo: „A więc, Panowie, podzielimy naszą armię na trzy lub cztery oddziały partyzanckie, które natychmiast w różne strony wyruszają, starając się prześliznąć wśród Moskali. Ja zaś i ktoby przy tych oddziałach nie był do użycia, udam się incognito do Krakowa, gdzie ze trzy dni zabawię dla uregulowania stosunków rządowych i cywilnych, potem udam się na teatr wojny w Kaliskie lub Lubelskie" [51]).

Całe to opowiadanie Bentkowskiego o przebiegu tej dyktatoryalnej kampanii i o tej ostatniej radzie wojennej, ze względu na nieposzlakowany charakter opowiadającego jest, mojem zdaniem, jedynem bezstronnem i najwiarygodniejszem źródłem dla przyszłego historyka. Wszystkie inne opowiadania Jeziorańskich, Winnickich, i t. p. są stronniczemi bajaniami, mogącemi tylko zaćmić istotną prawdę. Ten wzgląd, to przekonanie, skłoniło mnie, że choć piszę mój własny pamiętnik, podałem jednak to opowiadanie Bentkowskiego w tak obszernem streszczeniu. Każdy czytający ten pamiętnik, bez potrzeby dalszych badań, będzie mógł poznać tę ważną i ciekawą chwilę powstania, jasno, prawdziwie i bezstronnie przedstawioną.

Przechodzę do dalszego opowiadania, opierając się zawsze na Bentkowskiego relacyach. Langiewicz zajął się natychmiast przygotowaniami do rozporządzeń i wykonania postanowień tak, żeby na godzinę 5. rano wszystko było gotowe do wyjazdu, który miał nastąpić bez pożegnania z wojskiem. Zapytał obecnych, czy który

[51]) Bentkowski l. c. str. 100. (P. R.)

z nich nie życzy sobie objąć dowództwa jednego z oddziałów, każdy jednak usprawiedliwił się jakiemś zajęciem, co bynajmniej nie przeszkadzało, że znaleźli się potem jednocześnie z Langiewiczem w Tarnowie. Bentkowskiemu kazał zostać przy sobie, bo może mu być potrzebny. Rozporządził podział wojska na trzy partyzanckie oddziały pod dowództwem generałów Śmiechowskiego, Czapskiego i pułkownika Czachowskiego. Napisał rozkaz dzienny do wojska, który miał być ogłoszony po jego odjeździe oraz instrukcye dla dowódców oddziałów. Tego jednak nie dał Bentkowskiemu do kontrasygnowania, więc ten nie znał treści tych rozkazów. Ulatowski miał się zająć przygotowaniem eskorty ułanów, która miała przeprowadzić dyktatora do granicy. Ponieważ Czachowskiego i Czapskiego nie można było znaleść (naturalnie, bo obydwu już nie było w obozie), dyktator więc samemu tylko Śmiechowskiemu wręczył rozkazy dla wszystkich trzech dowódców i pieniądze dla każdego z nich po kilkaset rubli, polecając mu, by skoro świt odszukał tych dwu dowódców i pooddawał im rozkazy. Bentkowski wychodząc około 3. rano od Langiewicza spostrzegł w sąsiedniej izbie drzemiącą Pustowójtównę, obudził ją więc, mówiąc: „Gotuj się, moje dziecko, do drogi, nic nikomu nie mów i trzymaj się osoby dyktatora; zresztą on ci sam może co powie". Pustowójtówna, nieco przerażona i zdziwiona, odpowiedziała: „Jakto? Dyktator odjeżdża? To źle!" Żeby uniknąć popłochu i rozprzężenia w obozie, postanowił Langiewicz, żeby krążącym koło kwatery powstańcom mówić, że dyktator wybiera się na rekonesans i rozkazał Winnickiemu, Tomczyńskiemu i kilku innym oficerom, żeby byli gotowi, bo pojadą z nim na rekonesans. Gdy wszystko było już gotowe, Langiewicz w związku z owem zapytaniem wczorajszem w lesie grochowiskim zapytał Bentkowskiego o najkrótszą i najbezpieczniejszą drogę ku granicy, a ten mu wskazał przez Wiślicę do Nowego Miasta, nad Wisłą położonego. Około godziny 6. rano, a był to dzień 19. marca, wyruszyliśmy — mówi Bentkowski — z Wełecza. Hufiec składał się z eskorty ułańskiej, kilkanaście koni wynoszącej pod dowództwem Ulatowskiego, z dyktatora z czterema adjutantami, z generałów Jeziorańskiego i Waligórskiego z ich adjutantami, z pułkowników Borzysławskiego i Winnickiego (który niechętnie przyjął wiadomość o wyjeździe), Bentkowskiego, Pustowójtówny, kilku gewaltygierów i galopenów dyktatora, którzy bądźto z rozkazu, bądź też dobrowolnie do orszaku się przyłączyli; razem orszak składał się z około 40. koni. Ranek był pogodny

i mroźny. W Wiślicy orszak stanął około 9. rano. W czasie gdy orszak zatrzymał się dla rannego posiłku, w mieście powstał popłoch, wywołany przez żydów, alarmujący, że Moskale idą (co było nieprawdą); popłoch udzielił się części eskorty i innych jeźdźców, którzy zaczęli się rozpraszać i uciekać, lecz kilku starszych oficerów dobywszy rewolwerów zdołało wstrzymać ucieczkę. Wszyscy dosiedli koni i orszak ruszył. Langiewicz kazał zmienić kierunek i zamiast ku Nowemu Miastu ruszono do Opatowca, gdzie pokazało się, że tam nie było przewozu na Wiśle. Na pół mili od Opatowca, około południa orszak zatrzymał się w dworku dzierżawcy, przy drodze stojącym. Tu Langiewicz dowiedział się, że dnia wczorajszego przejeżdżał tędy Czapski, dążąc do Krakowa i głosząc, że oddział cały został rozbity i rozprószony. Około godziny 1. otrzymał dyktator od Śmiechowskiego krótki raport, że Czapskiego i Czachowskiego niema zupełnie w obozie, że wojsko jest bardzo nieukontentowane i chce także ciągnąć do granicy. Langiewicz odpowiedział krótkim rozkazem, żeby nie ważył się cofać do Galicyi i żeby w inny sposób rozdzielił dowództwo nad oddziałami. Około godziny 4. nadszedł drugi raport od Śmiechowskiego, ale datowany już z Wiślicy popołudniu, że wojsko na partyzanckie oddziały rozdzielić się nie chciało, że wszystko chce iść do granicy galicyjskiej i że Moskale z daleka napierać zaczynają, że on rad nie rad musi ogólnemu popędowi ulegać i że cała armia jest już w Wiślicy. Langiewicz napisał natychmiast własnoręczny obszerny i surowy rozkaz do Śmiechowskiego, zakazujący mu pod najsurowszą odpowiedzialnością osobistą, cofać się ku granicy galicyjskiej i dający mu różne instrukcye. Dał go do kontrasygnowania Bentkowskiemu i wysłał go bezzwłocznie Śmiechowskiemu. Tymczasem słońce zniżało się już — pisze Bentkowski — ku zachodowi, a my wciąż w dworku owym i koło dworka stali. Biegnąca tuż koło niego droga z Wiślicy do Opatowca nad Wisłą ożywiała się coraz to bardziej w nader smutny sposób. Chmary różnych powstańców, konnych i pieszych, zdążało na własną rękę i o nic już nie pytając ku Wiśle. Kiedyśmy wreszcie koło godziny 5. popołudniu wsiedli na koń i do Opatowca odjechali, widocznem było, że zaledwie może już być mowa o jakiemś przebyciu incognito granicy, wybrzeże bowiem Wisły i promy na Wiśle pokryte już były mnóstwem najrozmaitszych powstańców, bądźto przeprawiających się przez rzekę, bądź cisnących się tłumnie do przewozu. Cała nasza kupka sztabowa rozprószyła się i każdy myślał o sobie. Stałem tak czas niejaki

nad rzeką, od adjutantów nawet moich opuszczony, tylko z moim człowiekiem od koni i patrzałem, jak koledzy to tu, to ówdzie, na jakiś prom, statek lub czółno się wcisnąwszy, Wisłę przebywali. Ujrzałem w niejakiem oddaleniu, jak Langiewicz wsiadł na małe czółenko z Pustowójtówną tylko, bez koni i bez żadnego towarzystwa i ku galicyjskiemu brzegowi popłynął. Od tej chwili jużem go więcej nie widział. Gdy tak dyktator sam już zdemoralizowany, całą swoją zdemoralizowaną armię zostawił na los opatrzności w Wełeczu, w Krakowie, do którego dążyć zamierzał, rozbrzmiewała radosna nowina o wielkiem zwycięstwie pod Grochowiskami. Smutne to, bardzo smutne igrzysko losu!

Langiewicz zdradzony, aresztowany przez posterunek austryacki został w nocy z 19. na 20. marca odwieziony do Tarnowa. Kto i w jaki sposób zdradził incognito Langiewicza na pewno nie wiadomo. W Paryżu pytałem się o to panny Pustowójtówny, ale czy nie umiała, czy nie chciała okoliczności wyjaśnić. Co się stało z armijką Langiewicza?

Wiemy, że Czachowski, w czasie jeszcze bitwy grochowiskiej, oddalił się ze swoim pułkiem, dążąc w lasy Śto Krzyskie. Śmiechowski, który po oddaleniu się Langiewicza objął naczelne dowództwo, zawiadomił Langiewicza raportem z Wiślicy, że całe wojsko dąży ku granicy. I rzeczywiście tak było. Rozprężenie w oddziałach było tak wielkie, że Śmiechowski nie miał siły wzbudzić posłuszeństwa. Tego samego jeszcze dnia (19. marca) oddział doszedł do wsi Czarkowy [52]), skąd po przenocowaniu wyruszył do Opatowca. Zaczęto się tu przeprawiać przez Wisłę, gdy nagle pokazał się silny oddział jazdy moskiewskiej. Oddział polski rzucił się do ucieczki drogą do Koszyc [53]) ponad Wisłą idącą. Bezładną tę ucieczkę osłaniał major Stanisław Wierzbiński, któremu Śmiechowski powierzył straż tylną. Tak przybyli do Nowego Brzeska [54]), skąd po małym odpoczynku, maszerując noc całą przybyli rano do Igołomii [55]) i stąd przez suchą granicę cały oddział, liczący już zaledwie 800. ludzi przeszedł i został przez wojsko austryackie rozbrojony i odprowadzony do Krakowa. W Igołomii pozostało jeszcze kilkudziesięciu ludzi, którzy nie zdążyli przejść granicy i przez nad-

---

[52]) Czarkowy lub Czarkowa, wieś nad Nidą, pow. pińczowski. (P. R.)

[53]) Koszyce, osada nad rzeką Szreniawą, pow. pińczowski, gm. Filipowice. (P. R.)

[54]) Brzesko nowe, osada, pow. miechowski, gm. Gruszów. (P. R.)

[55]) Igołomia, wieś i folw. nad Wisłą, pow. miechowski. (P. R.)

ciągających dragonów moskiewskich zostali wymordowani. Moskale tak się w pościgu zapędzili, że wpadli za granicę do wsi Kościelniki [56]) i tu zabrali do niewoli patrol austryacki z 11. ludzi z oficerem. Jeńców tych przyprowadzonych do moskiewskiego dowódcy, tenże uwolnił. Takie były fatalne następstwa opuszczenia wojska przez dyktatora. Cały oddział, złożony z około 2.000 ludzi, który Langiewicz zostawił w Wełeczu został zmarnowany doszczętnie [57]).

Powracam do przerwanego opowiadania o mym pobycie w Tarnowie. Chciałem się koniecznie widzieć z Langiewiczem. Objaśniono mnie, że mogę się dostać do niego tylko przez pana Michałka, t. j. przez pannę Pustowójtów, bo jej dosyć zostawiają swobody i kręci się po hotelu. Wyszedłem na korytarz i zaraz prawie ją spotkałem. Przypomniała mnie sobie odrazu, boć to zaledwie miesiąc upłynął, jak poznałem się z nią w Staszowie. „Cóż to się stało?“ — zapytałem. „Ot nieszczęście — odpowiedziała — poznali dyktatora na granicy i tu go przywieźli, ale to nie na długo, uwolnią go i jeszcze z honorami do granicy nazad odprowadzą“. „Żeby go tylko Moskalom nie oddali, bo od Austryaków wszystkiego można się spodziewać“ — wtrąciłem. „E! o to niema żadnej obawy“ — odparła z wielką pewnością“. „Ja, panie Michałku, przyjechałem tu z Warszawy, chciałem jechać do obozu i ot, zamiast w obozie, to was tu znalazłem. Mam bardzo ważne sprawy do zakomunikowania dyktatorowi i potrzebuję się z nim koniecznie widzieć, powiedziano mi, że tylko pan, panie Michałku, możesz mi to ułatwić“. „W tem nie będzie żadnej trudności, ja to panu ułatwię, niech pan trochę poczeka“ — odpowiedziała. Zakręciła się i weszła do drzwi zaraz obok tych, przed któremi stała warta. Był to pokój zajęty przez pułkownika austryackiego, któremu polecono pilnowanie dyktatora. Było to oznaką pewnej dystynkcyi, z którą traktowano więźnia *). Panna Pustowójtówna (Michał Smok w obozie) była to osóbka pełna życia, zapału i stanowczości, pewna siebie, o czem świadczyła krótka moja z nią rozmowa. Już z rozmowy ze zna-

---

[56]) Kościelniki, wieś, pow. krakowski. (P. R.)

[57]) Por. Przyborowski. D. 1863. r. II. str. 144—146. (P. R.)

*) W „D. 1863. r.“ II. str. 171. autor powiada, że przekupiliśmy straże, co nie jest prawdą, bo widzenie się nasze z dyktatorem ułatwiła nam panna Pustowójtówna, tak jak to opisuję. Ale i ona nie potrzebowała przekupywać straży, bo czyniła to za wiedzą i zezwoleniem pułkownika, który wyraźnie był człowiekiem grzecznym, a prawdopodobnie nie miał surowych instrukcyi, któreby zabraniały zupełnie dostępu do więźnia.

jomymi oficerami dowiedziałem się, że w obozie była odważną, stanowczą, wyrażali się o niej z pełnym szacunkiem, który w trudnem swem położeniu umiała sobie zjednać. Zaraz w Staszowie przydzielił Langiewicz p. Michała Smoka na adjutanta pułkownika Czachowskiego. Odtąd dzieliła ona wszystkie trudy obozowego życia. Sypiała zwykle z wojskiem pod gołem niebem. Powiadał mi później dr. Lewenhard, który był lekarzem oddziału, a później w Paryżu się z nią ożenił, że często się zdarzało, że okrywał ją własną burką, gdy ją widział spiącą i mocno zziębniętą. Dopiero przy samym końcu kampanii Langiewicz przydzielił ją do sztabu głównego. Opowiadano mi, że w samym początku po wstąpieniu do wojska, jakiś młody oficer zbliżył się do niej z jakimś konceptem i chciał ją objąć w pół, ale bardzo rezolutną dostał odprawę: szpicrutą po gębie i wśród śmiechu innych oficerów odszedł mocno skonfundowany. Była teraz tak samo ubrana, jak ją widziałem w Staszowie — w krótki kożuszek szary, szamerowany czarno, niedosięgający kolan, spodnie szare w buty do kolan i czarną konfederatkę, obszytą takimże barankiem. Na twarzy widać było zmęczenie, rumieńce znikły, ale czarne i żywe, pełne wyrazu oczy nie straciły swego blasku. Robiła bardzo sympatyczne i pociągające wrażenie.

Po kwadransie, a może i trochę dłużej, drzwiami, przy których warta stała wyszła p. Pustowójtówna, mówiąc do mnie: „Dyktator prosi". Została na korytarzu, a ja wszedłem. Dla jasności muszę tu przypomnieć, że w chwili tej rozmowy z Langiewiczem nie znałem zupełnie ani przebiegu sprawy utworzenia dyktatury, ani całej potem przebytej kampanii. Langiewicz, który stał o parę kroków od drzwi, przywitał mnie bardzo serdecznie i zapytał: „A ty co tu robisz?" „Przyjechaliśmy wraz z Gillerem — odpowiedziałem — jako delegaci tymczasowego Rządu, żeby ci zakomunikować jego uchwały. Mieliśmy się udać do twego obozu, gdy niespodzianie znaleźliśmy cię tutaj, więźniem austryackim". Usiedliśmy przy biurku, czy jakimś stole. „Więc cóż tam robicie w Warszawie?" — zapytał. „Dnia 25. odebraliśmy twoją odezwę, w której powoływałeś się na porozumienie z Rządem, co nie jest prawdą". „Przecież przyjechał tu z Warszawy pełnomocnik Grabowski" — odrzekł Langiewicz. „Mogę cię zapewnić — odparłem — że żadnego pełnomocnika nie wysyłaliśmy i żadnego Grabowskiego nie znamy, ja dowiedziałem się o nim dopiero w Krakowie. Tem powołaniem się twojem byliśmy mocno zdziwieni; przypuszczaliśmy jakąś intrygę,

albo, że przez ten frazes chciałeś odjąć aktowi ogłoszenia dyktatury cechę zamachu. Rząd postanowił więc uznać dyktaturę i 15. marca wydał odezwę do narodu, wzywając do posłuszeństwa dyktatorowi. I to jest rzecz pierwsza, którą mam polecenie ci zakomunikować. Dalej Rząd stawia pewne warunki, niezbędne tak dla samej sprawy powstania, jak i dla spełnienia twego obowiązku dyktatora, sądzę jednak, że wobec twego uwięzienia dyktatura się skończyła i o tych warunkach mówić już nie potrzebujemy". „O! nie" — odparł żywo Langiewicz i z wielką pewnością siebie mówił dalej: „O nie! to moje uwięzienie jest tylko tymczasowe i nie będzie długo trwało, dziś, jutro, za parę dni najdalej wypuszczą mnie, jeszcze przeproszą i z honorami należnemi do granicy nazad odprowadzą". „Daj Boże — wtrąciłem — mogę cię zapewnić, że nikt pewnie od nas goręcej tego nie pragnie, ale..." „Zapewniam cię, że tak będzie" — odparł Langiewicz i dodał z pewną uroczystą i tajemniczą miną: „mam do tego bardzo pewne dane" i potem zaczął mi opowiadać i skarżyć się na ciągłe wichrzenia w obozie od chwili połączenia się z Jeziorańskim, którego uważał za ukrytego swego nieprzyjaciela, zarozumiałego i pysznego; na ciągłe wichrzenia zwolenników Mierosławskiego, który lada chwila mógł się ogłosić dyktatorem, coby było klęską dla powstania. Tu wtrąciłem, że to są próżne obawy, bo z d. 8. marca pretensye Mierosławskiego do dyktatury się skończyły. „Wiem o tem — ciągnął dalej — to jednak nie przeszkadza mu ciągle wichrzyć i mam pewne dane z Krakowa, że nad tem pracuje i dlatego musiałem przyjąć ofiarowaną mi dyktaturę, bo to uważałem za jedyny sposób położenia tamy wszelkim wichrzeniom". Mówił dalej, że po zwycięskich bitwach pod Chrobrzem i Grochowiskami uważał za konieczne udać się do Krakowa dla uporządkowania spraw rządowych i że potem miał zamiar wrócić na plac boju, nie przywiązywać się stale do jednego oddziału, tylko przenosić się z jednego miejsca na drugie, być nigdzie a wszędzie, że, jak odzyska wolność, co musi nastąpić, to tak będzie postępował. „Wobec tego więc — zakończył — powiedz mi, jakie to są warunki, które mi Rząd stawia?" Odpowiedziałem, że Rząd nie podejrzywa zupełnie jego dobrej wiary, uznał dyktaturę, ale pamiętając owe usiłowania stronnictwa nieprzychylnego powstaniu w Płockiem i te kuszenia ciebie na Ś-tym Krzyżu przypuszczał i tu intrygę i wpływ tego stronnictwa i teraz, po tem, com widział w Krakowie (tu streściłem swoje spostrzeżenia) zdaje mi się, że te przypuszczenia miały jakąś podstawę". Langiewicz

wtrącił: „Niech oni tam sobie robią, co chcą, a ja zrobię to, co będę chciał". „I ja też tak myślę" — odparłem, i mówiłem dalej, że Rząd chcąc i dyktatora i jego działania uchronić od tych wpływów, postanowił żądać (tu wymieniłem wszystkie żądania Rządu, jak to już wyżej podałem). Langiewicz wysłuchał spokojnie i z zajęciem, a gdym skończył, rzekł: „Zupełnie się z tem zgadzam, a nawet w dekrecie o rządzie cywilnym przyjąłem te same zasady" i streścił mi je *). „Dekretu tego nie znam — odpowiedziałem — ale to bardzo dobrze, że się zgadzamy; tylko jak już powiedziałem, Rząd ten tajemny mają składać członkowie, którzy w tej chwili w Rządzie tymczasowym zasiadają". „Ależ dobrze — odparł żywo Langiewicz — no, dyrektorem wydziału wojny zamianowałem już generała Wysockiego, przecież to dobrze?" Na znak zgody skłoniłem głowę. „A jednego z waszych członków, Agatona Gillera, chcę zamianować pierwszym sekretarzem generalnym, drugim Kantaka, posła na sejm pruski". „O tem już słyszałem — odpowiedziałem — a Leona Królikowskiego chcesz zamianować dyrektorem spraw wewnętrznych" — dodałem. „Wspominano mi to nazwisko — rzekł Langiewicz — ale ja go nie znam i nic co do tego nie postanowiłem. Wszystkie inne wydziały wam oddam. No, cóż ty chcesz? Może skarbu, dobrze? zaraz napiszę". I zabrał się jakby do pisania. Tak mi się przykro zrobiło, że przez chwilę nie mogłem słowa wymówić. Patrzałem na niego badawczo, a wreszcie z wielkim żalem w głosie odezwałem się: „Ależ Maryanie, przecież my poważnie rozmawiamy, a twoja propozycya, wybacz mi, jakby była żartem lub zabawką; przyszedłem tu przecie nie w sprawie osobistej, żądania jakiegoś tytułu, czy urzędu dla siebie, lecz rozmówić się z tobą poważnie o sytuacyi, a w tej, w jakiej się znajdujesz, przecież żadnych rozkazów, nominacyi wydawać nie możesz, bo nie miałyby one żadnego znaczenia". Wstałem; Langiewicz zmieszany widocznie wstał także. W tej chwili we drzwiach, prowadzących do pułkownika ukazała się Pustowójtówna. Rozmowa, która trwała dobre pół godziny wydała się wyraźnie pułkownikowi owemu za długą, chciał ją przerwać. Nic nie mówiąc, podaliśmy sobie ręce. Wyszedłem. Taka była mniej więcej treść i przebieg naszej rozmowy. Zakończenie, jak najściślej

*) Dekretu tego nie mam, więc podać go nie mogę. Treść jego jednak podaje autor „D. r. 1863." II. str. 50., a w całości znajduje się w nr. 14. „Ruchu". Dekret ten istotnie w zasadzie zgodny jest z żądaniami, jakie stawiał Rząd Narodowy Langiewiczowi.

co do słowa jest prawdziwe i autentyczne, zapamiętałem je doskonale. Byłem rozżalony i zdetonowany. Więc to ma być dyktator? myślałem, bo owa propozycya jego czy była żartem, czy też seryo wypowiedziana, to zawsze było to niezgodne z powagą i godnością stanowiska, które zajmował. Jego pewność, z jaką mówił o swem uwolnieniu i honorach, jakie mu świadczyć będą, była może odpowiednią w ustach młodej dziewczyny Pustowójtówny, ale w ustach dyktatora była prostą fanfaronadą, podobną do wielu podobnych wyrażeń, które przytacza Bentkowski. Był on może, a nawet faktycznie, dobrym, zręcznym i odważnym wodzem partyzanckim, ale jako dyktator w oczach moich stracił cały urok. Szczęściem, że jego nadzieje uwolnienia spełzły na niczem, bo byłby lalką w ręku tych ludzi, co go na stanowisko dyktatora wynieśli. Powstanie byłoby się prędko skończyło, a pomimo klęsk, które i tak byłyby spadły na Polskę, nie miałoby ani tego uroku, ani tego znaczenia w historyi, jakie po nim bądźcobądź pozostały. Zostawmy jednak te rozmyślania na później, a przejdźmy do dalszego opowiadania.

Gillera jeszcze tego dnia nie widziałem, gdzieś się tak kręcił, że go spotkać nie mogłem. Po obiedzie wyszedłem trochę na miasto, żeby je poznać, bo poraz pierwszy tu byłem. Powróciwszy spotkałem się znowu na kurytarzu z Pustowójtówną. Zbliżyła się do mnie z miną tajemniczą i powiedziała po cichu: „Dobre są wieści, pieniądze będą. Dyktator dziś jeszcze w nocy będzie wolny". „Jakto? ucieknie?" — zapytałem. Oczami i skinieniem głowy potwierdziła i gdzieś frunęła. Jużem jej potem nie widział. Przyznam się, że mnie ta wiadomość po tej rozmowie z Langiewiczem zmartwiła*).

*) Myśl ułatwienia ucieczki Langiewiczowi za pomocą pieniędzy rzeczywiście miała miejsce. Urządzić i ułatwić ucieczkę miała Pustowójtówna. Mówiła mi o tem później w Paryżu, lecz nie wspominała, kto miał właściwie być przekupionym. Langiewicz miał pójść do wychodka i tam się przebrać w suknie kobiece. Wszystko już było przygotowane do ucieczki. Langiewicz jednak w ostatniej chwili robił trudności, nie chciał uciekać, twierdził, że i tak będzie wolny, bo go Austryacy sami wypuszczą i do granicy z honorami odstawią. Tak to wielkość i znaczenie stanowiska oślepiły go. Tymczasem tejże nocy z 21. na 22. marca wywieziono go do Krakowa. Bentkowski w swoim pamiętniku tak tę sprawę opowiada (str. 108.), „Tegoż samego dnia, czy też nazajutrz d. 21. marca (już dobrze nie pamiętam): Pustowójtówna, która czasem wymykała się na korytarz, wręczyła mi ukradkiem małą karteczkę, pisaną przez Langiewicza, przypieczętowaną pieczęcią dyktatorską, datowaną z Tarnowa d. 21. marca i adresowaną do mnie, urzędownie, jako do szefa sztabu. Zawierała ona krótki rozkaz, abym bezzwłocznie podniósł z kasy narodowej 10.000 złr. (40.000 złp.) i przywiózł je dyktatorowi. Cel nie był naturalnie wymieniony, domyślam się jednak, że Langiewicz potrzebował tych pieniędzy na przekupienie dozorców i wydostanie się na wolność. Po pewnych wzdraganiach, uważając się wszelako — pisze Bentkowski dalej — wciąż za

Spotkałem po niejakim czasie Gillera. Powiadam mu, że widziałem się z Langiewiczem. „I coście mówili?“ — zapytał. „Zapewnił mnie — odpowiedziałem — że będzie wolny, że go Austryacy jeszcze z honorami nazad do granicy odprowadzą. Zakomunikowałem mu uchwały Komitetu, a on mi zaproponował, żebym objął wydział skarbu, jako dyrektor“. „Cóżeś mu na to odpowiedział?“ „Naturalnie, podziękowałem mu za ten zaszczyt, mówiąc, że on w swojem obecnem położeniu niema prawa wydawać żadnych nominacyi, ani rozkazów“. „Toś dobrze powiedział“ — odrzekł Giller. „A ty, Agatonie, widziałeś się z nim?“ „Widziałem“ — odrzekł. „I cóż?“ — zapytałem. Ale Giller wyraźnie nie miał ochoty mówić o tem, bo odpowiedziawszy ni to ni owo, pożegnał mnie, bo miał jeszcze jakiś interes. Dziwiło mnie to trochę, że Giller tak w Krakowie, jak i tu stara się zawsze być sam, ale nie zastanawiałem się nad tem bliżej. Resztę dnia chodziłem zważony i przygnębiony. Dręczyło mnie przypuszczenie, że nadzieje Langiewicza się spełnią i Austryacy rzeczywiście go uwolnią. Co zrobić w takim razie z dyktatorem, jak go okiełzać, jak go uwolnić i wyrwać z pod wpływu tych ludzi, którzy go na to stanowisko wynieśli i naturalnie będą usiłowali opanować i jego i cały kierunek powstania. Jego słowa „niech oni robią, co chcą, a ja to zrobię, co sam zechcę“ uważałem za prostą fanfaronadę i nadrabianie miną. Rozmowa z Langiewiczem, którą teraz rozważałem, ta pewność i wiara, jaką miał w swoje uwolnienie, zestawione z wiadomością o usiłowaniach ucieczki, powziętą od Pustowójtówny, bardzo niekorzystne dla Langiewicza wywarły na mnie wrażenie, wydała mi się niewłaściwą i nieszczerą fanfaronadą. Jeżeli z całem przekonaniem i zupełnie szczerze powiedziałem w rozmowie, że nikt bardziej, jak my, nie pragniemy jego wolności, tak teraz

związanego stosunkiem służbowym do Langiewicza, ruszyłem do Krakowa najpierwszym pociągiem“. Tam udał się do Wysockiego i Łuby (Łubieńskiego). „Składano się zrazu zupełnym brakiem pieniędzy, wreszcie zesztukowawszy jakoś to stąd to zowąd, dano mi żądane 10.000 reńskich. Zabawiwszy kilka tylko godzin w Krakowie, tegoż jeszcze wieczora wyruszyłem z pieniędzmi do Tarnowa, gdziem pomiędzy 1. a 2. godziną w nocy stanął. W oberży wszystko już spało, prócz warty austryackiej, pilnującej Langiewicza. Chodziłem czas niejaki po korytarzach, wyglądając, czy się Pustowójtówna nie pojawi (albowiem i ona właściwie pod strażą zostawała), widząc jednak, że szperam napróżno, do rana czekać postanowiłem. O świcie wyszedłem znów z mego numeru, gdziem przespał parę godzin, żeby polować na Pustowójtównę w korytarzach. Uderzyła mnie cichość wielka i nieobecność żołnierzy na dziedzińcu; kiedym spytał o powody tej zmiany, odpowiedziano mi, że Langiewicz wraz z Pustowojtówną wywiezieni zostali pod strażą około godziny 3. z rana, a więc właśnie podczas paru owych godzin, com spoczywał“.

w duszy pragnąłem, żeby się to nie stało. Nie znałem jeszcze wówczas źródeł i przebiegu ukutej intrygi. Wydawała mi się też i silniejszą i poważniejszą, niż była w istocie. Zmartwiony i zmęczony, posiliwszy się w restauracyi hotelowej i nie mając żadnej ochoty do rozmów, choć była jeszcze dosyć wczesna godzina, udałem się na spoczynek. Niebawem nadszedł i Giller, lecz także widać nie miał ochoty do gawędy i także spać się położył. Gdyśmy się z rana dosyć wcześnie obudzili, od służby hotelowej dowiedzieliśmy się, że około godziny 3. rano Langiewicza pod eskortą wywieziono do Krakowa. Nie rozważając długo i nie mając już tu w Tarnowie co robić, najbliższym pociągiem wróciliśmy do Krakowa. Przyjechaliśmy jeszcze dobrze przed południem. Ja zajechałem znowu do hotelu Lwowskiego. Giller pojechał do Chrzanowskiego. Zabawiwszy w hotelu tylko tyle czasu, ile było potrzebnem do zmienienia ubrania, wyszedłem na miasto, dążąc ku rynkowi do pp. Demidowiczów, gdziem był żonę zostawił. Zwrócił zaraz moją uwagę ogromny ruch na ulicach, charakter jednak tego ruchu był odmienny od tego, jaki pozostawiłem odjeżdżając do Tarnowa. Czuć było wielkie zainteresowanie się publiczności, ale miało ono charakter pewnego przygnębienia, troski. Ludzie stali grupkami, żywo rozprawiali, a wyrazy: „już go przywieźli w nocy do Krakowa“ — słychać było wszędzie. Widocznem było, że całe miasto już wie o przywiezieniu Langiewicza. Dolatywały do moich uszu różne nieprzyjemne epitety, tyczące Langiewicza. Wyraz „zdrajca“ powtarzano często. „Wziął sobie dziewczynę za adjutanta“, „wszetecznik“ i t. p. niewymownie drażniące. Jak zwykle w tłumie wydawano sąd doraźny. Wypadki zupełnie odmiennej natury nastąpiły tak szybko po sobie: 20. marca ludność była uniesiona pod wrażeniem wiadomości o wielkiem zwycięstwie dyktatora, dziś 22. tegoż dyktatora przywieziono do Krakowa jako więźnia austryackiego. Uczucia ludności mogły być pod wpływem tych, tak sprzecznych wypadków, wyprowadzone z równowagi. Rynek był natłoczony publicznością, wśród której jeszcze więcej niż przedtem widać było powstańców, którzy pomimo widocznej jakiejś klęski nic nie stracili ze swej buńczuczności, co nieprzyjemne sprawiało wrażenie. Spostrzegłem tu także, że miejscami czytano jakieś drukowane kartki, które u czytających zdawały się wywoływać zadowolenie.

Dotarłem wreszcie idąc linią A—B do kamienicy „Krzysztofory“, gdzie mieszkali państwo Demidowicze. Przyjęto mnie tu

bardzo serdecznie. Panie były same. P. Demidowicza nie było w domu. Panie, jedna przez drugą, opowiadały mi, że Langiewicza przywieziono nad samym ranem, że w zamkniętej karecie i otoczonej strażą kawaleryi przewieziono na zamek, a towarzyszącą mu Pustowójtównę osadzono w gmachu policyjnym, zwanym „pod telegrafem“ i że wiadomość o uwięzieniu dyktatora sprawiła bardzo przygnębiające wrażenie. Wyrażały swoje obawy o los powstania, że to pewnie już koniec. Zdawały się być zgorszone tem towarzystwem panny w roli adjutanta. Żeby panie uspokoić, opowiedziałem im, co sam tylko wiedziałem o szczegółach uwięzienia, że widziałem się z nim w Tarnowie, że jest jak najlepszej myśli, że go Austryacy wypuszczą, że wróci znowu na pole walki, że ten wypadek nie może w niczem zaszkodzić powstaniu, że jakkolwiek on był dyktatorem, ale zawsze jest tylko jednostką, a są przecież jeszcze i inni wodzowie, którzy powstania nie opuszczą, że jest jeszcze i Rząd Narodowy. Słowem, chciałem panie uspokoić wbrew nawet własnemu przekonaniu, obawom i wątpliwościom, jakie sam miałem w duszy. Wyjaśniłem paniom stosunek do p. Pustowójtówny, że w tym stosunku niema nic nieczystego, uwłaczającego jej czci, że ona w trudnem swojem obozowem położeniu umiała zjednać sobie najzupełniejszy szacunek najpoważniejszych ludzi. Te moje objaśnienia miały ten skutek, że moja żona i panna Teresa Demidowiczówna objawiły chęć odwiedzenia p. Pustowójtówny w kozie, jeżeli tylko je tam wpuszczą. Nie tylko nie odmawiałem, ale nawet zachęcałem do tych odwiedzin, jako do czynu dobrego. Wtem nadszedł p. Demidowicz. Przywitawszy się, odezwał się: „Przynoszę państwu ważną i dobrą wiadomość“. Pewna uroczystość, z jaką wyrzekł te słowa ten zacny patryota obudziła ciekawość. Mnie w pierwszej chwili przebiegła myśl, że pewnie Langiewicza uwolniono. Demidowicz mówił: „Przed paru dniami przyjechał do Krakowa członek Rządu Narodowego z Warszawy, Stefan Bobrowski“. Cała moja istota zamieniła się w słuch. Demidowicz mówił dalej: „Tam odkryto całą niecną intrygę, z której powstała dyktatura Langiewicza. Przywiózł on list Rządu Narodowego do Langiewicza, w którym Rząd objaśniał go o wszystkiem; ponieważ jednak dyktator został uwięziony przez Austryaków, a przez ten sam fakt dyktatura zniknęła, Bobrowski więc wydał w imieniu Rządu Narodowego proklamacyę tej treści“. Tu wydobył z kieszeni ową proklamacyę i odczytał ją. „A to doskonale — zawołałem — dzielnie się spisał Bobrowski“. Proklamacya ta

BIBLIOTEKA KRAK. W. R.

brzmiała (podaję ją dosłownie, bo był to formalny manifest pierwszorzędnego znaczenia):

„Rodacy! Dyktatura objęta przez jenerała Langiewicza dnia 19. marca upadła, a naczelna władza w kraju przechodzi napowrót w ręce tymczasowego Rządu Narodowego w Warszawie, który nie przestał pełnić obowiązków rządowych i jest jedynie prawnie ukonstytuowaną władzą krajową. Rodacy! powrót władzy w ręce ludzi, którzy wywołali powstanie i kierowali niem wytrwale, daje nam zapewnienie, że powstanie utrzymanem zostanie i nie będzie zakończonem bez zwycięstwa. Walczyć będziemy bez znużenia, nie zrażeni niepowodzeniem, nie zatrzymani przeszkodami. Nie koncentrując całej sprawy w jednej osobie, z której upadkiem runąćby mogło powstanie, silni zaufaniem jakie posiadamy, wystąpimy stanowczo przeciw wszelkim pokuszeniom się frakcyi, któreby usiłowały stworzyć niezależne od nas władze. Rodacy! z ufnością i wiarą ujmujemy na nowo ster kraju w swoje ręce, a przywykli już do zaradzania w niebezpieczeństwach, przekonani jesteśmy, że i dzisiaj wskutek upadku dyktatury, grożące niebezpieczeństwo oddalimy. Wierni sprawie, której chorągiew przez nas trzymana usuwa wszelkie stronnicze nieporozumienia, wzywamy cały naród do posłuszeństwa!

Do broni! wróg przed nami, bracia nasi padają — w szeregu dzisiaj miejsce dla Polaka.

Z upoważnienia Centralnego Komitetu, jako tymczasowego Rządu Narodowego.

Komisarz nadzwyczajny

Stefan Bobrowski.

Dnia 21. marca 1863 r.“ [59]).

W ogłoszeniu tej proklamacyi odbija się cała rzutkość myśli, rzutkość w zrozumieniu sytuacyi i stanowczość w powzięciu decyzyi. Był to w tej chwili akt polityczny niesłychanej wagi i znaczenia *).

[59]) Drukowana w Gillera Hist. powst. nar. polsk. I. str. 316—7. (P. R.)

*) Była wersya w tym czasie, a nawet i później utrzymująca się, że proklamacyę tę pisał Agaton Giller. Wersya zupełnie mylna, a samo zestawienie dat jej zaprzecza. Bobrowski zredagował ją 21. marca wieczorem, drukowano ją w nocy z 21. na 22., a 22. rano już jej pierwsze egzemplarze rozrzucono po Krakowie. Giller z 21. na 22. marca nocował wraz ze mną w jednym pokoju w Tarnowie, skąd 22. rano wyjechaliśmy razem do Krakowa, dokąd przyjechaliśmy około południa, a odezwę już w mieście czytano na ulicach. Mnie Demidowicz czytał ją około godziny 2. popołudniu dnia 22. marca.

Bobrowski z narażeniem własnej osoby rozstrzygnął sprawę stanowczo, usunął wszelką wątpliwość, wszelkie możliwe pretensye czy zamiary rozmaitych ambitnych Jeziorańskich, Mierosławskich i t. p. Powiadam z narażeniem własnej osoby, bo podpisując się imieniem i nazwiskiem narażał się na prześladowanie Moskali, a nawet Austryaków. Pilno mi było zobaczyć się z Bobrowskim, nie przyjąłem więc zaproszenia, bym został na obiad, i wyszedłem na miasto. P. Demidowicz dał mi wskazówki, gdzie Bobrowskiego mogę znaleźć, bo był w Krakowie pod obcem nazwiskiem. Udało mi się znaleźć Bobrowskiego dosyć prędko. Uściskałem go z całego serca, winszowałem mu i dziękowałem za to, co zrobił. Bobrowski opowiedział mi, że w parę dni po naszym wyjeździe do Krakowa, Rząd odebrał raport od Wojciecha Biechońskiego, komisarza województwa Krakowskiego, w którym tenże zawiadamiał o intrydze, z której narodziła się dyktatura, o rzekomej misyi Grabowskiego i t. d., o czem już wyżej pisałem. Że z tego raportu nabył przekonania, że w tej intrydze brał udział a przynajmniej był dokładnie poinformowany Leon Królikowski, a może przypuszczać, że o zamiarach wiedział także Giller i że obaj fałszywą rolę odgrywali wobec Rządu. Wobec tego Rząd uchwalił konieczny jego (t. j. Bobrowskiego) wyjazd do Krakowa, polecił mu zredagować list do dyktatora, objaśniający mu całą sprawę, że musi dotrzeć do Langiewicza i list mu osobiście doręczyć. Napisanie listu i wydanie rozmaitych zarządzeń w mieście zabrało mu wiele czasu, tak, że dopiero 19. marca w nocy wyjechał z Warszawy i 20. stanął w Krakowie (t. j. tego samego dnia i godziny prawie, kiedy ja i Giller wyjechaliśmy do Tarnowa). Tu zaraz dowiedział się o zwycięstwie pod Grochowiskami, a wieczorem rozeszła się pogłoska o przejściu granicy przez Langiewicza i jego uwięzieniu. Nazajutrz rano wiadomość ta została potwierdzona. „Dowiedziałem się — mówił — że wy pojechaliście do Tarnowa, musicie więc już wiedzieć o katastrofie. Zredagowałem więc natychmiast proklamacyę i jeszcze wczoraj, 21. marca, późnym wieczorem kazałem ją rozrzucić po mieście i, o ile mogę wnosić, zrobiła ona dobre wrażenie“. Ja następnie opowiedziałem mu, com widział i słyszał w Krakowie przez parę dni pobytu, że istotnie tutaj forytowano Królikowskiego na dyrektora spraw wewnętrznych. Napomknąłem także o jakiemś dziwnem tu postępowaniu Gillera, który formalnie mnie unikał, że na zebraniach występował raczej jako generalny sekretarz dyktatora, a nie, jak był powinien, delegat Rządu. Opo-

wiedziałem moją rozmowę z Langiewiczem w Tarnowie i o wrażeniu, jakie ta rozmowa na mnie wywarła. W końcu Bobrowski prosił mnie, żebym zaraz wracał do Warszawy, bo on musi jeszcze zostać przez dni parę dla zdemaskowania całej intrygi, która wyniosła Langiewicza na dyktatora, i że Giller także chce się jeszcze parę dni zatrzymać *). Powiedziałem Bobrowskiemu, że najdalej jutro rano wyjadę i prosiłem go, by i sam jak najprędzej wracał. Na tem rozstałem się z Bobrowskim. Szukając Bobrowskiego, i teraz, gdym wracał do domu, spostrzegłem już trochę odmienne usposobienie ludności. Znikło przygnębienie a okazywało się we-

*) Dlaczego Giller zatrzymał się w Krakowie nie wiem. W swojej „Historyi powstania“ I. str. 43. i 44. pisze: „Tymczasem obecni członkowie (t. j. on i Bobrowski, bo mnie już tam nie było) Rządu Narodowego w Krakowie powołali hr. A. Grabowskiego za samowolne przybranie tytułu komisarza rządowego pod śledztwo“. Z tego widać, że Giller został w Krakowie dla tej sprawy. I rzeczywiście tak było, o tem jednak dopiero dalej przyjdzie mi mówić. Tu jednak dla zupełnego wyjaśnienia zachowania się Gillera w tym czasie w Krakowie muszę podać zdanie człowieka bardzo zacnego, bezstronnego, zasługującego w zupełności na wiarę choćby nawet ze względu na uczucia, jakie żywił dla Gillera i które tu wypowiada, Dra Łukaszewskiego. (Zabór pruski w czasie powstania styczniowego str. 288.). Autor pisze: „Już przed kilku dniami przybył z Warszawy Stefan B.... (Bobrowski), za nim G... (Giller) i J. J. (Józef Janowski), (tu się myli, bo pierwej przyjechali G. i J. J. a potem dopiero B.). Trudno opisać zamęt i oszołomienie dni następnych“ (mowa o chwili aresztowania Langiewicza). „Wszyscy potracili głowy, jeden Stefan zrozumiał położenie rzeczy i po pierwszej faktycznej wieści o ujęciu Langiewicza wydał odezwę, że Rząd Narodowy po upadku dyktatury napowrót bierze najwyższą władzę i powstanie dalej prowadzi. Tym krokiem od razu zapanował nad chaosem i wykluwającemi się apetytami partyi, przywracając prawowity porządek, zwichnięty chwilowo przez kamarilę dyktatorjalną. Nie dosyć na tem, oddał jenerałowi Wysockiemu zarząd wojenny i do akt złożył memoryał rządowy, wyjaśniający Langiewiczowi zamach kilku ludzi, których brzydki charakter faktami stwierdzono. Potem rozpoczęły się rokowania z rozmaitemi partyami, w czem arcydyplomatyczny Gil. (Giller) więcej psuł, jak dopomagał. Przekonany jestem, że gdyby B. (Bobrowski) miał wolne ręce, byłby wszystko szczęśliwie i na pożytek sprawy załatwił i uporządkował. Dziś autor „Historji powstania narodu polskiego w r. 1863/64.“ inaczej tę rzecz przedstawia, mimo to przekonania mego zmienić nie mogę w sprawach, na które własnemi patrzyłem oczyma. Gil. (Giller) należy do najwybitniejszych postaci naszego powstania, niezmordowanej pracy, bystrego rozumu, wielkiej bezinteresowności. Grzeszy jedynie bezmierną zarozumiałością, sądząc, że co się stało dobrego w czasie powstania, tylko z jego wyszło głowy; dopóki on był w Rządzie, dopóty wszystko szło jaknajświetniej, gdzie jego nie było – tam głupota i płaskość jeśli już nie – nikczemność. Szanuję i czczę autora „Powstania“ dla jego wielkich cnót, ale czułem się w obowiązku podać klucz do bezstronnego osądzenia dzieł jego. Zresztą opinia już wtedy przypisywała, że bruździ nie tyle ze złej woli, ile raczej wskutek zaślepienia Chrz... (Chrzanowskiego), którego uważano za jednego z motorów dyktatury. Były to parne czasy; nie dziw więc, że znaleźli się w Krakowie ludzie nieprzebierający w środkach, którzy nosili się z myślą, aby doraźnym sądem pozbyć się ich obydwóch. Nie mówię tego ze słyszenia, ale oparty na fakcie, że dyskutowano tę sprawę w mej obecności i tylko rzewne słowa Stefana (Bobrowskiego) zdołały uśmierzyć rozjątrzonych. Za to we własnej sprawie nie umiał sobie poradzić ani nie znalazł u nikogo skutecznej pomocy“. Niestety Giller nie odwdzięczył się Bobrowskiemu w sprawie z Adamem Grabowskim, o czem później.

wnętrzne zadowolenie. Gdym przyszedł do pp. Demidowiczów, żona z panią Teresą opowiedziały mi zaraz, że odwiedziły p. Pustowójtównę i to bez żadnych trudności, że znalazły ją w doskonałym humorze. Mówiła im z wielką pewnością siebie, że „sprawa nasza nigdy jeszcze tak dobrze nie stała, że Langiewicza Austryacy uwolnią, a on wróci i będzie dalej bić Moskali". Uprzedziłem żonę, że jutro raniutko musimy wyjechać z powrotem. Poszliśmy więc na noc do hotelu i rannym pociągiem dnia 23. marca wyjechaliśmy z Krakowa. Wracaliśmy za przepustką, ale że na stacyi Granica nie było jeszcze Moskali, bez trudu więc kupiliśmy bilety do Warszawy i wieczorem dnia tego stanęliśmy na miejscu.

ROZDZIAŁ VI.

Czynności Komitetu, a teraz już właściwie Rządu Narodowego, przez wyjazd nas dwu do Krakowa były zatrzymane o tyle, że załatwiano tylko nagłe bieżące sprawy. Gdy Rząd otrzymał raport Biechońskiego o intrygach krakowskich, z których wypłynęła niespodzianie dyktatura Langiewicza i skutkiem tego Bobrowski musiał także wyjechać, Leon Królikowski, przewidując zapewne, że udział jego w sprawie dyktatury zostanie odkryty, jeszcze przed wyjazdem Bobrowskiego złożył swój mandat członka Rządu. Komitet rezygnacyę przyjął i postanowił wprowadzić do swego grona Karola Ruprechta, członka byłej Dyrekcyi stronnictwa białego. Komitet, jakkolwiek niepełny, miał prawo to zrobić, gdyż wprowadzenie tego nowego członka w skład Rządu było w zasadzie już przedtem postanowione. Już wyżej w pierwszej części, mówiąc o stanowisku Dyrekcyi białej po wybuchu powstania, zaznaczyłem, że tak w organizacyi tej, jak i w jej Dyrekcyi ze strony gorętszych elementów zaczęły się podnosić głosy, że wobec faktu powstania, tak organizacya, jak i Dyrekcya nie mają racyi bytu, że powinny się rozwiązać, a Komitet Centralny, jako Rząd tymczasowy uznać za legalną władzę narodową. W Dyrekcyi samej od pierwszej chwili powstania stanowczymi rzecznikami tego zapatrywania byli dwaj jej członkowie, Karol Ruprecht i Edward Jurgens, obydwaj ludzie nieposzlakowanego patryotyzmu i uczciwości. Jak już wiemy, nie długo po powstaniu Edward Jurgens został z rozkazu Wielopolskiego aresztowany i osadzony w cytadeli, teraz więc rzecznikiem tej myśli w Dyrekcyi białej był przedewszystkiem Karol Ruprecht. Mówiłem był także, że Stefan Bobrowski jeszcze za istnienia komisyi wykonawczej zawiązał był rokowania z Dyrekcyą w tej sprawie, a w organizacyi samej zapatrywania te propagował. Rokowania te i teraz Komitet zupełnie aprobował i skoro istotnie

w dniach pierwszych marca (zdaje się 5. marca, datę tę podaje także Giller w swojej historyi [1]) Dyrekcya się rozwiązała, Komitet postanowił wówczas powołać do swego grona Karola Ruprechta i jeszcze przed wyjazdem Bobrowskiego do Krakowa, postanowienie to wykonał *). Karol Ruprecht był jedną z najpiękniejszych, świetlanych postaci owych czasów. Już kilka razy miałem sposobność w mojem opowiadaniu mówić o nim, podnosić jego cnoty i szczególne przymioty. Jako uzupełnienie przytoczę tu jeszcze zdanie jego biografa (Karol Ruprecht. Szkic biograficzny przez Agatona Gillera, Lwów 1875). Autor tak kreśli charakter tego niepospolitego męża: „Karol Ruprecht był człowiekiem cichym, skromnym, spokojnym", (ja dodam jeszcze: pełnym poważnej słodyczy i łagodności), „a jednakże wywierającym najszerszy wpływ na ludzi, w kierunku właśnie tych cnót, których osoba jego była wcieleniem. Każdy, kto tylko zbliżył się do niego, ulegał urokowi jego powagi oraz świętości uczuć i stawał się lepszym.

„Użyliśmy z rozmysłem wyrazu świętości. Chociaż bowiem Ruprecht należał do religii, która nie zna czci świętych, był bowiem kalwińskiego wyznania, to przecież, jeżeli świętością nazywamy życie nieskalane, oddane w posługę Bogu, ludzkości i Ojczyźnie, praktykujące nie tylko na arenie publicznej ale i w domowym bycie, najszlachetniejsze zasady i pojęcia, jakie Chrystus objawił, jakie wielcy filozofowie określili a wielcy poeci uidealizowali; jeżeli jednem słowem świętością się nazywa: czystość, mądrość, dobrzeczynienie i nieustające poświęcenie, to słusznie nazwaliśmy świętością ów urok, jaki otaczał Ruprechta, a który pociągał wszystkich, co go znali, do kroczenia po lepszej drodze".

Jest to istotnie nadzwyczaj prawdziwe i wierne określenie postaci Ruprechta, które każdy musiał odczuwać. Biła z tej postaci jakby aureola cierpienia i męczeństwa, którą wyrzeźbiła na całej jego postaci jedna chwila straszna, którą przeżył, gdy w pamiętnym dniu kaźni 16. marca 1846. r. skazany przez Moskali na śmierć znalazł się u jej progu, stojąc pod szubienicą, z rękami związanemi, w śmiertelnej koszuli, zarzuconej na głowę i z pętlą stryczka zało-

[1]) Giller: Hist. powst. II. str. 44. (P. R.).

*) Mylnem jest dosyć upowszechnione mniemanie, jakoby rozwiązanie się dyrekcyi i organizacyi białej było następstwem ogłoszenia się Langiewicza dyktatorem, bo fakt ten miał miejsce d. 5. marca a zatem jeszcze przed dyktaturą. Tej właśnie okoliczności przypisać należy, że tak dyktatura jak i jej upadek nie wywarły żadnego wpływu niekorzystnego na rozwój powstania i na bieg sprawy wogóle. Dyrekcya też na ów zjazd proponowany w Krakowie nikogo nie wysłała, bo już Komitet Centralny jako Rząd Narodowy uznała i faktycznie nie istniała.

żoną na szyję, na której miał już zawisnąć, gdy naglę wstrzymano egzekucyę i ogłoszono zmianę wyroku, z kary śmierci na wygnanie do Syberyi i wieczne roboty w kopalniach Nerczyńskich. Wzruszenie tej krótkiej chwili było tak silne i tak głęboko w duszę sięgające, że pozostało mu na całe życie i wyrzeźbiło się, jak powiedziałem na całej postaci. Towarzyszem jego tej kaźni i taksamo od śmierci, w chwili ostatniej uwolniony, był Stefan Dobrycz, na którego twarzy podobne wybiło się piętno. Byli to jednak ludzie zupełnie odmiennego charakteru i usposobienia. Ruprecht powrócił z wygnania pełen siły duchowej i energii i oddał się cały pracy dla Ojczyzny. Dobrycz wrócił złamany, zamknął się w sobie i ciszy domowej. Karol Ruprecht obok tych swoich wysokich cnót i zalet był filozoficznie głęboko i wszechstronnie wykształcony, z zamiłowaniem oddawał się studyom ekonomicznym, politycznym i społecznym, a wiedza jego w tym również kierunku była i gruntowna i wszechstronna. Przekonania swoje, płynące z duszy i uczucia, tchnące głęboką wiarą i miłością Ojczyzny i wogóle ludzkości wypowiadał zawsze głosem cichym, spokojnym, bez uniesień i wykrzykników patetycznych, samą siłą argumentacyi, samą głębokością własnego przekonania, tym właśnie spokojem, jakim je wypowiadał, pociągał słuchaczy i zjednywał ich sobie. Wzburzone nawet i roznamiętnione tłumy uspakajał, o zdrożności postępowania przekonywał i zmuszał niejako do uznania słuszności wypowiadanych, własnych poglądów. Opowiedziałem był takie zdarzenie w r. 1861. na zebraniu w Resursie z tłumami, prowadzonymi przez Karola Nowakowskiego (patrz T. I. wypadki z r. 1861.*). Karol

*) I ja miałem osobistą scysyę z Karolem Ruprechtem, którą muszę tu opowiedzieć, bo rozwiązanie jej było charakterystycznem. Opowiada to zdarzenie Agaton Giller w biografii Ruprechta, lecz dyskretnie nie wymienia mego nazwiska (str. 17). Przedewszystkiem jednak zaznaczę, że poznałem Ruprechta prawie po jego powrocie z Syberyi w r. 1859, w domu szwagra mego Adama Grossa, także Sybiraka. Już dlatego samego, że był Sybirakiem powziąłem odrazu dla Ruprechta głęboki szacunek. Gdym go poznał bliżej, uległem tak samo, jak wszyscy, którzy się z nim stykali jego urokowi, jego wyższości moralnej i szacunek zamienił się w cześć głęboką, którą przechowałem do ostatniej chwili i mam ją dziś jeszcze dla jego pamięci. Zdarzenie owo miało miejsce na emigracyi w Paryżu w r. 1867., gdy car Aleksander II. tam przyjechał i gdy Berezowski w lasku Bulońskim strzelał do niego. Czyn tego młodego zapaleńca uważaliśmy wszyscy za niepolityczny i niewłaściwy, motyw jednak czynu tego, nienawiść do cara, chęć pomsty za klęski Ojczyzny, odczuwaliśmy wszyscy. Francuzów czyn ten ogromnie oburzył przeciwko Polakom wogóle, tak dalece, że gdy w pierwszych chwilach po przyjeździe cara, na każdym kroku, okrzykiem „Vive la Pologne!“ dawano mu odczuć nieprzyjazne dla niego usposobienie, od tej chwili witano go wszędzie owacyjnie. Rząd francuski dał do zrozumienia wybitniejszym emigrantom, że pożądanem jest, żeby wychodźcy w adresie wystosowanym do cesarza Napoleona wyparli się solidarności z czynem Berezowskiego. Myśl tę, jakkolwiek ze względ-

Ruprecht urodził się dnia 24. grudnia 1821. r w Puławach, gdzie ojciec jego był budowniczym. Nauki gimnazyalne skończył w Lublinie. Do zawodu budowniczego, do którego go ojciec przeznaczał nie miał powołania. Badawczy jego umysł skłaniał się więcej do studyów filozoficznych i dla dalszego kształcenia się w tym kierunku wyjechał do uniwersytetu w Berlinie, gdzie paręset polskiej młodzieży pobierało wyższe nauki. Trzydziestu z pomiędzy nich zawiązało ściślejsze grono na wzór Filaretów wileńskich, z celem

---

dów na przychylność rządu francuskiego dla Polaków i ze stanowiska opurtunistycznie politycznego można było usprawiedliwić, ze względu jednak na uczucia patryotyczne, które zniewalały do uznania motywów czynu samego, myśl ta była zła, podpisujących ten adres krzywdząca i należało ją potępić. Jakkolwiek adres miał być wystosowany do cesarza Napoleona, ale pośrednio odnosił się do cara i z tego więc jeszcze względu myśli samej nie można było przyjąć. Tak też znaczna część emigracyi, zajmująca się więcej sprawami publicznemi, na ten akt się zapatrywała i ja też tak go sądziłem. Gdy przyszli do mnie, już nie pamiętam kto, z żądaniem, bym mój podpis na adresie położył i to jeszcze jako członek Rządu Narodowego, propozycyę tę ze wzgardą odrzuciłem i byłem tak tem wzburzony, żem natychmiast poszedł do Ruprechta, bo mi powiedziano jako argument, mający mnie skłonić do podpisania, że i on tę sprawę popiera i adres podpisze. Zastałem go w sali bibliotecznej szkoły Batignolskiej i z tem uczuciem wzburzenia, z jakiem przyszedłem, wypowiedziałem w ostrych słowach moje zapatrywania i wyraziłem zdziwienie, że on, Karol Ruprecht, którego taką czcią wszyscy otaczają, może akt tak krzywdzący honor i uczucia patryotyczne polskie popierać i podpisywać. Muszę tu jednak stanowczo zaprzeczyć wyrażeniu Gillera, jakobym „prawił mu obelgi", zanadto wysoko czciłem Ruprechta, bym nawet w uniesieniu mógł użyć względem niego słów obelżywych, ton jedynie, w którym wypowiadałem moje zapatrywania mógł być ubliżającym i to potem sam uczułem, o czem niżej powiem. Ruprecht wysłuchał wszystkiego ze zwykłym sobie spokojem i odpowiedział mniej więcej tak, jak to Giller przedstawił. Przyznał szlachetność pobudki w czynie Berezowskiego, ale powiedział, że sam czyn jako skrytobójstwo jest godny potępienia. Przedstawił skutki, jakie zamach ten może sprowadzić na kraj. Słuchając jego mowy uspokoiłem się zupełnie. W dalszej rozmowie przyznałem mu zupełną słuszność, co do jego zapatrywania na sam czyn, co do skutków, które może na kraj sprowadzić, sądziłem, że postępowanie dzisiejsze rządu moskiewskiego, jest tak rozbójnicze, że już gorszem być nie może i że adres choćby tylko do cesarza Napoleona podany nie wpłynie na zmianę postępowania Moskali, a akt pozostanie smutnym dowodem pokory i uległości i aktu tego ja podpisać nie mogę. Rozstaliśmy się w zupełnym pokoju. Gdym potem trzeźwo rozważał moje zachowanie się w rozmowie z Ruprechtem, spostrzegłem się dopiero, że zachowanie się to i ton w jakim przemawiałem były złe, niewłaściwe i ubliżające. Myśl ta, że mimowoli mogłem obrazić człowieka, dla którego czułem jak największą cześć nie dawała mi spokoju. Na drugi też czy trzeci dzień potem poszedłem do Ruprechta i jak najserdeczniej go przeprosiłem. Ze zwykłą sobie dobrocią, łagodnością i szlachetnością przyjął to moje wyznanie; powiedział, że niema do mnie żadnego żalu, gdyż rozumie, że w uniesieniu można czasem przekroczyć miarę. Uściskaliśmy się serdecznie. O samej sprawie nie było już mowy, bo fakt był spełniony, adres został podany. Zdarzenie to nie zmieniło w niczem naszego stosunku, pozostał on i nadal jak był serdecznym i przyjacielskim.

Na dowód jak wielką przykładałem wagę do zdania Ruprechta i jakie miałem do niego zaufanie, przytoczę jeszcze okoliczność, także z czasów mojej emigracyi. Było to już w r. 1871, po wojnie prusko-francuskiej i po skończonem oblężeniu Paryża. Jeszcze przed wojną objawiła się w emigracyi dążność powrotu do kraju. Królestwo było niedostępnem, ale W. Ks. Poznańskie i Galicya, a szczególniej Galicya, stała otworem. Ruch ten powrotny wzmógł się teraz po wojnie. Wie-

wzajemnego nauczania się i pomocy. Ruprecht należał do tego grona i był jego duszą. Tu miał sposobność zapoznać się bliżej i przejąć zasadami demokratycznemi, głoszonemi przez Centralizacyę Towarzystwa demokratycznego na emigracyi. Grono to wzięło czynny udział w przygotowującym się ruchu narodowym, który miał niebawem wybuchnąć w r. 1846. W końcu r. 1845. Ruprecht wraz z innymi towarzyszami odebrał od naczelnictwa związku w Poznaniu rozkaz pojechania do Królestwa, gdzie też przybył

---

lu z moich przyjaciół i kolegów bądź już pojechało, bądź też wybierało się. Wyjeżdżający i mnie namawiali i zachęcali do wyjazdu. Dążność do powrotu do kraju, która teraz w emigracyi prawie żywiołowo się objawiła i to nietylko we Francyi, ale i w Belgii i w Szwajcaryi i wogóle wszędzie, gdzie emigranci się osiedlili, znajdowała zupełne usprawiedliwienie w charakterze samej emigracyi, który ona opuszczając kraj przyniosła. Emigracya z roku 1863 miała wprawdzie cechę polityczną, ale o tyle tylko, o ile sprawa, z której się wyłoniła, była polityczną. Nie przyniosła jednak ze sobą żadnej misyi politycznej, którą miałaby do spełnienia. I w tem zasadniczo różniła się od emigracyi po 1831 r. Emigracya ta bowiem unosząc za sobą na obczyznę myśl i ducha Polski, niosła w sobie samej swoją misyę polityczną i społeczno-narodową. Była istotną polityczną przedstawicielką Polski, jej nieprzedawnionych praw do samodzielnego, niepodległego bytu i tych praw broniła z godnością i powagą, zawsze i wszędzie, gdy tylko okazała się potrzeba i sposobność. Misyę społeczno-narodową podjęła pracując z bezgranicznem poświęceniem i ofiarą nad przekształceniem wewnętrznego ustroju narodu i jego pojęć na zasadach demokratycznych, braterstwa, zupełnej równości praw i obowiązków dla wszystkich stanów i usamowolnienia ludu wiejskiego. Zasady te naród przyjął, wcielił je w siebie i na tym fundamencie podjął walkę orężną dla zdobycia niepodległości. W walce tej narazie naród uległ przemocy, ale zarazem dojrzał o tyle, że dalszy kierunek sprawy niepodległości wziął w swoje ręce. Emigracya r. 1863/4. uniosła z pogromu tylko swoje głowy, wielką gorącą miłość ojczyzny i tęsknotę za nią. Nie przyniosła ze sobą na obczyznę, jak już powiedziałem, żadnej misyi ani politycznej ani społecznej. Pozostała jej jedynie misya narodowa, a tę mogła spełnić tylko życiem uczciwem, nie przynoszącem żadnej ujmy narodowemu polskiemu charakterowi. Główną troską emigrantów było zyskanie środków do zaspokojenia życiowych potrzeb, te zdobyć mogli tylko pracą. W wynalezieniu pracy stara emigracya bardzo uczynnie i chętnie przychodziła z pomocą, a przytem Francuzi bardzo jej chętnie udzielali i to tak ręcznej, fizycznej jak i zawodowej tym, którzy w jakimkolwiek zawodzie przynieśli już dostateczne wykształcenie, tymi jednak byli już ludzie starsi. Liczne jednak, a nawet bardzo liczne zastępy młodzieży emigracyjnej ze sfer inteligentniejszych nie miały odpowiedniego wykształcenia i musiały go dopiero nabywać, jako niezbędny warunek i środek do uzyskania możności pracowania na chleb powszedni. Zadanie to wziął na siebie sam ogół emigracyjny, otwierając kursa języka francuskiego, rozmaite kursa przygotowawcze, jak szkoła t. zw. „Montparnasse“ i szkoła Zabielskiego, jak odczyty publiczne z rozmaitych przedmiotów, tworząc wreszcie Towarzystwo pomocy naukowej. Rząd francuski przychodził w tem z wielką pomocą przez udzielanie subsydyów i przez otworzenie na oścież wszystkich zakładów naukowych, nawet takich, do których wstęp cudzoziemcom nie był zasadniczo dozwolonym. Tak Emigracya r. 1863 rozumiała i spełniała swoje zadanie narodowe. Cała ta atoli troska i te zabiegi miały ostatecznie jako jedyny cel zdobycie środków materyalnych do utrzymania i zaspokojenia niezbędnych potrzeb życia. Zdobycie jednak samej wiedzy i środków do życia i stanowiska czyż mogły zadowolić umysły, przejęte wyniesioną na obczyznę gorącą miłość ojczyzny i nieprzepartą żądzę służenia jej? Stanowczo nie i to każdy Polak zrozumie. Tęsknota przytem do ojczyzny trapiła dusze i serca. Każdy to czuł, że na emigracyi nie było pola do rzeczywistej pożytecznej pracy dla ojczyzny, że można było znaleść

w styczniu 1846. r. Nie będę tu powtarzał znanych wypadków tego roku: Ruprecht został aresztowany przez Moskali w Siedlcach, skazany na śmierć, wskutek zmiany wyroku został wysłany do ciężkich robót w Syberyi do Akatui, w Nerczyńskim obwodzie. W życiu syberyjskiem Ruprecht brał bardzo czynny i wpływowy udział, zjednał sobie między kolegami wielką miłość i szacunek. Uwolniony dopiero w r. 1859., wrócił do kraju i zamieszkał w Warszawie, gdzie odrazu zjednał sobie zaufanie i szacunek wszystkich, z kim

---

tylko w kraju. To też po wojnie, gdy stosunki polityczne tak się ułożyły, że Galicya stała się dla emigracyi dostępną, a okazał się tam brak wielki ludzi zawodowo wykształconych, żądza przeniesienia się do Galicyi żywiołowo opanowała umysły.

Ja przybyłem na emigracyę już jako zupełnie wykształcony architekt i dostałem też prawie zaraz odpowiednie memu zawodowi zajęcie i zupełnie wystarczające utrzymanie. Wojna zachwiała wprawdzie moje stanowisko, ale miałem pełną nadzieję odzyskania go napowrót. Pomimo to czułem pustkę w duszy. Sama praca zawodowa i byt materyalny nie mogły mi wystarczyć i zadowolnić aspiracyi służenia ojczyźnie. Żona moja, znosząca mężnie oderwanie od rodziny, odczuwała coraz silniej dręczącą ją tęsknotę. Przetrwane oblężenie Paryża bardzo nadwyrężyło jej zdrowie fizyczne. Możność opuszczenia emigracyi i przeniesienia się do kraju bardzo nas nęciły, a chęć tę podsycało ofiarowane mi właśnie w tym czasie przez hr. Działyńskiego stanowisko architekty w jego dobrach w Kórniku w W. Ks. Poznańskiem, gdzie zamierzał wykonać różne budowle. Stanowisko moje naczelne jako członka Rządu Narodowego w powstaniu, rodziło w duszy wątpliwości, czy wolno mi opuszczać teraz emigracyę i pozostawić tylu towarzyszów dobrowolnego wygnania, którzy nie mogli korzystać z możności powrotu. Zdawało mi się, że się sprzeniewierzę temu dobrowolnemu wygnaniu. Ta chęć powrotu z uczuciem jakoby obowiązku pozostania, targała nam obojgu dusze, nie mogliśmy dać sobie rady. Przyjaciele wyjeżdżający do kraju namawiali coraz usilniej. Postanowiłem wreszcie rozterkę tę moją poddać pod sąd Ruprechta, a sąd ten wypadł na korzyść wyjazdu do kraju. Ruprecht była zdania, że emigracya była zupełnie dobrowolną a nie dalszym ciągiem jakoby taktyki powstańczej, że jej motywem było proste ludzkie uczucie uchronienia się przed odpowiedzialnością wobec zwycięskiego rządu moskiewskiego. Że z siedmioletniego doświadczenia mogliśmy przekonać się, że emigracya pod względem politycznym ojczyźnie służyć i pomódz nie może, bo o kierunku i sposobach tej służby i pracy sam naród w kraju o sobie postanawia, bo ta służba i praca musi być różną i odmienną w każdej dzielnicy Polski i zastosowaną do politycznego położenia każdej z nich. Że ubieganie się za chlebem, które stanowi główną troskę wychodźtwa jest marnowaniem sił, które w ojczyźnie i dla jej dobra mogą być pożyteczne. Że zatem każdy, kto przez lat kilka pobytu na obczyźnie zdobył pewną sumę wiedzy albo przyniesioną już rozszerzył i pogłębił, nie tylko może ale powinien, skoro jest dzisiaj możność po temu, pojechać do kraju i tam je dla dobra kraju spożytkować. Co do mnie osobiście, powiedział mi, że stanowisko moje jakie zajmowałem w powstaniu, z chwilą opuszczenia kraju skończyło się, że emigracya moja, równie jak i wszystkich była dobrowolna. Że z tytułu mego stanowiska powstańczego żadnych praw ani obowiązków nie mam, ale że właśnie z tego tytułu i jako człowiek wykształcony i politycznie i społecznie i zawodowo, zamiast na emigracyi myśleć tylko o chlebie, mam obowiązek i wiedzę i doświadczenie oddać na służbę ojczyzny na miejscu w kraju. Parugodzinna na ten temat prowadzona rozmowa przekonała mnie i zupełnie ze wszystkich wątpliwości rozgrzeszyła. Temi myślami i zasadami powodowali się wszyscy, co do kraju wracali. 1. lipca 1871. roku wyjechałem do W. Ks. Poznańskiego.

Ruprecht też w parę lat później poszedł tą samą drogą. Był on na emigracyi duszą i jednym z najpożyteczniejszych działaczy w różnych towarzy-

miał tylko sposobność zetknięcia się. Sympatyzował zupełnie z ruchem manifestacyjnym, który powstał, jak wiemy, w końcu roku 1860., uważając go za środek do wymuszenia ustępstw na rządzie. Był on zwolennikiem pracy organicznej i pod tym względem schodził się zupełnie z Edwardem Jurgensem, przewodnikiem tej myśli w całym zastępie młodzieży, hołdującej wówczas temu kierunkowi i na tym też gruncie zawiązała się między nimi bardzo ścisła przyjaźń. Wiemy już, jaką rolę odgrywał w wypadkach marcowych 1861 r. Po 8. kwietnia, gdy na gruzach rozwiązanego Towarzystwa Rolniczego zawiązała się organizacya obywatelska zwana później

---

stwach oświatowych i naukowych, które w ciągu tych 7 lat na emigracyi pracowały, a których istnienie wojna i oblężenie Paryża podkopały i dalszy ich byt uniemożliwiły. Był on przy tem bibliotekarzem szkoły Batignolskiej, założonej dla dzieci wychodźców i na tem stanowisku bardzo dodatni wpływ wywierał. Po wojnie rząd francuski miliardową kontrybucyą, zapłaconą Prusakom, zmuszony do oszczędności w finansowej swej gospodarce, odmówił zupełnie, czy też mocno zredukował zasiłek, wypłacany szkole Batignolskiej. Zarząd tej szkoły, chcąc utrzymać instytucyę, tak pożyteczną dla wychodźctwa, stale w Paryżu zamieszkałego, musiał jej rozmiary zredukować. Wielką realność swoją wraz z budynkami szkolnymi, przy bulwarze Batignolskim położoną, sprzedał, a kupił małą kamienicę, zdolną pomieścić samą szkołę, ale na bibliotekę, kilkadziesiąt tysięcy tomów liczącą, miejsca w niej nie było. Przyszedł tu z pomocą hr. Jan Działyński, ofiarując dla niej pomieszczenie w swoich dobrach w Kórniku, gdzie miał własną bibliotekę i zbiory muzealne. Ruprecht miał tam ofiarowane miejsce bibliotekarza. Ja podówczas, t. j. w r. 1873, byłem jeszcze w Kórniku i otrzymałem polecenie od hr. Działyńskiego, przebudowania wielkiego murowanego spichlerza na pomieszczenie biblioteki Batignolskiej. Zabrałem się do tej pracy, lecz policya pruska, która dotychczas pobyt mój tam tylko tolerowała, napierając ciągle na hrabiego o mój wyjazd, tak go teraz naparła, że ostatecznie musiałem, niedokończywszy pracy, 1. lutego 1874, wyjechać z Kórnika do Lwowa. Budowę kto inny kończył. W ciągu roku 1874 przywieziono bibliotekę z Paryża do Kórnika. Dnia 30. lipca tegoż roku Ruprecht przyjechał tam za paszportem francuskim. Żeby utrwalić tam swój pobyt i nie być narażonym na nagabywanie policyi pruskiej, musiał uzyskać prawo obywatelstwa niemieckiego. Pojechał więc czasowo do Monachium, gdzie rząd bawarski nie był źle dla Polaków usposobiony i rozpoczął starania o naturalizacyę. Tam się rozchorował i dnia 31. marca zakończył życie. W tym samym dniu, w parę godzin po śmierci przyniesiono mu dyplom obywatelstwa bawarskiego.

Giller w szkicu biograficznym powiada: „Przed śmiercią podyktował Rużyckiemu pożegnalne słowa do przyjaciół: „Donieście im, żem przestał cierpieć i powiedźcie im, żem ich w sercu i pamięci poniósł do grobu". Życzył sobie, żeby na nagrobku napisano następujące wyrazy: „Powiedźcie moim, żem skonał z żałości. Duch mój w Polsce, tutaj tylko ciało". Opowiada dalej według relacyi tegoż Rużyckiego ostatnie chwile tego niepospolitego męża i patryoty.

Gdym w listopadzie 1874 r., wysłany przez Wydział krajowy galicyjski za granicę dla zwiedzenia gmachów parlamentarnych, był w Monachium, odwiedziłem Ruprechta, nie przypuszczając, że go już więcej nie zobaczę. Później już w latach 1891 i 1892 byłem znowu w Monachium, odszukałem jego mogiłę na pięknym cmentarzu miejskim. Znalazłem ją czysto utrzymaną, z krzyżem kamiennym i z napisem takim, jak sobie ś. p. Karol życzył. Wspomnienie tej, tak pięknej, a szlachetnej postaci odżyło w mej duszy i wówczas i teraz, gdy to piszę.

Niech będzie cześć Jego pamięci!

organizacyą białą, Ruprecht i Jurgens weszli do jej Dyrekcyi, jako mężowie zaufania miasta. Na tem stanowisku pozostał aż do chwili powstania. Ruprecht był autorem listu, który Dyrekcya obywatelska w imieniu całego stronnictwa w r. 1862. wystosowała jako wyraz żądań kraju do hr. Andrzeja Zamoyskiego. Jak wiemy następstwem tego listu było wygnanie z kraju hr. Zamoyskiego. Stronnictwo pracy organicznej w zasadzie dążyło do powstania, uważało je jednak za ostateczny cel, gdy naród wzrośnie dostatecznie w siły, przeciwne zaś było wszelkim działaniom, mogącym je przyśpieszyć, ale zarazem działania te lekceważyło. Gdy działania te doprowadziły do stworzenia silnej organizacyi pod mianem Komitetu Centralnego i gdy ten wystąpił jawnie z programem wyraźnej i stanowczej dążności do powstania, Ruprecht i Jurgens rozumiejąc doskonale, że powstanie jest nieuniknione, usiłowali wyprowadzić Dyrekcyę białą z jej bierności i uważali za konieczne zbliżenie i porozumienie się obu stronnictw. Usiłowana te jednak nie odniosły skutku. Gdy powstanie wybuchło, a Komitet Centralny ogłosił się Rządem Narodowym, ich patryotyczne i obywatelskie uczucie wskazało im, że dalsza opozycya jest równa zdradzie kraju i że cały piękny program pracy organicznej należy odłożyć na później, że Dyrekcya i organizacya muszą się rozwiązać, uznać i poddać się woli Rządu Narodowego i całemi swemi siłami złączyć się z walczącym już swoją niepodległość narodem. Tak się też stało, a stało się z wielkim dla powstania pożytkiem, bo od tej chwili już nie jedna warstwa, ale cały naród wstawał do walki z najazdem o swoją niepodległość. Takim człowiekiem był Karol Ruprecht, patryota i demokrata w każdem drgnieniu swego serca i duszy, nie marzyciel, ale człowiek czynu. Jakim był w r. 1846., takim był i teraz, tylko doskonalszy, wytrawny, rozważny, ciężką pracą i rozmyślaniem na syberyjskiem wygnaniu zaprawiony do życia, więc spokojny, w każdym czynie swoim pewny i stanowczy. W Rządzie Narodowym, do którego teraz wstąpił, jeżeli inni członkowie dorównywali Ruprechtowi patryotyzmem, to on górował nad wszystkimi wyrobieniem życiowem, rozumem, wiedzą i wykształceniem. Przy nim więc było moralne i intellektualne przewodnictwo w Rządzie, chociaż właściwie stałego przewodniczącego nie było *).

*) Autor „Dziejów r. 1863“, charakteryzując w T. II. członków Rządu, na str. 415 powiada o Ruprechcie, że „przy swym charakterze skromnym, cichym, spokojnym, miał słabość tego rodzaju usposobień, że ulegał wpływom innych, silniejszych, czy śmielszych, a zwłaszcza takiemu Gillerowi, który zdołał zupełnie zawładnąć Ruprechtem i potem dalej konkluduje: „Bądź co bądź, czy z takich, czy z innych pobudek, był on satelitą Gillera“. Jest to sąd zupełnie mylny i wprost

Rozwiązanie się Dyrekcyi obywatelskiej i uznanie władzy Rządu Narodowego miało bardzo poważne, a przedewszystkiem bardzo wpływowe dla powstania następstwa. Dyrekcya posiadała dosyć znaczne fundusze, które przeszły do kasy narodowej. Członkowie rozwiązanej organizacyi wogóle, a szczególniej obywatele ziemscy, którzy przeważnie bierne zajmowali stanowisko, zaczęli brać czynny udział w popieraniu powstania, wypełniając rozkazy Rządu i płacąc chętnie podatek narodowy. Najważniejszem zaś następstwem tego uznania było, że zaczęto ogólniej wypełniać postanowienia dekretu o uwłaszczeniu. Zrzekano się dobrowolnie pańszczyzny, bądź to zawierając umowy o czynsze, bądź to przez samo zrzeczenie się pańszczyzny milcząco uznawano włościan za właścicieli gruntów, pozostawiając przyszłości ostateczne uregulowanie wzajemnych stosunków. Ta działalność właścicieli ziemskich musiała wywrzeć i rzeczywiście wywarła wpływ korzystny na usposobienie ludu wiejskiego. Zaczął on też czynnie sprzyjać powstaniu, tak przez coraz liczniejsze wstępowanie do szeregów powstańczych, jak i przez udzielanie pomocy. Ruch ten zaczął się objawiać z końcem kwietnia, a w miesiącu maju był już bardzo silny. Powstanie się wzmogło i rosło w siły.

że tak powiem, z palca wyssany, a w każdym razie pamięci Ruprechta ubliżający. Ruprecht był człowiekiem zanadto wyrobionym, zanadto stałym i niezachwianym w swych przekonaniach, by mógł być czyimkolwiekbądź satelitą. W sprawach drobnych, małego znaczenia, Ruprecht nie będąc zarozumiałym, bo to jest cechą ludzi głupich a pysznych i nie znosząc sam opozycyi dla opozycyi, zwykł był nie upierać się przy swojem zdaniu. W kwestyach zasadniczych bronił swego zdania, ale jeżeli nie zdołał większości przekonać, ustępował, ale głosu swojego nie dał; ulegał większości, ale nie jednostkom. To się jednak bardzo rzadko zdarzało, bo Ruprecht zwykle swoją rozumną, logiczną, jasną a niezbitą, rzeczową argumentacyą pociągał za sobą większość. Giller przeciwnie, walczył nie argumentacyą, ale zarozumiałością i uporem i, jak to już kiedyś mówiłem, umiał po kilka razy powracać do rzeczy już przedyskutowanych i uchwalonych, jedynie dlatego, żeby na swojem postawić. Muszę tu jednak także wziąć w obronę Gillera wobec twierdzenia tegoż autora, wyrażonego na końcu tegoż ustępu (str. 415), że Giller „za oczami obgadywał straszliwie swego przyjaciela", t. j. Ruprechta. Uważam to za potwarz, na Gillera rzuconą. Autor ten lubi takiemi potwarzami szermować. Giller miał wiele, bardzo wiele wad, ponad któremi górowały próżność, pycha, zarozumiałość i upór, ale był człowiekiem uczciwym. Ten, kto umiał przedstawić postać Ruprechta z takiem ciepłem i z taką serdeczną miłością, tryskającą z każdego słowa, kto umiał oddać taki hołd pamięci swego przyjaciela w jego życiorysie, ten za życia nie mógł tegoż przyjaciela „za oczami straszliwie obgadywać". Byłoby to i obłudą i nikczemnością, a Giller nikczemnym nie był.

Autor ten za to w zasadach swoich jako historyk bardzo często ucieka się do potwarzy. W swoich dziełach „Historya dwóch lat" i „Dzieje r. 1863" ze szczególnem upodobaniem spotwarza nietylko pojedynczych ludzi, ale i całe warstwy narodu. Choćby, gdy Sybiraków wogóle piętnuje jako niepoprawnych marzycieli i okrutnych katów Polski (patrz „Historya dwóch lat", I. str. 98). Takich zdań można u tego autora bardzo wiele znaleźć.

W parę dni po moim powrocie z Krakowa powrócili stamtąd także Bobrowski i Giller. Z ich relacyi dowiedzieliśmy się, że: na ich żądanie rozpatrzenie sprawy Adama Grabowskiego co do udziału jego w dyktaturze Langiewicza poruczono sądowi, do którego powołano generała Kruszewskiego, Wolniewicza obywatela z Poznańskiego i Karola Rogowskiego, obywatela z Galicyi — nazwiska czwartego członka tego sądu nie pamiętam [2]). Że Langiewicz jako Dyktator ustanowił był w Krakowie, wydział wojny, pod przewodnictwem generała Wysockiego, który miał za zadanie wspierać powstanie w Królestwie zasobami Galicyi, przez wysyłanie oddziałów, dostarczanie broni, amunicyi i t. p., postawili więc wniosek, że instytucyę tę należy utrzymać, jako mogącą być istotnie pomocną powstaniu, z tą jedynie zmianą, że przewodnictwo obejmie generał Kruszewski, gdyż generał Wysocki musi przebywać stale we Lwowie, gdzie ma już przedtem powierzone naczelnictwo powstania na Rusi i w województwie Lubelskiem. Wniosek ten potem po przedyskutowaniu został uchwalony. Władza jednak tego wydziału miała się rozciągać tylko na Galicyę zachodnią, W. Ks. Poznańskie oraz na przyległe tymże prowincyom województwa Sandomierskie, Krakowskie i Kaliskie. Galicya wschodnia pod względem wojennym oddana została pod rozkazy generała Wysockiego, gdyż pomocnicze działanie tej prowincyi polegać miało głównie na wspieraniu powstania w województwie Lubelskiem i na Rusi.

W Galicyi, jak już wiemy, jeszcze przed powstaniem utworzyła się była Rada Naczelna, której głównem siedliskiem był Kraków, a z jej ramienia powstały Ławy dla obu Galicyi, zachodniej i wschodniej. Organizacya ta składała się z ludzi o charakterze politycznym odpowiadającym organizacyi ruchu w Królestwie. Z chwilą wybuchu powstania utworzyły się komitety obywatelskie z żywiołów konserwatywnych, obywateli wiejskich. Między temi dwiema organizacyami wytworzyło się pewne tarcie, przez co główne zadanie Galicyi, niesienia powstaniu pomocy, bardzo szwankowało. Stefan Bobrowski był zdania, że dla zaradzenia temu Rząd Narodowy powinien zamianować swoich komisarzy, którzy działając pośredniczącо spowodowaliby porozumienie i wspólne działanie w myśl istotnych potrzeb powstania. Objaśnił nas przytem Bobrowski, że jeszcze Langiewicz mianował był Bogusława Łubieńskiego komi-

[2]) Przyborowski „D. 1863 r.", II. str. 184, podaje tylko Wysockiego i Kruszewskiego — reszty nazwisk nie przytacza. Rogowskiego wymienia Chołodecki (Ks. pam. str. 343) jako członka komitetu krakowskiego (P. R.).

sarzem na Galicyę zachodnią, Jacka Siemieńskiego na Galicyę wschodnią, a Leona Skorupkę na W. Ks. Poznańskie. Że następnie on po wydaniu owej odezwy w Krakowie zatwierdził w imieniu Rządu Narodowego dwie pierwsze ze wspomnianych nominacyi Langiewicza. Że gdy w dwa dni potem Łubieński oświadczył mu stanowczo, że udzielonej mu nominacyi przyjąć nie może, zamianował w jego miejsce komisarzem na Galicyę zachodnią Seweryna Elżanowskiego, bawiącego właśnie w Krakowie, w miejsce zaś mianowanego przez Langiewicza Skorupki, powołał Dr. Łukaszewskiego na komisarza w Prusiech zachodnich, a Aleksandra Guttrego na W. Ks. Poznańskie. Pierwsze miały nieść pomoc w powstaniu w województwie Płockiem, a Poznańskie w województwach Mazowieckiem i Kaliskiem. Prosił więc, by te jego postanowienia Rząd Narodowy teraz zatwierdził. Wnioski te, uznając motywy Bobrowskiego za zupełnie słuszne i wybór osób za odpowiedni, zatwierdziliśmy.

Elżanowski Seweryn, z r. 1848., zamieszkały w Paryżu, gdzie był redaktorem pisma „Przegląd rzeczy polskich", wkrótce po powstaniu przybył do Krakowa, w tej chwili tam się znajdował i ofiarował swoje usługi. Był to człowiek szczerze i zupełnie oddany zasadom i hasłom Rządu Narodowego. Jacek Siemieński był właściwie obywatelem ziemskim z Królestwa, gdzie należał do organizacyi ruchu. Ponieważ w Galicyi wschodniej komitet obywatelski miał bardzo silne wpływy i większe znaczenie, niż Ława jako organ Rady Naczelnej, powołanie zatem na komisarza Jacka Siemieńskiego, człowieka do tych samych sfer obywatelskich, ziemiańskich należącego, wydawało się nam odpowiedniem *).

W uzupełnieniu wreszcie swego sprawozdania przedstawił Bobrowski sprawę Mierosławskiego. Siedział on ciągle w Krakowie, otoczony swymi adherentami, do których teraz należało: dwóch wybitnych dotąd funkcyonaryuszy organizacyi, Ignacy

*) Bogusław Łubieński w owej swojej własnoręcznej notatce, o której wyżej mówiłem, powiada, że „wskutek nieporozumień między Bobrowskim i Grabowskim i powstałego stąd pojedynku między nimi, podał się do dymisyi z urzędu komisarza Galicyi zachodniej, że Bobrowski dymisyę tę przyjął dnia 26. marca i zamianował w jego miejsce Seweryna Elżanowskiego". Powód ten podania się do dymisyi Łubieńskiego jest bardzo charakterystyczny i, według mego przekonania, stwierdzający zupełnie udział Łubieńskiego w intrydze dyktatoryalnej Grabowskiego. O pojedynku, o którym w tej chwili nie wiedzieliśmy zupełnie, będę mówił w właściwem miejscu, tutaj tylko nadmienię, że w owym d. 26. marca sprawa pojedynku nie była właściwie aktualną, bo, jak już mówiłem, dla sprawy Grabowskiego był powołany sąd, który i sprawę pojedynku miał rozstrzygnąć. Łubieński więc, przewidując, że i jego udział sąd będzie mógł odkryć i powołać go, wolał się zawczasu usunąć i wyjechać z Krakowa, co też uczynił.

Maciejowski, były komisarz Rządu w województwie Sandomierskiem i ks. Kotkowski, były naczelnik cywilny tegoż województwa, Apolinary Kurowski, niefortunny naczelnik wojskowy województwa Krakowskiego, który po klęsce Miechowskiej przerzucił się również na stronę exdyktatora, Władysław Daniłowski, który odgrywał tam rolę jakoby pośrednika, opierając się zawsze na przywłaszczonym sobie charakterze komisarza pełnomocnego Rządu, Adam Asnyk i wielu innych. Mierosławski ciągle trwał przy rzekomych swoich prawach do Dyktatury, bo chociaż władzę dyktatora otrzymał od Rządu Narodowego, nie uznawał tegoż samego Rządu za uprawnionego do pozbawienia go tej władzy. Bobrowski chcąc położyć kres temu wichrzeniu, które bądźcobądź przynosiło szkodę powstaniu, usiłował dojść do jakiegoś porozumienia z Mierosławskim, ofiarował mu naczelne dowództwo lewego brzegu Wisły byle odstąpił od tych swoich rzekomych praw i poddał się władzy Rządu Narodowego [3]). Usiłowania te jednak spełzły na niczem. Żeby jednak skończyć definitywnie z tą sprawą, a nadto z powodu, że Rząd nie powiadomił dotąd urzędownie narodu o upadku Dyktatury Langiewicza, Bobrowski uważał za konieczne uczynić to teraz przez wydanie odpowiedniego dekretu. Objaśniono go, że Rząd tak samo się zapatrywał i już dnia 27. marca wydał taką odezwę, w której oświadczył, że wszelkie usiłowania jednostek do objęcia władzy w jakiejkolwiek bądź formie, czy to w kraju, czy za granicą, będzie uważał za zdradę kraju [4]).

Najważniejszą, a nawet bardzo piekącą sprawą była kwestya zasilenia skarbu. Dochód z podatku ,uchwalonego jeszcze przez Komitet Centralny w roku 1862., który i dotąd był pobierany, był teraz zupełnie niewystarczający. Wpływał on ciągle, ale bardzo skąpo, a rozwijające się powstanie wymagało większych funduszów.

Wypadki wyżej opowiedziane nie dozwoliły Komitetowi zająć się tą sprawą. Teraz, gdyśmy się znaleźli w zupełnym komplecie po załatwieniu spraw bieżących, zajęliśmy się sprawą skarbową. W dyskusyi wyłonił się pogląd, że tak obecnie pobierany podatek narodowy, jak i projektowany (o czem już wyżej wspominałem) podatek ofiary narodowej, mogą dać dochód płynny, na codzienne bieżące wydatki wystarczający, ale rozwijające się powstanie wymaga zasilenia go odrazu większymi funduszami, a to uzyskać można tylko przez większą akcyę finansową, która w obecnej

[3]) Por. Przyborowski D. 1863 r. II. str. 473. (P. R.).
[4]) Por Przyborowski D. 1863 r. II. str. 190. (P. R.).

chwili, gdy Rząd posiada zupełne zaufanie i posłuch całego społeczeństwa i wszystkich jego warstw, a przedewszystkiem warstw zamożniejszych, może mieć zupełne powodzenie. Wynikiem tej dyskusyi był formalny wniosek, postawiony przez Karola Ruprechta, aby zasilić skarb narodowy rozpisaniem pożyczki w wysokości do 20. milionów zł. pol., którą można będzie przedewszystkiem zrealizować w kraju. Plan tej pożyczki musi być dokładnie opracowany. Ruprecht sądził, że skoro tylko myśl ta zostanie przyjętą i plan finansowy w zasadzie przygotowany, można będzie u krajowych bankierów uzyskać na rachunek tej pożyczki znaczne zaliczki. Projekt ten podany przez tak rutynowanego finansistę, jakim był Ruprecht, a poparty jeszcze tem, że polegał na pewnych porozumieniach tegoż z powagami finansowymi Warszawy, u których posiadał zupełne zaufanie i kredyt, zjednał sobie zupełne uznanie i w zasadzie został jednogłośnie przyjęty. Oprócz tego Ruprecht proponował, że gdy przygotowanie i przeprowadzenie pożyczki wymagać będzie dłuższego czasu, a podatek dotychczas pobierany z mocy dekretu jeszcze Komitetu Centralnego, słabe już daje dochody, należy urzeczywistnić projekt podatku ofiary narodowej, że projekt ma już opracowany i niebawem go przedłoży. Na drugi albo trzeci dzień potem, Ruprecht przedstawił projekt dekretu o podatku ofiary narodowej, który został ogłoszony dnia 8. kwietnia Dekret ten stanowił, że podatek ma być płacony od dochodu jak następuje:

a) Właściciele lub posiadacze zastawów, nieruchomości miejskich lub wiejskich w stosunku 10%.

b) Kapitaliści, bankierzy, przedsiębiorcy i właściciele fabryk, rękodzielni i zakładów handlowych I. kl. w stosunku 10%.

c) Właściciele fabryk, rękodzielni i zakładów handlowych II. kl. w stosunku 5%.

d) Właściciele fabryk, rękodzielni i zakładów handlowych III. kl. w stosunku 2%.

e) Właściciele zakładów bankowych prywatnych, artyści, urzędnicy rządowi i prywatni oficialiści w stosunku 2%.

f) Profesyoniści, procederzyści i majstrowie w stosunku 2%.

g) Adwokaci, doktorzy, aptekarze, budowniczowie i inżynierowie w stosunku 7%.

Dotychczas sprawami finansowemi zajmował się niezmordowany Bobrowski, teraz, jako naturalne następstwo przyjętego projektu, przedstawił Ruprecht potrzebę utworzenia osobnej komisyi

skarbowej, tak jak to uczyniono już dla spraw administracyi wewnętrznej i wojny. I ten wniosek uchwalono i polecono Ruprechtowi sformowanie tej komisyi skarbowej. Ruprecht, który sam miał zarządzać tą komisyą, powołał do niej referentów: Józefa Toczyskiego, rutynowanego finasistę, byłego Sybiraka, Tomasza Ilnickiego, urzędnika Banku Polskiego, Henryka Wohla, młodego, bardzo zdolnego finansistę, pracującego u jednego z bankierów warszawskich i Wiktora Sommera, także młodego urzędnika bankowego na sekretarza. Z tych Tomasz Ilnicki był głównym kasyerem, Henryk Wohl kontrolorem, a zarazem polecił mu Ruprecht opracowanie całego programu projektowanej pożyczki. Pożyczka ta stała się aktualną dopiero w lipcu, szczegóły więc podam później *). W myśl uchwały poprzedniej Oskar Awejde wraz z Krajewskim, zorganizowali komisyę spraw wewnętrznych. Królestwo rozdzielono na cztery okręgi, każde po dwa województwa i ustanowiono dla każdego okręgu osobnego referenta. Rafał Krajewski pozostając zastępcą Awejdego, objął zarazem referat województw Krakowskiego i Sandomierskiego, Erazm Malinowski, nadprokurator przy trybunale warszawskim, miał referat województw Mazowieckiego i Kaliskiego, Bolesław Żmijewski (nie pamiętam jego zawodu) województw Podlaskiego i Lubelskiego, wreszcie Aleksander Adamowicz, adjunkt rządowej komisyi skarbu, w wydziale dóbr i lasów, województw Płockiego i Augustowskiego. Na sekretarza powołano Jana Banzemera (i jego zawodu nie pamiętam) był to młody człowiek bardzo zdolny i zamożny. Ojciec jego był właścicielem łazienek nad Wisłą.

Zarząd poczt pozostał i nadal pod kierunkiem Romana Żulińskiego, z odpowiednim personalem pomocniczym. Organizacya poczt sięgała początkiem swoim jeszcze czasów przedpowstańczych, a urządził był ją Tomasz Winnicki, ten sam, któregośmy teraz widzieli jako szefa sztabu Jeziorańskiego, mianowanego przez Langiewicza pułkownikiem. Tomasz Winnicki był przedtem urzędni-

*) Henryk Wohl, żyd z wyznania, był całą duszą Polakiem, żył tylko z młodzieżą polską, należał do kółka Kaplińskiego od pierwszego jego zawiązku w r. 1857, był przyjacielem osobistym i politycznym Edwarda Jurgensa. Był bardzo czynnym członkiem organizacyi przedpowstańczej. Powołany teraz do wydziału skarbu, pozostawał w nim aż do końca lutego 1864 r. Aresztowany i zamknięty w Cytadeli, po kilku miesiącach uwięzienia i przebytem nieskalanie śledztwie, został skazany do ciężkich robót do Ussoli. W parę lat potem, mając zamienioną katorgę na zamieszkanie na Syberyi, mieszkał w Irkucku. Uwolniony wreszcie zupełnie w r. 1882, osiadł w Warszawie, gdzie też umarł w lutym 1910 r. Od młodości utrzymywał własną pracą matkę staruszkę, której był jedynym synem. Był to człowiek zdolny, o pięknej, szlachetnej i czystej duszy.

kiem głównego zarządu poczt w Królestwie, miał liczne w tym dziale administracyi stosunki i umiał je zręcznie i ze znajomością rzeczy wyzyskać dla celów narodowych. Roman Żuliński rozwinął tę organizacyę tak, że prawie wszyscy pocztmistrze w całym kraju do niej należeli. Przy współdziałaniu organizacyi prowincyonalnej, powiatowej i okręgowej, urządził w całym kraju poczty obywatelskie, które pozostawały pod zarządem tych prowincyonalnych władz powstańczych. Poczty miały za zadanie przewożenie nie tylko listów, ale i wszelkich rekwizytów dla oddziałów, a nawet broni. Warszawa dostarczła tego wszystkiego dla okolic bliżej stolicy położonych. W znacznych bardzo ilościach, szczególniej bielizny, dostarczały kobiety warszawskie, którą same z wielką ofiarnością szyły i składy miejscowe w nią zaopatrywały. Kobiety też oddawały niespożyte usługi w rozwożeniu depesz i przesyłek wogóle na prowincyi, a czyniły to z wielkiem często poświęceniem i zaparciem, co często z niebezpieczeństwem było połączone. Pełniły te obowiązki nie tylko kobiety z miast, ale żony i córki obywateli ziemskich. Równorzędną z organizacyą poczt była organizacya na drogach żelaznych, warszawsko-wiedeńskiej i warszawsko-bydgoskiej, która zostawała pod oddzielnym zarządem komisarza komunikacyi. Był nim w tym czasie i od samego początku, znany nam już z poprzedniego opowiadania, Stanisław Olszański, młody, energiczny urzędnik służby magazynowej na głównm dworcu w Warszawie. Organizacya ta składała się z urzędników i wszelkich wogóle funkcyonaryuszów, naczelników stacyi, maszynistów, magazynierów, konduktorów, nawet sług i robotników kolejowych. Zostawała ona w związku z organizacyą pocztową, gdyż przesyłki rozmaitego rodzaju, przewożone i dostarczane na rozmaite stacye, oddawano do dalszego przewiezienia organom pocztowym. Wszelkie stosunki z zagranicą odbywały się za pośrednictwem organizacyi kolejowej. Organizacya ta zostawała przez swoich agentów w związku ze stacyami granicznemi, a z zarządami kolejowymi pruskimi i austryackimi przez urzędników tych kolei, należących do organizacyi narodowej Galicyi i W. Ks. Poznańskiego. Stosunki z kolejami pruskiemi sięgały tym sposobem przez Toruń aż do Berlina, a przez Katowice do Wrocławia. Trzecim oddziałem pomocniczym była ekspedytura, której naczelnikiem był wspomniany Antoni Rozmanit, młody, energiczny człowiek, syn kupca korzennego, mającego swój sklep przy ul. Długiej. Miała ona specyalne zadanie rozsyłania po całym kraju wszelkich druków przez Rząd Narodowy

wydawanych, oraz wszelkich korespondencyi tak Rządu, jak i innych władz. Tutaj także były przechowywane gładkie pieczęcie, na których w miarę potrzeby wycinano odpowiednie napisy. Przechowywano tu także mapy dla użytku naczelników oddziałów. Naczelnik ekspedytury miał do pomocy sekretarza i trzech funkcyonaryuszów. Wszystkie te trzy organizacye, t. j. poczty, koleje i ekspedytura jakkolwiek służyły samej Warszawie, lecz i Rządowi Narodowemu, opierały się i tak powiem, zazębiały z organizacyą miasta Warszawy i podlegały naczelnikowi miasta, który mianował wszystkich urzędników do nich należących. Naczelnikiem miasta, był, jak wiemy, Stefan Bobrowski i był zarazem członkiem Rządu Narodowego. Organizacya miasta Warszawy sięgała początkiem swoim jeszcze czasów konspiracyjnych. Bobrowski stanął na jej czele dopiero z chwilą wybuchu powstania i on ją zreformował i postawił na tej wyżynie niedoścignionej, na jakiej pomimo zmiany naczelników przetrwała do ostatnich chwil powstania. Zmieniła teraz swoje zadanie. Przed 22. stycznia miała charakter konspiracyjny, przygotowywała kadry dla przyszłego powstania; po 22. stycznia, gdy młode jej kadry wyszły na plac boju, zadaniem organizacyi było to powstanie wspierać, w całą ludność miasta wszczepić poczucie potrzeby i obowiązku patryotycznego służenia sprawie narodowej, czem i jak kto może i na każdem stanowisku, jakie kto zajmuje, a służenia z całą ofiarnością i zaparciem; stworzenia jedynego solidarnego obozu powstańczego, jednej, że się tak wyrażę, armii dla walki z wrogiem, nie orężnej, ale cichej, tajemnej, podkopującej rząd najezdniczy na wszystkich polach jego działania. Organizacya wypełniła to zadanie, znajdując w całem społeczeństwie warszawskiem i we wszystkich jego warstwach gotowość zupełną do współdziałania. Organizacya ta ogólnie dobrowolna, związana tylko patryotycznem poczuciem obowiązku służenia sprawie narodowej, opierając się na silnej podstawie formalnej, że ją tak nazwę, urzędowej organizacyi, stosunkowo nielicznej, związanej takiem samem poczuciem i przysięgą, była tak silna, że wszelkie pokusy wroga, dążące do jej złamania były daremne. Policya moskiewska czyniła czasami w niej szczerby, ale nigdy do jądra trafić nie mogła. Nie tylko twórcą, ale i duszą tej całej organizacyi był, jak powiedziałem, Stefan Bobrowski. Umiał on ją natchnąć tym samym duchem, jaki i jego ożywiał. Znał doskonale ludzi i umiał ich wybierać, umiał wzbudzić w nich poczucie karności i posłuszeństwa, wiedział doskonale, jak, do czego i gdzie

kogo użyć, do jakiej roboty kogo przeznaczyć. Miał też mir, posłuch, uznanie i niemal cześć. Organizacya zasadniczo zachowała ten sam system dziesiątkowy, zniesiono tylko setników i tysiączników, czyli tak zwanych przedtem okręgowych, gdyż teraz okręg nie stanowił liczby, lecz był ogniwem terytoryalnem. Miasto było, jak i przedtem, podzielone terytoryalnie na pięć części czyli wydziałów, z których cztery przypadały na samą Warszawę, a okręg piąty stanowiła Praga. Każda z tych części była także terytoryalnie podzielona na okręgi. Jakie części miasta należały do jakiego wydziału nie wiem, ale to obojętne. Każdą z pięciu części zarządzał wydziałowy, a każdym okręgiem okręgowy. Każdy wydziałowy znał i zostawał w porozumieniu ze swymi okręgowymi, a każdy okręgowy znał tylko dziesiętników i z nimi się stykał. Wydziałowi razem stanowili Radę miejską, do której należał także zastępca naczelnika miasta i naczelnik policyi. Rada zbierała się codziennie pod przewodnictwem naczelnika miasta. W stosunkach wewnętrznych nie było żadnej pisaniny, wszystkie polecenia wychodzące z uchwał Rady miejskiej podawane następnie z ust do ust, dochodziły tych organów, które miały je wykonać i o wykonaniu zdać sprawę. Wszystkie raporta i wiadomości o tem, co się w mieście dzieje, tą samą drogą powrotną i w ten sam sposób dochodziły do Rady miejskiej. Organizacya miała swoich ajentów we wszystkich bez wyjątku władzach moskiewskich, tak cywilnych jak i wojskowych, którzy z pomocą dobrowolnych członków organizacyi, mieli obowiązek wiedzieć wszystko, co się w tych władzach działo i o wszystkiem składać raporta. Stosunki te sięgały nawet do przybocznych biur najwyższych dygnitarzy, nawet kancelaryi przybocznej namiestnika. We władzach wojskowych za pośredników służyli wojskowi Polacy, którzy większe tam oddawali usługi i byli tu potrzebniejsi, niż na polu walki. Stanowiska te były nadzwyczaj trudne, a nawet niebezpieczne, a poświęcenie tych ludzi dla sprawy ojczystej zasługuje na największe uznanie. Nadmieniłem już wyżej, że nazwisk nigdy nie byłem ciekawy wiedzieć, tem więcej, że Rząd Narodowy mianował tylko głównych naczelników, a ci sami dobierali ludzi i za nich byli odpowiedzialnymi. I teraz nazwisk wydziałowych miejskich nie znałem. Podam tu jednak nazwiska wybitniejszych, których później już osobiście poznałem. Byli nimi: Piotr Umiński, urzędnik komisyi spraw wewnętrznych, ten sam, który dnia 8. kwietnia zatrzymał był powóz wiozący margrabiego do zamku, a który był później radcą magi-

stratu w Krakowie; Zygmunt Laskowski, student 4. roku Akademii medyko-chirurgicznej, który obecnie jest znanym w świecie naukowym ogólno-europejskim profesorem anatomii uniwersytetu genewskiego; Hipolit Niezabitowski, adjunkt, geometra wydziału dóbr i lasów komisyi rządowej skarbu; Franciszek Rozmanit, kupiec; Piotr Gadomski, nie wiem jaki był jego zawód; Jerzy Goldman, brat znanego później we Lwowie żyda-patryoty, Bernarda Goldmana. Z tych pierwszych pięciu urzędowało w obecnej chwili, dopiero później wszedł Goldman. Skarbnikiem miasta był Stroński, aptekarz w gmachu szpitala Dzieciątka Jezus. Zastępcą naczelnika miasta był Tytus Zienkowicz, urzędnik biura marszałka szlachty gubernii Warszawskiej. Z nim to razem urządzaliśmy przed siedmiu laty bal szlachecki dla cara.

Do organizacyi miejskiej należała intendantura. Służyła ona zarazem i komisyi wojny. Naczelnikiem jej był Włodzimierz Lempke, zwany okularnikiem, niegdyś student Uniwersytetu kijowskiego, młodzieniec pełen energii, lecz potrzebujący silnej ręki, któraby go w ryzach trzymała. Jego pomocnikiem był Szymon Tokarzewski, były Sybirak, który po uwolnieniu nauczył się szewstwa i był doskonałym majstrem.

Pod zwierzchnią władzą naczelnika miasta, istniała oddzielna zupełnie organizacya kobiet, tak zwane „Piątki". Były to kółka po pięć osób liczące i stąd nazwa tej organizacyi. Początek jej dała znana w piśmiennictwie polskiem p. Seweryna Pruszakowa. Celem organizacyi były wogóle niesienie pomocy powstaniu, przez opiekowanie się rodzinami powstańców, pozostałemi w Warszawie, zbieranie na ten cel funduszów, przygotowywanie wszelkiego rodzaju bielizny, obuwia i t. p. rekwizytów. Kobiety należące do tej organizacyi same wnosiły jakieś tygodniowe ofiary, a największą ofiarą była praca, to jest szycie bielizny. Naczelnik miasta mianował p. Pruszakowę i dwie jeszcze panie, przełożonemi organizacyi. Prezesem był p. Józef Wieczorkowski, prezes sądu kryminalnego warszawskiego, znany już nam z owego wielkiego procesu, wytoczonego przez margrabiego, aresztowanym po rzezi 8. kwietnia 1861. r. (patrz T. I. Pamiętnika). Tenże d. 29. sierpnia został aresztowany i wywieziony na Sybir (Wydawnictwo materyałów do hist. powstania 1863. r. T. I.; „Moje wspomnienia z r. 1863." przez Sewerynę Duchińskę (Pruszakowę), str. 193.).

Równorzędną z organizacyą miejską była organizacya policyjna, na której czele stał Jan Karłowicz, znany pod nazwiskiem

Eigentum
Heeresarchiv-Zweigstelle
Danzig

„Janka białego". O osobie Janka białego mówiłem już wyżej.. Organizacya policyi istniała jeszcze za czasów konspiracyjnych, nie była jednak zbyt silną, choć wówczas wystarczającą. W chwili powstania szeregi jej przez wyjście na pole walki wielu jej członków, uległy wielkiej dezorganizacyi; Stefan Bobrowski, rozumiejąc całą ważność zadania policyi w walce z Moskwą, z właściwym sobie talentem odgadywania, że tak powiem, ludzi, z chwilą, gdy objął rząd miasta, powołał na jej naczelnika owego Janka białego, który był pomocnikiem ówczesnego naczelnika policyi, Tomasza Winnickiego. Nie zawiódł się, bo Janek biały okazał rzeczywisty organizacyjno-policyjny talent. Organizacya policyjna, która teraz działała i przetrwała aż do ostatnich chwil powstania, była jego dziełem. Nie wiem dobrze, jak pod względem policyjnym miasto było podzielone. Wiem tylko, że były okręgi, zdaje mi się, że podział odpowiadał podziałowi moskiewskiemu na cyrkuły. Najstarszym funkcyonaryuszem był inspektor policyi. Drugi podział poza cyrkułami były rewiry, a najniższymi funkcyonaryuszami byli ajenci policyi. Tych musiała być ilość znaczna, gdyż w każdym domu jeden z mieszkańców był policyjnym ajentem. Obie te organizacye, miejska i policyjna, tak się ze sobą łączyły, że często jeden i tensam osobnik należał do obu organizacyi, albo też obie organizacye do jednego celu miała każda swego ajenta; tym sposobem obie organizacye wzajemnie się wspierały i poniekąd kontrolowały. Jednozgodny raport dwóch ajentów dawał doniesieniu rękojmię prawdy. Wielu ajentów, a nawet i wyższe zajmujące stanowiska w policyi moskiewskiej, było także ajentami policyi narodowej. Przedewszystkiem zaś miało to miejsce w cyrkułach, jako ogniskach policyi moskiewskiej. Tym sposobem o każdej prawie przygotowującej się ze strony Moskali rewizyi lub aresztowaniu, o tajnych rozporządzeniach, policya narodowa była powiadomiona. Pod zarządem policyi było też biuro paszportowe, gdzie albo podrabiano paszporta, albo też wypełniano blankiety oryginalne moskiewskie, opatrzano oryginalną pieczęcią i podpisem. Policya narodowa miała swych ajentów w biurze policmajstra i gubernatora warszawskiego, oraz w biurach ważniejszych władz wojskowych. I w tej organizacyi nie było żadnej pisaniny, wszystko przechodziło z ust do ust. Cała ta maszyna policyjna była nadzwyczaj zmyślnie i mądrze ułożona, nie było tu żadnego tarcia, kolizyi, zamętu, działanie było szybkie, energiczne i zawsze wprost do celu idące. Była też ona wielkiem dla Moskali utrapieniem i żadnymi sposobami

nie mogli na najmniejszy ślad jej trafić. Moskale sprowadzili sobie ajentów z Prus, a nawet z Angli i to nic nie pomogło. Obcy ludzie na obcym terenie, nie znający języka i stosunków, nic zrobić nie mogli. Takim panom, jak się zanadto kręcić zaczynali, dano wskazówkę, że jeżeli im życie miłe, to niech się jak najprędzej wynoszą, i naturalnie szybko się do takich wskazówek stosowali. Policya moskiewska jawna, ta, która na ulicach patrolowała i uorganizowaną była wojskowo, składała się przeważnie z Polaków, tak żołnierzy, jak i oficerów. Znaczna ich część należała do organizacyi, bądź miejskiej, bądź policyjnej. Była uzbrojona w pałasze kawaleryjskie i rewolwery, mundury miała niebieskie z białem. Dezercye w niej zdarzały się bardzo często. Jakoś w połowie kwietnia jednej nocy 80 takich policyantów uciekło z bronią, do powstania. Wywołało to wielki zamęt i popłoch między Moskalami. Szczerba tą dezercyą spowodowana nie tak łatwo dała się zapełnić, musieli brać Polaków, choć im nie ufali, ale brali i żołnierzy z wojska, Moskali. Z tych nie mogli mieć wielkiej pociechy, bo byli to ludzie głupi i nie rozumieli języka. Dopiero znacznie później, bo już po wyjeździe W. Ks. Konstantego, Berg otworzył nową policyę z żołnierzy i oficerów pułków gwardyjskich, stojących w Warszawie. Nawet i na komisarzy cyrkułów powołano oficerów gwardyi. Słynnym z nich dzikością i brutalstwem był major Rydzewski, komisarz 10. cyrkułu (Nowy Świat). Policya ta była brutalna, ale głupia. Taką była organizacya miasta Warszawy. Jest ona przykładem rzadkim, a może i jedynym w historyi, jaką siłę może wytworzyć społeczeństwo, jeżeli mu przewodzi idea, tak wielka i szlachetna, jaką jest miłość ojczyzny, skierowana do równie wielkiego celu, walki z wrogiem, dla odzyskania niepodległości.

Nietylko organizacya warszawska, ale i organizacya w całym kraju miała ten sam charakter i takie samo znaczenie. Odnosi się to szczególnie do miast, gdzie mieszczaństwo rdzenne i urzędnicy wszystkich władz, nie wyłączając żydów, w znacznej części taką samą ochotą wspierało silnie organizacyę formalną. Nawet włościanie już w tym czasie większą dla powstania okazywali przychylność, wstępowali do oddziałów, użyczali chętnie podwód, żywności, służyli za przewodników i tym podobne różne oddawali przysługi. Obywatele ziemscy, częściej i chętniej wypełniali dekret Rządu Narodowego o uwłaszczeniu, co dobrze na lud wiejski oddziaływało. Według prawa o oczynszowaniu włościan, wydanego w roku 1862. przez rząd moskiewski, włościanie mieli obowiązek

w d. 1. kwietnia, zapłacić właścicielom ratę czynszową. Gdy zaś stosownie do dekretu uwłaszczenia z dnia 22. stycznia, te obowiązki włościan zupełnie ustawały, Rząd Narodowy, chcąc temu zapobiedz i stanowczość dekretu utrzymać i stosunek wzajemny w tym względzie między włościanami a właścicielami jasno postawić w d. 31. marca wydał dekret, w którym powiada:

„Z uwagi, że dekret uwłaszczenia włościan z dnia 22. stycznia r. b. nie we wszystkich miejscowościach ogłoszony i wprowadzony w wykonanie został, a właściciele ziemscy tłumacząc się niewiadomością mogliby żądać od posiadaczy osad złożenia w dniu 1. kwietnia dotychczasowego okupu lub czynszu na mocy dawniej obowiązujących przepisów, Rząd tymczasowy w rozwinięciu powyższego dekretu stanowi: Że takowy obowiązuje wszystkich właścicieli dóbr, tak prywatnych jak i rządowych, donacyjnych i kościelnych, w Królestwie Kongresowem, na Litwie i na Rusi, od daty wydania go i że wskutek tego dotychczasowy okup lub czynsz należny dziedzicom z dniem 1. kwietnia ustaje. Niestosujący się do tego rozporządzenia, prócz zwrotu pobranych niewłaściwie opłat na surową odpowiedzialność narażonym będzie'.

Naród polski pomawiany o anarchiczne usposobienie, o brak poszanowania i posłuchu dla rządu, o samowolę i chęć wyłamywania się z pod obowiązujących ustaw, teraz zaprzeczył tej opinii. Dowiódł, że może być karnym, posłusznym, jeżeli władza rządząca jest narodowa, która przedewszystkiem ma na celu dobro i pożytek narodu. Rząd Narodowy miał w całym kraju posłuch zupełny. Ten ważny objaw objaw usposobienia narodu był tem silniejszy, jeżeli uprzytomnimy sobie, że ten Rząd Narodowy, jako tajemny, był właściwie „mytem", co więcej nawet, był tylko pieczątką, na której była tylko wyryta nazwa: „Rząd Narodowy". Nie pytano, co za ludzie pod tym znakiem się ukrywają, nie znano, już nietylko ich nazwisk, ale nie znano nawet ich charakteru, a jednak słuchano go i wykonywano jego rozkazy, bo on był przedstawicielem idei, idei wielkiej, którą każdy prawy Polak nosił w swej duszy, idei, której urzeczywistnienia każdy jak najgoręcej pragnął. Rząd Narodowy był sztandarem, około którego naród się skupił. Dawał się poznać narodowi tylko przez swoje czyny, przez odezwy, których poglądy swoje wyłuszczał, przez rozporządzenia, które wydawał i wykonanie ich nakazywał. Siła Rządu polegała na tem zaufaniu społeczeństwa i na jego sile moralnej, gdyż działanie jego oparte na bezwzględnej tajemnicy na zewnątrz, mogło być sgutecznem tylko

przy równie bezwzględnem a solidarnem strzeżeniu tej tajemnicy. Sama natura Rządu, jakiej przykładu w dziejach nie było, przedstawiała rozliczne trudności. Trzeba było temu Rządowi nadawać formy, których przykładu nie było, a które musiały odpowiadać tej naturze i wszystkim warunkom Rządu prawidłowo działającego; w miarę nabywanego doświadczenia ciągle go reformować, ulepszać, upraszczać. Wszystko to trzeba było spełniać i kształtować, pod argusową bacznością rządu, choć najezdniczego, ale prawidłowo urządzonego, opartego na brutalnej, wojskowo-policyjnej sile. Te prawidłowe działania tego rządu, Rząd Narodowy musiał utrudniać, podkopywać, musiał z niemi walczyć nietylko orężnie, ale na każdem polu administracyjnego działania. Rząd Narodowy musiał wydawać dekrety zabraniające wypełnienia rozkazów tego moskiewskiego rządu, n. p. płacenia podatków. Społeczeństwo takie nakazy spełniało, choć stosowanie się do nich wymagało poświęcenia osobistego, narażenia się na prześladowanie wroga.

Poza tą, że się tak wyrażę, formalną stroną działania Rząd Narodowy miał względem społeczeństwa pierwszorzędnego znaczenia obowiązki etyczne. Społeczeństwo darzyło ten tajemny Rząd zaufaniem, bo wierzyło w jego ukochanie ideałów narodowych, wierzyło, że ten sztandar narodowy, który podniósł i którego był symbolem, potrafi utrzymać wysoko, czystym i nieskalanym, wierzyło ,że wszystko co czyni, czyni w najlepszej wierze, wierzyło, że dla tej świętej sprawy wyzwolenia ojczyzny gotów jest w każdej chwili oddać życie własne. I muszę tu wypowiedzieć z podniesionem czołem i czystem sumieniem, że Rząd Narodowy przez cały czas swego istnienia, jakkolwiek ulegał co do osób różnym zmianom, tej wiary narodu w nim pokładanej nie zawiódł. Rząd Narodowy, jako złożony z ludzi mógł błądzić i pewnie, że nieraz zbłądził, ale wiary nie złamał, co ofiarą pięciu szubienic, ostatecznie zadokumentował i czysty, nieskalany sztandar narodowi przekazał.

Ktoś z czytających może nazwać to samochwalstwem, wyrazem zarozumiałości, pychy. — Nie! Jest to tylko stwierdzeniem prawdy, co jest moim obowiązkiem.

We władzach naczelnych organizacyi prowincyonalnej, które urzędowały w chwili powstania, a które na początku opowiadania wymieniłem, zaszły z rozmaitych powodów szczerby, które należało

uzupełnić. I tak w województwie Lubelskiem, jak już wiemy, w bitwie pod Słupczą, Leon Frankowski, komisarz tego województwa ranny dostał się do niewoli moskiewskiej. Ówczesny komitet wykonawczy powierzył był te obowiązki Gustawowi Wasilewskiemu, komisarzowi województwa Kaliskiego. Tymczasem tenże Wasilewski zginął d. 23.[5]) marca w bitwie pod Krasnobrodem, więc Rząd Narodowy zamianował komisarzem Adama Majewskiego [6]) — kto on był nie wiem.

W województwie Podlaskiem w miejsce wziętego do niewoli Romana Rogińskiego, mianowano Antoniego Skotnickiego, ucznia uniwersytetu Kijowskiego, bardzo zdolnego, pracowitego i energicznego, a doskonale znającego stosunki województwa

W województwie Płockiem, obadwa naczelne stanowiska zostały opróżnione. Komisarz Edward Rolski zginął w bitwie w puszczy Myszenieckiej d. 11. marca [7]), zaś naczelnik cywilny Tadeusz Tuchowski zrezygnował. Rząd Narodowy mianował komisarzem Stanisława Grzywińskiego, budowniczego, b. ucznia Szkoły sztuk pięknych, dobrego mego przyjaciela i kolegę ze szkoły, a naczelnikiem cywilnym tegoż samego województwa został Eustachy Grabowski, właściciel dóbr.

W województwie Kaliskiem, gdzie po Gustawie Wasilewskim obowiązki komisarza pełnił tymczasowo Stanisław Frankowski, komisarz mazowiecki, teraz na to stanowisko powołano Aleksandra Biernawskiego, ucznia szkoły medyko-chirurgicznej, który od chwili był jednym z referentów organizacyi komisyi spraw wewnętrznych, o której wyżej mówiłem. Dotychczasowy naczelnik cywilny tego województwa, ks. Wawrzyniec Cent, zrezygnował, a Rząd Narodowy mianował w jego miejsce Władysława Majewskiego, brata znanego nam już z poprzedniego opowiadania, Karola.

W województwie Krakowskiem po upadku dyktatury Langiewicza, komisarz dotychczasowy, Wojciech Biechoński, w końcu marca zrezygnował, naczelnik cywilny zaś i wojskowy zarazem Apolinary Kurowski, który po niefortunnej bitwie miechowskiej, opuścił swoje stanowisko i zapisał się w szeregi partyzantów Mierosławskiego, siedział w Krakowie i tam, jak inni jemu podobni, wichrzył. Rząd Narodowy mianował więc komisarzem Józefa Kleczyńskiego, b. studenta Szkoły Głównej, zdolnego i energicznego

[5]) Zieliński: Bitwy i potyczki, str. 86, podaje 24. marca. (P. R.).
[6]) Por. Chołodecki: Ks. pam., str. 292. (P. R.).
[7]) Zieliński l. c. str. 229, podaje, że miało to miejsce 12. marca pod Drążdżewem. Tak samo Przyborowski: D. 1863 r., II. str. 209. (P. R.).

młodzieńca, znanego nam dobrze, jeszcze z przedpowstańczych kółek młodzieży. Na naczelnika cywilnego powołał Władysława Gołemberskiego, profesora gimnazyum w Warszawie, znanego nam już z owej sprawy Ogrodowej z roku 1862.

W województwie Sandomierskiem, obydwaj główni przedstawiciele władzy narodowej, komisarz Ignacy Maciejowski [8]) i naczelnik cywilny ks. Kotkowski, opuścili sztandar narodowy i oddali się na usługi Mierosławskiego i jego wichrzycielskie działania w Krakowie popierali. Rząd Narodowy musiał i tu nowych ludzi na czele województwa postawić, nie pamiętam jednak na kogo padł wybór.

W województwach Augustowskiem i Mazowieckiem nie zaszły żadne zmiany.

Wiemy, że w chwili powstania tylko cztery województwa, t. j. Krakowskie, Sandomierskie, Podlaskie i Płockie miały naczelników wojennych. Wiemy, że gdy Kurowski po klęsce w Miechowie opuścił swoje stanowisko, województwo Krakowskie zostało oddane pod komendę Langiewicza, pozostało zatem tylko trzech naczelników wojennych. Jeszcze w końcu lutego lub na początku marca, a zatem jeszcze przed dyktaturą, Rząd Narodowy oceniając działania Kazimierza Mieleckiego, który, jakkolwiek nie był specyalistą wojskowym, lecz okazywał wyraźne zdolności organizacyjne i partyzanckie i wiele zmysłu wojskowego, mianował go pułkownikiem i naczelnikiem województwa Mazowieckiego. Po upadku dyktatury i zniknięciu zupełnem armijki Langiewicza, województwa Krakowskie i Sandomierskie zostały zupełnie wojskowo zdezorganizowane i powstanie prawie że w obu tych województwach nie istniało. Niebawem znowu prawie że jednocześnie dwóch naczelników zeszło z pola walki. Mielęcki d. 20. marca w zwycięskiej bitwie pod Olszową został ciężko ranny [9]). Podobny los spotkał Lewandowskiego, naczelnika Podlaskiego, który w bitwie pod Rossą [10]) d. 24. marca nietylko był ranny, ale dostał się do niewoli moskiewskiej..

Powstanie w samym końcu marca i pierwszych dniach kwietnia przebywało bardzo krytyczną chwilę. Pozbawione było dowódców, bo pozostał tylko jeden Zygmunt Padlewski w wojewódz-

[8]) U Daniłowskiego: Notatki do pamiętników, str. 279, błędnie nazwany komisarzem krakowskim — był nim bowiem Biechoński. (P. R.).

[9]) Zieliński l. c. str. 195 podaje, że potyczka ta miała miejsce 22. marca pod Slesinem. (P. R.).

[10]) L. c. str. 63: Róża. (P. R.).

twie Płockiem, a powstanie ożywiał tylko pułkownik Czachowski, który, jak wiemy, jeszcze w czasie bitwy pod Grochowiskami z częścią armijki Langiewicza oddzielił się i poszedł w lasy Śto-Krzyskie. W Podlaskiem istniał tylko Lelewel ze swym także partyzanckim oddziałem, a w Mazowieckiem Sejfryd, który wszedł był na pole walki z Mierosławskim, po tegoż ucieczce pozostał i służył pod rozkazami Mielęckiego, teraz zaś objął komendę nad pozbawionym dowódcy oddziałem. W województwie Augustowskiem z niewielkim oddziałem podtrzymywał powstanie Konstanty Ramotowski (pod pseudonimem „Wawer"). Był to oficer z wojska polskiego z r. 1831. Jemu w początkach marca Rząd Narodowy polecił przeprowadzić organizacyę powstańczą.

Rząd Narodowy usiłował ożywić powstanie przedewszystkiem przez ustanowienie naczelników wojennych. Więc dla województwa Mazowieckiego mianował owego Sejfrida. Dla Kaliskiego Jaworskiego, byłego oficera sztabowego moskiewskiego. Filii wydziału wojny w Krakowie polecił, ażeby starała się jak najprędzej formować oddziały z rozbitków Langiewicza i innych ochotników i wysyłać je na plac boju w Krakowskie, a naczelnikiem wojennym mianować Langiewiczowskiego jeszcze generała Śmiechowskiego. W porozumieniu z tąż filią w Krakowie mianował Rząd Narodowy pułkownika Czachowskiego naczelnikiem wojennym sandomierskim. Dla województwa Lubelskiego przeznaczył Rząd generała Jeziorańskiego, polecając mu, żeby z pomocą organizacyi galicyjskiej jak najprędzej uformował oddział i wszedł z nim do województwa. W Lubelskiem naczelnikiem mianował Lelewela, bo jakkolwiek nie był on wojskowym, ale zdradzał pewne zdolności partyzanckie i miał wielką miłość u żołnierzy. Wreszcie dla województwa Augustowskiego powołał Konstantego [11]) Andruszkiewicza, majora b. wojsk polskich.

Najważniejszą i największą troską i zadaniem Rządu Narodowego było zaopatrzenie oddziałów powstańczych w broń wszelkiego rodzaju. Głównem źródłem skąd broń mogła być dostarczana były zagraniczne fabryki broni, we Francyi, Anglii, Belgii, poniekąd w Niemczech i Austryi. Wiemy, że jeszcze Komitet Centralny, przed powstaniem przedsięwziął był starania o sprowadzenie broni, że ustanowił był komisyę broni w Paryżu. Wiemy, że komisya ta zakupiła znaczną ilość broni przeważnie w Anglii i obmyśliła plany przewiezienia jej do Polski. Wiemy, że cała ta robota była zwi-

[11]) Zieliński l. c. str. 256: Aleksander. (P. R.).

chnięta przez aresztowania dokonane w Paryżu w końcu grudnia 1862. r. Paryska komisya broni musiała układać nowy plan transportu, nawiązywać nowe stosunki, co sprawiło, że broń zaczęła dochodzić do Polski dopiero w miesiącu lutym. Ponieważ przez te wypadki i samo miejsce pobytu komisyi zostało skompromitowane, a przytem Rząd Narodowy uważał, że korzystniej będzie, jeżeli siedlisko komisyi ustanowi się bliżej teatru walki, przeto jakoś w połowie marca zwinął paryską komisyę broni i ustanowił na wniosek komisyi wojny, komisyę broni w Leodjum (Liége) w Belgii, do której powołał między innymi Aleksandra Guttrego i hr. Jana Działyńskiego. Nadto Rząd Narodowy upoważnił komisyę broni do mianowania w porozumieniu z komitetem W. Ks. Poznańskiego agentów w rozmaitych miejscowościach dla pośredniczenia w transportach broni do granic Polski. Ajenci ci byli obowiązani ustanowić od siebie ajentów nadgranicznych. W wypełnieniu tego ustanowiono agentów w Królewcu dla Litwy, w Bydgoszczy, Toruniu i Wrocławiu, dla zachodnich województw Królestwa. Oprócz tego Rząd Narodowy mianował i wysłał jako agenta do Wiednia Józefa Kwiatkowskiego, kupca Warszawy, człowieka bardzo energicznego i doskonale obeznanego ze wszystkimi kupieckimi stosunkami i potrzebami, a przytem gorącego patryotę. Kwiatkowski był upoważniony tak do zakupna broni w samej Austryi, jak i do pośredniczenia w przewozie broni zakupionej i przesyłanej do kraju przez komisyę broni w Liége. Broń tą drogą przesyłana do Galicyi była przeznaczona dla województw południowych. Rząd Narodowy ze swej strony, wszelkimi możliwymi funduszami zasilał tak komisyę broni, jak i wiedeńskiego agenta. Nadto władze narodowe galicyjskie i podlaskie miały obowiązek dostarczać także funduszów, o ile można największych. Organizacya dawała nadzieję, że powstanie będzie mogło być dostatecznie w broń zaopatrywane. Istotnie już Langiewicz otrzymywał broń z Galicyi, a oddziały, które w marcu i teraz w kwietniu z Poznańskiego i z Galicyi wychodziły, były w dobrą broń zaopatrzone. Z wielką jednak trudnością i skąpo dochodziła broń do województw środkowych i wschodnich. Władze austryackie z początku nie zwracały wielkiej uwagi na transporta, ale Prusacy rozwinęli wielką czujność i nie rzadko broń przyłapywali. Kupcy, u których broń kupowano, mieli obowiązek wysyłać ją wskazanemi drogami i pod umówionymi adresami — kupiec, który broń sprzedał, otrzymawszy za nią pieniądze po wysłaniu jej, już się więcej o nią nie troszczył. Zdarzały

się bardzo podejrzane wypadki, że kupiec wysławszy broń, sam ją denuncyował. Dla zabezpieczenia się przeciw tym ewentualnościom, jak i dla zmuszenia kupców dla troskliwego zajęcia się sprzedaną bronią w czasie jej przewozu, Rząd Narodowy reskryptem z d. 26. kwietnia wezwał komisyę broni w Leodjum, żeby kupioną broń tylko zadatkowała, a resztę należytości wypłacała, gdy broń dojdzie do swego przeznaczenia, t. j. do właściwego ajenta. Gdy później i Austrya zaczęła również śledzić transporta broni i ta droga połączona była z wielkiemi trudnościami. Powstanie chronicznie cierpiało na brak broni. Nie mogę tu podać, jaka ilość broni w ciągu trwania powstania była dostarczoną, przychodziła ona drobnemi partyami zaledwie po kilka na paręset sztuk. Uzbrajano nią oddziały wkraczające z Galicyi i W. Księstwa i dodawano jeszcze broń zapasową. Niestety oddziały te przeważnie nie dostawały się w głąb kraju, lecz były rozbijane przez Moskali prawie zaraz po przejściu granicy — naturalnie broń była stracona.. Szczególnie oddziały z Galicyi wchodzące ulegały temu losowi, jak to później zobaczymy. Pierwszy zły przykład przejścia granicy przez oddziały Langiewicza stał się zaraźliwym. Najsurowsze środki i kary nie mogły tego uciekinierstwa powstrzymać.

Muszę tu w tem miejscu wspomnieć o wyprawie morskiej, t. zw. Żmudzkiej, która ma związek z dostawą broni dla Litwy.

W pierwszych dniach lutego, komisya broni wówczas istniejąca w Paryżu, powzięła myśl zorganizowania wyprawy morskiej, dla przewiezienia małego oddziału ludzi z zapasami broni dla Litwy. Wykonanie tej myśli komisya broni poleciła Józefowi Ćwierciakiewiczowi, swojemu członkowi, przebywającemu w Anglii, człowiekowi bardzo energicznemu i ruchliwemu. Bardzo być może, że myśl tę podał komisyi sam Ćwierciakiewicz i musiał był już nawet poczynić przygotowawcze kroki, gdyż już około 10. lutego komisya broni zawiadomiła ówczesną komisyę wykonawczą w Warszawie o zamierzonej wyprawie, żądając jej potwierdzenia. W zawiadomieniu tem komisya podała, że wyprawa została zorganizowaną w Anglii, że statek parowy jest już wynajęty, że na dowódcę wyprawy proponują niejakiego pułkownika Łapińskiego, mającego wiele doświadczenia wojskowego, nabytego na Kaukazie w partyzanckiej wojnie kaukaskich górali z Moskalami; że wyprawę stanowić będzie mały oddział złożony z stu kilkudziesięciu ludzi, Polaków i cudzoziemców, z zapasem broni wystarczającym do uzbrojenia 1000 ludzi, piechoty i kawaleryi z odpowiednią ilością amuni-

cyi, że wyprawa będzie się starała dotrzeć i wylądować na wybrzeżach Żmudzi lub Kurlandyi.

Komisya wykonawcza w Warszawie, jakkolwiek uważała tę wyprawę za bardzo ryzykowną i niebezpieczną, jednakże ze względu na wielką ważność zaopatrzenia powstania litewskiego w broń, zatwierdziła je reskryptem z dnia 15. lutego, a do reskryptu dołączyła upoważnienie dla Józefa Dementowicza, ajenta litewskiego przy komisyi broni w Paryżu, do pełnomocnego działania na rzecz Rządu Narodowego w tej wyprawie *).

Wyprawa, zdaje się, wyruszyła w początkach marca z portu Londyńskiego lub z jakiegoś pobliskiego. Losów jej nie będę opisywał, a wyczytać je można w książce: „Powstańcy na morzu w wyprawie na Litwę z pamiętników pułkownika Łapińskiego", wydanej we Lwowie w r. 1876. Teraz w pierwszych dniach kwietnia Rząd Narodowy odebrał raport Demontowicza, komisarza przy tej wyprawie, w którym donosił o krytycznem jej położeniu. Raport pisany był z Malmö, portu położonego na południowym cyplu Szwecyi od zachodu, prawie naprzeciwko Kopenhagi. Daty tego raportu nie pamiętam, ale musiał być już z końca marca lub pierwszych dni kwietnia. W raporcie Dementowicz mówił o przygodach, jakie ich spotykały i o zdradzie kapitana okrętu, Anglika, który prawie ze wszystkimi majtkami, okręt opuścił. Skarżył się na Łapińskiego, za jego brutalność, zarozumiałość, despotyzm, oskarżał o stosunki z generałem Zamoyskim w Londynie, wyrażał swoje obawy, co do zachowania się ks. Konstantego Czartoryskiego, który z ramienia ks. Władysława Czartoryskiego był agentem dyplomatycznym w Szwecyi i mógł tam źle usposabiać umysły dla powstania polskiego. Lecz zaraz potem opisywał zapał, z jakim ich Szwedzi przyjęli w Malmö, że gdy wiadomość o tem doszła do

*) Autor D. 1863 r. w T. III. str. 66, powiada: „Zrazu zamierzano tę wyprawę a zarazem dowództwo naczelne na Litwie powierzyć Mierosławskiemu, ale ten po długich pertraktacyach, zrażony zapewne katastrofą Krzywosądzką, stawiał najprzód takie warunki, że ich przyjąć nie można było, a wreszcie wręcz odmówił". Jest to bajka, jak wiele innych, które autor sam sobie wytworzył, albo opowiadaną bezkrytycznie przyjął i za fakt ją podaje. Wyprawa, jak to opowiedziałem, była urządzona i przez Rząd narodowy zatwierdzona d. 15. lutego, a zatem na cztery dni przed katastrofą Krzywosądzką. W tym czasie, kiedy przygotowywano wyprawę, Mierosławski już wybierał się i przygotowywał do objęcia dyktatury, o czem przecie w Paryżu dobrze wiedziano. Naczelne dowództwo na Litwie Rząd narodowy za pośrednictwem Jana Majkowskiego proponował Mierosławskiemu w końcu kwietnia i to w Krakowie. Nadto dodam jeszcze, że wyprawę żmudzką przygotowywano w Anglii, pod auspicyami, że się tak wyrażę, generała Władysława Zamoyskiego, a Mierosławski i Zamoyski, to dwa światy wprost przeciwne. Zamoyski prędzejby z samym dyabłem w traktaty wchodził, niż z Mierosławskim.

Sztokholmu, to ją także z zapałem przyjęto, że zbierano dla nich składki, w których i król wziął udział znaczną sumą, że przysyłano datki z Hamburga, Danii, co razem wyniosło kilkadziesiąt tysięcy franków. Proponował, że należałoby korzystać z dobrego usposobienia Szwedów i przez nich urządzić propagandę w Finlandyi na rzecz Polski. Wreszcie przedstawiał trudności dalszej podróży, z powodu, że rząd moskiewski dowiedział się już o dążącej wyprawie i nie zaniedba skorzystać i przeszkadzać w dalszej drodze, a może nawet i zabrać okręt. Na podstawie tych obaw wyraził zdanie, że lepiej może dalszej podróży zaniechać.

Rząd Narodowy jednak był odmiennego zdania. Powstanie na Litwie było już w marcu rozpoczęte i władze narodowe litewskie były o tej wyprawie zawiadomione. Wylądowanie choć tak małego oddziału, ale wiozącego tak znaczny materyał wojenny mogło bardzo dodatnio wpłynąć na powstanie litewskie. Z tego powodu Rząd Narodowy postanowił, uspokoiwszy wszelkie obawy Dementowicza, polecić mu, aby dołożył wszelkich starań i wyprawę dalej prowadził. Reskrypt odpowiedni zredagował Agaton Giller, który w tym czasie miał sobie przydzielone wszystkie sprawy zagraniczne. Reskrypt ten Rządu Narodowego z daty 10. kwietnia znajduje się w oryginale w zbiorach w Rapperswylu, a drukowany jest w „Wydawnictwie materyałów do historyi powstania", T. V., str. 176. W reskrypcie tym Rząd Narodowy przedstawił Demontowiczowi całą ważność sprawy dla powstania litewskiego. Rozkazał Łapińskiego nadal utrzymać przy dowództwie. Uspokoił go co do obaw o stosunki z Zamoyskim i Czartoryszczyzną i wypowiedział bardzo ważną zasadę, której Rząd jako Narodowy, miał obowiązek przestrzegać i której od samego początku powstania istotnie się trzymał. Czytamy bowiem tam: „Obawy twoje co do ks. Czartoryskiego Rząd uważa za bezzasadne. Nie czas nam dzisiaj bawić się w stronnicze zasady i poglądy, lecz w obec walki, którą prowadzimy z najazdem należy wszystkie stronnictwa, wszystkie chęci i stosunki zużytkować. Rząd w nazwisku Czartoryskiego nie widzi powodu, dla któregoby stosunków jego w Szwecyi, nie miał obrócić na pożytek wyprawy. Poleca Ci więc zgodne z nim postępowanie, jeżeli tylko nie jest przeciwny wyprawie, o co go podejrzywać nie można. Kłótnie, niezgody, szarpania się pomiędzy Wami, Czartoryskim a Mickiewiczem zaszkodzić mogą wyprawie i interesowi Polski w Szwecyi — dlatego to Rząd rozkazuje i poleca wszystkim zgodne postępowanie, unikanie wszystkich intryg i wzajemnego

podkopywania się i wychwytywania stosunków. Zgodne i wspomagające się działania Was wszystkich wpłynie dobrze na wyprawę. Usuwanie zaś tego, co w Czartoryskim z powodu jego poglądów politycznych, może być szkodliwem, należy do Rządu; do Was zaś wyprawianie jak najszybciej wyprawy do Żmudzi".

Przytoczyłem dosłownie cały ten ustęp dla jego ważności, gdyż mówiąc o Zamoyskim i Czartoryskim wyraża zasadę, którą Rząd Narodowy kierował się i pilnie przestrzegał w stosunkach swoich wewnętrznych. Właśnie z tego powodu, że Rząd Narodowy wszedł w stosunki z Czartoryskim, o czem później mówić będę, czyniono Rządowi zarzuty, że działa na szkodę powstania. Zasady te chcę tutaj umotywować wogóle, a później będę mógł poprzeć faktami ich zupełną słuszność.

Jak obowiązkiem Rządu było skupić i powołać naród cały do walki z najazdem ,tak też było jego obowiązkiem wyzyskać i spożytkować dla sprawy siły, stosunki, wpływy i stanowiska pojedyńczych obywateli, bez względu na ich teorye lub wyznania ogólnopolitycznej natury, i tak niemi kierować, by działanie ich wyszło na pożytek sprawy powstania Ludziom uczciwym, szczerze miłującym Ojczyznę, gotowym zawsze do służby dla niej i żądnym tej służby, a mającym odpowiednie zdolności i wyrobione pole działania, było obowiązkiem Rządu dać możność do pracy, uczynić ich pożytecznymi dla sprawy, a czynności im powierzone tak uwarunkować, by z ich przekonań politycznych żadna nie mogła wyniknąć szkoda. Stanowisko to przytoczony reskrypt bardzo wyraźnie zaznacza, mówiąc: „Usuwanie zaś tego, co w Czartoryskim z powodu jego poglądów politycznych, może być szkodliwem należy do Rządu". Każdy człowiek rozumny, uczciwy, szczerze Ojczyznę miłujący, zdolnym jest zrozumieć, czego Ojczyzna w danej chwili potrzebuje, zrobić ofiarę ze swych przekonań i działać w myśl tych idei i potrzeb, jakich w danej chwili sprawa ojczysta wymaga. Ideę przewodnią, potrzeby i środki do jej zaspokojenia przedstawia i wskazuje Rząd. On nadaje ton i kierunek wszystkim swoim podwładnym organom, wybiera ludzi i przeznacza ich odpowiednio do środowiska, w którem mają działać i do natury misyi, którą mają spełnić, daje im instrukcyę do działania i kontroluje ich czynności. To są niezaprzeczone atrybucye i obowiązki każdego Rządu wogóle. Rząd Narodowy, jakkolwiek w swej formie, naturze i charakterze był odmiennym od wszelkich tak istniejących, jak i tych, które kiedykolwiek w dziejach istniały, posiadał jednak te same

atrybucye i obowiązki. W ocenieniu działań Rządu Narodowego obojętnem jest, jakimi organami się posługiwał i rządy swoje sprawował, gdyż był on za ich działalność odpowiedzialnym, ale zważać należy głównie na to, czy idei przewodniej, zasadniczej się nie sprzeniewierzył i czy wyczerpał wszystkie siły, środki i okoliczności, dla osiągnięcia zamierzonego celu: odzyskania niepodległości. Na pierwsze pytanie nie tylko mogę, ale muszę odpowiedzieć, z całą siłą przekonania: Nie! Przy idei wytrwał i sztandar narodowy, czysty i nieskalany potomności przekazał. Na drugie pytanie, odpowiedź znajdzie się w dalszem przedstawieniu jego działań, a sądowi historyi przypadnie wydanie wyroku.

Wyprawa żmudzka zupełnie się nie powiodła. Ucieczka owego kapitana angielskiego z majtkami spowodowała, że Łapiński stracił bardzo wiele czasu, że musiał kupić inny okręt i dopiero w końcu maja opuścił port szwedzki w Malmö, z zamiarem wylądowania w okolicach Kłajpedy. To mu się nie udało, burza w zatoce Kurońskiej i obudzona czujność Prusaków uniemożliwiły wylądowanie. Wyprawa z niczem powróciła do Anglii, ze stratą kilkudziesięciu ludzi i znacznej części ładunku. Dopiero w lipcu Rząd Narodowy odebrał raport Demontowicza ze Sztokholmu i reskryptem z d. 27. lipca do tegoż Demontowicza adresowanym, rozkazał z powodu spóźnionej pory uważać wyprawę za rozwiązaną, okręt z całym ładunkiem oddać do dyspozycyi komisyi broni w Liége; polecił zawiadomić o tem Łapińskiego, z tem, że Rząd Narodowy powołuje go wraz z całą jego komendą do służby w kraju. (Reskrypt ten znajduje się w zbiorach raperswylskich).

Przedstawiłem dotąd atrybucyę i organizacyę trzech organów Rządu Narodowego, t. j. naczelnika miasta Warszawy, wraz z całą organizacyą miejską, komisyi spraw wewnętrznych i komisyi skarbu — teraz omówić mi wypada pozostałe organa, t. j. komisyę wojny i spraw zagranicznych z prasą.

Wydział, a właściwie komisya wojny, jak dotychczas organ ten Rządu Narodowego się nazywał, z początkiem kwietnia pozostawała w tym samym składzie, jak się ukonstytuowała w początkach marca. Byli w niej zatem Eugeniusz Kaczkowski i Mateusz Gralewski jako członkowie i Stanisław Szczyciński jako sekretarz. Przewodniczącym komisyi byłem ja, jako członek komitetu. Po upadku dyktatury Langiewicza ta tylko zaszła zmiana, że, jak wiemy, uworzono w Krakowie filię wydziału, która miała obowiązek formowania oddziałów, nominowania wogóle oficerów i wy-

prawianie do kraju. Oddziały, które weszły do kraju, przechodziły pod władzę wydziału wojny w Warszawie. Tak wielki był wogóle brak wojskowych, że o powiększeniu sił w komisyi nie można było myśleć. Urządzenie to w obecnym stanie powstania musiało wystarczać. Wiemy, iż organizacya miejska miała przez swoich ajentów stosunki ze wszystkiemi władzami wojskowemi moskiewskiemi, konsystującemi w Warszawie, nawet w przyboczne wojskowej kancelaryi namiestnika. We wszystkich sztabach i kancelaryach znalazł się zawsze jakiś oficer lub urzędnik Polak, który należąc do organizacyi udzielał ajentom wiadomości o wszelkich powziętych postanowieniach, wydawanych rozkazach, o zamierzonych ruchach wojsk. Pomiędzy tymi ajentami znajdowali się i Rosyanie, którym za udzielone wiadomości płacono. Wiadomości zebrane drogą organizacyi dochodziły do komitetu przez naczelnika miasta. W praktyce droga ta okazała się za długą, a wiadomości często bardzo ważne, dochodziły za późno. Stefan Bobrowski, na wniosek komisyi wojny ustanowił jednego ajenta, który miał obowiązek przejęte przez ajentów wiadomości odbierać i bezpośrednio wprost komisyi wojny natychmiast komunikować. Ajentem tym był Józef Schlenkier, syn znanego nam już kupca Ksawerego Schlenkiera. Był to młody człowiek, nadzwyczaj sprytny i energiczny, który oprócz tego sam osobiście starał się wejść w stosunki z temi wojskowemi władzami. Ajent ten miał obowiązek codziennie rano zdać raport przewodniczącemu komisyi, w sprawach zaś nagłych w każdej chwili. Otrzymywał przytem wskazówki i polecenia szczególne, pochodzące z uchwał komisyi.

Atrybucye i zakres działania komisyi wojny były bardzo ograniczone, a to wypływało z natury wojny prowadzonej z najazdem. Jakikolwiekbądź kierunek w działaniu pojedyńczych oddziałów partyzanckich był wprost niemożliwym. Nawet naczelnicy wojskowi województw nie wielki mogli mieć wpływ na ruch tych oddziałów.

Intendantura, która jest zwykle jedną z ważnych organów głównych zarządów wojskowych, nie mogła być skoncentrowaną w naszej komisyi wojny, czynności te bowiem załatwiać musiały władze cywilne prowincyonalne, a w Warszawie załatwiała je organizacya miejska. Oddziały powstańcze same musiały rekwirować sobie żywność. Władze cywilne miały tylko obowiązek dostarczania oddziałom odzienia, bielizny, butów, rekwirowania koni, stosownie do instrukcyi ogólnej, którą komisya wojny jeszcze na początku wojny była wydała, a która do tej chwili była wystar-

czającą. Służba wywiadowcza o ruchu wojsk nieprzyjacielskich należała też do obowiązku władz cywilnych. Zaopatrywanie oddziałów w potrzebne fundusze należało też do tychże władz. Broń dostawiała komisya broni przez swoich agentów, ci dostawiali ją ponad granicę i stamtąd albo same oddziały, zresztą bardzo rzadko, ją odbierały, a prawie ogólnie władze cywilne przewoziły ją w głąb kraju. Z broni tylko kosy były robione w kraju, a i tem zajmowały się władze cywilne. Cóż więc pozostawało, co właściwie stanowiło atrybucye komisyi wojskowej? Nominacye na wyższe stopnie wojskowe, począwszy od majora i zatwierdzanie nominacyi niższych oficerów, przedstawianych przez naczelników wojennych województw, wydawanie jak najogólniejszych przepisów, instrukcyi, regulaminów; odbieranie raportów wojskowych, które składali nie tylko naczelnicy wojenni, ale i dowódcy pojedynczych oddziałów. Raporta te dawały komisyi możność czynienia swoich uwag, spostrzeżeń, udzielanie pochwały lub czynienia zarzutów, ocenienia zdolności i kwalifikacyi dowódców. Ważnem zadaniem komisyi wojskowej było utrzymanie i podnoszenie w wojsku ducha, karności, męztwa, odwagi, a czynić to mogła tylko i rzeczywiście czyniła przez wydawanie odezw, instrukcyi ogólnych, przez odwoływanie się do dowódców, od których utrzymanie tych zalet najwięcej zależało, by swoim przykładem zaszczepiali je i podnosili.

Przy komisyi wojny i pod jej rozkazami zostawała komisya lekarska, złożona z trzech członków — nazwisk nie pamiętam. Zawiadywała ona całą służbą zdrowia. W każdem województwie i w każdym powiecie był lekarz, przytem przy każdym prawie oddziale byli lekarze. Lekarze wojewódzcy i powiatowi zajmowali się urządzaniem szpitali i opieką rannnych. Moskale nie szanowali wcale szpitali i często znalazłszy szpital, wymordowali rannych, a wielu lekarzy uległo temu samemu losowi. Komisya wojny wydała rozkaz, aby o ile można, dla ochrony szpitali od tych napaści w bliskości szpitali nie zatrzymywały się na czas dłuższy oddziały, żeby nie utrzymywano tam żadnych składów, bądź broni bądź rekwizytów wojskowych.

Rząd Narodowy żadnych spraw specyalnych czy to administracyjnych, czy skarbowych, czy wojskowych wreszcie, nawet takich, które wychodziły z własnej jego inicyatywy sam bezwzględnie nie załatwiał, lecz odsyłał do specyalnych komisyi.

Tam kwestye dyskutowano; członek Rządu, przewodniczący

komisyi informował ją o poglądach Rządu na daną sprawę. Komisya była obowiązaną po zapadłej uchwale sprawę zreferować na piśmie i przez przewodniczącego Rządowi do zatwierdzenia przedłożyć. Jeżeli to była odezwa, to ją Rząd oddawał członkowi swemu, zawiadującemu wogóle prasą, do drukowania. Wszystko zaś, co nie miało być drukowanem, członek sekretarz Rządu opatrywał pieczęcią Rządu i do ekspedytury przesyłał. Wszystko, co na zewnątrz wychodziło, wydawanem było wyłącznie pod pieczęcią Rządu Narodowego; komisye same, jako takie, na zewnątrz nie występowały.

W komisyi wojny sprawy bieżące, jak n. p. odpowiedzi na raporty, redagowali sami członkowie lub też sekretarz. Sprawy większej wagi, szczególnie takie, które pochodziły z inicyatywy Rządu lub odezwy do wojska, redagowałem zwykle sam, a to na wyraźne żądanie komisyi, bo poznała, że miałem pewną łatwość pisania. Pamiętam, raz napisałem jakąś odezwę w tonie podniosłym, a chcąc wyrazić, czem jest dla żołnierza świadomość o ważności sprawy, za którą walczy, użyłem retorycznego zwrotu, „że wiara góry przenosi“. Gdym to przeczytał, Kaczkowski przerwał mi: „Hola, mój kochany, nie wiara, tylko sapery góry przenoszą“ — i musiałem zwrot ten opuścić. Wojskowi nie lubią retoryki. Podobnie jak wszyscy członkowie Rządu, czas miałem bardzo zajęty. Rano zwykle około 9. przychodził do mnie nasz ajent Szlenkier z raportem o tem, co się w wojskowych sferach moskiewskich zdarzyło. O godzinie 10. rano było zwykle posiedzenie komisyi i to często u mnie albo u lekarza Karola Kaczkowskiego, krewnego Eugeniusza, członka komisyi. Popołudniu odbywało się zwykle posiedzenie Rządu, chociaż często posiedzenia te odbywały się i rano i popołudniu. Posiedzenia te zwykle staraliśmy się kończyć przed wieczorem, żeby można było wracać do domu za dnia, by nie chodzić z latarkami. W drugiej połowie kwietnia, po ukazie carskim o amnestyi z d. 12. kwietnia i wydanej przez Rząd Narodowy odezwie z tejże daty do oficerów, by przechodzili do powstania, bardzo wielu zgłosiło się do organizacyi miejskiej, z żądaniem wskazania oddziałów, do których mogliby się udać. Organizacya zaczęła odsyłać ich do mnie. Ja mieszkałem wówczas na Lesznie, w oficynie na parterze. Podwórze było dookoła zabudowane jednopiętrowemi oficynami, wchodzących do mnie ze wszystkich okien można było widzieć. Pierwszym, który zgłosił się do mnie, był porucznik policyi Rowiński. Było to 13. albo 14. kwietnia, naczel-

nika miasta Bobrowskiego nie było w Warszawie. Ukazanie się oficera policyi w dziedzińcu wywołało pewną konsternacyę i zaniepokojenie w całym domu. Było to i dla mnie niespodzianką, gdy służąca zawiadomiła mnie, że jakiś oficer policyjny chce się widzieć ze mną. Nieprzygotowany na taką wizytę, byłem zdziwiony i wyznam zaniepokojony. Kazałem go prosić. Wszedłszy, przedstawił mi się i oddał kartkę z pieczęcią naczelnika miasta. To mnie uspokoiło. Powiedział mi, że posłuszny rozkazowi Rządu Narodowego, chce iść do powstania i prosi o wskazanie mu, gdzie się ma udać. Przyjąłem go też z całą serdecznością, objaśniłem, jakie oddziały znajdują się najbliżej Warszawy, w województwach Mazowieckiem i Podlaskiem. W tem ostatniem znajdował się w tym czasie oddział Jankowskiego i radziłem mu tam się udać. Ponieważ sam nie mogłem mu dać bliższych wskazówek, odesłałem go do naczelnika intendantury z tem, że tam za okazaniem tej samej karteczki otrzyma wszelkie dalsze potrzebne wskazówki i pomoc. Rozstaliśmy się bardzo serdecznie, jakby najlepsi przyjaciele. Dostał się on rzeczywiście do Jankowskiego. Co się z nim później stało, nie wiem, wiem tylko, że nie zginął [12]).

W parę dni potem zgłosiło się do mnie znowu dwóch młodziutkich oficerów w pełnych mundurach z regularnej armii, nie pamiętam jakiej broni, ale zdaje mi się z pułku strzelców, Szwajcer i Miłkowski i tych tak samo odesłałem do intendantury i na Podlasie. W dwa dni potem znowu dwóch oficerów sztabowych, kapitan Pogorzelski i porucznik Rydzewski, z którymi tak samo postąpiłem. Wszyscy ci czterej oficerowie przebyli szczęśliwie powstanie, walcząc w Podlaskiem i Lubelskiem. Miłkowski po powstaniu osiadł w Galicyi, spotkałem się z nim w latach osiemdziesiątych w miasteczku Bełzie, gdzie miał sklep korzenny [13]). O Szwajcerze wiem tylko tyle, że był na emigracyi, a potem w Galicyi. Rydzewski dosłużył się w powstaniu stopnia pułkownika, potem osiadł w Paryżu i tam przed paru laty umarł. Pogorzelski [14]), bardzo zdolny oficer sztabowy, dosłużył się stopnia pułkownika i był przez jakiś czas w drugiej połowie roku 1863. naczelnikiem wojskowym województwa Lubelskiego. Po powstaniu osiadł w Paryżu, był komisantem księgarskim, dorobił się majątku i zamieszkał stale w Nicei. Spotkałem się z nim w r. 1910. w Rapperswylu, gdzie zwykle przy-

[12]) Zieliński: Bitwy i potyczki, str. 69, wymienia wśród ciężko rannych w bitwie pod Sławetyczami 11. lipca 1863 Lucyana Rowińskiego. (P. R.).
[13]) Por. Chołodecki: Ks. pam., str. 304, pod Miłkowski Aleksander. (P. R.).
[14]) Por. Zieliński l. c. str. 77. (P. R.).

jeżdża z żoną w czasie zebrań Rady muzealnej, dla zobaczenia się z dawnymi przyjaciółmi. Nie widziałem się z nim od r. 1871., t. j. od czasu, gdym wyjechał z Paryża, bardzo więc serdeczne było nasze przywitanie.

Mieszkanie moje, jak powiedziałem, było bardzo na widoku, to częste przychodzenie do mnie wojskowych zwracało uwagę wszystkich mieszkańców kamienicy. Policya narodowa zwróciła także na to uwagę, a że i ja sam uważałem to i za niebezpieczne i za niewłaściwe, zażądałem od naczelnika miasta, żeby zgłaszających się oficerów, odsyłano wprost do intendantury, co i ja zresztą robię. Temu życzeniu stało się zadość.

W pierwszych dniach drugiej połowy kwietnia przybyli do Warszawy dwaj oficerowie z Petersburga, Józef Gałęzowski, kapitan artyleryi i profesor balistyki w Akademii wojennej i Jakób Koziełło Paklewski, kapitan generalnego sztabu wojsk moskiewskich *), poleceni przez agenta Rządu Narodowego w Petersburgu,

*) Józef Gałęzowski, rodem z Ukrainy, był bratankiem Dra Seweryna Gałęzowskiego, znanego dobrze w kraju i na emigracyi powstańca z r. 1831, założyciela i prezesa Rady nadzorczej szkoły polskiej w Paryżu, zwanej szkołą Batignolską, od nazwy dzielnicy paryskiej, w której miała swoje zabudowania. Był on rodzonym bratem sławnego w Paryżu okulisty, Dra Ksawerego Gałęzowskiego. Po ukończeniu nauk szkolnych, zdaje mi się, w Niemirowie, obrał zawód wojskowy. Ukończył chlubnie wojenną Akademię w Petersburgu, oddział artyleryi i jako kapitan tej broni, odznaczający się wielką wiedzą w naukach wojskowych, został mianowany profesorem balistyki w tejże Akademii. Wyniesione z domu rodzicielskiego i tradycyi rodzinnych gorące uczucie patryotyczne, nie pozwoliło mu być bezczynnym wobec toczącej się walki z Moskwą. Porzucił stanowisko, które mogło go doprowadzić do wysokich dostojeństw w służbie cara i przybył do Warszawy, ofiarując swoje usługi i wojskową, ale teoretyczną wiedzę. Liczył on w tej chwili lat 29, charakteru twardego, a nadzwyczaj łagodnego usposobienia, posiadał duszę piękną, czystą i szlachetną; pracownik cichy, spokojny, wytrwały i nad wszelki wyraz sumienny. Wyjeżdżając z Petersburga, zerwał za sobą wszystkie mosty i przyjechał pod nazwiskiem Józefa Gołkowicza. Rząd Narodowy mianował go członkiem wydziału wojny. Po objęciu rządów przez generała Traugutta, gdy Eugeniusz Dembiński musiał opuścić stanowisko, Gałęzowski został dyrektorem wydziału wojny w stopniu wojskowym pułkownika. Na stanowisku tem pozostał do 15. kwietnia 1864 r. Tego dnia opuścił Warszawę, przebrany za palacza na lokomotywie i przez Kraków udał się do Paryża. Tam się zjechaliśmy w miesiącu lipcu 1864 r. Tam też przybyła już w zimie t. r. panna Amelia Karpińska, córka aptekarza z Warszawy. Podejrzana o udział w organizacyi, była aresztowana i zamknięta w cytadeli. Po kilkumiesięcznem więzieniu, gdy jej nic dowieść nie mogli, została uwolniona. Gałęzowski poznał ją jeszcze w Warszawie i pokochał. Panna Amelia zamieszkała w Paryżu w naszym domu. Tu Gałęzowski jej się oświadczył i został przyjęty, a w lipcu 1865 r. pobrali się i zamieszkali razem u stryja Seweryna, który był kawalerem. Stryj wyrobił Gałęzowskiemu miejsce w biurach „Credit foncière de France“ (odpowiadające naszemu Towarzystwu Kredytowemu ziemskiemu), które było założone z inicyatywy Polaka, znanego i wysoce cenionego we Francyi ekonomisty, Ludwika Wołowskiego, rodzonego brata Jana Kantego Wołowskiego, naczelnego Prokuratora Senatu w Warszawie. W instytucyi tej, urządzonej zupełnie na wzór naszego Towarzystwa, pracowało bardzo wielu Polaków. Gałęzowski zdolnościami swemi i su-

BIBLIOTEKA

Józefa Ohryzkę i ofiarowali swoje usługi. Rząd Narodowy czując potrzebę wzmocnienia sił komisyi wojny, zaproponował im, by zostali w Warszawie i weszli do tej komisyi. Zgodzili się chętnie, gdyż obydwaj nie mieli wcale polowego doświadczenia wojskowego, a jako członkowie komisyi wojny mogli być więcej pożytecznymi, jak na polu walki. Rząd chciał im dać zaraz wyższe stopnie wojskowe, ale obadwaj odmówili, gdyż nie położyli jeszcze żadnych zasług.

Jeszcze w początkach kwietnia wichrzycielska działalność Mierosławskiego w Krakowie, zaczęła przenosić się do Warszawy, sprawiając niepokój w organizacyi. Rząd Narodowy na wniosek Stefana Bobrowskiego postanowił przeszkodzić i powstrzymać te

---

mienną pracą prędko się wyniósł nad innych, zjednał sobie szacunek tak kolegów, jak i zwierzchników i został dyrektorem jednego z wydziałów. Dla swej nieposzlakowanej uczciwości, nieskazitelności życia, pełnego zawsze godności narodowej, jako Polak, zajął poważne stanowisko w emigracyi. Po śmierci stryja powołano go na prezesa szkoły polskiej; został także prezesem Towarzystwa humanitarnego „Czci i chleba". Gdy w r. 1888 umarł hr. Władysław Plater, założyciel muzeum Polskiego w Rapperswylu, a do Lwowa doszły wiadomości, grożące przyszłości tej narodowej instytucyi, grono poważnych osobistości, jak członkowie Wydziału krajowego i wielu byłych emigrantów, znających dobrze stosunki muzeum i wogóle emigracyjne, wystosowało list do Józefa Gałęzowskiego, jako członka Rady opiekuńczej, powołanej jeszcze przez hr. Platera, w którym upoważniło go do zbadania sprawy i zarządzenia wszystkiego, co uzna za stosowne, dla zabezpieczenia tej instytucyi, stanowiącej własność narodową. Józef Gałęzowski, opierając się na tem pełnomocnictwie, spełnił to zadanie, zdołał przekonać tak władze szwajcarskie, jak i spadkobierców zmarłego, że instytucya muzeum jest własnością narodu polskiego, a nie osobistą zmarłego; uzupełnił jej Radę Nadzorczą i przez nią został wybrany prezesem. Pod jego też przewodnictwem instytucya ta nietylko się utrzymała, ale zjednała sobie zaufanie narodu i rozwinęła się bardzo pomyślnie. Do tej chwili, t. j. do roku 1910, w którym te słowa piszę, Gałęzowski jest jej prezesem i pracuje dla niej z całem poświęceniem, pomimo bardzo podeszłego już wieku i ciężkiej straty, jaką poniósł w r. 1908 przez śmierć żony. Jedyna ich córka Wiktorya jeszcze przed śmiercią matki wyszła za mąż za Jana Lipkowskiego, inżyniera, obywatela ziemskiego na Ukrainie.

Jakób Koziełło Paklewski pochodził z bardzo możnej i rozgałęzionej rodziny litewskiej. Ukończył także Akademię wojenną i był kapitanem sztabu. W chwili przybycia do Warszawy miał lat dwadzieścia kilka. Był to człowiek zdolny, ale bardzo lekkomyślny, charakteru słabego. Nie pamiętam jego przybranego nazwiska, pod którem mieszkał w Warszawie. Pracował sumiennie, choć powierzonej mu, jako komendantowi, straży bezpieczeństwa, nie umiał utrzymać w ryzach, gdyż energię okazywał więcej w słowach, niż w czynach. Jego podkomendny i zastępca w straży, Paweł Landowski, brał udział w zamachu majowym na Rząd Narodowy.

Gdy generał Romuald Traugutt objął dyktaturę i utworzył nową wojskową organizacyę, mianował go pułkownikiem i naczelnikiem wojennym dwu województw, Augustowskiego i Grodzieńskiego, gdzie przyjął przydomek „Skała", choć ten nie odpowiadał jego charakterowi, który bynajmniej skalistym nie był. Powstanie tam chyliło się już ku upadkowi i Koziełło nie miał już sposobności okazania swoich zdolności. Po zupełnym upadku powstania oddał się sam rządowi moskiewskiemu. Stosunki i wpływy rodzinne sprawiły, że był tylko zesłany na Sybir na mieszkanie. Co się z nim później stało, nie wiem.

działania w samym zawiązku. Dekretem z dnia 7. kwietnia, zabronił formowania kółek i stowarzyszeń politycznych wszelkiego rodzaju, jako rozrywających jedność narodową (Dekret ten znajduje się w T. III., str. 22. Wydawnictwa materyałów do historyi powstania), a przytem polecił komisyi wojny, aby w porozumieniu z naczelnikiem miasta, zajęła się formacyą „Tajnej straży bezpieczeństwa", której zadaniem miało być wykonanie wspomnianego dekretu i strzeżenie tak Rządu, jak i organizacyi od wszelkiego rodzaju zamachów i tajemnych a wrogich porządkowi organizacyi działań, dokonywanie aresztowań i wykonywanie wyroków tak na nieposłusznych rozkazom Rządu Narodowego, jak i na zbyt szkodliwych tajnych działaczach moskiewskich.

Naczelnik miasta formowanie tej straży polecił Lempkemu, znanemu nam już naczelnikowi intendantury, a na naczelnika tej straży przeznaczył niejakiego Pawła Landowskiego, słuchacza wydziału medyczego Szkoły Głównej. Straż ta miała być zorganizowana na sposób wojskowy, lecz komisya wojny nie miała odpowiedniej na to stanowisko osobistości. Teraz, gdy ci dwaj wojskowi wzmocnili siły komisyi, Rząd Narodowy na jej wniosek zamianował Jakóba Kozielłę komendantem placu miasta Warszawy i głównym naczelnikiem straży bezpieczeństwa. Straż podzielono na 4 oddziały, każdy po 50 ludzi.

Po zamachu majowym i ustaleniu się nowego Rządu, straż bezpieczeństwa została rozwiązaną, jako oddzielna instytucya i włączona do organizacyi policyi narodowej, pod rozkazy bezpośrednie naczelnika policyi.

W połowie kwietnia, gdy komisya wojny tak się wzmocniła i gdy okazało się, że filia jej w Krakowie nie oddaje tych usług powstaniu, jakich od niej wymagano, Rząd Narodowy ją rozwiązał, a formowanie i wysyłanie oddziałów z Galicyi na plac boju i całą administracyę tej czynności, powierzył miejscowym władzom narodowym.

Komisya spraw zewnętrznych była połączona z prasą, bo czynności te miał sobie jako członek Rządu powierzone Agaton Giller. Do komisyi tej należały stosunki z obydwoma innymi zaborami, austryackim i pruskim, oraz z emigracyą w Paryżu. Nazywano ją komisyą spraw zewnętrznych, a nie zagranicznych, a to dlatego, że właściwemi działaniami dyplomatycznemi Rząd Narodowy w tym czasie się nie zajmował, żadnej akcyi dyplomatycznej nie prowadził, pomimo, że sprawa polska była już bardzo poważnym przed-

miotem międzynarodowych działań dyplomacyi europejskiej. Pomocnikami Gillera byli Gerwazy Gzowski i Radomiński, a sekretarzem był Gustaw Pawłowski.

Głównem zajęciem było redagowanie pisma „Ruch“ i wydawnictwo biuletynów o stoczonych bitwach, pod tytułem „Wiadomości z placu boju“. Wiadomości te redagował Giller na podstawie raportów otrzymywanych od naczelników wojennych i naczelników oddziałów. Pomieszczano też w nich i ważniejsze nominacye wojskowych, tudzież rozkazy dzienne do wojska, pochodzące od komisyi wojny. Pod zawiadywaniem Gillera pozostawała też drukarnia, którą zarządzał bezpośrednio niejaki Józef Wagner. Był on zarazem współpracownikiem, zdaje mi się „Gazety warszawskiej[15]). Ponieważ wszystkie drukowane wydawnictwa Rządu musiały być opatrywane pieczęcią, więc do tej czynności Giller używał Jana Wernickiego, którego obdarzał szczególnem zaufaniem. Z tego też tytułu Wernickiemu powierzano zwykle pieczęć. Na tem zaufaniu, jak później zobaczymy, Rząd Narodowy, a szczególniej sam Giller źle wyszedł.

Obowiązki sekretarza pełnił Jan Maykowski, członek Rządu. Czynności te jednak były bardzo skromne i Maykowski sam wszystko załatwiał, bez żadnej pomocy specyalnej. Protokołów z posiedzeń nie spisywano żadnych, co jest bardzo naturalnem. Sekretarz odbierał wszystko, co tylko do Rządu przychodziło, na posiedzeniach odczytywał, a każdy z członków odbierał to, co się do spraw, któremi zarządzał odnosiło. Sekretarz też miał obowiązek redagować wszelkie dekreta i postanowienia wprost od Rządu pochodzące, a nie mające cechy specyalnej, wojskowej, skarbowej, administracyjnej i t. d., które redagowano w odpowiednich komisyach.

Taki był ustrój i rozdział czynności i sposób ich załatwiania w samym Rządzie Narodowym i w jego bezpośrednich organach. I tu pisano tylko to, co było koniecznem, co na zewnątrz wyjść musiało na piśmie. W Rządzie tajemnym i w okolicznościach tak niezwykłych pod grozą każdej chwili mogącej nastąpić rewizyi, nie mogło być inaczej. Nie tworzono żadnych archiwów, zbiorów i tego przestrzegano w całej administracyi, tak w Warszawie, jak i na prowincyi. Dlatego też tak mało jest dziś dokumentów, świadczących o działaniu tak Rządu, jak i jego organów. Byli bezwątpienia

[15]) Berg: Zapiski, III. str. 104, pisze, że „Gazety polskiej“. (P. R.).

i tacy, którzy zbierali i przechowywali rozmaite dokumenta, ale zbiory takie dotychczas się nie ujawniły.

Ja w czasie mego urzędowania jako sekretarz przechowywałem najważniejsze rzeczy, n. p. raporta miesięczne wydziału skarbu, składane Rządowi, obejmujące ruch pieniężny funduszów, któremi Rząd bezpośrednio rozporządzał i wiele innych, a umiałem je przechować tak, że jakto powiadają, sam dyabełby się nie domyślił miejsca i sposobu. I rzeczywiście, gdym musiał dom opuścić, dokonana rewizya nic absolutnie nie znalazła. Usunięto je później, jedną część zakopano starannie w szklannych słojach (później stanęła na tem miejscu kamienica, czy przy jej budowie natrafiono na nie, nie wiem), drugą część oddano mi w kilkanaście lat potem, ale w stanie tak opłakanym, że prawie zupełnie zmarniały, przechowane w wilgoci, przegniły, małą tylko część można było odczytać, a te przepisane znajdują się w zbiorach w Rapperswylu; kilka mam u siebie, tylko jako pamiątki bezużyteczne.

Nie pamiętam dobrze, którego dnia, ale w każdym razie w samym końcu marca, albo 1. kwietnia Giller wprowadził na posiedzenie młodego człowieka, lat dwudziestu kilku, bardzo sympatycznej powierzchowności i przedstawił jako Hieronima Kiniewicza, inżyniera, który przyjeżdża z Wilna dla porozumienia się w pewnej ważnej sprawie. Ten w krótkości zakomunikował, że w Kazaniu uformował się spisek z Polaków i wolnomyślnych Rosyan, mający zamiar wywołania w tamtych stronach powstania ludowego. Że agitacya jest przeprowadzona systematycznie i że w końcu kwietnia zaczną się działania stanowcze. Że o tem uwiadomiony jest komitet wileński, który przyrzekł poparcie. Tego samego poparcia żądał i od Rządu. Bliższych szczegółów udzielić nie może, lecz zapewnia, że rzecz jest poważna, i jeżeli się uda, to musi przynieść powstaniu wielkie korzyści, bo ruch ten w samem centrum państwa, może być początkiem wielkiego zamętu w Rosyi, a przez to samo być bardzo powstaniu pomocnym. Komunikat ten przyjęliśmy do wiadomości, przyznając w zupełności ważność sprawy; przyrzekliśmy poparcie, które na razie ograniczyło się do pieniężnej pomocy. W jakiej wysokości tej mu udzielono, nie pamiętam. Żeby do tej sprawy więcej nie powracać, tu ją streszczę. Zamiarem spisku było wywołać powstanie ludowe w guberniach: Kazańskiej, Permskiej i Wiatskiej. Agitacya była prowadzona na podstawie fałszywego manifestu cara, obiecującego zniesienie poddaństwa, zupełną wolność religijną, zniesienie powinności wojsko-

wej i podatków na wojsko. Car w tym manifeście odzywał się, że kto sprzeciwia się naszej monarszej woli, jest wrogiem naszym, jeżeliby wojsko lub kto inny opierał się woli naszej, powinniście powstać w obronie wolności i t. d. Był to dobry lep na lud tamtejszy, który też zupełnie mu uwierzył. W końcu kwietnia rozpoczęto rozrzucać ten manifest. Rząd wpadł na trop spisku, aresztowano parę osób, jeden z uwięzionych, Orłow, wyśpiewał nazwiska wszystkich agitatorów, a między innymi i Hieronima Kiniewicza, który był kierownikem spisku. Rozstrzelano go wraz z innymi w Kazaniu d. 18. czerwca 1863 r.

Wiemy z poprzedniego opowiadania (Tom. I., cz. 3.), że w miesiącu sierpniu 1862 r. aresztowano w Warszawie Jarosława Dąbrowskiego, członka Komitetu Centralnego. Żeby zrozumieć dobrze wypadek, który teraz mam opisać, musimy sobie dobrze uprzytomnić jego charakter, jego śmiałość, stanowczość w przedsięwzięciach, nawet fantastycznych i odwagę nie liczącą się wcale z niebezpieczeństwem. Ten Jarosław Dąbrowski siedział jeszcze w tym czasie w cytadeli. Jakoś w ostatnich dniach marca odebraliśmy od niego przez pośrednictwo jego wówczas jeszcze narzeczonej, panny Pelagii Zgliszczyńskiej, karteczkę, w której zażądał przysłania mu mapy północno-zachodnich okolic Warszawy i planu ogólnego, choćby szkicowego wnętrza cytadeli. Przeczuwaliśmy, że w głowie jego musiał powstać szalony zamiar. W parę dni potem żądane plany tą samą przesłaliśmy drogą. W parę dni znowu potem, a mogło to być 1. lub 2. kwietnia przez tę samą pannę Pelagię otrzymaliśmy karteczkę z uwiadomieniem, że on w cytadeli zawiązał spisek w porozumieniu z siedzącym obok niego Bronisławem Szwarcem, człowiekiem również jak on odważnym i zdeterminowanym, a aresztowanym, jak wiemy także z poprzedniego opowiadania, w ostatnich dniach 1862 r., celem ucieczki z więzienia i to nie tylko ich dwóch, ale i wszystkich znajdujących się więźniów, a może nawet opanowania cytadeli. Że plan swój mają zamiar wykonać w nocy z 11. na 12. kwietnia, t. j. w nocy z Wielkiej Soboty na pierwszy dzień Wielkiejnocy, według kalendarza prawosławnego i żądał przysłania mu rewolweru, a przedewszystkiem, żeby Rząd Narodowy dał rozkaz oddziałowi blizko Warszawy działającemu, żeby w dniu 11. kwietnia zbliżył się do Warszawy, w okolice między Bielanami a gościńcem bitym, idącym z Warszawy przez Błonie do Sochaczewa i żeby oddział ten w nocy z 11. na 12. zajął pozycyę jak najbliżej cytadeli w tym klinie. Wiado-

mością tą byliśmy więcej niż zdumieni. Tylko Jarosław Dąbrowski mógł taką, już nie śmiałą, ale zuchwałą myśl powziąć. Wezwaliśmy zaraz na naradę członków komisyi wojny Kaczkowskiego i Gralewskiego. Po rozpatrzeniu tego szalonego projektu przyszliśmy do przekonania, że chociażby nie udało się Dąbrowskiemu opanować cytadeli, to ucieczka choć części więźniów i Dąbrowskiego i Szwarcego może się udać i że pozyskanie dla powstania tak dzielnego oficera byłoby bardzo pożądanem. Zrozumieliśmy, dlaczego wybrał tę noc przed Wielkanocą prawosławną. Spodziewał się pewnego rozluźnienia czujności, opierając się na zwyczaju powszechnego upijania się Moskali w tym dniu. Rozważywszy to, postanowiliśmy spełnić żądanie Dąbrowskiego *).

Trudność pewna była z wyborem oddziału. Najbliższe oddziały były w Podlaskiem, o kilkanaście mil oddalone, podobnie i oddziały w województwie Mazowieckiem. Ale w końcu miesiąca marca, Rząd na wniosek komisyi wojny rozpoczął formacyę oddziału pod samą Warszawą, w lasach do puszczy Kampinoskiej należących, złożonego prawie wyłącznie z samej młodzieży warszawskiej. Naczelnikiem tego oddziału we formacyi był Walery Remiszewski, kapitan z wojska moskiewskiego, mianowany teraz majorem. Na wniosek Kaczkowskiego, Rząd postanowił przyspieszyć formacyę tego oddziału i użyć go jako pomoc dla Dąbrowskiego. Ułożono więc zaraz, że oddział ten ma się powoli posunąć ku lasom Zaborowskim, odległym do 2 mil od Warszawy tak, żeby tam stanął d. 11. w sobotę, a w nocy posunął silny rekonesans ile można najbliżej Warszawy ku Wawrzyszewu. Rekonesans ten jednak o świcie, jeżeli nic ważnego nie znajdzie, ma wrócić do oddziału głównego.

Wiadomość o tem i żądany rewolwer, przesłano Dąbrowskiemu

*) Dr. Jan Stella Sawicki, b. podpułkownik moskiewskiego sztabu, w swoich „Szkicach z powstania 1863“ poświęcił jeden z nich wspomnieniu o Jarosławie Dąbrowskim i opisuje ten jego zamiar ucieczki z Cytadeli, opierając się na własnem jego opowiadaniu i o samym planie, tak się wyraża: „Zastanawiając się nad tym planem, nie można go nazwać szaleństwem, historya bowiem wszystkich czasów przekonywa, że najdziwaczniejsze pomysły, udawały się nieraz, właśnie dlatego, że nikt się ich nie spodziewał, nikt nie mógł przewidzieć. Owszem najmocniej wierzymy, że gdyby ten plan, dobrze obmyślany, został uskuteczniony, udałby się niechybnie i pozwoliłby w historyi naszej dopisać jeszcze jedną krwawą, lecz świetną kartę“.

W opowiadaniu swojem autor myli się, powiadając, że oddział, który miał wspomagać Dąbrowskiego, po jego ucieczce został przez Moskali rozbity, jeszcze przed Wielkanocą, bo bitwa z tym oddziałem miała miejsce pod Budą Zaborowską dnia 14. kwietnia, t. j. dopiero w trzecie święto Wielkanocy, a zamach miał być wykonany w nocy z 11. na 12. kwietnia.

przez tę samą P. Zgliszczyńską. Tego samego jeszcze dnia przesłano Remiszewskiemu odpowiednie rozkazy, a działo się to 4. lub 5. kwietnia. Oddział Remiszewskiego miał więc zaledwie tydzień czasu, do ukończenia formacyi i jakiego takiego wyćwiczenia się wojskowego. Liczył on około 250 ludzi, uzbrojonych w połowie w kosy, a zresztą w broń palną, dubeltówki, a znalazła się tam i jakaś ilość karabinów moskiewskich, było i kilkanaście koni. Ubiór stanowiły szare kurtki i czerwone krakuski. Policyi narodowej polecono, żeby pilnie baczyła na to, co się dzieje w cytadeli.

Ważna to była sprawa, która pomyślnym uwieńczona skutkiem, mogła silny a korzystny wpływ wywrzeć na powstanie, z niepokojem też pewnym oczekiwaliśmy jej rozwiązania. W sobotę 11. rano przyszedł raport od Remiszewskiego, że już stanął w lasach około Budy Zaborowskiej.

W niedzielę rano policya narodowa złożyła raport, że w cytadeli spokojnie, że jednak w nocy z rozkazu komendanta fortecy, wzmocniono czujność, powiększono warty i posterunki, które sam komendant parę razy w nocy obchodził.

Raport ten niepomyślny wyraźnie mówił, że cała akcya Dąbrowskiego nie przyszła do skutku, ale czy była zaniechaną zupełnie, czy tylko odroczoną, nie wiedzieliśmy. Z jakich powodów owa czujność i ostrożność były przedsięwzięte, czy to było skutkiem jakichś wieści, czy też może dowiedzieli się o oddziale Remiszewskiego i obawiali się jakiegoś napadu, pytania te nie miały odpowiedzi.

Dopiero późnym wieczorem panna Pelagia, zawiadomiła nas, że z powodu obudzonej a niezwykłej czujności, nie można było nic przedsięwziąć i że to, co miało być, odroczono do innej przyjaźniejszej chwili. Nazajutrz w poniedziałek 13. marca wysłano Remiszewskiemu rozkaz, żeby się cofnął głębiej w lasy Kampinowskie, w ciągu zaś dnia ajent wojskowy Szlenkier, przyniósł wiadomość, że ze sztabu głównego wydano rozkaz jenerałowi Krüdenerowi, żeby wziąwszy takie a takie wojska, przejrzał lasy Kampinowskie, gdyż tam według otrzymanych wiadomości, mają się ukrywać powstańcy. Wysłaliśmy też z komisyi wojny drugiego posłańca do Remiszewskiego z zawiadomieniem o tem i rozkazem, żeby się miał na baczności. Czy Remiszewski otrzymał te rozkazy — nie wiem. Dość na tem, że we wtorek 14. kwietnia o świcie, Remiszewski został zaatakowany przez przeważające siły moskiewskie, liczące do 500 ludzi piechoty i kawaleryi w części lasu zwa-

nej Budy Zaborowskie. Żołnierz młody, pierwszy raz będący w bitwie, nie wytrzymał ataku i rozprószył się. Remiszewski zaraz z początku zginął. Moskale swoim zwyczajem, ścigając rozprószonych — mordowali. Zginęło tu około 50 ludzi, a prawie drugie tyle wzięto do niewoli, ale i tychby wymordowano, lecz Krüdener wstrzymał, bo chciał mieć jeńców. Mieszkańcy Warszawy dowiedzieli się o tej bitwie dopiero, gdy Krüdener przez Aleje Jerozolimskie i Nowy Świat wracał jako tryumfator, hucznie z muzyką i śpiewami, prowadząc między szeregami owych czterdziestu kilku jeńców, pomiędzy którymi wielu było rannych. Kozacy pozaczepiali na pikach chorągiewki tych kilkunastu ułanów, co byli w oddziale i krakuski pomordowanych. Jęk i płacz towarzyszył temu tryumfalnemu pochodowi *).

Tak się skończyła ta bardzo smutna sprawa. Żal był ogromny w Warszawie, bo to przeważnie jej młodzież. Wiele też złorzeczenia spadło na głowy Rządu.

Wymieniłem pobudki, jakie nas do przychylenia się ku żądaniom Dąbrowskiego skłoniły. Zrobiliśmy też wszystko, co było w naszej mocy, żeby oddział ocalić. Rozbitki powracający do miasta, opowiadali, że ich wódz Remiszewski był tego dnia bardzo chory ,cierpiał taki ból głowy, że prawie od przytomności odchodził, że nie mogąc się ruszyć prawie, siadł na pieńku i w tej pozycyi siedzącego Moskale zamordowali.

Dnia 12. kwietnia, t. j. w pierwsze święto prawosławne Wielkiejnocy „Dziennik powszechny“ w nadzwyczajnem wydaniu, ogłosił telegram otrzymany z Petersburga, że car raczył najmiłościwiej udzielić wszystkim biorącym udział w powstaniu amnestyę,

---

*) Zieliński str. 29. (P. R.).

Autor „Dziejów 1863 r.“, Tom II. str. 455 i następne, opisuje szeroko ten wypadek, ale jak zawsze fantastycznie i nie prawdziwie. Opowiadanie swoje opiera na relacyi pisemnej Edwarda Siwińskiego, członka Rządu, ale Siwiński w tym czasie nie był jeszcze członkiem, bo został nim dopiero w samym końcu kwietnia, więc sprawę tę mógł znać tylko z opowiadania i to późniejszego, może nawet dopiero na emigracyi mógł się dowiedzieć, bo wobec nawału pracy mnożących się spraw nowych, nie mieliby czasu do reminiscencyi i opowiadań wypadków przeszłych.

Autor niewłaściwie nazywa ten oddział „Dzieci Warszawskie“. Składał się on przeważnie z młodzieży Warszawy, ale oddział, który nazwano „Dzieci warszawskie“, sformował się o wiele później, bo w lipcu, a dowódzcą ich był Żychliński. Opowiadanie o ostrożnościach, przedsiębranych przez Moskali w mieście, o otoczeniu całej Warszawy patrolami kozackiemi — o wywożeniu powstańców, mających sformować oddział Remiszewskiego, w zamkniętych wagonach i t. p., są to wszystko bajki, mające źródło we fantazyi tak ich autora, jak i relatora Siwińskiego.

oznaczając termin prekluzyjny do złożenia broni i zaprzestania wszelkich działań rewolucyjnych do dnia 13. maja. Jednocześnie car zatwierdził wszystkie dane dotąd instytucye i obiecywał dalsze w przyszłości.

Akt ten carski nie był bynajmniej wypływem szczególniejszej łaski i miłości dla Polaków, ale był podyktowany względami na zewnętrzną politykę, gdyż akcya dyplomatyczna mocarstw zachodnich, a szczególniej Anglii i Francyi, w coraz ostrzejszym tonie nastawała na Rosyę w sprawie polskiej i widmo wojny stawało się dla Rosyi coraz groźniejszem. Ogłoszeniem amnestyi chciał więc car zaszachować mocarstwa w ich działaniu.

Rząd Narodowy, jakkolwiek w tym czasie faktycznie nie brał żadnego udziału w całej akcyi dyplomatycznej, a zajmował się nią pobieżnie o tyle tylko, żeby wiedzieć, co się w świecie dyplomatycznym dzieje, zrozumiał jednak doskonale, że car tym aktem amnestyi, chce mocarstwom wytrącić z ręki broń i pozbawić ich motywu do dalszej akcyi, chce stwierdzić, że sprawa polska jest sprawą wewnętrzną państwa i że on sam chce ją załatwić.

Rząd carski postanowił na ten akt rzekomej łaski carskiej natychmiast odpowiedzieć i tego samego jeszcze dnia ogłosił ze swej strony odezwę następującej treści:

„Komitet Centralny, jako Rząd Narodowy.

„Dziennik Powszechny“ w dniu dzisiejszym ogłosił przysłaną telegramem z Petersburga amnestyę:

Zatwierdzenie nadanych dotychczas instytucyi i rozwinięcie ich w przyszłości, w czasie i w sposób, jaki cesarz Aleksander II. za właściwe uzna.

Każdy Polak wie dobrze, jaką ufność pokładać należy w amnestyi i wogóle we wszelkich obietnicach moskiewskiego rządu; aby się jednak nikt nie łudził daremnie, oświadczamy, że wszelkie łaski odrzucamy, rozpoczęliśmy bowiem walkę nie dla pozyskania mniej lub więcej swobodnych instytucyi, które przy rządzie moskiewskim nigdy i żadnej nie przedstawiają rękojmi, ale dla zrzucenia nienawistnego nam jarzma, dla wywalczenia zupełnej niezależności i swobody.

Naród krew przelewa, bo chce politycznego bytu, bo chce niepodległości, chce być samoistnym narodem. W kim tylko bije prawdziwie polskie serce, ten na wspomnienie tylu okrucieństw moskiewskiego rządu, na widok tylu świeżych mogił i tylu ofiar.

na widok dymiących się zgliszczów miast i siół naszych, niezastygłej jeszcze krwi pomordowanych braci naszych, wzdrygnie się na myśl jakiegokolwiek paktu z Moskwą — amnestyę odrzuci ze wzgardą i z całym narodem zawoła: precz z carskimi łaskami, chwyciliśmy za oręż, oręż jedynie, spór nasz z Moskwą rozstrzygnie.

Warszawa, dnia 12. kwietnia 1863 r. (L. S.).“

Odezwa ta została przyjęta przez wszystkie sfery społeczeństwa, bo trafiała w myśl, serce i duszę narodu, była wyrazem jak najgorętszych pragnień.

Wspomniałem już wyżej o odezwie wydanej tego samego dnia 12. kwietnia do wojskowych, by opuszczali szeregi moskiewskie i łączyli się z powstaniem. Odezwę tę starano się rozszerzyć w całym kraju, doręczono ją oficerom przez pocztę. Wywarła ona skutek, lecz nie w takich rozmiarach, jak się spodziewano. Wielu oficerom zgłaszającym się, pozwalano pozostać w służbie, szczególniej oficerom, służącym w sztabach i w biurach wojskowych, gdyż oni sami ofiarowali się i tak służyć powstaniu, przez dostarczanie potrzebnych wiadomości i to nie tylko w Warszawie, ale i na prowincyi.

Komisya wojny z raportów dowódców oddziałów i naczelników województw, powzięła wiadomość, że do oddziałów zaczynają się przyłączać kobiety, bynajmniej nie dla brania udziału wojskowego, lecz dla innych celów, że działają demoralizująco na żołnierzy, że w wojsku pokazują się choroby zaraźliwe, niszczące zdrowie i siły, że są dowódcy, którzy nie tylko zachowują się wobec tego obojętnie, ale nawet tolerują. Rząd Narodowy na wniosek komisyi wydał dnia 10. kwietnia dekret, zakazujący pod najsurowszą odpowiedzialnością przebywania kobietom w oddziałach, że dopuszczalne być mogą tylko w charakterze markietanek, lecz że niemi mogą być tylko żony żołnierzy w oddziałach służących.

Dnia 9. albo 10. kwietnia, gdyśmy się zebrali na posiedzenie, Stefan Bobrowski zażądał urlopu na dni parę, gdyż musi jechać do Wrocławia, dla widzenia się z jednym z członków rodziny, który go tam oczekuje. Prosiliśmy go, że jeżeli tylko może, żeby tę podróż odłożył na dni parę, gdyż chwila jest bardzo ważna z powodu owych zamiarów Dąbrowskiego, że mogą nastąpić wypadki, które wymagać będą największego skupienia czujności i rozwagi i że jego obecność będzie niezbędną. Bobrowski zapewniał, że za trzy lub cztery dni wróci, a odkładać wyjazdu absolutnie

nie może, gdyż sprawy, które ma załatwić nie cierpią zwłoki. W tak stanowczej zresztą formie żądanie swoje stawiał, że musieliśmy się zgodzić. W tem naleganiu brał także udział i Giller. Nie przeczuwaliśmy zupełnie nic złego, wierzyliśmy zapewnieniom Stefana i nie żądaliśmy żadnych rękojmi, bo słowo jego zapewniające o powrocie niedługim, zupełnie nam wystarczało. Bobrowski zawiadomił nas, że na czas swej niebytności, sprawować będzie obowiązki naczelnika miasta jego dotychczasowy zastępca Tytus Zienkowicz. Że polecił mu składać raporta o sprawach miejskich jednemu z członków Rządu i zaproponował, żeby Rząd delegował do tego mnie. Życzeniu temu stało się zadość. Tego samego jeszcze dnia przysłał do mnie Zienkowicza, umówiłem się z nim, że codziennie rano o godzinie 10. będzie przychodził do mnie na konferencyę.

O zamierzonym pojedynku Stefana z Adamem Grabowskim absolutnie nie wiedzieliśmy, bo o tem ani Stefan ani Giller zupełnie nic nie wspominali, zdając nam sprawę z czynności swoich w Krakowie, po moim stamtąd wyjeździe mówili tylko o złożonym sądzie na Grabowskiego, z powodu jego udziału w dyktaturze Langiewicza.

Było to jednak obowiązkiem Gillera, o tem nas uwiadomić, jeźli nie wówczas, to teraz, gdy wiedząc doskonale o tym zamierzonym pojedynku, bo wyzwanie przez Grabowskiego stało się za jego bytności w Krakowie, mógł się łatwo domyśleć, że powodem tak nagłego wyjazdu Stefana, jest ten właśnie pojedynek. Giller w swojej historyi powstania, mówiąc o tej sprawie w każdym razie bardzo ważnej, tylko okolicznościowo w T. I., str. 43., 44. i 45. powiada tam, że na tem naszem posiedzeniu Rządu, żądał od Stefana „słowo honoru“ na to, że powróci. Nie mogę stanowczo orzec, czy to żądanie Giller uczynił, bo nie pamiętam, ale przekonanie wewnętrzne, każe mi temu zaprzeczyć, bo żądanie „słowa honoru“ na powrót, od człowieka, który jedzie na pojedynek, byłoby najwyższą obłudą, gdyż o pojedynku Giller wiedział. Co skłoniło Gillera do podnoszenia tego szczegółu, żądania „słowa honoru“ nie wiem. Taksamo nie wiem, jakie pobudki kierowały Gillerem, że na tem posiedzeniu zamilczał o pojedynku. Nie chcę wysuwać moich przypuszczeń, opartych na dokładnej znajomości stosunku obu tych ludzi do siebie. Była to rzecz jego sumienia. Giller dziś nie żyje, więc sprawa jest skończona, zamknięta. Muszę tu jednak nadmienić, że Giller o tej sprawie mówić nie lubił, nie

chciał, a zapytywany wywijał się ogólnikami lub zagadywał inną sprawą.

Nie zrozumiałem jest dla mnie zupełnie to, co Jan Maykowski notuje, mówiąc o Bobrowskim (Pamiętnik Jana Maykowskiego, członka Komitetu Centralnego i t. d. Lwów 1909., nakładem „Słowa Polskiego", str. 28): „zginął z ręki Grabowskiego, w pojedynku odbytym w Poznańskiem. Gdyśmy usiłowali niedopuścić do tego, używając nawet rozkazu, jako członkowie Rządu Narodowego, nie chciał ustąpić i wziąwszy na bok mnie i Awejdę, powiedział: „Jeżeli zginę wina spadnie na Agatona Gillera, on to bowiem w Krakowie stał się przyczyną, że musi przyjść do pojedynku". Wogóle pamiętnik Maykowskiego jest bezładną gmatwaniną wypadków, świadczącą, że pisał go, nie będąc już zupełnie panem myśli swoich. Świadczy o tem, że nie pamięta, kiedy wstąpił do komitetu i podaje grudzień 1862., powiada, że tak on, jak i ja, weszliśmy do komitetu w miejsce Szwarcego i Dąbrowskiego, kiedy faktycznie komitet cały się rozwiązał, a Dąbrowski już w sierpniu 1862 .roku był uwięziony. Dalej podaje plan Dąbrowskiego o wzięciu Modlina, jako podany w grudniu, kiedy to było w styczniu przed samym poborem i żeśmy termin powstania oznaczyli na 23. marca, a myśmy wówczas nic o terminie nie myśleli i t. p. pomieszane, poprzestawiane sprawy, wogóle pamiętnik ten dlatego ma nadzwyczaj małą wartość, a podane w nim wiadomości, trzeba przyjmować bardzo krytycznie.

Ja twierdzę z całą stanowczością, bo dokładnie to pamiętam, a wypadek był zbyt ważny, żeby okoliczności towarzyszące nie pozostały żywo w pamięci, że o pojedynku nie było wcale mowy, a jedynym motywem podanym przez Stefana były sprawy rodzinne. Motyw ten podaje sam Giller w powołanym wyżej artykule swoim. Uciekanie się aż do rozkazu, jak powiada Maykowski, było zupełnie zbytecznem, jak i żądanie Gillera „słowa honoru", bo co najmniej mogło być wypływem przypuszczenia zamierzonej ucieczki. Maykowskiemu najwyraźniej pomieszały się w pamięci wspomnienia. W rozważaniu tej sprawy na posiedzeniu, na którem otrzymaliśmy wiadomość o pojedynku i śmierci Stefana, mówiliśmy, że gdybyśmy byli wiedzieli o celu zamierzonej podróży, moglibyśmy mu wprost z powagi Rządu zakazać pojedynku. Maykowski przeniósł to na posiedzenie, na którem Stefan żądał urlopu. Że o pojedynku mowy nie było, dowodzi i to, co Maykowski sam mówi, że Stefan wziąwszy jego i Awejdego na bok, powiedział przytoczone wyżej

słowa: „że jeżeli zginę wina spadnie na Gillera". Jeżeliby to była prawda, to oni obydwaj t. j. Maykowski i Awejde, ciężko zawiniliby, że nam tego poufnego zwierzenia Stefana zaraz nie zakomunikowali. Ale i to poufne zwierzenie się Stefana nie jest prawdą, jest tylko wynikiem pomieszania się wspomnień. Maykowskiemu utkwiło w pamięci, że gdyśmy później, poznawszy bliżej genezę tej sprawy pojedynkowej, robili Gillerowi wyrzuty, że on jest winien śmierci Stefana, czego Giller broniąc się, stanowczo się wypierał, twierdząc, że on wprawdzie wiedział o wyzwaniu, ale nie wiedział o wyniku sądu, któremu tę sprawę oddano. Maykowski to obwinianie przez nas Gillera, włożył w usta samego Stefana *).

Sprawa ta pojedynku i śmierci Stefana Bobrowskiego jest bardzo ważna, bo nie tylko że zginął jeden z najdzielniejszych, z najwięcej oddanych sprawie ludzi, ale śmierć jego wpłynęła szkodliwie na rozwój dalszych wypadków, a w znacznej mierze była jednem ze źródeł zamachu majowego. W tem, co dotąd o tej sprawie pisano — jest ona traktowana pobieżnia. Była ona epilogiem spisku, z którego powstała dyktatura Langiewicza. Znając ją dokładnie, muszę ją wszechstronnie oświetlić.

Muszę się zwrócić do wypadków zaszłych po upadku dyktatury Langiewicza w Krakowie i opowiedzieć genezę owego pojedynku, którego ofiarą padł Stefan Bobrowski. Wiemy, że Rząd otrzymawszy wiadomość o ogłoszeniu się Langiewicza dyktatorem, wysłał Gillera i mnie w specyalnej misyi do Krakowa; że gdy po naszym wyjeździe, Rząd odebrał raport Wojciecha Biechońskiego z wiadomością o całej uknutej intrydze, z której wynikła dyktatura, wysłał znowu do Krakowa Stefana Bobrowskiego z listem do dyktatora i poleceniem dotarcia do niego i osobistego wręczenia mu tegc listu. List ten zredagował sam Bobrowski i w nim bez żadnych osłonek, przedstawił ową niecną intrygę, nie szczędząc jej autorów, a przedewszystkiem Grabowskiego Adama. Wiemy, że przybywszy do Krakowa, zastał już Langiewicza uwię-

*) W wydawnictwie materyałów do Historyi powstania 1863—4. w tomie IV., jest artykuł „Wspomnienia z czasów młodości" Tomasza Burzyńskiego, jednego z Wydziałowych Warszawy. — Pisze on o tej sprawie bardzo lakonicznie, a na str. 190 jest ustęp: „Zawiadomiony o wyroku sądu honorowego Bobrowski, postanowił jechać do Krakowa i stanąć. Starałem się odwieść go od powziętego zamiaru, tłumacząc, że osobiste sprawy, z obowiązku należałoby odłożyć do spokojniejszego czasu: upierał się przy wyjeździe". Autor jest wiarogodny. Widać z tego, że Bobrowski zwierzył mu się. Ale dlaczego przed nami się ukrywał? Czuł może, że my moglibyśmy mu, jako Rząd, mający do tego prawo, wprost zakazać.

zionego na Zamku w Krakowie. Listu przeznaczonego dla Langiewicza nie mógł mu już naturalnie oddać, ale oddał go generałowi Wysockiemu.

Generał Wysocki, który, jak wiemy, od samego początku miał pewne wątpliwości, co do prawdziwości charakteru, w jakim Grabowski występował i co do rzekomo powierzonej mu misyi, musiał ten list dawać czytać różnym osobom, bo o jego treści dowiedział się także Grabowski i to miało być pierwszą przyczyną jego niechęci ku Bobrowskiemu. Ja powróciłem do Warszawy, a Bobrowski i Giller pozostali dla zdemaskowania intrygi Grabowskiego. I rzeczywiście tak się stało. Giller wyraźnie (Hist. Powst. T. I., str. 43. i 44.) o tem pisze i powiada dalej, że na tem posiedzeniu sądu, Bobrowski nie podał rękę Grabowskiemu. To miał być drugi powód decydujący o wyzwaniu Bobrowskiego na pojedynek. To jest fakt stwierdzony. Jest jednak wersya, której autentyczności sprawdzić nie mogłem, którą jednak z wielu ust słyszałem opowiadaną jako pewnik, że przed tą sesyą Bobrowski i Giller umówili się, że Grabowskiemu ręki nie podadzą, że Bobrowski tego zobowiązania wzajemnego dotrzymał, a Giller wyciągniętą do uścisku rękę Grabowskiego przyjął. Wspomniany już parę razy przezmnie Łukaszewski, w dziele swoim „Zabór Pruski“ str. 289. o tem mówi: „Tu podobno miał nastąpić epizod podania ręki przez G. (Gillera), a odrzucenie jej przez B. (Bobrowskiego)“. Nadmieniam, że Łukaszewski w tym czasie bawił w Krakowie i podał to, co sam słyszał. Jak powiedziałem, ścisłej autentyczności tej wersyi sprawdzić nie mogłem, więc zastanawiać się nad nią więcej nie będę. Dodam tylko, że wersya ta o zerwaniu umowy i podaniu przez Gillera ręki Grabowskiemu, mogła mieć źródło w tej wielkiej i ogólnej niechęci, jaką Giller wywołał ku sobie swojem w Krakowie postępowaniem, o czem wyżej w dopisku (str. 376.) mówiłem.

To, co o genezie pojedynku powiedziałem, stwierdza niezbicie fakt, że Giller o wyzwaniu Bobrowskiego na pojedynek wiedział. Jeżeli Bobrowski o tem zamilczał, to obowiązkiem Gillera było zawiadomić o tem Rząd Narodowy, jeżeli nie zaraz, to po powrocie z Krakowa, to teraz, gdy Bobrowski zażądał urlopu, pozorując wyjazd sprawami rodzinnemi. Giller później tłumaczył się, że o zapadłym wyroku nie wiedział. Czy tłumaczenie się to było prawdziwem? — odpowiedzieć na to nie mogę, bo nie mam autentycznych danych. Zważywszy jednak na stosunki, jakie Gillera łączyły z Krakowem, mam głębokie przekonanie, że Giller nie mówił prawdy.

Giller zostawał w ciągłych i przyjaznych stosunkach z Chrzanowskim, redaktorem „Czasu“ krakowskiego, zostawał z nim w ciągłej korespondencyi, tak prywatnej, jak i jako korespondent z Warszawy. Jest wprost nieprawdopodobnem, żeby Chrzanowski, który był tak mocno zaangażowany, jak już wiemy, w intrydze dyktatoryalnej i któremu musiało zależeć na tem, żeby sprawa ta nie była należycie wyświetloną, nie powiadamiał Gillera, który także maczał w niej ręce, o przebiegu sądu nad Grabowskim. Ta sprawa sądu była zresztą bardzo głośną w Krakowie. Te okoliczności dają mi przekonanie, że Giller wiedział o wyroku, który uznał pojedynek za niezbędny.

Przebieg tej sprawy opisuje Łukaszewski w swojem dziele: „Zabór Pruski“, str. 288. i 289. Przytaczam ten ustęp w całości, jako dalszy ciąg cytaty podanej w dopisku na st. 370.: „Wskutek w zwyż wzmiankowanego memoryału rządowego do Langiewicza, puszczonego w kurs publiczny niewiadomym sposobem, S. Gr. (pomyłka, powinno być A. Gr., t. j. Adam Grabowski) ów główny flecista w kabale dyktatoryalnej czuł się obrażonym na honorze (!) i zażądał satysfakcyi.

B. mógł bezpiecznie odrzucić wszelkie usprawiedliwienie się, boć to był akt urzędowy, ale powodowany bezstronną szlachetnością, oddał tę sprawę sądowi polubownemu. Pierwszy pod prezydencyą generała K. (Kruszewskiego) uznał się za niekompetentny, aby mógł czynności rządowe roztrząsać. Tu podobno miał nastąpić epizod podania ręki przez G. (Gillera), a odrzucenie jej przez B. (Bobrowskiego). Sfabrykowano sąd drugi; rozpoczęto intrygi i wyszło nareszcie na to, że wyrok zapadł: konieczność pojedynku. W czasach, kiedy się ważyły losy całego narodu, ludzie poważni wiekiem, urzędem, stanowiskiem, debatowali nad tem, czy za niepodanie ręki, jeden drugiego zabić powinien! „Horibile dictu“ Stefan oddał całą sprawę Kazimierzowi Kr. (Krasicki hrabia) z Poznańskiego, sekundantowi, a serdecznemu swemu przyjacielowi, bo sam musiał wracać do Warszawy. P. Kr. (Pan Krasicki) tak wybornie zrozumiał położenie rzeczy, tak pięknie odpłacił się za przyjaźń i zaufanie, tak ślicznie się ze wszystkiem ułatwił, iż wkrótce Stefanowi doniósł, żeby czemprędzej na oznaczony termin w Poznańskie przybył, ponieważ pojedynek i to ze względu na oczy Stefana zapewne, na pistolety, wybrano“.

Pojedynek odbył się d. 12. kwietnia pod Rawiczem, w lesie Łączyńskim. Grabowski strzelał doskonale, celował i trafił w samo

serce — nieszczęsny Bobrowski padł na miejscu. Łukaszewski pisze dalej: „Trzeba wiedzieć, że B. na trzy zaledwie kroki, potrafił rozróżnić jedną osobę od drugiej, tak osłabiony miał wzrok, niech to posłuży za ilustracyę do tego niecnego niby pojedynku pistoletowego. Jeżeli wogóle zmazanie hańby lub obelgi w naszem stuleciu, przez poranienie lub śmierć jest anachronizmem barbarzyńskim, to pojedynek w takich okolicznościach i z takim człowiekiem, jak B. był poprostu wyrafinowanem morderstwem. Nie cofam wyrazu, dodam jeszcze, że nie tyle przeciwnik, co własny sekundant i przyjaciel B. (Bobrowskiego) zasłużył wobec sądu historyi i własnego sumienia, na wyrok wiekuistego potępienia. Cały ten wypadek tyle mieści w sobie potwornej zbrodni, że pióro wypada z drżącej od oburzenia ręki, a myśl ze wstrętem odwraca się od zagłębiania się w tę ciemnię występku. O! biada narodowi, który obojętnie patrzy na zabójstwa swych bohaterów, przewodników! Po trzykroć biada tym, którzy przyczynili się do ich zagłady! Cześć pamięci Stefana B., gdy inni ginęli z rąk tłuszczy moskiewskiej, on jeden poniósł śmierć od własnych rodaków i to wedle wszelkich form usankcyonowanych, przez dobrze i wysoko urodzonych.

Przytoczyłem ten ustęp w całości bez żadnych opuszczeń, bo odzwierciedla te same uczucia, które nas przejmowały, gdyśmy się nad hiobową wieścią, otrzymaną na posiedzeniu d. 14. kwietnia zastanawiali. Spadła ona na nas jak grom. W pełni nieświadomości sprawy, byliśmy wprost przerażeni. Żaden z nas nie mógł słowa przemówić, łkanie wewnętrzne rozrywało nam piersi. Była to krótka depesza z Krakowa: „Stefan zginął w pojedynku z Adamem Gr.“ — nic więcej. Czuliśmy całą grozę tej katastrofy. Gdyśmy przyszli troszkę do siebie, spoglądaliśmy po sobie, jakby pytając: co to jest? co się stało? jaka przyczyna? Czekaliśmy, czy kto z nas nie da objaśnienia. Wszyscy milczeli i Giller milczał, ale na to nie zwracaliśmy uwagi. Nie chcieliśmy wierzyć, zdawało się nam, że to jakaś mistyfikacya. Nie mogliśmy odrazu odgadnąć, kto jest ów Adam G. Dopiero po chwili przyszedł na myśl Grabowski, przypomnieliśmy sobie ów sąd złożony na niego w Krakowie, o którym Giller i Bobrowski mówili po powrocie z Krakowa. Giller siedział blady, wzruszony jak my wszyscy, lecz nie mógł nam dać żadnego objaśnienia. Byliśmy tak przygnębieni grozą tej wiadomości, że nie byliśmy zdolni do żadnej pracy. Rozeszliśmy się, polecając Gillerowi, który miał referat zaborów, żeby zaraz zażą-

dał od naszego komisarza w Krakowie, Elżanowskiego, bliższych objaśnień i szczegółów.

Z poprzedniego opowiadania wiemy już doskonale, czem był Bobrowski, znamy jego charakter, zdolności, rozum, energię, poświęcenie bezgraniczne i jego wielką miłość Ojczyzny, strata więc takiego człowieka była istotnie ciosem, już ne tylko dla nas osobiście, ale dla Rządu, jako takiego, dla Ojczyzny całej. Pomimo młodego jeszcze wieku, zdolnościami, przymiotami charakteru, serca, duszy i rozumu, przewyższał wszystkich. Był to i statysta i mąż stanu, niezrównany administrator i organizator, a przytem i konspirator. W tej małej, drobnej, niepozornej osóbce, mieściło się wszystko, co go czyniło niepospolitym człowiekiem. Nic też dziwnego, że śmierć jego, niespodziewana, nagła, a tak tragiczna, wstrząsnęła i przejęła wszystkich, między którymi, choć tak krótko żył i działał.

Nazajutrz cała organizacya wiedziała już o śmierci Stefana. Żal i przerażenie było ogólne, a zarazem i oburzenie na sprawcę. Oburzenie to rosło w miarę przychodzących szczególnych wiadomości. Nagabywano Rząd, a myśmy nic nie wiedzieli. Wobec tego, że my nie mogliśmy dać żadnych objaśnień, oburzenie przeniosło się i na Rząd. Nie mogliśmy milczeć, choć ogólnikowo, musieliśmy jednak urzędownie zawiadomić ogół o śmierci Bobrowskiego. Nie chcieliśmy wydawać odezwy, bo w każdym razie sprawa, jakkolwiek ze względu na osobę, miała ogólno narodowe znaczenie ale bądź co bądź dotyczyło jednostki znanej w organizacyi, ale nieznanej narodowi, postanowiliśmy wiadomość tę podać w organie Rządu w „Ruchu“. Poleciliśmy więc Gillerowi, żeby bezzwłocznie wydał nowy numer tego pisma, w którym pomieści odpowiedni artykuł. Kto był autorem tego artykułu, czy Giller, czy kto inny z nas, nie pamiętam, dość na tem , że gdy go nam zakomunikowano, przyjęliśmy, bo był i poważnie i ciepło napisany i dokładnie charakteryzował postać Stefana. Artykuł ten był podany w Nr. 16. „Ruchu“. Niewypowiedzianie żałuję, iż tego egzemplarza nie posiadam i muszę się ograniczyć do przytoczenia tylko jego części końcowej, podanej w dziele: „Dzieje roku 1863“, T. II. na stronicy 191. w dopisku ad 2. Ustęp ten brzmi: „Tak padł ten niepospolity człowiek, nie w walce z nieprzyjacielem kraju, ale w walce z człowiekiem, który przez zadaną mu śmierć, przyjacielską oddał usługę Moskwie. Winowajca zbiegł za granicę kraju, powiększywszy jeszcze śmiercią Bobrowskiego, ciążące na nim zarzuty. Rząd Na-

rodowy, pociągnie go we właściwym czasie do odpowiedzialności i postara się, żeby sprawiedliwości prawa zadosyć się stało. Kończąc to krótkie wspomnienie o Bobrowskim, rzucamy na grób jego wspomnienie zasługi i pięknej chwały, zmieszane z żalem, że Polska straciła w nim tak wcześnie jednego z najgorliwszych i najszlachetniejszych, najbardziej sprawie narodu poświęconych synów". Ja tu dodam od siebie: Niech będzie cześć wieczna Jego pamięci*).

Poleciliśmy komisarzowi Rządu w Krakowie, że gdyby Grabowski tam się pokazał, żeby go kazał aresztować i oddał pod sąd; lecz ten gdzieś przepadł i żadnej potem o nim nie było wiadomości.

Stefan Bobrowski, jak wiemy, był nie tylko członkiem Rządu, ale zarazem i naczelnikiem miasta Warszawy. Powołanie jego następcy było teraz najważniejszą sprawą, którą musieliśmy się zająć.

Zasadniczą kwestyą było pytanie: czy następca Bobrowskiego ma być także członkiem Rządu i naczelnikiem miasta? Za utrzymaniem i nadal tego stanu, przemawiało to, że naczelnik miasta mając za sobą taką organizacyę, jaka była warszawska i zostającą tuż pod bokiem Rządu, przedstawia siłę, na której Rząd może się opierać; że jakkolwiek nie jest przez tę organizacyę wybieranym, ale przez Rząd mianowanym, zawsze jednak jest jakoby jej reprezentantem; że przez to, że bierze udział we wszystkich czynnościach Rządu, w jego uchwałach, daje tej organizacyi gwarancyę, że działania Rządu pójdą zawsze po wytycznej, wskazanej przez manifest 22. stycznia i że z niej nie zboczy.

Przeciw utrzymaniu nadal łączności tych dwóch stanowisk w jednej osobie, wysnuwano przedewszystkiem, że Rząd nie jest wyrazem jedynie organizacyi warszawskiej, ale całego narodu; że siła Rządu, który w rzeczywistości dla narodu jest tylko mytem, pieczątką, bo naród nie zna zupełnie osobistości Rząd składających, leży nie w oparciu o jakąś cząstkę narodu, ale w nim samym, w jego działaniu, którem się wyjawia na zewnątrz, daje się poznać

*) W tym samym odsyłaczu pomieszcza autor „Dziejów" wyjątek następujący, z zeznań Awejdego pisanych dla Moskali:

„Straciliśmy w Bobrowskim dobrego, serdecznego przyjaciela, a powstanie najrozumniejszego i najdzielniejszego ze wszystkich ludzi, jacy się pojawili na jego scenie. Liczył on zaledwie 23 lat, mimo to był zupełnie wyrobiony, nadzwyczajnie zdolny, niesłychanie pracowity i energicznej, że tak powiem, odwagi; nigdy w żadnej okoliczności na jedną chwilę nawet nie tracił przytomności umysłu. Drugiego Bobrowskiego powstanie nie miało".

Jestto bardzo charakterystycznie świadczące o znaczeniu Bobrowskiego, że nawet odstępca, który dla Moskali pisał historyę powstania, nie mógł nie wspomnieć o nim i to w taki sposób.

i ocenić narodowi, w ciągle i ustawicznie wiernym zasadom wypowiedzianym w manifeście 22. stycznia. Że Rząd, któryby, choćby na chwilę od tych zasad odstąpił, straci podstawę swego bytu, pomimo i choćby nawet organizacya warszawska stała po jego stronie, bo straci zaufanie całego narodu. Obecność naczelnika miasta w Rządzie niby mu nie pomogła.

Rząd Narodowy wyłonił się z dawnej przedpowstańczej władzy Komitetu Centralnego i przejął tę jego władzę teraz, jako wypływającą z programu i statutu organizacyi. Rząd pełni tę władzę sam niepodzielnie, sam się dopełnia według własnej woli; może, ale nie musi powołać do swego grona naczelnika miasta. Na podstawie też tej swojej władzy, zamianował Bobrowskiego naczelnikiem, a potem, gdy uznał to za pożyteczne, nie dla siebie, lecz dla sprawy, powołał go do swego składu jako członka, nie zważając na to, że tym sposobem zmienił zasadniczą ilość swych członków, z pięciu na sześciu. Stało się to, jak wiemy, tylko zbiegiem okoliczności i z powodu wielkich i niezwykłych przymiotów Bobrowskiego. Dziś, gdybyśmy mieli takiego człowieka, jakim on był, zrobilibyśmy pewnie tak samo. Nie mamy go, więc musimy pozostawić Rząd w tym samym jak jesteśmy składzie, pięciu członków, a powołać kogoś tylko na stanowisko naczelnika miasta.

W ten sposób Rząd to zasadnicze pytanie rozstrzygnął.

Wybór osoby na naczelnika miasta, nie przedstawiał trudności. Bobrowski sam, jak już mówiłem wskazał ją. Postanowiliśmy więc mianować naczelnikiem miasta, Tytusa Zienkowicza, z tem, że stosunek z Rządem będzie nadal utrzymany przez osobiste stykanie się naczelnika z jednym z członków Rządu; do tej czynności, zgodnie z poprzednio na życzenie Bobrowskiego, powziętą uchwałą, wówczas tymczasową, delegowano mnie. Postanowiono, że naczelnik miasta będzie miał i nadal tę samą władzę i te same atrybucye bez wyjątku, jakie miał w zarządzie miasta Bobrowski, że obowiązany będzie ile można codziennie, składać raport delegowanemu członkowi Rządu i przedstawiać mu wnioski; że wszelkie sprawy mniejszej wagi i znaczenia, będziemy mogli załatwiać zaraz na konferencyi, a sprawy ważniejsze muszą być Rządowi przedkładane do uchwały. Napisaną nominacyę wręczyłem Zienkowiczowi zaraz dnia następnego.

Ułożyłem teraz czas tak: że o 9. rano przychodził z raportem ajent wojskowy Szlenkier, o 10. naczelnik miasta, o 11. posiedzenie komisyi wojskowej, a zwykle popołudniu od 2. do 3. bywały posiedzenia Rządu. Cały więc dzień miałem bezwzględnie zajęty.

Nazajutrz 16. kwietnia wręczyłem Zienkowiczowi nominacyę, co, jak uważałem, wielką mu sprawiło przyjemność. Objaśniłem go, że wchodzi we wszystkie prawa i obowiązki, jakie miał Bobrowski, że Rząd jednak nie uważał za właściwe powołać go na swego członka, bo to był tylko osobisty przywilej Bobrowskiego, a stosunek z Rządem będzie utrzymany przez codzienne znoszenie się ze mną, jako delegowanym Rządu. Że tok spraw i szybkość załatwiania nic nie ucierpi, gdyż każda sprawa pilna tego samego dnia po naszej konferencyi będzie przez Rząd załatwiona, a rezultat otrzyma na konferencyi dnia następnego.

Wiemy już z poprzedniego o ciągłych machinacyach i intrygach Mierosławskiego w Krakowie, który ciągle trwał przy swoich rzekomych prawach do dyktatury, że utworzył tam sobie nawet komitet, który zawiązał stosunki ze zwolennikami generała w Warszawie, że tu zaczął tworzyć kółka z wichrzycielskimi planami, że Rząd musiał wydać dekret, zabraniający tworzenia wszelkich kółek dla położenia tamy tym skrytym działaniom.

Jeszcze przed wyjazdem Bobrowskiego, Rząd postanowił był wydać nową odezwę objaśniającą nie tylko niemożebność, ale i szkodliwość dyktatury i polecił był nawet Gillerowi napisanie projektu takiej odezwy. Projekt Dąbrowskiego, wyjazd Bobrowskiego sprawiły, że odezwa ta dotąd nie była ogłoszoną.

Zienkowicz w parę dni po wyjeździe Bobrowskiego na konferencyi, zakomunikował mi, że policya narodowa spostrzegła, że wichrzenia ajentów Mierosławskiego, które po dekrecie z 7. kwietnia trochę przycichły, na nowo podnoszą głowę. Na dzisiejszej konferencyi podniósł tę samą sprawę, dodając, że korzystają ze wzburzenia, spowodowanego w organizacyi wiadomością o śmierci Bobrowskiego, zaczynają występować ostro przeciw Rządowi, a nawet oskarżają go, że wiedząc o pojedynku, nie przeszkodził mu, że jednak nie długo będzie jego panowania, bo jak Mierosławski ogłosi się dyktatorem, to wszystko lepiej pójdzie. Poleciłem Zienkowiczowi dać rozkazy policyi, by roztoczyła baczną czujność na te działania.

Na posiedzeniu Rządu zdałem sprawę z tej konferencyi. Rząd polecił Gillerowi, żeby kazał zaraz drukować odezwę, o której mówiłem. Nazajutrz odezwa wyszła z datą 16. kwietnia.

W odezwie tej, którą w całości czytać można w I. tomie historyi Gillera, Rząd Narodowy we wstępie mówi: „W ostatnich czasach zaszłe wypadki, dyktatura generała Langiewicza i jej upa-

dek, wystąpienie generała Mierosławskiego i pozorne osłabienie powstania, zachwiały głęboko opinię powszechną, wywołały obawy, że niebezpieczna gra namiętnej ambicyi, świętą sprawę oswobodzenia Ojczyzny, zniweczyć może. Smutne te wypadki, tę przynajmniej przyniosły korzyść, że jasno dowiodły, jakby niewłaściwą i niebezpieczną było rzeczą w obecnej chwili najwyższy kierunek całej sprawy narodowej, powierzać w ręce jednej osoby, od której zmiennego szczęścia, mimowolnie losy narodu zależećby musiały". Dalej odezwa podaje pobudki, jakie skłoniły Komitet Centralny, do oddania władzy w pierwszej chwili w ręce jednej osoby, skąd też powstały obie dyktatury Mierosławskiego i Langiewicza. „Doświadczenie jednak dowiodło" — powiada dalej odezwa — „że dyktatura nie jest dla obecnych stosunków, właściwą formą rządu, że świętej sprawy niepodległości narodu nie można w żaden sposób czynić zależną od zmiennego szczęścia na polu bitwy, lub od bezczynności zgubnej i demoralizującej, z powodu chwilowego oddalenia się dyktatora", że „w tem przekonaniu Komitet Centralny, objął znowu najwyższy kierunek powstania narodowego i silny zaufaniem i gorącem poparciem współobywateli wszelkiego stanu i wyznania, odpycha na przyszłość stanowczo, wszelką myśl dyktatury". Powiada dalej: „Niezachwiana jedność, której potrzebę każdy Polak tak głęboko czuje, przytłumi wszelkie osobiste ambicye i zachęci do jednomyślnego szlachetnego działania. Wszelkie talenta otwarte mają przed sobą pole". „Komitet Centralny nie będąc wyrazem pojedynczego stronnictwa, lecz potrzeb i usiłowań całego narodu wzywa do działania, do poświęcenia, do walki, do skupienia wszelkich możliwych usiłowań, do jedności! Rząd Narodowy posiada dość siły i energii, aby ją od wszelkiego zamącenia zachować".

Odezwa ta została przez organizacyę dobrze przyjęta i miała na razie ten skutek, że agitacya zwolenników Mierosławskiego i rozmaitych malkontentów przycichła, a ludziom dobrej woli, dodała energii do odpierania szkodliwych dla jedności narodowej podszeptów.

Na następnej konferencyi z naczelnikiem miasta, tenże przyniósł mi odezwę, przez siebie wydaną z daty 16. kwietnia, mieszczącą zakaz kupowania jakichkolwiek bądź przedmiotów od żołnierzy moskiewskich, gdyż te pochodzą z rabunku i obdzierania naszych rannych i zabitych w bitwach. Do wydania tej odezwy skłoniły go raporta policyi, że po bitwie pod Budą Zaboroską, rzeczywiście

żołnierze sprzedawali żydom rozmaite rzeczy zrabowane na naszych żołnierzach. Podziękowałem mu za to i objaśniłem, że takie sprawy należą zupełnie do jego atrybucyi i nie potrzebują aprobaty Rządu.

Rząd Narodowy, wypowiadając wojnę Moskwie nie ograniczył jej tylko do orężnej walki, ale starał się także prowadzić ją i na polu administracyjnej gospodarki moskiewskiej, utrudniając i podminowując regularne jej prowadzenie. Pierwszym aktem tej walki był dekret z d. 21. kwietnia wydany na wniosek komisyi skarbowej, zabraniający płacenia podatków, oraz wszelkich poborów z wyjątkiem podatku ogniowego i poborów rządowych na oświatę. Dekret zabrania urzędnikom i funkcyonaryuszom podatkowym rządu moskiewskiego, brania udziału w czynnościach ściągania podatków, a niestosujący się do tego rozkazu będą uważani za zdrajców kraju i będą wyjęci z pod prawa. Oryginalnego dekretu nie mam w ręku, więc podaję tylko jego treść.

W tym samym dniu, w którym Rząd dowiedział się o śmierci nieodżałowanego Stefana Bobrowskiego, ubył nam także członek Jan Maykowski. Mieszkał on razem z Awejdą u Stanisława Krzemińskiego w części pałacu Ordynatów Zamoyskich, przy ulicy Żabiej *). Dnia 2. kwietnia rano, policya narodowa ostrzegła ich, że policya moskiewska ma zwróconą na nich uwagę, że muszą się mieć na ostrożności. Rzeczywiście w ciągu dnia spostrzeżono już jakichś ludzi, kręcących się koło domu. Dla wszelkiego bezpieczeństwa, obadwaj już nie nocowali dnia tego. I dobrze zrobili, bo w nocy o 11. policya wtargnęła do mieszkania, nie znalazła ich i zaaresztowała tylko Stanisława Krzemińskiego. Nie byli oni wprawdzie pewni, czy policya i na nich miała chrapkę, jednakże raz opuściwszy stałe swoje zamieszkanie, musieli się już uważać za wykolejonych, skompromitowanych i ukrywać się. Ukrywanie się w tym czasie nie było jeszcze rzeczą trudną, bo nie było tych obostrzeń policyjnych i meldunkowych, jakie z końcem tego roku zaprowadzono w Warszawie. Policya narodowa mogła im była dostarczyć wszelkich potrzebnych dowodów autentyczności osób, choć pod przybranemi nazwiskami. Awejde zgodził się na to chętnie i pozostał w Warszawie. Ale Maykowski mający naturę bardzo wrażliwą, marzycielską, więcej uczuciową, poetyczną niż realną,

*) Stanisław Krzemiński, wspomniany już parę razy w mojem opowiadaniu, towarzyszył bratu memu Władysławowi, w podróży do Paryża w końcu stycznia b. r.

utraciwszy realną podstawę bytu nie czuł się na siłach do wytrwania w położeniu człowieka, pozbawionego tej realnej podstawy i udawania kogo innego, którym nie był. Postanowił zatem wyjechać z Warszawy*). Bywał wprawdzie przez cały czas aż do wyjazdu, bardzo regularnie na posiedzeniach Rządu, ale zawsze zdradzał wielkie rozdrażnienie i obawę, by obecnością swoją nie skompromitował Rządu.

Jak sam o tem w pamiętniku powiada, objawiał zamiar zaciągnięcia się do oddziału, ale istotnie Rząd nie chciał na to pozwolić, gdyż uważał, że Maykowski na innem polu może oddać większe sprawie usługi.

W Galicyi tak zachodniej, jak i we wschodniej, tak w Krakowie, jak i we Lwowie, działo się źle. Ciągłe wyłamywanie się władz narodowych tamtejszych z pod władzy Rządu Narodowego, pomimo i tak bardzo szerokiej zostawionej im autonomii w działaniu pod kontrolą komisarzy Rządu Narodowego, ciągłe spory tych władz, nie tylko z tymi komisarzami, ale pojedynczych organów tychże władz między sobą; ciągłe niepowodzenia wysyłanych z Galicyi na plac boju oddziałów; ustawiczne skargi płynące stamtąd do Rządu Narodowego, wymagały szybkiego zbadania i zaradzenia złemu, które sprawiało, że powstanie nie odbierało z Galicyi tej pomocy, jaka miała być jej wyłącznym udziałem. Giller, w którego ręku spoczywały sprawy galicyjskie i znał je doskonale, postawił wniosek, żeby skorzystać z tej okoliczności, że Maykowski musi wystąpić z Rządu i wysłać go do Galicyi w charakterze komisarza nadzwyczajnego z szerokiem pełnomocnictwem, zbadania stanu i w porozumieniu z komisarzami Rządu wprowadzić tam ład i zgodne a pożyteczne dla powstania działanie.

Wichrzenie Mierosławskiego w Krakowie, także było bardzo szkodliwe dla sprawy, wnosił więc Giller, żeby Maykowskiemu dać pełnomocnictwo do ułożenia jakiegoś kompromisu z burzliwym generałem. Giller sądził, że osoba Maykowskiego, który zna doskonale intencye Rządu Narodowego, a posiada takt i rozwagę będzie zupełnie odpowiednią do spełnienia tej misyi. Dodał przytem, że opracowuje regulamin dla władz narodowych galicyjskich, który

*) Maykowski w pamiętniku swoim powiada, że obadwa z Awejdem byli zamianowani komisarzami i wyjechali z Warszawy, on do Galicyi, a Awejde na Litwę. W tem się myli, bo Awejde pozostał na miejscu, a na Litwę pojechał dopiero w sierpniu, wysłany tam przez Rząd narodowy. Myli się także i w tem, gdy powiada, że Ruprecht wszedł do Komitetu, na miejsce jednego z nich, bo Ruprecht był członkiem już od początku marca.

niebawem przedłoży, a po przyjęciu go przez Rząd, przeszle go Maykowskiemu. Regulamin ten w kilka dni potem Giller przedłożył. Odnosił się on do obu Galicyj zachodniej i wschodniej i do W. Ks. Poznańskiego. Przedyskutowany został i d. 2. maja przesłany Maykowskiemu do Galicyi, a Łukaszewskiemu do Poznania. Regulamin ten określał stanowczo stanowisko obu zaborów, jako pomocnicze tylko dla powstania, przez dostarczanie ludzi, pieniędzy, broni, amunicyi i t. p. Ustanawiał dla każdej prowincyi osobne komitety, określał ich stosunek do Rządu Narodowego i do komisarzy pełnomocnych, dla każdej prowincyi ustanowionych.

Wnioski te znalazły zupełne uznanie wszystkich i Rząd Narodowy postanowił mianować Maykowskiego tym komisarzem nadzwyczajnym, z zupełnem prawem stanowienia w imieniu Rządu Narodowego. Maykowski wprawdzie się wahał i wolał pójść bić się z Moskalami, ale wreszcie przyjął powierzoną mu misyę. Maykowski w pamiętniku swoim powiada, że nominacyę swoją otrzymał d. 10. kwietnia. Być może, że tak, nie będę się spierał o tę datę; pamiętam jednak dobrze, że wyjechał z Warszawy 14. kwietnia, to jest przed południem dnia tego, w którym odebraliśmy wieczorem wiadomość o śmierci Stefana Bobrowskiego *). Pamiętam to doskonale, bo asystowałem mu przy jego przedpodróżnej toalecie. Maykowski miał bardzo charakterystyczną twarz. Był bowiem jak nazywają „ryżym“, to jest miał włosy jasne, rudawo-złote, brwi gęste tej samej barwy, zarost rudawy, oczy jasne siwe, a twarz całą piegowatą, całość więc była bardzo charakterystyczną i trudną do jakiejkolwiek zmiany. Maykowski uważał, że może być łatwo poznany i że musi być zmieniony i żądał, żeby zarost ufarbować na ciemno. Zaufany fryzyer miał tego dokonać. Włosy i brwi ufarbował na ciemno-kasztanowate, zarost cały ogolił dokładnie, ale barwy rzęsów nie mógł zmienić i te pozostały prawie białe, piegi i cera twarzy musiały pozostać bez zmiany. Przez to uczernienie, twarz przybrała tak oryginalny wyraz, że musiała zwracać uwagę, przez niemożliwe w naturze kontrasta. Maykowski, gdy się przejrzał w lustrze, sam się zatrwożył. Żeby przynajmniej zakryć oczy

*) Pułkownik Struś, w swoim wstępie do zbioru materyałów, dotyczących Galicyi, stanowiących Tom III. Wydawnictwa Materyałów do Historyi powstania 1863 i 1864, str. XIV., mylnie podaje, że Maykowski przybył do Krakowa w końcu maja, bo jeżeli wyjechał z Warszawy 14. kwietnia, to nawet, uznając trudność podróży ze względów ostrożności koniecznych, mógł przybyć do Krakowa najpóźniej 16. lub 17. kwietnia. Maykowski sam w pamiętniku podaje tę datę z dodatkiem „zdaje mi się“. Data ta jednak jest prawdziwa.

jasno-siwe, które raziły swem przeciwieństwem wprost niebywałem w naturze, założył ciemno-niebieskie okulary. Tak przekształconego pożegnawszy serdecznie, oddałem pod opiekę agenta policyi narodowej, który miał być jego opiekunem w podróży aż do granicy. Przejście przez granicę ułatwił mu rządca Jacka Siemieńskiego, jak podaje w pamiętniku.

Żegnałem go człowiekiem młodym w sile wieku, zdrowia i umysłu, a zobaczyłem znowu dopiero w lat czterdzieści kilka potem we Lwowie starcem ośmdziesięcioletnim, na parę lat przed śmiercią już prawie zdziecinniałym, przyjechał tu do Lwowa, gdzie syn jego Stanisław został profesorem gimnazyalnym i ożenił się z córką dobrze mi znanego przemysłowca lwowskiego Zygmunta Piotrowicza, właściciela fabryki ślusarsko-budowlanej. Przez czas jego dwuletniego pobytu we Lwowie widziałem się z nim kilka razy, oddałem mu ostatnią na pogrzebie usługę. Cześć jego pamięci.

Dopiero w parę dni po wyjeździe Maykowskiego Rząd zajął się sprawą skompletowania swego składu do liczby pięciu osób. Sprawa nie była tak łatwą. Zwróciliśmy się przedewszystkiem do Rafała Krajewskiego, ale ten stanowczo odmówił. Były rozmaite propozycye, a nawet rokowania, ale spełzły na niczem. Stanowisko członka Rządu było trudne, bardzo odpowiedzialne, a przytem niebezpieczne, bano się i odmawiano. Tydzień przeszło upływał na tych poszukiwaniach i rokowaniach. Wreszcie Awejde zaproponował Edwarda Siwińskiego, prof. literatury polskiej w szkole przygotowawczej do uniwersytetu, dosyć już przy tem znanego ze swych prac literackich i lubianego przez młodzież, uczęszczającą na jego wykłady. Należał przytem, jak twierdził Awejde do organizacyi. Giller sam literat poparł gorąco tę kandydaturę. Ruprecht i ja nie znaliśmy go zupełnie. Zgadzaliśmy się w zasadzie i upoważnili Awejdego, który znał się z nim osobiście i bywał w jego domu do traktowania z nim. Po paru dniach Awejde przyniósł wiadomość, że Siwiński zgodził się i prosił, że jeżeli będzie przyjęty, żeby mu oddać prowadzenie wydawnictw rządowych. Giller, do którego ten referat dotąd należał, zgodził się odstąpić go Siwińskiemu. Postanowiliśmy więc zgodnie wprowadzić Siwińskiego do składu Rządu i upoważniliśmy Awejdego i Gillera, żeby mu uchwałę Rządu zakomunikowali, nazajutrz więc, t. j. w ostatnich dniach kwietnia 24. lub 25. Edward Siwiński przybył po raz pierwszy na posiedzenie Rządu. Przyjęliśmy serdecznie nowego towarzysza pracy, a Ruprecht jako najstarszy z nas, odebrał od Siwińskiego przyrzeczenie

oddania całego siebie na służbę Ojczyźnie i dochowania bezwzględnej tajemnicy, wszystkiego, co się w Rządzie dzieje, poczem uścisnęliśmy jego rękę. Siwiński z natury bardzo uczuciowy, tak był wzruszony tym aktem przyjęcia, że drżał jak liść.

Postać naszego nowego towarzysza była wogóle sympatyczna. Najmłodszy z nas, bo mógł mieć zaledwie 30 lat. Wysoki, średnioblondyn o oczach niebieskich, lekkim zaroście, delikatnej bladej cerze, o ruchach i obejściu trochę jakby paniczykowatem, zdradzał pewną nieśmiałość i miękkość; mówił też głosem miękkim, ale przyjemnie do uszu wpadającym, zacinając i jakby jąkając się, ale ta wada nie czyniła nieprzyjemnego wrażenia. Awejde jako najstarszy z nas w służbie objaśnił go w ogóle o sprawach, o kierunku działania, o samej organizacyi Rządu i podziale czynności. Nadmienił, że Rząd zgadza się na oddanie mu referatu prasy, a Giller dodał, że nie omieszka go zaraz do tego działu wprowadzić i że mu służyć będzie przynajmniej z początku swą pomocą i radą. Na tem skończyła się instalacya Siwińskiego na członka Rządu.

Na tem też zaraz posiedzeniu, obowiązki sekretarza, które dotąd sprawował Maykowski, oddaliśmy Awejdemu.

Referaty teraz były tak rozdzielone między członków Rządu: Awejde miał sprawy wewnętrzne i sekretaryat, Giller sprawy Galicyi i W. Ks. Poznańskiego, nadto przydzielono mu sprawy Litwy i Rusi; te nie dawały mu wiele zajęcia, bo prowincye te miały przy Rządzie swoich specyalnych sekretarzy. W tej chwili, jak wiemy, sekretarzem Litwy był Wacław Przybylski, a sekretarz Rusi miał przybyć dopiero w maju. Sekretarze mieli prawo uczestniczyć w obradach Rządu i referować sprawy swoich prowincyi. Janowski miał referat wojny i stosunek z naczelnikiem miasta, Ruprecht referat skarbu, a Siwiński referat prasy, a ta miała się dopiero faktycznie zorganizować, jako oddzielna komisya prasowa.

Muszę przerwać opowiadanie, żeby się zająć osobistemi sprawami.

Pierwszą sprawą, która ma tylko przyczynowo pośredni związek z samą treścią pamiętnika, a stała się aktualną dopiero w chwili, gdy ten pamiętnik piszę jest odparcie oszczerczej napaści na mój charakter Polaka i członka Rządu Narodowego przez autora „Dziejów roku 1863“.

Dotąd sprostowania lub odparcia, różnych twierdzeń i enuncyacyi lub wprost tendencyjnych fałszów tego autora podawałem w odsyłaczach, nie chcąc przerywać toku opowiadania. Napaść, którą teraz muszę odeprzeć, tak wprost dotyka nie tylko mego politycznego stanowiska jako członka Rządu Narodowego, ale i charakteru dobrego uczciwego Polaka, że mówić o tem muszę w samym tekście mego pamiętnika.

Autor „Dziejów r. 1863“ w tomie II. na str. 414. do 418. przedstawia charakterystykę osób, składających Rząd Narodowy w tym składzie, który wyżej podałem.

Błędne i ubliżające w tej charakterystyce enuncyacye o osobach Gillera i Ruprechta odparłem już wyżej.

Na stronicy 416. ów autor zajmuje się moją osobą. Zupełnie jest mi obojętnem, że mnie przedstawia jako osobistość „rysującą się niewyraźnie w historyi, która zginęła w mętnej i szarej mgle, która tylu ludzi i wypadków sobą pokryła“, jak również co mówi o moim rozumie, wykształceniu. Wolno mu sądzić, jak mu się podoba, choć ani on mnie, ani ja jego w życiu nie widziałem; sąd więc jego apodyktyczny o tem nie ma żadnego faktycznego uzasadnienia; czerpał go, nie ze swego własnego przekonania, bo go mieć nie mógł, ale opierał się na opowiadaniu, takich samych, jak on uczciwych ludzi, którzy mu mieli opowiadać i to, co następnie pisze w ostatnich dwóch wierszach na stronicy 416. i dalszych na stronicy 417., a mianowicie: „był on czerwono usposobionym z wolennikiem Mierosławskiego, tak zapalczywym, że w jego umyśle zacierała się sprawa Ojczyzny, schodziła na plan drugi wobec sprawy generała Ludwika“. Jako rys jego charakteru opowiadają, że gdy później znacznie przyszła do Warszawy hiobowa zaiste wieść o rzezi pod Komorowem, miał zawołać z uczuciem złośliwego zadowolenia: „dobrze, że młodzież i paniczykowie galicyjscy takie cięgi dostali“. Przebóg, zapomniał, że ta krew, która strumieniem się lała na polach Komorowskich, była przecież krwią polską!“

To jest bezwstydny fałsz! bezwstydne oszczerstwo!

Podanie tych rzekomych słów moich w cudzysłowie, jest złośliwem podkreśleniem i chęcią nadania tym słowom zupełnej autentyczności.

Ubliżyłbym sobie, ubliżyłbym pamięci tych ludzi, którzy wraz

ze mną przez cały rok pracowali, którzy mnie przyjaźnią i zaufaniem darzyli, gdybym choć jednem słowem usiłował się tłumaczyć i usprawiedliwiać. Ale wobec Boga i pamięci tych wszystkich moich towarzyszy pracy, oświadczam, że wszystko, co ów autor w przytoczonym wyżej dosłownie ustępie jego dzieła pisze jest najbezwstydniejszym fałszem i oszczerstwem, których się dopuścił ze złą wolą autor „Dziejów r. 1863", piszący się także autorem „Historyi dwóch lat" *).

*) Muszę tu jeszcze przytoczyć pewne okoliczności, zaszłe w roku 1892 i 1893, które mogą rzucić światło na powody, które skłoniły owego autora do rzucenia się na mnie. W r. 1892 pojawił się pierwszy tom jego dzieła „Historya dwóch lat". Była to pierwsza praca, zdawało się, źródłowa i poważnie historyczna, o tych pamiętnych latach 1861 i 1862. Obudziła też ona wielką ciekawość i zainteresowanie się ogólne, a szczególniej tych, którzy albo osobiście brali udział w wypadkach tych lat, albo dobrze je pamiętali. W każdym jednak z nas po przeczytaniu tej książki następowało nietylko rozczarowanie, ale i oburzenie. Autor od pierwszej niemal kartki zajął stanowisko tendencyjnie nieprzyjazne względem ówczesnego ruchu; rzucał anathemę, nietylko na osobniki, ale na całe społeczeństwo. Jego bożyszczem był margrabia Wielopolski, a wszyscy, co zrozumiawszy i odczuwszy doskonale wystąpienie i przemowę cara Aleksandra II. brali się do pracy dla odrodzenia narodu, byli według niego i takich nazywał „warchołami", „niedorostkami", „ludźmi wykolejonymi", „katylinarnej egzystencyi" i t. p. We wszystkich kółkach, które młodzież wówczas tworzyła, widział już konspiracye i spiski, prowadzące do powstania. Nie wahał się nawet Sybiraków, tych męczenników sprawy narodowej, którzy, powracając z wygnania, zachowali jeszcze w sercach i duszach miłość dla tej Ojczyzny, dla której cierpieli, dla której jeszcze i teraz pracować chcieli — nazwać „katami własnej Ojczyzny". Dla utrzymania swej tendencyi, potępienia wszystkiego i wszystkich, przekręcał fakta lub fałszywie je oświetlał. Jednem słowem, książka ta ze społecznego, narodowego i historycznego stanowiska była złą, zgubną i szkodliwą dla społeczeństwa, a szczególniej dla młodzieży. Kilku z nas, cośmy doskonale przebieg wypadków tych znali i brali w nich udział, uważaliśmy za konieczne wyjaśnić społeczeństwu tendencyjną szkodliwość tej książki. W tym celu urządziliśmy w końcu roku 1892 konferencyę w „Kole literacko-artystycznem" we Lwowie w obecności kilkudziesięciu osób. Referat wstępny, że tak nazwę introdukcyę, wziął na siebie Antoni Skotnicki, a szczegółowe referaty objęliśmy: ja, Tadeusz Romanowicz i Leon Syroczyński. Ja, ponieważ najlepiej może znałem przebieg wypadków, dążności i cele ówczesnej młodzieży, bo brałem w tem żywy udział, skreśliłem w moim referacie faktyczny przebieg wypadków i wykazałem wszystkie fałsze, przekręcania, tendencyjne oświetlenia zdarzeń, którym autor nie mógł prawdy zaprzeczyć, nie szczędząc bynajmniej ani autora, ani jego bożyszcza, margrabiego Wielopolskiego.

Obaj następni referenci uzupełniali moje przemówienie w rozmaitych szczegółach. Konferencya zajęła dwa wieczory.

Wszystkie przemówienia wydane potem zostały w osobnej broszurce według stenograficznych zapisków. Potem w maju 1893 r. miałem jeszcze dwa odczyty publiczne w sali Ratusza o wypadkach okresu od śmierci Mikołaja do końca roku 1862. O tych konferencyach autor „Historyi dwóch lat" musiał wiedzieć i broszurę czytać. Mój referat nie musiał być dla niego przyjemnym, musiał go dobrze zapamiętać i postanowił się zemścić. Owa napaść na mnie, o której mówię, oprócz oszczerstwa — jest jeszcze aktem zemsty osobistej. Charakterystycznem jest u tego autora-historyka, że wiele razy podaje jakiś fakt po-

Czy ja byłem i czy mogłem być takim zapamiętałym Mierosławczykiem, czytelnik tego pamiętnika może sam osądzić, jeżeli uprzytomni sobie motywa, które mnie skłoniły do głosowania za wnioskiem brata mego Władysława, by generała Ludwika Mierosławskiego powołać na dyktatora. A szczególniej jeszcze w Krakowie, gdym tam był jako delegat Rządu Narodowego w sprawie dyktatury Langiewicza.

Jeżeli Rząd Narodowy, którego byłem członkiem usiłował parę razy jeszcze dojść z generałem do porozumienia, to czynił to nie dlatego, by być jego zwolennikiem, ale dlatego, by położyć kres jego zgubnym dla kraju wichrzeniom. Powtórzę tu, że wniosek upełnomocnienia Maykowskiego do traktowania z Mierosławskim wyszedł od Agatona Gillera, zdeklarowanego przeciwnika generała.

Druga sprawa, o której chcę tu mówić, dotyczy mojej osobistej sytuacyi w tym właśnie czasie.

Jedynem źródłem moich dochodów i utrzymania była moja zawodowa praca. Z wiosną tego roku 1863 skończyłem zupełnie budowę domu dla robotników, ustał zatem i dochód z tej pracy. Dochody więc moje z tą chwilą ograniczyły się tylko do drobnych prac. Zajęcia moje jednak politycznej natury, które coraz więcej zabierały mi czasu, sprawiły, że i tych prac przyjmować nie mogłem, bo nie miałem czasu na ich wykonanie. Środki zatem mego utrzymania, zostały ograniczone do skromnych zaoszczędzonych zapasów i należało tak się rządzić, by one mogły jak najdłużej wystarczyć. Żona moja doskonale o stanie naszych środków życiowych wiedziała i z zupełnem poddaniem się zgadzała się na wszelkie możliwe oszczędności. Wreszcie sama zaproponowała mi, żebyśmy opuścili własne mieszkanie, a przenieśli się do jej rodziców, którzy z łatwością bez spowodowania sobie niewygód, mogą nam jeden z czterech swoich pokoi ustąpić. Zgodziłem się na to, a żona moja sama podjęła się pośrednictwa. Istotnie przezacni pp. Tolkemitowie z największą ochotą propozycyę przyjęli. Matka żony była nawet kontenta, bo zyskiwała i towarzyszkę i wyręczycielkę w gospodarskich zajciach. Rodzice żony mieszkali przy ulicy Nowolipie w domu p. Szmideckiego, budowniczego miejskiego na I. piętrze. Ustąpili nam

---

dejrzanej prawdy, albo nawet wprost fałszywy, używa zawsze wyrażenia albo „opowiadają“ — albo też, iż zaczerpnął wiadomości „ze źródła albo od osoby bardzo wiarogodnej“. Czytający historyę tego autora, tak objaśnione fakta powinien przyjmować z wielką ostrożnością i wątpliwością. Jeżeli czytającym jest historyk-badacz, to powinien fakta takie doskonale badać i o ich prawdziwości się przekonać.

pokoik z osobnym wchodem. Wypowiedzieliśmy więc zaraz mieszkanie od 1. maja i jeszcze przed końcem tegoż miesiąca przenieśliśmy się. Wszystkie gospodarskiego stosunku szczegóły żona załatwiła z matką swoją. Rodzice staruszkowie żyli bardzo skromnie i my też do takiego życia byliśmy przyzwyczajeni. Ja żadnych osobistych specyalnie potrzeb nie miałem. W kawiarniach i cukierniach nie bywałem. Stosunki towarzyskie wogóle w tym czasie z powodu rozmaitych utrudnień policyjnych, chodzenia z latarkami od chwili zmroku, zabronienia pokazywania się na ulicach po godzinie 9. prawie zupełnie ustały. Ludzie tylko w dzień się odwiedzali. Ja starałem się o to, by do mniej jak najmniej przychodzono. Było więc nam tu i zacisznie i spokojnie, co ze względu na moje obecne zajęcie było bardzo pożądanem.

Komisya prasy, na której przerwałem opowiadanie, a która teraz miała być zorganizowaną, miała za zadanie redagować i wydawać pismo, że go tak nazwę „Urzędowy Organ“ Rządu „Ruch“, redagować i wydawać biuletyny wojskowe, jako „Wiadomości z placu boju“. Najważniejszą zaś czynnością było informowanie gazet zagranicznych polskich o wszystkiem, co dotyczy Polski i sprawy powstania. Giller prowadził tę pracę bardzo dobrze, miał ją teraz oddać Siwińskiemu. Pokazało się jednak, że Siwiński samodzielnie tej pracy wykonywać nie może. Doskonały, a może nawet uczony profesor literatury, o zagadnieniach politycznych, ekonomicznych, miał bardzo słabe i niewyrobione pojęcia — nie posiadał żadnych zdolności administracyjnych, był profesorem literatury, ale poza tem nic więcej. Dobry i przyjemny towarzysz, patryota w poglądach swoich politycznych, więcej konserwatywny, a w głębi duszy przechylający się do polityki margrabiego, nie był wogóle człowiekiem, jakiego uzupełniając się, potrzebowaliśmy. Prawda, że my wszyscy byliśmy dyletantami w roli, w której okoliczności nas postawiły, ale w każdym razie, każdy z nas przynosił coś, jak Bobrowski, który przyniósł ogromne wszechstronne zdolności i genialną niemal intuicyę, jak Ruprecht, który krom szerokiego wykształcenia ogólnego, przyniósł gruntowną znajomość spraw ekonomicznych, ale Siwiński był dyletantem zupełnym, nie przynosił nic. Posiadał za to pewną namiętność, która mu przeszkadzała nieraz w sumiennem spełnianiu obowązków, która w późniejszem życiu na emigracyi ciężyła mu, jak kula u nogi.

Był zapalonym i namiętnym szachistą *).

Dla szachów zapominał o wszystkiem. Z początku zapanował nad sobą, ale nie mógł długo wytrzymać, potem się spóźniał na posiedzenia, albo nawet zupenie nie przychodził, co jednak zdarzało się rzadko.

Siwiński, który miał zarządzać komisyą prasową stał się właściwie tylko pomocnikiem Gillera. Jedyną zasługą Siwińskiego była inicyatywa, zastąpienia dotychczasowego pisma „Ruch“ innem, większem, poważniejszem, pod tytułem „Niepodległość“. Dla wydawania tego pisma, trzeba było kupić nową drukarnię, bo dotychczasowa ręczna i mała, często nawet nie wystarczała i musiano się nieraz posługiwać drukarniami prywatnemi, co było zawsze połączone z niebezpieczeństwem. Urządzeniem tej drukarni zajął się znany nam już zarządca tej drukarni, Józef Wagner. Wszystko stało się już w drugiej połowie maja, przed samym tak zwanym zamachem majowym, który spowodował zmianę Rządu. Proponowana przez Siwińskiego „Niepodległość“, zaczęła wychodzić dopiero w lipcu. Teraz w kwietniu Władysław Sabowski, znany później w literaturze jako „Wołody Skiba“, zaczął wydawać czasopismo tajemne „Prawda“ na podstawie zezwolenia Rządu Narodowego z d. 19. kwietnia, które obok „Ruchu“ miało być półurzędowym organem.

Mówiąc wyżej o komisyi spraw zewnętrznych, określiłem, że pod tą nazwą rozumiano stosunki z obydwoma zaborami, austryackim i pruskim, oraz z instytucyami zagranicznemi, jak komisyą broni w Liége i wogóle stosunki z emigracyą, a szczególniej paryską. Zaznaczyłem też tam, że Rząd Narodowy w tym czasie, żadną akcyą dyplomatyczną specyalnie się nie zajmował. Nie miał żadnych stosunków z rządami mocarstw zagranicznych, nie szukał tam żadnej pomocy. Prowadząc walkę z najazdem pod hasłem: „o własnych siłach“, całą swoją działalność oddawał rozwijaniu powstania. Nie wchodził też w żadne stosunki z żywiołami rewolucyjnemi w Europie, bo nie wierzył w ich siłę, ani w jakąkolwiek szczerą i bezinteresowną pomoc z ich strony. Wyjątkowo zostawał w stosunkach z rewolucyonistami rosyjskimi Hercenem i Bakuni-

*) W Warszawie przy ulicy Żabiej w rogu u wejścia do ogrodu Saskiego, od tak zwanej Żelaznej Bramy, była kawiarnia czy cukiernia, w której zbierali się amatorowie gry w szachy. Tam o każdej porze dnia, nieraz od godziny 8-mej rano można było znaleźć Siwińskiego. Jak siadł do stolika z zamiarem grania tylko jednej partyi, zapominał, jak powiadają, o Bożym świecie, mógł grać do wieczora.

nem, dopóki była choć słaba nadzieja rewolucyjnego ruchu w samej Rosyi.

Gdy sprawa polska przez ową konwencyę prusko-moskiewską z d. 8. lutego stała się sprawą europejską, a zawiązana przez Anglię i Francyę, akcya dyplomatyczna przybierała coraz szersze rozmiary, a widmo możliwej wojny zaczęło się zarysowywać i prawie wszystkie wielkie mocarstwa w tę akcyę wciągnięte zostały, Rząd Narodowy przyszedł do przekonania, że obowiązkiem jego jest wyjść z dotychczasowej bierności w tym kierunku, tem więcej, że sympatye ludów, objawiały się przychylnie dla polskiej sprawy. Rząd Narodowy rozumiał doskonale, że sam w tej akcyi zewnętrznej, bezpośrednio udziału przyjąć nie może, że jednak ma obowiązek i czuwać i śledzić dobrze rozwój wypadków. Rozumiał, że zatrzymując przy sobie bezpośredni kierunek, do samego działania musi powołać jakąś osobistość poważną a znaną, któraby przez swoje stanowisko społeczne, przez pewną znajomość rzeczy i stosunków mogła mieć dostęp do sfer dyplomatycznych, być tam dobrze widzianą i słuchaną, mogła z pożytkiem spełniać obowiązki, widomej reprezentacyi nieznanego, tajemnego Rządu.

Na takie stanowisko narzucała się sama przez się osobistość ks. Władysława Czartoryskiego, spadkobiercy 30-letniej pracy na tem polu dla Polski, ks. Adama Czartoryskiego. Wprawdzie ze stanowiska demokratycznego, można nie zgadzać się z kierunkiem i programem tej pracy, ale potępiać jej nie można bezwzględnie, bo bądź co bądź działanie ks. Adama wypływało z głębokiej miłości Ojczyzny, a w rezultacie żadnej szkody tej Ojczyźnie nie przyniosło.

Sprawą tą ustanowienia reprezentanta dla działań zagranicznych zajmował się Rząd jeszcze przy współudziale ś. p. Stefana Bobrowskiego. Zajmował się nią i potem ciągle i zawsze nie mógł powziąć stanowczej decyzyi. Rząd Narodowy sam bardzo demokratycznie usposobiony, wiedział, że podobnie usposobiona większość społeczeństwa polskiego niechętnieby widziała powierzenie ks. Władysławowi Czartoryskiemu reprezentacyi Rządu zagranicą. Widzieliśmy w raporcie Demontowicza o wyprawie żmudzkiej z jaką niechęcią i uprzedzeniem wyrażał się o generale Zamoyskim i wiemy, jak mu Rząd odpowiedział. Istotnie obowiązkiem było Rządu, który nazywał się i był ogólnie narodowym, a nie Rządem jakiegoś stronnictwa, tak postępować, jak to w odpowiedzi Demontowicza zaznaczył.

W dyskusyach nad tą sprawą, długich nieraz i wyczerpujących,

podnoszono, że trudnem jest Rządowi zwracać się do ks. Czartoryskiego, gdy on dotychczas jako głowa stronnictwa, nie zaznaczył niczem, że Rząd Narodowy uznaje i nie ofiarował mu swoich usług; jakkolwiek Rząd miał pośrednio wiadomość z emigracyi, że książe objawiał chęć wejścia w stosunki z Rządem. Wiemy także z poprzedniego opowiadania, że ks. Czartoryski od samego początku powstania nim się zajmował, że przez ks. Napoleona i nawet osobiście miał stosunki z cesarzem; że szlachtę galicyjską informował o usposobieniu cesarza dla Polski i że pod wpływem tych informacyi galicyjska szlachta postanowiła, popierać powstanie narodowe. I teraz Rząd francuski znosił się z ks. Czartoryskim ,ale jako z osobą prywatną. Dochodziły nas jednak wiadomości, że cesarz wyrażał życzenie, by mógł być informowanym przez osobę, którąby miała do tego upoważnienie od Rządu Narodowego, a była zarazem i jemu przyjemną i którejby mógł ufać. Stało się też w tym czasie, że ks. Czartoryski, zapewne pod wpływem tych życzeń cesarza, starał się sam zbliżyć i zawiązać stosunki z Rządem Narodowym. W jakiej formie to się stało, nie pamiętam, ale jest to faktem.

Gdy więc teraz ta przeszkoda została usunięta i ks. Czartoryski zrobił krok pierwszy. Rząd Narodowy powziął ostatecznie postanowienie zamianować go swoim reprezentantem i pełnomocnikiem zagranicą.

Dnia 28. kwietnia Rząd Narodowy wystosował do księcia Czartoryskiego dwa listy.

Jakkolwiek listy te znajdują się w Wydawnictwie materyałów do historyi powstania w tomie V., str. 178. Nr. 39. i str. 179. Nr. 40. podaję jednak dosłownie, jako ważne dokumenta zawiązujących się stosunków.

List I. Komitet Centralny jako Rząd Narodowy.

Do Księcia Władysława Czartoryskiego.

Warszawa, d. 28. kwietnia 1863 r.

,W tych dniach wyjeżdża do Paryża osoba upoważniona do uregulowania stosunków pomiędzy Paryżem a Warszawą. Oprócz tego powiezie szczegółowe wiadomości tak o położeniu naszem, jak i strony przeciwnej. Obecnie ograniczamy się na doniesieniu, że R. N. ma zamiar przesłać J. O. Księciu nominacyę na pełnomocnika sprawy narodowej za granicami Polski. Główne pełnomocnictwo odnosić się będzie do Paryża; co się tyczy innych

miejsc, proszony jesteś J. O. Książe o przedstawienie kandydatów, których R. N. w urzędowaniach zatwierdzi; nim to jednak nastąpi cały kierunek działań dyplomatycznych, ma pozostać pod wyłącznym nadzorem i odpowiedzialnością W. Ks. Mości. Udzielone ze strony R. N. pełnomocnictwo, nie będzie ogłoszone, ujawnienie albowiem mogłoby utrudnić w obecnej chwili, stosunki osób zajmujących się sprawami; są one jednak konieczne tak dlatego, aby nadać pracom dyplomatycznym prowadzonym w różnych miejscach, jednakowy charakter, jak równie, aby była możliwość, odsunięcia osób działających w imieniu własnem a często w sprzeczności z tą dążnością, jaka leży w woli narodu, wyrażającej się przez obecnie istniejący R. N.

Równocześnie z pełnomocnictwem wręczoną będzie J. O. Księciu instrukcya, w której w ogólnych wyrazach, wskazane są granice działań dyplomatycznych w obecnej chwili — sądzę, że pod tym względem żadna nie zajdzie zmiana, że prace obecne dyplomatyczne, prowadzone w związku z ogólnem usiłowaniem powstańczem, będą przedłużeniem prac prowadzonych dawniej pod przewodnictwem J. O. Księcia. Listy o broń i pożyczkę dzisiaj będą do Księcia wysłane, prosimy o jak najspieszniejszą odpowiedź".

List II. K. C. jako R. N. do Obywatela Księcia p. Władysława Czartoryskiego.

Warszawa, d. 28. kwietnia 1863. N. 689.

„Niedostatek broni jest jedyną dzisiaj przeszkodą niedozwalającą rozwinąć się powstaniu w tych granicach, do jakich moralna siła i zapał całego Narodu rozszerzyćby mogły. Brak ten udaremniający najwznioślejsze poświęcenie narodu, wkłada obowiązek na Rząd Narodowy polecić W. Ks. Mości, abyś w programie działań swoich dostanie broni i sprowadzenie jej do Polski, na pierwszem położył miejscu.

Szczegółowej instrukcyi R. N. nie udziela w przekonaniu, że Książe będąc równie przekonany o gwałtowności potrzeby, broń dostaniesz, jeżeli dostanie jej jest możliwe; aby dać jednak miarę, o ile broń jest konieczną, nadmieniamy, że czwarta część zaledwie powstańców, ma broń odpowiednią tej, jaką nieprzyjaciel żołnierzy naszych morduje. W przypadku, gdyby stosunki, jakie Książe posiadasz, nieodpowiedniemi się pokazały, R. N. upoważnia W. Ks.

Mość do zbadania, czyby nie było możności zaciągnięcia w tym celu pożyczki narodowej.

O skutku niniejszego polecenia zechcesz Książe jak najprędzej R. N. zawiadomić".

Z listów tych widzimy, że Rząd Narodowy zawiązując stosunek z ks. Czartoryskim miał przedewszystkiem na myśli pomoc powstaniu, bo powiada, że instrukcya zawiera „granice działań dyplomatycznych — które prowadzone będą w związku z ogólnem usiłowaniem powstańczem"; a w drugim liście kładzie nacisk na zaopatrywanie powstania w broń, bo brak jej udaremnia wszystkie usiłowania i poleca, żeby książe w programie działań swoich — „dostanie broni i sprowadzenie jej do Polski, na pierwszem położył miejscu".

Więc nie akcya dyplomatyczna, ale bezpośrednia pomoc powstaniu miała być głównem zadaniem pełnomocnika Rządu za granicą.

Rząd powiada: „pełnomocnictwo nie będzie ogłoszone, bo ujawnienie w obecnej chwili, mogłoby sprowadzić trudności". Rząd Narodowy wiedział, że nominacya księcia Czartoryskiego będzie niechętnie przyjętą, że może nawet sprowadzić gromy, jednakże nie cofnął się przed tym aktem, bo spełnienie go nakazywał mu obowiązek, spożytkowania wszystkich okoliczności, użycia wszelkich środków, które mogą być dla powstania pożyteczne. Niezrozumienie tylko rzeczy lub zła wola, bo i ta była, mogły posądzać Rząd, że tylko w akcyi dyplomatycznej i w interwencyi mocarstw widział zbawienie, że spodziewając się tej interwencyi, zaniedbywał akcyę wojenną, a przynajmniej nie rozwijał jej z konieczną a odpowiednią energią.

Były to zarzuty nadzwyczaj ciężkie. Będę jeszcze miał sposobność powrócić do nich. Tu ograniczę się tylko na kategorycznem ich odparciu i zaprzeczeniu

Zajrzyjmy teraz w sfery rządowe moskiewskie. Od czasu wystąpienia arcybiskupa Felińskiego z Rady Stanu Królestwa, bardzo przyjazne dotąd stosunki tegoż z W. ks. Konstantym mocno ochłodły. Arcybiskup trzymał się z daleka, zajęty wyłącznie swymi obowiązkami duchowno-kościelnymi. W tym czasie zdarzyła się okoliczność, która stosunki te zaostrzyła. Była ona następstwem zwykłego wtrącania się Moskali do zwyczajów i nie mogących być kwestyonowanymi obrządków kościoła katolickiego. Takim obrząd-

kiem był obchód czysto kościelny, uroczystości Bożego Ciała. Według przepisów stanu wojennego, wszelkie tłumne zebrania na ulicach były zabronione. W. ks. Konstanty, któremu musiał ktoś zwrócić uwagę o możliwości owej procesyi, na parę dni przedtem polecił Krzywickiemu, dyrektorowi komisyi wyznań i oświecenia, żeby się udał do arcybiskupa i prosił o wydanie rozporządzenia duchowieństwu, żeby procesye z powodu stanu wojennego odbywały się tylko wewnątrz kościołów. Arcybiskup odpowiedział, że nie może zaprzeczyć rządowi prawa zakazywania publicznych procesyi, lecz może to zrobić przez odpowiednie swoje organa, a nie żądać od władzy duchownej wydawania zakazu, jakby z własnej inicyatywy. Gdy tę odpowiedź Krzywicki odniósł W. księciu, tenże zaraz kazał wezwać do siebie arcybiskupa. W. książe przyjął arcybiskupa w obecności Krzywickiego i jenerała Berga. Arcybiskup na zapytanie księcia, dlaczego odmawia wydania rozporządzenia o procesyach, odpowiedział: że zakazywanie obrzędów kościelnych nie należy do pasterza, że duchowieństwo może się poddać zakazowi, ale wydanie zakazu należy do policyi. — „A jeżeli księża nie posłuchają policyi, cóż policya ma wówczas zrobić?“ — zapytał książe. — „Nie sądzę, aby duchowieństwo dopuściło się takiego kroku, gdyby jednak znaleźli się tacy, to ci i mnie nie posłuchają. Nie moją jest rzeczą uczyć stróżów porządku, sądzę jednak, że wystarczyłoby postawić dwóch żandarmów przy każdym kościele, to procesya nie wyjdzie“. — „Dlaczego jednak w roku zeszłym procesyi wcale nie było?“ — zapytał książe. — „Bo jenerał Lüders wcale tego odemnie nie żądał, tylko ogłosił w gazetach z dodatkiem, że kartaczami każe strzelać, jeżeli procesya pojawi się na ulicy“ — odrzekł arcybiskup. — „A więc chcesz“ — zawołał książe — „żebym ja strzelał kartaczami do ludzi? a więc dobrze, mam dwanaście dział w dziedzińcu zamkowym, każę je wyprowadzić na ulicę i będę kartaczował tę bezbronną trzodę, którą własny jej pasterz na rzeź prowadzi“. — „Jenerał Lüders mógł to uczynić“ — odparł arcybiskup — „gdyż on odpowiadał za swe postępowanie tylko przed cesarzem. Ale Wasza Cesarzewiczowska Mość tego nie uczyni, bo stoi wobec Europy, wobec historyi i wobec potomności całej“. Na to W. ks. już nic nie odpowiedział, tylko opuścił gabinet bez pożegnania.

Ponieważ ze strony rządu nie wyszło żadne zabronienie, przeto arcybiskup w dniu uroczystym Bożego Ciała sam poprowadził procesyę z katedry, która pomimo, że brało w niej udział

kilkadziesiąt tysięcy ludzi, odbyła się zupełnie spokojnie i ściśle według przepisów rytualnych. Jak tylko arcybiskup wrócił po procesyi do domu, zjawił się u niego sekretarz W. księcia Nabokow z podziękowaniem od księcia za przykładny ład, w jakim się procesya odbyła i dodał przytem, że W. książe nie był przeciwnym procesyi, skoro jednak dowiedział się, że sam arcybiskup ją prowadzi, był już o porządek spokojny.

Był to wypadek ważny, o którym powszechnie w Warszawie mówiono, lecz nie wiedziano szczegółów. Ja opisałem to zajście według własnego pamiętnika ks. arcybiskupa Felińskiego [16]).

Opisując w I. części sprawę dymisyi arcybiskupa Felińskiego z Rady Stanu, wspomniałem na końcu o liście jego do cara, którego W. książe nie chciał przyjąć. O istnieniu takiego listu mówiono wówczas w Warszawie, ale treści jego nie znano. Teraz dopiero w końcu kwietnia list ten został ogłoszony za granicą w „Monitorze“ paryskim i tą dopiero drogą doszedł do wiadomości ogółu polskiego. Jakkolwiek stosunek społeczeństwa do arcybiskupa zmienił się bardzo i stracił już był tę ostrość, jaka go cechowała przed rokiem, to teraz znikły zupełnie wszelkie uprzedzenia i krzywdzące go podejrzenia. Społeczeństwo przekonało się, że człowiek, który z taką siłą przekonania zdolny jest tak przemawiać do cara za uciemiężonym narodem, nie uważając na następstwa i prześladowania, jakie go spotkać mogą, nie mógł nigdy być cara sługą i narzędziem; że jest to człowiek wielkiego serca, wielkiego charakteru, że jest wielkim obywatelem-patryotą i prawdziwym pasterzem swego narodu. Niedawna niechęć zmieniła się teraz na uwielbienie i cześć dla niego. Car nie usłuchał skargi i prośby tego wielkiego serca, a prześladowanie, jak zobaczymy, nie minęło go.

Arcybiskup w pamiętniku kończąc opowiadanie swojej rozmowy z księciem w sprawie procesyi Bożego Ciała, dodał taką o niej uwagę: „że cała owa gwałtowna scena w zamku nie księdza Felińskiego, ale Berga miała na względzie. Chodziło W. księciu o przekonanie swego cenzora (t. j. Berga) , że z całą energią i surowością postępuje“. Istotnie słowa powiedziane przez sekretarza księcia Nabokowa: „że książe nie był przeciwnym procesyi“ — mogą na tę myśl naprowadzić, tem więcej, jeżeli się zważy na następujące okoliczności.

W Petersburgu na podstawie rozmaitych intryg dworskich

---

[16]) Pamiętnik Arc. Felińskiego, wydanie 1-e.

i nadesłanych z Warszawy denuncyacyi ze sfer nieprzyjaznych tak W. księciu i wogóle obecnemu porządkowi i systemowi rządów moskiewskich w Królestwie, podejrzywano W. księcia o zbytnią łagodność, a nawet o sprzyjanie Polakom i o snucie jakichś antydynastycznych jego zamiarów.

O tych antydynastycznych marzeniach W. księcia Konstantego, chodziły po Warszawie rozmaite gadki. Nie będę ich tu powtarzał, bo według mego przekonania były to bajki. Wskutek tych podejrzeń petersburskich, jeszcze w miesiącu marcu, przyjechał niespodzianie do Warszawy jenerał-adjutant carski Adlerberg, osobisty przyjaciel cara. Już temu przyjazdowi przypisywano znaczenie polityczne, że car chciał mieć dokładne wiadomości o postępowaniu W. księcia. Teraz dnia 17. kwietnia przyjechał niespodzianie jenerał Berg, już w charakterze pomocnika W. księcia i zarazem naczelnego wodza wojsk w Królestwie konsystujących. Dotychczasowy bowiem wódz Ramsay jeszcze 30. marca został od tych obowiązków uwolniony. O Bergu i jego przeszłości będę miał sposobność mówić później. Tu tylko powiem, że w swojej wojskowej i politycznej karyerze okazywał wielkie zdolności szpiegowskie. Mianowanie go pomocnikiem W. księcia było już oznaką widoczną, że w Petersburgu mu nie ufają i że przysłano mu stróża, który każdy jego krok ma śledzić.

Przypomnijmy sobie, że margrabia Wielopolski rok temu, gdy wracał z Petersburga z nowym, a znacznie szerszym zakresem swego działania, już jako naczelnik rządu cywilnego przywiózł był ze sobą do Warszawy na dyrektora komisyi spraw wewnętrznych owego Kellera, zmoskwiczonego Niemca z Kurlandyi, wraz z jego bardzo piękną żoną. Przypomnijmy także sobie, ów złośliwy wierszyk, krążący wówczas po Warszawie, a charakteryzujący tych małżonków Kellerów, „że pan bierze, a pani daje“. Charakterystyka ta okazała się rzeczywiście bardzo trafną. Keller okazał się łapownikiem i złodziejem pierwszej wody, tak bezczelnym, że margrabia postanowił go usunąć. Był jednak o tyle niezręcznym, że przedstawiając namiestnikowi potrzebę usunięcia Kellera zaproponował zarazem na jego miejsce syna swego Zygmunta. To się namiestnikowi nie podobało, bo podejrzywał, że margrabiemu chodziło nie tyle o usunięcie Kellera, ile o zrobienie miejsca dla syna, choć może w części przynajmniej niesłusznie. Urząd dyrektora komisyi spraw wewnętrznych był bardzo ważnym i margrabia chciał na tem stanowisku mieć człowieka zupełnie sobie odda-

nego i działającego ściśle w myśl swoich poglądów i za najodpowiedniejszego uważał naturalnie swego syna. Tymczasem namiestnik się zaciął i odmówił wręcz margrabiemu. Ale Keller był nie tylko złodziejem, ale i zaciętym Moskalem, nienawidzącym Polaków, a nienawiści tej dawał wyraz w rozmaitych okólnikach, wydawanych przez siebie do gubernatorów cywilnych i to najczęściej samowolnie bez wiadomości margrabiego, jako swego bezpośredniego zwierzchnika. Gubernatorami byli Polacy, ludzie uczciwi. Takie zbyt drastyczne okólniki komunikowali margrabiemu. Stało się teraz, że wydał Keller takie dwa okólniki. W jednym polecał gubernatorom, żeby zamiast doniesień o nadużyciach, rabunkach i gwałtach rozmaitych naczelników wojskowych, zajęli się raczej starannie dowiadywaniem się o pobycie i działaniu oddziałów powstańczych i wiadomości te udzielali naczelnikom wojennym. W drugim okólniku nakazywał gubernatorom: „żeby dla wykorzenienia nieporządków i przywrócenia normalnego biegu spraw krajowych, wszystkim podwładnym sobie urzędnikom, a podejrzanym o sprzyjaniu powstaniu, o popieraniu nieporządków, o niedonoszenie władzy wyższej o zamierzonych przekroczeniach pomimo wiedzy o przygotowaniach do nich czynionych, dawał natychmiast dymisyę. Urzędników zaś zależnych od innych komisyi, t. j. skarbowych, sądowych, oświaty, zawieszali w urzędowaniu i zawiadamiali o tem ich bezpośrednie władze.

Okólnik pierwszy narzucał gubernatorom czynności, nie mające najmniejszego związku z administracyą, która była jedynem zadaniem władzy cywilnej. Drugi zaś okólnik, oddając gubernatorom dyskrecyonalną władzę nad urzędnikami w ich usuwaniu lub zawieszaniu, mógł był wprowadzić całą machinę rządową i we wszystkich kierunkach w zupełną anarchię i wstrzymać zupełnie normalny bieg spraw, nie tylko administracyjnych, ale sądowych, skarbowych i oświatowych. Okólniki te wydane nadto samowolnie, bez wiedzy margrabiego, oburzyły go do najwyższego stopnia.

Z tymi dokumentami w ręku, margrabia udał się do W. księcia, zażądał dymisyi Kellera, grożąc sam podaniem się do dymisyi. Pod tą presyą W. kniaź ustąpił i d. 29. kwietnia Keller otrzymał dymisyę. Margrabia teraz odstąpił od swej pierwszej myśli, oddanie tego urzędu synowi Zygmuntowi i zaproponował W. księciu Aleksandra Ostrowskiego, obecnego gubernatora Radomskiego. W. książe tę propozycyę przyjął, Ostrowski ukazem z d. 12. maja został mianowany dyrektorem spraw wewnętrznych. Nominacya

ta wywołała pewną sensacyę w sferach polskich, gdyż od czasu powstania listopadowego był to pierwszy Polak na urząd dyrektora spraw wewnętrznych mianowany. Car Mikołaj, a jak widzieliśmy i car Aleksander na to stanowisko zawsze powoływał Moskali i to zdecydowanych wrogów Polaków.

Z tych sfer rządowych, nie mam nic więcej szczególnego do zanotowania. Społeczeństwo też nie wiele zajmowało się tem, co Moskale robią, ale całą uwagę miało zwróconą, ku toczącej się walce.

ROZDZIAŁ VII.

Działania wojenne w ciągu lutego, a po części i marca opisałem już w pierwszej części. Od tego czasu powstanie rozwija się stopniowo, choć nierówno we wszystkich okolicach kraju.

W województwie Płockiem, jak wiemy, walczył Zygmunt Padlewski. Zostawiliśmy go d. 7. marca w Myszyńcu, krainie lesistej i zamieszkałej przez dzielny lud Kurpiów. Oddział Padlewskiego po połączeniu się z Zameczkiem, liczył około 2.000 ludzi, lecz bardzo słabo uzbrojonych. Wiemy, że przedtem zbliżył się był ku granicy, dla zaopatrzenia się w broń, o której nadesłaniu miał był wiadomości, ale zawiódł się, bo Moskale przed jego przybyciem broń skonfiskowali, więc wrócił do Myszyńca. Chciał on tu dać wytchnienie zmęczonemu wojsku, lecz Moskale, którzy wiedząc o nim, pilną zwracali uwagę na jego ruchy, nie dali mu odpoczynku i dnia 9. marca pod dowództwem Wałujewa zaatakowali go [1]). Bitwa uporczywa trwała kilka godzin. Padlewski sam ze sztandarem w ręku, szedł w najcięższy ogień, prowadząc kosynierów, lecz ci pod gradem kul moskiewskich, nie wytrzymali i pierzchnęli. W czasie bitwy otrzymał Padlewski wiadomość, że druga kolumna moskiewska, zdąża od Ostrołęki, rozkazał więc odwrót. Moskale musieli ponieść znaczne straty, bo go nie ścigali. Padlewski 10. marca wieczór stanął w Drążdżewie. Tu rano 11. marca [2]) został znowu zaatakowany i ze znacznemi stratami musiał się znowu cofać. Tu zginął Edward Rolski, komisarz Płocki Rządu Narodowego. Położenie Padlewskiego było bardzo krytyczne. Stracił znaczną część ludzi nie tyle w zabitych i rannych, ile w rozprószonych, stracił kilkunastu oficerów, brakowało amu-

[1]) Zieliński, str. 228 ob. Prasnyski. (P. R.).

[2]) Zieliński str. 228 podaje datę 12/3. ob. Prasnyski. (P. R.).

nicyi i żywności, brakowało broni, duch w oddziale osłabł, a ciągłe intrygi Zameczka, niechętnego i zazdrośnego Padlewskiemu stanowiska, powodowały rozluźnienie się karności w wojsku. Te okoliczności wywołały nawet pewne zniechęcenie i wątpliwość w duszy nawet tak dzielnego człowieka, jakim był Padlewski. W tym czasie musiał otrzymać list od Stefana Bobrowskiego *), który go podniósł na duchu i pobudził energię.

Nie mogę opisywać przebiegu całej kampanii Padlewskiego, jak i wogóle działanie wszystkich innych oddziałów, bo mógłbym to podawać tylko na podstawie szczególnych raportów, a tych nie mam i wogóle brak jest prawie zupełny źródeł autentycznych polskich [3]). Wprawdzie autor „Dziejów r. 1863" opisuje szeroko wszystkie bitwy, lecz jak już o tem pisałem, opisy jego opierają się przeważnie na źródłach moskiewskich z dodaniem własnych przypuszczeń i kombinacyi. Wdając się w takie szczegóły w każdym razie wątpliwe i niepewne, nadawałbym im cechę autentyczności, a przedewszystkiem odstąpiłbym od założenia i przekroczył zakres mej pracy, który sobie z góry zaznaczyłem.

Padlewski po owej bitwie pod Drążdżewem postawił sobie za zadanie bądź co bądź uwolnić się od ścigających go Moskali. Po różnych marszach i kontrmarszach, po drodze wzmocnił się oddziałem Malinowskiego do 200 ludzi wynoszącym, przeszedł na prawy brzeg rzeki Wkry i około 17. marca zatrzymał się w Koszeminie, w wielkich lasach, gdzie wolny od pościgu, mógł odpocząć i uporządkować oddział. Posunął się potem ku Brodnicy nad Wkrą i tu pozostał do 20. marca. Tu z listu Bobrowskiego, pisanego z 13. na 14. marca dowiedział się o dyktaturze Langiewicza i tę wojsku swemu ogłosił. W Brodnicy spodziewał się otrzymać broń z Prus, ale go to zawiodło. Moskale tymczasem dowiedzieli się o jego pobycie w okolicach Brodnicy i rozpoczęli nowy pościg. Padlewski

*) Kilka takich listów, które znaleziono przy Padlewskim w chwili jego aresztowania, ogłosił Berg w swoich zapiskach o powstaniu (Tom III., dodatek do księgi VIII., Tłómaczenie polskie). List, o którym tu wspominam, nosi datę 6-go na 7-go marca w nocy. List drugi nosi datę z 13-go na 14-go marca. List z datą 2-go marca pisał Oskar Awejde z polecenia Rządu dla podtrzymania chwiejącego się ducha Padlewskiego, który uwydatniał się w jego raportach. List ostatni Stefana Bobrowskiego bez daty, pisany był zapewne już przed samym jego wyjazdem na pojedynek, a w każdym razie po powrocie z Krakowa i przeczytaniu jego raportu i listu, pisanego po rozpuszczeniu oddziału. W liście tym, w którym sam usiłował podtrzymać przyjaciela, ćmi już boleść i jego samego przejmująca.

[3]) Dzieło Zielińskiego wyszło dopiero w r. 1913 — a autor ten ustęp pamiętnika pisał w r. 1910. (P. R.).

zdecydował się stawić im czoło w Radzanowie d. 21. marca [4]). Bitwę przegrał, ponosząc ciężkie straty, przyczem znaczna część oddziału poszła w rozsypkę, a to co pozostało, było w wysokim stopniu zdemoralizowane. Padlewski się cofał, mając ciągle depczących mu na pięty Moskali. Demoralizacya się szerzyła, żołnierz szemrał, podniecany ciągłemi intrygami Zameczka. Tak doszedł do Gorczewa w powiecie Lipnowskim i tu oddział rozpuścił, a sam z posłuszną mu jazdą, przeszedł w powiat Mławski. Działo się to 22. marca. Doniósł o tem Rządowi Narodowemu i prosił o przeniesienie go gdzieindziej. Odpowiedzią na ten raport był list Oskara Awejdy z d. 27. marca.

Kampania Padlewskiego tu właściwie się kończy. Pojechał teraz w Ciechanowskie, gdzie czekał na odpowiedź Rządu, na list ostatni. Zajął się tymczasem nową organizacyą. Wspomina o tem Berg w swych zapiskach, lecz Rząd nie miał o tem żadnych wiadomości. Tu Padlewski otrzymał od komisarza Rządu Narodowego w Prusach zachodnich wiadomość, że niebawem wkroczy do Królestwa nowy oddział tamże sformowany. Padlewski postanowił sam udać się na przyjęcie tego oddziału, o czem zawiadomił komisarza i że oczekiwać go będzie w nocy z 21. na 22. kwietnia we wsi Radzikach małych nad Drwecą w powiecie Lipnowskim. W drodze d. 20. kwietnia nie daleko już celu podróży, pod wsią Borzyminem natknął się na patrol kozacki. Padlewskiemu towarzyszyli w podróży Kuczborski adjutant i szef sztabu Sokołowski i dwóch jeszcze adjutantów. Gdy kozak bryczkę zatrzymał i zażądał paszportu, Padlewski zamiast paszportu dawał mu 100 rubli. To go zdradziło. Nadjechał oficer, patrol prowadzący Prowolski, poznał Padlewskiego i zaaresztował go. Odstawiono go do Lipna, a potem do Płocka.

W parę dni potem 22. albo 23. kwietnia odebraliśmy o tej katastrofie raporta naczelnika województwa Grabowskiego i komisarza Grzywińskiego ze szczegółami, które wyżej podałem. Po tak niedawnej wiadomości o śmierci Bobrowskiego, był to cios drugi, który rozumieliśmy dobrze, że musi się skończyć tragicznie. Wysłaliśmy też natychmiast do obu tych naczelników głównych województwa rozkaz, by przedsięwzięli wszystkie możliwe starania uwolnienia Padlewskiego, przekupstwem, choćby nawet siłą zbrojną. Wszelkie jednak usiłowania były nadaremne. Siły zbrojnej

[4]) Zieliński str. 229 idem ob. Mławski. (P. R.).

odpowiedniej nie było. Padlewski był zanadto wybitną osobistością, ujęcie go było wielkim dla Moskali tryumfem, pilnowali go dobrze i przekupstwo udać się nie mogło, chociaż gotowiśmy byli ofiarować wysokie kwoty. Padlewski skazany został na śmierć przez rozstrzelanie. Wyrok zatwierdzony przez W. kniazia, został wykonany d. 15. maja w Płocku.

Stało się! My straciliśmy w Padlewskim współtowarzysza tych ciężkich chwil walk dusznych wewnętrznych, przez które przechodziliśmy, mając rzucić to wielkie hasło: „Powstanie". Takie chwile przeżyte wspólnie zbliżają się i wiążą ludzi więcej i ściślej i trwalej niż całe nieraz lata współżycia. Straciliśmy więc w nim i serdecznego przyjaciela.

Z żadnym z innych dowódzców powstania nie wiązały nas tak blizkie i tak serdeczne osobiste stosunki. Żegnaliśmy go sami, pełni wiary i nadziei, gdy posłuszny rzuconemu hasłu wyjeżdżał, dla objęcia dowództwa nad zastępami młodzieży, wyszłej z Warszawy, tak samo jak i on przejętej pełnią miłości Ojczyzny i poświęcenia dla niej. Żegnaliśmy go ze szczerem, braterskiem uczuciem. Pokrzepialiśmy go potem i wzmacniali, gdy przyciśnięty okolicznościami i przeciwnościami upadał na duchu. Żal też nasz teraz był szczery, serdeczny i głęboki. A tem jeszcze głębszy, bo wiedzieliśmy, że powstanie traci w Padlewskim jednego z najzdolniejszych, lecz niestety zarazem i najnieszczęśliwszych wodzów, a Ojczyzna traci najwierniejszego i najbardziej oddanego syna. Cześć jego pamięci!

Padlewski Zygmunt zmuszony był walczyć w jak najniekorzystniejszych warunkach. Powstanie w Płockiem już w pierwszej chwili chybiło zupełnie. Wszyscy właściciele ziemscy byli nieprzejednanymi przeciwnikami powstania, oni spowodowali ucieczkę Bończy, która tak demoralizujący wpływ wywarła. I teraz po bitwie pod Drążdżewem, znalazło się znowu takie indywidyum, które namawiało Padlewskiego do porzucenia wszystkiego („Dzieje r. 1863", Tom II., str. 227, dopisek 2). Jedyny żywioł, na którym powstanie się opierało, była ludność miejska, lud wiejski nie brał żadnego udziału, był obojętny, z wyjątkiem Kurpiów myszanieckich. Zupełny brak broni. Transporty jej z Prus przełapywali Prusacy i Moskale. Połączenie się z Zameczkiem ambitnym i zazdrośnym człowiekiem, który ciągle wichrzył i niepokój a nieufność siał w wojsku. Wszystkie te okoliczności nie tylko że niekorzystnie wpływały na los i rozwój powstania, demoralizowały tych, co

w niem udział brali, zniechęcały innych, a co najgorsza zniechęcały i demoralizowały samego wodza, odbierały mu energię, wolę, zapał, osłabiały w nim wiarę w powodzenie, wiarę, która była w nim tak silną, gdy wyjeżdżał z Warszawy. Istotnie Zygmunt Padlewski pomimo wszystkich, jakie posiadał warunków, zdolności, wiedzy wojskowej, rozumu, energii, odwagi osobistej, gotowości do ofiary i poświęcenia dla umiłowanej Ojczyzny, tak niezbędnych dla wodza — był najnieszczęśliwszym wodzem.

Jeszcze z rozkazu Padlewskiego w powiecie Ostrołęckim, między Kurpiami, w początku kwietnia, zaczęli formować oddział: Ignacy Mystkowski i Bronisław Deskur. Sformowany i wyćwiczony ten oddział w sile około 700 ludzi wyruszył w pole dopiero w początku maja i zaraz 7. maja stoczył zwycięską bitwę z Moskalami pod Komorowem. Następnie 13. maja urządzili zasadzkę w miejscowości Zaręby [5]) między Czyżewem a Małkinią przy drodze żelaznej warszawsko-petersburskiej. Zasadzka się nie udała, zginął Mystkowski i kilku zdolnych oficerów, między nimi Podbielski, oficer jeneralnego sztabu moskiewskiego, który przed bitwą przybył prosto z Petersburga do obozu. Po tej bitwie Moskale jak najokropniej mordowali rannych, wyłupywali bagnetami oczy, obcinali nogi, uszy, ręce. Po Mystkowskim objął dowództwo Karol Frycze, lecz w kilka dni potem, 22. maja zginął w przegranej bitwie pod Łączką. Klęskę pod Zarębami pomścił jeden człowiek, budnik kolejowy. W parę dni po tej bitwie miał przechodzić pociąg, wiozący kilkaset ludzi gwardyi do Warszawy. Budnik z własnej inicyatywy urządził zasadzkę. Z części toru na wysokim nasypie odbił szyny od pokładów, powiązał je linewką, której koniec sam trzymał w ręku, ukryty w przyległej olszynie. Gdy nadjeżdżał pociąg, idąca przed nim lokomotywa z jednym tylko wagonem, poprzedzająca główny pociąg jako rekonans, przeszła szczęśliwie. Budnik za pociągnięciem linki wyrwał kilka szyn z toru. Pociąg właściwy nie przeczuwając takiej zasadzki, w całym pędzie padł na przerwę i zwalił się z kilkometrowej wysokości w błotnistą dolinę. Z kilkuset ludzi zapełniających pociąg ani jeden nie ocalał. Straszny to sposób tępienia nieprzyjaciela, ale czyż Moskale mordując rannych, nie inaczej postępowali? („Pamiętnik Bronisława Deskura", Wydawnictwo materyałów do historyi powstania, T. II.).

W województwie Mazowieckiem po niefortunnej bitwie pod

[5]) Zieliński str. 233 nazywa Kietlanka ob. Ostrołęcki. (P. R.).

Bieniszewem, gdzie oddziały Mielęckiego i Garczyńskiego zostały zmuszone przejść granicę do Księstwa, nastała cisza. Komitet Wielkopolski wskutek nalegań i wielkich ofiar pieniężnych szczególniej hr. Jana Działyńskiego *), zabrał się energicznie do poleconego mu zadania wspierania powstania. Zebrano przeszło półtora miliona złr. p., w których sam Działyński dał jeden milion, przeznaczając tę kwotę na formowanie oddziałów i ich uzbrojenie.

Za pośrednictwem ks. Władysława Czartoryskiego, szwagra hr. Działyńskiego, sprowadzono kilku oficerów Francuzów i śpiesznie kupowano i sprowadzano broń. Sformowano dwa oddziały. Jeden pod dowództwem Kazimierza Mielęckiego, jako już mianowanego naczelnika wojennego Mazowieckiego, drugi Edmunda Calliera, Polaka, francuskiego pochodzenia i osiadłego w Polsce. Oddziały te w pierwszych dniach drugiej połowy marca, małemi partyami przeszły granicę i zebrały się w lasach Kazimierzowskich 19. marca. Mielęcki jako wódz naczelny wyruszył w pole na północ ku Kleczewu. Nazajutrz 20. marca [6]) nastąpiła bitwa, Mielęcki zmusił Moskali do odwrotu, lecz nieszczęście chciało, że obadwaj dowódzcy Mielęcki i Callier zostali ciężko ranni, co naturalnie demoralizująco oddziałało na wojsko i tak marszem i kilkugodzinną bitwą zmęczone. Miśkiewicz, który objął dowództwo, zwrócił się ku Slezinowi, gdzie d. 22. marca musiał stoczyć krwawą bitwę, w której został zupełnie rozbity.

Rząd Narodowy powiadomiony o ustąpieniu Mielęckiego, mianował Seifrieda naczelnikiem wojennym Mazowieckim i polecił mu objąć dowództwo nad dwoma formującymi się oddziałami w województwie przez Oborskiego i Solnickiego.

Komitet poznański niezrażony niepowodzeniem uformował znowu dwa oddziały, które prawie jednocześnie w połowie kwietnia przeszły granicę.

Oddział pierwszy pod dowództwem Edmunda Taczanowskiego zebrał się pod Pyzdrami dnia 16. kwietnia [7]) i liczył 1.200

*) Jan hr. Działyński, ożeniony z ks. Izabellą Czartoryską, córką ks. Adama, był ostatnim z tego prawdziwie patryotycznego polskiego rodu Działyńskich — który jedyny z całej liczby magnatów w ostatnich chwilach upadającej Polski, nie tylko nie splamił się żadnymi stosunkami tak z Moskalami jak i z Prusakami, ale przeciwnie brał gorący, czynny i ofiarny udział, tak w powstaniu Kościuszkowskiem, jak i w legionach, jak i wreszcie w powstaniu listopadowem. Na hr. Janie Działyńskim wygasł ten ród w swej linii męskiej.

[6]) Zieliński str. 194 podaje datę 22/III. miejscowości Pątnowo, ob. Koniński. (P. R.).

[7]) Zieliński str. 196 idem ob. Koniński. (P. R.).

ludzi zebranych z ochotników i oddziału poznańskiego, dowodzonego przez francuskiego oficera Faucheux. W oddziale tym znajdowali się jako ochotnicy: Jan hr. Działyński i Władysław Niegolewski, znany dobrze poseł na sejm berliński. Znajdował się też drugi Francuz Ganier d'Abin, któremu oddano dowództwo nad kosynierami. Oddział był wogóle doskonale uzbrojony. Przez dni kilkanaście oddział się formował i ćwiczył i dopiero d. 29. kwietnia wyruszył naprzeciwko zdążającego ku niemu nieprzyjaciela. Pod Pyzdrami [8]) zawiązała się bitwa, która trwała dzień cały i skończyła się zupełnem odparciem Moskali, pomimo, że mieli przeważne siły i artyleryę. D. 1. maja Taczanowski opuścił Pyzdry, d. 6. maja zajął miasto Koło [9]), a dowiedziawszy się o ciągnącym nieprzyjacielu, kazał zerwać most na Warcie. Starcie ograniczyło się tylko na niezbyt szkodliwej strzelaninie po przez rzekę. Nazajutrz raniutko opuścił Koło i stanął w wiosce Ignacewie, gdzie zdecydował się przyjąć bitwę, pozycyę miał doskonałą, którą kazał jeszcze umocnić rozmaitemi polowemi fortyfikacyami. D. 8. maja [10]) Moskale uderzyli na Ignacewo przeważającemi dwa razy siłami, gdyż mieli do 3.000 ludzi i 6 dział, gdy Taczanowski rozporządzał tylko około 1.200 ludzi i dwoma małemi żelaznemi armatkami. Do godziny 4. popołudniu Moskale nie mogli przełamać fortyfikacyi Ignacewa. Dopiero popołudniu jakiś zdrajca Niemiec, pokazał im łatwe przejście przez bagna, osłaniające Ignacewo od lewego skrzydła.

Obszedłszy te bagna Moskale całą siłą uderzyli w to lewe skrzydło i zajęli tył. Taczanowski bronił się wszelkiemi siłami prawie do nocy, lecz musiał uledz tak wielkiej przewadze. Moskale zapalili wioskę. Oddział Taczanowskiego został rozbity, sam wódz schronił się do Prus. Rozbitków hr. Działyński przeprowadził w lasy Kazimierzowskie, broń kazał zakopać, a ludziom się rozejść.

Bitwa pod Ignacewem była jedną z najcięższych w powstaniu. Polacy walczyli z zaciętością i męstwem, a ulegli tylko przeważającej sile i zdradzie owego Niemca. Bądź co bądź rezultat bitwy, skończony zupełnem rozbiciem tak mocnego i z takim kosztem i staraniem sformowanego oddziału, działał demoralizująco. Klęska ta była tem dotkliwszą, że i drugi oddział poznański, który jednocześnie z Taczanowskim przeszedł granicę, temuż samemu uległ

[8]) Zieliński str. 198 idem ob. Koniński. (P. R.).
[9]) loco str. 200 idem idem. (P. R.).
[10]) loco str. 200 idem idem (P. R.).

losowi. Oddział ten pod dowództwem dzielnego Francuza, Jounga de Blankenheim wszedł 16. albo 17. kwietnia w lasy Kazimierzowskie, gdzie zaraz przeszedł pod komendę Seifrieda, który teraz wraz z oddziałami Oborskiego i Solnickiego liczył do 1.000 ludzi. Dnia 26. kwietnia [11]), zaatakowany pod Nową wsią przez silny oddział moskiewski, po kilkugodzinnej bitwie, nie tylko odparł, ale zmusił Moskali, że pod grozą zupełnego rozbicia i zabrania do niewoli, do przejścia granicy i oddania się pod opiekę wojsk pruskich. Prusacy nie tylko nie rozbroili ich, ale przyjęli z honorami i osobnym pociągiem odstawili do stacyi granicznej Aleksandrowa. Wypadek ten narobił wiele hałasu w całej Europie, ale dał namacalny dowód zawartej konwencyi prusko-moskiewskiej. Gdy wiadomość o tej klęsce doszła do Warszawy wywołała burzę w moskiewskich sferach wojskowych. Wysłano jenerała Kostandę z odpowiedniem wojskiem i z pełnomocnictwem objęcia dowództwa nad miejscowemi siłami wojskowemi dla powetowania tej klęski.

Tymczasem Seifried po bitwie rozdzielił swe wojsko na trzy oddziały, wzajemnie wspierać się mające, jeden pod własnem dowództwem, drugi oddał Oborskiemu, a trzeci Joungowi i pomaszerował do Izbicy, gdzie w lesie rozłożył się obozem. Dnia 29. kwietnia Moskale zaatakowali pod Brdowem oddział Jounga [12]). Ten spodziewając się pomocy dwóch drugich oddziałów przyjął bitwę z przemagającemi siłami nieprzyjacielskiemi. Gdy oddział pod naciskiem ustępującego nieprzyjaciela zaczął się mięszać i cofać, Joung prowadząc kosynierów do ataku upadł ugodzony kulą w piersi. Oborski nadszedł wprawdzie, ale nie mógł powstrzymać ustępujących powstańców. Tymczasem Seifried nie tylko nie pospieszył wcale z pomocą, ale opuścił zupełnie pole walki.

Oborski ze swoim oddziałem, z rozbitkami Jounga i opuszczonymi przez Seifrieda powstańcami, szybkimi marszami przeszedł w województwo Kaliskie.

W początkach kwietnia Rząd Narodowy polecił formować oddział niejakiemu Drewnowskiemu w Rawskiem, gdyż w tych okolicach od czasu wymarszu z nich Jeziorańskiego ruch powstańczy zupełnie ucichł. Oddział ten możliwie dobrze uzbrojony, liczył kilkaset ludzi piechoty i jazdy. D. 29. kwietnia Drewnowski wyruszył z Korabiewa, pod miasteczkiem Mszczonowem, gdzie się ostatecznie uformował, na południe, przeszedł Pilicę pod Nowem Mia-

[11]) Zieliński str. 31 idem ob. Kujawski. (P. R.).
[12]) Zieliński str. 31 idem ob. Kujawski. (P. R.).

stem i w lasach tamtejszych rozłożył się obozem, niby dla dalszego formowania się i ćwiczenia. Tracił czas bezczynnie, nie troszcząc się, co się naokoło niego dzieje. 14. maja otrzymać miał wiadomość o nadciągającym nieprzyjacielu i w nocy opuścił obozowisko i udał się do wsi Klona, gdzie go niespodzianie 15. maja napadli Moskale [13]). Drewnowski zaraz z samego początku uciekł z placu boju potajemnie, zostawiając oddział na łasce losu, który naturalnie został rozbity.

Muszę tu na chwilę przerwać rozpoczęte opowiadanie o działaniach wojennych, a zająć się inną sprawą, która jak obaczymy miała związek z opowiedzianemi działaniami Seifrieda i owego uciekającego od oddziału Drewnowskiego.

Wiemy, że po upadku Langiewicza, jenerał Ludwik Mierosławski siedział w Krakowie, wichrzył tam ciągle i przemyśliwał nad sposobami obalenia Rządu Narodowego i odzyskania dyktatury, do której rościł sobie pretensye i uznawał ją ciągle za prawomocną. Odrzucił, jak wiemy, propozycye czynione mu przez Bobrowskiego w Krakowie zaraz po upadku Langiewicza. Odrzucił też propozycye, powierzone mu teraz przez Jana Maykowskiego, mianowicie naczelne dowództwo w kraju na prawym brzegu Wisły, albotež na Litwie, dostarczenie broni i wszelkich efektów wojennych, potrzebnych do tworzenia oddziałów. Wszystko to odrzucił, upierając się przy swoich prawach do dyktatury. Wiemy, że miał tam w Krakowie wielu swoich zwolenników, którymi się otaczał i którzy mu pomagali w jego zamiarach. Utrudniali oni pracę i usiłowania tamtejszych władz narodowych, przejmowali korespondencyę, przesyłki pieniężne, utrudniali formacyę oddziałów przez odmawianie ludzi, którym obiecywali płacenie większego żołdu, przechwytywali sprowadzaną broń i efekta wojenne dla uzbrojenia swoich oddziałów, które Mierosławski w cichości formował i z którymi miał zamiar wkroczyć do Królestwa. Udało mu się istotnie takie dwa oddziały i to dosyć silne sformować. Z jednym z tych oddziałów miał wyjść sam jenerał Mierosławski, jako przyszły dyktator. Oba te oddziały miały wkroczyć do województwa Krakowskiego, gdzie od czasów Langiewicza, była zupełna prawie cisza.

Pierwszy oddział pod dowództwem Jacka Malczewskiego przeszedł granicę w nocy z 3. na 4. maja niedaleko Igłoni i zatrzymał się w miejscowości, zwanej Pobiednik. Miał on tam czekać na oddział drugi, mający przejść w kilka godzin potem.

---

[13]) Zieliński str. 134 — 16. maja Klona ob. Opoczyński, a 17. maja Stawiszyn ob. Radomski. (P. R.).

Malczewski miał pod swymi rozkazami stokilkadziesiąt ludzi i miał ze sobą nieodzowne wozy hussyckie Mierosławskiego. Malczewski nieposłuszny udzielonej mu instrukcyi, opuścił Pobiednik i posunął się ku Igołomi. Moskale albo powiadomieni, albo bardzo czujni zaraz tego samego d. 4. maja uderzyli na Malczewskiego [14]), oddział rozbili i wypchnęli nazad do Galicyi, gdzie został przez wojska austryackie rozbrojony i w znacznej części wzięty do niewoli.

Drugi oddział pod dowództwem Miniewskiego, przekroczył granicę tej samej nocy z 3. na 4. maja, około Sławkowa pod wsią Poręba i szybkim marszem dotarł do wsi Podlesie [15]), gdzie odparł napotkany mały oddział, a raczej patrol moskiewski i posunął się tego samego dnia 4. maja, dalej w głąb kraju i zatrzymał się w lasach Olkuskich pod Krzykawką. Oddział ten, znacznie liczniejszy od pierwszego, składał się przeważnie z cudzoziemców, Włochów, Francuzów, stanowiących osobną legię pod dowództwem Garybaldczyka pułkownika Nullo. Tutaj pod tą Krzykawką, d. 5. maja [16]) został zaatakowany przez Moskali. Po parugodzinnej bitwie, gdzie szczególniej Francuzi i Włosi uporczywie i mężnie walczyli i dowódzca ich pułkownik Nullo znalazł bohaterską śmierć, oddział został rozbity ze znacznemi stratami w zabitych, rannych i wziętych do niewoli. Niedobitki parte przez nieprzyjaciela, który nie dawał pardonu i rannych mordował, tego samego dnia przeszli granicę.

Tak się skończyła druga dyktatorska wyprawa, w której jednak sam dyktator nie brał wcale udziału.

Rząd Narodowy wiedział wprawdzie, choć niedokładnie o tych machinacyach wichrzycielskich Mierosławskiego, nie brał ich bardzo do serca, ale o formowaniu oddziałów nie miał żadnej wiadomości.

W kilka dni dopiero po tych bitwach, odebrał raport, nie pamiętam, czy od któregoś z komisarzy, czy od zwyczajnego komisarza krakowskiego, Seweryna Elżanowskiego, czy też od nadzwyczajnego Jana Maykowskiego, o tej nieudałej wyprawie Mierosławskiego. Może być nawet, że to doniesienie nie pochodziło od żadnego z tych komisarzy wprost, bo dokładnie nie pamiętam, ale zawsze była to wiadomość urzędowa, otrzymana z Krakowa.

---

[14]) Zieliński str. 168 idem ob. Miechowski. (P. R.).
[15]) loco str. 169 idem ob. Olkuski. (P. R.).
[16]) loco str. 169 idem ob. Olkuski. (P. R.).

W doniesieniu tem była wzmianka, że wkroczenie tych dwóch oddziałów, było w związku ze spiskiem przez Mierosławskiego uknutym, że było zrobione w porozumieniu ze Seifriedem i owym Drewnowskim. Że oba te oddziały, miały forsownymi marszami, unikając spotkania się z Moskalami, przedzierać się w głąb Królestwa, że przy jednym z nich miał być własną osobą Mierosławski. Że gdzieś ponad Pilicą miały się spotkać z oddziałami, prowadzonymi przez Seifrieda i Drewnowskiego i że po tem połączeniu jenerał Mierosławski miał ogłosić swoją dyktaturę, a jednocześnie w Warszawie miano rozpędzić Rząd Narodowy. Wiadomość tę Rząd Narodowy odebrał prawie jednocześnie z raportem komisarza województwa Mazowieckiego o rozbiciu oddziału Drewnowskiego, a parę dni przedtem odebrał podobną wiadomość o klęsce pod Brdowem i o zachowaniu się tam Seifrieda, jak i o ciężkiej bitwie pod Ignacewem i fatalnym jej wyniku.

Wiadomości te, które prawie jednocześnie się zeszły, przyznam otwarcie, sprawiły w Rządzie Narodowym wrażenie wprawdzie przygnębiające, ale nie rozpaczliwe. Zwykle jak w wojnie, szczęście idzie zmiennemi drogami, raz się wygrywa, drugi raz przegrywa. W wojnie regularnej podobna przeprawa jak pod Ignacewem, naturalnie w zwiększonych rozmiarach, mogła stanowić o całej kampanii. W wojnie partyzanckiej, rozsianej po całym kraju takie przegrane, nie mogły przesądzać o losie powstania.

Wiadomość o nieudałym spisku Mierosławskiego, przyjęliśmy obojętnie. Wprawdzie podnosiły się głosy, żeby raz skończyć z warcholstwem Mierosławskiego, ale na pytanie jak, nikt nie mógł odpowiedzieć; wymykał się on zupełnie z pod naszej władzy. Można go było kazać zabić, albo ogłosić za zdrajcę Ojczyzny, tak jedno jak i drugie nie było możliwem, gdyż miałoby charakter stronniczej walki i mogłoby wzniecić zarzewie wojny domowej, któraby istotnie zabiła powstanie, a byłaby tryumfem Moskali. Robiono przytem wyrzuty mnie i Awejdemu, za powołanie Mierosławskiego do dyktatury. Przyznaliśmy się do błędu, choć w najlepszej myśli i wierze popełnionego. Widzieliśmy w nim żołnierza, wodza, a zobaczyli człowieka. Przyznałem się już raz w tej mojej pracy do błędu i teraz jeszcze się przyznaję.

Najgłębiej jednak poruszyła nas wyraźna zdrada Seifrieda i jego mogliśmy dosięgnąć. Doniesienie, któreśmy otrzymali, nie było jednak jasnem i stanowczem, należało sprawę zbadać. Postanowiliśmy wysłać nadzwyczajnego komisarza dla przeprowadze-

nia śledztwa z zupełnem pełnomocnictwem działania, stosownie do wyniku dochodzeń. W każdym razie za samowolne opuszczenie oddziału w czasie bitwy, oddanie pod sąd. W razie udowodnienia przestępstwa, odebranie dowództwa z pozbawieniem wszelkich praw na przyszłość. W takim razie pełnomocnik miał w imieniu Rządu zamianować naczelnikiem wojskowym województwa Mazowieckiego, pułkownika Oborskiego, który jako były podpułkownik wojsk moskiewskich był doświadczonym żołnierzem.

Sprawę tę poruczyliśmy Stanisławowi Jarmundowi. Misya Jarmunda nie powiodła się, bo przyjechawszy na miejsce, nie zastał już Seifrieda, który przewidując zapewne następstwa swego postępowania, powiadomiony o nieudaniu się spisku, wyjechał za granicę. Jarmund w myśl upoważnienia dopełnił tylko nominacyi Oborskiego. Drewnowski zniknął także z horyzontu zupełnie *).

W województwie Kaliskiem po opuszczeniu go przez Oksińskiego, w połowie marca nie było żadnego oddziału. Oksiński w okolicach Złotego Potoku w Krakowskiem się organizował i dopiero w końcu marca lub na początku kwietnia, pokazał się w Częstochowskiem i Wieluńskiem, wraz z drugim dowódzcą, Lüttichem. Pokazał się tam także oddział Parczewskiego. Staczali oni ciągłe potyczki z Moskalami. Ważniejsze bitwy zaszły pod Rudnikiem 22. kwietnia [17]) i pod Koniecpolem dopiero 25. maja [18]), gdzie Oksiński pobił nieprzyjaciela. Po bitwie pod Brdowem, pułkownik Oborski mianowany naczelnikiem Mazowieckim z części rozbitego oddziału Junga, nad którym objął był komendę Słupski, a Włodek

*) Autor „Dziejów 1863 r.", mówiąc w Tomie II. o udziale Drewnowskiego, powiada, że to nazwisko było przybrane, że on właściwie nazywał się Jaworski — opisuje jego osobę, stosunki, poprzedzające jego udział w powstaniu. Nie mogę o tem nic powiedzieć, ani zaprzeczyć, ani potwierdzić. Wiem tylko to, że osobie tego nazwiska „Drewnowski" Rząd polecił formacyę oddziału. Nie należy jednak mieszać owego rzekomego Jaworskiego z byłym majorem czy podpułkownikiem wojsk moskiewskich, rzeczywistym Jaworskim, którego Rząd narodowy w początkach maja mianował naczelnikiem wojskowym Województwa Kaliskiego (patrz tekst). Ów prawdziwy Jaworski był bowiem tylko nominalnym naczelnikiem Kaliskim i to bardzo krótko. Nie pokazał się wcale na placu boju, lecz obrał sobie kwaterę we wsi Skrzynkach, nad samą granicą, nad Prosną położoną, a własnością pani hr. Starzyńskiej będącej i stamtąd ani się nie ruszył, a gdy przypadkiem do tej wsi zajeżdżał patrol moskiewski, siadał wprędce do łodzi i umykał za granicę. Naturalnie Rząd dał mu dymisyę i więcej o nim nie było słychać. Gdym w roku 1864 opuszczał kraj, udając się na emigracyę, w tych samych Skrzynkach przejeżdżałem granicę — a p. Starzyńska opowiadała mi o pobycie u niej owego Jaworskiego, z wielkiem oburzeniem i że go prawie wygnała wprost od siebie.

[17]) Zieliński, str. 197, nazywa Kluski — Tustowo, ob. Wieluński. P. R.

[18]) loco, str. 202, idem ob. Piotrkowski. P. R.

nad oddziałem Seifrieda, posunął się w północną część województwa Kaliskiego. Stoczył 23. maja bitwę pod Niewieszem [19]), a ranny ciężko, musiał wyjechać za granicę, oddał dowództwo Słupskiemu. Oddziały te należały właściwie do województwa Mazowieckiego. Województwo Kaliskie od czasu śmierci Rudzkiego nie miało naczelnika, dopiero teraz w początkach maja Rząd Narodowy mianował naczelnikiem wojennym kaliskim, Jaworskiego, byłego majora czy pułkownika wojsk moskiewskich (patrz poprzedni dopisek).

W województwie Krakowskiem po upadku Langiewicza, nastąpiła cisza. Władze narodowe galicyjskie usiłowały rozbudzić na nowo powstanie przez wysyłanie oddziałów, lecz usiłowania te nie miały powodzenia. Formowano je tam przeważnie ze zdemoralizowanych uciekinierów langiewiczowskich, a dowódzców wybierano nieodpowiednich. I tak 4. kwietnia wszedł pod Szklarami [20]) oddział pod dowództwem Grekowicza. Ten odparł atakujących go po przejściu granicy Moskali, lecz zaraz po bitwie d. 5. kwietnia zakopał broń i powrócił do Galicji. Jenerał Wysocki, który wówczas stał na czele wydziału wojny w Krakowie oddał go pod sąd, lecz ten Grekowicza uniewinnił.

Dnia. 20. kwietnia wszedł Mossakowski pod wsią Gorzeniem, posuwał się w głąb kraju, d. 22. kwietnia pod Golczewicami [21]) pobił zastępujących mu drogę Moskali i pomaszerował do Ogrodzieńca, gdzie odpoczął, a stąd do Myskowa, gdzie jest stacja drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, a dążąc dalej ku Złotemu Potokowi, doszedł do Jaworznika, gdzie stanął w lesie 24. kwietnia [22]), przyjął bitwę z następującym go nieprzyjacielem. W samym początku bitwy część oddziału z oficerem Wisnerem uciekła. To samo zrobił sam Mossakowski. Dowództwo objął teraz Wierzbiński, pomimo bohaterskich wysiłków tak wodza, jak i żołnierzy, pod liczebną przewagą nieprzyjaciela musiał ustąpić, znaczna część oddziału poszła w rozsypkę, a Wierzbiński z kilkudziesięcioma ludźmi przeszedł granicę nazajutrz 25. kwietnia.

Trzeci oddział pod Romockim wkroczył do Królestwa w nocy z 6. na 7. maja pod Szycami [23]) i posunął się szybko ku Wielkiej Wsi, gdzie zaraz spotkał nieprzyjaciela. Zaszkoczony z trzech stron przeważającemi siłami pomimo dzielnej obrony, zmuszony został

---

[19]) Zieliński, str. 200 idem ob. Kaliski. P. R.
[20]) loco, str. 166 idem ob. Olkuski P. R.
[21]) loco, str. 167 idem ob. Olkuski. P. R.
[22]) Zieliński. str. 167 idem ob. Olkuski. P. R.
[23]) loco, str. 170 idem ob. Olkuski. P. R.

do odwrotu nazad ku Szycom. Tu jeszcze próbował się bronić, lecz ostatecznie przeszedł granicę.

Te trzy wysiłki poszły na marne.

O oddziałach Malczewskiego i Miniewskiego mówiłem już wyżej.

W województwie Sandomierskiem działo się zupełnie inaczej, tu powstanie po upadku Langiewicza nie tylko nie ustało, ale się jeszcze rozwijało. Okoliczność tę zawdzięczało Dyonizemu Czachowskiemu, pułkownikowi jeszcze langiewiczowskiemu. Wiemy, że podczas bitwy pod Grochowiskami, Czachowski ze swoim batalionem, widząc zapewne na co się zanosi, oddzielił się i rzeczywiście po partyzancku, przemknął się pomiędzy moskiewskimi oddziałami, dotarł do lasów i gór Św. Krzyskich i tu przycupnął. Wiemy, że Rząd Narodowy polecił wydziałowi wojny w Krakowie, żeby Czachowskiemu dał upoważnienie do pełnienia obowiązków naczelnika województwa Sandomierskiego. Czachowski, uwiadomiony o tem wyszedł ze swych kryjówek i bardzo ostrożnie obchodząc posterunki moskiewskie dotarł do wielkich lasów Iłżeckich. W tym samym czasie w początkach kwietnia przeszedł z Galicyi uformowany tam oddział Łopackiego, kapitana wojsk austryackich, około 250 ludzi liczący i doskonale uzbrojony. Łopacki odskoczył natychmiast od granicy w głąb kraju i dotarł do lasów Iłżeckich. W okolicy tychże lasów uformował się także oddział pod dowództwem Grylińskiego, byłego ucznia szkoły Cuneo. Czachowski na mocy swego pełnomocnictwa, rozkazał obu oddziałom połączyć się ze sobą i tym sposobem urósł w siłę do tysiąca ludzi. Szefem sztabu Czachowskiego był rutynowany wojskowy Eminowicz. Dotąd Moskale nic prawie o Czachowskim nie wiedzieli, pierwszym więc czynem jego było dać im znać, że jest i w tym celu z całą swoją siłą zaalarmował stolicę województwa, Radom [24]). Stąd zwrócił się nagle ku południowi w Sandomierskie i stanął we wsi Grabowcu około 15. kwietnia.

Rząd Narodowy dowiedziawszy się o pobycie Czachowskiego w lasach Iłżeckich, wysłał Stanisława Jarmunda jako swego komisarza z poleceniem dotarcia do Czachowskiego i wręczenia mu formalnej nominacyi na pułkownika (bo tę miał tylko od Langiewicza) i naczelnika wojennego Sandomierskiego. Co się też stało. (patrz: „Trzy dni w obozie Czachowskiego“ przez Stanisława Jar-

[24]) Zieliński, str. 130, nazywa „Grabowiec“ ob. Opatowski. P. R.

munda). Nie wdając się w szczegóły, opisane przez Jarmunda, wspomnę tylko, że tu w Grabowcu Gryliński oddzielił się od Czachowskiego.

Czachowski już jako formalny naczelnik sandomierski z Grabowca forsownym marszem udał się w Opoczyńskie i stanął pod Niekłaniem. Tu Gryliński wrócił, a nadto Czachowski przyłączył do siebie oddział Kowonowicza, uformowany teraz w kozienickich lasach i jeszcze parę małych oddziałków tak, że w obozie miał pod bronią około 2.000 ludzi. Tu się rozpoczyna kampania Czachowskiego, która trwa aż do jego śmierci na polu bitwy dnia 6. listopada.

W miesiącach kwietniu i maju Czachowski stoczył wiele bitew i potyczek, z których najważniejsze były: 22. kwietnia pod Stefankowem [25]), gdzie rozbił zupełnie oddział moskiewski. Potyczka pod Boryą 3. maja [26]), bitwa zwycięska pod Jeziorkami [27]), gdzie zdobył 10 karabinów i zabrał cały tabor moskiewski. Potem w różnych potyczkach [28]) szarpał Moskali, jak mógł, przechodząc ciągle z jednego końca województwa w drugi. Wreszcie 29. maja pod Radzanowem niedaleko Białobrzeg [29]).

Podczas tej kampanii Gryliński i Kowonowicz oddzielali się często od Czachowskiego i na swoją rękę nie zawsze szczęśliwie walczyli. Po niefortunnej bitwie zwykle spieszyli do Czachowskiego. Kowonowiczowi udało się raz 4. kwietnia pod Magnuszewem [30]) dotkliwie pobić Moskali.

W województwie Lubelskiem po zniknięciu Bogdanowicza i Neczaja nie było żadnego oddziału. Przychodzili tu czasem Jankowski i Lelewel z Podlaskiego i Kowonowicz z Sandomierskiego, ale tylko chwilowo. Dnia 15. marca przeszedł tu ze wschodniej Galicyi tam sformowany oddział Leona Czachowskiego i doszedł do Tarnogrodu. D. 20. marca pod Krzeszowem [31]) odparł Moskali, tak samo dnia 21. marca pod Jedlińskiem, tego samego jednak dnia w lesie Czesmeńskim został rozbity, party ku granicy, przeszedł ją z powrotem do Galicyi [32]).

---

[25]) Zieliński. str. 131 idem ob. Opoczyński. P. R.
[26]) loco, str. 132 — nazywa Limierze ob. Opatowski. P. R.
[27]) loco, str. 133 idem ob. Opatowski. P. R.
[28]) loco, str. 133 — 5. 5 Rzeczniów ob. Opatowski, str. 134 — 14. 5. Rozniszew ob. Radomski. P. R.
[29]) loco, str. 135 — 26. 5. nazywa „Smurdzew" ob. Radomski. P. R.
[30]) loco, str 132 idem ob. Radomski. P. R.
[31]) loco, str. 85 — nazywa Szuszki — ob. Zamojski. P. R.
[32]) Zieliński — str. 86, miejscowość nazywa „Ciosmy" — ob. Zamojski —

Jenerał Józef Wysocki, jako prezes krakowskiego wydziału wojny, mianował Antoniego Jeziorańskiego, langiewiczowskiego generała. naczelnikiem wojennym lubelskim, polecił mu udać się do Lwowa, zająć się formacją oddziału, dla którgo broń i wszelkie rekwizyta dostarczy mu tamtejsza organizacja. Jeziorański długo się wzbraniał z przyjęciem, ale ostatecznie zgodził się. Uważano go za bardzo zdolnego i energicznego żołnierza, choć opinię tą wyrobił sobie nie rzeczywistą własną zasługą, ale większą chwalbą samego siebie. Był to człowiek, jak już zresztą mieliśmy sposobność go poznać może nie bez pewnych zdolności wojskowych, ale pyszny. ambitny, chciwy władzy, zazdrosny o nią, a przytem intrygant, podstępny. Główną i wybitną osobistością w Galicyi wschodniej, który prawie po dyktatorsku tam rządził był książe Adam Sapieha. Nad osobistością ks. Adama Sapiehy, zwanego „Czerwonym księciem", nie będę się zastanawiał, dodam tylko, że był on w tym czasie bardzo i stanowczo wpływowym, że nic się prawie w tej stronie Galicyi bez jego woli i aprobaty nie działo i nie lubił, by cokolwiek i kogokolwiek tam nasyłano. Niechętnie też przyjął przysłanego tu Jeziorańskiego, a że w tym samym czasie zajęty był także formacją oddziału Zapałowicza (Żalplachty), więc miał powiedzieć Jeziorańskiemu, że on w niczem nie może mu pomódz, żeby się udał do generała Wysockiego, który go tu przysłał i niech generał broni mu dostarczy. Jeziorański więc sam musiał się zająć zebraniem i ekwipowaniem oddziału, choć później ks. Sapieha zmiękł i także dopomagał.

Stanął więc oddział zebrany w lasach Żołyńskich, w Cieszanowskim powiecie położonych, liczący około 700 ludzi, doskonale uzbrojonych i we wszelkie potrzeby wojenne zaopatrzonych, można powiedzieć, jeden z najlepszych, jakie w Galicyi sformowano, pokładano więc w nim wielkie nadzieje. Miał jeszcze Jeziorański kilkaset sztuk broni doskonałej zapasowej, przeznaczonej dla dalszego uzbrajania ochotników na terytoryum Królestwa. Miał jednak słaby zapas amunicyi, którą mu jednak później dostarczono w znacznej ilości. 24. kwietnia przybył sam Jeziorański wraz z generałem Waligórskim i Tomaszem Winnickim jako szefem

---

mówi, że „Moskale w największym nieładzie cofnęli się do Huty Krzeszowskiej — że: piechota moskiewska była rozbita i rozprószona po lesie — ale i oddział powstańczy wycieńczony dwudniowemi walkami i uszczuplony, wobec nagromadzonych liczniejszych wojsk moskiewskich — musiał się cofnąć za kordon". — P. R.

sztabu. Oddział liczył wraz ze sztabem 36 oficerów, dobrze ze służbą wojenną obznajomionych.

Dnia 26. kwietnia oddział ruszył z miejsca swej formacyi i dnia 28. kwietnia przekroczył granicę niedaleko Tarnogrodu. Nie podaję ścisłej nazwy miejscowości granicznej, bo tej dają różne nazwiska, zresztą obojętne. Jeziorański przeszedłszy granicę, nie rzucił się jednak odrazu w głąb kraju, lecz posuwał się ciągle wzdłuż granicy ku wschodowi, stracił na to dwa dni czasu, bo dopiero 30. kwietnia zatrzymał się w miejscowości Kobylanka, na samej granicy położonej. Pozycya z samej natury była obronną.

Dnia 1. maja [33]) rano nieprzyjaciel zaatakował obóz Jezlorańskiego. Po parogodzinnej bitwie, jak powiadają dobrze kierowanej przez Jeziorańskiego, nieprzyjaciel został odparty i ze znacznemi stratami w popłochu i szybkim odwrocie na całej linii szukał ocalenia od zupełnej zaguby. Było to zwycięstwo świetne, dano mu też wielki rozgłos. D. 3. maja rano odszedł o niem raport do Rządu Narodowego, a wiadomość ta była bardzo przyjemną osłodą obok tych ciężkich poprzednich wiadomości. Rząd Narodowy natychmiast wystosował do Jeziorańskiego list, w którym winszując mu zwycięstwa, rozkazywał z niego korzystać i jak najszybciej rzucić się w głąb kraju.

Radość też wielka była w obozie. Z okolic nadciągali ochotnicy, zjawił się nawet mały oddziałek z kilkudziesięciu ludzi, który się przyłączył do Jeziorańskiego. Przyjechał ks. Sapieha, przywieziono kilkadziesiąt tysięcy ładunków, dostawiono żywność. Otucha i nadzieja wstąpiła we wszystkie serca. Jeziorański w swoim pamiętniku szeroko się o tem rozpisuje. Zapomina jednak tam o przywiezionych mu ładunkach, bo to wyraźnie było potrzebne do usprawiedliwienia pozostania w obozie po bitwie i późniejszej klęski, brakiem ładunków. Przez pięć dni tracił Jeziorański czas bezczynnie i pozwalał nieprzyjacielowi przygotować się do drugiego ataku ze zwiększonemi siłami i dokładniejszą wiadomością o położeniu polskiego obozu. Dopiero 5. maja, na wiadomość o zbliżającym się nieprzyjacielu, Jeziorański postanowił wzmocnić swoją pozycyę urządzeniem zasieków na wszystkich drogach i drożynach, idących przez lasy ku obozowi. Dnia 6. maja [34]) Moskale rano uderzyli na obóz polski na całej linii. Zacięta walka trwała do południa — o tym czasie ustała na chwilę obustronnie. Moskale odpocząwszy,

---

[33]) Zieliński, str. 88 idem ob. Zamojski. P. R.
[34]) Zieliński, str. 88 idem ob. Zamojski. P. R.

uderzyli na nowo, lecz nie mogąc przełamać oporu polskiego, odważyli się na obejście prawego polskiego skrzydła, przez przejście granicy na terytoryum austryackie i uderzyli na obóz polski z tyłu. Klęska albo wyparcie polskiego wojska za granicę byłoby tego dnia nastąpiło, lecz Moskale osłabieni całodzienną do godziny 6. wieczór trwającą walką i poniesionemi stratami, cofnęli się. Straty obustronne były znaczne. Jeziorański stracił w zabitych i rannych stokilkadziesiąt ludzi. Straty moskiewskie miały wynosić kilkaset ludzi. Moskale tak spiesznie się cofali, że zabitych swoich zostawili na placu. Bitwę tę możnaby uważać także za zwycięską, bo w rezultacie nieprzyjaciel się cofnął i to tak, że wysłane podjazdy nigdzie natrafić na niego nie mogły.

Przez cały dzień 7. maja oddział polski odpoczywał po tej ciężkiej, całodziennej bitwie, grzebano zabitych swoich i moskiewskich, rannych sprowadzonemi z Galicyi furami przewożono przeważnie do Cieszanowa. Niepewność o dalszych zamiarach Jeziorańskiego źle wpływała na wojsko. Różne wieści chodziły po obozie, to o zamierzonem cofnięciu się za kordon, to znów o pochodzie w głąb kraju. Dezercya zaczęła się szerzyć. Istotnie Jeziorański zamierzył przejść granicę, a posuwając się ku wschodowi, w innem znów miejscu wkroczyć do Królestwa. W nocy z 7. na 8. kwietnia oddział wszedł do Galicyi, lecz zamiast na wschód zwrócił się na zachód i rano 8. wszedł znowu do Królestwa na wysokości Tarnogrodu i kierował się ku temu miastu.

Tu zastąpiły mu drogę wojska moskiewskie. Jeziorański nie chcąc przyjmować bitwy ze zmęczonym żołnierzem i prawdę powiedziawszy do tego zdemoralizowanym, cofnął się i wszedł znowu do Galicyi. Znów maszerował, męcząc jeszcze więcej wojsko, przez cały dzień 8. i całą noc na 9. maja i tegoż dnia popołudniu znowu wkroczył do Królestwa, jeszcze więcej na zachód pod Młynami i zatrzymał się w odległości zaledwie paru kilometrów od granicy pod Nahlikiem. Tu niebawem zawiązała się mała potyczka, po której Jeziorański wszedł w wielkie lasy cześmińskie. Moskale ciągle go ścigali. Ruszono więc dalej w marsz, który trwał cały dzień 10. i 11. maja [35]). Zatrzymano się znowu koło Huty Krzeszowskiej. Marsz ten prowadził teraz generał Śmiechowski. Moskale nie pozwolili długo się tu zatrzymać, rozpoczęli atak. Śmiechowski odstrzeliwając, cofał się ku południowi. Nagle dowiedziano się, że Jeziorański opuścił wojsko i drapnął do Galicyi. Wiadomość

[35]) Zieliński, str. 89 idem ob. Zamojski. P. R.

ta wywarła fatalne wrażenie, pod którem oddział, już zupełnie zdemoralizowany w nocy z 11. na 12. maja przekroczył granicę do Galicyi.

Było to więc drugie wydanie langiewiczowskich Grochowisk, tylko o wiele sromotniejsze. bo tu była prosta ucieczka naczelnego wodza. Jeziorański uciekł prosto do Przemyśla, skąd wysłał raport do Rządu Narodowego tłumacząc się, że musiał przejść granicę dla braku sił i amunicyi. W raporcie tym żądał zmiany zupełnej organizacyi w Galicyi, żeby władze cywilne były oddane pod rozkazy naczelników wojskowych, a zasłaniając się osłabionem zdrowiem, trudami wojennymi, żądał albo mianowania kogo innego na naczelnika wojskowego lubelskiego, albo przynajmniej tymczasowego zastępcę. Prawie jednocześnie z tym raportem Rząd Narodowy otrzymał urzędową wiadomość od władz galicyjskich o haniebnej, najzwyklejszej ucieczce Jeziorańskiego z pola bitwy. Raport Jeziorańskiego pisany w tonie wyniosłym, niemal rozkazującym, Rząd Narodowy przyjął z najwyższem oburzeniem.

Reskryptem z dnia 20. maja Rząd Narodowy rozkazał Jeziorańskiemu wytłumaczyć się z całego swego postępowania, tak trzymania się granicy, jak i opuszczenia oddziału. Wysłał przytem zaraz Stanisława Jarmunda z pełnomocnictwem złożenia sądu na Jeziorańskiego, a w każdym razie udzielenia mu dymisyi. Jarmund sąd zwołał. Ten uznał tłumaczenie się Jeziorańskiego brakiem amunicyi i kontuzyą otrzymaną, za usprawiedliwione, przyjął także tłumaczenie się Jeziorańskiego, że nie uciekał, lecz został tylko odcięty od swego wojska. Wskutek tego Jarmund dymisyi mu nie doręczył. Z tego postępowania Jarmunda, Rząd Narodowy był zupełnie niezadowolony, a wobec urzędowych wiadomści, otrzymanych o postępowaniu Jeziorańskiego, pomimo wyroku sądu, formalną dymisyę Jeziorańskiemu udzielił.

Jeziorański w jakiś czas potem został przez władze austryackie aresztowany i zesłany do Kufszteinu. potem przeniesiony do Meranu, wreszcie uwolniony. Bawił jakiś czas we Francyi, ostatecznie osiadł we Lwowie i tu umarł.

W parę dni po upadku oddziału Jeziorańskiego wyprawiono ze wschodniej Galicyi nowy oddział pod dowództwem Zapałowicza. Oddział ten z wielkiem staraniem wyekwipowany przez ks. Sapiehę, składał się z 300 ludzi z samej prawie inteligentnej młodzieży, a oficerowie prawie wszyscy z wojska austryackiego. Oddział ten połączył się z dwoma małymi oddziałkami, Czerwińskiego

i Wiśniewskiego. Przybył do Tyszowiec 17. maja, dnia następnego 18. uderzyli na niego Moskale trzema kolumnami, każda z tych kolumn, uderzając osobno, została pobitą. Po tej bitwie wszyscy trzej dowódzcy opuścili plac boju, opuszczone wojsko wróciło do Galicyi [36]).

Walka w województwie Podlaskiem od samego początku odznaczała się wielkim udziałem włościan, a przedewszystkiem zbliżonej życiem do włościan drobnej szlachty zaściankowej. Z dowódzców oddziałami najczynniejszymi w tym czasie (kwiecień i maj) byli: Borelowski Michał pod pseudonimem Lelewela i Jankowski Józef. Zaliczam ich do tego województwa, gdyż tu pierwsze działanie swoje rozpoczęli, choć później przechodzili do województwa Lubelskiego, a czasem nawet i do Sandomierskiego.

O Borelowskim już zrobiłem wzmiankę w I. części tego tomu. Był on bardzo ruchliwym, przerzucał się z miejsca na miejsce, miał bardzo wiele potyczek z Moskalami, z których wychodził z rozmaitem szczęściem. Z ważniejszych jego bitew wymieniam: 23. marca pod Krasnobrodem [37]), 27. marca pod Krzeszowem [38]), gdzie znaczną klęskę zadał Moskalom, 16. kwietnia nad Tanwią pod wsią Borowe [39]), 24. kwietnia pod Józefowem [40]). W tej bitwie poległ Romanowski Mieczysław, młody, wielkiej przyszłości poeta. W połowie maja pod Tomaszowem, a w samym końcu maja w lasach Gozdzierackich w okolicach Zawichostu.

Jankowski Józef, podobnie jak Borelowski był dzielnym i rzutkim partyzantem, obaj łączyli się często dla wspólnej akcyi. Jankowski wystąpił w pole około 5. marca pod Fidestą, gdzie zepsuwszy kolej żelazną, uderzył na wykolejony pociąg wojskowy i ciężko pogromił Moskali 18. marca pod Dziećmirowem [41]), 22. marca pod Zembrzykowem [42]), naciśnięty przez mocno przewyższające siły, zręcznym manewrem, a z bardzo małą stratą wymyka się, lecz zaraz niepokoi Moskali w okolicy Mińska (Podlaskiego), posunął się nawet pod samą Pragę do Okuniewa, a ruchem tym wywołał niemal trwogę w Warszawie między Moskalami, zwiększoną jeszcze pogłoską, jakoby Rząd Narodowy ostrzegał,

[36]) Zieliński, str. 89 — 18. 5. Turkowice — a str. 90 — Tuczapy — ob. Hrubieszowski. P. R.
[37]) loco, str. 86 — 24. 3. — ob. Zamojski. P. R.
[38]) loco, nie ma wzmianki. P. R.
[39]) loco, str. 87 idem ob. Zamojski. P. R.
[40]) loco, str. 87 idem, ob. Zamojski. P. R.
[41]) Zieliński, str. 62 — 18. 3. „Dziecinow" — ob. Łukowski. P. R.
[42]) loco, str. 62 — idem ob. Łukowski. P. R.

a nawet rozkazywał, mieszkańcom Pragi, żeby przenosili się do Warszawy. Zaprzeczenie tej pogłoski w rozkazie dziennym naczelnika miasta, nie zaspokoiło Moskali. Przedsięwzięto nadzwyczajne środki ostrożności. Znaczne siły wojskowe wszelkiej broni, wyprowadzono do Pragi, rozesłano z wielką ostrożnością podjazdy kozackie. Puszczono nawet na Wisłę kanonierki, uzbrojone armatami. Po całem mieście dzień i noc krążyły liczne patrole kawaleryi, obawiano się skombinowanego ataku na Warszawę z powstaniem w mieście. Trwało to parę tygodni — na złodzieju czapka gore!

Potem znowu naciśnięty Jankowski dąży ku Wiśle, przechodzi ją i zapada w lasach Kozienickich, gdzie pod Brzozą 15. kwietnia [43]), rozbija oddział moskiewski, zabierając kilkadziesiąt karabinów D. 20. kwietnia podobne starcie pod Brzozą nad Pilicą [44]). Potem wraca w Podlaskie, by niedługo znowu się przeprawić przez Wisłę, gdzie połączony z Kowonowiczem gromią Moskali pod Rozniszewem 15. maja [45]) Wreszcie 25. maja napada oddział moskiewski, prowadzący rekrutów z Demblina do Warszawy i uwalnia ich.

W tym samym czasie były jeszcze w Podlaskiem oddziały Krysińskiego. Michała Zielińskiego, Jana Sokoła, którzy kręcąc się po województwie, szarpały i niepokoiły Moskali.

Dla uzupełnienia opisu działań wojennych w Królestwie pozostaje mi jeszcze województwo Augustowskie. Wiemy, że powstanie tam dawało bardzo słabe oznaki życia, gdyż i organizacyi prawie, że tam nie było. W początkach lutego po porażce Jastrzębskiego pod Czystą Budą, nastała cisza.

Ożywienie miało tu przyjść z powiatu Łomżyńskiego. Rząd Narodowy w początku marca powołał w Łomżyńskie Romotowskiego, oficera z roku 1831., który pd pseudnimem „Wawra", założył obozowisko w lasach Komorowskich, gdzie zebrał około 200 ludzi licho uzbrojonych. Stąd ostrożnie, unikając spotkania z Moskalami, dotarł do Borowej, a wreszcie do Białoszewa i Ossowca, gdzie miał dosyć szczęśliwą potyczkę z Moskalami. Stąd przez Grodzieńskie z trudem przedostał się do lasów Sztubińskich w południowej części województwa Augustowskiego, w pierwszych dniach kwietnia i stanął obozem w miejscowości zwanej Kozi Rynek

W końcu marca Rząd Narodowy mianował naczelnikiem wojennym augustowskim i pułkownikiem Aleksandra Andruszkiewicza

---

[43]) loco, str. 131 — 20. 4. — nazywa „Jedlnia" — ob. Opatowski. P. R.
[44]) loco — nie ma wzmianki. P. R.
[45]) Zieliński, str. 134 — 14. 5. — z Zielińskim ob. Radomski. P. R.

oficera z r. 1831., który na odgłos powstania przybył z Francyi. Utworzyły się w tym czasie dwa małe oddziały w Augustowskiem, nad którymi Andruszkiewicz objął dowództwo d. 1. kwietnia i d. 9. kwietnia stoczył pomyślną bitwę pod Sapieżyszkami [46]). Tu zginął Bolesław Denel, znany już nam z opowiadania o kółku Kaplińskiego w części I., Tomu I. Andruszkiewicz udał się stąd w powiat Sejneński, stoczył parę potyczek nieszczęśliwych i stracił cały oddział. Teraz jako naczelnik województwa objął komendę nad oddziałem Wawra w owym Kozim Rynku. 19. kwietnia potyczka pod Jastrzębną [47]), po której połączył się z oddziałem niejakiego Hłaski Litwina i razem d. 21. maja stoczyli szczęśliwą potyczkę pod Kadyszem [48]).

Po tej potyczce, gdy oddział jego był bardzo słaby, wrócił nazad do Koziego Rynku, gdzie zupełnie bezpiecznie mógł się formować i oczekiwać na spodziewane dostarczenie broni.

Tak się przedstawia całość działań wojennych powstańczych na przestrzeni Królestwa, w ciągu całych dwóch miesięcy kwietnia i maja. O powstaniu na Litwie i Rusi będę mówić później. Przebiegu tego nie można było uważać, ani zupełnie dobrym, ani też zupełnie niepomyślnym. W porównaniu z dwoma poprzednimi miesiącami, a szczególniej ze stanem w marcu, powstanie teraz rozwinęło się znacznie. Znaczna liczba oddziałów uwijała się z rozmaitem szczęściem we wszystkich częściach Królestwa, szczególniej w województwach nie przyległych do granic Galicyi i Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

Mieliśmy kilkanaście zwycięstw, jeżeli nie świetnych, stanowczych, to w każdym razie bardzo pomyślnych, świadczących o męstwie powstańców. Objawem pomyślnym był zwiększający się stale udział w oddziałach ludności wiejskiej. Lud teraz nie uciekał, jak w początkach, przed powstańcami do lasów. Łączył się chętnie z powstańcami, dostarczał im bez przymusu żywności, podwód, służył za przewodników, udzielał wiadomości o ruchach i pozycyach wojsk nieprzyjacielskich. Właściciele ziemskich majątków, zrzeczeniem się wszelkich czynszów i opłat, wypełniali postanowienie dekretu 22. stycznia. Rząd Narodowy wysyłał komisarzy nadzwyczajnych na prowincyę dla zbadania, czy dekret o uwłaszczeniu został przeprowadzony, a ci składali raporta zupełnie zada-

[46]) Zieliński, str. 257 — nazywa Łokajcie ob. Maryampolski. P. R.
[47]) Zieliński, str. 257 idem ob. Augustowski. P. R.
[48]) Zieliński, str. 258 idem ob. Augustowski. P. R.

walniające. Znaleziono zaledwie kilka wypadków, tajemnego pobrania czynszów, które jednak surowo skarcone zostały, a czynsze pobrane musiały być zwrócone.

Rzadkie były wypadki jawnej dla powstania nieprzychylności, wszyscy płacili chętnie podatki. Nawet Moskale, posiadający dobra dotacyjne, rozkazywali swoim administratorom, płacić nałożone podatki, co jednak nie było dowodem sprzyjania powstaniu, lecz prostą obawą przymusowej egzekucyi, od której wiedzieli, że ich rząd moskiewski nie potrafi uchronić.

Najgłówniejszą przyczyną, że powstanie nie mogło się rozwinąć i nabrać sił, był ustawiczny brak broni wewnątrz kraju, jak również marnowanie tej, którą z takim trudem, wysiłkami i kosztami, uzbrajano oddziały, wkraczające z zewnątrz i to nie tylko tej, w którą wkraczający oddział był uzbrojony, ale i tej zapasowej, którą ze sobą wprowadzał. Uciekinierstwo szczególniej do Galicyi było istotną klęską. Dwie były przyczyny, które powodowały to cofanie się za granicę, niemal zaraz po wkroczeniu. Oddziały wchodzące z Galicyi zachodniej, szczególniej te, które wchodziły z okolic Krakowa, formowane były z uciekinierów langiewiczowskich, zdemoralizowanych jeszcze więcej, długiem, bezczynnem pozostawaniem w Krakowie, gdzie im w dodatku płacono żołd. Dowodzący oddziałami nie mieli ufności do zdemoralizowanych żołnierzy i sami się demoralizowali. Z tych samych ludzi, którzy już zdemoralizowany stanowili oddział mający wkroczyć i wnet znowu do Galicyi uciekali, tworzono dalej nowe oddziały. Stąd zapisywanie się do oddziałów dla brania żołdu i następne zaraz uciekinierstwo stawało się niemal zawodowem. Generał Józef Wysocki, jako dyrektor wydziału wojny w Krakowie, chcąc powstrzymać dowódzców od cofania się do Galicyi, wydał dnia 25 marca dekret, który przepisywał, że każdy dowódzca oddziału, przekraczający z powrotem Galicyę, będzie oddany pod sąd wojenny. Temu dekretowi podpadł pierwszy Gryliński, lecz sąd uwolnił go od odpowiedzialności. Tak samo potem został uwolniony Jeziorański. Dekret ten więc nie odniósł żadnego skutku.

Drugą przyczyną rozbijania krakowskich oddziałów, niemal zaraz na samej granicy, było podstępne działanie austryackiej policyi w Krakowie i jej osławionego naczelnika Merkla. Formowanie oddziałów w Krakowie, odbywało się zupełnie jawnie, a nawet z pewnym rozgłosem. Merkel doskonale wiedział nie tylko o każdym formującym się oddziale, ale o dniu wyjścia i o miejscowości,

w której oddział miał przekroczyć granicę i zawiadamiał o tem naczelników wojennych moskiewskich. Tym sposobem oddział, wchodzący do Królestwa, wpadał zaraz na przygotowanych i jakby oczekujących go Moskali.

Tę prawdziwą plagę uciekinierstwa z Galicyi zachodniej Jeziorański przeszczepił do wschodniej, gdyż przedtem tam jej nie było.

Kordony wojskowe austryackie, rozłożone wzdłuż granicy, zachowywały się względem wkraczających do Królestwa oddziałów obojętnie, umyślnie ustępowały z drogi, żeby nie widzieć, a często nawet okazywały życzliwość *). Uciekających z bronią łapali, rozbrajali i aresztowali, ale potem puszczali wolno. Uciekający najczęściej rzucali broń przed przejściem granicy, albo ją przedtem zakopywali, którą potem Moskale zabierali. Tym sposobem kilkanaście tysięcy broni, z takim trudem i kosztem dostarczonej, przepadło, gdy wewnątrz kraju walczącym jej brakowało.

Nad granicą pruską takiego uciekinierstwa nie było, gdyż tam Prusacy przekraczających granicę łapali, zamykali do więzień. Rozbitki pozostawali w kraju i przyłączali się do innych oddziałów. Pomimo to i tu broń była tracona i marnowana, bo żołnierze idąc w rozsypkę, porzucali ją albo zakopywali i jedną i drugą, Moskale pozostają panami pola bitwy zabierali, a zakopaną odnajdywali. Rozbitki wsiąkając w inne oddziały, wnosili w nie demoralizacyę.

Główną cechą działania, można powiedzieć ogólną wszystkich dowódzców, walczących wewnątrz kraju, był brak inicyatywy, śmiałej, odważnej, która nakazywała szukać nieprzyjaciela, śmiało zajrzeć mu w oczy, korzystać z każdej sposobności szkodzenia mu.

Nasi dowódzcy nie szukali sami nieprzyjaciela, lecz pozwalali mu szukać siebie. Dowódzcy cały wysiłek, całą umiejętność swej taktyki zasadzali wywijaniu się następującemu wrogowi. Dawali tym sposobem nieprzyjacielowi czas do gromadzenia sił więk-

*) We Lwowie poznałem się z pułkownikiem, komendantem 10. pułku dragonów austryackich, krewnym zięcia mego, Tadeusza Mostowskiego, Artymem Weiss- de Weissenfeld, który w r. 1863 jako podporucznik ułanów austryackich wziął dymisyę i wszedł do oddziału Jeziorańskiego i brał uział w obu bitwach pod Kobylanką. Opowiadał mi, że w czasie marszu do Królestwa, patrole huzarskie i ułańskie, nietylko nie stawiały przeszkód, ale wskazywały drogę i życzliwie przeprowadzały oddział do granicy. Że po bitwie 1 maja komendant huzarów przyjechał do obozu Jeziorańskiego i winszował mu zwycięstwa. Że powstańcy wogóle bardzo mężnie się bili. Że po drugiej bitwie d. 6. maja, gdy się rozpoczęło uciekinierstwo, to huzarzy i ułani nacięli wici wierzbowych i niemi zapędzali uciekających nazad do obozu. Po powstaniu Weiss de Weissenfeld bez żadnej przeszkody wstąpił nazad oo wojska austryackiego i dosłużył się stopnia pułkownika dragonów, a przed śmiercią w roku 1910 został jenerałem.

szych, a sami marszami, kontrmarszami męczyli swego żołnierza i najczęściej byli zmuszeni do przyjęcia bitwy w pozycyi i warunkach, których nie wybrali, lecz w jakich, zmęczonych, często głodnych i przez to osłabionych, nieprzyjaciel ich dosięgnął. Z początku powstania Moskale bali się powstańców, z wielką podchodzili ostrożnością, strach ich przejmował na odgłos brzęku kos, ale gdy spostrzegli, że powstańcy unikają starcia, że tylko przeciśnięci przyjmują bitwę, więc choć czasem to tu, to tam, wzięli dobrze w skórę, nabrali jednak śmiałości, bo się przekonali, że powstańcy może więcej się ich boją, niż oni powstańców.

Ta taktyka wywijania się cechowała całą kampanię Langiewicza. Prawda, że jego marsz ze Staszowa do Małogoszczy, wedle zdania znawców wojskowych, był taktycznie doskonałym, bo umknął trzem oddziałom moskiewskim, z których każdy był o połowę od niego słabszy i blizko o całe dwa dni, stanął pierwej w Małogoszczy. Tu, żeby był miał inicyatywę i odwagę, mógł był każdy z tych oddziałów osobno pobić, tymczasem został pobity przez dwa oddziały, które zdołały się połączyć, a uniknięcie zupełnej klęski zawdzięcza tylko temu, że trzeci oddział moskiewski spóźnił się o kilka godzin i przez to zostawił mu furtkę, którą mógł się wymknąć.

Taczanowski po wygranej bitwie pod Pyzdrami zamiast iść naprzód w głąb kraju, wolał się zamknąć w Ignacewie. Zamykając się w najmocniej ufortyfikowanym Ignacewie, mógł doskonale wiedzieć, że mu ani jeden żołnierz więcej nie przybędzie, a Moskale mogą się ciągle wzmacniać, że musi wkońcu przeważającej sile ulegnąć. Przyjmował bitwę w obranej wprawdzie przez siebie pozycyi, ale czekał na nią, a nie wydawał jej wstępnym bojem.

Tak samo postąpił Jeziorański pod Kobylanką. Z wodzów polskich tylko Czachowski, Lelewel, Jankowski, mieli czasami odwagę zaczepiać nieprzyjaciela i zawsze dobrze na tem wychodzili. Langiewicz raz tylko pod Skałą uderzył sam na Moskali i pobił ich.

Wydział wojny Rządu Narodowego z raportów składanych tak przez naczelników wojennych wojewódzkich, jak i dowódzców pojedyńczych oddziałów, przekonał się o zupełnem prawie u wszystkich braku tej inicyatywy samodzielnej, która daje odwagę dowódzcom, szukać nieprzyjaciela i uderzać na niego; że prawie we wszystkich raportach dowódzcy mówili o ścigającym ich wrogu i o zręcznem uniknięciu tego pościgu.

Przekonał się, że prawie wszystkie zwycięstwa były osiągnięte nie działaniem zaczepnem, ale w odpornej obronie i że klęski były zawsze następstwem tej taktyki odpornej, że oddziały, zmęczone pościgiem, były ostatecznie zmuszone do przyjmowania bitwy w warunkach dla siebie najniekorzystniejszych. Postanowił więc wydział wojny wyjaśnić dowódzcom znaczenie taktyki zaczepnej i płynące z takiego działania korzyści. Projekt takiego dekretu po omówieniu głównych wytycznych, został zredagowany i przedstawiony Rządowi Narodowemu do zatwierdzenia. Dekret ten Rząd Narodowy wydał d. 4. maja. Podaję go tu w całości:

„Wydział wojny Komitetu Centralnego jako Tymczasowego Rządu Narodowego.

Taktyka naszego narodowego powstania, jako taktyka wojny partyzanckiej, bez regularnej armii i artyleryi, powinna być przedewszystkiem zaczepną, nie zaś odporną; albowiem powstanie siłą i przewagą tylko, śmiałemi napady, zwyciężać może. Oddziały powstańcze powinny ciągle i wszędzie atakować i niepokoić wroga, żeby zakres jego działania zmniejszyć i zamknąć go w ciasnych stanowiskach, skądby dalej najazd panowania swego rozszerzać nie mógł, nie zaś dozwalać mu, ażeby atakował, ścigał i na koniec panowanie powstania do powstańczego obozu graniczył.

Z taktyki ciągle obronnej, nie zaś zaczepnej, wypływają nadzwyczaj złe skutki, tak pod względem militarnym, jak i moralnym. Oddział, trzymający się tylko odpornie, zostawia prawie zawsze nieprzyjacielowi wybór miejsca i chwili do boju, ngdy prawie nie wie o jego ruchach; dozwala mu ściągać zewsząd wszelkie możliwe siły, a więc same tylko niekorzyści osiągając, ostatecznie naraża się na pewną klęskę. Podobną taktyką młody nie wyrobiony i w karby karności niedostatecznie ujęty żołnierz, jakim jest żołnierz naszego powstania, demoralizuje się do najwyższego stopnia, albowiem tak przywykając ma za szczyt wojennego działania i wojennej sztuki, zręczne cofanie się i ujście przed nieprzyjacielem; przez to staje się miękkim i niepewnym, ilekroć przychodzi nagła i konieczna potrzeba stanowczego i otwartego boju. Mianowicie kawalerya, niegdyś sława i siła rycerstwa polskiego, oraz kosynierzy, podstawa naszego powstania, wskutek owej odpornej taktyki, nie będąc przejętymi duchem śmiałej i dzielnej zaczepki, stają się pomimo osobistą waleczność pojedynczych żołnierzy, słabem i bojaźliwem wojskiem, które już nieraz dały pierwsze hasło do rozsypki. A przecież kawalerya i kosynierzy, są tu jedynemi

broniami, które bez sprowadzonych z zagranicy sztućców i prochu, z małą stosunkowo stratą, świetne nad Moskwą mogą odnosić zwycięstwa. Ale do tego potrzeba koniecznie, żeby duch powstańczego żołnierza był śmiałym i dziarskim, posiadał wiarę w swoją siłę, czuł się wyższym od niewolniczego ducha Moskali, a duch ten doprowadzi do zwycięstwa.

Przecież duch ten nie zaginął jeszcze w naszym rycerskim narodzie. Taktyka obronna, która w początkach powstania mogła mieć pewną potrzebę i konieczność, nie tylko długo trwać nie może, bo wyniszcza kraj, demoralizuje ducha, nie kształci i nie wyrabia żołnierza, lecz go psuje. Ale nadto taktyka podobna nic rozstrzygnąć nie jest w stanie. Nie powinniśmy zważać, jeżeli niektóre zaczepne ruchy nie udały się lub jeszcze się nie udadzą, gdyż wcale z tych przykładów nie wynika, ani wyniknąć może, żeśmy do zaczepki za słabi. Z kilku lub kilkunastu zaczepnych ruchów, połowa może być klęską, lecz inne będą zwycięskimi; gdy tymczasem z ruchów odpornych, wszystkie zupełną klęską zakończyć się muszą. Należy wpajać w żołnierzy, że skoro się raz do boju stanęło, trzeba zapomnieć o gotowości biernej tylko śmierci, co niepotrzebnych ofiar przymnaża i ducha wojennego osłabia, a natomiast trzeba obudzać ducha ufności w swe siły, czynność, śmiałość, odwagę i determinacyę; słowem ducha, który sam jeden tylko do pewnego i zupełnego prowadzi zwycięstwa, a który niegdyś tak świetnie znamionował Polaka.

Polecamy więc przedewszystkiem: 1. zmienić radykalnie taktykę odporną i bierną na taktykę czynną, zaczepną, niepokojącą ciągle wroga, prawdziwie partyzancką, 2. stłumić w żołnierzu ducha biernej rezygnacyi i biernego oporu, a natomiast wzbudzić w nim ducha śmiałego przedsięwzięcia, nieubłaganego odwetu i ufność w swe siły.

Dan w Warszawie 4. maja 1863 r. (L. S.)".

W kilka dni potem wydział wojny pod tym samym tytułem, daty nie pamiętam, tekstu oryginalnego nie posiadam, opieram się więc tylko na pamięci, wydał dekret, uzupełniający wydaną już w początkach instrukcyę o formowaniu oddziałów, zakładaniu obozu, porządku wojennego w marszu, o służbie wywiadoczej, o szyku bojowym w bitwie i w odwrocie i t. p. szczegółach.

Dnia 22. maja wydał znowu dekret, obejmujący instrukcyę dla oficerów, odnoszącą się do ich postępowania w obozach i marszach, o zachowaniu się względem żołnierzy, staranie się o uzyskanie u

nich zaufania. Wpływać na nich więcej radą niż groźbą, w wymierzaniu kar rządzić się bezwzględną sprawiedliwością, a karać umiarkowanie, surowość kary stopniować, a niepoprawnych wydalać z szeregów, ale tylko za wyrokiem sądowym. Ten sam system postępowania oficerowie powinni wpajać i w podoficerów. Oficerowie powinni postępowaniem swojem uszanować w żołnierzu godność człowieczą i obywatelską, gdyż żołnierz tak samo, jak i oni poświęcają życie i wszystko dla Ojczyzny. Oficerom wszystkich stopni od najwyższych nie wolno oddalać się od żołnierzy, dla zapewnienia sobie większych wygód. Dekretu tego nie posiadam i streszczam go tylko z pamięci.

Muszę tu zwrócić uwagę na formę wymienionych dekretów. Dotychczas wszystkie wymienione dekreta, postanowienia, wydawane były pod formą: „Komitet Centralny jako Tymczasowy Rząd Narodowy" — i nic więcej. Bo rzeczywiście jakkolwiek były już uformowane wydziały, lecz zwały się one komisyami, nie miały prawa samodzielnego wydawania żadnych postanowień, bo wszystkie czynności były zcentralizowane w samym komitecie. Przewodniczącymi w komisyach byli członkowie komitetu. Taki układ był dobrym i wystarczającym, gdy spraw było nie wiele. Gdy teraz spraw tych coraz więcej przybywało i komitet nie mógł wszystkich spraw sam załatwiać, w samym końcu kwietnia lub 1., 2. maja, komitet, dotychczasowe komisye przekształcił na samoistne wydziały. W każdym wydziale przewodniczył dyrektor mianowany przez Rząd. Wydziały załatwiały teraz wszystkie sprawy u siebie kolegialnie. Każdy członek Rządu należał jak dotąd do jednego z wydziałów, miał prawo brać udział w jego posiedzeniach, miał prawo imieniem Rządu dawać „placet" postanowieniom wydziału, a w ważniejszych sprawach, gotowy już zupełnie wniosek, przedstawiał pełnemu Rządowi. Tylko w razie, jeżeli członek Rządu był przeciwny uchwale wydziału, musiał całą sprawę pełnemu Rządowi przedstawiać. Odtąd więc wszystkie postanowienia, zapadłe w wydziałach, wydawane były na zewnątrz w formie jak przytoczony dekret z dnia 4. maja, o zmianie taktyki. Jedynie tylko odezwy i dekreta natury ogólnej zachowały formę pierwotną jako wychodzącą wprost od Rządu *).

*) Autor „Dziejów 1863 r.", Tom II., str. 419, powiada, że dopiero Siwiński, urobiony systematycznie na wzorach „Historyi" zaproponował podział różnych czynności rządowych między pięciu członków i tym sposobem powstały Wydziały — a na czele każdego miał stanąć jeden z członków Rządu. Franciszek Dobrowolski w artykule „Dwie chwile" („Dziennik Poznański", Nr. 180 i następne

Dyrektorami wydziału byli: spraw wewnętrznych Stosław Łaguna, wojny Eugeniusz Dembiński, skarbu Dyonizy Skarzyński, spraw zewnętrznych (dopiero w czerwcu dostał nazwę spraw zagranicznych) Gerwazy Gzowski, tylko komisya prasy dostała teraz nazwę „wydziału", a jej dyrektorem był członek Rządu Edward Siwiński, ale dyrektorem drukarń był Józef Wagner.

O tej zmianie wydał Rząd Narodowy okólnik do wszystkich władz swoich prowincyonalnych, zawiadamiający, że postanowienia wyszłe z odpowiednich wydziałów, jako opatrzone pieczęcią Rządu, mają moc obowiązującą tak, jakby były wydane od samego Rządu.

Dnia 2. maja Rząd Narodowy wydał dekret, zawierający regulamin dla komitetów w Galicyi, W. Ks. Poznańskiem i Prusach zachodnich, przepisujący ich skład i sposób postępowania w niesieniu pomocy powstaniu. O dekrecie tym już wyżej wspominałem.

Tego samego dnia 2. maja Rząd Narodowy wydał dekret, jako uzupełnienie dekretu z dnia 21. kwietnia o zakazie płacenia podatków rządowi moskiewskiemu. W dekrecie tym Rząd Narodowy postanawiał, że egzekutorzy i sekwestratorowie, którzy ściągać będą podatki na rzecz rządu moskiewskiego, jak i każdy urzędnik, któryby się podjął tej czynności, będą uznani za zdrajców kraju i wyjęci z pod opieki prawa. Nakazuje obywatelom podawać naczelnikowi miasta w Warszawie, a odpowiednim władzom narodowym na prowincyi nazwiska urzędników, którzyby wbrew temu dekretowi podatki ściągali. Jedynie tylko podatek ogniowy może być pobierany.

Tego samego dnia 2. maja, zdarzył się wypadek, sam przez się wstrętny, który narobił bardzo wiele hałasu w Warszawie, a który usiłowano zrzucić na karb Rządu Narodowego.

---

z r. 1868) sobie znowu przypisuje myśl podziału Rządu na Wydziały. Obaj ci autorowie mylą się, bo podział czynności między członków istniał już od marca t. j. od czasu, gdy rozprószony Rząd zebrał się znowu w komplecie w Warszawie i wówczas to każdy z członków Rządu stał na czele osobnej komisyi, bo nazwa Wydziału nie istniała. Właściwie zaś Wydziały jako osobne organa Rządu, autonomicznie w swoim zakresie, powstały tak, jak opisałem. Nie zarządzali nimi członkowie Rządu, tylko Dyrektorowie.

W tem sprostowaniu nie chodzi mi o to, z czyjej to powstało inicyatywy — być może, że z Siwińskiego — ale o stwierdzenie prawdziwości faktu. Dodam tu tylko, że ze wszystkich pięciu członków Rządu, Siwiński posiadał właśnie najmniej zmysłu administracyjnego.

Franciszek Dobrowolski zupełnie się mija z prawdą, on był w Rządzie dopiero od 26-go maja do 6-go czerwca 1863, a już sam dekret, wyżej przytoczony z 4-maja, wydany pod tytułem „Wydział Wojny", świadczy, że Wydziały już istniały i że Dobrowolski nie potrzebował ich stworzyć.

Z rana tego dnia został przez niewiadomego sprawcę zamordowany niejaki Miniszewski. Osobistość ta jest już nam znana z poprzedniego opowiadania (patrz tom I.). Był on jednym ze współpracowników literackich „Dziennika Powszechnego“, organu rządowego, a właściwie margrabiego Wielopolskiego; był jego prawą ręką w pisaniu wszelkiego rodzaju paszkwilów, rzucanych wówczas na organizacyę, a dziś na Rząd Narodowy i powstanie. Była to figura bardzo szkodliwa, szerząca demoralizacyę w narodzie, ale w każdym razie był to tylko pionek w ręku właściwego szkodnika margrabiego. Tego dnia 2. maja, naczelnik miasta, Tytus Zienkowicz, który jak wiemy codziennie rano przychodził do mnie ze zdaniem sprawy o tem, co się w mieście dzieje, zakomunikował mi wiadomość o zabiciu tego Miniewskiego. Wiadomość ta oburzyła mnie, napadłem na Zienkowicza. Co to jest? Z czyjego rozkazu? Zienkowicz odpowiedział, że dopiero przed chwilą dowiedział się o tem z raportu naczelnika policyi. Dosyć szorstko odpwiedziałem, że to bardzo źle, że o takich wypadkach on nic nie wie, że jest malowanym naczelnikiem miasta i że o takiej sprawie dowiaduje się dopiero po fakcie spełnionym, że tego rodzaju morderstwa nie leżą zupełnie w intencyi Rządu, że tylu łotrów i rzeczywistych szkodników boszuje po mieście, a przecież Rząd nie chce ich usuwać drogą zabójstwa, bo tego rodzaju zbrodnie jeszcze większą szkodę sprawie przynoszą. Rozkazałem Zienkowiczowi, żeby natychmiast przeprowadził śledztwo jak najsurowsze i dziś jeszcze zdał mi sprawę o jego wyniku. Rzeczywiście popołudniu Zienkowicz zdał sprawę, że ani naczelnik policyi ani naczelnik straży Landowski, nie wydawali żadnego nikomu polecenia zabicia Miniszewskiego, że musiało to nastąpić z jakiejś osobistej inicyatywy, że naczelnik policyi prowadzi dalej śledztwo i o jego wyniku zawiadomi. Dalsze jednak badania nie mogły znaleść winowajcy. Muszę tu z całą siłą zaprzeczyć zarzutowi, jakoby Rząd Narodowy miał jakikolwiek bądź w tej sprawie udział.

Gdy z powodu akcyi dyplomatycznej rozpoczętej i prowadzonej przez mocarstwa zachodnie w sprawie polskiej, obudziło się wielkie zainteresowanie się tą sprawą w całej Europie i zaczęły płynąć ze wszystkich stron składki i ofiary na rzecz powstania, Rząd Narodowy, żeby wszystkim ofiarodawcom dać gwarancyę, że ofiary na cel wskazany rzeczywiście użyte zostaną, a zarazem, żeby ofiarującym wskazać miejsce, gdzie datki składać mogą, nie mogąc utworzyć takiej instytucyi w kraju, bo ta musiała być jawną, po-

stanowił utworzyć ją za granicą, mianowicie w Paryżu. Dekretem z dnia 3. maja ustanowił odpowiedni komitet, w którego skład powołał obywateli: Bonoldiego, stałego agenta Litewskiego w Paryżu, Ksawerego Branickiego, Władysława Czartoryskiego, Seweryna Gałęzowskiego, Aleksandra Guttrego, Józefa Ordęgę i Ludwika Wołowskiego. Wydał zarazem regulamin dla jego działania. Pieniądze ze składek tych płynące, przeznaczał Rząd Narodowy z góry na zakupno broni. Dekret ten Rząd Narodowy wysłał na ręce Józefa Ordęgi.

Skład tego komitetu nie bardzo podobał się emigracyi paryskiej, ze względu na osoby Czartoryskiego, Branickiego i Gałęzowskiego. Emigracya z powodu zakorzenionych w niej stronniczych ugrupowań, nie mogła zrozumieć, że komitet ten nie był stworzony dla emigracyi, ale dla całej Europy, więc musiały być w nim osoby o głośnych i znanych powszechnie nazwiskach i które wybitnemi swemi stanowiskami w ogóle społecznym i swym majątkiem, przedstawiały silną gwarancyę, co było bardzo ważnym warunkiem. Ludwik Wołowski był znaną powszechnie osobistością, jako uczony ekonomista i finansista; Bonoldi był, jak powiedziałem, przedstawicielem Litwy; Guttry, człowiek o stanowczych przekonaniach demokratycznych, był prezesem komisyi broni w Liége; Ordęga Józef należał do wybitnych osób z obozu demokratycznego w emigracyi. Rządowi Narodowemu chodziło w tym razie przedewszystkiem o sprawę, a nie o zadowolenie politycznych stronnictw emigracyi. Rząd Narodowy sam był przedstawicielem przekonań politycznych demokratycznych, które przy każdej wypowiadał okoliczności, a jako Rząd Narodowy miał, jak to już wypowiedziałem, obowiązek powoływać wszystkich obywateli do pracy bez względu na ich polityczne poglądy, bo inaczej byłby rządem stronnictwa, a nie całego narodu.

Tego samego dnia 3. maja Rząd Narodowy wydał dekret wielkiej wagi, o tak zwanem „Juristicjum“, to jest o zawieszeniu wszystkich spraw cywilnych, odnoszących się do osób, biorących udział w powstaniu od dnia 22. stycznia. Wydanie takiego dekretu było obowiązkiem Rządu, jako powołanego do czuwania nad interesami i mieniem wszystkich obywateli, biorących udział w powstaniu i tę to przedewszystkiem okoliczność podniósł Rząd w motywach dekretu. Dekret ten miał przytem cel i znaczenie praktyczne. Sądy polskie, które odznaczały się niezawisłością do tego dekretu się stosowały.

Dnia 10. maja Rząd Narodowy na wniosek Karola Ruprechta, wydał jako wychodzący z wydziału skarbu, dekret, o nienaruszalności finansów krajowych, Korony, Litwy i Rusi, w którym stanowił: że uważać należy za niebyłe i nieobowiązujące wszelkie postanowienia i przepisy najezdniczego rządu, odnoszące się do finansów, robót publicznych lub instytucyi finansowych, oraz wszelkie działania, mające na celu zaprowadzenie zmian w obecnym stanie funduszów publicznych lub zobowiązań finansowych, jakieby nieprawa władza w Koronie, Litwie i Rusi, wydać lub dokonać mogła. Ostrzega także kupców, bankierów i wszystkich przedsiębiorców, ażeby w żadne rokowania pieniężne, pożyczki i przedsiębiorstwa, kupna lub sprzedaży dóbr z nieprawą obcą władzą i jej pełnomocnikami nie wchodzili, a to pod nieważnością i narażeniem się na straty, jakie z nieuznania tych zobowiązań przez Rząd Narodowy wyniknąć mogą.

Dekret ten w przewidywaniu powodzenia powstania i odzyskania niepodległości, miał bardzo doniosłe znaczenie. A i teraz, mógł jeżeli nie powstrzymać, to przynajmniej utrudnić rządowi moskiewskiemu przedsięwzięcia jakichkolwiek bądź transakcyi i umów w dekrecie wymienionych. Dekret ten miał nawet zaraz doraźny skutek, bo ani zamierzona przez Wielopolskiego reforma Banku Polskiego, mająca się oprzeć na funduszach obcych, jak i zamierzona sprawa oddania w przedsiębiorstwo obcej firmie kanalizacyi miasta Warszawy, jedynie z powodu tego dekretu, nie przyszły do skutku.

W tym samym czasie Rząd Narodowy zajmował się rozważaniem bardzo ważnej kwestyi, dotyczącej tajnego charakteru Rządu. Nie pamiętam, który z członków kwestyę tę poruszył, ale pobudką do tego była obecna sytuacya polityczna ogólno europejska, w której sprawa polska zajmowała pierwszorzędne miejsce. Ważność kwestyi ujawnienia Rządu uznawaliśmy wszyscy i to nie tylko w chwili obecnej, ale zasadniczo już w chwili samego wybuchu powstania; zastanawialiśmy się nad nią, uznawaliśmy niemal za konieczną i wówczas to powstała dyktatura Mierosławskiego. Obecnie po smutnych doświadczeniach obu dyktatur, Mierosławskiego i Langiewicza, o tej formie Rządu mowy być nie mogło. Rząd jawny mógł być złożonym tylko z pewnej liczby osób. Ujawnienie się takiego Rządu, wewnątrz kraju, gdzie dotąd ani jednej piędzi ziemi nie było wolnej od nieprzyjaciela, było bezwzględnie niemożliwem.

Rząd jawny mógł być ustanowionym i ogłoszonym tylko poza granicami Polski.

Po długich i bardzo wyczerpujących dyskusyach, które obok załatwiania spraw bieżących, trwały kilka dni, przyszliśmy do przekonania, że myśl ustanowienia rządu jawnego poza granicami, który, jakkolwiek w obecnej sytuacyi politycznej, mógłby być potrzebnym, to jednakże urzeczywistnienie tej myśli jest niemożliwe. Rząd taki jawny mógłby mieć swoje siedlisko i to tylko względnie pewne, w Szwajcaryi. Komunikacya jego z krajem byłaby nadzwyczaj trudna i skomplikowana. Władza więc jego byłaby tylko pozorną, a dla sprawowania rzeczywistych rządów, musiałaby działać w kraju jakaś komisya wykonawcza, tajemna z tak szerokiem pełnomocnictwem, że owa komisya byłaby istotnym rządem. Prawie byłoby niepodobnem oznaczyć granice atrybucyi tego rządu jawnego i owej komisyi. Rząd jawny mógłby faktycznie spełniać tylko rolę niezależnego reprezentanta, dźwigającego zarazem całą odpowiedzialność rządu rzeczywistego, coby mogło wytworzyć komplikacye i kolizye bardzo niebezpieczne. Czyby się znaleźli ludzie, coby stanowisko podobne zająć chcieli? A choćby się znaleźli — w liczbie trzech — bo taką liczbę członków najwyższą przypuszczaliśmy, a choćby tylko jedną osobę i sekretarza, to jakiemi musiałyby być ich przymioty obywatelskie i zarazem przekonania polityczne? Rząd tajemny posiadał zaufanie całego narodu, nie przez osoby, które go stanowiły, bo tych naród zupełnie nie znał, nie wiedział, co są za jedni, ale obdarzał go zaufaniem dla zasad, które głosił, miał zaufanie do sztandaru, który podniósł, bo te zasady, ten sztandar były symbolem aspiracyi, pragnień i dążeń, który naród cały w duszy swej nosił i pielęgnował. Ludzie, którzyby mieli zająć stanowisko rządu jawnego, musieliby nie tylko te same aspiracye, pragnienia i dążenia mieścić w duszach swoich, nie tylko ze swych nazwisk być znani narodowi, ale swem życiem, swą przeszłością, swymi czynami dotychczasowymi dawać najzupełniejszą rękojmię, że temi uczuciami i zasadami są przejęci, że niezłomnie przy nich trwają i trwać będą, jednem słowem musieliby być sami przez się żywym sztandarem narodowym. Takimi przedstawialiśmy sobie ludzi, którymby ów rząd jawny powierzyć można było.

Ale gdzie ich znaleść?

Mieliśmy wprawdzie między sobą taką osobistość, która według naszego przekonania była takim żywym sztandarem narodowym. Był nią Karol Ruprecht. Ale znaliśmy jego prawie idealną

skromność, wprost odrazę do wszelkiego błyszczenia i wysuwania się na czoło. Rozumieliśmy przytem zanadto dobrze tę niejasność stanowiska, to połączenie odpowiedzialności z widmem władzy, by wystąpić wobec niego z taką propozycyą, którą on w swej skromności mógłby był uważać, za prosty żart z jego osoby.

W poszukiwaniach przyszedł nam na myśl Piotr Wysocki — twórca powstania listopadowego, postać wielka, czysta, szlachetna, istny sztandar narodowy. Ale był to już starzec, złamany życiem, męczarnią i katuszami syberyjskiego wygnania. Prowadził on dziś życie ciche, dogorywające, w małej mieścinie Warcie nad Pilicą. Mówiąc o nim zadawaliśmy sobie zarazem pytanie, czy wystąpienie wobec tego starca z ofiarowaniem podobnego stanowiska nie byłoby naigrawaniem się z jego słabości i niemocy i prawie zapomnienia, w jakiem pozostawał.

Po tych długich, wyczerpujących, poważnych dyskusyach, których słabą treść tylko podaję, przyszliśmy do przekonania, że myśl stworzenia rządu jawnego za granicą Polski jest w obecnych warunkach wprost niemożliwą i Rząd musi pozostać, jak dotąd, tajemnym. Przyszliśmy zarazem do przekonania, że gdy powstanie zupełnie się utrwaliło, że się rozwija, że wszystkie warstwy narodu, obdarzając Rząd zaufaniem i posłuszeństwem jego rozkazom, przez ten sam fakt, uznało go w tej formie za prawy i legalny Rząd Narodowy, że przeto dla nadania mu jeszcze większej siły, znaczenia i powagi na zewnątrz, należy wyjść ze stanu tymczasowości, w jakiej dotychczas występował, postanowiliśmy zmienić nazwę dotychczasową „Komitetu Centralnego jako Tymczasowego Rządu Narodowego“ na „Rząd Narodowy“, jako faktycznie odpowiadającą istotnemu charakterowi jego władzy. Zredagowawszy odpowiedni dekret, ogłosiliśmy go dnia 10. maja.

Dekret ten podaję tu w całej osnowie:

„Komitet Centralny jako tymczasowy Rząd Narodowy, zważywszy, że sprawa niepodległości Polski, wstąpiła od trzech miesięcy na stanowisko otwartej walki z najazdem, że pod sztandarem narodowego powstania, stanęły już obecnie wszystkie warstwy polskiego narodu, bez różnicy stanu i wyznania, że powstanie organizując się pod naciskiem przeważnego wroga, nie tylko stłumić się nie dało, ale owszem trzechmiesięczną walką rozwinęło się i przygotowało zasoby do dalszego z Moskalami boju.

Zważywszy, że naród cały, na wezwanie Komitetu Centralnego składa na ołtarzu Ojczyzny krew, mienie swoje, a zatem najwznio-

ślejszą sankcyę, bo sankcyę dobrowolnego uznania, władzy jego nadaje.

Komitet Centralny jako tymczasowy Rząd Narodowy niniejszem przeto postanowił i stanowi:

Art. 1. Dotychczasowa nazwa: „Komitet Centralny jako Tymczasowy Rząd Narodowy“ znosi się.

Art. 2. Komitet Centralny od daty niniejszego dekretu znosi się i przybiera nazwę „Rządu Narodowego“ jako odpowiednią naturze jego działania i pod tą firmą wszystkie nadal rozporządzenia wydawać będzie.

Art. 3. Zmiana powyższa nazwy Rządu nie pociąga za sobą żadnej zmiany zasad, które w zupełności pozostają te same, a mianowicie:

a) wywalczenie i zapewnienie zupełnie niepodległości ziem Polski, Litwy i Rusi;

b) uwłaszczenie włościan w Polsce, Litwie i na Rusi w myśl dekretu z dnia 22. stycznia r. b.;

c) równość w obliczu prawa wszystkich mieszkańców Polski, Litwy i Rusi, bez różnicy stanu i wyznania;

d) zapewnienie pobratymczym ludom Litwy i Rusi złączonych z Polską najrozleglejszego rozwoju narodowości i języka;

e) uznanie Litwy i Rusi za części zupełnie równe z Koroną i wespół z nią jednę państwową całość Polski stanowiące;

f) obrona zasad i tradycyi narodowych, bez przesądzania tej lub owej formy rządu na przyszłość, gdyż to jest atrybucyą narodu i sam tylko naród po odzyskaniu niepodległości swojej stanowić o tem ma prawo.

Art. 4. Pieczęć Rządu Narodowego stanowić będą herby trzech części, składających jedną nierozdzielną Polskę: Orła, Pogoni i Michała Archanioła na jednej tarczy z koroną Jagiellońską umieszczone z napisem wokoło: „Rząd Narodowy“ (u góry), „Wolność, Równość, Niepodległość“ (u dołu).

Art. 5. Dekret niniejszy pieczęcią Komitetu Centralnego Narodowego i nową pieczęcią Rządu Narodowego stwierdza się.

Art. 6. Od daty niniejszego dekretu, wszelkie akta od Rządu Narodowego wychodzące tylko powyżej w art. 4. opisaną pieczęcią opatrzone być mają.

Art. 7. Wydziały zarządzające pojedynczemi prowincyami Polski, przez Komitet Centralny ustanowione, zatwierdzają się dekretem niniejszym jako władze wykonawcze tychże prowincyi.

Art. 8. Wszelkie dotychczasowe pieczęcią Komitetu Centralnego opatrzone rozporządzenia i nominacye pozostają prawomocnemi, o ile przyszłemi rozporządzeniami Rządu Narodowego, zmienione nie zostaną.

Warszawa, dnia 10. maja 1863 r."

Dekret ten okólnikiem do wszystkich władz naczelnych został rozesłany z poleceniem, by władze te jak najrozleglejszy dały mu rozgłos.

O ile z raportów naczelników władz powstańczych wnosić mogliśmy, dekret ten przyjęty został wszędzie z zupełnem uznaniem. Naczelnicy województw w przedrukach rozrzucili go po całym kraju. Naczelnicy wojskowi województw i naczelnicy oddziałów ogłosili go w wojsku w formach uroczystych.

Zbliżał się teraz ważny bardzo dzień, bo termin, w którym upływał czas carskiej amnestyi z dnia 13. kwietnia. Wiemy, że Rząd Narodowy, aktem z tego samego dnia odrzucił ten akt rzekomej carskiej łaski. Do tej chwili nie znalazł się ani jeden Polak, któryby z tej łaski chciał korzystać.

Rząd Narodowy w dniu 13. maja wydał dwie odezwy, jedną do narodu polskiego, a drugą do wojska narodowego. W obu tych odezwach, Rząd Narodowy stwierdza, że tak naród, jak i wojsko, odrzuciły z pogardą akt carskiej łaski i wzywa do dalszej walki, aż do uzyskania ostatecznego celu niepodległości. Obie te odezwy znaleść można w I. tomie „Wydawnictwa materyałów do historyi powstania 1863/4 r."

Ponieważ z raportów naczelników cywilnych województw i naczelnika miasta Warszawy, było notorycznie znanem Rządowi Narodowemu, że znalazło się wielu wyrodnych obywateli, którzy chcąc się uchylić od obowiązków, ciążących na każdym obywatelu, brania czynnego udziału w walce o wolność, czy to w szeregach wojskowych, czy też wogóle w pracy, popierającej postanie — opuścili kraj i przebywają poza jego granicami, przeto Rząd Narodowy dnia 14. maja wydał dekret następującej osnowy:

„Ponieważ obowiązkiem każdego Polaka jest współdziałać w obecnej walce, przeto Rząd Narodowy postanawia: że wszyscy obywatele bez różnicy płci, stanu i wyznania, po wołani są do prac, mających na celu wyswobodzenie Ojczyzny, więc bez zezwolenia Rządu Narodowego nie wolno opuszczać granic kraju. Wszyscy powinni się znajdować na miejscu swego zamieszkania i nikt bez ze-

zwolenia organizacyi opuszczać go nie może. Obywatele pozostający za granicą, obowiązani są albo uzyskać pozwolenie na dalszy tam pobyt, albo powrócić po upływie 21 dni od daty niniejszego dekretu. Niestosujący się do tego będą pozbawieni praw obywatelskich, a nazwiska ich będą ogłoszone w pismach krajowych i zagranicznych".

Dekret ten był ogłoszony we wszystkich pismach tajemnych, wychodzących w kraju, jak i pozakrajowych pismach polskich i wogóle zagranicznych.

Pism tajemnych, wychodzących w Warszawie było w tym czasie kilka jak: „Strażnica", „Wiadomości polityczne polskie", „Głos Kapłana", „Prawda", a teraz dnia 10. maja zaczął wychodzić „Dziennik Narodowy". Wszystkie te pisma były niezależne. „Prawda", redagowana przez Władysława Sabowskiego była pismem półurzędowem i jako taka była zobowiązana zamieszczać ogłoszenia Rządu Narodowego. „Ruch" był bezpośrednim organem Rządu.

Muszę teraz na chwilę przerwać opowiadanie spraw i wewnętrznych działań Rządu Narodowego, a zwrócić się do działań zagranicznych, odnoszących się do sprawy polskiej. Nie mogę atoli wdawać się w szerokie i zupełnie wyczerpujące przedstawienie tak wzajemnego stosunku mocarstw do siebie, jak i w odniesieniu do Rosyi i do powstania, bo musiałbym przytaczać cały szereg długich zamienionych depesz, okólników i t. p. dokumentów. Ciekawy może je znaleźć w znacznej ilości zebrane w tomie V. „Wydawnictwa materyałów do historyi 1863/4". Ściśle biorąc w pamiętniku mógłbym zupełnie te sprawy pominąć, bo w chwili samej akcyi — cała akcya dyplomatyczna mocarstw znana nam była bardzo niedokładnie.

Stosunków ściśle dyplomatycznych Rząd Narodowy nie miał wogóle żadnych, wcale się temi sprawami nie zajmował. O tem, co się działo w tak zwanym dyplomatycznym świecie, Rząd Narodowy dowiadywał się dorywczo tylko, o tyle, o ile gazety zagraniczne wiadomości te z tych sfer podawały. Przebieg akcyi mogę przedstawić tylko pobieżnie i w wielkiem streszczeniu.

O wrażeniu, jakie powstanie wywarło poza granicami, pisałem już wyżej. O konwencyi z dnia 8. lutego zawartej między Prusami i Rosyą, także już mówiłem. Punktem wyjścia dla akcyi dyplomatycznej mocarstw, a szczególniej Francyi i Anglii była właśnie ta konwencya.

Pierwsza wystąpiła Francya, nawiązując negocyacye z Anglią

i Austryą, proponując zwrócenie się w sprawie konwencyi do gabinetu berlińskiego. Anglia i Austrya odmówiły, pierwsza ze względu, że trudno jest potępiać postępowania Prus, nie zaczepiając głównej winowajczyni Rosyi, Austrya nie chciała przez zaczepienie Prus wzbudzać niezadowolenia w Niemczech. Negocyacye trwały dłużej. Anglia ograniczyła się tylko do zwrócenia uwagi Prus na niewłaściwość konwencyi. Następnie Anglia w logicznem następstwie twierdzenia, że potępiając Prusy nie można pominąć Rosyi, dnia 2. marca wystosowała ostrą notę do Rosyi z przypomnieniem jej obowiązków względem Polski, które zagwarantowały wszystkie mocarstwa na kongresie 1815 r. i notę tę zakomunikowała gabinetowi paryskiemu z żądaniem podobnego współdziałania. Chciała przytem Anglia i Austryę wciągnąć do tej akcyi i inne państwa europejskie, jak Włochy, Hiszpanię, Portugalię, Belgię i inne. Cesarz Napoleon, któremu w tej chwili chodziło bardzo o zachowanie przyjaznych z Rosyą stosunków, a nie chciał się też uchylać zupełnie od wspólnej z Anglią akcyi, nie odpowiadając na razie na jej wezwanie, polecił swemu ambasadorowi w Petersburgu zwrócić uwagę Rosyi na konieczną naprawę jej stosunków z Polską i jednocześnie wysłał list własnoręczny do Aleksandra II., w którym doradzał, żeby Rosya utworzyła osobne Królestwo Polskie pod berłem W. ks. Konstantego. Car Aleksander także własnoręcznym listem odpowiedział, że po stłumieniu powstania nie omieszka udzielić amnestyi z wyłączeniem z niej głównych przywódców buntu, że nadane reformy utrzyma, a nawet z czasem będzie mógł je rozszerzyć. Cesarz Napoleon podrażniony tą odpowiedzią, posłowi, który mu list cara na osobnej audyencyi doręczył, odpowiedział: „Proszę powiedzieć cesarzowi swemu panu, że jeżeli, od czego broń mnie Boże, będę zmuszony stanąć w przeciwnym obozie, będę bardzo zasmucony i nieszczęśliwy“.

Cesarz Napoleon za pośrednictwem ks. Metternicha, ambasadora austryackiego w Paryżu, nawiązał znowu negocyacye z gabinetem wiedeńskim. Negocyacye te jednak jakkolwiek nie spowodowały zupełnej odmowy, nie przyniosły jednak pozytywnego skutku.

To spowodowało cesarza Napoleona, że skłonił się wreszcie do pierwotnych propozycyi Anglii, które chciał ominąć i zawiadomił o tem lorda Russela, ministra spraw zagranicznych w Londynie. A że i Austrya na żądanie Anglii zobowiązała się także do wspólnej akcyi, więc dnia 10. kwietnia wszystkie trzy gabinety: londyński, paryski i wiedeński, przesłały noty do Petersburga. Noty te jednak

nie były jednobrzmiące. Noty francuska i austryacka były bardzo oględne i ugrzecznione; wyrażały przekonanie, że zakomunikowane uwagi będą przyjęte z tem samem uczuciem życzliwości, z jakiem są wypowiedziane. Nota angielska była tak ostra, jak nota z 2. marca, a może nawet i ostrzejsza. Powiedziano w niej, że rząd królowej nie może przystać na twierdzenie Rosyi, że zwyciężenie powstania w r. 1831 uwolniło ją od wszelkich zobowiązań, płynących z postanowień kongresu wiedeńskiego r. 1815, bo musi je uważać za przeciwne dobrej wierze. Car Rosyi posiada Polskę nie jako prowincyę, należącą do jego korony, bo ją otrzymał na mocy traktatu, zawartego z Wielką Brytanią, Austryą, Francyą, Prusami i t. d. Powstanie Polaków nie może go uwolnić od obowiązków przyjętych z mocy tych traktatów.

Gabinet francuski dnia 17. kwietnia rozesłał okólnik do swoich posłów przy różnych dworach, polecający doręczenie odnośnym rządom odpisu swej noty i wezwania, ażeby te rządy w tym samym duchu złożyły oświadczenia rządowi rosyjskiemu.

Ten krok trzech mocarstw, bardzo zaniepokoił gabinet petersburski i spowodował pewne spuszczenie z tonu. Przedewszystkiem car dla zamydlenia oczu dyplomacyi europejskiej wydał ów ukaz amnestyjny dnia 12. kwietnia, a 26. kwietnia przesłał odpowiedź na doręczone mu noty. W odpowiedzi Rosya uznawała głębokie zło i niedostateczność środków przedsięwziętych dotychczas dla uspokojenia Polski, przyznawała, że sprawa polska były dotknięte nie tylko ogólne interesa europejskie, ale i prywatne państw pogranicznych. Przyznawała prawo kompetencyi rządom podpisanym na traktacie wiedeńskim, przyznawała się do konieczności wynalezienia środka dla postawienia Polski w warunkach, zabezpieczających stały pokój — prosiła nawet o wskazanie takich środków.

Wszystko to jednak było obłudnem mydleniem oczu, aby zyskać na czasie. Rosya spodziewała się, że amnestya udzielona, podkopie siły powstania, że potrafi prędko go stłumić i stanąć przed Europą z faktem dokonanym. Tymczasem, jak wiemy, już zupełnie się na tem zawiodła. Amnestya zrobiła zupełne fiasko. Powstanie nie tylko nie osłabło, ale przeciwnie rozwijało się, rosło w siły. Gabinet petersburski wiedział doskonale, że jeżeli porozumienie się mocarstw, do wysłania tych not przyszło z takim trudem i potrzebowało tak długiego czasu, to teraz zanim się mocarstwa porozumieją co do odpowiedzi i wskazania środków uspokojenia Polski — upłynie także wiele czasu, a tymczasem zdoła zgnieść powstanie.

Rzeczywiście mocarstwa dopiero po dwóch miesiącach, po zamienieniu rozlicznych depesz i not zdołały porozumieć się i dopiero 17. lipca przedstawiły Rosyi do rozważenia sześć punktów zasadniczych. Ale o tem potem.

Dodam teraz jeszcze tylko, że Rosya doskonale znała wzajemne antagonizmy, które nie pozwalały trzem mocarstwom dojść do porozumienia i jednolitego energicznego a stanowczego działania. Korzystała też z tego podnosząc i podsycając te antagonizmy rozmaitymi ubocznymi, a w dyplomacyi, opierającej się zawsze na podstawie fałszu, obłudzie, dopuszczalnymi środkami pokątnych intryg. Zasypywała też gabinety swemi notami, podnosząc w nich rozmaite kwestye, osłabiające źródła i przyczyny powstania polskiego, wskazując fałszywie, że powstanie czerpie swoją siłę i jest wynikiem ogólnych działań rewolucyjnych w Europie, które ciągle zagrażają pokojowi. Że gdyby nie te rewolucyjne działania, to i Polska byłaby spokojna. Że działania zbiorowe mocarstw, jeżeli chcą pokoju w Europie, powinny dążyć do poskromienia i zniweczenia tych właśnie ogólno-rewolucyjnych działań.

Tak Rosya usiłowała otumanić i wprowadzić interweniujące dyplomatycznie mocarstwa na manowce, strasząc widmem niebezpieczeństwa ogólno-rewolucyjnego i to się udawało. Akcya dyplomatyczna ma tylko wtenczas realne znaczenie i siłę, gdy jest poparta hukiem dział, albo przynajmniej tę ewentualność w przyszłości pokazuje. W stadyum obecnem, ta ewentualność tylko się zarysowywała bardzo słabo. Trzy mocarstwa, a właściwie tylko Francya i Anglia straszyły Rosyę widmem ogólnej koalicyi, bo wzywały wszystkie państwa europejskie do wspólnej akcyi. Szwajcarya i Belgia wymówiły się od udziału swoją neutralnością. Inne państwa spełniły wprawdzie życzenie Angli i Francyi, ale tylko formalnie, jako obowiązek grzeczności względem wzywających, unikając w przedstawieniach swoich nawet cienia chęci obrażenia Rosyi. Włochy zapewniały Rosyę o swej pewności i zaufaniu, że car nie ustanie w udzielaniu Polsce dalszych koncesyi i reform. Dania wyrażała życzenie, by Polska jak najprędzej złożyła broń przed szlachetnym carem. Szwecya mówiła o szybkiem uśmierzeniu powstania, jako szczęściu dla Polski. Naturalnie, że te dyplomatyczne elukubracye nie robiły żadnego wrażenia w Rosyi, przyjmowała je ona z uśmiechem politowania.

Rosya faktycznie nadrabiała tylko miną pewności siebie. W gruncie rzeczy bała się tego widma wojny, choć tak słabo zary-

suwującego się, bo była najzupełniej do wojny nieprzygotowaną, tak finansowo jak militarnie. Po ciężkich przejściach wojny wschodniej, nie zdołała jeszcze przyjść do siebie, wzmocnić i uregulować swych sił i zasobów. Nie była też zupełnie pewną spokoju u siebie. W szachrajstwie dyplomatycznem i w sprzeczności interesów mocarstw, które nie dopuszczały do jasnego, stanowczego porozumienia i działania, widziała swoje wybawienie z kłopotów, które widmo wojny mogło ją nabawić.

Sprzeciwieństwa te i antagonizmy między mocarstwami interweniującemi były bardzo wielkie. Austrya nie dowierzała Francyi, bo tam siedział na tronie spadkobierca polityki Napoleona, nie mogła mu darować jego współdziałania w wojnie włoskiej, w której straciła Lombardyę i wpływ, jaki wywierała na Włochy. Względnie do sprawy polskiej Austrya nie widziała korzyści, jakieby jej mogło przynieść jej stanowcze działanie w przywróceniu niepodległości Polski. Przeciwnie, wiedziała, że musiałaby oddać Galicyę, a odbudowana Polska miałaby raczej skłonność do łączenia się z Francyą, jak z nią. Austrya poparła, a może nawet podmówiła Francyę do awanturniczej wyprawy meksykańskiej, poświęcając nawet jednego z książąt swego cesarskiego domu.

Francya i Anglia wzajemnie nie miały do siebie zaufania. Antagonizm od wieków trwający podsycała w Anglji teraz sama ta okoliczność, że tron francuski zajmował spadkobierca Napoleona I., który mógł szukać rewanżu za Waterloo i całą politykę Anglii w owych czasach. Anglia nie życzyła sobie przytem wcale osłabienia Rosyi, nie chodziło jej także o odbudowanie Polski, ale tylko i wyłącznie o zwolnienie ucisku, jakiemu Polacy ulegali pod panowaniem Rosyi.

Cesarz Napoeon od czasu traktatu paryskiego po wojnie wschodniej, starał się usilnie o zbliżenie się do Rosyi, a nawet o zawarcie z nią traktatu i pod tym względem był z Rosyą w zgodzie, jak to stwierdzał, jak sobie możemy przypomnieć, Orłow, ambasador Rosyi w Brukseli, gdy chciał w roku 1862 skłonić W. ks. Konstantego do wstrzymania zamierzonego przez Wielopolskiego proskrypcyjnego poboru. Powstanie polskie psuło mu szyki, więc wiadomość o powstaniu przyjął z niezadowoleniem. Dopiero konwencya prusko-rosyjska wpłynęła na zmianę tego usposobienia, wtedy to zezwolił na odbycie się wielkiej manifestacyi, którą Paryżanie urządzili dla ks. Władysława Czartoryskiego. Objawił chęć zbliżenia się do tegoż ks. Władysława Czartoryskiego, którego

uważał za wybitnego przedstawiciela interesów Polski i rzucił pierwsze słowa zachęty dla powstania. To znowu, jak wiemy, wpłynęło na zmianę stanowiska konserwatywnego obozu polskiego względem powstania. W akcyi dyplomatycznej, jak widzieliśmy, działał ostrożnie, żeby się nie narazić Rosyi. Pod naciskiem prawie Anglii, zgodził się na więcej stanowczą akcyę.

Wszystkie trzy mocarstwa, podejmując akcyę dyplomatyczną nie dowierzały Prusom, tej skrytej i jeszcze wówczas nie skonsolidowanej potędze, które dostawszy po palcach za ową czwartą konwencyę, przyczaiły się i w całej akcyi dyplomatycznej jawnie nie brały żadnego udziału. To wszystko razem wzięte stanowiło przeszkodę porozumieniu i stanowczemu solidarnemu wystąpieniu mocarstw.

Gdyby dyplomacya trzech mocarstw nie była tak krótko widzącą, ale przewidującą i więcej świadomą, z jednej strony słabości Rosyi, a z drugiej, skupiającej się i przygotowującej się, a tylko przyczajonej potęgi Prus, byłaby zrozumiała grożące Europie niebezpieczeństwo. Podając zbrojną pomoc powstaniu polskiemu, dążącemu do odzyskania niepodległości, byłaby to niebezpieczeństwo usunęła i uchroniła naprzód Danię, potem Austryę, a następnie Francyę od pogromu im przez Prusy zadanego, którego skutki dziś tak ciężko zawisły nad Europą.

Ale dam spokój takiemu rozpamiętywaniu przeszłości na podstawie „gdyby“, bo byłoby to tylko przelewaniem z pustego w próżnię, a taki wątek możnaby snuć bez końca. Co się stało, odstać się nie może. Nemezis dziejowa tak sprawy poprowadziła. Czas na odbudowanie Polski jeszcze nie przyszedł.

Przypatrzmy się dalej, jaki był stan sprawy powstania poza granicami, bo to nam potrzebne do wyjaśnienia stanowiska, jakie zajął i jakie musiał zająć Rząd Narodowy.

Przedstawiłem stanowiska rządów, ale poza rządami stały ludy. Powstanie w Polsce obudziło odrazu sympatye ludów, a sympatya ta wzrosła jeszcze więcej, gdy rządy rozpoczęły swoją dyplomatyczną akcyę. We Włoszech, we Francyi, w Anglii, w Szwecyi, urządzano manifestacye, zebrania ludowe, mityngi, na których objawiano swoje sympatye i pchano rządy do czynów. Wszystkie dzienniki europejskie były zapełnione wiadomościami z Polski; wysyłały swoich specyalnych korespondentów, dla przypatrzenia się bliżej temu, co się w Polsce działo. W parlamentach zasypywano rządy interpelacyami, na które w odpowiedzi padały słowa za-

chęty. W interpelacyach nie szczędzono wcale Rosyi, szczególniej w angielskich. Gdy konsul angielski w Warszawie, pułkownik Stanton, w rapertach przedstawił wszystkie barbarzyństwa, których się Moskale dopuszczali, opinia Anglii wybuchła nadzwyczajnem oburzeniem, a lord Russel, minister spraw zagranicznych wypowiedział te słowa: „Bądźcie przekonani, że opinia publiczna w Anglii zostanie popartą energicznie. To co było w Polsce w r. 1831 i 1832 nie będzie się mogło powtórzyć". Cesarz Napoleon wzywał do siebie ks. Czartoryskiego, żądał od niego informacyi o tem, co się w Polsce dzieje i sam go powiadomił o zamiarach i działaniach rządów. Muszę jeszcze i to dodać, że nie tylko ludy objawiały nam sympatyę i chciały nam nieść pomoc, ale przedstawiciele ogólnej potrzeby dążenia do wolności, tak zwani rewolucyoniści, wyrażali nam swoją sympatyę, ofiarowali nam, narzucali swoją pomoc, jak Garibaldi, Mazzini, Kossuth. O tych jednak ofiarach i narzuceniach (umyślnie ten wyraz tu podkreślam), będę miał sposobność później mówić.

Wszystkie te wiadomości dochodziły do Polski, zajmowały wszystkich, podnosiły ducha. Interwencya mocarstw była na wszystkich ustach. Czyż tylko Rząd Narodowy miał zamknąć oczy i zatkać uszy, żeby tego nie widzieć i nie słyszeć? Jeżeli dotąd nie zajmował się tem wcale, więc miał i nadal pozostawać w tej obojętności? Czyż zajmując takie stanowisko, nie mógł ściągnąć na siebie zarzutu, karygodnego zaniedbania? Obowiązkiem było Rządu Narodowego, korzystać z każdej okoliczności, nie zaniedbywać niczego, coby mogło przynieść powstaniu jakąkolwiek korzyść. Jeżeli naród cały wierzył w interwencyę, dlaczegóżby Rząd Narodowy, który tyle wiedział o interwencyi, co i naród cały, nie miał także przypuszczać o jej możliwości i pomyślnych z niej dla powstania skutków.

Pułkownik Zygmunt Miłkowski, chyba nieposzlakowany w swych przekonaniach politycznych, w dziełku swojem: „W Galicyi i na Wschodzie" tak mówi: „Jestem pewny, że Polak każdy z tą elementarną zgodzi się prawdą, iż pomoc zewnętrzna — nie będąc do wywalczenia niepodległości Polski, warunkiem „sine qua non" może być wszakże w razach pewnych bardzo pożądaną. Powstaniu styczniowemu, poczętemu i podtrzymywanemu, w warunkach tak nadzwyczajnie, tak bezprzykładnie, tak wyjątkowo trudnych, przedstawia się ona jako deska zbawienia. Wykrzesać ją,

wywołać, wprowadzić, zniewolić, w jaki bądź sposób Europę do przemówienia za Polską hukiem dział — stanowiło to dla nas w momencie owym, potrzebę nieodzowną, konieczną".

Tak mówi o interwencyi nieposzlakowany, jak powiedziałem, Polak, demokrata, rewolucyonista. Więc czyż można Rządowi Narodowemu, który wierzył w interwencyę, gdy jej widmo się pokazało, że jej pragnął — czynić z dobrą wiarą, jakikolwiek bądź z tego tytułu zarzut? Czyż można z tego tytułu twierdzić, że Rząd Narodowy przez to sprzeniewierzył się idei demokratycznej powstania, że spiknął się z reakcyą, z białymi? (Vide Limanowski: „Historya Powstania" i inni), że przez to zraził do siebie ludy i owych rewolucyonistów.

Rząd Narodowy chcąc zbliżyć się do tych sfer, które zainicyowały interwencyę, chcąc się zapoznać z naturą i rozciągłością rozpoczętych działań dyplomatycznych, chcąc w najskromniejszych granicach swej możności, pośrednio z niemi współdziałać przez udzielanie objaśnień, nie uważał przez to interwencyi, jako warunek — „sine qua non", bo wierzył, a powiadam to z ręką na sercu — w ostateczne zwycięstwo powstania. Rząd Narodowy z tą wiarą, robił wszystko, co tylko było w jego mocy, ażeby powstanie było zwycięskiem. Znajdą się tacy, którzy w tem miejscu zawołają: „Bezgraniczny optymizm, ułuda!" A ja im odpowiadam: Prawda — ostateczny wynik to potwierdza. Rząd Narodowy był optymistą, ale optymizm ten płynął z najgłębszej dobrej wiary!! Ale ze złą wiarą były i są czynione Rządowi Narodowemu zarzuty, że z tytułu i oczekując interwencyi, zaniedbywał powstanie, że go tylko podtrzymywał, aby trwało, aby z bronią w ręku doczekało się interwencyi, że zakazywał oddziałom zaczepnego działania, że schlebiał zasadzie, że wystarczy jeden strzał w każdym powiecie na tydzień i t. p.*). Ja z obowiązku mego w obronie prawdy, w odparciu wszelkiego fałszu, tym wszystkim zarzutom skądkolwiek bądź i od

*) Autor „Dziejów 1863 r.", Tom II., str. 439, w dopisku podaje jako fakt, że Ruprecht, członek Rządu Narodowego, głośno się odzywał, że wystarczy, jak w jednym powiecie padnie jeden strzał na tydzień, aby Europa Polskę zbawiła i powołuje się na Łukaszewskiego „Zabór pruski", str. 293. Istotnie Łukaszewski przytacza to jako pogłoskę i dodaje włoskie przysłowie: „Si non e vero e ben trovato". Wyraźnie Łukaszewski nie znał Ruprechta, jeżeli prawdziwość tych słów mógł przypuszczać. — Autor „Dziejów" podaje to już jako fakt.

Czyż złą wiarą można dalej posunąć swoją bezczelność. Ja stwierdzam, że to jest najbezeczniejszy fałsz, że takiej opinii ani Ruprecht, ani ktokolwiek z Rządu nigdy nie wypowiedział.

kogokolwiek bądź pochodzą zadaję najuroczystszy, najgłośniejszy i jak najwięcej stanowczy kłam!!

Szerzej się teraz rozpisałem o stanie sprawy polskiej poza granicami kraju, żeby dosadniej przedstawić powody, które skłoniły Rząd Narodowy, do zwrócenia baczniejszej uwagi na sprawy zagraniczne i do ustanowienia dla tych spraw swego reprezentanta. Wiemy już, że ten wybór padł na osobę ks. Władysława Czartoryskiego. Wyjaśniłem także, w jaki sposób do tego wyboru przyszło i dlaczego padł on na tę właśnie osobę. Muszę tu jednak dodać kilka jeszcze uwag. Rząd Narodowy a właściwie ludzie go składający, nie byli tak naiwni, ani tak zarozumiali, żeby mogli nawet przypuścić, żeby w razie potrzeby, jakikolwiek bądź rząd, choćby nawet najmniejszego państwa, choćby dajmy na to Portugalii, z jakimś rządem tajemnym, który składają jacyś tam, Awejde, Giller, Ruprecht, Siwiński, Janowski*), ludzie nieznani, Bóg wie, co za jedni — wchodził w stosunki i porozumiewania. Reprezentantami przy rządach uznanych muszą być zawsze ludzie o wybitnych stanowiskach społecznych i dla rządów przyjemni. Jest przecież utartym zwyczajem między rządami, że każdy rząd przed zamianowaniem ostatecznym swego posła przy innym rządzie wprzód się z tymże porozumiewa, czy osoba, którą zamierza posłem zaakredytować będzie przyjętą i dopiero po poprzedniem zaaprobowaniu, nominuje ją posłem. Nie potrzebuję tego szeroko uzasadniać, bo każdy człowiek rozumny i trzeźwo myślący, zrozumie doskonale, że Rząd Narodowy tajemny, nie uznany, nie mógł prostym listem, opatrzonym pieczątką — pomimo, że ta pieczątka miała zupełne uznanie w kraju, pytać cesarza Napoleona, czy on życzy sobie wejścia z nim w porozumienie i wskazywać mu z góry osobę do tego oznaczoną. Przypuściwszy nawet, że to byłoby możebnem, to listu takiego nie można było posłać przez pocztę, choćby nawet za recepisem, lecz list taki musiałby być doręczony przez jakąś osobę, mającą wstęp do dworu, być znaną i przyjemną cesarzowi Napoleonowi. Cesarz sam uczuł potrzebę wejścia z Rządem Narodowym w zetknięcie, sam zaprosił ks. Czartoryskiego do siebie i objawił mu swoje życzenie i że byłoby mu przyjemnem, żeby to zetknięcie nastąpiło za jego pośrednictwem.

*) Muszę tu stwierdzić z przyjemnością, że przecie raz mogę się zgodzić z autorem „Dziejów 1863 r.“, który w Tomie II., str. 447 ten sam pogląd wypowiada — choć po swojemu mówi to w tonie lekceważącym, prawie pogardliwym. Ale to już właściwość tego historyka — on nie umie nigdy mówić o czemś objektywnie. Autor „Dziejów“ w całem swojem opowiadaniu, gdy mówi o Rządzie Narodowym, traktuje go zawsze i uważa za uzurpatorski — awanturniczy.

Pytam się teraz, czy Rząd Narodowy, wobec tego mógł był inaczej, jakiejkolwiek, choćby najwybitniejszej osobie powierzyć mandat swego reprezentanta?

Ja z całem przekonaniem muszę odpowiedzieć na to pytanie, że nie mógł inaczej postąpić.

Prawda, że ks. Czartoryski należał do innego obozu patryotycznego, że wyznawał zasady monarchiczne, ale był Polakiem, patryotą. Przy tem w tem zetknięciu z rządem francuskim i innymi nie miała wcale być rozstrzygana forma rządu w przyszłej, oswobodzonej, niepodległej Polsce. Sam Rząd Narodowy, jakkolwiek opierający się na najrozleglejszych zasadach demokratycznych, sam nie dotykał i nie chciał przesądzać przyszłej formy Rządu, bo to uważał za wyłączną atrybucyę samego wolnego i niepodległego narodu. Przy tem Rząd Narodowy, co już zaznaczyłem i raz jeszcze z naciskiem zaznaczam, miał to przekonanie i nim się zawsze kierował, że obowiązkiem jest jego nie odsuwać, ale dać możność pracy w odzyskaniu niepodległości, wszystkim obywatelom patryotom, stawiać ich jednak w takich warunkach, by w pracy swojej nie mogli odstępować od zasad ogólnych, przez Rząd wyznawanych. Pytam się, kto ma prawo odmawiać patryotyzmu i pozbawiać możności pracy dla narodu obywatela, dlatego tylko, że ten jest innych, niż on przekonań politycznych, szczególniej, gdy tu jedyne kryteryum w powołaniu obywatela do pracy stanowiło, czy tenże pragnie niepodległości dla swej Ojczyzny ujarzmionej. Wobec tego jakąż ma wartość twierdzenie i zarzut czyniony Rządowi Narodowemu (Vide Limanowski i inni), że przez nominacyę ks. Czartoryskiego pełnomocnikiem swoim do spraw zagranicznych, Rząd Narodowy wszedł na drogę reakcyi, że poddał się pod komendę Białych?

Wiemy, że Rząd Narodowy listem z d. 28. kwietnia zadzierżgnął stosunek z ks. Czartoryskim i zawiadomił go o zamiarze powierzenia mu misyi swego pełnomocnika dla spraw zagranicznych. Rząd Narodowy wiedział, że żywioły gorętsze, więc skrajne w kraju, a szczególniej za granicą w emigracyi, gdzie tlały jeszcze nie wygasłe zarzewia walki stronniczej między demokracyą i monarchistami, będą niezadowolone z powołania ks. Czartoryskiego na stanowisko reprezentanta Rządu, nie chciał tej nominacyi ogłaszać, nie spieszył się z nią, a potem z tego samego powodu uważał za potrzebne do pewnego czasu nominacyę ks. Czartoryskiego zachować w tajemnicy.

Wiemy już także, że Rząd Narodowy jeszcze przed tem

w przewidywaniu, że będzie musiał zająć jakieś stanowisko w toczącej się akcyi dyplomatycznej i rozumiejąc doskonale trudności, jakie w tym wypadku wyniknąć mogą, z jego tajemniczego charakteru, zastanawiał się i rozważał sprawę utworzenia Rządu jawnego i że to okazało się niemożliwem.

Jeszcze przed nominacyą dnia 4. maja Rząd Narodowy wysłał depeszę do ks. Czartoryskiego (Wydawnictwo materyałów, t. V., str. 181, nr. 42), w której donosił mu: „że otrzymał wiadomość, że patryoci węgierscy, chcą utworzyć legion węgierski za granicami kraju, z zamiarem przyjścia w pomoc naszemu powstaniu. Początwo legion ma się składać z 5.000 zbrojnych, następnie jednak ma być powiększony, odpowiednio do okoliczności. Utrzymanie legionu biorą Węgrzy na siebie, nie żądając nawet dla niego ani nazwy ani chorągwi węgierskiej, że ta pozorna bezinteresowność Madiarów objaśnienie swe znajduje w zamiarach wywołania rewolucyi we Węgrzech, przy pomocy usiłowanego i rozwiniętego powstania u nas, że Rząd Narodowy nie mając dokładnych wiadomości o stanowisku mocarstw zagranicznych, udzielił Węgrom odpowiedź nic niedecydującą“. Dalej powiada, że: „powstanie nasze pod względem dążności, jeden ma tylko cel główny, t. j. wywalczenie niepodległości narodu“, że: „powstanie w pierwszej chwili liczyło tylko na własne siły, że dopiero konwencya prusko-rosyjska, zmusiła i nas szukać sprzymierzeńców, że zachodzi teraz pytanie, z kim przymierze zawierać, z konserwatyzmem, czy z rewolucyą? że bez wahania przyjmiemy jedno lub drugie, odpowiednio do tego, która z tych pomocy będzie prędszą i pewniejszą“. „Dalej Rząd Narodowy zwraca uwagę na doniosłość odpowiedzi i żąda, by książe zbadał stosunki i zawiadomił natychmiast drogą telegraficzną“.

List ten przytaczam, bo w nim poruszona jest sprawa owych problematycznych ofert niesienia pomocy ze strony przedstawicieli narodów. Takie oferty były proponowane nie tylko od Węgrów, ale i od Włochów. Nazywam je problematycznemi, gdyż miały one na celu tylko pośrednio Polskę. Węgrom chodziło o niepodległość Węgrów, Włochom o odebranie Austryi Wenecyi. Jedni i drudzy żądali wypowiedzenia wojny Austryi przez powstanie w Galicyi. Węgrzy obiecywali wysłanie legionu w sile 5.000 ludzi własnym kosztem. Przy bliższych jednak potem układach już w lipcu prowadzonych z polskiej strony przez Elżanowskiego, okazało się, że Węgrzy żądali 5 milionów zł. reńskich na wyekwipowanie tego oddziału, niby tytułem pożyczki. Propozycye z Włoch wychodziły z dwóch stron,

od Garibaldiego i od Mazziniego. Garibaldi przez pośrednictwo pułkownika Scarpy ofiarował dostarczyć legion, bez wymienienia jego siły, złożony z Włochów, Szwajcarów i Francuzów pod dowództwem jego syna Menottiego, który mógł się dostać do Polski tylko przez Turcyę i Księstwa Naddunajskie, żądał zasiłku pieniężnego. Rząd Narodowy bez względu nawet na trudność i wogóle możebność dostania się takiego legionu do Polski tą drogą, bo innej nie było, ofertę Garibaldiego przyjął i żądanego zasiłku, zdaje mi się, 150 tysięcy franków, udzielił. Zasiłek ten, gdy wyprawa nie przyszła do skutku, bo przyjść nie mogła — Garibaldi wrócił. Oferta ta była zupełnie bezinteresowna i dlatego Rząd Narodowy ją przyjął. Mazzini w ofercie swojej był cynicznie otwartym. Nie oferował wcale pomocy, ani w ludziach, ani w pieniądzach, ale mówił, że Włochy wypowiedzą Austryi wojnę, a wy zróbcie powstanie w Galicyi. Austrya będzie musiała rozdzielić swoje siły, co nam ułatwi wypędzenie jej z Wenecyi. Dla was wszystko jedno, czy tak, czy owak, wy jesteście słabi i musicie uledz. Czy Rząd Narodowy na takich premissach ofiarowaną pomoc mógł nie tylko przyjąć, ale nawet mówić o tem z oferującym — niech sobie każdy sam odpowie.

Rząd Narodowy, jak wiemy, jasno określił stanowisko Galicyi względem powstania. Miała ona nieść pomoc tylko i wyłącznie przez dostarczanie ludzi, pieniędzy i broni. Z chwilą powstania w samej Galicyi, powstanie w Królestwie i na Rusi pomoc tę straciłoby zupełnie. Galicya z chwilą powstania musiałaby myśleć tylko o sobie. Powstanie w Królestwie pozbawione tej pomocy, odcięte zupełnie od Europy, musiałoby uledz losowi, które mu tak otwarcie przepowiadał Mazzini. Choćby nawet powstanie węgierskie po długiej walce odniosło zwycięstwo nad Austryą, lecz przez czas tej walki nie mogłoby żadnej pomocy nieść naszemu powstaniu, a i ów pomocniczy legion musieliby odwołać, jeżeliby on sam tam przed tem nie wrócił. I gdyby nawet powstanie nasze przetrzymało czas wojny węgiersko-austryackiej, a wojna ta skończyła się dla Węgier pomyślnie, wątpliwą byłoby rzeczą, czy Węgry miałyby już nie chęć, ale nawet siłę do nowej walki z Rosyą, którą musieliby podjąć, niosąc pomoc naszemu powstaniu. Rząd Narodowy pomimo to przyjął ofertę Węgrów, tak jak przyjął i Włochów, przyjął nawet z wdzięczności, zastrzegł jednak, żeby oddziały pomocnicze wchodziły do Polski nie pod sztandarem węgierskim i włoskim, lecz jako dobrowolne zastępy ochotników.

Rząd Narodowy w liście następnym do ks. Czartoryskiego z d.

15. maja (patrz idem nr. 43) zupełnie jasno tę sprawę przedstawił, dla rozważenia. Mówi tam: „Dotychczas Rząd Narodowy przyjmując z wdzięcznością czynione mu przez szlachetnych cudzoziemców propozycye, zastrzega zawsze, aby podobne oddziały, gdyby się sformowały i weszły do kraju, walczyły bezimiennie, t. j. nie wywieszały swojej chorągwi narodowej na ziemi polskiej i jedynie jako dobrowolne zastępy ochotników niosły pomoc polskiemu powstaniu. Tak postępując, Rząd Narodowy przekonać pragnie dwory europejskie, że ufny w ich współdziałanie, unika kroków, któreby rokowania ich dyplomatyczne, lub zbrojną pomoc dla odbudowania niepodległej Polski, utrudnić mogły. Ale rządy same sobie winę przypisać będą musiały, jeżeli Polska wśród rozpaczliwego boju, który rozpoczęła zmuszona nieznośnym uciskiem wroga, boju, w którym giną z niesłychanem poświęceniem życia, majątki najdroższych dzieci Polski, a ważą się losy najukochańszej Ojczyzny, jeżeli Rząd Narodowy zawiedziony w nadziejach śpiesznej i skutecznej pomocy ze strony rządów, sięgnie ręką po sojusz z żywiołami, które nie tak skąpo i leniwie, ofiarują krajowi czynne współczucia swoje. W najwyższych sferach rządowych w Paryżu, do których masz otwarty przystęp, zechciej Książe stan ten przedstawić w całej swej naglącej prawdzie“.

Rząd Narodowy musiał tak sprawę stawiać jeszcze i z tego powodu, że Rosya chcąc odwrócić uwagę Europy od istotnych przyczyn, które wywołały powstanie i odjąć mu charakter walki o niepodległość Ojczyzny, usiłowała przedstawić powstanie, jako wynik i następstwo knowań ogólno-rewolucyjnych i tam wskazywała interweniującym rządom główne niebezpieczeństwo, nie tylko dla pokoju europejskiego, ale i dla nich samych.

Dnia 15. maja Rząd Narodowy mianował ks. Władysława Czartoryskiego, głównym pełnomocnikiem dyplomatycznym przy rządach Francyi, Anglii, Szwecyi i Turcyi „wskutek czego książe jest mocen w imieniu Rządu Narodowego i narodu polskiego, przedstawiać memoryały do wyżej wymienionych rządów i przedsiębrać wszystkie czynności, mające na celu poparcie sprawy niepodległości Polski. O działaniach swych racz Książe Rząd Narodowy bez żadnej przerwy zawiadamiać. Pozostawiając W. Ks. Mości wybór środków, jakie dla rozwoju sprawy narodowej za właściwe uznasz, Rząd Narodowy zastrzega jedynie, by działania W. Ks. Mości zgodnemi były z tą zasadniczą myślą Rządu Narodowego i obecnej, toczącej się z Moskwą walki, iż naród polski nie złoży broni dopóty,

dopóki niepodległość wszystkich krajów i prowincyi polskich pod zaborem moskiewskim pozostających urzeczywistnioną nie zostanie".

Przesyłając tę nominacyę Rząd Narodowy wystosował zarazem list do tej samej daty, o którym już wyżej wspomniałem i wyjątek z niego zacytowałem; przy liście tym przesyłał nominacye dla ajentów dyplomatycznych w Stambule i Sztokholmie (nazwisk nie pamiętam) z zastrzeżeniem, „że tak odwołanie obecnie mianowanych ajentów, jak i zamianowanie w ich miejsce innych w przyszłości — tylko Rządu Narodowego jest atrybucyą", że: „wszyscy ajenci dyplomatyczni bez żadnego wyjątku obowiązani są składać raporta ze swych czynności Rządowi Narodowemu, a również spełniać polecenia Rządu Narodowego im przesłane, a w niczem nie uwalnia ich od składania W. Ks. Mości równych raportów jako głównemu pełmocnikowi dyplomatycznemu".

Zawiadamiał, iż ajentem w Rzymie mianował Władysława Kulczyckiego, że do obsadzenia misyi w Wiedniu czyni odpowiednie starania. Że dla urządzenia przesyłki broni wysłał Leona Królikowskiego *), który otrzymał polecenie znosić się z księciem. Polecał, żeby skorzystał ze sposobności nabycia 15 tysięcy sztuk broni karabinów austryackich ciągnionych, zawarł umowę na podstawie udzielonego upoważnienia, zagwarantował swojem imieniem w zastępstwie Rządu Narodowego bezpieczeństwo wypłaty lub zaciągniętego kredytu. Że kwota na zakupno broni będzie z największą pewnością we właściwym czasie dostarczona. Że ofiara narodowa wpływa regularnie. Że Rząd Narodowy dla pokrycia najpilniejszych potrzeb obmyślił zaciągnięcie wewnętrznej pożyczki 20 milionów złp. w trzech seryach, a z tych pierwsza będzie zarezerwowana na pokrycie zobowiązań na kupioną broń zaciągniętych. Poleca szczególniej gorliwości księcia interes zaciągnięcia pożyczki w Anglii, by w tym celu rozwinął działania na opinię publiczną w Anglii.

Jednocześnie i pod tą samą datą Rząd Narodowy wygotował i przesłał ogólną instrukcyę dla agentów dyplomatycznych. Niestety instrukcyi tej nie mam i treści jej nie pamiętam.

Takie były motywa i przebieg zawiązania stosunków z księciem Władysławem Czartoryskim i mianowania go głównym agentem dyplomatycznym.

Nominacyi ks. Władysława Czartoryskiego dziś jeszcze nie

*) Muszę tu nadmienić, że o udziale Królikowskiego w Dyktaturze Langiewicza Rząd Narodowy nie miał wówczas żadnych autentycznych wiadomości. To wszystko, co o tem w moim pamiętniku wyżej pisałem, dowiedziałem się lub wykombinowałem później, zestawiając wszystkie dane i fakta.

uważam za błąd. Było to koniecznością. Rząd Narodowy mógł się wcale nie zajmować i nie zwracać uwagi na rozpoczętą akcyę dyplomatyczną, ale skoro tylko to za konieczne uznał, to do akcyi tej nie mógł powołać kogo innego, lecz tylko ks. Czartoryskiego i to dziś jeszcze stanowczo podtrzymuję. Błędem jednak było oddanie tej osobistości całej akcyi dyplomatycznej przy wszystkich rządach. Czartoryskiemu należało zostawić tylko Francyę, ze względu na wyraźne życzenie cesarza Napoleona i jeszcze Anglię ze względu na jej ustrój arystokratyczny. Poza tem wszystkich innych agentów powinien był mianować sam Rząd Narodowy. Wprawdzie Rząd Narodowy zastrzegał sobie nominacyę, ale na przedstawienie ks. Czartoryskiego — zastrzegł sobie także, że agenci mają obowiązek wykonywania poleceń wprost od Rządu pochodzących, ale Rząd miał o tych rozporządzeniach zawiadamiać agenta głównego. Agenci mieli obowiązek składać raporta Rządowi, ale i komunikować je ks. Czartoryskiemu. To było błędne bądź co bądź, główną osobą był tu agent główny. Później Rząd Narodowy spostrzegł ten błąd i powoli mianował agentów sam z własnej inicyatywy i sam im udzielał instrukcyi i wskazówki, albo szedł za ich opinią.

Przyznam się otwarcie, żeśmy wszyscy, składający wówczas Rząd, byli w sprawach dyplomatycznych zupełnie nowicyuszami. Zanadto byliśmy uczciwi i prosto i szczerze myślącymi ludźmi, nie znaliśmy i nie rozumieliśmy tej finezyi, obłudy, wykrętów, tej sztuki oszukiwania przeciwnika, przy zręcznem utajeniu własnych myśli i zamiarów i t. d., któremi każdy dyplomata się posługuje i na których całą grę swoją opiera. Ocenialiśmy całą ważność chwili, uznawaliśmy konieczną potrzebę wyjścia z obojętności na to, co się na świecie w naszej sprawie dzieje i z całą dobrą wiarą, sądziliśmy, że to, cośmy zrobili było dobrem, odpowiedniem i wystarczającem.

Dodam tu jeszcze, że wydział spraw zagranicznych w tej chwili zadzierżgnięcia stosunków dyplomatycznych, nie był jeszcze zupełnie uregulowany, że Rząd Narodowy tem się zajmował, gdy wypadki zaszłe w końcu maja pracę tę przerwały. Referat tych spraw był w ręku Agatona Gillera, tak samo jak i my wszyscy, zupełnego nowicyusza.

Niech sąd historyi przyjmie to szczere wyznanie za usprawiedliwienie.

Czy inny kierunek byłby przyniósł lepsze skutki? Na to pytanie trudno odpowiedzieć. Trzebaby wejść w labirynt owych „gdyby“ i w tym labiryncie błądzić.

Sprawa ta była osią, około której skupiła się prawie wyłącznie opozycya przeciwko Rządowi. Zarzuty powtarzały się przez cały prawie czas powstania i dziś jeszcze są podnoszone. Dlatego też tak ją obszernie i szczegółowo i z całą przedstawiłem szczerością.

Rząd Narodowy od samego początku miał to przekonanie, że tylko przez masowy udział całego narodu i wszystkich jego warstw, a szczególniej ludu wiejskiego, powstanie może dojść do zamierzonego celu, wywalczenia niepodległości. Teraz, gdy powstanie nawet w tym systemie, tworzenia oddziałów rozwijało się i utrwalało, gdy lud wiejski zaczął wychodzić z dotychczasowej bierności we wszystkich kierunkach, od pomocy do czynnego udziału i to licznego w powstańczych oddziałach, gdy była nadzieja i to usprawiedliwiona, że broń, której dotąd brakowało, obficiej będzie nadchodzić, w mniemaniu Rządu zbliżała się chwila, w której cały naród masowo będzie mógł być powołanym do broni.

W przewidywaniu tej chwli Rząd Narodowy polecił teraz mniej więcej w połowie maja wydziałowi wojny, by poczynił odpowiednie do tego przygotowania, a przedewszystkiem, by wygotował odpowiednią ustawę o pospolitem ruszeniu, regulamin i instrukcye i wszystkie potrzebne szczegóły. Wydział wojny referat ten powierzył do opracowania tak specyalnie wojskowo, jak i administracyjnie, Józefowi Gałęzowskiemu.

Dla wyczerpania spraw tego okresu, muszę chociaż pobieżnie wspomnieć o powstaniu na Litwie, które się tam rozpoczęło w końcu marca i na Rusi, wybuchłem w początku maja.

Obie te prowincye, jak wiemy, rządziły się zupełnie autonomicznie, przez wydziały wykonawcze tam ustanowione; same oznaczały chwilę rozpoczęcia powstania. Rząd Narodowy o wypadkach tam zaszłych nie odbierał raportów bezpośrednio, lecz za pośrednictwem ustanowionych sekretarzy przy nim. Sekretarzem takim dla Litwy był od marca Wacław Przybylski, a dla Rusi Maryan Dubiecki, który dopiero w pierwszych dniach maja przybył do Warszawy.

O przebiegu powstania w tych prowincyach, wiedziałem mało w chwili samej akcyi. Dowiadywałem się później z opowiadań ustnych ludzi, którzy brali w wypadkach udział osobisty, jak i zapisów i wspomnień drukowanych. W pamięci pozostały mi tylko nazwiska bohaterów i męczenników Litwy i Rusi.

Na tych źródłach zresztą bardzo szczupłych opierać się muszę w mojem opowiadaniu.

Litwa.

Wiemy z poprzedniego opowiadania, że w chwili wybuchu powstania w Królestwie, organizacya narodowa na Litwie była bardzo słaba, jedynie tylko w powiecie Białostockim istniały jej dosyć silne zawiązki.

W tej chwili istniejący w Wilnie komitet składali: Ludwik Zwierzdowski, Jan Kozieł, Zygmunt Czechowicz, Edmund Weryho, Konstanty Kalinowski. Komisarzem Komitetu Centralnego przy tym komitecie był Nestor Du-Laurens.

Byli to ludzie młodzi, pełni zapału miłości dla swej Ojczyzny, konspiratorzy gotowi do najdalszego osobistego poświęcenia. Brak im jednak było zmysłu organizacyjnego. Przyszłość i wybawienie Ojczyzny, widzieli tylko w polepszeniu doli ludu i w lud ten nieśli patryotyczną propagandę. Najwybitniejszą w tym kierunku osobistością w komitecie był Konstanty Kalinowski. Był on jednym z najszlachetniejszych ówczesnych mężów Litwy, wykształcony, czysty, pełen zacności, rozumu i energii. Przebiegał pieszo Litwę i Białoruś, niosąc między lud zarzewie miłości Ojczyzny, z zupełnem zaparciem się siebie tak, że dla możności bliższego zetknięcia się z ludem ,pomimo swego uniwersyteckiego wykształcenia, został pisarzem gminnym. Nie chciał mieć żadnych stosunków ze szlachtą, a opierał się tylko na ludzie.

Stosunek Litwy do Polski rozumiał tylko jako federacyjny — z zupełną Litwy niezależnością. Nie uznawał zupełnie władzy Komitetu Centralnego, nie chciał przyjmować stamtąd żadnych rozkazów ani poleceń. Te zapatrywania się Kalinowskiego, których inni w komitecie niezupełnie podzielali, były powodem nieporozumień, bezczynności komitetu w przeprowadzeniu organizacyi i targów o władzę z Komitetem Centralnym. Ten jednak ustąpił, przyznał komitetowi litewskiemu pewną samodzielność w przeprowadzeniu organizacyi, mianowaniu władz tejże, w oznaczeniu terminu powstania. Żywioły więcej umiarkowane i szlachta litewska, zrozumiała jednak, że wobec wybuchłego już powstania w Królestwie, nie wolno Litwie pozostać bezczynną i niemym widzem toczącej się walki. Zrozumiał to także wreszcie i sam komitet i rozwiązał się.

W pierwszych dniach marca, jak wiemy, przyjechał do Warszawy Wacław Przybylski. Komitet Centralny w porozumieniu z tymże delegatem Litwy i Nestorem Du-Laurensem, powołał do nowego komitetu pod nazwą „Komitetu zarządzającego prowincyą Litwy“ obywateli: Aleksandra Oskierkę, Antoniego Jeleńskiego,

Jakóba Gieysztora, hr. Starzeńskiego i Franciszka Dalewskiego. Komisarzem Centralnego Komitetu jako tymczasowego Rządu Narodowego przy komitecie litewskim pozostał Nestor Du-Laurens, a Wacław Przybylski nawzajem został sekretarzem litewskim przy Komitecie Centralnym. Komitetowi litewskiemu pozostawiono autonomię, jak ją wyżej określiłem i zezwolono na mianowanie Achillesa Bonoldiego agentem broni w Paryżu. Później, gdy Rząd Narodowy mianował ks. Czartoryskiego agentem głównym do spraw zagranicznych, pozwolił komitetowi litewskiemu zamianować sekretarza swego przy agencie.

Prawie jednocześnie z ustanowieniem tego nowego komitetu litewskiego, a może i przedtem, bo daty dobrze nie pamiętam, lecz zawsze w związku ze sprawami litewskiemi, Rząd Narodowy ustanowił był swoją agencyę w Petersburgu, a kierunek jej powierzył Józefowi Ohryzce. Ów Ohryzko, który jest już nam znany z opowiadania poprzedniego (Tom I., część II.: Sprawa żydowska) był teraz w Petersburgu jednym z wysokich urzędników w ministeryum skarbu. Z tytułu tego stanowiska i osobistych przymiotów, miał liczne stosunki tak w towarzystwach polskich, jak i moskiewskich. Był gorącym patryotą polskim, a jako człowiek zręczny, mógł wiele dobrego dla powstania zrobić. Głównem zadaniem agencyi petersburskiej było niesienie pomocy powstaniu, szczególniej litewskiemu przez zbieranie funduszów, wysyłkę oficerów, ułatwianie i współdziałanie w sprowadzaniu morzem broni, amunicyi, przyborów wojennych i t. p. Za staraniem Ohryzki, Rząd Narodowy otrzymał mapy sztabowe Rusi, Litwy i Królestwa , które potem przesłał do Paryża dla odfotografowania w większej liczbie egzemplarzy. Otrzymał także plany fortec moskiewskich na Litwie i Białorusi, które za pośrednictwem ks. Czartoryskiego ofiarował rządowi francuskiemu.

Komitet litewski dnia 3. marca wydał odezwę, wzywającą Litwę do powstania.

W odezwie tej, komitet scharakteryzowawszy stuletnie blizko działanie Moskwy, dążące do zabicia wiary, języka i oświaty przez bezczeszczenie kościołów, zamykanie szkół, krępowanie wolności, przez prześladowanie i karanie za wszelkie objawy miłości Ojczyzny, tak kończy: „Tam za Niemnem wśród krwawych z tym wrogiem utarczek, wzniósł się Rząd polski. On ci daje na własność tę ziemię, na której ty żyłeś i twoi Ojcowie i jak ci obiecał przed laty, czyni cię obywatelem kraju, wolnym, szlachetnym człowie-

kiem. A rząd najezdniczy, rzezią i pożogą, mści się nad ludem, zrywającym swe pęta. Dzikie hordy jego pierzchające na widok polskich rycerzy, mordują niewiasty i dzieci, pustoszą miasta, wsie i dwory. Satrapi jego usiłują poważnić synów jednej ziemi, głoszą odezwy pełne fałszów i jadu i szlą tajnych agentów, by pobudzić do zbrodni Kaina. Rodacy wszystkich wyznań i stanów, bracia Litwy i Rusi! czyż wobec walki za Niemnem, w której najszlachetniejsza krew Polski, obfitym płynie strumieniem, będziemy sromotnie kark zginać, pod haniebne jarzma niewoli moskiewskiej"?

Aktem tym komitet litewski dał świadectwo prawdzie, że braterstwo dwóch narodów Litwy i Rusi nie wygasło, lecz żyje tem samem pełnem uczuciem, jak przed pięciuset laty.

Wezwanie to komitetu, odbiło się echem strzałów we wszystkich puszczach Litwy. Na całym jej obszarze zaczęły się tworzyć oddziały powstańcze, nawet za Dnieprem w województwie Mścisławskiem rzucono się do walki z Moskwą.

Jeżeli powstanie w Królestwie pod naciskiem okoliczności, w trudnych wybuchło warunkach, to powstanie litewskie jeszcze w stokroć trudniejszych się znalazło. Tam oprzeć się mogło o silną organizacyę narodową, tutaj i tej podpory nie było. Powstańcy litewscy również, jak tam bez dobrej broni, często bez żywności, wśród największych trudów, ścigani jak dzikie zwierzęta, przez okrutnych wrogów dali najwznioślejsze dowody miłości wspólnej Ojczyzny, dowody męstwa i wytrwałości.

Cześć za to Litwie, cześć!

Jeszcze przed wydaniem wspomnianej odezwy, na sam odgłos rozpoczętej w Królestwie walki, zaczęły się w rozmaitych miejscach wśród owych wielkich puszcz litewskich tworzyć samodzielne oddziały.

Jednym z pierwszych sformował taki oddział Ludwik Narbutt, w powiecie lidzkim. Był on jednym z najdzielniejszych partyzantów powstania. Partyzantki nauczył się, będąc wygnanym przez Moskali na Kaukaz, w walkach tamtejszych z góralami. Ludwik Narbutt dnia 20. lutego wyruszył ze swego rodzinnego majątku Sierbieniszki ze swym bratem i sześcioma ludźmi ze służby ku puszczy Ejszyckiej, zbierając po drodze ochotników, wzrósł w siłę 80 ludzi, pomiędzy którymi znalazł się także ksiądz Horbaczewski (poznałem go później w Paryżu), wikary ejszycki, jako kapelan oddziału. Z temi siłami podążył do puszczy Rudnickiej za rzeką Mereczanką.

Tu dnia 28. lutego [49]) stoczył pierwszą z Moskalami bitwę, zupełnie pomyślną. Moskale urządzili na niego zasadzkę, lecz nasz partyzant, powiadomiony o tem, tak rozporządził swoim oddziałem, że przyjąwszy pozornie bitwę, wprowadził Moskali w przygotowaną zasadzkę i zmusił ich do zupełnej z wielkiemi stratami ucieczki. Przeniósł się następnie do puszczy Nackiej, ścigany ciągle, wywijał się, robił zasadzki, szarpał Moskali, a oddział swój ciągle wzmacniał, licznie zgłaszającymi się ochotnikami. W połowie kwietnia zmuszony do przyjęcia bitwy pod wsią Dubicze [50]), zapędziwszy Moskali w błota, pobił ich sromotnie. W końcu kwietnia stacza największą i najpiękniejszą bitwę swoją pod Łaksztubianami [51]), gdzie wprowadził Moskali w zasadzkę leśną i zmusił do bezładnego odwrotu, sam tracąc zaledwie kilkunastu ludzi. Przechodząc z jednej puszczy do drugiej, doszedł do miasteczka Dubicze nad rzeką Kotrą [52]), bardzo błotnistą, którą przeszedł i rozłożył się obozem. Tu naprowadzeni przez szpiegów Moskale zaatakowali go dnia 13. maja. Bój był zacięty, Narbutt przebiegał przerzedzające się coraz więcej szeregi, gdy nagle otrzymał postrzał w nogę. Towarzysze otoczyli wodza, wzięli go na ręce, by unieść z pola walki. Narbutt otrzymał drugi postrzał w piersi i skonał na miejscu *). Oddział poszedł w rozsypkę.

Nazajutrz liczni włościanie, zebrawszy się na placu boju, zabrali ciało Narbutta i dwunastu jego poległych towarzyszy, przenieśli do kościoła w Dubiczach. Po odbytem nabożeństwie żałobnem, pogrzebali zwłoki na cmentarzu miejscowym. Ludwik Narbutt stał się legendową na Litwie postacią — pierwszy podniósł na Litwie sztandar wolności.

Drugim takim legendowym wodzem na Litwie, a szczególnie na Żmudzi był ks. Antoni Mackiewicz, proboszcz z Podbrzezia nad Laudą. Był to znakomity kaznodzieja i prawdziwy apostoł wolności i miłości Ojczyzny wśród ludu żmujdzkiego.

Dnia 8. czerwca po kazaniu, na którem ogłosił ludowi manifest 22. stycznia i dekret uwłaszczenia, z gromadką ochotników opuścił Podbrzezie i udał się do puszczy Krakinowskiej. W kilka dni miał przy sobie przeszło 500 ludzi, okolicznej młodzieży i włościan. Mógł

[49]) Zieliński, str. 277 — 9. 3. „Rudniki“ — p. Trocki. P. R.
[50]) Zieliński, str. 278 — 11. 4. — pow. Lidzki. P. R.
[51]) loco, str. 279 — 20. 4. nazywa „Kowalski“ — pow. Lidzki. P. R.
[52]) loco, str. 280 — 5. 5. nazywa „Dubicza“ pow. Lidzki. P. R.

*) Tę chwilę śmierci Narbutta przedstawił na swym pięknym obrazie artysta malarz Andriolli. Był on jednym z sześciu, którzy Narbutta nieśli.

BIBLIOTEKA * PRACOWNI W. R. *

mieć kilka razy więcej, lecz dla braku broni nie przyjmował.. Sam nie będąc wojskowym, jako tako zorganizowawszy swój oddział, dnia 17. marca wyruszył w lasy Datnowskie, gdzie organizował żmudzkie powstanie b. kapitan moskiewski Jabłonowski. Tu oddział został wojskowo zorganizowany i ćwiczony w wojskowych obrotach. Dnia 27. marca stoczył bitwę z Moskalami pod Pujdakiem [53]). Bitwa była szczęśliwą, bo powstańcy zmusili Moskali do odwrotu, lecz znaczna część prawie połowa powstańców rozproszyła się po lasach, Jabłonowski z tego powodu postanowił oddział rozpuścić, czem ks. Mackiewicz bardzo się zmartwił, bo uważał w tem rozporządzeniu chęć odpychania ludu od walki za Ojczyznę. Jabłonowski wybrawszy kilkudziesięciu najdzielniejszej młodzieży z oddziału, udał się ku pruskiej granicy, dla odebrania spodziewanej broni. Ks. Mackiewicz z 70 zaledwie ludźmi udał się do Krok, gdzie powoli zebrał znowu znaczne siły. Dalsze losy dzielił z oddziałem Kołyszki, a potem Zygmunta Sierakowskiego, gdzie się też z nim spotkamy.

Długo jeszcze potem walczył ks. Mackiewicz z różnem szczęściem, a zawsze na Żmudzi i to aż do końca listopada. Znużony wreszcie i znękany, widząc niemożność zupełną dalszej walki, ks. Mackiewicz postanowił opuścić swoją ukochaną Żmudź i udać się do Królestwa. W towarzystwie dwóch młodych ludzi dążył pieszo ku granicy i zatrzymał się dla odpoczynku w lasku niedaleko Wilsz o kwandrans zaledwo drogi od Niemna. Zdradzony przez kolonistę Niemca, został przez Moskali ujęty. Murawiew kazał go pieszo przyprowadzić do Kowna; prowadzono go przywiązanego w krzyż do kija. W śledztwie obiecywano mu przebaczenie i tysiące łask, by tylko wykrył osoby Rząd Narodowy składające. Milczenie było jego odpowiedzią. Skazano go na śmierć. Ostatniego dnia przed kaźnią obwożono go po mieście, jakby na wozie tryumfalnym. Stojącego już na rusztowaniu, jeszcze raz łudzono obietnicami, teraz odpowiedział: „Skończyłem swoje, a wy róbcie teraz swoje". Powieszono go dnia 25. grudnia 1863 r.

Bolesław Kołyszko, 25. letni młodzieniec, były student uniwersytetu moskiewskiego, kształcił się wojskowo w szkole genueńskiej. Dnia 21. marca założył obozowisko w lasach pomiędzy Czekiszkami a Poniewieżykiem na Żmudzi. W parę dni oddział liczył już 400 ludzi, a powiększył się jeszcze włościanami, których przyprowadził ks. Antoni Nawojna. Dnia 30. marca stoczył bitwę (Wysoki Dwór [54]).

[53]) Zieliński, str. 287 — 7. 3. nazywa „Megjany" — pow. Szawelski. P. R.
[54]) Zieliński, str. 288 — 29. 3. idem pow. Kowieński. P. R.

Jakkolwiek odparł Moskali, ale z powodu wielkiej dezercyi, oddział był osłabiony. Z resztkami poszedł pod Lencze, gdzie połączył się z oddziałami Tomasza Kuszłejki, b. majora wojsk moskiewskich, Kilińskiego, Szulca i ks. Mackiewicza. Ten ostatni przyszedł tu po bitwie pod Pajdukiem. D. 5. kwietnia [55]) został zaatakowany przez Moskali — zwycięstwo chyliło się już ku stronie moskiewskiej, gdy niespodzianie uderzył na nich z tyłu Jabłonowski, który przyszedł tu także z pod Pajduka. Moskale ostatecznie pobici zupełnie, w bezładnej ucieczce szukali ocalenia. D. 11. kwietnia znowu przyszło do starcia pod Misiuniami [56]). Kołyszko zręcznie maszerując przeszedł Dubiszę i podążył na wyznaczony mu przez Zygmunta Sierakowskiego, mianowanego teraz naczelnikiem wojennym Żmudzi, punkt zborny.

W tym samym czasie powstały i mężnie walczyły z Moskalami oddziały, już wspomnianego Tomasza Kuszłejki, który z rozmaitem szczęściem, bądź samodzielnie, bądź w połączeniu z innymi oddziałami bił się aż do późnej jesieni. Potem poszedł na emigracyę, gdzie go poznałem.

Oddział Bitisa, chłopa ze wsi Białozoryszki w powiecie Szawelskim, walczył podobnie jak Kuszłejko i tak samo, jak tamten znalazł się potem w Paryżu, gdzie go także poznałem.

Pomijam inne drobniejsze oddziały, grasujące na Żmudzi, jak Cytowicza, Szymkiewicza i inne. Wszystkie oddziały żmujdzkie były złożone przeważnie z chłopów, którzy z całem męstwem, zaparciem się i poświęceniem walczyli za wolność swej Ojczyzny, Żmudzi Świętej. Niestety, jak nam w Królestwie, tak i Litwinom brakowało broni.

Zanim przystąpię do dalszego przedstawienia działań wojenno-powstańczych, muszę słów kilka poświęcić działaniu komitetu zarządzającego prowincyą Litwy, który, jak wiemy, został utworzony w drugiej połowie marca.

Komitet ten zajął się przedewszystkiem utworzeniem organizacyi. Mianował więc naczelników i komisarzy wojewódzkich, powołując na te stanowiska, tak ludzi nowych, jak i członków byłego rozwiązanego komitetu. Mianowani naczelnicy mieli obowiązek rozszerzania organizacyi w każdem województwie. Czynności te wykonano z taką energią, że z końcem marca było wszystko zrobione. Komitet zajął się także organizacyą wojskową. Naczelnikiem wo-

[55]) loco, str. 288 — 1. 4. nazywa „Leńcze“ pow. Kowieński. P. R.
[56]) loco, str. 289 — 11. 4. idem pow. Kowieński. P. R.

jennym województwa Grodzieńskiego mianował pułkownika Ducheńskiego, województwa Kowieńskiego Jabłonowskiego, dawnego województwa Mścisławskiego a dzisiejszej gubernii Mohylewskiej, Zwierzdowskiego, wreszcie Zygmunta Sierakowskiego naczelnikiem wojennym całej północnej Litwy i Białorusi.

Zygmunt Sierakowski, którego imię stało się tak głośnem nie tylko na Litwie, ale w całej Polsce, w r. 1845 ukończywszy gimnazyum w Żytomierzu, wstąpił do uniwersytetu w Petersburgu. Przejęty głęboko uczuciami patryotycznemi w r. 1848, gdy chciał się dostać do Galicyi, został aresztowany na granicy. Odstawiono go do Kijowa, a stąd do Petersburga. Skazano go na prostego żołnierza do Orenburga. Ułaskawiony wrócił w r. 1857 do kraju. Teraz wstąpił do wojska regularnego i jako porucznik wszedł do Akademii wojennej w Petersburgu. Tu zawiązał bliższe stosunki z Polakami, uczniami tej Akademii, jak z Padlewskim, Dąbrowskim i innymi, zawiązał kółko patryotyczne polskie. Skończone ze świetnym postępem studya w Akademii dały mu stopień kapitana generalnego sztabu. Dla swych niepospolitych zdolności wojskowych, zjednał sobie wielką przychylność ówczesnego ministra wojny Milutyna, który powierzał mu rozmaite prace wojskowe. Jemu żołnierz moskiewski zawdzięcza wiele reform, a mianowicie zniesienie kary cielesnej w wojsku.

Były to już czasy obudzenia się ruchu patryotycznego w Królestwie i manifestacyi. Kółko wojskowe petersburskie weszło było w stosunki z tym ruchem.

Rząd moskiewski obdarzał Sierakowskiego wielkiem zaufaniem i w r. 1860 wysłał go do Londynu na kongres statystyczny. Korzystając z tej misyi, gorący patryota polski i przewidujący możliwość wybuchu powstania, pozawiązywał przez dwuletni prawie pobyt za granicą stosunki z rozmaitemi wybitnemi osobistościami z obozów rewolucyjnych europejskich, jak z Hercenem, Bakuninem, Mazzinim, Garibaldim i innymi. Powracając w grudniu 1862 r. zatrzymał się w Warszawie i wszedł w stosunki z Komitetem Centralnym. O tem pisałem już w 3. części tomu I. pamiętnika. Był on, jak wiemy, przeciwnikiem prędkiego powstania, które chciał odłożyć do późnej wiosny 1863 r. Stało się inaczej; powstanie w Królestwie wybuchło i pociągnęło za sobą i Litwę. Zygmunt Sierakowski miał teraz zająć bardzo wybitne w niem stanowisko.

Był to człowiek niezwykłych zdolności wojskowych, o umyśle bystrym, rozumie wszechstronnie wyrobionym, na sprawy ludzkie

zapatrywał się zdrowo i jasno, każde jego słowo płynęło z duszy i serca. Sercem też umiał sobie ujmować ludzi i wpływ na nich wywierać. Był lubianym i szanowanym przez wszystkich, z którymi się w życiu spotykał. Ja Sierakowskiego nie znałem zupełnie, a to, co piszę, piszę na podstawie tego, com słyszał lub czytał.

W czasie tych zmian w naczelnej władzy litewskiej, Sierakowski przebywając w Petersburgu podał się z wojska do dymisyi, a gdy ją otrzymał przyjechał w początku drugiej połowy marca do Wilna. Wyjeżdżając miał podobno zawiadomić swego przyjaciela ministra wojny Milutyna, że jedzie do powstania. (Pułkownik Struś: „Ludzie i wypadki"). W liście tym powiada: „że wobec walczących braci pozostać w armii moskiewskiej nie jest w stanie i walkę dzielić musi", kończy wreszcie: „może za kilka tygodni podpiszesz pan na mnie wyrok śmierci, ale i wtenczas nie będziesz mógł odmówić mi szacunku". To szczere zawiadomienie przyjaciela, który teraz miał zostać jego wrogiem, świadczy pięknie o rycerskim charakterze Sierakowskiego.

Komitet litewski, jak mówiłem, zamianował Sierakowskiego naczelnikiem wojennym północnej Litwy i polecił mu przedstawić projekt zamierzonej kampanii. Sierakowski zakreślił dla powstania litewskiego plan bardzo szeroki, walki z Moskwą na dwa fronty. Sam zbierając walczące oddziały i tworząc nowe na Żmudzi miał zająć fortecę Dynaburg, której słabość i niedostatki znał dobrze, przenieść pozornie walkę do Kurlandyi i zmusić Moskwę do skoncentrowania swych wojsk, a sam rzucić się ku morzu do Połągi i dopomódz tam do wylądowania ekspedycyi Łapińskiego, wiozącej broń i ludzi dla Litwy. O wyprawie Łapińskiego pisałem wyżej. Na drugim froncie, t. j. wschodnim miał działać Zwierzdowski (pseudonim Topór), który jak wiemy został mianowany naczelnikiem wojennym guberni Mohylowskiej, dawnem województwie Mścisławskiem. Miał on z powstaniem tamtejszem napaść na zakład rolniczy w Hory-Horkach, w którym znajdowała się znaczna ilość polskiej i litewskiej młodzieży, tam zdobyć park artyleryi, stojącej w Mohylowie i ruszyć w głąb Rosyi do gubernii Kazańskiej, gdzie jak wiemy, Kiniewicz zorganizował spisek i przygotowywał powstanie. Dla objaśnienia dodam, że w środkowych guberniach Moskwy, przez które miał przechodzić Zwierzdowski od dłuższego już czasu trwały dosyć groźne rozruchy chłopskie, wywołane niedobrze zrozumianym ukazem carskim o uwłaszczeniu chłopów.

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Polit. - Wych.

Plan jak widzimy był bardzo szeroko pomyślanym, bardzo trudnym wprawdzie do wykonania, który jednak w razie udania sie mógł być bardzo dla Moskwy groźnym, a dla powstania nie tylko litewskiego, ale wogóle polskiego niesłychanie ważnym i pomocnym.

Francuskie przysłowie powiada: „L'homme propose — Dieu dispose". Tak się też stało, cały ten projekt miał stać się bańką mydlaną.

Zwierzdowski rozpoczął działania swoje w pierwszych dniach maja. Sformował oddziałek z kilkudziesięciu ludzi i w nocy z dnia 5. na 6. maja napadł na Hory-Horki [57]), zdobył je przy pomocy młodzieży polskiej, znajdującej się w zakładzie i na drugi dzień podążył ku Mohylowu, gdzie miał zabrać ów park artyleryi. Wiadomość o Hory-Horkach poruszyła Moskali. Przedsięwzięto natychmiast środki ostrożności, poruszono chłopów, potworzono straże wiejskie. Wobec tego o napadzie na Mohylów nie mógł już Zwierzdowski myśleć. Lud poruszony i podbuntowany przez Moskali, ścigał i prześladował oddziałek polski tak, że ten ani pożywienia, ani schronienia nigdzie znaleść nie mogąc, rozszedł się.

W tym samym czasie spisek kazański, jak o tem już wyżej mówiłem, został odkryty. Główni agitatorowie zostali wraz z Kiniewiczem aresztowani i straceni.

Akcya więc wschodnia trwała krótko, kilkanaście dni zaledwie i spełzła na niczem.

Wyprawa samego Sierakowskiego nie tylko także spełzła na niczem, ale nawet dla niego skończyła się tragicznie.

Sierakowski punkt zborny oddziałów żmudzkich, oznaczył na granicy kowieńskiego powiatu w lesie Kremenciskim.

Sierakowski, przyjąwszy pseudonim „Dołęgi", wyjechał z Wilna wraz z Laskowskim, b. sztabskapitanem moskiewskim i z sześcioma uzbrojonymi ludźmi i przybył na punkt zborny dnia 14. kwietnia. Wiadomość o ukazaniu się tam Dołęgi sprowadziła wielu ochotników z ludności okolicznej. Dnia 18. przybył Bolesław Kołyszko ze swoim oddziałem, a zaraz w nocy z 18. na 19. ks. Mackiewicz. Sierakowski sformowawszy wojskowo zebranych wyruszył w pole wielkim traktem przez Trustów, Okojnić, Amciszki, miasto Wodokle, do puszczy Rogowskiej, gdzie też zaraz dnia 22. kwietnia pod wsią Ginetynem [58]) stoczył zwycięską bitwę z Moskalami

[57]) Zieliński, str. 312 — 6. 5. idem Wojew. Mohilowskie — pow. Orszański. P. R.

[58]) Zieliński, str. 290 — 21. 4. idem pow. Wilkomierski. P. R.

i ruszył dalej do puszczy Kurpiowskiej. Tu przyłączyły się do niego oddziały żmudzkie. D. 27. kwietnia stoczył znowu zwycięską potyczkę pod Korsakiszkami [59]). Maszerował dalej do lasów Andronickich. Zatrzymał się w zaścianku Teresborze, pozycyi dogodnej do dłuższego pobytu i zorganizowania. Tu przyłączył się znowu oddział Dominika Maleckiego. Mała armijka Dołęgi wzrosła do siły 2.500 ludzi. Podzielił ją Dołęga na 9 batalionów, w każdym po 6 plutonów, cztery strzeleckie i dwa kosynierskie. W obozie było gwarno i wesoło, odbywały się codzienne musztry, ćwiczono się w strzelaniu, uczono się obrotów wojennych, służby flankierskiej i tyralierskiej. Kosynierami dowodził i musztrował ich niejaki Wiwulski, doskonale znający szkołę kosynierki.

Dwie stoczone pomyślne bitwy, marsz i zgromadzenie się tak licznego oddziału, zwróciły pilniejszą uwagę Moskali. Z Wilna wysłano pułkownika Ganeckiego w sile trzech tysięcy ludzi do odszukania tego oddziału.

Dnia 3. maja Dołęga wyruszył z Teresborza, podzieliwszy swoją armię na trzy części, które różnemi drogami miały maszerować ku Birżom i zejść się razem dnia 5. maja pod Madejkami, wsią małą, milkę oddaloną od Birż. Jedną z tych części, która miała stanowić lewe skrzydło dowodził Kołyszko, drugą jako skrzydłem prawem ks. Mackiewicz. Trzecią jako środkową sam Dołęga.

Do Madejek dnia 5. maja przyszedł pierwszy Kołyszko, potem zaraz Dołęga.

Ganecki szedł w trop za nimi, ale z wielką ostrożnością, gdyż w drodze dowiedział się, że Dołęga ma już nie oddział, ale armię liczącą przeszło 20 tysięcy ludzi. Nie wiedział zupełnie, kto jest ów Dołęga.

Tego samego dnia 5. maja doszedł on także do Madejek [60]) i zaatakował powstańców. Po półtoragodzinnym boju, pomyślnym dla powstańców, Ganecki przekonany, że walczył tylko z przednią strażą Dołęgi, nie chcąc narażać swej małej siły cofnął się. Kołyszko radził Dołędze, żeby nie zwlekając uderzyć na Moskali jeszcze tego samego dnia, lecz Dołęga spodziewając się przybycia ks. Mackiewicza, odłożył to na dzień następny. Tymczasem ks. Mackiewicz mając najdłuższą do przebycia drogę, nie przybywał. Dołęga opuścił Madejki i chcąc się zbliżyć ku oczekiwanemu Mackiewiczowi, zajął obronną pozycyę pod wsią Gudyszki na krawędzi lasu.

[59]) Zieliński, str. 290 — 26. 4. idem pow. Poniewiezki. P. R.
[60]) loco, str. 291 — 7. 5. idem pow. Poniewiezki. P. R.

Ganecki, który w nocy otrzymał posiłki, dnia 6. maja o godz. 11. rano uderzył na obóz pod Gudyszkami [61]). Bitwa przybierała już pomyślny obrót dla Dołęgi, gdy około godziny 5. Dołęga w chwili, gdy klęcząc na ziemi wydawał rozkazy, został niebezpiecznie raniony w kość pacierzową. Wiadomość o tem spowodowała zamieszanie, nieporządek i popłoch między dzielnymi Żmudzinami. Nad wieczorem przybył ks. Mackiewicz, ale już było za późno, nie mógł już zapobiedz poniesionej klęsce. Wielu najlepszych zginęło, lub byli ranni. Oddział rozprószył się po lesie.

Dowództwo objął Laskowski, szef sztabu Dołęgi. Opuścił Godyszki, zwracając się ku granicy Kurlandyi i zajął obronną pozycyę pod Sznurkiszkami. Marszem tym zmylił i odsunął się daleko od Ganeckiego, który z pod Gudyszek wrócił do Madejek.

Laskowski zabrał naturalnie ze sobą i ciężko rannego Dołęgę.

Ganecki nie wiedząc, gdzie mu tak nagle znikli powstańcy, rozesłał na wszystkie strony podjazdy, które mu przyniosły pożądane wiadomości i przewodników. Idąc wskazanymi szlakami dotarł do Sznurkiszek dnia 8. maja [62]) i z kilku stron naraz uderzył na powstańców. Pomimo największych bohaterskich wysiłków, oddział poszedł w rozsypkę. W czasie bitwy zdołano jednak uchronić Sierakowskiego i umieszczono go w nocy we dworze sąsiednim w Skrobikiszkach. Schroniło się tam wielu rozbitków, a między nimi Kołyszko i adjutant Sierakowskiego Kossakowski.

Dnia 9. maja plądrujący w okolicy Moskale rano otoczyli nagle dwór w Skrobikiszkach. Ranny Sierakowski, Kołyszko, Kossakowski i kilku powstańców dostało się tym sposobem do niewoli moskiewskiej.

Kampania Sierakowskiego (Dołęgi) tak pięknie rozpoczęta przez istotną fatalność zupełnie zmarniała bez absolutnie żadnej jego winy.

Jeńców odprowadzono do Wilna. Kołyszkę powieszono dnia 9. czerwca, a Sierakowskiego dnia 24. czerwca.

O losach morskiej wyprawy Łapińskiego [63]), wiozącej pomoc powstaniu litewskiemu, z którą Sierakowski skombinował swoją kampanię, mówiłem już wyżej. Jakieś fatum dziejowe zawisło nad litewskiem powstaniem.

W czasie marszu Sierakowskiego, który jak widzieliśmy, jakby nie myślał zupełnie o zajęciu fortecy Dynaburga, bo szedł ku Bir-

[61]) Zieliński, str. 293 — 8. 5. nazywa „Hadyszki“ pow. Poniewiezki. P. R.
[62]) loco, str. 293 — 9. 5. idem pow. Poniewiezki. P. R.
[63]) loco, str. 298. P. R.

żom, w wielkiem od tej fortecy oddaleniu, w chwili, gdy Sierakowski po stoczonej bitwie pod Ginetyczami szedł ku Korsakiszkom, zaszedł pod Dynaburgiem wypadek, który narobił wielkiego hałasu nie tylko w Rosyi, ale w całej Europie i spowodował pośrednio może powołanie Murawjewa na dyktatora Litwy.

Hr. Leon Zyberg Plater, właściciel dóbr w okolicy Dynaburga, przeznaczony na dowódzcę powstania w tamtej okolicy, dowiedział się, że z tej fortecy dnia 25. kwietnia ma być wysłany transport broni i postanowił urządzić napad dla jej zabrania. Zebrał oddziałek do 40 ludzi liczący i urządził zasadzkę w lesie pod Krzesławką [64]). Napad się udał, broń tę zabrano, ale wysłany niebawem oddział z Dynaburga odebrał ją i wziął kilkudziesięciu ludzi do niewoli, a między nimi i dowódzcę Leona Platera, który później z rozkazu Murawjewa został rozstrzelany w Dynaburgu dnia 8. czerwca.

Drobny ten ruch powstańczy, który faktycznie dla samego powstania nie miał żadnego znaczenia, spowodował niespodziewanie ruch rewolucyjno-socyalny tłumów tak zwanych burłaków, starowierców lub raskolników, którzy jeszcze za Iwana Groźnego prześladowani w cesarstwie, przenieśli się do Inflant polskich i tu gościnnie zostali przyjęci.

Burłacy tego samego dnia 25. kwietnia rzucili się na dwory, burząc, paląc, rabując. Mieszkańców więziono, a dręcząc, znęcając się i katując po drodze, odprowadzano do Dynaburga, jako buntowników. Znęcano się nad kobietami. Rabowano kościoły. Księży porywano od ołtarza, pastwiąc się nad nimi, dwóch zamordowano. Były to następstwa po części owego rozkazu Nazimowa z dnia 24. marca, zachęcającego do łapania buntowników i ustanawiającego taksy za dostawionych, ale więcej jeszcze i prawie głównie agitacyi policyjnej, której przywódcą był agent policyi Grzegorz Jankowski. Rozrzucił on pomiędzy Burłaków odezwę, w której, w imieniu cara prawosławnego, wzywał do wyrznięcia katolików. Według raportów, które Rząd Narodowy w pierwszej połowie maja otrzymał od władz narodowych, Burłacy w ciągu trzech czy czterech dni zniszczyli tak i zrabowali 20 dworów *).

Rząd w Petersburgu przerażony wiadomościami o tym ruchu, wysłał naczelnika policyi petersburskiej Szuwałowa z rozkazem

[64]) Zieliński, str. 311 — 25. 4. nazywa „Krasław“ — Wojew. Witebskie, pow. Dynaburski. P. R.

*) „Dziennik Narodowy“, pismo tajemne, wychodzące w Warszawie w czerwcu 1863 roku, redagowane przez Adolfa Henela, wymienia nazwiska majątków i ich właścicieli.

uspokojenia siłą starowierców. Szuwałow z początku zarządził surowe śledztwo, ale w końcu zmieniono śledztwo i całą winę tych mordów zrzucono na Polaków i przedstawiono jako skutki naturalne wojny domowej, a przewódców mordów nawet wynagradzano. Sprawa ta wywarła ogromną wrzawę w całej Europie. Gazety francuskie, angielskie podawały opisy tych rzezi, przedstawiały całą ohydę rządu, który te wypadki spowodował.

W województwie Grodzieńskiem komitet litewski zamianował naczelnikiem wojennym pułkownika Ducheńskiego. Powstanie w tem województwie nie miało też powodzenia. Pierwszy oddział zebrał się w okolicy Białegostoku, we wsi Sokołdy d. 24. kwietnia w puszczy Sokolskiej. Byli tam oficerowie z moskiewskiego wojska z garnizonu Białostockiego: Ejtminowicz, Baranciewicz, Micewicz, Brandt i inspektor szkoły strzeleckiej w Sokołówce, Walery Wróblewski, jako naczelnik. Pierwszą bitwę niepomyślną stoczył ten oddział pod wsią Waliły o milę od Gródka d. 29. kwietnia [65]). Posunął się potem dalej w puszczę i rozłożył obóz w ostępie Budziska. Przebyli tu dni kilkanaście, rosnąc w siły do kilkaset ludzi. Rozsyłano stąd podjazdy konne po wsiach, dla ogłaszania manifestu i dekretu z dnia 22. stycznia. Oddział się musztrował, ćwiczył, do wojskowych obrotów wprawiał. Dalsze działania tego oddziału miały miejsce już w miesiącu czerwcu.

W powiecie wołkowyskim był oddział Strawińskiego około 200 ludzi liczący. Stoczył on bitwę 14. maja pod Michalinem [66]) i odparł Moskali. Złączył się potem z innymi drobnymi oddziałkami, nad którymi objął dowództwo pułkownik Lenkiewicz i pomaszerował w powiat Słonimski do wsi Mołowidy, gdzie znowu wzrósł w siłę, łącząc się z oddziałem Jundziłła Miładowskiego i ks. Łaszkiewicza. Tutaj też dnia 3. czerwca [67]) przyszło do bitwy, w której odparto Moskali z wielkiemi stratami.

W powiecie Kobryńskim nieopodal granicy Wołynia, nad rzeką Tanwą, w okolicy Antopola, w głuchym, bagnistym leśnym ostępie zebrał się oddział 160 ludzi, nad którymi niebawem objął dowództwo Romuald Traugutt były podpułkownik saperów moskiewskich. Ludzie, składający oddział należeli do różnych zawodów, przeważnie doskonałych myśliwych, a więc i wybornych strzelców. Było to w nocy z 7. na 8. maja. Traugutt pierwsze dwa tygodnie poświęcił ćwiczeniu wojskowemu swego małego zastępu. Z tak przy-

[65]) Zieliński, str. 323 — 29. 4 — nazywa „Walik" — pow. Sokulski. P. R.
[66]) loco — str. 325 — 14. 5 idem. P. R.
[67]) loco — str. 328 — 3. 6. idem. P. R.

gotowanym oddziałem 22. maja [68]) Traugutt wystąpił zaczepnie, urządzając zasadzkę na zbliżających się Moskali, których pobił zupełnie, kładąc trupem 70 ludzi. W 5 dni potem [69]), na innem stanowisku znowu podobną urządził zasadzkę i ze stratami odparł Moskali. W następne 5 dni [70]), gdy Traugutt przeniósł się ku granicy Pińszczyzny w Skirmuntowskim powiecie, Moskale zaatakowali go znacznemi siłami. Walka trwała od godziny 3. popołudniu do wieczora, a był to już czerwiec, więc dzień był długi, powstańcy odparli trzy ataki nieprzyjaciela, ale stracili cały swój obóz, konie, wozy i wszelkie zapasy na nich się znajdujące. Między Moskalami rozeszła się wiadomość, że Traugutt w tej bitwie zginął. Wiadomość ta doszła także i do Rządu Narodowego.

Traugutt jednak nie zginął, usunął się w głąb lesistych bagnisk, gdzie go nieprzyjaciel zostawił w spokoju. Tu w dziesięć dni potem otrzymał posiłki. Przybył tu Wańkowicz z powiatu Brzeskiego z oddziałem, liczącym do 100 ludzi. Traugutt wzmocniony i wypoczęty pomaszerował do miasteczka Stolina, tu przez jedną dobę odpoczął i przeprawił się przez Horyń ku Wołyniowi, gdzie spodziewał się znaleść jakieś walczące oddziały, jednak było tu zupełnie głucho. Tu znowu urządził zasadzkę na zbliżającego się nieprzyjaciela i rozbił go. Nie mógł jednak dłużej tu pozostawać. Nieprzyjaciel obrał sobie Stolin za podstawę swych operacyi. Przeszedł więc Horyń z powrotem w dalszym jego biegu. Okolica tutaj była zupełnie pustynią, żywności nigdzie dostać nie mogli. Przez dni sześć oddział żywił się tylko serem, który w bardzo skromnych dozach rozdawano żołnierzom. Nieprzyjaciel szedł w trop za nimi i ciągle ich niepokoił. Traugutt musiał ciągle staczać potyczki. Ostatnią potyczkę stoczono pod wsią Kołodnem 13. lipca już w powiecie Pińskim. Żołnierz był i zgłodniały i zmęczony, ale i wódz sam był tak osłabiony, że iść o własnych siłach nie mógł i prowadzono go pod ręce. Po tej potyczce pod Kołodnem [71]) oddział i wódz byli już zupełnie niezdolni do dalszej walki, Traugutt podzielił oddział na dziesiątki i polecił, by trzymając się dróg i ścieżek, dążyli ku Kobryńszczyźnie. Wsiąkali oni powoli w inne oddziały.

Traugutt też się schronił, by odpocząć i przyjść do sił i zdrowia. Był to już lipiec. Do Warszawy przyszła wiadomość, że w tych ostatnich bitwach pułkownik Traugutt zginął. Wiadomość poda-

[68]) Zieliński, str. 325 — podaje 17. 5. — Horki pow. Kobryński. P. R.
[69]) loco — str. 326 — podaje 21. 5. Horki idem. P. R.
[70]) loco — str. 326 — podaje 25. 5. — nazywa także Horki idem. P. R.
[71]) Zieliński, str. 318 — 12. 7. i 13. 7. idem. Wojew. Mińskie, pow. Piński. — P. R.

wana przez samych Moskali była mylną, lecz dla Traugutta szczęśliwą, bo Moskale przekonani o jego śmierci, więcej się nim zupełnie nie zajmowali. W dalszem opowiadaniu spotkamy się z nim znowu, ale już nie na polu orężnej walki.

W przedstawieniu kampanii Traugutta przeszedłem wyjątkowo za miesiąc maj, żeby potem do niego nie wracać.

Taki był pobieżnie i treściwie przedstawiony przebieg i stan litewskiego powstania z końcem miesiąca maja.

Dnia 13. maja ukazem carskim gubernatorem Litwy i Białorusi został generał Michał Murawjew z atrybucyami dyktatora, pana życia i śmierci nieszczęsnej Litwy. Dnia 26. maja stanął w Wilnie.

Ruś.

Wiemy już z poprzedniego opowiadania, że Komitet Centralny za pośrednictwem Stefana Bobrowskiego, zawiązał pierwsze stosunki z Rusią, t. j. z Wołyniem, Podolem i Ukrainą. Wiemy, że za staraniem Bobrowskiego, zawiązał się w Kijowie komitet, którego zadaniem było w pierwszym rzędzie przeprowadzenie organizacji, która w tej chwili była bardzo słabą, zaledwie zapoczątkowaną. Zawiązany tu w końcu grudnia 1862 r. komitet składał się z Edmunda Różyckiego *), dra Izydora Kopernickiego, profesora uni-

*) Poraz pierwszy wymieniłem tu nazwisko człowieka, który miał bardzo poważną i wybitną rolę odegrać w powstaniu, Edmunda Różyckiego. Osobistość to tak piękna, tak szlachetna, tak wybitnie rysująca się na tle powstania styczniowego, a przytem młodość jego w tak niezwykłych rozwijała się warunkach, że muszę jej choć krótkie poświęcić wspomnienie. Osobiście poznałem Edmunda Różyckiego dopiero na emigracyi w Paryżu. Wspomnienie moje opieram na szkicu biograficznym, wydanym przez Maryana Dubieckiego, Kraków 1895.

Edmund Różycki był synem znanego i sławnego w powstaniu listopadowem pułkownika Karola Różyckiego, który podniósł był sztandar powstania na Rusi. Edmund miał wówczas trzy lata, urodził się bowiem w roku 1827 w Agatówce na pograniczu dawnego województwa Kijowskiego w okolicy, oddzielającej Berdyczów od Żytomierza. Po nieudałej walce Karol Różycki zmuszony opuścić kraj, zabrał ze sobą Edmunda i starszego od niego Stanisława do Galicyi. Zmuszony do dalszej emigracyi, postanowił starszego Stanisława wziąć ze sobą — młodszego zaś trzyletniego Edmunda odesłać do matki na Wołyń. Dziecięciu groziło jednak wielkie niebezpieczeństwo. Car Mikołaj bowiem rozkazał chwytać dzieci partyzantów, którzy kraj opuścili, wywozić je w głąb Rosyi, by je zdala od Ojczyzny w nieświadomości swego pochodzenia, na Moskali wychowywać. Dziecko trzeba było ukryć — więc przeniesiono je przez granicę w worku przemytnika i złożono w jednym z nadgranicznych dworów na Wołyniu, skąd przekradziono dziecko do Agatówki do matki. Tu po raz ostatni w życiu widział matkę, nie wiedząc nawet, że to jest matka. Widział i zapamiętał tylko kobietę czarno ubraną, która go błogosławiła i medalionik Matki Boskiej zawiesiła na szyi. Ostrożność tak nakazywała. Przewieziono dziecko na Ukrainę, gdzie zajęła się niem p. Pilchowska, młoda bezdzietna kobieta. Gdy ta pani wkrótce umarła, zajęli się dziecięciem pp. Szymanowscy w samym Kijowie. Mały Edmundek był

wersytetu kijowskiego i jeszcze trzeciej osoby, której atoli nazwiska nie pamiętam i znaleść go nie mogłem. Komitet ten w zasadzie uznał zupełnie władzę Komitetu Centralnego, deklarował mu zupełne posłuszeństwo, zastrzegając sobie jedynie i wyłącznie prawo decydowania o chwili wybuchu powstania za Bugiem. Edmund Różycki zaraz potem udał się do Żytomierza, gdzie całą zimę z r. 1862. na 1863. tam przepędził, zajmując się przeprowadzeniem organizacyi wołyńskiej. Jądro organizacyi w województwie Kijowskiem stanowiła głównie młodzież polska uniwersytetu w Kijowie. Na Podolu było zupełnie głucho. W chwili wybuchu

---

tak roztropnem dzieckiem, że chociaż wiedział swoje pochodzenie i właściwe nazwisko, nigdy się z tem nie zdradził wobec policyjnych zabiegów, które go ciągle tropiły. Ostatecznie, gdy chłopak miał już lat dwanaście, władze moskiewskie zdołały przez szpiegów przekonać się, że ów Pilchowski jest właściwie Różyckim.

Chłopca porwano i do Petersburga przewieziono. Tu wziął go pod opiekę brat cara W. Ks. Michał i oddał do szkoły kadetów — gdzie go zapisano pod właściwem jego nazwiskiem. Obchodzono się z nim z wielką uprzejmością i niemal serdecznością. Dziecko przyjmowało wszystko ze spokojem, wypełniało wszystkie rozkazy, nie dało się jednak tem postępowaniem olśnić, rozumiało swoje położenie, nie zapominało ani na chwilę, że ma do czynienia z wrogiem.

Opatrzność czuwała nad dzieckiem. W szkole oddano go pod bezpośredni dozór staremu żołnierzowi, Polakowi, weteranowi z r. 1831. Ten miał malutką polską książeczkę do nabożeństwa, którą jako nagrodę za dobre zachowanie się, dawał małemu Edmundowi do czytania — tym sposobem, przysłuchując się własnym wyrazom modlitwy, wsłuchiwał się w dźwięki mowy polskiej. W takich warunkach wyrabiał się w młodym chłopcu charakter silny, wielka moc ducha i skłonność do duchowego skupiania się w sobie.

W tym czasie wielka ilość młodzieży polskiej z całego zaboru moskiewskiego przyjeżdżała do petersburskiego uniwersytetu. Młodzież ta przynosiła ze sobą świadomość o niedoli narodu i zasób wielki patryotycznego uczucia. Młodzież ta wyszukiwała dzieci polskie, uczące się w różnych zakładach stolicy, które w podobnych jak Edmund okolicznościach, wyrwane ze stosunków ojczystych, skazane były na powolne zmoskwicenie, a nawiązując z niemi stosunki, wpływem swoim otrząsała z nich pleśń obcą, wpajając uczucia polskie patryotyczne. Wynaleziono tym sposobem i małego Edmunda w korpusie kadetów. Edmund, zbliżywszy się raz do nich, utrzymywał zawiązane stosunki i poświęcał im wszystkie wolne godziny. Bywał na ich zebraniach, czytywał tam poetyczne utwory wielkich mistrzów, uczył się dziejów ojczystych, kształcił sie w duchu polskim i wyrabiał charakter.

Zebrania te rozpoczynały się zwykle od odmawiania modlitw, któremi matki uzbrajały ich młodociane serca na bój z życiem. Tym sposobem młode te dusze przenosiły się do wiosek i pól i zagród ojczystych i dopiero po takiem przygotowaniu przystępowano do czytania poetów i do studyów rzeczy swojskich. W takich stosunkach i pod takimi wpływami, Edmund ukończył celująco nauki w korpusie kadetów i w stopniu oficera przeszedł do szkoły artyleryi, nie zaniedbując ani na chwilę stosunków z kołami patryotycznej polskiej młodzieży.

Tak przeszedł czas aż do roku 1848, do owej wiosny ludów. Teraz dopiero rząd moskiewski zwrócił uwagę na te zebrania młodzieży. Nie odkryto tam wprawdzie nic karygodnego, jednakże rozpędzono je. Młodego Edmunda wysłano do armii, walczącej na Kaukazie. Podróż tę odbywał pod strażą, już jako politycznie podejrzany.

Czteroletni pobyt na Kaukazie od 15-go sierpnia 1848 do 11. lipca 1852.

powstania w Królestwie, organizacya ziem ruskich była jeszcze bardzo słaba.

Komitet Centralny dnia 5. lutego wydał odezwę do braci Rusinów. W odezwie tej zawiadamia o walce na ziemi polskiej o niepodległość Polski, Litwy i Rusi, że pierwszym jego czynem było wymierzenie sprawiedliwości licznej klasie włościan. Że ziemia ruska od tylu wieków dzieląca z resztą Rzeczypospolitej wspólne szczęście i niedolę i dzisiaj rozbrzmieć powinna okrzykiem wolności. Kończy wezwaniem do broni, że pierwszym aktem powstania ma być natychmiastowe uwłaszczenie włościan. (Odezwę tę w całości czytać można w I. tomie Wydawnictwa materyałów).

Jednocześnie z odezwą Komitet Centralny wydał dekret

---

stał się dla Edmunda szkołą wszechstronną, tak życia praktycznego, jak dalszego wojskowego wykształcenia. Zdolnościami swojemi, charakterem, powagą swą nad wiek i sądem wytrawnym, swą wartością moralną wreszcie wyróżniał się z całego grona swych rówieśników, zjednywał sobie uznanie nietylko kolegów, ale i zwierzchności. Usposobienie patryotyczne-religijne staje się tak wybitną cechą jego charakteru, że zwraca uwagę każdego, kto się z nim bliżej zetknął.

Z Kaukazu wraca do Petersburga dla uzupełnienia wojskowych studyów naukowych. Wstępuje do akademii wojennej, którą kończy świetnie w r. 1854 w stopniu kapitana generalnego sztabu. Wraca znowu na Kaukaz, ale już nie pod strażą, gdyż posiadł zupełne zaufanie władz. Tu pracuje dalej w sztabie generalnym wojsk, zyskuje coraz większe uznanie i zaufanie, w rangach i zaszczytach postępuje szybko, staje na drodze do najświetniejszej wojskowej karyery. Myśl jednak o Ojczyźnie nie opuszcza go ani na chwilę. W jednym z listów, z którego wyjątki przytacza Dubiecki, Różycki tak pisze: „Z kolegami moimi byłem towarzyski, uprzejmy, usłużny, wszyscy mnie bardzo kochali, ale i tam, jak podczas całego pobytu w Rosyi, żyłem głównie sam w sobie, z ciągłą myślą o Ojczyźnie, ale ponieważ pod tym względem spółkę trudno mi było znaleść, wyrobiła się we mnie pewnego rodzaju skrytość i obojętność na wszystko, co się tej głównej strony mego życia nie tyczyło, tak, że Moskale zauważali, że tylko dwie rzeczy mogą mnie zająć i wzruszyć: Polska i Religia".

W czasie tego drugiego pobytu na Kaukazie dostaje urlop. W prośbie w której o ten urlop podawać musiał do samego cara, z całą otwartością i prawdą, które zawsze jego postępowanie cechowały oświadczył wyraźnie: „że pragnie na tułactwie odwiedzić Ojca swego, którgo od lat niemowlęcych nie widział i prawie zupełnie nie pamięta". Było to w r. 1857. więc już po śmierci Mikołaja. Urlop otrzymał. 11 miesięcy bawił za granicą na zachodzie. Ojciec Edmunda pułkownik Karol był gorliwym adeptem nauki Towjańskiego. Zetknięcie się z ojcem wywarło ogromny wpływ na Edmunda, tem więcej, że znalazło w charakterze jego i duszy przygotowane podłoże. Sam o tem we wspomnianym liście opowiada: „że pewne pojęcia religijne stały się dla mnie puklerzem nieprzebitym, osłaniającym od zarazy materializmu". Gdy w roku 1861 opuszczał Kaukaz w stopniu pułkownika jeneralnego sztabu, koledzy urządzili mu pożegnanie najserdeczniejsze, rozrzewniające uczuciem z którem było zrobione, a dwaj z ich grona odprowadzili mnie kilka stacyi". Gdy w kilka lat potem po powstaniu jeden z owych kolegów odwiedził go w Paryżu, tak rzekł do Edmunda Różyckiego: „Pan nie wiesz jak wszyscy u nas ciebie szanują i kochają; gdyś wziął udział w powstaniu przeciw Rosyi, nie chcieliśmy nawet kwestyi tej poddawać dyskusyi, lcz powiedzieliśmy sobie, że jeżeli on tak zrobił, to musi być dobrze i szlachetnie inaczej nie mógł postąpić. Małoś Pan mówił, ale czuliśmy co myślisz i że dobrze myślisz". Nietylko koledzy ale nawet najwyższe sfery wojskowe, okazywały poszanowanie.

o uwłaszczeniu i usamowolnieniu ludu w ziemiach ruskich. Dekret ten był zredagowany w języku ruskim, pisany kirylicą i drukowany farbą złotą i dlatego nosi nazwę „Złotej hramoty“. Dekret ten znajduje się w tomie I. Wydawnictwa materyałów w obu językach. Jako dokument wielkiej wagi podaję go tu w całości w języku polskim:

„Hramota dla ludu wiejskiego.

Powstawszy wraz z Polską i Litwą przeciwko panowaniu moskiewskiemu, aby uzyskać wieczną wolność i szczęsną dolę dla całej naszej Ojczyzny, oświadczamy przed Bogiem i całym światem i narodem, że innego szczęścia nie pragniemy dla drogiej na-

---

Zwierzchność wojskowa, oceniając jego wysokie militarne wykształcenie, przeniosła go stosownie do jego życzenia, na szerszą widownię, to jest na ziemię ojczystą, do sztabu wojsk konsystujących na Wołyniu.

Stało się to w tym czasie, gdy w Królestwie rozpoczynał sie ten wspaniały okres demonstracyjny i rozlewał się po całej ziemi polskiej, poruszając nawet najobojętniejsze dusze. Ruch ten o tak wybitnym nastroju duchowym, znalazł oddźwięk w głębi duszy Różyckiego.

Wypadki rozwijały się szybko. Różycki rozumiał, że przy tak wielkiem podniesieniu ducha narodowego, trudnem będzie utrzymać rozegzaltowane masy, od orężnego wybuchu.

Przewidując to Różycki, postanowił złączyć się z tym ruchem narodowym. Człowiek tej miary co Różycki, wyznający w życiu przedewszystkiem prawdę, nie znoszący ani cienia fałszu, nie mógł w sposób tajemny, opuścić szeregów moskiewskich, nie mógł zejść z tak wybitnego militarnego stanowiska pokryjomu, w roku więc 1862, podał się do dymisyi i otrzymał ja.

Jenerał dywizyi, pod którego rozkazami służył Różycki nie mogąc pojąć co mogło skłonić tak wybitnie zdolnego a młodego jeszcze oficera, przed którym otwierała się najświetniejsza przyszłość, do opuszczenia służby — prosił Różyckiego, by wyjawił pobudki, które go do tego kroku skłoniły?

„Chętnie odrzekł Różycki, odpowiem na pytanie p. jenerała, powiem poufnie, nie jako Naczelnikowi, ale jako człowiekowi honoru“. Gdy jenerał zgodził się na to — Różycki z całą otwartością powiedział: „Burza się zbliża, atmosfera jest duszna, wszyscy odczuwamy, że jesteśmy w przededniu jakieś katastrofy. Polska lada chwila może powstać, a wówczas gdybym pozostał pod sztandarem nieprzyjacielskim, jaką byłaby moja pozycya? Stojąc wśród sprzecznych obowiązków żołnierza rosyjskiego i obowiązków syna Polski, ażalibym mógł spełnić sumiennie jeden z owych obowiązków, nie zdradzając drugiego“. Zastanów się nad tem panie Jenerale i powiedz czy nie mam słuszności? Jenerał w zamyśleniu, przeszedł się kilkakrotnie po pokoju. Po chwili wyciągnął dłoń ku niemu i rzekł wzruszony: „Tak najzupełniejszą masz słuszność“.

Tak szlachetnie Różycki rozwiązał swoje stosunki z Moskalami. Otrzymawszy zupełną swobodę działania jako syn Polski wszedł do działań konspiracyjnych, przygotowawczych do przyszłego powstania. O jego działaniach dowiemy się z opowiadania wypadków. Tutaj jeszcze dodam. Po skończonem powstaniu w r. 1864 udał się na emigracyę do Francyi. Dnia 12. września 1870 r. pochował zmarłego ojca swego — pułkownika Karola. Po przebyciu wojny prusko-francuskiej i oblężeniu Paryża, udał się do Galicyi i osiadł w Krakowie. Po długich staraniach, otrzymał tu stanowisko inspektora krakowskiego Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń. Trapiony chorobą serca dnia 23. maja 1893 r. oddał swego pięknego i czystego ducha — Bogu.

Cześć i hołd pamięci tego szlachetnego syna Ojczyzny!

szej Ojczyzny i nie szukamy go w niczem więcej, jak tylko w wolności, swobodzie, równości i szczęściu wszystkich mieszkańców, jakiejkolwiek są wiary i stanu. A pragnąc najwięcej szczęścia dla ludu wiejskiego, postanawiamy na wieczne czasy:

1. Lud wiejski w siołach i futorach, pańskich i rządowych, jednodworcy i czynszownicy i inni, od tego dnia są wolni i równi co do praw innym obywatelom Ojczyzny.

2. Mogą i mają prawo przechodzić z miejsca na miejsce według upodobania i nikt im w tem przeszkadzać nie będzie.

3. Mogą i mają prawo uczyć się we wszystkich szkołach i być w krajowej służbie zarówno z innymi obywatelami Ojczyzny.

4. Wraz z innymi mają prawo wybierać z pomiędzy siebie deputowanych do sądów, rad i urzędów wiejskich, powiatowych, ziemskich i najwyższych publicznych.

5. Sądzić i rządzić będą na równie z innymi, tylko przez swoje sądy i urzędy, złożone z deputowanych, mających strzedz świętej sprawiedliwości, praw i bezpieczeństwa osób i mienia każdego.

6. Podatki narodowe, ziemiańskie powinności i ludzi do wojska narodowego, będą dawać tylko za postanowieniem Sejmu państwa, złożonego z deputowanych całej Ojczyzny.

7. Ziemie orne, sianożęcia i sadyby pańskie i skarbowe, które za czynsz lub za odrobek, albo za wykup trzymali włościanie, będą od niniejszego dnia po wieczne czasy własnością każdego gospodarza, bez żadnej za nie zapłaty. Dziedzicom za tę ziemię zapłaci skarb narodowy.

8. Co do udzielenia ziemi włościanom, którzy jej dotąd nie mieli, jako to budnicy, bobyle (komornicy), chałupnicy, ludzie dworscy i t. d. postanowi w swoim czasie najwyższy Sejm państwa.

9. Jednodworcy i szlachta czynszowa będą na równi z włościanami na wieczne czasy, mieć ziemię sadybną i gruntową z ziem pańskich, gdzie jej będzie pod dostatkiem, za zapłatą ze skarbu narodowego, albo z ziem koronnych.

10. Wiejskim księżom prawosławnym, oprócz ziemi cerkiewnej, naznaczamy płacę w pieniądzach, aby nie potrzebowali od ludu zapłaty za duchowne posługi; o ile przypadnie każdemu księdzu, orzecze najwyższy Sejm państwa.

11. Oprócz tego, co się wyżej powiedziało, każdemu, co chwyci z nami za oręż przeciwko panowaniu moskiewskiemu, albo zdrów wyjdzie, albo rannym zostanie, udzieli się najmniej sześć morgów ziemi i sadybę w ziemiach koronnych, albo dożywotnią płacę ze skarbu narodowego.

12. Nadając ludowi wiejskiemu wyż wymienione prawa wolności i obywatelskiej równości wszystkich wobec każdego, poręczamy i na wieki obiecujemy, swobodę praw i wiary, jakiej się kto trzyma i używanie języka w szkołach, sądach i innych ziemskich urzędach.

Co wszystko wyż wypisane, ogłaszając wiejskiemu ludowi Podola, Wołynia i Ukrainy — zachowanie i obronę praw, tą hramotą nadanych, zaprzysięgamy wobec narodu, całego świata i Boga Wszechmogącego. Bożej opiece poruczając dolę ludu, któremu wiecznego życzymy dobra, dajemy tę oto hramotę do wołostnego urzędu na każdą włość".

Według programu działań omawianego i ułożonego przez Komitet Centralny jeszcze w grudniu 1862 r. wraz z Edmundem Różyckim i Zygmuntem Miłkowskim, powstanie na Rusi, którego termin, jak wiemy, pozostawiono zupełnie uznaniu komitetu ziem ruskich, miało być wsparte przez jednoczesne wkroczenie na Wołyń i Podole zbrojnych oddziałów z Galicyi, a na Ukrainę oddziału, sformowanego z Polaków, zamieszkałych na wschodzie w Rumunii i Turcyi. Naczelnym wodzem na Rusi i na Wschodzie Komitet Centralny ustanowił Zygmunta Miłkowskiego, mianując go zarazem pułkownikiem. Nominacya ta była jednak tymczasową, na czas przeprowadzenia organizacyi, gdyż z chwilą wybuchu, naczelne dowództwo miał objąć albo generał Wysocki, albo pułkownik Edmund Różycki. Nadmienić tu muszę, że w naradach prowadzonych w grudniu 1862 r. przypuszczano, że powstanie nie wybuchnie prędzej, jak na wiosnę 1863 r.

Zygmunt Miłkowski po konferencyi warszawskiej, udał się na Wschód. Zatrzymał się we Lwowie dla porozumienia się z Ławą lwowską, gdzie miał się zjechać z powracającym z Ukrainy Stefanem Bobrowskim. Rozminęli się jednak i Miłkowski nie mogąc czekać na niego, pojechał do Księstw naddunajskich. Tu w Botuszanach dowiedział się o wybuchłem w Królestwie powstaniu (patrz: „W Galicyi i na Wschodzie" przez Z. Miłkowskiego).

Pierwszą oficyalną wiadomość o powstaniu odebrał Miłkowski przez kuryera wysłanego z Warszawy. Ruszył więc do Galicyi, żeby tam zająć się formowaniem zbrojnych oddziałów, które miały nieść pomoc powstaniu na Rusi. We Lwowie stanął 22. lub 23. lutego. Zastał tu jednak chaos zupełny, który powodowało istnienie tam aż pięciu komitetów, t. j. komitet t. zw. obywatelski, właściwie szlachecki, na którego czele stał ks. Adam Sapieha, przeciwny w tej chwili powstaniu i nieuznający władzy Komitetu Cen-

tralnego; komitet Bratniej pomocy, pełen najlepszych chęci, atoli nie posiadający ani środków, ani wpływów; komitet miejski, który dopiero później miał otrzymać od Komitetu Centralnego upoważnienie do działania, ale w tej chwili nic przedsiębrać nie chciał; komitet młodzieży, który sam nie wiedział, co ma robić i wreszcie komitet Mierosławskiego, który uznawał tylko władzę niedoszłego dyktatora.

Miłkowski rozpatrzywszy się w tym chaosie przyszedł do przekonania, że działanie swoje może opierać jedynie na komitecie obywatelskim i na Bratniej pomocy.

Komitet obywatelski składał się z ks. Adama Sapiehy, Smolki, Ziemiałkowskiego i Aleksandra Dzieduszyckiego. Komitet nie chciał słyszeć o jakiejkolwiek na Ruś wyprawie.

W skład komitetu Bratniej pomocy wchodzili: Tadeusz Niewiadomski, Jan Dobrzański, Kornel Ujejski, Juliusz Starkel i Cieszewski. Był on spadkobiercą byłej Ławy lwowskiej. Komitet uznawał w zupełności władzę Komitetu Centralnego. Z nim więc Miłkowski wszedł w porozumienie i dał mu instrukcyę do formowania oddziałów, ich uzbrojenia i umontowania.

Wzajemna walka tych dwóch gównych komitetów: obywatelskiego i Bratniej pomocy, utrudniała bardzo działania. Gdy pierwszy nakazywał, żeby cicho siedzieć, drugi na przekór zachęcał do formowania oddziałów i wychodzenie na plac boju do Kongresówki.

W chwili rozpoczęcia tych robót, Miłkowski otrzymał od generała Wysockiego wezwanie, by przybył do Krakowa. Porozumienie było łatwem. Miłkowski przedstawił Wysockiemu swój plan działania, co do przygotowania wyprawy na Ruś, że jednak w okolicznościach, jakie istnieją w Galicyi wschodniej, on planu tego przeprowadzić nie jest w możności, że może to zrobić tylko Wysocki. Zaproponował mu więc, żeby objął kierownictwo naczelne. Wysocki zgodził się, lecz pod warunkiem, że to stanie się za wiedzą i zezwoleniem Komitetu Centralnego. Obadwaj więc napisali o tem raport do Komitetu Centralnego. Miłkowski podał się do dymisyi z naczelnego dowództwa na Rusi i na Wschodzie i umotywował konieczną potrzebę mianowania na to stanowisko Wysockiego.

Wysocki dla tymczasowego poparcia Miłkowskiego w jego działaniach, zjechał sam do Lwowa. Był to już koniec lutego, to jest ta sama chwila, kiedy rozpoczęły się w Krakowie intrygi poprzedzające dyktaturę Langiewicza.

W tym samym czasie, jak wiemy, zaszła wielka zmiana w usposobieniu szlachty galicyjskiej, tak zachodniej, jak i wschod-

niej pod względem powstania, pod wpływem wiadomości nadeszłych z Paryża, o owym przychylnym dla powstania stanowisku cesarza Napoleona. Nadto Smolka miał przywieść z Wiednia wiadomość, że cesarz austryacki, pozwala sobie mówić o polskiem powstaniu. Wszystko to razem wpłynęło na usposobienie szlachty i na komitet obywatelski we Lwowie, który był jej reprezentantem. Z komitetu wystąpili teraz Smolka i Dzieduszycki jako skrajni przeciwnicy powstania, a weszli Antoni Golejewski i Artur Gołuchowski. Komitet obywatelski w tym samym składzie zyskał odrazu popularność, a rozporządzając środkami i wpływami zepchnął na drugi plan komitet Bratniej pomocy, pełen dobrych chęci, ale nie mający ani środków, ani wpływów. Komitet obywatelski stał jednak na stanowisku potrzeby i obowiązku popierania powstania, ale jedynie w Królestwie. Pomimo zmiany składu w osobach, był zawsze stanowczo przeciwnym, jakiegokolwiek bądź popierania powstania na Rusi.

Wysocki i Miłkowski po długich dysputach, potrafili wreszcie przekonać komitet obywatelski o potrzebie wsparcia także i powstania na Rusi i uznania Komitetu Centralnego (choć to uznanie nie było nigdy szczerem, tak samo jak i popieranie powstania na Rusi), jako legalnej w tej chwili władzy narodowej. Po długich znowu debatach, komitet zgodził się, że pomoc dla Rusi można czerpać tylko z pięciu obwodów wschodniej Galicyi, t. j. brzeżańskiego, tarnopolskiego, czortkowskiego, stanisławowskiego i kołomyjskiego, oraz z całej Bukowiny. Wszystkie pozostały obwody miały nieść pomoc powstaniu w Królestwie.

Wystąpiły teraz okazywane od początku niechęci i niezaufania do Miłkowskiego. Termin sformowania oddziałów i ich wkroczenie w połowie marca, ułożony z Gołuchowskim, zakwestyonowano w pełnym komitecie z tytułu stanowiska Miłkowskiego. Komitet Centralny nie przyjął dymisyi Miłkowskiego. Miłkowski wniósł nowe podanie o dymisyę, a Wysocki zaproponował komitetowi, żeby Miłkowskiemu przyznano funkcye inspektora organizacyi wojskowej, mającej się przeprowadzić w wzmiankowanych wyżej obwodach. Organizacyę tę miał prowadzić Gołuchowski pod dozorem Miłkowskiego. Gdy jednak Miłkowski zażądał od komitetu obywatelskiego poświadczenia na piśmie jego inspekcyjnego charakteru — komitet odmówił.

Teraz znowu i termin ułożony z Gołuchowskim na drugą połowę marca został zakwestyonowany. Golejewski w imieniu komitetu oświadczył, że termin ukończenia organizacyi i wkroczenia

Eigentum
Heeresarchiv-Zweigstelle
Danzig

nie może nastąpić, jak za dwa miesiące. I rzeczywiście tak się stało. Wyprawa na Ruś nastąpiła dopiero w lipcu, to jest w cztery miesiące po tych naradach i w chwili, gdy już powstanie na Rusi zostało zupełnie stłumionem.

Cała ta akcya została sparaliżowaną przez opór i prawie niechęć bezwzględną galicyjskiej szlachty, a szczególniej księcia Adama Sapiehy, w ręku którego władza pozostawała. Ciężka to plama na tych rządach. Jednocześnie jednak organizowano w Krakowie ze współudziałem Lwowa zamach na władzę Komitetu Centralnego, dotąd tu nieuznawaną — przez tworzenie dyktatury Langiewicza.

Komitet lwowski, pomimo obietnic, pomimo tego, że składano u niego pieniądze, pochodzące z Rusi na zakupno broni, ani myślał nawet o jej sprowadzeniu, taka była zła wola w jego działaniu. Zła wola ta, miała źródło w tem, że komitet lwowski, nie uznawał władzy Komitetu Centralnego, w którego imieniu Miłkowski działał.

Na tych targaniach się wewnętrznych przeszedł cały marzec, a tymczasem sytuacya na Rusi zmieniła się radykalnie. Moskwa gromadziła tam wojska. Gdy w miesiącu lutym siły moskiewskie wynosiły około 30 tysięcy ludzi, teraz w końcu marca wzrosły w dwójnasób. Granica galicyjska była silnie obsadzona. Rząd moskiewski rozpuścił tłumy agentów, którzy podburzali lud ruski przeciwko Polakom.

Organizacya narodowa na Wołyniu i Ukrainie, dzięki działaniom energicznym komitetów w Żytomierzu i Kijowie, rozwijała się pomyślnie.

Tak stały sprawy w końcu marca. Po upadku dyktatury Langiewicza, Komitet Centralny, który generała Wysockiego przeznaczał na naczelnika wojennego powstania na lewym brzegu Wisły i dlatego nie przyjmował kombinacyi i dymisyi Miłkowskiego, teraz postanowił zgodzić się na to. W ostatnich dniach marca udzielił dymisyę Miłkowskiemu, generała Wysockiego zamianował naczelnym wodzem ziem ruskich i województwa Lubelskiego, oddając mu temsamem władzę i nad organizacyą oddziałów galicyjskich, a w charakterze adlatusa cywilnego dodał generałowi do pomocy niejakiego Maryana Sokołowskiego, b. studenta uniwersytetu kijowskiego. Wybór jednak osoby był niefortunny i szkodliwy, gdyż ów adlatus działał w myśl komitetu obywatelskiego. W kwietniu zdaje mi się, wydał on samowolnie okólnik, w którym uwalniał obywateli większych posiadłości na Rusi od udziału w powstaniu, motywując to tem, żeby nie narażać ich na prześladowanie Mos-

kali i możliwą konfiskatę majątków. Równie samowolnie ogłosił komentarz do „Złotej hramoty“ w duchu reakcyjnym, odbierający jej tak doniosły, polityczny charakter. Rząd Narodowy dowiedziawszy się o tem, dał mu zupełną dymisyę z organizacyi.

Generał Wysocki w pierwszych dniach kwietnia zjechał do Lwowa i wezwał tam Miłkowskiego, bawiącego na Podolu. Miłkowski zdał swoją władzę w ręce generała Wysockiego dnia 3. kwietnia, a Wysocki zawiadomił komitet lwowski o swej nominacyi.

Zaraz potem generał Wysocki postanowił udać się na Podole rosyjskie celem zetknięcia się z pułkownikiem Różyckim, jako głównym organizatorem powstania na Rusi. Zjazd odbył się dnia 8. kwietnia w Sidorowie, majątku Adama Paygerta, na granicy Podola. Na zjeździe tym wyznaczono dzień 8. maja na wybuch powstania na Wołyniu i Ukrainie. W tymże dniu miały jednocześnie wkroczyć oddziały z Galicyi. Tak sobie projektował Wysocki. Tu go miał spotkać zawód, a powstanie na Rusi, pozostawione samo sobie upaść musiało.

Generał Wysocki dnia 10. kwietnia jako naczelny wódz województwa Lubelskiego i ziem ruskich, mianował w imieniu Rządu Narodowego Zygmunta Miłkowskiego, naczelnikiem siły zbrojnej południowej części Podola, a mianowicie powiatów: kamienieckiego, uszyckiego, mohylewskiego, bracławskiego, hajsińskiego, olhopolskiego, bałtskiego, jampolskiego i oddziałów na Wschodzie formować się mających. Jednocześnie raportem tej samej daty uwiadomił o tem Rząd Narodowy.

Miłkowski opuścił Lwów, udając się na Podole i na Wschód. Na Podolu, jak to zobaczymy, ani jeden powstaniec się nie pokazał. Akcya na Wschodzie także zupełnie nie dopisała. Działań tych pułkownika Miłkowskiego, nie będę opisywał, nie znałem ich prawie zupełnie w czasie samej akcyi, a co wiedziałem, to zapomniałem. Zygmunt Miłkowski sam to opisał w książce swojej: „W Galicyi i na Wschodzie“, wydanej w Poznaniu w r. 1880. Jeżeli się nie mylę, to jest to dotychczas jedyne źródło, traktujące tę sprawę.

O dalszej działalności organizacyi galicyjskiej w formowaniu oddziałów przeznaczonych na poparcie powstania na Rusi, mówić w tem miejscu nie będę. Prowadzona była ona nie tylko niedołężnie, ale z wyraźną złą wolą, co z naciskiem muszę tu zaznaczyć. Nie przyniosła ona żadnego pożytku powstaniu na Rusi, ale przeciwnie przyniosła mu szkodę. Obudziła ona czujność Moskali, którzy doskonale o wszystkich szczegółach byli powiadomieni przez

konsula moskiewskiego w Brodach. Spowodowała wielkie nagromadzenie wojsk i dała czas szeroko rozwiniętej agitacyi, pomiędzy ludnością wiejską Rusi, do podburzenia tejże ludności i sparaliżowania powstańczego ruchu w samym niemal jego zawiązku.

Powstanie na Rusi zgodnie z umówionym przez generała Wysockiego i pułkownika Różyckiego, na zjeździe w Sidorowie programem, w przewidywaniu jednoczesnego wkroczenia oddziałów galicyjskich, wybuchło w oznaczonym terminie d. 8. maja, tak na Wołyniu, jak i w Kijowskiem.

Edmund Różycki, zamianowany jeszcze przez Langiewicza, jako dyktatora, organizatorem sił zbrojnych na Rusi, zaraz po zjeździe w Sidorowie zajął się organizacyą zbrojnych oddziałów, z wiejskiej młodzieży polskiej, szlacheckiej i miejskiej, z oficyalistów, służby i dworskich kozaków. Na Wołyniu formowały się trzy główne oddziały, jeden, nad którym miał objąć dowództwo sam Różycki, drugi pod dowództwem pułkownika Chranickiego i trzeci pod pułkownikiem Ciechońskim. Na Kijowszczyźnie pod Romualdem Olszańskim, Krzyżanowskim, Zielińskim i inne drobniejsze.

Wszystkie te oddziały w dniu oznaczonym 8. maja wyruszyły w pole.

Różyckiego oddział zgromadził się na uroczysku „Pastucha“ w lasach Karpowickich, w okolicy Żytomierza. Chranicki, więcej na północ, miejscowości podać nie mogę; Ciechoński, gromadził się w wielkich lasach, zwanych „Cwetu“, w powiecie Zasławskim. Te trzy oddziały miały się wzajemnie wspierać z kierunkiem ku granicy galicyjskiej dla podania ręki oddziałom, mającym stamtąd wkroczyć.

Na punkcie zbornym na uroczysku „Pastucha“ znalazło się dnia 7. maja ze spodziewanych tysiąca dwieście ludzi, zaledwie 200. W parę dni jednak oddział liczył 850 ludzi, w czem 700 koni i 150 piechoty. Jazdę Różyckiego składali ziemianie starsi i młodzi, młodzież wieśniacza, rekrutująca się z warstw nader patryotycznych oficyalistów, kozaków nadwornych, czeladzi wiejskiej. Jakkolwiek w oddziale tym była komenda polska, gęsto słychać było i mowę ruską i ruskie pieśni. Różycki umiał natchnąć swój oddział duchem rycerskim. Kochany też był bardzo i nazwany „Bat'ko“. Jazda ta miała nazwę „Pułku jazdy wołyńskiej“.

Po paru dniach zajętych na sformowaniu oddziału, Różycki ruszył ku Lubarowi nad Słuczą, przeszedł ją i zajął miasteczko [72]).

[72]) Zieliński str. 339. 9. 5. — Lubar. Wojew. Wołyńskie, pow. Żytomierski. P. R.

Wziętą tu do niewoli załogę moskiewską kazał wypuścić, bo nie chciał obarczać się jeńcami. Tutaj w Lubarze doszła Różyckiego nominacya od Rządu Narodowego na generała. Z Lubaru podążył ku Połonnemu, znacznej niegdyś za Rzeczypospolitej twierdzy. We wszystkich wsiach, przez które oddział przechodził, zwoływano ludność, odczytywano i wręczano „Złotą hramotę". Dnia 13. maja zajął Połonne [73]), którego załoga na wiadomość o zbliżaniu się Polaków uciekła. W Połonnem zatrzymał się dni parę, ćwiczył swój oddział i przygotowywał do dalszych cięższych pochodów. Po parudniowym pobycie w Połonnem, Różycki ruszył do Miropola, gdzie spodziewał się połączyć z oddziałem Chranickiego, mającym liczyć około 4.000 ludzi piechoty. Tu stanął dnia 16. maja [74]) w południe. Chranickiego nie zastał, ale przednia straż jego natknęła się na patrol kozacki, który rozprószyła. Nazajutrz, 17. maja w niedzielę na uroczystem nabożeństwie w katolickim kościele odczytano „Złotą hramotę". Po południu Moskale pod komendą pułkownika Kaznakowa, ciągnąc z Żytomierza uderzyli na Miropol w sile czterech kompanii strzelców finlandzkich i kilku setek kozaków. Piechota Różyckiego słaba, bo jak wiemy zaledwie 150 ludzi licząca, wstrzymała Moskali, ale musiała się cofnąć. Nieprzyjaciel zajął miasteczko i stąd celnym ogniem swoich strzelców raził powstańców. Różycki zaczął się w zupełnym porządku cofać. Spostrzegłszy to nieprzyjaciel, polecił całej swej jeździe opuścić miasteczko i w czystem polu uderzyć na cofających się, jak mu się zdawało w nieładzie, powstańców. Różycki natychmiast zmienił front i rozkazał czterem swoim szwadronom zaatakować nieprzyjaciela. Szarża poszła świetnie, kozacy zmaltretowani, rozbici, stratowani, trupami ludzi i koni zatarasowali drogę do miasteczka. Moskale nie odważyli się już zaczepiać powstańców i Różycki spokojnie zwrócił się na południe ku Staremu Konstantynowi.

W marszu tym dnia 19. maja w Worobijowskich karczmach [75]) zaszła potyczka, w której zabrali do niewoli 36 kozaków. Tego samego dnia 19. maja pułkownik Chranicki, dążąc ku Różyckiemu, pod tym samym Miropolem natknął się na Moskali i został zupełnie rozbity. Moskale jak zwykle po bitwie mordowali rannych, w czem im dopomagały chmary chłopstwa z okolicznych wsi.

---

[73]) Zieliński. str. 340. 12. 5. Połonne. Wojew: Wołyńskie, pow. Zwichalski. P. R.

[74]) Loco cit. str. 340. 16. 5. 17. 5. Miropol. idem. P. R.

[75]) Zieliński str. 342 — 19. 5. Worobijówka. Wojew: Wołyńskie, pow. Zwichalski. P. R.

W parę dni potem 21. maja, taki sam los spotkał oddział pułkownika Ciechońskiego pod Minkowicami [76]) w okolicach Sławuty. Tak więc na Wołyniu pozostał tylko jeden oddział generała Różyckiego. Generał Różycki z pod Worobijówki, dążył dalej ku Konstantynowi i Podolowi, chcąc podać rękę tamtejszemu powstaniu, ale nie zastał tam żadnego. Wogóle Podole było przeciwne zupełnie wszelkiemu ruchowi. Przeszedł Ostropol i zatrzymał się dzień jeden na uroczysku „Hańczaryha". Do miejscowości tej, jak wiemy, przywiązana jest legenda z pieśni ludowych, iż tam stoczony będzie bój krwawy, rozstrzygający pomyślnie wszystkie nasze boje o niepodległość. Stąd posunął się dalej ku Podolowi, przeszedł Terespol, Wójtowce i stanął pod Ułanowem, gdzie przyłączył się do niego oddziałek 60 ludzi, prowadzonych przez Szaszkiewicza. Z pod Ułanowa Różycki posuwa się dalej ku Chmielnikowi, gdzie staje 23. maja. Nieprzyjaciel ciągle następował mu na pięty i przecinał mu wszelką komunikacyę. Od Chmielnika zwrócił się nagle ku północy ku Lubarowi. Przez Steczkowce, obchodząc Krasnopol i Mołoczki staje pod Bratułowem. Tu dochodzą go wieści o pogromie oddziałów Chranickiego i Ciechońskiego. Wiadomości te przekonały Różyckiego, że na całej przestrzeni południowych prowincyi Rusi niema już ani jednego więcej oddziału. Wysocki z Galicyi także nie przybywał. Różycki miał teraz do czynienia ze wszystkiemi siłami moskiewskiemi, które go jakby pierścieniem otaczały. Zdawało się rzeczą niepodobną przełamanie tego pierścienia. Generał Różycki jednak pokusił się o to. Moskale chociaż go otaczali, nie zaczepiali go. Różycki ocierając się prawie lewem skrzydłem swem o pozycye moskiewskie z Bratułowa posuwa się forsownym marszem do Hrycowa; dnia 24. maja przechodzi szybko przez Lubar. Moskwa śpiesząc za nim na podwodach, atakuje go dnia 25. maja w okolicy Laszek i Medwedówki [77]). Z powodu zapadającej nocy do poważnego starcia nie przyszło. Pod Laszkami przyłączył się do niego oddziałek 48 ludzi, rozbitków oddziału Ciechońskiego. Od nich dowiedział się generał wszystkich szczegółów tej klęski. Z pod Medwedówki pomimo ciemnej nocy, maszeruje dalej. Nad ranem pozwala oddziałowi spocząć na dwie godziny. Po tym krótkim wypoczynku o wschodzie słońca, 26. maja ruszono dalej. Różycki zdawał sobie doskonale sprawę z położenia, w jakiem się znajdował.

[76]) Zieliński str. 342 — 22. 5. Minkowce. Wojew: Wołyńskie, pow. Zasławski. P. R.

[77]) Zieliński. str. 343. — 25. 5. Laszki. Wojew: Wołyńskie, pow. Zasławski. P. R.

Oddział moskiewski, który go zaczepił pod Medwedówką ścigał go dalej zawzięcie. Ze Starego Konstantynowa wyruszyły nowe siły moskiewskie i groziły mu z lewego skrzydła. Z Międzyborza znaczny oddział kawaleryi, zabiegał mu drogę od czoła; z prawej strony dążył znowu oddział moskiewski, który pod Minkowicami rozbił Ciechońskiego. Rozumiał Różycki, że może być otoczony. Nie mógł tracić ani chwili, tylko pośpiechem mógł się wyrwać, zanim pierścień się zamknie, parł więc naprzód co sił. Około godziny 8. rano dnia 26. maja zbliżył się do wsi zwanej Salicha Mała[78]). Długa wieś rozłożona była po obu bokach błotnistego strumienia, a most na nim łączy obie części wsi. Przede wsią były stawy i błota. Droga, po której Różycki maszerował, szła wzgórzami. Z lewej jej strony ciągnął się wielki gościniec, który przed samym Kołowrotem, łączył się z nią. Na tym wielkim gościńcu spostrzegł Różycki w dosyć wielkiem jeszcze oddaleniu, wielkie tumany kurzu; był to ten sam moskiewski odział, który go atakował pod Medwedówką. Różycki odrazu zmiarkował, że bitwy nie uniknie, że przyjąć ją musi. Przyjęcie bitwy z tej strony wsi, gdzie z tyłu miał wieś, stawy i błota, groziło mu klęską; położenie górzyste, nie dozwalało mu rozwinięcie swej jazdy. Postanawia więc przejść wioskę i przyjąć bitwę po przeciwnej jej stronie i po za rzeczką. Moskalom pędzącym na wozach, które już teraz wyraźnie mógł rozróżnić, zależało widocznie na tem, żeby uprzedzić powstańców i nie dozwolić im przejść na drugą stronę. Różycki nagli swój oddział, uprzedza Moskali i gdy ostatnie trójki jego szwadronów wpadły na most, oddział moskiewski dopadał Kołowrotu i piechota moskiewska, zsiadając z wozów już się szykowała i rozpoczynała ogień.

Różycki był już na drugiej stronie wsi. Tu po obu stronach drogi, rozciągały się fale wzgórz, pokryte dojrzewającem zbożem. Różycki formuje swój szyk bojowy. Z pięciu swoich szwadronów oddziela dwa, które kryje we falistym terenie, po obu stronach drogi, pozostałe trzy otacza flankierami i symuluje odwrót. Nieopatrzny a zacięty nieprzyjaciel wypada ze wsi, razi rzęsistym ogniem szwadrony polskie i posuwa się naprzód. Gdy kolumna moskiewska, złożona z trzech rot piechoty, około 600 ludzi, oddaliła się już od wsi, a na jakie sto kroków zbliżyła się do cofających i odstrzeliwających się flankierów polskiej jazdy, nagle odezwały

[78]) Zieliński. str. 344 — 26. 5. Salicha. Wojew: Wołyńskie, pow. Zasławski. P. R.

się trąbki sygnałowe i owe dwa szwadrony ukryte za wzgórzami, pędząc jak huragan w ukośnym kierunku, uderzają niespodziewanie z boków na szeregi nieprzyjacielskie. Moskale formują czworobok, prażą ogniem biegnące szwadrony, gdy te jak wicher wpadają na czworobok, łamią go, rąbią szablami, kłują spisami i w puch rozbijają. Moskale rozpaczliwie jeszcze próbują zamknąć czworobok, lecz próżne ich usiłowania. Moskale walczą już nie o zwycięstwo, lecz o życie. Nic już uratować ich nie mogło, ratują się więc ucieczką, zostawiając na polu bitwy 350 ludzi zabitych i rannych i kilkunastu wziętych do niewoli.

„Zwycięstwo było zupełne", powiada biograf generała Edmunda Różyckiego, „obręcz zamykająca drogę generałowi przerwana. Z chlubą piastowy sztandar purpurowy z orłem białym powiewał w owym dniu z dumą nad purpurowem pobojowiskiem". „Od dni Zieleniec w r. 1792 i Pohoryły w Starokonstantynowskiej ziemi, gdzie Wyszkowski dążąc do Kościuszki w r. 1794 zabrał Moskalom działa, pola Wołynia nie zlano nigdzie tak obficie krwią nieprzyjacielską, jak w ciągu dwugodzinnego boju w ów pamiętny poranek 26. maja 1863 r. pod Salichą".

Bitwa trwała dwie godziny od 9. do 11. rano. Powstańcy stracili 2 zabitych i tyluż rannych. Dowódzca moskiewski Michnow cały czas bitwy przesiedział ukryty pod mostem, za co wyrokiem sądu polowego został rozstrzelany *). Różycki po kilkugodzinnem odpoczynku, ruszył dalej w kierunku południowo-zachodnim, zbliżając się ku granicy galicyjskiej, z poza której spodziewano się ciągle oddziałów Wysockiego. Maszerował bez wytchnienia noc całą. Nad ranem 27. maja odpoczął na chwilę na wysokości Bazalii. Odpoczynek trwał krótko, nadeszły bowiem wiadomości, że nieprzyjaciel grupuje się w większe masy, by wznowić przerwane osaczenie. Różycki więc maszeruje dalej, zmieniając ciągle kierunek, tak, że nieprzyjaciel nie mógł wymiarkować jego zamiarów. Wiedziano o nim lub słyszano to tu, to tam. Różycki zmierzał ku miejscu, w którem według umowy 8. kwietnia Wysocki miał przekroczyć granicę. D. 28. maja rano zatrzymuje się w Palczyńcach, a o godzinie 6. wieczorem w Szczęsnówce wszedł do Galicyi.

Zawiadomił władze narodowe o swem przejściu i żądał przewodnika, gdyż pragnął przejść tylko przez terytoryum austryackie

*) Raporta urzędowe moskiewskie jak zwykle, nazywając te bitwę pod wsią Łysianką — uważają ją za zwycięską, twierdzą, że Różycki stracił 100 ludzi, 12 jeńców i 50 koni, oni zaś stracili jednego oficera, 8 zabitych i 117 rannych.

i udać się znowu na Wołyń. Przysłano mu żyda, który wprowadził go na terytoryum rosyjskie właśnie w tem miejscu, gdzie rosyjskie wojska były zgromadzone, co omal nie pociągnęło za sobą katastrofy, od której uratowała go tylko czujność.

Otrzymane po tem wiadomości, że nie podobna rachować na prędkie przejście Wysockiego, skłoniły Różyckiego do rozwiązania pułku jazdy wołyńskiej, który niestety nigdy już nie miał zebrać się.

Wysocki dopiero dnia 2. lipca miał wkroczyć na Wołyń! Z taką to energią w Galicyi formowano oddziały.

Z chwilą przejścia Różyckiego do Galicyi powstanie wołyńskie i wogóle w ziemiach ruskich skończyło się.

I w innych okolicach Rusi wiodło się fatalnie. Mówiłem już o wrogiem usposobieniu dla powstania, ludu wiejskiego na Rusi. Wrogie to usposobienie było najsilniejszem na Ukrainie. Żyły tam jeszcze tradycye hajdamaczczyzny. Na wiadomość o wybuchu powstania w Królestwie rząd moskiewski, spodziewając się także i wybuchu powstania na Rusi, szerzył i rozbudzał krwiożercze instynkta ludu, przez stanowych prystawów, to jest cywilnych naczelników okręgowych, przez popów i dymisyonowanych sołdatów. Rozsiewano wieści, że panowie będą się buntować przeciwko carowi dlatego, że ten uwolnił chłopów od pańszczyzny, żeby więc baczną na panów zwracali uwagę, żeby każdego podejrzanego Polaka chwytali i prystawom oddawali. Głosili, że car wielkiemi łaskami chciał obdarzyć lud, ale panowie temu sprzeciwiają się, rozpowiadali wieści fałszywe, że Lachy palą wsie, mordują kobiety i dzieci, że to zdarzyło się tu i tam. Wszystko to rozpalało umysły, rozniecało i rozbudzało tkwiące w duszach ludu zarzewie nienawiści do Lachów. Gdy też powstanie wybuchło na Ukrainie, tłumy roznamiętnionego chłopstwa, nie tylko towarzyszyły oddziałom moskiewskim, ścigającym powstańców, ale same napadały na drobne oddziałki powstańcze.

Takiemu losowi uległy drobne po kilkudziesięciu ludzi liczące oddziałki, które po 8. maja utworzyły się w powiecie wasylkowskim. W powiecie taraszczańskim, Adam Zieliński, były oficer moskiewski, utworzył większy oddział do 500 ludzi liczący, złożony przeważnie z oficyalistów z dóbr hr. Konstantego Branickiego. W parę zaledwie dni po wymarszu, oddział ten został rozbity przez wojsko i towarzyszącą mu bandę chłopów. Zieliński schwytany został 30. maja i rozstrzelany w Kijowie.

W powiecie berdyczowskim w nocy z 8. na 9. maja zebrał się

pod Błażejówką oddział pod dowództwem Platona Krzyżanowskiego, starca 70-letniego. Oddział ten liczył około 70 konnych, nad którymi faktycznie dowództwo objął Władysław Padlewski, ojciec znanego nam już Zygmunta Padlewskiego. Oddział ten po paru dniach marszu wzrósł do liczby około 200 koni i kilkudziesięciu pieszych. W miejscowości Biała [79]), oddział ten rozbił kompanię piechoty moskiewskiej i zabrał dwudziestu kilku jeńców. Stąd oddział ten, powziąwszy wiadomości, że w powiecie lipowickim jest silne powstanie, udał się tamże. Nie znalazłszy jednak tam ani jednego powstańca, gdyż wiadomość była fałszywą, pomaszerował w powiat skwirski. Tu pod miasteczkiem Pohrebyszcze dnia 14. maja [80]) zaatakowany przez przeważające siły moskiewskie został rozbity. Padlewski dostał się do niewoli i został rozstrzelany w Kijowie dnia 17. listopada.

Ze stolicy Ukrainy Kijowa, w umówionym terminie z 8. na 9. maja, wyruszyły dwa oddziały. Oddział pierwszy pod dowództwem Romualda Olszańskiego miał za hasło, jak wszystkie inne oddziały, zdobyć wolność Ukrainy przez orężną walkę z Moskwą. Oddział drugi pod dowództwem Antoniego Jurjewicza, miał również na celu wolność Ukrainy, lecz przejęty sam wielką bezgraniczną miłością Ojczyzny, postanowił nieść tę wielką ideę między biedny, ciemny i obałamucony lud wiejski.

Romuald Olszański, stary ułan z roku 1831, utrzymywał w Kijowie szkołę konnej jazdy i miał tam około 60 koni i broń ukrytą. Punkt zborny był naznaczony przy starym gościńcu Żytomierskim za „Złotą Bramą“. Noc z 8. na 9. maja była ciemną i dżdżystą. Spiskowcy dążący na wyznaczony punkt, nie wszyscy tam przybyli. Wielu zbłądziło i powróciło do domów, wielu schwytała policya. Niejakiego Grudzińskiego, jadącego dorożką zdradził dorożkarz. W policyi znaleziono przy nim broń i zaraz przy śledztwie tak go skatowano, że umarł na miejscu.

Na punkcie zbornym Olszański zamiast spodziewanych 300 ludzi, naliczył tylko 60 jezdnych i 150 pieszych. Z tą garstką ruszył Olszański zaraz w pochód, chcąc jak najprędzej, z obawy pościgu, oddalić się z miasta i schronić się w najbliższych od Kijowa lasach. Nad ranem przybyli do Romanówki. Olszański z garstką swej jazdy poszedł dalej, a piechotę, której ludzie byli nadzwyczaj zmęczeni, pozostawił tu dla odpoczynku pod dowództwem byłego kapitana

[79]) Zieliński str. 353. 12. 5. Biała. Ukraina, pow. Lipowicki. P. R.
[80]) Zieliński. str. 353. 15. 5. nazywa „Bułaj“ Ukraina, pow. Berdyczowski. P. R.

wojsk moskiewskich Rudnickiego pod przybranem nazwiskiem „Sawa". Obawa Olszańskiego nie była płonną, gdyż zaraz raniutko 9. maja wysłano z Kijowa oddział kozaków dońskich, dla wyśledzenia kierunku pochodu powstańców. Dopadli oni powstańców, odpoczywających w Romanówce [81]). Powstańcy stawili opór. Kozacy umknęli, wioząc do Kijowa wiadomości o bardzo licznej bandzie.

Wnet też wyruszył z Kijowa oddział moskiewski, złożony z dwóch szwadronów dragonów i całej sotni kozaków.

Rudnicki odparłszy kozaków ruszył dalej śladem Olszańskiego i nad wieczorem tracąc wielu ludzi, którzy ze zmęczenia iść nie mogli i zostawali po drodze — stanął w Borodiance. Oddział liczył w tej chwili już zaledwie 80 ludzi. Zaatakowani tu niebawem przez Moskali powstańcy bronili się mężnie, lecz uledz musieli przeważającej sile. Dwudziestu z nich spaliło się w domach, podpalonych przez kozaków, reszta rozbiegła się polem. Przy pomocy chłopów wyłapano ich i odstawiono do Kijowa, powiązanych po dwóch, a za każdą parą szedł chłop uzbrojony pałką.

Rudnicki dowódzca zdołał umknąć. Był to zresztą człowiek bardzo lichego charakteru. Romuald Olszański w kilka dni potem 13. maja uległ temu samemu losowi w lasach Radomyskich pod wsią Wercholeska [82]). Dostał się sam do niewoli i został rozstrzelany 29. stycznia 1864 r. w Kijowie.

Drugi oddział, który tej pamiętnej nocy z 8. na 9. maja wyruszył z Kijowa pod dowództwem Antoniego Jurjewicza, składał się z 21 młodzieńców, prawie wszystkich studentów uniwersytetu kijowskiego, bo tylko dwóch nimi nie byli. Byli to istotnie młodzieńcy, bo najmłodsi liczyli zaledwie lat 15, a najstarsi nie dosięgali 25 lat, ale o duszach i sercach podniosłych, szlachetnych, pełni najwznioślejszej idei miłości Ojczyzny, gotowi dla niej wszystko nawet życie ponieść w ofierze, zapatrzeni w cel wielki, niesienia tej idei między ciemne masy ludu wiejskiego, pozyskania go dla niej i dla wspólnej walki z wrogiem, nie liczyli się wcale z niebezpieczeństwami, które spotkać mogli, szli naprzód z wiarą, jak prawdziwi Chrystusowi Apostołowie.

Wyjechali oni z Kijowa na wozach z trójką konnych z tyłu. Mijając straże nocne i pikiety kozackie, dostali się na gościniec Wasilkowski. Broń mieli ukrytą na wozach, dla obrony na przypadek spotkania na drodze Moskali.

---

[81]) Zieliński. str. 351. 9. 5. Romanówka, Ukraina, pow. Kijowski. P. R.
[82]) Zieliński. str. 353. 13. 5. Wercholewsk, Ukraina, pow. Radomyski. P. R.

W pierwszej wiosce Motowidłówce nad Stuchną, do której rnakiem przybyli, zebrali lud przed domem zarządu wsi, odczytali mu „Złotą hramotę". Lud przyjął ich spokojnie, ale i obojętnie.

Ranek po nocnej słocie był jasny, słoneczny, ciepły i w duszach tej modzi było jasno i pogodnie.

Na stepie, na który wjechali zaszła im drogę garstka uzbrojonych konnych włościan ze wsi Helenówki. Młodzieńcy przemówili do nich gorącemi słowy, zjednali ich sobie i w zgodzie rozstali.

Przyjechali następnie do wsi Fastówki. Przede wsią spotkała ich parotysięczna gromada chłopów w groźnej postawie. Młodzieńcy wysiedli z wozów i wraz z gromadą otaczającą ich doszli do wsi. Odczytali tu „Hramotę" i oddali ją ludowi. Lud jakkolwiek podmawiany przez wójtów i starszyznę, ujęty gorącem słowem i młodością tej garstki dozwolił im odjechać spokojnie. Wolno także przejechali miasteczko Fastowo, pomimo groźnej postawy mieszkańców i policyi, a nawet i znajdującego się tam wojska.

Ruszyli dalej. Już poprzednio na drodze znajdowali pozrzucane mosty, poprzecinane rowami drogi, co utrudniało podróż i zmuszało do zmiany kierunku. Dlatego nie mogli się udać ani do Białocerkiewszczyzny, ani do Skwirskiego powiatu, jak zamierzali, a gdzie spodziewali się natrafić na oddziały powstańcze. Teraz z pod Fastowa skierowali się na drogę do Radomyskiego powiatu.

O zapadającej już prawie nocy wjechali w las. Nie mając mapy jechali po omacku. Tu znowu na drodze spotkali przeszkodę, bardzo szeroki i głęboki rów, którego objechać nie mogli. Zeszli więc z wozów i z wielkim trudem nie mając łopat własnemi rękami z wielką stratą czasu musieli rów zasypać. Wozy zagrzęzły w tak świeżo zasypanej ziemi i połamały się. Został tylko jeden mały wózek już w drodze dokupiony. Wózek z trudnością przeciągnęli na drugą stronę, złożyli na nim broń, a sami puścili się dalej piechotą.

Zmęczeni całonocną i całodzienną już drogą, wcale nie zachęcającemi wrażeniami podróży, padali już ze znużenia. Noc ciemna, niepewność drogi i kierunku, nie mogła wzmacniać nadwątlonej energii tak ciała jak i ducha.

Fatalność sprawiła, bo okolicy zupełnie nie znali, że droga, którą się udali prowadziła do wsi Sołowijówki[83]), słynącej z jak najgorszego usposobienia u jej mieszkańców, przejętej trady-

[83]) Zieliński. str. 350. 9. 5. Sołowijówka. Ukraina pow. Radomyski. P. R.

cyami hajdamaczczyzny i skłonnych do rozboju i kradzieży i dlatego omijanej i unikanej nawet przez okoliczną ludność.

Noc już była, gdy ta gromadka bohaterskiej młodzieży zbliżyła się do wsi. Wiadomość o ukazaniu się jej we wsi poruszyła ludność. Uderzono w dzwony cerkiewne na alarm. Czarniawa otoczyła wnet wózek. Do młodzieży doszła wieść, że Moskale są we wsi. Zeszli więc z wózka i uszykowali się pod płotem, oczekując Moskali i by w starciu się z nimi w oczach zebranego ludu śmiercią swoją stwierdzić czyste swoje względem tego ludu zamiary. Młodzież tak była zmęczona, że wielu z nich stojąc zasypiało. Inni usiłowali wytłómaczyć ludowi, że to za jego wolność wystąpilli do boju z Moskalami i że w tym boju, oni powinni im pomagać.

Wysunęło się więc z tłumu kilku starszych włościan z zapewnieniem, że nie chcą im nic złego zrobić, lecz wypuścić ich ze wsi nie mogą, bo by Moskale za to całą wieś wymordowali. Młodzież zgodziła się na pozostanie we wsi i w oznaczonej im chacie mieli czekać przybycia Moskali dla stoczenia z nimi walki.

Któryś z młodzieży zwrócił uwagę, że mogą z bronią w ręku przebić się przez tłumy chłopskie. Myśl tę odrzucono jednogłośnie jako przeciwną postanowieniu, żeby ani jednej kropli krwi chłopskiej nie przelać.

Idąc do chaty złożyli broń na wozie, zachowując przy sobie tylko rewolwery.

Tłum ludu otoczył chatę, cisnął się w około wózka, sięgał po broń tam złożoną — gdy nagle rozległ się strzał. Powstał zamęt, ktoś z tłumu krzyknął: „Bij! zabij! na śmierć!“ W tej chwili tłum cały z kołami, widłami, siekierami, rzucił się na bezbronną garść młodzieży, wyciągał z chaty, gniótł, deptał, mordował i pastwił się w okropny sposób. W mordowaniu tem i pastwieniu się najzaciekleiejsze były kobiety starsze.

Kilka zaledwie minut trwała ta orgia, a już wszyscy leżeli pomordowani lub pokaleczeni okrutnie.

Była to noc z 9. na 10. maja, a więc zaledwie 24 godzin upłynęło od chwili wyjścia z Kijowa.

W pół godziny potem przybył do Sołowjówki oddział kozaków pod dowództwem pułkownika Isajewa. Znalazł on wszystkich, tak żywych, jak i umarłych, obdartych do naga. Rannych kazał złożyć na wozy i odwieść do szpitala w Brusiłowie, a potem do Żytomierza i Kijowa.

W dwa dopiero potem przybył do Sołowjówki komisarz włoś-

ciański Mogilnicki. Na jego rozkaz złożono wszystkich we wspólnym grobie bez trumien, bo lud nie pozwolił właścicielowi wsi Michałowskiemu przygotować ich. Nad grobem usypano mogiłę.

Taki był los i koniec tej bohaterskiej garści polskiej młodzieży, która chciała nieść wolność tej Rusi, dla której żywiła miłość braterską, tak silną, jak i dla własnej Ojczyzny Polski.

Cześć tym Apostołom i Bohaterom wolności! Czy ich krew męczeńska wyda kiedyś plon? Oby Bóg dał!

Ku wiecznej pamięci podaję tu nazwiska tej garści młodzieży.

Na miejscu zginęli: Biesiadowski Józef, Bobowski, Izbiński, Kostko, Krypski, Peretjatkowicz Adolf, Przedpełski Gotfryd, Przedrzymirski Walery i 15-letni brat jego, Wasilewski Aleksy, Wołoszczewicz Łucjan.

Ranni: Dorożyński Józef, ten umarł zaraz w szpitalu, Jurjewicz Antoni, Kościuszko, Kurzeński Wacław, Pyszyński Bolesław, Strelczenko, Szaramowicz Władysław, Wasilewski brat zabitego, Wyhowski Stefan, Zieliński.

Wszystkich po wyleczeniu wywieziono na Sybir z wyjątkiem Antoniego Jurjewicza, któremu za pomocą podkopu udało się uciec z kijowskiej fortecy. Przybył potem na emigracyę do Paryża. Tam z ran otrzymanych w Sołowjówce umarł w r. 1868. Pochowany początkowo na cmentarzu „La Chapelle“ pod Paryżem, potem dnia 15. maja 1875 roku przeniesiono jego zwłoki na cmentarz paryski „Pére la Chaise“ i złożono w grobie zapłaconym na wieczność.

Staraniem kolegów położono tablicę pamiątkową, poświęconą pamięci wszystkich w kościele św. Maryi Magdaleny we Lwowie.

Na tablicy wykuto wszystkie nazwiska i napis: „Pamięci tych, którzy niosąc swobodę ludowi Ukraińskiemu, padli swych idealnych marzeń ofiarą“.

Taki był przebieg powstania na Rusi. Trwało ono zaledwie trzy tygodnie. Rozpoczęte Apostolstwem i męczeńską ofiarą w Sołowjówce — zakończono świetnem zwycięstwem pod Salichą.

Koniec Części 2. i okresu 2. powstania. Koniec 2 tomu Pamiętnika.

Przypisy i uzupełnienia od Redakcji.

Str. 7. w. 5. od góry:
»O Zygmuncie Padlewskim już pisałem....
Uw.: Autor ma tu na myśli rękopiśmienną część pamiętnika, obejmującą czasy przedpowstańcze, a nieobjętą drukiem w obecnem wydawnictwie. Dla uzupełnienia charakterystyki Z. Padlewskiego, należy porównać Pamiętnik Majkowskiego (w wyd. St. Krzemińskiego — Lwów 1909. — str. 26).

Str. 7. w. 25. od góry:
»O ks. Karolu Mikoszewskim pisałem już....
Uw.: J. w. Powołanie się na część pozostającą w rękopisie. Ujemny sąd o ks. K. Mikoszewskim, snujący się przez cały pamiętnik J. K. Janowskiego, znajduje potwierdzenie w Pamiętniku Majkowskiego (j. w. str. 29).

Str. 8. w. 13. od dołu:
Zamiast: »automatycznie« — czytaj »autonomicznie«.

Str. 9. w. 4. od dołu:
Zamiast: »Ksiądz Centt« — czytaj »Ksiądz Cent«.

Str. 13. w. 19. od dołu:
»O Szydłowskim z Wilczysk w Podlaskiem pisałem był już w II tomie«.
Uw.: J. w. Powołanie się na część pamiętnika pozostającą w rękopisie.

Str. 14. w. 3. od dołu:
».....Pisałem już o tem w końcu II. tomu...«
Uw.: J. w. Powołanie się na część pamiętnika pozostającą w rękopisie, gdzie autor określa stosunek Komitetu Centralnego do duchowieństwa.

Str. 18. w. 11. od góry:
».....myśl tak zwanej dyslokacji...«
Uw.: Autorstwo pomysłu dyslokacji przypisuje również Gillerowi i Jan Majkowski w swym Pamiętniku (l. c. str. 26).

Str. 19. w. 4. od dołu:
.....(Obszerniej o tej sprawie pisałem w II. tomie).
Uw.: J. w. Powołanie się na rękopiśmienną część pamiętnika. Por. też. W. Przyborowski. Dzieje 1863 r. T. I. str. 7—11.

Str. 21. w. 2, od dołu:
»....Aresztowania Szwarcego (podałem je w II. tomie)«.
Uw.: J. w. powołanie się na rękopiśmienną część pamiętnika.

Str. 24. w. 14. od dołu:
Zamiast »....dnia, 29. stycznia« — czytaj: »....dnia, 29. grudnia....«

Str. 28. w. 10. od dołu:
*) Stefan Bobrowski, młody....
Uw.: Podobną, a raczej mniej więcej zgodną charakterystykę Stefana Bobrowskiego daje w swym Pamiętniku Jan Majkowski (l. c. str. 27/8).

Str. 31. w. 1. od dołu:
Po słowach: ...jak to wyżej opisałem; — dodaj: »(W niniejszym tomie na str. 38. — P. R.)«

Str. 32. w, 1. od góry:
»Wiemy już z poprzedniego opowiadania (tom II)...
Uw.: J. w. powołanie się na część rękopiśmienną pamiętnika.

Str. 32. w. 8. od dołu:
Po słowach: »....oznaczyliśmy dzień 23 go marca, jako termin powstania...« — dodaj: »(W niniejszym tomie na str. 28. — P. R.)«.

Str. 32. w. 3. od dołu:
Po słowach: »....ks. Mikoszewski, jak to podaje Majkowski,« — dodaj: (Pamiętnik l. c. str. 28/29. — P. R.).

Str. 33. w. 9. od góry:
.....myślą nadzwyczaj śmiałą....
Uw.: O projekcie porwania W. Ks. Konstantego, przypisując wyraźnie Bobrowskiemu tegoż autorstwo, pisze również Jan Majkowski (Pamiętnik l. c. str. 28.). Nie określając go bliżej pod względem chronologii, ale wyjaśniając go w szczegółach pisze też o nim, przypisując również autorstwo Bobrowskiemu. Daniłowski (notatki do pamiętników str. 197—198).

Str. 41. w. 14. od dołu:
.....na posiedzenie, jak zawsze u ks. Mikoszewskiego...«
Uw.: Autor nie jest tu zupełnie konsekwentny. Na str. 33. w. 7. od dołu pisze: »Miejsca zebrań nie pamiętam, zresztą jest to obojętnem.« Str. 42. w. 15. z góry: »Z placu Trzech Krzyży, gdzie mieszkał ks. Mikoszewski.

Str. 44. w. 16. od dołu:
Po słowach: »*) Majkowski w swoim pamiętniku,« — dodaj: »(str. 29—30. — P. R.).«

Str. 46. w. 6. od dołu:
Po słowach: .....gwałtownie protestowali... »dodaj: (T. I. str. 33 — P. R.).

Str. 46. w. 9. od dołu:
Po słowach: »....autor »Dziejów 1863 r.« — dodaj: (T. I. str. 33. — P. R.).

Str. 48. w. 12. z dołu:

Po słowach: ».....jego siostry Marji Ilnickiej« — dodaj: Stanisław Krzemiński w przedmowie do wydanych przez siebie pamiętników Jana Majkowskiego. (str. 13. Przedmowy) pisze: »na wielkiej naradzie 18. stycznia (!), która postanowiła powstanie, podjął się autor pamiętnika (t. j. Jan Majkowski) napisać manifest powstańczy. Ten, który rzeczywiście wyszedł, jego jest dziełem, nieznaczne tylko poprawki stylistyczne doradziła mu siostra, a koledzy w komitecie lekkie tylko w pojedynczych wyrażeniach wprowadzili zmiany.«

Str. 61. w. 8. od dołu:

Po słowach: »...w tej dyskusji« — dodaj: »(str. 196. — P. R.).«

Str. 61. w. 4. od dołu:

Po słowach: »...dopiero 21. stycznia« — dodaj: »(zob. wyżej w niniejszym tomie na str. 31. — P. R.).«

Str. 64. w. 22, od dołu:

...Komisję wykonawczą...«

Uw.: O ustanowieniu Komisji wykonawczej i jej funkcjonowaniu, porównaj Wł. Daniłowskiego. Notatki do pamiętników (str. 198. i nn.). oraz ocenę tych ustępów podaną przez J. K. Janowskiego, niżej na str. 66/67. *) i 69*).

Str. 66. w. 18. z góry:

Zamiast: »dyktaturze« — czytaj: »dyktatorze.«

Str. 68. w. 1. z góry:

...został z komitetu centralnego wyrzuconym...«

Uw.: Rolę swoją w komitecie Centralnym, oraz usunięcie z tegoż wyświetla Wł. Daniłowski w swych »Notatkach do pamiętników« (str. 111—112, 127 – 129, 146—153, 162—178). Wydawca (Czubek) pomieścił na końcu wydania tych pamiętników (str. 497) wielce sceptyczną ocenę tych czasów i działań, Biernawskiego. Fakty podane przez Daniłowskiego, same przez się rozpatrywane, robią wrażenie jakiejś gmatwaniny, jakby dla zasłonięcia istotnego stanu rzeczy. Pod tym względem ujemna opinja Gillera o Daniłowskim zdaje się mieć poparcie w samych pamiętnikach Daniłowskiego. Podkreślić należy, że Janowski widocznie dość słabo o tych wypadkach musiał być poinformowany, skoro w tym kierunku swej zwykłej ku Daniłowskiemu niechęci nie akcentuje.

Str. 68. w. 6. z góry:

...»Kartki poborowej...«

Uw.: Zob. wyżej w tomie niniejszym na str. 16—17.

Str. 70. w. 6. z góry:

...Daniłowski wyjechał...

Uw.: Pow. Daniłowski: Notatki do pamiętników, str. 208 i nn.

Str. 70. w. 1. od dołu:

Po słowach: »...Cz. II. str. 93.« — dodaj: »Por. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str: 24/25.

Str. 73. w. 14. od dołu:
»we czwartek, 22. stycznia..
Uw.: Według Majkowskiego (Pamiętnik l. c. str. 31). Wyjazd członków rządu narodowego nastąpił dnia 21. stycznia 1863 r. wieczorem.

Str. 75. w. 14. z góry:
»...bo ks. Mikoszewski...«
Uw.: J. Majkowski w swym pamiętniku (str. 31) powiada, że ks. »Mikoszewski, siedzący w innym wagonie, zniknął zaraz w początku podróży.« W porównaniu z relacją Janowskiego okazuje się to nieścisłem.

Str. 76. w. 10. z góry:
»Polegał on na napadzie nocnym...
Uw.: Opisywany tu projektowany napad na Kutno, a nie doszły do skutku, nie jest znany St. Zielińskiemu (Bitwy i Potyczki...). J. Majkowski w swym pamiętniku również nic o nim nie wspomina w opisie pobytu swego w Kutnie.

Str. 76. w. 12. z dołu:
»w niedzielę 25. stycznia...
Uw.: W. Daniłowski (Notatki do pamiętników str. 208) jako datę wyjazdu podaje »coś 30. stycznia 1863 r.« Datę podaną przez J. K. Janowskiego t. j. 25. stycznia 1863 r. zdaje się potwierdzać data wezwania L. Mierosławskiego na dyktatora przez Rząd Tymczasowy, znana z druku i nosząca datę 25. stycznia 1863 r.

Str. 77. w. 25. od dołu:
...o delegacji warszawskiej z r. 1861 (Tom II. pam.)...
Uw.: Autor powołuje się na rękopiśmienną część, nieobjętą niniejszem wydaniem.

Str. 87. w. 7. od dołu:
»Bończa po pewnym czasie...
Uw.: St. Zieliński (Bitwy i potyczki...) wymienia następujące starcia Bończy z moskalami po powrocie na pole walki: 22/4. Gielniów, S. ob. opoczyński. 27/4. 1863. Przysucha, S. ob. opoczyński (str. 132) 6/4 1863. Wodzisław, Kr. ob. kielecki (170). Współudział w akcji Oksińskiego 25/5. 1863. (str. 203). 18/6. 1863. Góry. Kr. ob. miechowski (str. 170/171). Sformowanie zatem nowego oddziału, o którem mówi, J. K. Janowski nastąpiło w połowie kwietnia.

Str. 87. w. 3. od dołu:
Po słowach: »II. str. 292—296.« — dodaj: »Por. St. Zieliński (Bitwy i Potyczki... str. 223.), który zowie Bończę »Tomaszewskim«.

Str. 88. w. 4. z dołu:
Po słowach: »I. str. 116—117.« — dodaj: Według St. Zielińskiego (Bitwy i Potyczki... str. 124 i nn.). w starciach pod Suchedniowem (22/I. 1863) i Bodzentynem (23/I. 1863) dowodzili Dawidowicze, natomiast Langiewicz i Jasiński atakowali 23/I. 1863 Szydłowiec, poczem Langiewicz ruszył dla organizacji do Wąchocha.

Str. 89. w. 21. od dołu:
»w niedzielę...
Uw.: Według relacji J. K. Janowskiego pobyt członków Rządu narodowego w Łodzi przypadł na 28 ($^1/_2$ dnia) 29, 30 i 31. stycznia; objął więc $3^1/_2$ dnia. Relacja J. Majkowskiego (Pamiętnik str. 32) mówi o trzydniowym pobycie w Łodzi, co się mało różni od relacji Janowskiego.

Str. 89. w. 11. z dołu:
...i to w Piotrkowie.
Uw.: J. Majkowski (Pamiętnik l. c. str. 32) mówi o rozdzieleniu się członków Rządu nar. nie w Piotrkowie, lecz w Tomaszowie.

Str. 91. w. 6. od dołu:
...przez litery XX.
Uw.: Sądząc z sytuacji oddziałów powstańczych w owym czasie oraz z faktu, iż dowódcą kawalerji był J. I. Bayer. (Por. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 22.) ów anonimowy dowódca, co do którego J. K. Janowski nie jest pewnym, czy to jest Jeziorański, pokrywa się osobą Śmiechowskiego który się wkrótce po 25/I. 1863. r. połączył z Jeziorańskim.

Str. 92. w. 24. od dołu:
...aresztowany tam w grudniu 1862. r. (pam. tom II.).
Uw.: Zob. uwagę do str. 19. w. 4.

Str. 92. w. 24. od dołu:
»Było to pierwsze starcie...
Uw.: Zestawienie u St. Zielińskiego (Bitwy i potyczki... str. 21/22.) dowodzi, że jednak to nie było pierwsze starcie, jak mniema J. K. Janowski.

Str. 93. w. 7. z góry:
»...zajęli miasto powiatowe Opoczno.«
Uw.: Według danych zebranych przez St. Zielińskiego (Bitwy i potyczki... str. 127. i 509.) zajęcie Opoczna nastąpiło dnia 4. względnie 3. lutego 1863. r. Naogół data ta nie jest pewną. J. Majkowski (Pamiętnik str. 32.), który właśnie był przy oddziale Łaknińskiego i przezeń był zatrzymany, nie podaje daty, któraby dzień zajęcia Opoczna pomogły ustalić. Niemniej przeto wydaje się wątpliwem, aby J. K. Janowski mógł wiedzieć 2. lutego o wypadku, który nastąpił dzień albo dwa później.

Str. 93. w. 10. z góry:
...Langiewicza w Wąchochu.
Uw.: Według St. Zielińskiego (Bitwy i potyczki... str. 126/7.) dniem bitwy Wąchochiej był 3. lutego 1863. r. Czy wobec tego mógł Janowski wiedzieć o niej już 2. lutego? O klęsce Langiewicza, o swoich losach razem z Aweydem u Łaknińskiego, aczkolwiek bez dat, daje J. Majkowski dosyć szczegółową relację. (Pamiętnik str. 32—34).

Str. 94. w. 7. z góry:
...była tu potyczka...
Uw.: St. Zieliński (Bitwy i potyczki... str. 126/127). nie zna potyczki pod Białobrzegami w dniu 2. lutego, ani też w dniach najbliższych tej dacie.

Str. 96. w. 9. od dołu:
...Zdanowicza...
Uw.: W relacji J. K. Janowskiego odnośnie do losów oddziałów Zdanowicza i Leona Frankowskiego wynikałaby pewna nieścisłość chronologiczna, jeżeli zestawimy daty przezeń podane, z datami ustalonemi przez Zielińskiego (Bitwy i potyczki...) Notuje on bowiem: 23. I. 1863. r. Kazimierz (str. 82.) 24/I. 1863. r. Kurów (str. 82.), 6/2. 1863. Kazimierz (str. 83.) 8/2. 1863. r. Zanożchost (str. 127.) 8/2. 1863. r. Słupcza (str. 127).

Str. 96. w, 1. od dołu:
Po słowach: ...str. 309). — dodaj: Por. St. Zieliński. Bitwy i potyczki.. str. 125/6.

Str. 99. w. 14. od dołu:
...Bodzentyn i Suchedniów...
Uw.: St. Zieliński (Bitwy i potyczki...) nie notuje pod dniem 4. lutego 1863. r. żadnych potyczek z Moskalami ani w Bodzentynie, ani w Suchedniowie.

Str. 99. w. 1. od dołu:
Po słowach: »...t. j. 3. lutego.« dodaj: Zob. uwagę do str. 93. w. 10 z góry.

Str. 103. w 22. z góry:
Zamiast: Jan Prędkowski — czytaj: Jan Prędowski.

Str. 105. w. 9. od góry:
..drogą krótszą, bo na Opoczno.
Uw.: Jan Majkowski z Oskarem Aweyde przybyli do Opoczna 4. lutego, o ile można wywnioskować z chronologji wypadków. Majkowski, opisując ten fakt w swym pamiętniku (str. 32.) daty przybycia do obozu Łaknińskiego nie podaje.

Str. 105. w. 19. od góry:
W Szydłowcu coś niecoś...
Uw.: Bitwa pod Szydłowcem 23. stycznia 1863. r. Zob. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 125.

Str. 106. w. 2. od góry:
...jak ci już wspominałem, wzięcie Płocka...
Uw.: Zob. w niniejszym tomie na str. 86—87.

Str. 111. w. 19. z góry:
...znanego nam już z poprzedniego opowiadania Karola Nowakowskiego...
Uw.: Autor powołując się na rękopiśmienną część pamiętnika nieobjętą wydawnictwem.

Str. 112. w. 1. od dołu:
Po słowach: ...cz. I. str. 49—51. — dodaj: Według St. Zielińskiego (Bitwy i potyczki .. str. 127.) bitwa pod Słupczą odbyła się 8. II. 1863. r. t. j. nazajutrz po owej rozmowie Langiewicza z delegatami Frankowskiego, opisanej przez J. K. Janowskiego.

Str. 113. w. 19. z góry:
Zamiast: ...Matowski... — czytaj: ...Ulatowski...

Str. 113. w. 20. z góry:
Zamiast: ...Matowskiego... — czytaj: ...Ulatowskiego...

Str. 118. w. 17. od dołu:
Zamiast: ..pułkownika Tuszowskiego... — czytaj: ...podporucznika Tuszowskiego...

Str. 118. w. 14. od dołu:
Zamiast: ..drem Usłowskim... — czytaj: ...drem Kozłowskim...

Str. 118. w. 9. od dołu:
Uw.: Atak moskiewski na klasztor Ś-to-krzyski odbył się według St. Zielińskiego (Bitwy i potyczki... str. 128.) dnia 12. lutego 1863. r. Tenże autor w przypisach (str. 509.) podaje, że urzędowy raport polski podaje datę 11. lutego, a inne źródła 10. lutego. Oryginalna relacja Janowskiego podaje datę najwcześniejszą.

Str. 119. w. 11. od góry:
Zamiast: ...dr. Usłowski... — czytaj: dr. Kozłowski...

Str. 125. w. 9. od góry:
Zamiast: ...dr. Usłowski... — czytaj: ...dr. Kozłowski..

Str. 125. w. 20. od góry:
Zamiast: ...dr. Usłowski... — czytaj: ...dr. Kozłowski...

Str. 127. w. 2. od dołu:
Zamiast: ...do Staszkowa... — czytaj: ...do Staszowa...

Str. 130. w. 6. z góry:
...z rozbitego pod Słupczą oddziału Frankowskiego...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 112—113.

Str. 131. w. 20. z góry:
...Nazajutrz w piątek, 13. lutego...
Uw.: St. Zieliński. (Bitwy i potyczki... str. 129.) ustala datę przybycia Langiewicza do Staszowa na dzień 14. lutego 1863. r. wieczorem, a więc 24. godzin później, niż to podaje J. K. Janowski.

Str. 136. w. 10. z góry:
...o powrocie do Warszawy Awejdego i Majkowskiego...
Uw.: J. Majkowski (Pamiętnik str. 34.) podaje datę powrotu na dzień 5. lub 6. lutego. Ze względu na chronologję opisanych przezeń wypadków należałoby przyjąć raczej datę późniejszą t. j. 6. lutego.

Str. 138. w. 13. z góry:
Zamiast: ...dra Usłowskiego... — czytaj: ...dra Kozłowskiego...

Str. 138. w. 1. od dołu: (w notce 29-tej).
Po słowach: ...Janowice... — dodaj: Co do Koperskiego i jego pokrewieństwa z J. K. Janowskim zob. wyżej w tomie niniejszym na str. 96—98.

Str. 139. w. 7. z góry:
...w Baranowie, o czem poprzednio (tom II.) pisałem...
Uw.: Autor powołuje się na część rękopiśmienną pamiętnika, nieobjętą niniejszem wydawnictwem.

Str. 141. w. 2. z góry:
...mieszkających w pałacu ordynata Zamojskiego...
Uw.: Ściśle rzecz biorąc obaj t. j. Majkowski i Aweyde mieszkali u St. Krzemińskiego i to nie w pałacu, lecz budynku przyległym. (Por. Wstęp do pamiętników Jana Majkowskiego (l. c. str. 9.): »Na jesieni 1861 r. sprowadził się autor pamiętnika do mnie, do domu Zamojskich przy ul. Żabiej do tego samego mieszkania, które obecnie zajmuje Tadeusz Korzon. Po nowym wyjeździe moim zagranicę w samym końcu grudnia 1861. r. przybył Maykowskiemu współlokator, Oskar Awejde, przez nas na uniwersytecie przezwany »Basikiem.« Do budynku, względnie mieszkania wzmiankowanego wchodzi się dziś przez podwórze przez bramę przy ulicy Żabiej, oznaczoną liczbą 4.

Str. 142. w. 24. z góry:
...wyjechać natychmiast koleją żelazną do Kutna...
Uw.: Podróży do Kutna, którą J. K. Janowski opisuje na str. 142—144. niniejszego I-go tomu, nie opisuje wcale Majkowski, ani nawet najmniejszej wzmianki nie czyni w swym pamiętniku.

Str. 143. w. 5. z góry:
...jak to już wyżej opisywałem...
Uw.: Autor powołuje się na rękopiśmienną część pamiętnika, nieobjętą niniejszem wydawnictwem.

Str. 143. w. 5. od dołu (przypis. 3):
Po słowach: ...1863 r. I. str. 380. — dodaj: Por. Zieliński St. Bitwy i potyczki... str. 24. (Krzywosąd 19/2. 1863 r.).

Str. 144. w. 9. z góry:
Zamiast: Trojanki... czytaj: Trojaczka.

Str. 145. w. 1. z góry:
...od Langiewicza do Warszawy...
Uw.: Zob. W. Przyborowski. Dzieje 1863 r. T. I. str. 145.

Str. 145. w. 1. od dołu:
Po słowach: ...od Kutna. — dodaj: Por. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 26. U Zielińskiego »Piotrowska« zwie się »Piotrowiczową«.

Str. 148. w. 14. od dołu:
Przypominam sobie...
Uw.: Zob. wyżej w tomie niniejszym na str. 64.

Str. 149. w. 7. z góry:
...aresztowanie, o którem już mówiłem...
Uw.: Zob. wyżej w tomie niniejszym na str. 141.

Str. 152. w. 17. od dołu:
Zamiast: ...26. lutego... — czytaj: ...6. lutego...

Str. 155. w. 10. z góry:
...podatek...
Uw.: Zob. wyżej w tomie niniejszym na str. 12.

Str. 157. w. 7. od dołu:
...próby przekupstwa... względem Bończy...
Uw.: Pisał o nich już autor. Zob. w tomie niniejszym na str. 86—87.

Str. 157. w. 6. z dołu:
...względem Langiewicza...
Uw.: Co do wspomnianego wypadku, zob. w niniejszym tomie opis tegoż na str. 115—117.

Str. 160. w. 1. z dołu (przypis. 12):
Po słowach: ...21. stycznia. — dodaj: Jako datę spotkania Ciołkowskiego podaje dzień 22. stycznia St. Zieliński. (Bitwy i potyczki... str. 222/3).

Str. 161. w. 2. od dołu (przypis 14.):
Po słowach: ...str. 68—69. — dodaj: Por. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 223.

Str. 161. w. 1. od dołu (przypis. 15.):
Po słowach: ...str. 72—74. — dodaj: Por. St. Zieliński. Bitwy i Potyczki... str. 223. (24/I. Płońsk.) i 224 (28/I Unieck).

Str. 162. w. 1. od dołu (przypis. 17.):
Po słowach: ...str. 77—80. — dodaj: Ogólny obraz wybuchu powstania w województwie augustowskiem różni się dość znacznie od obrazu, jaki możemy sobie wytworzyć na podstawie zestawień St. Zielińskiego (Bitwy i potyczki.. str. 253.). Do dziejów organizacji i powstania w województwie augustowskiem odnosi się nader ważny pamiętnik Rafała Błońskiego. (A. Giller. Polska w walce I. II. Kraków 1875. str. 319).

Str. 163. w. 2. z dołu (przypis. 18.):
Po słowach: ...str. 85—87. — dodaj: Zob. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 55. (23/I. 1863. r. Stok Lacki).

Str. 163. w. 1. od dołu (przypis. 19.):
Po słowach: ...str. 88—89 — dodaj: Zob. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 55/56. (23/I. 1863. r. Łuków).

Str. 164. w. 4. od dołu (przypis. 20.):
Po słowach: ...str. 100. nota. — dodaj: Zob. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 55. (23/I. 1863. r. Radzyń).

Str. 164. w. 3. od dołu (przypis. 21.):
Po słowach: ...str. 92—95. — dodaj: Zob St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 56. (23/I. 1863. r. Biała).

Str. 164. w. 2. od dołu (przypis. 22.):
Po słowach: ...str. 101—102. — dodaj: Por. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 56. (23/I. 1863. r. Kodeń).

Str. 165. w. 2. od dołu (przypis. 24.):
Po słowach: ...str. 101. — dodaj: Zob. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 57. (23/I. 1863. r. Łomazy).

Str. 166. w. 3. od dołu (przypis. 26.):
Po słowach: str. 181—183. — dodaj: Por. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 58.

Str. 167. w. 1 z góry:
...stoczyły dnia 9 lutego...
Uw.: Datę bitwy Siemiatyckiej ustala na dzień 7. lutego. St. Zieliński Bitwy i potyczki... str. 320.

Str. 172. w. 9. z góry:
...Jakkolwiek dalsze losy Rogińskiego...
Uw.: Rogiński według zestawień St. Zielińskiego (Bitwy i potyczki...) po omówionej bitwie Siemiatyckiej stoczył jeszcze następujące potyczki: 11/2. 1863. r. Królowy Most (str. 321.). 13/2. 1863. r. Prużany (str. 321.) 26/2. 1863. r. Mińskie Borki. (str. 314.).

Str. 172. w. 2. od dołu (przypis. 35.):
Po słowach: 35). — dodaj: O przejściu Zameczka pod rozkazy Padlewskiego mówił autor na str. 162. niniejszego tomu.

Str. 173. w. 3. od dołu:
...pod Kazimierzem już opowiedziałem...
Uw.: Losy Frankowskiego opowiedział autor w tomie niniejszym na str. 97—98., 112—113. Urzędowy materjał rosyjski, odnoszący się do ruchów powstańczych w Lubelszczyźnie, a pochodzący z aktów byłego gen. gub. lubelskiego znajduje się w posiadaniu Dr. J. Serugi. Króciutki szkic tegoż autora p. t. Krwawy dzień w Tomaszowie ordynackim (Książnica Zamojska) jest oparty na wyimkach z tego urzędowego materjału pochodzących.

Str. 173. w. 3. od dołu:
...Atak na Lubartów...
Uw.: Atak na Lubartów odbył się 23. stycznia 1863 r. Zob. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 81.

Str. 174. w. 17. od dołu:
...D. 12. lutego...
Uw.: Napad oddziału Sakownina, opisany przez J. K. Janowskiego, był współcześnie opisany (1863. r.) w Czasie (nr. 44.) i Dzienniku Poznańskim (nr. 41).

Str. 175. w. 5. od dołu:
Po słowach: ...w tomie wstępnym. — dodaj: (autor powołuje się na rękopiśmienną część pamiętnika, nieobjętą niniejszem wydawnictwem, gdzie opisuje swoje dzieciństwo i młodość. — P. R.)

Str. 176. w. 10. z góry:
...opisałem już wyżej...
Uw.: Ruch powstańczy w województwie Sandomierskiem opisał autor w tomie niniejszym na str. 76. i nn.

Str. 176. w. 13. z góry:
...zostawiłem był Langiewicza w Staszowie...
Uw.: Pisał autor o tem w tomie niniejszym na str. 137.

Str. 176. w. 15. z góry:
...Dnia 17. lutego...
Uw.: Opis bitwy Staszowskiej zob. u St. Zielińskiego. Bitwy i potyczki.. str. 129.

Str. 177. w. 7. od dołu:
...W województwie Krakowskiem...
Uw.: Do całokształtu początku ruchów powstańczych w województwie Krakowskiem mamy materjał z pierwszej ręki w pamiętniku kapelana ks. Serafina Szulca (A. Giller. Polska w Walce. — Paryż 1868. str. 63. i nn.).

Str. 178. w. 9. od dołu (przypis. 48.):
Po słowach: ...od Krakowa. — dodaj: Zob. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 159. (Michałowice 2/2. 1863. r.).

Str. 178. w. 7. od dołu (przypis. 49.):
Po słowach: ...do Krakowa. — dodaj: Zob. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 159. (4/2. 1863. r. Szyce).

Str. 178. w. 5. od dołu (przypis. 50.):
Po słowach: . .Granica. — dodaj: Zob. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 159. (4/2. 1863. r. Maćki). W pamiętniku ks. Szulca »Maczki«.

Str. 178. w. 2. od dołu (przypis. 52.):
Po słowach: ...Gzichów. — dodaj: Zob. St. Zieliński. Bitwy i potyczki.. str. 160. (7/2. 1863. r. Sosnowiec).

Str. 179. w. 5 od dołu (przypis. 54.):
Po słowach: ...rzeką wielką. — dodaj: Zob. opis bitwy Miechowskiej u St. Zielińskiego. Bitwy i potyczki .. str. 160—161. (17/2. 1863. r.).

Str. 181. w. 14. od dołu:
...rozstrzelani w Piotrkowie...
Uw.: Udimowski rozstrzelany 5/II. 1863. r., (zob. Kolumna. Pamiątka dla rodzin pol., cz. I., str. 166.), Francewicz zaś 11/II. 1863. r. (l. c. str. 49.). Por. Zieliński St. Bitwy i potyczki... str. 191. (Radomsk 24/I 1863. r.).

Str. 181. w. 11. z dołu:
...mówiłem już wyżej...
Uw.: O losach oddziału Dworzaczka mówił autor w tomie niniejszym na str. 145.

Str. 181. w. 2. od dołu (przypis. 58.):
Po słowach: ...od Kalisza. — dodaj: Zob. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 191. (23/2. 1863. r. Opatówek).

Str. 182. w. 20. z góry:
...jak wiemy, generał Mierosławski...
Uw.: O wypadkach w związku z bitwą krzywosądzką mówił autor wyżej w tomie niniejszym na str. 143 – 144.

Str. 182. w. 14. od dołu (przypis. 60.):
Po słowach: — pow. wieluński. — dodaj: Zob. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 191/2. (Kuźnica Grabowska. 26/2. 1863. r.).
Str. 182. w. 10. od dołu (przypis. 63.):
Po słowach: pow. włocławski. — dodaj: Por. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 23. (8/2. 1863. r. Orzedacz).

Str. 182. w. 8. od dołu (przypis. 65.):
Po słowach: ...gmina Izbica. — dodaj: Zob. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 24. (10/2. Ciepliny).

Str. 182. w. 3. od dołu (przypis. 68.):
Po słowach: ...gm. Osięciny. — dodaj: Zob. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 25. (Nowa Wieś 21/2. 1863. r.).

Str. 183. w. 6. z góry:
...Władysław Strojnowski ..
Uw.: Co do losów Strojnowskiego zob. St. Zielińskiego. Bitwy i potyczki... 26/I. 1863. r. Strzyboga (str. 22.). 7/2. 1863. r. Bolimowskie Budy (str. 23.).

Str. 183. w. 16. z góry:
...losy oddziału i dowódcy nie wiem.
Uw.: Według St. Zielińskiego (Bitwy i potyczki... str. 23.) Strojnowski »nie mogąc jednak utrzymać się w Rawie, wysłał Lenieckiego, aby się połączył z Jeziorańskim, sam zaś ruszył do zaboru austrjackiego«.

Str. 183. w. 17. z góry:
...wspominałem już pobieżnie...
O bitwie i zajęciu Rawy mówił autor w tomie niniejszym na str. 91—92.

Str. 184. w. 15. z góry:
...przepędzenie sotni kozaków.
Uw.: Zob. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 22/23. (4/2. 1863. r. Rawa) oraz to, co autor mówił, na str. 91/92. niniejszego tomu; por. też przypisy redakcji odnoszące się do tegoż ustępu.

Str. 184. w. 8. od dołu (przypis. 76.):
Po słowach: ...pow. rawski. — dodaj: Zob. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 23. (6/2. 1863 r. Lubochnia).

Str. 184. w. 23. z góry:
..jak już wyżej mówiłem...
Uw.: O losach Łaknińskiego mówił autor w tomie niniejszym na str. 93.

Str. 184. w. 13. od dołu:
...nie chciał przyjmować bitwy...

Uw.: Zob. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 128. (10/2. 1863. r. Studziana), str. 129. (15/2. 1863. r. Przedbórz), str. 161. (20/2 1863. r. Janowiec), str. 162 (24/2. 1863. r. Małogoszcze).

Str. 184. w. 6. od dołu (przypis. 78.):

Po słowach: ...Lewiecki. — dodaj: Zob. w tomie niniejszym na str. 183. w. 16. z góry oraz odnośną uwagę redakcji.

Str. 186. w. 6. z góry:
...w Kurowie Sandomierskim...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 127 i 138.

Str. 186. w. 10. od dołu:
...D. 6. marca wydał...
Uw.: Por. co o tem mówi W. Przyborowski (Dzieje 1863. r. T. I. str. 356. i nn.). na podstawie źródeł z pierwszej ręki.

Str. 188. w. 15. z góry:
Zamiast: ...w Brzozy... — czytaj: ...w Brzozie...
Uw.: Treść tej poufnej rozmowy włościan podaje autor w tomie niniejszym na str. 95.

Str. 189. w. 1. od dołu:
..Koncentrację...
Uw.: O koncentracji wojsk rosyjskich zob. W. Przyborowski, Dzieje 1863 r. T. I. str. 141.

Str. 190. w. 5. z góry:
...D. 24. stycznia...
Uw : O zaprowadzeniu stanu oblężenia w Królestwie. Por. W. Przyborowski. Dzieje 1863. r. I. str. 139.

Str. 190. w. 11. z góry:
Car a 25. stycznia...
Uw.: O przeglądzie Izmaiłowskiego pułku gwardji, por. W. Przyborowski. Dzieje 1863. r. I. str. 151—154.

Str. 192. w. 1. z dołu (przypis. 85):
Po słowach: ...III. str. 3. n. 5. — dodaj: Por. W. Przyborowski. Dzieje 1863. r. T. I. str. 155—157. Co do opisywanej tu roli »Czasu« zob. w niniejszym tomie na str. 150—151., 157.

Str. 193. w. 10. z góry:
...przetrzymywać i wspierać...
Uw.: Co do roli księcia Czartoryskiego, zob. W. Przyborowski. Dzieje 1863 r. T. I. str. 256—259.

Str. 193. w. 12. z dołu:
...Rząd austrjacki wiedział...
Uw.: O stosunku rządu austrjackiego do powstania, por. W. Przyborowski. Dzieje 1863. r. T. I. str. 271. i nn.

Str. 194. w. 3. z góry:
...Rząd pruski przeciwnie...
Uw.: O stanowisku rządu pruskiego, por. W. Przyborowski. Dzieje 1863. r. T. I. str. 262—263.

Str. 196. w. 10. z góry:
Uw.: Co do epizodu o wykradzeniu listów przez policję narodową, por. opis W. Przyborowskiego. Dzieje 1863. r. T. I. str. 263—267.

Str. 196. w. 2. od dołu:
...z dn. 4. lutego...
Uw.: Teksty powołanych depesz zob. u Berga (Zapiski... T. II. Kraków 1899. str. 391—394.).

Str. 197. w. 3. od dołu (przypisek 90.):
Uw.: Przypisek 90. ma mieć następujące brzmienie:
90) Z publikacji Strusia W. M. do H. P. T. V. str. 176. nr. 37., gdzie jak słusznie zauważył W. Przyborowski (Dzieje 1863. r. T. I. str. 265. nota 1.) dano błędną datę: 4. kwietnia. (Oryginał francuski u Klaczki. Etudes de diplomatie contemporaine str. 57—58.)

Str. 199. w. 6. z góry:
...zmierzających środków...
Uw.: Por. W. Przyborowski. Dzieje 1863. r. I. str. 301—302.

Str. 199. w. 3. od dołu:
...większością głosów.
Uw.: Por. W. Przyborowski. l. c. str. 302—309., gdzie te sceny z parlamentu niemieckiego opisano na podstawie stenograficznych protokołów parlamentu pruskiego.

Str. 203. w. 2. z góry:
...Dnia 24. lutego...
Uw.: Zob. wyżej w tomie niniejszym na str. 148.

Str. 205. w. 1. z góry:
...znana z poprzedniego opowiadania.
Uw.: Autor powołuje się na rękopiśmienną część pamiętnika, nieobjętą niniejszem wydaniem.

Str. 206. w. 13. z dołu:
..opisałem już wyżej...
Uw.: Zob. wyżej w tomie niniejszym na str. 8—9.

Str. 207. w. 4. z góry:
...w październiku 1862. r.
Uw.: Zob. w tomie niniejszym przypis. 1) na str. 12.

Str. 207. w. 15. z góry:
...z dn. 15. i 20. lutego.
Uw.: Zob. wyżej w tomie niniejszym na str. 191.

Str. 210. w. 15. z dołu:
Zamiast: ...Lanber, Karol Przybylski, dr. Cezary Murarski... — czytaj: Lauber, Karol Przybylski, dr. Cezary Morawski...

Str. 210. w. 3. od dołu:
...już poprzednio mieliśmy..

Uw.: Zob. wyżej w tomie niniejszym na str. 142—143., 182. Stan faktyczny wiadomości o losach Mierosławskiego illustruje list Stefana Bobrowskiego do Z. Padlewskiego z 6/7. marca 1863. r. (Berg Zapiski l. c. III. str. 88/89.

Str. 211. w. 16. z dołu:
zamiast ...Kurzyckich.. — czytaj: ...husyckich...

Str. 213. w. 6. z góry:
...na plac boju...
Uw.: Por. A. Giller H. P. W. P. I str. 220—225. oraz list Stefana Bobrowskiego do Z. Padlewskiego z 6/7. marca 1863. r. (Berg. l. c. str. 90.). Relacja J. K. Janowskiego stoi bardzo blisko tych ogólnikowych zarysów pod względem interpretacji i wypadków.

Str. 215. w. 10. z góry:
...co się też stało...
Uw.: Nie jest obojętną dla historji obalenie dyktatury L. Mierosławskiego. wiadomość, zawarta w Notatkach do pamiętników Daniłowskiego (str. 271/3) o tem, że tenże Daniłowski zetknął się z Mierosławskim i mógł mu doręczyć wydane przez rząd ultimatum dopiero po wydaniu manifestu dyktatorskiego przez Langiewicza (12/3. 1803.), a więc kiedy prekluzyjny termin 8/III. już minął.

Str. 215. w. 16. z góry:
Wiemy, że Komitet wileński...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 15—16.

Str. 216. w. 9. z góry:
...zawarte w styczniu...
Uw.: Zob. wyżej w tomie niniejszym na str. 16.

Str. 216. w. 15. z góry:
Emigracja, jak wiemy...
Uw.: Zob. wyżej w tomie niniejszym na str. 35—36.

Str. 219. w. 18. z dołu:
...wyjechał także z Warszawy...
Uw.: Zachodzi tu prawdopodobnie myłka co do daty wyjazdu X. Mikoszewskiego, który Komitet Centralny opuścił jeszcze przed 6. marca, jak wynika z listu Stefana Bobrowskiego do Z. Padlewskiego z 6/7. 1863. r. (Berg Zapiski l. c. III. str. 90).

Str. 220. w. 17. z góry:
Płockiem, zaznaczyłem...
Uw.: Zob. wyżej w tomie niniejszym na str. 162., 167—172.

Str. 220. w. 3. od dołu (przypis. 3.):
Po słowach: ...Długosiodło. — dodaj: St. Zieliński (Bitwy i potyczki... str. 227.) podaje jako datę potyczki 28. luty 1863. r.

Str. 220. w. 1. od dołu (przypis. 4.):
Po słowach: ...Myszenieckiej. — dodaj: zob. St. Zieliński. B. i p... str. 227/8.

Str. 221. w. 15. z góry:
...bitwie siemiatyckiej...
Uw.: Zob. wyżej w tomie niniejszym na str. 172.

Str. 221. w. 9 od dołu (przypis. 5.):
Po słowach: ...gub. siedleckiej. — dodaj: St. Zieliński (Bitwy i potyczki...) wymienia Borelowskiego poraz pierwszy 25. stycznia 1863 r. (Garwolin, str. 57), następnie 21/2. 1863 r. (Wola okrzejska, str. 60) 4/3. 1863. r. (Jedlanka, str. 61.). O zajęciu przezeń Łukowa nic nie wie, mówi natomiast o tem W. Przyborowski (Dzieje 1863. r. T. II. str. 279), który wystąpienie jego na placu boju naznacza na dzień 8. lutego.

Str. 221. w. 8. z dołu (przypis. 6.):
Po słowach: ...Mysłów. — dodaj: St. Zieliński (B. i p... str. 62.) mówiąc pod datą 15/2 1863. r. o Lewandowskim, nic o spotkaniu z Lelewelem nie mówi.

Str. 221. w. 6. od dołu (przypis. 7.):
Po słowach: ...Sidorki. — dodaj: Zob. St. Zieliński. B. i p... str. 59/60).

Str. 221. w. 5. od dołu (przypis. 8.):
Po słowach: ...bialski. — dodaj: St. Zieliński (B. i p... str. 60.) podaje jako datę spotkania pod Sycyną 21/2. 1863. r.

Str. 221. w. 3. od dołu (przypis. 10.):
Po słowach: ...garwoliński. — dodaj: Por. W. Przyborowski. D. 1863 r. II. str. 280.

Str. 221. w. 1. od dołu (przypis 12.):
Po słowach: ...siedleckiej: — dodaj: Por. W. Przyborowski. D 1863. r. II. str. 281—283. oraz St. Zieliński. B. i p... str. 61. 4/3. Jedlnkaa, Sosnowica, 7/3. Adamki, Luta).

Str. 222. w. 1. z góry:
...przez Frankowskiego...
Uw.: Zob. wyżej w tomie niniejszym na str. 173—175.

Str. 222. w. 9. od dołu:
...dnia 19 marca.
Uw.: O losach Bogdanowicza i Neczaja. Por. zob. Przyborowskiego. Dzieje 1863. r. T. II. str. 290—300.

Str. 222. w. 7. od dołu (przypis. 13.):
Po słowach: ...Bukowa. — dodaj: St. Zieliński (Bitwy i potyczki.... zwie Bogdanowicza za Z. Kolumną Bohdanowiczem i notuje następujące przezeń stoczone potyczki: 23/I. Mała Bukowa (str. 81.), 17/II. Rudka (str. 84.), 20/2. Żeżulin (str. 84.).

Str. 222. w. 2. od dołu (nota 17.):
Po słowach: ...brzmieniu. — dodaj: St. Zieliński (Bitwy i potyczki... str. 84.) ustala brzmienie nazwy: »Żeżulin«.

Str. 223. w. 1. z góry:
...przez Jeziorańskiego...
Uw.: Zob. wyżej w tomie niniejszym na str. 184—185.

Str. 223. w. 1. z góry:
...W poprzedniem opowiadaniu...
Uw.: Zob. wyżej w tomie niniejszym na str. 183.

Str. 223. w. 3. od dołu:
Po słowach: ...Kazimierz. — dodaj: Por. W. Przyborowski. D. 1863. r. T. II. str. 252—257. St. Zieliński. B. i p.. str. 192/3. (1/3. 1863. r. Biniszewo, 2/3 1863. Dobrosołów).

Str. 225. w. 1—2 z góry:
...oddział Oxińskiego...
Uw.: Zob. wyżej w tomie niniejszym na str. 181—182.

Str. 224. w. 9. od dołu:
...do Małogoszczy...
Uw.: Zob. wyżej w tomie niniejszym na str. 177.

Str. 224. w. 7. z dołu (przypis. 22.):
Po słowach: ...Naramnice. — dodaj: Zob. W. Przyborowski D. 1863. r. T. II. str. 243—247.

Str. 224. w. 2. od dołu:
Po słowach: ...od Łaska. — dodaj: Zob. W. Przyborowski. D. 1863. r. T. II. str. 247—250. St. Zieliński. Bitwy i potyczki... str. 193. (3/3. 1863. r. Jawór, 5/3. Brodnica).

Str. 225. w. 1. z góry:
...zajęciu Rawy...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 185.

Str. 225. w. 18. od dołu:
...bowiem Kurowskiego...
Uw.: Zobacz w tomie niniejszym na str. 180—181.

Str. 227. w. 21. z góry:
...nie zastał...
Uw.: Zobacz W. Przyborowski. D. 1863. r. T. I. str. 470—483. St. Zieliński. B. i p... str. 162/3.

Str. 227. w. 1. od dołu (przypis. 30.):
Po słowach: ...Sułoszowa. — dodaj: Zob. W. Przyborowski. T. I. str. 483—488. St. Zieliński. B. i p... str. 163. (4/3. 1863. r. Pieskowa Skała).

Str. 228. w. 19. z góry:
...z poprzedniego opowiadania...
Uw.: Zob. wyżej w tomie niniejszym na str. 186.

Str. 228. w. 1. od dołu:
Po słowach: ...Luborzyca. — dodaj: Por. opis marszu Langiewicza do Goszczy u W. Przyborowskiego. D. 1863. r. T. I. str. 448—498., oraz u St.

Zielińskiego. B. i. p... str. 163/4. (4/3. 1863. r. Pieskowa Skała, 5/3. 1863. r. Skała 17/3. 1863. r. Chroberz).

Str. 239. w. 12. z góry:
...delegatów do Langiewicza...
Uw.: Relacje J. K. Janowskiego, zawarte na str. 231—239. niniejszego tomu, prostujące wiadomości W. Przyborowskiego (D. 1863. r. T. II. str. 56—59), uzupełniają ułamkowe wiadomości zawarte w liście Stefana Bobrowskiego do Z. Padlewskiego z 13/14. marca 1863. r. (Berg l. c. III. str. 92—94.), u Gillera (H. P. N. P. T. I. — Paryż 1867. str. 42—43., 280.) oraz relację niezupełnie wtajemniczonego Burzyńskiego (W. M. do H. P. T. IV. str. 188—9.). J. Majkowski w swym pamiętniku (l. c. str. 35.) w lakonicznem zdaniu o tem popełnia dwa błędy: »W kilka dni po powrocie Janowskiego do Warszawy (w rzeczywistości było to przeszło 2 tygodnie) nastąpiła znana dyktatura Langiewicza. Zaskoczeni tak niespodziewanym faktem byliśmy zmuszeni wydać manifest do kraju i jednocześnie wyprawiliśmy Bobrowskiego z Gillerem (w rzeczywistości był Janowski z Gillerem) dla porozumienia się z dyktatorem«.

Str. 241. w. 15. od dołu:
...wydał nawet odezwę..
Uw.: Autor ma tu zapewne na myśli odezwę goszczańską Langiewicza opatrzoną przypiskiem K. C., o której mówi W. Przyborowski, Dzieje 1863. r. T. II. str. 58—59.

Str. 243. w. 1. z góry:
Zamiast: ...dyktatorem — czytaj: dyrektorem...

Str. 249. w. 10. z góry:
...w okolicy Buska.
Uw.: Szczegóły zawarte w opisie podróży J. K. Janowskiego (tomu niniejszego str. 239—249.) są zupełnie nieznane W. Przyborowskiemu. (Dzieje 1843. r. T. II. str. 171.) i wiadomości przezeń podane uzupełniają i prostują.

Str. 251 w. 18 z góry:
»...przybycia Langiewicza do Goszczy...«
Uw. Zob. wyżej w tomie niniejszym na str. 228/9.

Str. 252. w. 10. z góry:
»w końcu lutego...«
Uw.: Zob. Notatki osobiste Wł. Bentkowskiego (W. M. do H. P. t. II. Cz. 2. str. 6—7).

Str. 261. w. 4. z góry:
»...dnia następnego, 11. marca...«
Uw. Zob. W. M. do H. Q. T. II./1. str. 23 - 27.

Str. 261. w. 17. od dołu:
». .różnych pobudek...«
Uw.: W. Przyborowski (D. 1863 r. T. II. str. 10.) widzi główny motor genezy dyktatury jedynie w Poznańskiem.

Str. 262. w. 4. z góry:
»...o których już mówiłem«...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 193, 200.

Str. 263. w. 8. od dołu:
»...z raportu Biechońskiego...«
Uw. Por. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. II. str. 61.

Str. 264. w. 10. z góry:
»...w dniu 12. marca«...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 231.

Str. 266. w. 21. z góry:
»...Armia Langiewicza...«
Uw.: Por. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. II. str. 21.—24., gdzie wspomniany autor posiłkujący się pamiętnikiem Wierzbińskiego daje bardzo szczegółowe obliczenia.

Str. 268. w. 5. z góry:
»...Moskale cofnęli się...«
Uw.: Zob. St. Zieliński. B. i p.. str. 164. (Szczepanowice 13. marca 1863 r.).

Str. 270. w. 10. z góry:
»Moskwie bitwę...«
Uw.: Por. St. Zieliński. B. i p... str. 164. (16. marca 1863 r. Giebułtów).

Str. 270. w. 1. od dołu (przypis 35):
Po słowach: »...Falkenstein« dodaj: »Por. St. Zieliński. B. i p... str. 164 (16. marca 1863 r. Giebułtów) oraz l. c. str. 516, gdzie podkreśla, że niewiadomo właściwie, jak się ten agent nazywał,

Str. 271. w. 20. z dołu:
»...już wyżej mówiłem...«
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 253.; por. też Łukaszewski. Zabór pruski... str. 283. i nn.

Str. 273. w. 8. z góry:
...przebiegu walki...
Uw. Zob. St. Zieliński. B. i p. str. 165. (18. marca 1863 r. Grochowiska) i l. c. str. 516; Bentkowski nie jest jedynem źródłem dla historji tej bitwy.

Str. 286. w. 9. z góry:
...przerwanego opowiadania...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 251.

Str. 286 w. 8. od dołu (przypis 57.):
Po słowach:... str. 144—146., dodaj: Por. St. Zieliński. B. i p... str. 166. (20. marca 1863 r. Potok, 21. marca 1863 r. Igołomia.)

Str. 288. w. 2. z góry:
...uznać dyktaturę...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 239.

Str. 298. w. 17. od dołu:
...w pierwszej części...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 13., 117, 150—159, 192.

Str. 300. w. 21. z dołu:
.. patrz T. I...
Uw.: Autor ma na myśli rękopiśmienną część pamiętnika, nieobjętą niniejszem wydawnictwem.

Str. 307. w. 17. od dołu:
...jak już wiemy...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 8. i 192.

Str. 307. w. 1. od dołu (przypisek).
Po ...słowach »...komitetu krakowskiego«, dodaj: Najbliższy tych czasów Giller (H. P. N. P. T. I. str. 44.), podaje jedynie inicjały: K. W. R. F.

Str. 309. w. 16. z góry:
...zatwierdziliśmy...
Uw.: Zob. Łukaszewski. Zabór pruski.. str. 290., gdzie pisze: »...B. (tj. Bobrowski) na dniu 27. marca wystawił mi nominację na komisarza pełnomocnego, równobrzmiącą wziąłem dla G... (tj. Guttrego), na Poznańskie«. Por. też: Pamiętniki Aleksandra Guttrego, T. II. str. 130—131.

Str. 309. w. 1. od dołu (przypis 4.):
Po słowach: ...II. str.« — 190. dodać: Faksymile odezwy powołanej, podaje J. Grabiec. R. 1863. (Poznań 1913) str. 300.

Str. 310. w. 7. z góry:
...Plan tej pożyczki...
Uw.: Zob. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. II. str. 440 i nn.

Str. 312. w. 22. z góry:
...z poprzedniego opowiadania...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 146., 154.

Str. 315. w. 13. z góry:
...dla cara...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 10., 154.

Str. 315. w. 6. od dołu:
...(patrz T. I. Pamiętnika)...
Uw.: Autor powołuje się na rękopiśmienną część pamiętnika, nieobjętą niniejszem wydaniem.

Str. 316. w. 1. z góry:
...mówiłem już...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 154.

Str. 320. w. 2. z góry:
... pod Słupczą...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 320.

Str. 320. w. 10. z góry:
...Romana Rogińskiego...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 173.

Str. 320. w. 13. od dołu:
...z poprzedniego opowiadania...
Uw.: Autor powołuje się na rękopiśmienną część pamiętnika, nieobjętą nininiejszem wydaniem.

Str. 321. w. 4. z góry:
...z owej sprawy ogrodowej...
Uw.: Autor powołuje się na rękopiśmienną część pamiętnika, nieobjętą niniejszem wydaniem.

Str. 322. w. 10. od dołu:
...powstających w broń...
Uw.: Por. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. V. (pośmiertny) str. 18 do 24.

Str. 323. w. 2. z góry:
...1862 r...
Uw.: Autor powołuje się na rękopiśmienną część pamiętnika, nieobjętą niniejszem wydaniem.

Str. 323. w. 19. z góry:
...Józefa Kwiatkowskiego...
Uw.: Por. Szkic A. Gillera: »Dwaj kupcy warszawscy«. (Polska w walce. T. II. str. 165—179).

Str. 325—326. w tekście, wiersze passim:
Zam.: »Dementowicz«, czytaj wszędzie: »Demontowicz«.

Str. 328, w. 9. od dołu:
...komisja wojny...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 218.

Str. 329. w. 20. z góry:
...Ksawerego Schlenkiera...
Uw.: Zob. szkic A. Gillera »Dwaj kupcy warszawscy« (Polska w walce. T. II. str. 146—163.).

Str. 330. w. 17. z dołu:
...komisja lekarska...
Uw.: Zob. W. Przyborowskiego. D. 1863 r. T. V. (pośmiertny) str. 76. do 77., oraz Augusta Kwaśnickiego: »Udział lekarzy w wojnie 1863—64 r.«, (Kraków 1917.); obie rzeczy nie były znane J. K. Janowskiemu.

Str. 335. w. 13. z góry:
...formowanie tej straży...

Uw.: Por. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. II. str. 433. i nn. Tenże autor nominację Landowskiego naznacza dopiero na dzień 16. czerwca 1863.

Str. 336. w. 18. z góry:
...źle wyszedł...
Uw.: Por. o tem u W. Przyborowskiego D. 1863 r. T. II. str. 442. (na podstawie relacji Siwińskiego i Gillera).

Str. 338. w. 10. z góry:
...18. czerwca 1864 r....
Uw.: O spisku Kiniewicza, por. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. III. str. 110 116.

Str. 338. w. 11. z góry:
...(Tom I. cz. 3)...
Uw.: Autor powołuje się na rękopiśmienną część pamiętnika, nieobjętą niniejszem wydaniem.

Str. 342. w. 19. z góry:
Zamiast »Rząd carski«, — czytaj: »Rząd narodowy«.

Str. 343. w. 10. z góry:
...wspomniałem już wyżej...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 331.

Str. 353. w. 17. z góry:
...skrytym działaniom...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 335.

Str. 355. w. 21. z góry:
... 2. kwietnia rano...
Uw.: O tem mamy bezpośrednią relację St. Krzemińskiego we wstępie do wydania pamiętnika J. Majkowskiego.

Str. 356. w. 11. z góry:
...w sprawie usługi...
Uw.: Treść otrzymanych instrukcji i sposób ich wykonywania podaje J. Majkowski w swym pamiętniku (l. c. str. 36. i nn.).

Str. 356. w. 10. z góry:
...prowincji ustanowionych...
Uw.: Zob. W. M. do H. P. T. III. nr. 20. str. 24.

Str. 364. w. 18. z góry:
...w lipcu...
Uw.: Por. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. II. str. 422 i nn., który ogółem informuje na podstawie relacji z pierwszej ręki, t. j. drukowanych. A. Gillera i rękopiśmiennych Siwińskiego.

Str. 365. w. 6. od dołu:
... w raporcie Demontowicza...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 325.

Str. 366. w. 18. z góry:
...ale jest to faktem...
Uw.: Por. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. II. str. 488—490. Tenże również tego zagadnienia nie wyświetla należycie.

Str. 368. w. 7. od dołu:
...arcybiskupa Felińskiego...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 187—188.

Str. 369. w. 1. z góry:
...Bożego Ciała...
Uw.: Zob. o tem najbliższe relacje w pamiętniku X. Felińskiego (wyd. 2-gie str. 256—261.).

Str. 370. w. 11. z góry:
...Opisując w I. części...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 187—8.

Str. 371. w. 22. z góry.
...ma śledzić...
Uw.: Zob. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. II. str. 150—160., T. IV str. 19—29.

Str. 371. w. 14. od dołu:
...owego Kellera...
Uw.: Zob. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. IV. str. 4—10.

Str. 374. w. 3. z góry:
...w pierwszej części...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 160 i nn.

Str. 374. w. 6. z góry:
...w Myszyńcu.,.
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 220.

Str. 375. w. 12. z góry:
...autor »Dziejów 1863 r.«...
Uw.: Opis kampanii i końca Z. Padlewskiego daje W. Przyborowski w T. II. D. 1863 r. (str. 192—236).

Str. 376. w. 8. z góry:
Zamiast: ...powiat Młański..., — czytaj: ...powiat mławski...

Str. 376. w. 17. z góry:
...w Prusach zachodnich...
Uw.: Por. Łukaszewski: »Zabór pruski«, str. 290—1.

Str. 377. w. 6. od dołu:
Zamiast: ...kurpiówmy szanieckich..., — czytaj:... kurpiów myszynieckich...

Str. 378. w. 9. z góry:
...Jeszcze z rozkazu...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 220.

Str. 378. w. 3· od dołu:
...powstania T. II)....
Uw.: Por. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. IV. str. 268—277.

Str. 379. w. 1. z góry:
. .Bieniszewem...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 223.

Str. 381. w. 10. od dołu:
...województwo kaliskie...
Uw.: Por. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. II. str. 132—169.

Str. 381. w. 7. od dołu :
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 183.

Str. 382 w. 5. od dołu:
Zamiast: ...Igłoni... czytaj: ...Igołomi...

Str. 383. w. 15. od dołu:
...nie brał wcale udziału...
Uw.: Zob. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. II. str. 477—480.

Str. 385. w. 15. z góry:
...przez Oxińskiego...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 224, oraz porównaj W. Przyborowskiego. D. 1863 r. T. IV. str. 228—231.

Str. 387. w. 2. z góry :
...przeszedł granicę...
Uw.: Zob. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. IV. str. 213—227.

Str. 387. w. 9. z góry:
...Wiemy...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 273—282, 285, 383.

Str. 388. wiersze 7, 20, 23, 28 z góry:
Zamiast: .. Kowonowicz(a)... czytaj: ...Kononowica(a)...

Str. 388. w. 24. z góry:
...pobić Moskali...
Uw.: Por. Opis kampanii Czachowskiego, Grylińskiego i Kononowicza u W. Przyborowskiego T. IV. str. 105—130.

Str. 388. w. 27. z góry:
...żadnego oddziału...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 222.

Str. 388. w. 1. z dołu (przypis 32.).
Po słowach: [32]) — dodaj: Por. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. IV. str. 171—177.

Str. 393. w. 14. z góry:
...w I części tego tomu...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 221.

Str. 393. w. 23. z góry:
...w okolicach Zawichostu...
Uw.: Por. bardzo skąpe wiadodości o tej części kampanii Lelewela — Borelowskiego u W. Przyborowskiego. D. 1863 r. T. II. str. 282—284, T. IV. str. 317—319.

Str. 393. w. 7. od dołu (przypisek 36):
Po słowach: ...Hrubieszowski, — dodaj: O drugiej kampanii A. Jeziorańskiego, zob. W. Przyborowskiego. D. 1863 r. T. IV. str. 171—211; o kampanii Zapałowicza pisał przyczynki J. B. Chołodecki. Dąb-Dąbczańscy i Jan Zalplachta Zapałowicz. Przyczynki do dziejów powstania styczniowego. Lwów, 1913 r.

Str. 394. w. 15. z góry:
Zam: ... z Kowonowiczem... czytaj: ...Kononowiczem...

Str. 399. w. 15. z góry:
...nastała cisza...
Uw.: Autor pamiętnika nie omawiał w swem dotychczasowem opowiadaniu porażki Jastrzębskiego. O bitwie pod Czystą Budą, zob. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. II. str. 301—305.
Str. 394. w. 14. od dołu:
Zamiast: ...Romotowskiego... czytaj: ...Ramotowskiego...

Str. 394. w. 6. od dołu:
...zwanej Kozi Rynek...
Uw.: Opis kampanii Wawra u Przyborowskiego. D. 1863 r. T. IV. str. 282—290; W. Przyborowski używa nazwy: »lasy ztabińskie«, zamiast: »lasy Sztubińskie«.

Str. 395. w. 6. z góry:
...w części I., tomu I....
Uw.: Autor powołując się na rękopiśmienną część pamiętnika, nieobjętą niniejszem wydaniem.

Str. 395. w. 15. z góry:
...dostarczenia broni...
Uw.: Por. W. Przyborowski D. 1863 r. T. IV. str. 290—294.

Str. 400. w. 10. z dołu:
...4. maja 1863 r. (L. S.)...
Uw.: Dekret o zmianie taktyki powstańczej był wydrukowany u A. Gillera. H. P. N. P. T. II. str. 320—321. (VI.).

Str. 400. w 4. z dołu:
... i t. p. szczegółach...
Uw.: Sądząc z treści możnaby przypuszczać, że autor ma na myśli dekret z 12/V. 1863 r. p. t. »Organizacja sztabów wojsk narodowych powstania w r. 1863.« (W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego. Lwów 1903. str. 12—16.).

Str. 401. w. 11. z góry:
...tylko z pamięci...

Uw.: Streszczony przez autora pamiętnika dekret z 22/V. 1863 r. jest wydrukowany p. t. »Instrukcja dla oficerów o postępowaniu wojskowem w obozach«. (W czterdziestą roczn. powst. stycz. Lwów, 1903. str. 16—24.).

Str. 402. w. 15. z góry:
...wyżej wspominałem...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 357.

Str. 402. w. 17. z góry:
...z dnia 21. kwietnia...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 355.

Str. 403. w. 3. z góry:
...(patrz tom I.)...
Uw.: Autor powołuje się się na rękopiśmienną część pamiętnika, nieobjętą niniejszem wydaniem.

Str. 403. w. 13. z góry:
zamiast: »...Miniewskiego...« czytaj: »...Miniszewskiego...«

Str. 403. w. 9. od dołu:
...w tej sprawie udział..
Uw.: Szczegółowe relacje o zabójstwie Miniszewskiego zob. u W. Przyborowskiego. D. 1863 r. T. II. str. 463—472.

Str. 404. w. 1. od dołu:
..się stosowały...
Uw.: O »juristicium« zob. W. Przyborowskiego. D. 1863 r. T. II. str. 452.

Str. 405 w. 15. z góry:
...wyniknąć mogą...
Uw.: Zob. A. Giller H. P. N. P. T. I. str. 366, oraz. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. II. str. 452/3.

Str. 405. w. 15. od dołu:
...do skutku...
Uw.: Zob. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. II. str. 452—453.

Str. 407. w. 28 z góry:
...dnia 10. maja...
Uw.: W sprawie genczy dekretu zob. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. II. str. 443—448. Tekst tego dekretu ogłosił drukiem A. Giller. H. P. N. P. T. I. str. 322/3.

Str. 410. w. 4. od dołu:
...także już mówiłem...
Uw.: Autor nawiązuje do ustępu pamiętnika w tomie niniejszym na str. 197—200; fakty, które teraz omawia t j. stosunek zagranicy, nader wyczerpująco wyświetla w r. VII. tomu II. D. 1863 r. W. Przyborowski

Str. 419. w. 12. od dołu:
...listem z 28. kwietnia...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 366.

Str. 426. w. 5. z góry:
..silne zawiązki...
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 15.

Str. 427. w. 10. z góry:
...swego przy agencie...
Uw.: Por. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. III. str. 1—24, 30—32. Podkreślić należy, że tenże autor, idąc za Gillerem (H. P. N. P. T. II. str. 360) przez Janowskiego tak nazwany »Komitet zarządzający« zwie »Wydziałem zarządzającym« (l. c. str. 31.).

Str. 427. w. 16. z góry:
...Sprawa żydowska...
Uw.: Autor powołuje się na rękopiśmienną część pamiętnika, nieobjętą wydawnictwem.

Str. 427. w. 11. od dołu:
.. francuskiemu...
Uw.: Obszerną relację o komitecie petersburskim zob. u W. Przyborowskiego. D. 1863 r. T. III. str. 33—40.

Str. 427. w. 9. od dołu:
...do powstania...
Uw.: Według Gillera (Hist. P. N. P. T. II. str. 285.) odezwa komitetu litewskiego nosi datę 19/31. marca 1863 r. Por. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. III. str. 41.

Str. 429. w. 15. od dołu:
...sztandar wolności...
Uw.: Opis kampanji L. Narbutta w przedstawieniu J. K. Janowskiego wykazuje różnice od opisu tejże przez W. Przyborowskiego. (D. 1863 r T. III. str. 27—30.) a także ma znaczne różnice w chronologji, o ile chodzi o daty potyczek podanych przez St. Zielińskiego. (Bitwy i potyczki...) str. 277—280.

Str. 429. w. 10. od dołu:
...Dnia 8. czerwca...
W. Przyborowski (D. 1863 r. T. III. str. 27.) ustala pierwsze wystąpienie t. j. opisane tu kazanie ks. A. Mackiewicza do 2-giej połowy lutego. St. Zieliński (B. i p... str. 287.) początek działań wojennych tegoż ustala na 6. marca 1863 r.

Str. 429. w. 4. od dołu (przypis 51):
...zamiast... »...Kowalski...« czytaj: »...Kowalki...«

Str. 430. w. 9. od dołu:
...25. grudnia 1863 r...
Uw.: Z. Kolumna (Pamiątka... I. str. 102.) jako datę zgonu X. A. Mackiewicza podaje dzień 28. grudnia 1863 r.

Str. 430. w. 3. od dołu:
...Antoni Nawojna...

Uw.: Według St. Zielińskiego (B. i p. — str. 288.) nazwisko to brzmi »Narwojsz«.

Str. 431. w. 5 i 8. z góry.
Zam.: »Pajdukiem« (a) — czytaj: »Pujdokiem« (a).

Str. 431. w. 11. z góry:
Zam.: »Dubiszę« — czytaj: »Dubissę«

Str. 432. w. 7. od dołu.
...w 3. części tomu I. pamiętnika...
Uw.: Autor powołując się na rękopiśmienną część pamiętnika, nieobjętą niniejszem wydawnictwem. O przeszłości Z. Sierakowskiego, zob. W. Przyborowskiego D. 1863 r. III. str. 43—46. Tenże autor podaje jako rok wyjazdu na kongres statystyczny do Londynu nie r. 1860., jak J. K. Janowski, lecz r. 1861.

Str. 433. w. 17. z góry:
...Sierakowskiego...
Uw.: Por. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. III. str. 48.

Str. 433. w. 1. od dołu:
...uwłaszczenia chłopów...
Uw.: Por. W. Przyborowskiego. D. 1863 r. III. 47— 50; o wyprawie morskiej Łapińskiego mówił J. K. Janowski wyżej (w tomie niniejszym na str. 324.), a o Kiniewiczu również wyżej (w tomie niniejszym na str. 337—338.)

Str. 434. w. 19. z góry:
...rozszedł się...
Uw.: Por. W. Przyborowski D. 1963 r. T. III. 60—65.

Str. 434. w. 5. od dołu:
...przez Trustów, Okojnić...
Uw.: Według St. Zielińskiego. (B. i p... str. 296.) nazwy tu wymienionych miejscowości brzmią: Trusków, Okajnie, Anciszki, Wodakle.

Str. 435. w. 1. z góry:
zamiast: »...puszczy Kurpiowskiej«, — czytaj: »...puszczy Karpiowskiej...«

Str. 436. w. 12. od dołu:
...jego winy.
Uw.: Opis kampanii Sierakowskiego, por. z opisem W. Przyborowskiego D. 1863. r. T. III. str. 65—105.

Str. 437. w. 2. z góry:
zamiast: »...pod Ginetyczami«, — czytaj: »...pod Ginetynami«.

Str. 438. w. 12. od dołu:
»...z wielkiemi stratami.«
Uw.: Dla opisu działań w grodzieńskiem mamy wczesny pamiętnik J. Aramowicza, omówiony przez Gillera (H P. N. P. T. I. str. 169—219).

Str. 438. w. 10. od dołu:
Zamiast: »Tanwą..« — czytaj: »Temrą...«

Str. 438. w. 3. od dołu (przypis 65):
Zamiast: »...Walik...«, —czytaj: »... Walile...«

Str. 440. w. 3. z góry:
...nie zajmowali.
Uw.: Co do opisanej tu działalności. R. Traugutta, por. [M. Dubieckiego]. R. Traugutt i jego dyktatura. (W. M. do H. P. T. IV. er. 2-ga str, 40—50).

Str. 440. w. 13. z góry:
»...Wiemy już...«
Uw.: Zob. w tomie niniejszym na str. 13—16. Por. W. Przyborowski D. 1863 r. T. III. str. 225—226.

Str. 442. w. 11. z góry:
»...wydawnictwa materjałów:«
Uw.: Zob. W. M. do. H. P. T. I. 40, A. Giller. H. P. N. P. T. I. 155. Por. W. Przyborowski D. 1863 r. T. III. str. 232.

Str. 445. w. 12. z góry. — 449. w. 8. od dołu:
»według programu...« »...traktujące całą sprawą«.
Uw.: Zob. Z. Miłkowskiego. W Galicji na Wschodzie. (str. 5—47) oraz W. Przyborowskiego. D. 1863 r. III. str. 230—239.

Str. 450. w. 1. z góry:
»... w Brodach...«
Uw.: Zob. W. Przyborowski. D. 1863 r. T. III. str. 240—241.

Str. 450. w. 22. z góry: i str. następne.
»Różyckiego oddział...
Uw.: Punktem wyjścia dla opisu kampanii E. Różyckiego jest biografia tegoż, pióra M. Dubieckiego, która też służy za podstawę zasadniczą opisu W. Przyborowskiego. (D. 1363 r. T. III. str. 248—261). Uroczysko nazwane przez J. K. Janowskiego »Pastucha« u W. Przyborowskiego brzmi »Pustochy«.

Str. 451. w. 5 i 1—2 od dołu. (przypis 73, 75).
zamiast: »Zwicholski« — czytaj: »Zwiahelski«.

Str. 452. w. 18. z góry i 15. od dołu:
»...Bratułowem(a)...«
Uw.: Według W. Przyborowskiego (D. 1883 r. T. III. str. 250) miejscowość ta brzmi »Bratałów.

Str. 455. w. 13. z góry:
»o wrogiem usposobieniu...«
Uw.: O wrogim nastroju włościan na Ukrainie, por. W. Przyborowski D. 1863 r. T. III. str. 243—245.

Str. 455. w. 7. od dołu:
...Adam Zieliński...

Uw.: Opis kampanii Zielińskiego, por. u W. Przyborowskiego D. 1863 r. T. III. str. 282—283.

Str. 456. w. 1. z góry:
».. Platona Krzyżanowskiego...«
Uw.: Opis Kampanii Platona Krzyżanowskiego, por. u W. Przyborowskiego D. 1863 r. T. III. str. 283—290.

Str. 456. w. 17. z góry:
...Romualda Olszańskiego...«
Uw.: Opis kampanii R. Olszańskiego, por. u W. Przyborowskiego D. 1863 r. T. III. str. 263—268.

Str. 457. w. 17. od dołu:
...Antoniego Jurjewicza...
Uw.: O losach Jurjewicza i katastrofie pod Sołowijówką, por. opis W. Przyborowskiego D. 1863 r. III. str. 269—281.

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Polit.-Wych.

CBW
Wpływ 32 46.
Nr. w 1193

Strona

styczeń i pierwsza połowa lutego. — Straże chłopskie. — Rada Stanu i Arcybiskup. — Mowa cara d. 25 Stycznia w Petersburgu. — Rozporządzenia moskiewskie. — Galicja i Wielkopolska. — Stanowisko Anglii i Francji w pierwszej chwili powstania. — Prusy. — Konwencja rosyjsko-pruska z dnia 8. Lutego — Uwagi ogólne. 141

ROZDZIAŁ IV.

Komisja czy Komitet. — Wspólnie jako jedno ciało. — Sprawy administracji ogólnej — Moje pojęcia a tajemnicy. — Sprawozdanie osobiste komisarza województwa Mazowieckiego o wkroczeniu i bitwach dyktatora Mierosławskiego. — Uchwała o prawomocności dyktatury Mierosławskiego do dnia 8. Marca. — Porozumienie z Wydziałem Litwy i Rusi — Uchwały o Komisjach Spraw Wewnętrznych Wojny i Skarbu. — Działania wojenne: druga połowa lutego i marzec. 203

ROZDZIAŁ V.

Posiedzenie dnia 12. marca. — Wiadomość o dyktaturze Langiewicza. — Wyjazd do Krakowa. — Demidowicz — Jenerał Wysocki — Jenerał Mierosławski. — Giller. — Konferencja. — Wyjazd do Tarnowa. — Jak powstała dyktatura Langiewicza. — Kampania dyktatora. — Dyktator opuszcza wojsko. — Aresztowanie dyktatora — Tarnów. — Rozmowa z dyktatorem. — Powrót do Krakowa. — Odezwa Bobrowskiego. — Powrót do Warszawy. . 231

ROZDZIAŁ VI.

Dyrekcya Organizacyi Białej. — Karol Ruprecht członkiem Komitetu Centralnego jako Tymczasowego Rządu Narodowego. — Zarządzenia administracyjne. — Projekty finansowe. — Komisja Spraw Wewnętrznych i jej oddziały. — Organizacja miasta Warszawy. — Organizacja policy narodowej. — Rząd pieczątka. — Luki w organizacji prowincjonalnej cywilnej i wojskowej. — Dostawa broni. — Wyprawa morska na Żmudź. — Komisje wojny i spraw zewnętrznych — Projekt ucieczki Jarosława Dąbrowskiego z Cytadeli. — Ammestja. — Wyjazd Bobrowskiego pojedynek i śmierć — Zmiany w rządzie. — Sprawy moje osobiste. — W. książę Konstanty. — Arcybiskup. — Margrabia 298

ROZDZIAŁ VII.

Działanie wojenne: kwiecień i maj. — Dekrety. — Negocjacje dyplomatyczne. — Stanowisko Rządu Narodowego. — Powstanie na Litwie. — Powstanie na Rusi 376
Przypisy i uzupełnienia od Redakcji 461

L. inw. 51

Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej
2071/3 t.1
13-002071-000-0